

MARCELLI STARK

Nie jednak żyję i żyję...

Pamiętnik więźnia obozu pracy w Budzynie



Nie jednak czuję i żyję...

Pamiętnik więźnia obozu
pracy w Budzynie

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

MARCELI STARK

Nie jednak umrę i żyję...

Pamiętnik więźnia obozu
pracy w Budzynie

Opracowanie i redakcja naukowa
Marcin Urynowicz



WARSZAWA 2012

Recenzenci
dr Elżbieta Rączy, dr Adam Redzik

Redakcja
Magdalena Baj

Korekta
Magdalena Pabich

Redakcja techniczna
Andrzej Broniak

Projekt graficzny i projekt okładki
Krzysztof Findziński

Indeks
Inga Jaworska-Róg

Na okładce
Marceli Stark na Gubałówce, 1946 r. (fotografia ze zbiorów Barbary Krydy)

Skład i łamanie
Wojciech Czaplicki

Rękopis pamiętnika i towarzyszące mu materiały przekazała do druku Barbara Kryda.

Wydawnictwo informuje, że dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 355 § 2 kc w celu odnalezienia aktualnego dysponenta autorskich praw majątkowych do fotografii i tekstów. Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku w niektórych przypadkach poszukiwania te nie przyniosły rezultatu, wydawnictwo zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu ich wykorzystania aktualnemu dysponentowi autorskich praw majątkowych, niezwłocznie po jego zgłoszeniu się do wydawnictwa.

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2012

ISBN 978-83-8376-773-4

Zapraszamy na stronę internetową
ipn.gov.pl
oraz do księgarni internetowej
ksiegarniaipn.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp – Marcin Urynowicz	13
Słowo o Marcelim Starku – Barbara Kryda	47
Życiorys własny autora wspomnień – Marceli Stark	69
Pamiętnik	73
Noc sylwestrowa	75
Getto się pali	83
Pierwsze dni pobytu w obozie	88
Adaptacja	97
Dzień jak zwykle	108
Represje	117
Egzekucja Bittera	121
Kapiel	125
Kradzież chleba	133
Bez placówki – w rezerwie	137
Dzień ten przeszedł normalnie	145
Zielone Świąta 1943	149
Walka o życie	153
Maschinenausladen	157
U kresu sił	163
Koniec etapu pracy z maszynami	175
Majdanek	180
Selekcja w Płaszowie	183
Wybrana korespondencja	189
I. Powrót do normalności, m.in. korespondencja z osobami z życia publicznego	191

Nr 1. 1946 lipiec 4, Łódź – Edward Otto do Marceliego Starka, któremu wraz z żoną pomagał w okresie okupacji. Odnowienie znajomości po wojnie. Chęć spotkania	191
Nr 2. 1946 lipiec 10, Warszawa – Fragment listu Karola Borsuka do Marceliego Starka. Postawa społeczeństwa polskiego w okresie wojny i pomoc okazywana przez nadawcę adresatowi, gdy ten ukrywał się w Warszawie po tzw. aryjskiej stronie. Stan zdrowia adresata.	192
Nr 3. 1946 czerwiec 24, Kraków – Fragment listu nieznanego z nazwiska Zygmunta, matematyka, do Marceliego Starka. Problemy osobiste, rzeczywistość powojenna, także problematyka polsko-żydowska na przykładzie sytuacji żony i stereotypów antyżydowskich, wyrażanych przez siostrę autora	194
Nr 4. 1947 marzec 16, Kluczbork – Fragmenty listu nieznanego z nazwiska Stefana do Marceliego Starka. Radość z ocalenia adresata, losy wojenne i powojenne, informacja o książkach, które przechował dla adresata	196
Nr 5. 1947 grudzień 27, Wrocław – Marceli Stark do Hanny Szmuszkowicz. Podziękowanie za zainteresowanie w okresie pobytu w Łodzi. Wrażenia z odwiedzin Warszawy, a szczególnie ruin byłego getta	198
Nr 6. 1948 czerwiec 7, Wrocław – Odpowiedź Marceliego Starka na pismo prof. dr. Tadeusza Banachiewicza w sprawie zagrabionych przez Niemców książek i maszyn do liczenia, którymi zajmował się w obozie w Oranienburgu.	201
Nr 7. 1948 czerwiec 28, Wrocław – Odpis listu Marceliego Starka do Marii Owsiennej, mieszkanki Wałbrzycha. Znajoma z czasów przedwojennych, najprawdopodobniej mieszkanka Lwowa. Wojna i wspólni znajomi. Plany spotkania	203
Nr 8. 1948 listopad 18, Warszawa – Stefan Rozmaryn do Marceliego Starka. Radość z odnalezienia przyjaciela. Prośba o opisanie losów wojennych.	204
Nr 9. 1948 listopad 28, Wrocław – Marceli Stark do Stefana Rozmaryna. Podziękowanie za list, losy w okresie wojennym i powojennym.	205
II. Korespondencja z Hanną Reich i krewnymi z Londynu	206
Nr 10. 1948 luty 9, Wrocław – Fragmenty odpisu listu Marceliego Starka do Hanny Reich z prośbą o pomoc w ustaleniu londyńskiego adresu kuzynki.	206
Nr 11. 1948 luty 23, Londyn – Hanna Reich do Marceliego Starka. Odpowiedź na list z 8 lutego tr. Odnalezienie rodziny adresata. Oczekiwanie na książkę, o którą prosił adresat.	208
Nr 12. 1948 maj 15, Wrocław – Marceli Stark do Hanny Reich. Podziękowanie za skontaktowanie z kuzynem, zaabsorbowanie własną pracą oraz sytuacją wspólnych znajomych.	209
Nr 13. 1948 czerwiec 7, Wrocław – Marceli Stark do Hanny Reich. Potwierdzenie otrzymania książki i podziękowanie za nią. Kwestia stosunków międzyludzkich i brak zaufania spowodowany przejściami wojennymi	210
Nr 14. 1948 luty 22, Londyn – Tłumaczenie listu Leonarda Kirscha do Marceliego Starka. Nawiązanie kontaktu po wojnie, pytania o losy rodziny	211
Nr 15. 1948 marzec 8, Wrocław – Tłumaczenie odpisu listu Marceliego Starka do Leonarda Kirscha, kuzyna zamieszkałego w Londynie. Dzieje rodziny w okresie II wojny światowej	212

Nr 16. 1948 marzec 8, Wrocław – Tłumaczenie odpisu listu Marcelego Starka do kuzynki, Charlotte Kestenbaum, siostry Leonarda Kirscha. Dzieje rodziny w okresie II wojny światowej	215
Nr 17. 1948 marzec 31, Londyn – Tłumaczenie odpisu listu Leonarda Kirscha do Marcelego Starka. Podziękowanie za otrzymany list. Losy rodziny i sytuacja osobista adresata	217
Nr 18. 1948 maj 14, Wrocław – Tłumaczenie odpisu listu Marcelego Starka do kuzyna, Leonarda Kirscha w Londynie. Sprawy rodzinne oraz kwestia ewentualnej emigracji autora do Palestyny lub innego kraju.	218
III. Korespondencja ze współtowarzyszami niedoli z Budzynia	219
Nr 19. 1960 listopad 12, Buenos Aires – List do Marcelego Starka od Józefa Zysmana z Buenos Aires, dawnego współwięźnia z obozów hitlerowskich	219
Nr 20. 1965 kwiecień 6, Buenos Aires – Drugi list Józefa Zysmana do Marcelego Starka w czasie jego pobytu w Izraelu na zaproszenie bratowej, Renaty Cohen . .	221
Nr 21. 1962 marzec 21, Bat Jam – List Isaja Dratwera, byłego współwięźnia (zamieszkałego po wojnie w miejscowości Bat Jam, w Izraelu), do Marcelego Starka	223
IV. Korespondencja z Blanką Kościukową.	225
Nr 22. 1946 lipiec 8, Kraków – Fragment listu Blanki Kościukowej do Marcelego Starka, m.in. w sprawie zmian, które zachodzą wraz z upływem czasu w perspektywie przeżyć wojennych	225
Nr 23. 1946 wrzesień 15, Kraków – Blanka Kościukowa do Marcelego Starka, fragmenty. Powojenna trauma. Proces zbrodniarza Amona Götha.	226
Nr 24. 1946 listopad 18, Kraków – Blanka Kościukowa do Marcelego Starka, fragmenty listu. O poczuciu samotności, bezradności, chorobie i niechęci do religii.	227
Nr 25. 1948 styczeń 1, Warszawa – Blanka Kościukowa do Marcelego Starka. Życie codzienne po wojnie, odbudowa normalnego życia.	229
Nr 26. 1948 styczeń 10, Wrocław – Marceli Stark do Blanki Kościukowej. Podziękowanie za otrzymany list, problem uporządkowania życia po przejściach wojennych, informacje o codziennym życiu autora	230
Nr 27. 1948, Warszawa – Blanka Kościukowa do Marcelego Starka. Przeprowadzka do Warszawy i własne dziecko. Kłopoty, relacje ze światem zewnętrznym	232
Nr 28. 1948 luty 15, Wrocław – Marceli Stark do Blanki Kościukowej. Gratulacje z powodu narodzenia dziecka. Porady, jak radzić sobie z problemami	234
Nr 29. 1948 kwiecień 11, Warszawa – Blanka Kościukowa do Marcelego Starka. Trudności życia codziennego, podziękowanie za okazane wsparcie i zaproszenie do złożenia wizyty	236
V. Korespondencja z Heleną Lapter	238
Nr 30. 1947 styczeń 7, Toruń – Helena Lapter, była studentka Marcelego Starka z Uniwersytetu Lwowskiego, zwraca się z prośbą o potwierdzenie zaliczonych egzaminów	238

Nr 31. 1947 grudzień 22, Toruń – Fragmenty listu Heleny Lapter. Podziękowanie za przesłane karty wspomnień, trudności w odnalezieniu się we współczesnym świecie po przejściach wojennych	239
Nr 32. 1948 kwiecień 20, Wrocław – Marceli Stark do Heleny Lapter. Przeprosiny za brak odpowiedzi. Złe samopoczucie, nawiązanie do kwestii reorganizacji życia po traumie wojennej	240
Nr 33. 1949 styczeń 12, Wrocław – Marceli Stark do Heleny Lapter. Porady wobec złego samopoczucia adresatki	241
VI. Korespondencja z Miriam Sternbach-Reiss.	243
Nr 34. 1948 kwiecień 20, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Sternbach-Reiss – siostry lwowskiego przyjaciela, Ludwika Sternbacha. Wojenne losy rodziny adresatki	243
Nr 35. 1948 maj 29, Londyn – Miriam Reiss do Marceliego Starka z podziękowaniem za list oraz informacjami na temat przeżyć wojennych i obecnych	247
Nr 36. 1948 lipiec 6, Wrocław – List Marceliego Starka do Miriam Reiss na temat losów jej brata, Ludwika Sternbacha, oraz własnych przeżyć wojennych i stosunku otoczenia do Żydów.	249
Nr 37. 1948 wrzesień 16, Londyn – Fragment listu Miriam Reiss do Marceliego Starka. O zamordowanym bracie, górach i stosunku do świata. Zachęta, by kontynuować pisanie pamiętników.	252
Nr 38. 1948 październik 30, Wrocław – Fragment listu Marceliego Starka do Miriam Reiss. Refleksje na temat dobra oraz Ukraińców współpracujących z Niemcami. Pamiętnik i zacieranie się pamięci o wydarzeniach wojennych	254
Nr 39. 1948 grudzień 30, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Reiss. Przeprosiny autora, przeprosiny za długi okres nieodpisywania. Odbudowa kraju po zniszczeniach wojennych. Fragment wspomnień przesłanych adresatce.	256
Nr 40. 1949 styczeń 12, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Reiss. Wojenne losy brata adresatki. Pomoc pani Józi, jego żony	258
Nr 41. 1949 kwiecień 16, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Reiss. Wojenne losy brata adresatki. Dzieje nadawcy, jego walka zbrojna z Niemcami	259
VII. Korespondencja z Ireną Lewicką	263
Nr 42. 1946 lipiec 22, Kraków – List Ireny Lewickiej (bliskiej znajomej ze Lwowa), m.in. reakcja na podziękowania za pomoc udzielaną w okresie wojennym.	263
Nr 43. 1946 sierpień 3, Kraków – List Ireny Lewickiej w sprawie losów Zygmunta Starka, brata Marceliego.	264
Nr 44. 1946 sierpień 31, Kraków – Irena Lewicka do Marceliego Starka. Podziękowanie za dokonany zakup i prośba o przyjęcie ucznia nadawcy. Kwestia rewindykacji resztek biblioteki Ossolineum ze Lwowa oraz zaproszenie do Krakowa.	266
Nr 45. 1946 wrzesień 11, Kraków – Fragmenty listu Ireny Lewickiej do Marceliego Starka. Podziękowanie za pomoc w zakupie poszukiwanych przedmiotów. Estetyka i wartości duchowe w życiu człowieka	267

Nr 46. 1946 wrzesień 15, Wrocław – List Marcellego Starka do Ireny Lewickiej. Odpowiedź na prośbę o zakup porcelany i rozważania na temat kolekcjonowania oraz zapytanie o książki stanowiące dla autora rodzinną pamiątkę	268
Nr 47. 1946 wrzesień 20, Kraków – Irena Lewicka do Marcellego Starka. Podziękowanie za zakup porcelany i opiekę nad uczniem nadawcy, sprawy zawodowe. Do listu załączono dopisek brata nadawczyni, Mariana, przyjaciela adresata	271
Nr 48. 1946 listopad 14, Kraków – Irena Lewicka do Marcellego Starka. Podziękowanie za opiekę nad uczniem. Złe samopoczucie pomimo otrzymania mieszkania. Tęsknota za Lwowem, żal z powodu wyjazdu	273
Nr 49. 1946 listopad 24, Kraków – Irena Lewicka do Marcellego Starka. Podziękowanie za podarek. Wspomnienie o Lwowie. Zaproszenie do złożenia wizyty	275
Nr 50. 1947 styczeń 15, Kraków – Irena Lewicka do Marcellego Starka. Choroba matki, praca habilitacyjna brata, gorycz z powodu straconych lat. Wrażenia z lektury fragmentu pamiętnika adresata	276
Nr 51. 1968 grudzień 3, Kraków – Irena Lewicka do Marcellego Starka. Przesłanie podarunku, wspomnienie o Lwowie	278
VIII. Korespondencja z Renatą Stark-Cohen	279
Nr 52. 1947 sierpień 1, Wrocław – Renata Stark-Cohen (bratowa) do Marcellego Starka. Zdrowie nadawcy, śmierć profesora Suchardy. Znajomi	279
Nr 53. 1953 wrzesień 8, Krynica – Renata Stark-Cohen wraz z mężem Henrykiem Cohenem do Marcellego Starka. Relacja z czasów w Krynicy. Zachęta do wyjazdu dla podreperowania zdrowia	280
Nr 54. 1957 kwiecień 14, Jerozolima – Renata Stark-Cohen oraz Henryk Cohen do Marcellego Starka. Pierwszy list z Izraela po wyjeździe z Polski. Wrażenia z podróży i dotarcia do celu. Kwestia pracy i urzędu w nowych warunkach	281
Nr 55. 1957 listopad 16, Jerozolima – Henryk Cohen w imieniu swoim i żony, Renaty Stark-Cohen, do Marcellego Starka. Akomodacja w Izraelu. Nowe warunki mieszkaniowe. Problemy z nauką hebrajskiego, porada, by zacząć uczyć się jak najszybciej	284
Nr 56. 1958 marzec 8, Jerozolima – Henryk Cohen w imieniu swoim i żony, Renaty Stark-Cohen, do Marcellego Starka. Radzenie sobie z nadmiarem pracy. Trauma okupacyjna a konieczność nawiązywania współpracy naukowej	285
Nr 57. 1958 wrzesień 29, Jerozolima – Renata Stark-Cohen i Henryk Cohen do Marcellego Starka. Sprawa adaptera, wyjazdu do Paryża i wspólnych znajomych. Tęsknota wzajemna i chęć spotkania	286
Nr 58. 1958 wrzesień 29, Jerozolima – Renata Stark-Cohen i Henryk Cohen do Marcellego Starka. Kwestia nieudanej podróży do Paryża i planowanej wizyty w Izraelu. Problemy z przesyłkami pocztowymi	288
Nr 59. 1960 luty 26, Jerozolima – Renata Stark-Cohen po śmierci męża do Marcellego Starka. Kwestia zmian w pracy adresata, jego zdrowie, planowana wizyta w Izraelu oraz wspólni znajomi	290

Nr 60. 1960 wrzesień 14, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Uwagi o literaturze poświęconej zagładzie Żydów. Zdrowie adresata. . . .	291
Nr 61. 1963 styczeń 20, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Zakażenie żółtaczką, problemy wspólnych znajomych	292
Nr 62. 1963 sierpień 14, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Pesymizm adresata, słaby stan zdrowia, wspomnienia tragicznej przeszłości, plany przyjazdu do Izraela	293
Nr 63. 1964 grudzień 20, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Zdrowie adresata, konieczność zachowania diety. Zainteresowania literackie i muzyczne	295
Nr 64. 1965 luty 20, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Dodatek do listu. Kwestia pomocy udzielonej przez Irenę Lewicką rodzinom korespondentów	296
Nr 65. 1965 marzec 6, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Szczegóły planowanej wizyty w Izraelu.	297
Nr 66. 1965 październik 9, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Wspomnienie pobytu adresata w Izraelu. Wspólni znajomi, święta żydowskie i stosunek do religii.	298
Nr 67. 1966 grudzień 21, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Zdrowie i samopoczucie adresata. Wspólni znajomi	299
Nr 68. 1967 maj 31, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Zdrowie adresata. Sprawy zawodowe. Międzynarodowa sytuacja Izraela.	300
Nr 69. 1967 czerwiec 12, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Podziękowanie za troskę w obliczu sytuacji wojennej w Izraelu.	301
Nr 70. 1969 marzec 25, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Podziękowanie za list. Praca w obliczu starości.	303
IX. Korespondencja różna	304
Nr 71. 1947 lipiec 9, Wrocław – List do Marcellego Starka od studenta podpisanego jako „Bębojło” w sprawie niezdanego egzaminu z matematyki	304
Nr 72. 1948 marzec 6, Kraków – List od prof. Franciszka Lei w związku z inicjatywą wydania Księgi Pamiątkowej Członków Polskiego Towarzystwa Matematycznego, którzy zginęli w czasie wojny 1939–1945. Załączono odpis pierwszego pisma z dnia 4 czerwca 1947 r.	306
Nr 73. 1953 styczeń 10, Wrocław – List od Łucji Banachowej z podziękowaniem za starania w sprawie uregulowania kwestii finansowych, związanych ze spadkiem po mężu, prof. Stefanie Banachu	308
Nr 74. 1957 maj 28, Wrocław – Hugo Steinhaus do Marcellego Starka. Kwestia kontaktów z wydawnictwami brytyjskimi i przekładów na język angielski	309
Nr 75. 1957 wrzesień 6, Jerozolima – Juliusz Kowalski do Marcellego Starka. Losy imigranta do Izraela, sytuacja ekonomiczna	310
Nr 76. 1961 wrzesień 4, Warszawa – Marcele Stark do Jana Jaworowskiego. Odmowa poparcia starań o przedłużenie urlopu naukowego. Prośba o jak najszybszy powrót	313

Nr 77. 1965 listopad 5, Paryż – List Tomasza Sikorskiego, kompozytora i pianisty, do Marcelego Starka. Wrażenia z pobytu we Francji, gdzie rozpoczął studia muzyczne	316
Nr 78. 1966 sierpień 18, Tyniec – List Andrzeja Turowicza, przyjaciela z lat młodości Marcelego Starka, pisany po jego chorobie w czasie wyjazdu za granicę. Rola pracy w życiu człowieka.	318
Nr 79. 1967 wrzesień 27, Londyn – Nieznany z nazwiska Mirek do Marcelego Starka. Niepokój o zdrowie adresata. Problemy egzystencjalne nadawcy.	320
Nr 80. 1967 grudzień 16, USA – Stanisław [Ulam ?] do Marcelego Starka. Plany osobiste nadawcy, chęć odwiedzenia Europy	321
Nr 81. 1969 styczeń 20, Warszawa – Marcelli Stark do Stefana Witkowskiego. Porady wobec złej sytuacji osobistej adresata, tj. skazania na wieloletni wyrok w zakładzie karnym	323
Nr 82. 1971 październik 29, Moskwa – List od Feliksa Kabakowa, moskiewskiego matematyka. Podziękowanie za otrzymane płyty. Refleksje na tematy muzyczne i wspólnego słuchania muzyki w małej, domowej grupie warszawskich przyjaciół.	326
Nr 83. 1972 grudzień 7, Warszawa – List Marcelego Starka do Feliksa Kabakowa. Dyskusja wokół książki Bohdana Pocięja. Refleksje na temat muzyki i religii. . .	328
Marcelli Stark we wspomnieniach	331
Indeks osób	347

WSTĘP

Wspomnienia Marcelego Starka to pierwszy głos Żyda polskiego ocalałego z rzezi II wojny światowej na ziemiach polskich, który pojawia się nakładem Instytutu Pamięci Narodowej¹. Został napisany przez urodzonego we Lwowie w roku 1908 matematyka polskiego, jednego z tych, którzy po 1945 r. odbudowywali i tworzyli środowisko matematyczne w ogołoconym z inteligencji kraju.

Nie była to postać przeciętna. Jako asystent katedry matematyki na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza, a po wojnie pracownik, najpierw Instytutu Matematycznego we Wrocławiu, potem Państwowego Instytutu Matematycznego PAN w Warszawie, dał się zapamiętać jako człowiek wielkiej kultury i inteligencji, świetny organizator, przez wiele lat współredaktor najważniejszych czasopism matematycznych w kraju². Był autorem kilku podręczników, na których wyrastali polscy i zagraniczni absolwenci matematyki³.

Dopóki żył, mało kto wiedział o jego wojennych doświadczeniach, o tragedii, która go dotknęła. Nie mówił o tym. Nie miał zwyczaju obciążania innych ciężarem swej pamięci. Przeciwnie, wspomnienia te na ogół trzeba było z niego wydobywać. „Rzadko kiedy wracam do przeszłości. Nie chcę” – pisał w jednym z listów do znajomej, Heleny Lapter, 20 kwietnia 1948 r.⁴ Wspomnienia, które napisał, nie powstały z myślą o publikacji. Był to raczej tekst pisany do szuflady, intymny, sporadycznie pokazywany tylko tym zaufanym osobom, co do których autor miał przekonanie, że są w stanie zrozumieć problemy w nim opisywane. Zrodził się z głębokiej potrzeby wewnętrznej, z konieczności ponownego przemyślenia i przeanalizowania nieludzkiego traktowania, któremu został poddany z powodu swego pochodzenia. Pisany na świeżo, kilka zaledwie miesięcy po zakończeniu działań wojennych, na przełomie 1945 i 1946 r.,

¹ Oprócz współfinansowanych przez IPN wspomnień Jafy Wallach *Gorzka wolność*, red. E. Rączy, Rzeszów 2012. Ponadto w roku 2010 IPN, we współpracy z Żydowskim Instytutem Historycznym oraz Gminą Wyznaniową Żydowską w Warszawie, w serii „Relacje i wspomnienia” opublikował *Wspomnienia żydowskiego działacza rzemieślniczego*, spisane przez Barucha Elimelecha Raka, w tłumaczeniu i opracowaniu Marcina Urynowicza.

² Środowisko matematyków polskich lat 1939–1945, nawiązując niekiedy do ich losów powojennych, opisała Małgorzata Przeniosło w książce *Matematycy polscy w dwudziestoleciu międzywojennym. Studium historyczne*, Kielce 2011. Z kolei środowisko matematyków lwowskich, z którego Marceli Stark się wywodził, opisał Roman Duda w książce *Lwowska Szkoła Matematyczna*, Wrocław 2007. Za zwrócenie uwagi na te publikacje dziękuję dr. Sławomirowi Kalbarczykowi (IPN) oraz dr. Adamowi Redzikowi (UKSW).

³ Były to m.in. *Geometria analityczna*, Warszawa 1958; *Geometria analityczna z wstępem do geometrii wielowymiarowej*, Warszawa 1974 oraz napisane wraz z Andrzejem Mostowskim *Elementy algebry wyższej*, Warszawa 1958; *Algebra wyższa*, 1966; *Algebra liniowa*, 1968. Marceli Stark był także współredaktorem francuskojęzycznej pracy, zatytułowanej *Oeuvres* (Warszawa 1978). Jej autorem był Juliusz Paweł Schauder (1899–1943) zamordowany w okresie okupacji. Pracę wydano pośmiertnie – zarówno po śmierci Schaudera, jak i Starka.

⁴ Zob. list nr 32 w tym wydaniu.

musiał stanowić dla autora formę autoterapii, służącą uporządkowaniu i oswojeniu koszmarnych wspomnień, wytłumaczeniu sobie przyczyn i konsekwencji tego, co się stało, a także zracjonalizowaniu tego, co niewytłumaczalne, co nosiło w sobie piętno szaleństwa, tego, co leżało u podstaw zbrodniczej polityki państwa niemieckiego wobec narodów europejskich i mordu popełnionego na ludności żydowskiej. Celem ostatecznym było pożegnanie się z przeszłością i akceptacja powojennej rzeczywistości oraz siebie samego po to, by nie zwariować, by móc normalnie funkcjonować, pracować i żyć. Także po śmierci Marceliego Starka w roku 1974 wspomnienia te, poza jednym rozdziałem, nie zostały udostępnione szerszej publiczności⁵. Wówczas, podobnie jak teraz, inicjatorem publikacji była grupa przyjaciół zmarłego, a w szczególności matematyk, prof. Andrzej Grzegorzczak⁶, oraz spadkobierczyni spuścizny autora, polonistka, Barbara Kryda⁷.

Okoliczności, w których prezentowany tekst powstawał, oraz często przez autora stosowana forma autoanalizy nadały treści niezwykle barwę i głębię. Dzięki tym ostatnim pamiętnik ten wyróżnia się nawet na tle wielu wstrząsających świadectw „epoki pieców”. Nie jest to bowiem „zwykłe”, jeśli tak można powiedzieć, oszczędne w słowach zdanie relacji z rzezi urządzonej przez Niemców ani też epatujący cierpieniem opis męczarni, przez które przechodzili skazani na śmierć niewinni cywile, w tym kobiety i dzieci. Tekst ten, prócz opisu wydarzeń, przynosi próbę zastanowienia się nad tym, co się stało. Są w tym elementy dialogu wewnętrznego na temat kondycji moralnej gatunku ludzkiego, a przede wszystkim refleksja nad własną postawą i zmianami, jakie dokonywały się w samym autorze pod wpływem wojennych przeżyć. Jest to rodzaj rozmowy, w której nie stroni się od trudnych tematów i w której jest miejsce na niewygodne pytania i wnioski. Autor nie ulega typowej w takich warunkach, zrozumiałej z przyczyn psychologicznych, pokusie dzielenia ludzi na dobrych i złych w zależności od pochodzenia czy wyznawanej religii. Cechy dobre i złe, empatia czy podłość nie są przypisywane narodowości, orientacji politycznej lub religii. Zwolennicy czarno-białego widzenia świata odłożą tę książkę z rozczarowaniem. Nie jest ona bowiem skargą ani aktem oskarżenia, a jej autor nie był przeciętnym, stereotypowo patrzącym na świat przedstawicielem takiej czy innej grupy. Przeciwnie, zaliczał się do tych indywidualności, które – niepodatne na siłę oportunizmu i nieszukające uznania – kroczą na ogół swoimi drogami i mają odwagę mówić własnym głosem, nawet wbrew temu, co sądzi ogół. Postacie tego rodzaju, stojąc ponad podziałami etnicznymi i religijnymi, wyróżniają się na tle każdej epoki.

W tym wypadku, prócz wybitnego intelektu i rzadkich cech osobowości (np. szlachetności charakteru), ważny był także fakt, że autor pochodził z rodziny żydowskiej zasymilowanej w kulturze polskiej, a dorastał w specyficznych warunkach wielokulturowości wschodnich ziem II Rzeczypospolitej. Dzięki splotowi takich czynników był on „człowiekiem pogranicza”, którego spośród innych żyjących na styku różnych kul-

⁵ „Więź” 1975, nr 3 (203), s. 52–69.

⁶ Andrzej Grzegorzczak (ur. 1922) – matematyk i filozof, autor podręcznika akademickiego *Zarys logiki matematycznej*, Warszawa 1961.

⁷ Barbara Kryda (ur. 1931 we Lwowie) – z wykształcenia polonistka, wieloletnia nauczycielka w XV LO im. Narceży Żmichowskiej w Warszawie, adiunkt na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka i redaktor kilku książek i wielu artykułów z zakresu historii literatury XVIII wieku i dydaktyki literatury. Wychowawczyni wielu wybitnych postaci, z których najbardziej znaną był Jacek Kaczmarski (1957–2004).

tur, religii i narodów wyróżnia umiejętność bycia krytycznym także wobec własnej grupy i samego siebie. W niezależnej postawie umacniały go dodatkowo silne przekonania lewicowe, które zrodziły się z obserwacji przedwojennych nierówności społecznych, biedy i stałego ubożenia mas, zwłaszcza polskich i żydowskich. Z tymi pierwszymi utożsamiał się ze względów patriotyczno-kulturowych, z drugimi – ze względów rodzinno-obyczajowych. Dlatego Polakom i Żydom, jako sobie najbliższym, przypisywał się najdokładniej i przykłady ich moralnego upadku bolały go najbardziej. Zawód, który na tym tle przeżył, to jeden z głównych wątków jego wspomnień. Powojenna próba poradzenia sobie z przeżytym szokiem, odzyskania wiary w człowieka i możliwość postępu nie do końca się powiodła. Pomimo powrotu do duchowej równowagi z traumą i wątpliwościami borykał się przez długi czas, być może do samego końca. Zmuszony był wciąż uciekać w to, co pozwalało mu zapominać o przeszłości, co zagłuszało wspomnienia. Dlatego prócz różnych zainteresowań poświęcał się bez reszty dwóm swoim największym pasjom, pracy i muzyce. Ta ostatnia dostarczała mu nie tylko głębokich przeżyć, lecz także dawała szansę wyjścia z kręgu samotności, pozwalała otoczyć się ludźmi o podobnej wrażliwości, przez chwilę poczuć wokół siebie zrozumienie i namiastkę rodziny, której tak bardzo potrzebował, a którą w całości wymordowano.

Podczas lektury opisanych przez niego epizodów uderza rzadko spotykany autentyzm, charakteryzujący na ogół tylko materiały powstałe jeszcze w trakcie wojny lub tuż po jej zakończeniu wojny. Przyczyną tego jest świeżość wspomnień oraz intensywność przeżyć towarzyszących aktowi wczesnego zapisu. Emocje z tym związane – ból psychiczny oraz wciąż jeszcze odczuwane dolegliwości ciała – nie mogą nie odcisnąć piętna na kształcie tekstu, nie mogą pozostać bez wpływu na myśli i opinie, ostrość sądów, których nie złagodził jeszcze czas. Także zapewne dzięki temu autorowi, jak mało komu, udało się uchwycić moment, ulotną chwilę trwania, egzystencji, życia, a może raczej – powolnego umierania, któremu byli poddani więźniowie niemieckich obozów pracy. Większość ofiar, tj. ci, którzy jakimś cudem przeżyli, przetrwali niemiecki plan eksterminacyjny, nie miała sposobności, okazji lub talentu, by móc jakkolwiek wyrazić to, co czuła w dłużących się chwilach codziennej męki, w minutach i godzinach katorgi, którą była zmuszona co dnia przeżywać na nowo. Jeśli w ogóle ludzie ci pozostawiali po sobie jakiś ślad pisany, to ograniczali się do skrótowego opisu, w którym konkretnym chwilom czy wydarzeniom poświęcali jedno lub kilka zdań. Tu jest inaczej. Piszący wyłącznie dla siebie autor nie dążył do syntezy, raczej skupił się na tych najbardziej traumatycznych doświadczeniach, z którymi najtrudniej mu było się pogodzić, które najbardziej zapadły w pamięć. Czytelnik – dzięki plastycznemu, niepozbawionemu sugestywności opisowi, jakby na filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie – ma możliwość przyjrzeć się z wielką dokładnością zarówno temu, co więzień niemieckiego obozu pracy obserwował na zewnątrz, jak i temu, co odczuwał wewnątrz.

Oboz robót przymusowych, w którym autor przebywał, nie był odosobnionym przypadkiem. Podobne mu pokrywały gęstą siecią okupowane ziemie polskie. Mimo to pozostają właściwie nieznane. W pamięci społecznej utrwaliło się kilka zaledwie nazw wielkich obozów koncentracyjnych, obozów zagłady, takich jak: Auschwitz, Majdanek, Bełżec, Treblinka, Chełmno nad Nerem czy Sobibór – o nich bowiem mówiono, pisano i nauczano. Setki innych, rozrzuconych w okresie II wojny światowej po całym

terytorium okupowanej Polski, różniących się od obozów zagłady tylko tym, że droga do eksterminacji w nich była rozłożona na większą liczbę etapów, że nazywano je inaczej, a przed zamordowaniem więźniów posyłano do niewolniczej pracy, pozostają nieznane⁸.

O tej właśnie grupie przypomina nam pamiętnik Marcellego Starka. Chodzi o obóz ulokowany w małej osadzie o nazwie Budzyń, położonej zaledwie kilka kilometrów od miasta Kraśnik, nieopodal Lublina. Wioska ta nie przetrwała do dziś, stała się częścią tzw. Nowego lub Fabrycznego Kraśnika, położonego około trzech kilometrów od centrum miasta (tzw. Stary Kraśnik). Miejsca po obiektach tego rodzaju, z wyjątkiem pasjonatów i osób zajmujących się historią czy upamiętnieniem miejsc o znaczeniu historycznym, nie są częstokroć znane nawet lokalnej ludności. Tak też jest w tym przypadku. Dzięki niniejszej książce możemy zatem zajrzeć w obszary mało jeszcze znane, mamy sposobność odkryć, odsłonić i pokazać to, co stanowi jeśli nie esencję naszej lokalnej historii, to przynajmniej jeden z jej najbardziej tragicznych odcinków. W szczególnie sposób powinno to budzić zainteresowanie tych, dla których są to miejsca rodzinne, którzy doskonale rejonu te znają i są w stanie stosunkowo szybko i z dużą dokładnością wskazać, gdzie opisywane wydarzenia miały lub mogły mieć miejsce. Bez wątpienia takie teksty, przez swą oryginalność oraz znaczenie dla lokalnej historii, winny znaleźć się w kanonie lektur uczniów nie tylko danej miejscowości, ale nawet okolicy. Dotyczą bowiem tego fragmentu polskiej historii lokalnej, który bardziej niż inne, jest zatopiony w dziejach świata i z nimi zintegrowany. O tym bowiem właśnie elemencie także polskiego doświadczenia historycznego, zwanego po niemiecku *Endlösung der Judenfrage*, po angielsku – *holocaust*, po hebrajsku – *szoa*, a w jidysz – *churban*, rozmawia się na całym świecie.

Czy nasi uczniowie do tej dyskusji winni przystępować jako wiedzący na ten temat najmniej? Czy od zagranicznych turystów, ludzi z innych krajów i kontynentów winni się dowiadywać o tym, co działo się w miejscu, gdzie żyją, gdzie się wychowali, o tym, co miało znaczenie także w życiu ich przodków, naocznych świadków, a zarazem ofiar niemieckiego barbarzyństwa? Z pewnością nie. Byłoby to tym bardziej nieuzasadnione, że ten stosunkowo niedługi pamiętnik, okazuje się najobszerniejszą relacją na temat obozu w Budzynie, która przetrwała w Polsce, a być może także na świecie⁹.

Nie można oczywiście wykluczyć (wręcz należy sobie tego życzyć), że gdzieś, kiedyś odnajdziemy tekst obfitszy, jeszcze bardziej szczegółowy i dokładniej opisujący obozową codzienność. Na razie jednak tak się nie stało i nic na to nie wskazuje. Nawet *Księga Pamięci*, którą pozostawili po sobie Żydzi pochodzący z pobliskiego Kraśnika, niewiele tak naprawdę o obozie mówi¹⁰. W sumie, po kilku tysiącach osób, ofiar obozu, pozostało zaledwie kilkadziesiąt rozproszonych po świecie kilkunastu relacji. Tych parę w po-

⁸ Ostateczna liczba niemieckich obozów pracy nie została jeszcze ustalona, wiadomo, że były ich setki. Tylko na terenie Generalnego Gubernatorstwa istniało ok. 800 takich obiektów, z czego większość, blisko 500, przeznaczono wyłącznie dla Żydów. Takie dane podaje Józef Marszałek w niedokończonym pracy habilitacyjnej *Obozy pracy w Generalnym Gubernatorstwie*, Lublin 1998 (za: W. Lenarczyk, *Obóz pracy przymusowej w Budzynie (1942–1944)* [w:] 3–4 listopada 1943. *Erntefest, zapomniany epizod Zagłady*, red. W. Lenarczyk, D. Libionka, Lublin 2009, s. 261–262, przypis nr 5).

⁹ Nie tylko w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie, ale także w Instytucie Yad Vashem nie ma, jak się wydaje, żadnej dłuższej relacji. Za pomoc w uzyskaniu dostępu do danych z Instytutu Yad Vashem pragnę podziękować panu Markowi Szrabermanowi.

¹⁰ Większość relacji obejmuje po kilka stron. Napisali je: Icchak Lamut, Szalom Gorn, Nisan Zalc, Zeew Friedheim, Daniel Freiberg; zob. *Jzkor-Buch Sefer Krasnik*, red. D. Sztokfisz, Tel-Aviv 1973.

śpiechu zapisanych kartek to często jedyny dowód czyjegoś życia i cierpienia. Z oczywistych względów opowieść o tym, co działo się w Budzynie, rzadko kiedy wypełnia całość lub choćby większość takich relacji. Zazwyczaj jest to niewielki tylko fragment, który podaje ogólnikowe informacje na temat charakteru obozu, wykonywanych prac i panujących warunków. Nie daje więc możliwości zrozumienia ogromu zła, któremu byli poddani więźni tam robotnicy przymusowi. Obóz pracy w takich relacjach staje się jedynie etapem na niezwykle trudnej, ale wiodącej ostatecznie do szczęśliwego końca drodze (co wynika z faktu, że tylko ci, którzy przeżyli, mieli możliwość pozostawienia świadectwa).

Czytelnik współczesny, który nie zna realiów okupacyjnych i któremu trudno wyobrazić sobie tamtą rzeczywistość, niewiele z takich relacji może się dowiedzieć. Pozostaje mu rola pasażera szybkiego pociągu – wśród zapadającego zmierzchu próbuje się przyjrzeć życiu ludzi w mijanych miejscowościach, a siłą rzeczy, dostrzec może jedynie nieliczne, wyróżnione szyldy, których treść nie w pełni do niego dociera. Przykładem może być zapis sporządzony na podstawie relacji dziewiętnastoletniego Maksa Auerbacha, który w 1945 r. w Krakowie zeznawał przed Żydowską Komisją Historyczną następująco: „W Budzynie byli lekarze, nie mógł tam być sanitariuszem, kurs ślusarski-mechaniczny. Uczyli pejczami. Strzelali. SS Feix¹¹, sadysta z uśmiechem strzelał. Chodził na inspekcję baraków. Zobaczył chorego w baraku, kazał go żywcem spalić na placu. Jego adiutant, Otto¹², Ukraińiec rozbijał dzieciom głowy siekierą. Feix, gdy jechał na koniu, miał łąso, zarzucił mu na głowę, zadusił. Zbój. Kiedy chodzili z lagru do warsztatu, zdarzało się, że ludzie uciekali. Jeśli jeden uciekł, dziesięciu ginęło. Raz przyszła kolej na brata. Prosił go także lekarz Musach¹³. Chłopak schował się pod prycę. Przyprowadzili chłopca. Zranił się i wtedy puścili go. Uratowany.



Jehoszua Hochrod jako więzień KL Majdanek, podobozu w Budzynie, 1944 r.

Księga Pamięci Krasnika [Jezor-Buch Sefer Krasnik], red. D. Szokfisz, Tel-Aviv 1973

¹¹ Reinhold Feix (1909 – ok. 1965[?]) – Niemiec sudecki, ur. najprawdopodobniej w Neudorf bei Gablonz. Wiadomo o nim bardzo niewiele. Członek SS w randze Oberscharführer. Kiedy pełnił funkcję komendanta, miał żonę o imieniu Lisolette oraz dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. W oryginale powyższego cytatu, podobnie jak w prawie wszystkich materiałach źródłowych, podano niewłaściwy zapis nazwiska „Feigs”, co wynikało z faktu, że znano je tylko z brzmienia. Niniejszym wyrażam podziękowanie za udzielone informacje pracownikom Zentrale Stelle der Landesjustizverwaltungen zur Aufklärung nationalsozialistischer Verbrechen w Ludwigsburgu.

¹² N.N.

¹³ Brak bliższych danych.

Tam był do maja 1944 roku. Stałe selekcje, strzelano. Spuchnięci z głodu. Łupiny jedli. Dostali koszulę raz na 9 mies[ięcy]. To się nazywał SS *Arbeitslager*¹⁴15.

Przykładów takich jest wiele. W powojennym nadmiarze ludzkich tragedii nie było miejsca i czasu na snucie długich opowieści. Wolf Danziger z Hrubieszowa, schwytany przez (polską) straż wiejską, gdy próbował ukryć się po tzw. aryjskiej stronie, został osadzony najpierw w więzieniu w rodzinnym mieście, a następnie trafił do obozów w Mielcu, Flossenburgu, Leitneritz, Augsburgu, Leonbergu, Kaufering i Ganaker. Cała jego historia została spisana – dosłownie – na czterech stronach. Obozowi w Budzynie poświęcono „aż” jeden, krótki zresztą, akapit: „W Budzynie głód, a ja bez grosza. Patrzałem, jak inni jedzą – nikt mi nie pomógł. Byłem w komandzie z dwunastu muzułmanami¹⁶. Ja jeden zdrow. Pracowaliśmy w transporcie przy ładowaniu skrzyń piwa. Czterech muzułmanów dźwigało cztery skrzynie, ja sam nosiłem dwie skrzynki. Za to Obersch¹⁷ dawał mi dwa obiady. W barakach nie było prycz, słomy, koców. Planowaliśmy ucieczkę. Zrobiliśmy podkop na 20 m, przeciągnęliśmy światło. Byli z nami chłopcy w wieku od 12 do 15 lat i ci donieśli komendantowi żydowskiemu, który nas ostrzegł przed Niemcami”¹⁸.

Jeszcze mniej uwagi obozowi w Budzynie poświęciła Róża Mitelman, która dzieje swej wojennej, pięcioletniej tragedii zrelacjonowała na zaledwie pięciu stronach. W jej relacji, jak w przytoczonych powyżej, zostały przekazane czytelnikowi tylko główne hasła sygnalizujące to, co przeżyła, nieoddające grozy codzienności: „Obóz w Budzynie był okropny. Feix¹⁹ znęcał się nad nami nieludzko. Strzelali nas Ukraińcy, którzy się nad nami nieludzko znęcali. Było 3000 mężczyzn i 300 kobiet. Cierpieliśmy okropnie z powodu głodu, braku wody. Panował tyfus. Feix tyfuśników strzelał. Po kilku miesiącach przenieśli nas do obozu konc[entracyjnego] *Barackenbau*²⁰. Tam przebrali nas w pasiaki. Komendantem był Franz SS Oberscharführer²¹ – niski blondyn, tęg, rzeźnik z zawodu. Stamtąd wywieźli nas do Wieliczki, gdyż Czerwona Armia następowała Niemcom na pięty”²². Dla innych, w porównaniu z resztą okropieństw, których doświadczyli, Budzyn był tak nieznanym epizodem, że ledwie o nim wspominali. Przykładem może być Bronisław Mirski (Frydman), który dopiero na sam koniec swego kilkustronicowego sprawozdania z wojennych doświadczeń zapisał wspomnienie: „[...] zatrzymano nas przez kilka dni w obozie na Lipowej²³, potem przyjechał Lagerführer²⁴ z Budzyna, Feix²⁵ i zażądał metalowców. Metalowcy w liczbie ok. 600 osób, sami mężczyźni, zostali odprowadzeni do Budzyna [...]”²⁶.

Relacji, które w całości lub w przeważającej części są poświęcone pobytowi w Budzynie, jest zaledwie kilka. Nie odzwierciedlają one jednak pełnego obrazu obozowej

¹⁴ *Arbeitslager* (niem.) – obóz pracy.

¹⁵ AŻIH (Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego), 301/177, Relacja Maksa Auerbacha, Kraków 1945, s. 10.

¹⁶ Muzułmanami, w slangu obozowym, zwano osoby najbiedniejsze, chore i o największym stopniu wycieńczenia organizmu, które miały najmniejsze szanse na przeżycie.

¹⁷ N.N.

¹⁸ AŻIH, 301/1337, Relacja Wolfa Danziger, Kraków 1945(?), s. 9.

¹⁹ W oryginale „Feiks”. Zob. przypis nr 11.

²⁰ *Barackenbau* (niem.) – budowa baraków.

²¹ N.N.

²² AŻIH, 301/1514, Relacja Rozy Mitelman, Lublin 1945 [w oryginale mylnie 1943], s. 6.

²³ Był to obóz w Lublinie.

²⁴ *Lagerführer* (niem.) – dowódca obozu.

²⁵ W oryginale „Veigs”. Zob. przypis nr 11.

²⁶ AŻIH, 301/5006, Relacja Bronisława Mirskiego, Warszawa 1951, s. 8.

rzeczywistości, o ile jego naszkicowanie w ogóle jest możliwe. Cóż bowiem można przekazać na jednej stronie lub kilku?²⁷ Z każdej takiej historii wyciągnąć można po tylko parę szczegółów dotyczących funkcjonowania obozu i systemu represji stosowanych wobec więźniów. Można do nich zaliczyć: 1) poszczególne przypadki okrutnych mordów, które najgłębiej wbiły się w pamięć autorów relacji, postacie ofiar (najczęściej anonimowych) oraz oprawców; 2) czasowy schemat zajęć, regulujący czynności wykonywane przez więźniów oraz stan liczebny wraz z niepotwierdzonymi wiadomościami na temat przybywających i odchodzących transportów więźniów; 3) system zaopatrzenia, a właściwie jego brak, oraz warunki sanitarne.

Nie są to jednak pełne opisy, raczej okruciny, z których można próbować odtwarzać całość. Do wyjątków można zaliczyć dwie obszernie relacje, Samuela Zylbersztajna²⁸ i Daniela Freiberga²⁹. Lepiej na tym tle wyglądają również opublikowane wspomnienia osób, które były w Budzynie i poświęciły nieco uwagi wydarzeniom, których tam były świadkami. Pierwszą taką osobą był Henry Orenstein, znany po wojnie przedsiębiorca i pokerzysta amerykański³⁰. Drugą – nieznaną z nazwiska mężczyznę, ukrywający się pod pseudonimem Aleks, o którym wiadomo tylko tyle, że w czasie wojny był nastolatkiem, a następnie, podobnie jak Henry Orenstein, wyemigrował do USA³¹. Starali się oni możliwie szczegółowo przekazać swą wiedzę na temat funkcjonowania obozu, nie potrafili jednak tak jak Marceli Stark oddać tego, co oprócz szczegółów natury techniczno-administracyjnej, wydaje się najważniejsze, tzn. wewnętrznego świata jednostki wrzuconej przemocą w realia obozu koncentracyjnego, odczuć i emocji, których doświadczała w zetknięciu z terrorem, nieludzkimi warunkami i poczuciem beznadziejności wobec utraty wszystkiego, co najbliższe – rodziny, środowiska, własności prywatnej – oraz wszechogarniającej śmierci i wizji bliskiego końca. To ostatnie właśnie najpełniej i najwierniej zostało odzwierciedlone we wspomnieniach Marcelego Starka.

Słabej bazie źródłowej odpowiada równie uboga literatura naukowa. Historiografia polska może się dotychczas pochwalić zaledwie dwoma artykułami, z których pierwszy powstał w roku 1971, czyli 26 lat po zakończeniu wojny, a na drugi trzeba było czekać kolejnych 38 lat, aż do roku 2009. W obu przypadkach, jak się wydaje, zainteresowanie Budzynie zrodziło się dopiero w wyniku badań nad znanym powszechnie, zarówno w kraju jak i zagranicą, obozem koncentracyjnym na Majdanku (Lublin), któremu Budzyna został podporządkowany na początku 1944 r.³² Nie jest to najgorszy wynik, uwzględniając fakt, że bogata niemiecka literatura naukowa zdobyła się tylko na jedno opracowanie, a i to – nie tyle o samym obozie i jego ofiarach, ile raczej o niemieckiej fabryce, w której więźniowie byli zatrudniani³³. Nie lepiej rzecz się ma w naukowej literaturze izraelskiej³⁴.

²⁷ Np. relacja Michała Goldberga, zob. AŻIH, 301/5383, Warszawa 1945, s. 1–2.

²⁸ „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 1968, s. 53–104 (część dotycząca Budzyna na s. 58–74).

²⁹ Księga Pamięci Krasnika [Jzkor-Buch Sefer Krasnik], red. D. Sztokfisz, Tel-Aviv 1973, s. 233–292.

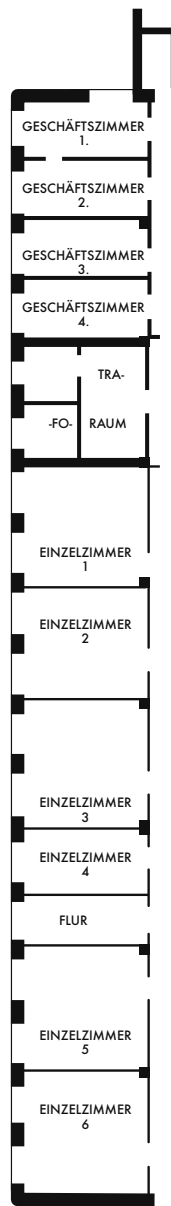
³⁰ H. Orenstein, *I shall live. Surviving against all odds, 1939–1945*, New York 1987, s. 272.

³¹ Historię Aleksa spisała Joanna Wiszniewicz w książce *A jednak czasem mówię sny. Historia pewnej samotności*, Wołowiec 2009. Zob. s. 160, przypis nr 8.

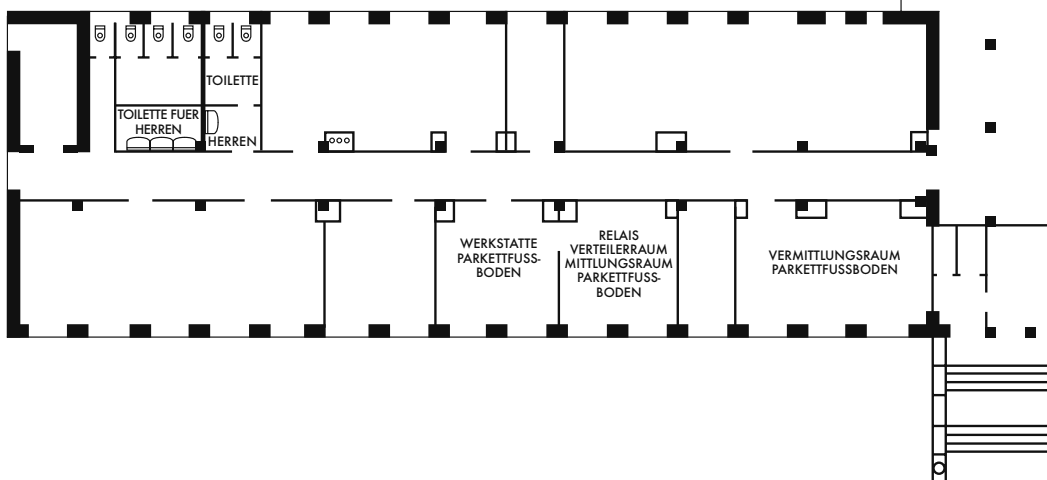
³² B. Wróblewski, *Obóz w Budzynie*, „Zeszyty Majdanka” 1971, t. 5, s. 180–189 oraz W. Lenarczyk, *Obóz pracy przymusowej w Budzynie...* [w:] 3–4 listopada 1943. *Erntefest...*, s. 261–286.

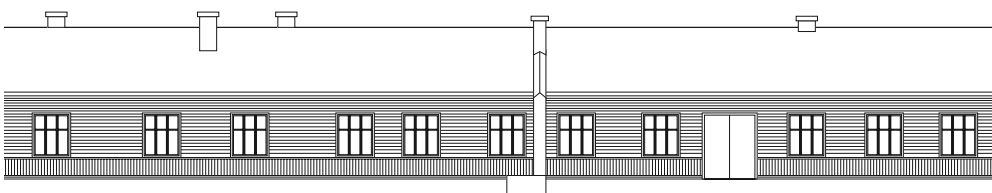
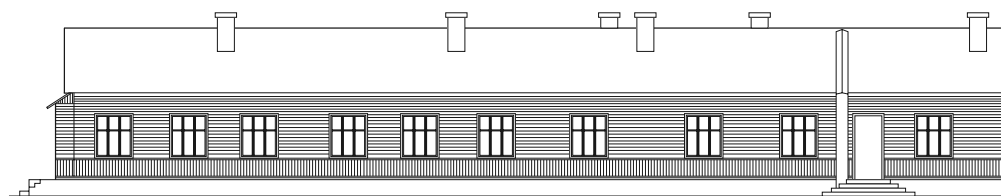
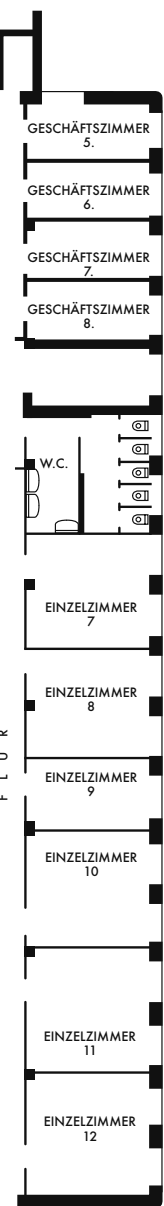
³³ L. Budraß, *Das Heinkel-Werk in Budzyn 1942–1944*, „Jahrbuch für Wirtschaftsgeschichte” 2004, nr 1, s. 41–64, za: W. Lenarczyk, *Obóz pracy przymusowej w Budzynie...* [w:] 3–4 listopada 1943. *Erntefest...*, s. 261.

³⁴ Sprawa obozu, wedle ustaleń Wojciecha Lenarczyka, pojawia się tylko w pracy doktorskiej Davida Silberklanga *The Holocaust in the Lublin District* (zob. W. Lenarczyk, *Obóz pracy...*, s. 261).

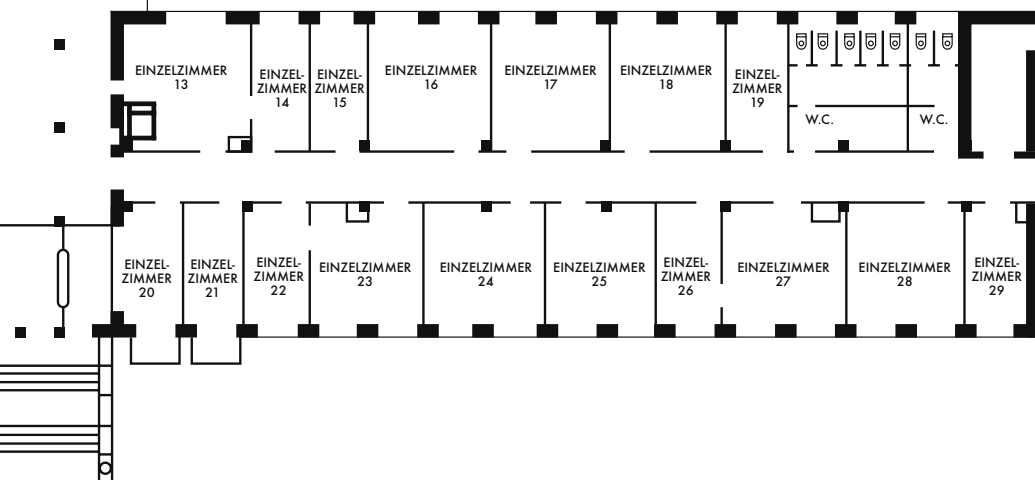


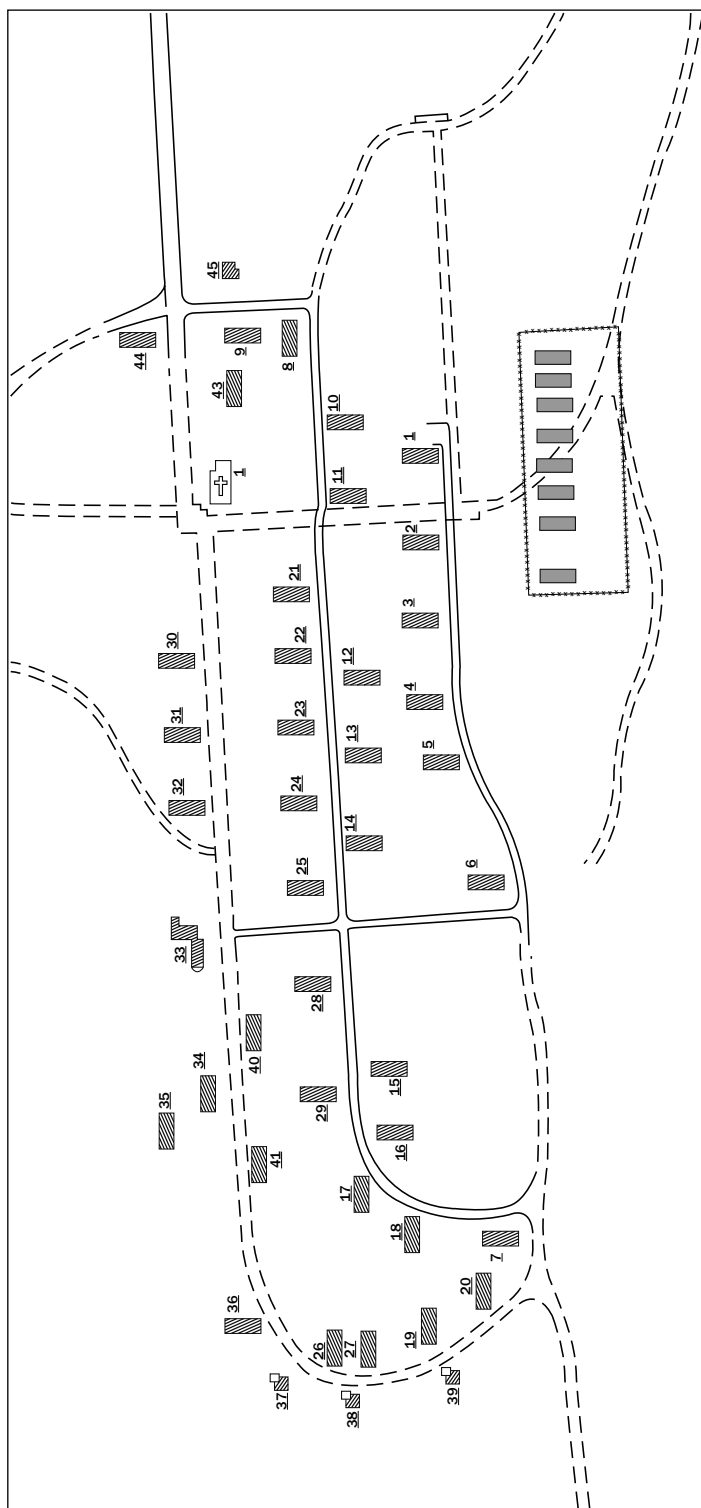
Przykładowe plany niektórych zabudowań
biurowych przy fabryce w Budzynie (szkic
na podstawie skanu z Archiwum Państwowego
w Lublinie – Oddział w Kraśniku)





F L U K





Plan osiedla fabrycznego w Budzynie, tzw. Siedlung-Budzyn. Dziś część miasta. Kraśnik, tzw. Kraśnik Fabryczny. Poniżej budynku nr 1 widnieje ogrodzony teren obozu, gdzie przetrzymywani byli więźniowie. Z czasem baraki więzienne powstawały także w innych miejscach, bliżej fabryki położonej w lesie (szkic na podstawie skanu z Archiwum Państwowego w Lublinie – Oddział w Kraśniku)

Z prac tych wyłania się ogólny zarys genezy, funkcjonowania i likwidacji tej placówki. U podstaw jej powstania leżały: z jednej strony, alianckie bombardowania III Rzeszy i zniszczenia, których dokonały one w przemyśle lotniczym, a szczególnie w fabrykach należących do Ernsta Heinkela³⁵, co nakazywało szukać dla produkcji bezpieczniejszych miejsc na wschodzie, poza granicami III Rzeszy; z drugiej zaś, pierwsze niepowodzenia w wojnie z sowiecką Rosją, które pozbawiały złudzeń co do szybkiego zagarnięcia terenów wschodnich i raczej skłaniały do wybrania lokalizacji na ziemiach polskich. Ostatecznie zdecydowano się na Budzyn w Generalnym Gubernatorstwie, gdzie istniała przed wojną, skryta w lesie, polska fabryka produkcji zbrojeniowej i można było wykorzystać pozostałą po niej infrastrukturę.

Obok przyfabrycznego osiedla, w którym można było umieścić niezbędnych do nadzoru specjalistów niemieckich, oraz baraków zbudowanych pierwotnie dla szykujących się na Wschód żołnierzy wermachtu, w których mogli zamieszkać niezbędni polscy robotnicy cywilni, powstał rozrzucony w terenie, zajmujący w sumie ponad dwa hektary obóz pracy przymusowej dla Żydów. Początkowo składał się z ośmiu baraków o wymiarach 50 na 15 m, z czego siedem służyło jako budynki mieszkalne, a jeden jako kuchnia obozowa. Drutem kolczastym otoczono nie tylko całość obozu, ale też dodatkowo teren, na którym stały baraki dla więźniów. Ponadto ustawiono cztery wieże kontrolne. Nadzór, prócz kilkunastoosobowej załogi niemieckiej, sprawowali schwytani w niewolę i zwerbowani do współpracy żołnierze Armii Czerwonej, na ogół narodowości ukraińskiej, zwani przez więźniów od koloru mundurów „czarnymi”, którzy do pełnienia nowych funkcji zostali przygotowani przez Niemców w obozie szkoleniowym SS w Trawnikach (dlatego w terminologii niemieckiej znani byli jako *Trawniki-Männer*). Mieszkali oni poza obozem, nieopodal bramy wejściowej. W sumie było to kilkadziesiąt (w maju 1944 r. – 74) osób. Niemiecki komendant zajmował mieszkanie poza terenem właściwym obozu, w jednym z budynków położonego nieopodal osiedla.

Photo Archive Yad Vashem, 4577/99



Budynek, w którym prawdopodobnie mieszkali członkowie SS, m.in. komendant obozu Reinhold Feix, zob. fotografia górna na s. 43



Reuters Janis – jeden z wartowników, należących do formacji pomocniczej, „czarnych”

Photo Archive Yad Vashem, 5318/69

³⁵ Ernst Heinrich Heinkel (1888–1958) – konstruktor lotniczy i przedsiębiorca, właściciel firmy Ernst Heinkel Flugzeugwerke produkującej samoloty. Współpracował z władzami III Rzeszy.

Ponieważ aż do początków 1944 roku obóz ten podlegał SS, jego formalnym zwierzchnikiem był naczelny dowódca policji i SS w dystrykcie lubelskim³⁶. Mając pełnię władzy, mianował i odwoływał komendantów. Pierwszym komendantem, i zarazem organizatorem obozu, mianowano SS-Unterscharführera Ottona Hantkego. Wybór był podyktowany zapewne tym, że Hantke nadzorował likwidację getta w Kraśniku i mógł niezwłocznie na miejscu dokonać selekcji robotników potrzebnych do pracy w obozie. Miało to miejsce we wrześniu 1942 r. Jego pomocnikiem był SS-Scharführer Adolf Gross. W grudniu 1942 r. zastąpił Hantkego, wyżej stojący od niego rangą, Reinhold Feix, uprzednio pracownik obozu w Trawnikach i obozu zagłady w Bełżcu, który sprawował tę funkcję do sierpnia 1943 r. Dał się zapamiętać jako najkrwawszy ze wszystkich komendantów. Nie przypadkiem pozostaje głównym czarnym charakterem prezentowanych tutaj wspomnień. Do jego najbliższych współpracowników należeli m.in. SS-Oberscharführer Heinrich Stosik, SS-Unterscharführer Willi Heitmayer oraz SS-Rottenführer Ernest Teufel. Ten ostatni kierował wartownikami z oddziałów pomocniczych. Potem komendanci zmieniali się jeszcze kilkakrotnie. Byli to m.in. Werner Mohr, Arthur Axmann, Fritz Tauscher oraz bliżej nieznany Franz, od którego w lutym 1944 r. obóz przejęła administracja obozu w Majdanku. Wówczas komendantem mianowano SS-Obersturmführera Josefa Leipolda, który do tego czasu pełnił służbę w obozie koncentracyjnym w Mauthausen.



N.N. członkowie załogi SS w Budzynie (Photo Archive Yad Vashem, 4577/102)

Dla łatwiejszego zarządzania obozem Niemcy postawili na jego czele żydowskiego nadzorcę, tzw. starszego obozu (*Lagerältester*), *de facto* występującego w roli zakładnika, odpowiedzialnego za wykonywanie wszystkich poleceń. Była to technika stosowana we wszystkich prawie gettach i obozach. Dawała Niemcom pretekst do wskazywania na istnienie czegoś w rodzaju „samorządu” żydowskiego pod niemieckim zwierzchnictwem, a zarazem do zaprzeczania eksterminacji ludności żydowskiej. Pierwszym takim nadzorcą w Budzynie był Juliusz Gelbart. Po jego ucieczce w grudniu 1942 r. objął tę funkcję Noah³⁷ Sztokman, który dał się zapamiętać jako postać niezwykle przyzwoita, nie tylko zawsze stająca w obronie więźniów przed Niemcami, ale też wyjątkowo sprawiedliwa podczas sporów pomiędzy więźniami.

W Budzynie pracowało jednorazowo do 3 tys. robotników. Początkowo było to blisko 300 jeńców wojska polskiego pochodzenia żydowskiego. Następnie dołączyli do nich

³⁶ Początkowo Odilo Globocnik (1904–1945), a następnie Jakub Sporrenberg (1909–1952).

³⁷ Znany też pod imieniem Mosze. Być może jedno z nich było przydomkiem. Marcelli Stark zapisywał jego nazwisko w sposób zniemczony: „Stockmann” – w tekście pozostawiono pisownię oryginalną (zob. s. 109).

wyselekcjonowani mieszkańcy okolicznych gett i obozów. Pod koniec 1942 r. liczba więźniów sięgnęła ok. 1500. W roku 1943 sprowadzano więźniów z najróżniejszych terenów, m.in. z Niemiec. W kwietniu 1943 r. przywieziono 807 osób z getta warszawskiego. W tym właśnie transporcie przybył m.in. autor niniejszych wspomnień, Marcelli Stark. Potem liczba więźniów spadała. W chwili ostatecznej likwidacji, w lipcu 1944 r., było ich tylko 450.

Warunki bytowe i sposób traktowania więźniów miały na celu fizyczną eksterminację. Na ogół jedynym pożywieniem była czarna kawa, ok. 200 gramów chleba i raz lub dwa razy dziennie pół litra wodnistej, bezwartościowej zupy. W rezultacie na porządku dziennym były opuchlizna głodowa oraz zgony. Ochroną przed warunkami atmosferycznymi była jedynie ta odzież, z którą przybywano do obozu. Służyła ona zarówno w dzień, jak i w nocy. Malowano na niej czerwoną farbą krzyże, co służyło identyfikacji na wypadek próby ucieczki. Kto nie miał obuwia, tak jak autor wspomnień, musiał bez względu na pogodę boso



Photo Archive Yad Vashem, 3883/3649

Noah Mosze Sztokman, żydowski „starszy obozu”, najprawdopodobniej z córką



Powojenny widok jednego z baraków, w którym mieszkali więźniowie. W tle zabudowa osiedla fabrycznego w Budzyniu (Photo Archive Yad Vashem, 4577/101)



Powojenny widok jednego z baraków, w którym mieszkali więźniowie. Prawdopodobnie postawiono go na miejscu innego, wcześniejszego budynku (Photo Archive Yad Vashem, 4577/100)

dotrzymywać kroku wszystkim maszerującym. Szerzenie się infekcji i chorób wzmagaly także pseudokąpiele, na ogół zarządzane w nocy, czym dodatkowo osłabiano więźniów zmuszonych niejednokrotnie do całonocnego czekania na dziedzińcu apelowym na swoją kolej i ruszających nad ranem, bez chwili snu, znów do pracy. Zachorowania zwiększała także ciasnota w barakach noclegowych, gdzie na przestrzeni ok. 50 na 15 metrów musiało się pomieścić kilkaset osób, śpiących na dwuosobowych pryczach. Pobudka następowała ok. 4–5 rano, tak by o 6 więźniowie stawiali się już w fabryce oddalonej o blisko 3 km od obozu. Konwojowali ich wspomniani wyżej „czarni”. Pod bramą fabryki przejmowała więźniów straż fabryczna, tzw. werkschutze. Pod nadzorem majstrów niemieckich lub wyznaczanych kapo pracowano tam prawie 12 godzin, po czym następował powrót ponownie pod nadzorem „czarnych”, którzy pod drodze bili i zmuszali do śpiewu. Od stosowanej przez nich przemocy więźniowie nie byli wolni także w obozie,

gdzie ci poruszali się swobodnie, poszukując ofiar, od których chcieli wymusić okup. Nierzadko dochodziło do mordów. Szczególnie jeśli do obozu przybywał któryś z Niemców, na ogół komendant, szukający pretekstu, by kogoś zabić lub przynajmniej dotkliwie pobić.

Najtrudniejszy był los osób starszych, którym udało się przejść przez sito selekcji, a które jako „nieprzydatne” do pracy były wyjątkowo źle traktowane przez Niemców i bez wyjątku, o ile zostały dostrzeżone, mordowane. Taki m.in. był koniec znanego w Warszawie lekarza, dr. Puppkego, poważanego przez Żydów ortodoksyjnych, którzy mieli do niego zaufanie, oraz przez biedotę, którą nie tylko chętnie leczył bezpłatnie, lecz także wspierał finansowo przy zakupie zalecanych lekarstw³⁸. Prócz niego było tam jeszcze wiele znanych osób w różnym wieku, które odgrywały jakąś rolę w żydowskim życiu społeczno-politycznym. Byli to m.in.: matematyk Karol Lindner, biolog dr Chaim Zelmanowski, rabin i działacz syjonistyczny Eliezer (Aleksander) Lipa Bloch czy jeden z liderów Żydowskiego Związku Wojskowego, Dawid Wdowiński³⁹. Wspomniany Bloch miał się zaliczać do piętnastoosobowej grupy, głównie rabinów, która zrezygnowała z szansy ocalenia ofiarowanego im przez działaczy „Żegoty”⁴⁰, ponieważ nie można było ocalić wszystkich⁴¹.

Przeżycia Marcelego Starka, choć drastyczne, niewiele różniły się od doświadczenia innych współwięźniów. Nie ma podstaw, by sądzić, że inni mniej odczuwali nieszczęście, które na nich spadło, że byli bardziej odporni na trudy, których doświadczali, mniej wrażliwi, mniej odczuwający. Wnioskować to można chociażby z faktu, że on jednak przetrwał, podczas gdy tylu innych załamało się w obliczu cierpień fizycznych i psychicznych, którym zostali poddani. Można przyjąć, że autor w swych zapiskach przekazał nam to, czego doświadczał przeciętny więzień w osobistej tragedii. Wszystkich przyniatał bowiem ten sam ciężar, to samo poddanie nieludzkiemu traktowaniu i wszyscy stawali wobec tej samej perspektywy rychłego końca. Jednostki mogły przybierać inne, nawet krańcowo różne strategie przetrwania, inaczej – w zależności od sił i doświadczenia – reagować na sygnały wysyłane przez instynkt samozachowawczy, ale tragedia osobista każdej z nich była podobna, bo zgotowano im podobny los.

Stark, dzięki żmudnej i precyzyjnej analizie własnych emocji, które wciąż świeżo tkwiły w nim tuż po uwolnieniu i powrocie do kraju, nie tylko przywrócił nam to, czego nie mogli przekazać autorzy krótkich relacji – pamięć o tym konkretnym, jednym z wielu na ziemiach polskich, hitlerowskim obozie pracy, ale także stał się głosem i wyrazicielem emocji wszystkich jego ofiar. Dlatego świadectwo Marcelego Starka, choć pod wieloma względami niezwykle, nie jest tym, co wyróżnia go z tłumu, nie jest dowodem szczególnej wrażliwości, ale raczej tym, co stawia go na równi z innymi skazanymi na śmierć. Po-

³⁸ Nazwisko pisane także w wersji spolszczonej jako „Popko”. Wspominają o nim m.in. autor relacji: Michał Golbberg, AŻIH, 301/5383, zob. przypis nr 27. Dr. Puppkego wspominał także autor powojennych reportaży z Polski, Mordechaj Canin w rozdziale poświęconym Warszawie, zob. *idem, Iber sztajn un sztok. A rajze iber hundred chorev gevorene shtetl*, Tel-Aviv 1952, s. 7–13.

³⁹ Dawid Wdowiński (1895–1970) przeszedł do historii jako jeden z przywódców Żydowskiego Związku Wojskowego. Z wykształcenia lekarz psychiatra.

⁴⁰ Rada Pomocy Żydom „Żegota” – funkcjonująca od grudnia 1942 r. (pod auspicjami Polskiego Państwa Podziemnego) organizacja skupiająca partie polskie (prócz narodowców, którzy odmówili udziału, oraz komunistów, których do składu nie dopuszczono) i żydowskie. Jej celem była pomoc eksterminowanym Żydom. Zdołano pomóc niewielkiej tylko liczbie potrzebujących. W Warszawie opieką objęto ok. 12 tys. osób.

⁴¹ A. Skibińska, *1943: z warszawskiego getta do obozów na Lubelszczyźnie w relacjach żydowskich* [w:] 3–4 listopada 1943. *Erntefest...*, s. 168.

twierdzącą to wspomnienia z innych miejsc kaźni, pisane nie tylko przez Żydów, ale także przez Polaków, więzionych i dręczonych za to tylko, że w oczach Niemców stanowili zagrożenie dla „ładu”, który zaprowadziła III Rzesza na okupowanych ziemiach polskich.

Osobista tragedia Marceliego Starka rozpoczęła się wraz z wybuchem wojny pomiędzy III Rzeszą a sowiecką Rosją latem 1941 r. Do tego momentu wiódł stosunkowo – jak na czasy wojenne – normalne życie. Okres sowieckiej okupacji ziem polskich nie był dla niego szczególnie dotkliwy. Przeciwnie – wiele wskazuje na to, że jako przedwojenny komunista wejście Armii Czerwonej do rodzinnego Lwowa przyjął z westchnieniem ulgi. Rządy sowieckie były wówczas jedyną kontrpropozycją dla skrajnie antysemitycznej polityki władz niemieckich. Oznaczały ponadto zakończenie prześladowań, którym w II Rzeczypospolitej był poddany zdelegalizowany ruch komunistyczny. Sprzyjały też ukróceniu antysemityzmu jako oficjalnego czynnika w życiu gospodarczym, politycznym i kulturalno-społecznym. Te ugrupowania funkcjonujące w społeczeństwie polskim, które z nacjonalizmu, ksenofobii i nienawiści do Żydów uczyniły główny nurt swej działalności, w naturalny sposób, poddane represjom z powodu swej antysowieckiej postawy, zeszyły do podziemia. Podobnie zostali zmuszeni do zamilknięcia nacjonaliści ukraińscy, kierującymi swą nienawiść przeciw Żydom i Polakom.

Dotychczasowy los komunisty, naukowca pozbawionego z powodu kryzysu i swe go pochodzenia, a także z racji swych przekonań możliwości normalnego zarobkowania, miał szansę się odmienić. I tak się stało. Zwolniony w roku 1935 z pracy na uniwersytecie i utrzymujący się do roku 1939 jedynie z korepetycji, Stark po zainstalowaniu się władzy sowieckiej ponownie otrzymał posadę. Była to nagroda za wyrażane poglądy i przyjętą postawę. Dowodzi tego napisany w roku 1950 życiorys, z którego jasno wynika, że Marceli Stark poparł dokonywane się zmiany, został nawet aktywistą przy organizowaniu związku zawodowego nauczycielstwa szkół średnich, a następnie, po otrzymaniu posady, był agitatorom komunistycznym wśród pracowników uniwersyteckich⁴². Jego życiowe wybory dokonywane po 1945 r. świadczą jednak o tym, że nie miało to nic wspólnego z państwową czy narodową zdradą, a jedynie przemianami ustrojowo-politycznymi, w których konieczność – jak wielu innych – uwierzył.

Wszystko to skończyło się 22 czerwca 1941 r. wraz z wybuchem wojny pomiędzy III Rzeszą a sowiecką Rosją. Początkowo prześladowania, które go spotykały, miały charakter ogólny. Represje wymierzone były w ogół lwowskiego społeczeństwa żydowskiego, liczącego około 160 tys. osób. Pierwsze rozporządzenia dotyczyły oznakowania ludzi, domów, własności, grabieży mienia, zakazów korzystania ze środków transportu. Były to te wszystkie środki eksterminacji pośredniej, które władze III Rzeszy stosowały skutecznie od dwóch lat na centralnych ziemiach polskich, stanowiących swoisty poligon doświadczalny praktyk ludobójczych na masową skalę.

Już w pierwszych dniach po wejściu Niemców Stark przeżył wstrząs na widok pogromu urządzonego przez nowe władze rękoma ukraińskich nacjonalistów. Skala tego wydarzenia – kilka tysięcy ofiar bitych i mordowanych w biały dzień na ulicach miasta – wywołała szok, na który nie mogły go przygotować ani brutalne działania

⁴² Zob. „Życiorys własny autora wspomnień”, s. 69–71. Należy jednak pamiętać, że życiorys ten ze względu na czas i okoliczności, w których powstawał, jest zarazem „dokumentem epoki”, zapewne nie do końca odzwierciedlającym prawdziwe myśli i opinie autora.

przedstawicieli władz polskich w okresie przedwojennym, ani mord na więźniach zakładu karnego NKWD we Lwowie (tzw. Brygidki)⁴³. Zapoczątkowało to proces ludobójstwa, któremu Żydzi lwowscy zostali poddani w okresie II wojny światowej. Wypędzony wraz z rodzicami i rodzeństwem z własnego mieszkania przy ul. Kleparowskiej 5, został zmuszony do zamieszkania w getcie na obrzeżach miasta, w małej, nędznej chatce. Postępująca degradacja społeczna i ekonomiczna w szybkim czasie zamieniła się w realne i bliskie zagrożenie utratą życia, w codzienną walkę o przetrwanie, czego pierwszym warunkiem było zdobycie minimum pożywienia i uniknięcie ciosu, po którym można już nie powstać⁴⁴.

Od początku okupacji Marceli Stark został też zmuszony do niewolniczej pracy w ramach „przymusu wychowawczego” stosowanego przez Niemców wobec ogółu ludności żydowskiej⁴⁵. Jak wspominał, początkowo było to „tłuczenie kamieni” na ulicach Lwowa, następnie załadunek samolotów na lokalnym lotnisku w Skniłowie. Najdłużej w tym okresie, jak można domniemywać, trwała jego praca w trzecim, kolejnym już miejscu prześladowań, tj. w działającym we Lwowie obozie koncentracyjnym, tzw. obozie janowskim (zwanym tak od ul. Janowskiej, przy której mieściła się przedwojenna fabryka przejęta przez Niemców na zakłady zbrojeniowe). Tam – wyczerpany fizycznie, niedożywiony i stale bity – latem nosił szyny, a zimą rąbał stwardniałą na kamień ziemię.

Taka sytuacja, pogarszająca się stale pod względem bytowym, trwała do lata 1942 r., gdy w sierpniu rozpoczęła się „Wielka Akcja” deportacyjna, w której ramach około 50 tys. więźniów getta zamordowano w komorach gazowych obozu zagłady w Bełżcu⁴⁶. Pośród ofiar byli też rodzice Marceliego Starka, Izrael i Franciszka (z domu Sak). Rozpoczęcie tego masowego mordu pomogło mu uświadomić sobie, że nie jest to akcja jednorazowa, że wcześniejsze prześladowania, mniejsze „akcje” i mordy są łańcuchem zaplanowanych przez Niemców działań, których finałem ma być całkowita fizyczna eksterminacja Żydów. Był jednym z pierwszych, którzy to zrozumieli, i bez wątpienia to właśnie pomogło mu ocalić życie. Nie wrócił już do pracy, skąd mógł w każdej chwili zostać zabrany i wywieziony do komór gazowych lub gdzie mógł być zabity na miejscu, ale rozpoczął życie w ukryciu. Początkowo przebywał w getcie, w domu swych przyjaciół: Ludwika Sternbacha⁴⁷, także matematyka, i jego żony, którzy pomimo ogromnej ciasnoty udzielili mu schronienia. Nie trwało to jednak długo, około połowy sierpnia także oni zostali schwytani do wywózki – los ich o tyle był tylko lepszy, że przed wepchnięciem do wagonów dla zaoszczędzenia sobie cierpień popełnili samobójstwo na placu załadunkowym.

⁴³ Mord ten był jedną z wielu zbrodni popełnionych w tym czasie we Lwowie przez sowiecką Rosję (zob. G. Mazur, S. Skwara, J. Węgierski, *2350 dni. Kronika wojny i okupacji Lwowa*, Katowice 2007, s. 190, 201).

⁴⁴ Na temat historii Żydów lwowskich w okresie II wojny światowej zob. m.in. E. Jones, *Żydzi Lwowa w okresie okupacji 1939–1945*, Łódź 1999, s. 295.

⁴⁵ Odbывало się to na podstawie zarządzeń wydanych jeszcze w roku 1939, gdy pod władzą niemiecką znaleźli się jedynie Żydzi zamieszkujący centralne ziemie polskie (zob. Rozporządzenie o wprowadzeniu przymusu pracy dla ludności żydowskiej GG z dnia 26 X 1939 r., „Verordnungsblatt des Generalgouverneurs für die besetzten polnischen Gebiete” (VGG), 26 października 1939 r., s. 6).

⁴⁶ Żydzi lwowscy ginęli nie tylko w obozie zagłady w Bełżcu, lecz także w samym getcie, na terenie obozu janowskiego oraz na Majdanku.

⁴⁷ Ludwik Sternbach (1905–1942) – wybitny matematyk tzw. szkoły lwowskiej, syn Hermana Sternbacha, znanego tłumacza z języka niemieckiego. Miał dwie siostry – Miriam i Ellę. Pierwsza (prawdopodobnie wywieziona w czasie zsyłek w głąb Rosji w latach 1940–1941) przeżyła wojnę. Jako Miriam Sternbach-Reiss korespondowała z autorem. Zob. listy nr 34–41 w tym wydaniu.

Po zakończeniu „akcji” Marceli Stark postanowił uciec ze Lwowa. Pomagali mu nieliczni polscy przyjaciele. Zaopatrzył się w fałszywe dokumenty i przez Kraków (gdzie najprawdopodobniej przebywał we wrześniu i październiku) wyjechał do Warszawy. Tam rozpoczął życie poza gettem, po tzw. aryjskiej stronie, gdzie ukrywał swoją tożsamość i posługiwał się fałszywymi dokumentami na nazwisko Wyspiański. Udało mu się w ten sposób przetrwać niecałe trzy miesiące. W styczniu 1943 r. został schwytany i aresztowany na skutek donosu osób podejrzewających go o żydowskie pochodzenie. Denuncjatorką była najprawdopodobniej okradająca go stale kobieta, u której wynajmował pokój. Mogli go też wydać „zawodowi” tropiciele Żydów, liczący na nagrody wypłacane przez Niemców za każdego schwytanego. Uwięziono go w areszcie w budynku przy ul. Żelaznej 3, w tzw. *SS-Befehlstelle*⁴⁸, gdzie stacjonowało dowództwo SS nadzorujące sprawy związane z gettem. Los takich jak on był przesądzony. Po krótkim pobycie w areszcie zabierano ich w ostatnią drogę, na rozstrzelanie. Prowadzony z całą grupą skazańców zdołał w jakiś sposób zmylić czujność konwojujących i uciec. Od tego czasu ukrywał się na terenie byłego getta, będąc jednym z tych, którzy nieoficjalnie i „nielegalnie” żyli wbrew woli Niemców. Nie było dla niego już szansy powrotu na „aryjską” stronę. Stał się jednym z tych skazanych za młodość na śmierć, którzy postanowili z bronią w rękę przeciwstawić się wydanemu wyrokowi. Żyjąc najprawdopodobniej ze szmuglu i handlu tym, co pozostało w getcie po wymordowanych setkach tysięcy ludzi, był w stanie zdobyć broń palną (rewolwer bliżej nieokreślonego rodzaju). Ponieważ nie wiadomo nic o grupie, do której należał, znamy tylko imię jednego z jego współtowarzyszy (Kuba), należy przypuszczać, że była to jedna z licznych tzw. dzikich grup, która bez żadnej afiliacji politycznej czy militarnej, nie mając możliwości bycia przyjętą do elitarnych i niechętnych obcom: Żydowskiej Organizacji Bojowej czy Żydowskiego Związku Wojskowego, w dniu rozpoczęcia akcji likwidacyjnej getta, 19 kwietnia 1943 r., stawiała Niemcom zbrojny opór.

Walczył do ostatniego naboju. Nie poddawał się w najbardziej nawet dramatycznych sytuacjach, dopóki istniała jakakolwiek szansa na ratunek. Półtorej doby chronił się w palonych budynkach, nieustannie ryzykując zaczadzenie lub śmierć pod gruzami płonących ścian i stropów. Dopiero gdy skończyła się amunicja, gdy posłał ostatnią celną kulę w kierunku zbliżających się Niemców i pozbył się zbędnego już rewolweru, pozwolił się ująć. Miał szczęście. Nie rozstrzelano go ani nie posłano do Trebinki lub jednego z obozów (schwytani warszawscy Żydzi byli kierowani przede wszystkim do Poniatowej i Trawnika), które później zostały w całości eksterminowane w ramach operacji *Erntefest* („Dożynki”) w listopadzie 1943 r. Trafił do Lublina, gdzie nie wtłoczono go do obozu koncentracyjnego na Majdanku, ale wraz z wieloma innymi odesłano do obozu pracy, w którym więźniowie mieli jeszcze „prawo” do istnienia. Podczas selekcji wytypowano go wraz z 800 innymi do obozu pracy w Budzynie, wspomnianej wcześniej wiosce położonej na przedmieściach Kraśnika. Był to najlepszy – jak się wydaje – obóz wśród wielu innych, a to dlatego, że ze względu na charakter pracy (zatrudnienie w fabryce naprawiającej i produkującej części do samolotów lotnictwa wojennego) więźniowie byli potrzebni dla przemysłu zbrojeniowego, więc siły bezpieczeństwa, które nadzorowały proces eksterminacji Żydów, nie mogły równie łatwo jak w innych miejscach zdecydować o ich likwidacji. Niektóre relacje mówią nawet o wybronieniu więźniów przed przybyłym oddziałem

⁴⁸ *SS-Befehlstelle* (niem.) – placówka rozkazodawcza SS.

egzekucyjnym przez obozową dyрекcję, która z jednej strony obawiała się likwidacji swoich stanowisk i powołania do wojska, a z drugiej – miała rodzinne powiązania z figurami postawionymi najwyżej w III Rzeszy i dzięki temu była w swych zabiegach bardzo skuteczna. Tak czy inaczej, obóz w Budzynie nie podzielił losu innych, podobnych sobie miejsc, gdzie więźniów masowo rozstrzeliwano, ale dotrwał do momentu ewakuacji. Tym samym, większość więźniów przynajmniej do tego momentu ocalała.

Od chwili przybycia do Budzyna Marceli Stark rozpoczął nowy etap życia, który był kontynuowany w kolejnych obozach, głównie Płaszowie, Ravensbrück i Sachsenhausen, gdzie spędził resztę wojny. Najgorszy jednak okres bez wątpienia przeżył w Budzynie, gdzie trafił, nie mając żadnych środków materialnych ani odpowiednich znajomości. Na skutek tego znalazł się w skrajnie nędznych warunkach, spadł na samo dno obozowej hierarchii i groziła mu śmierć głodowa. Stąd wspomniana na początku potrzeba opisanie tych wydarzeń jako odreagowania i swoistej autoterapii, mającej na celu wydobycie się z poobozowej i powojennej traumy. Potwierdza to m.in. fakt, że nawet historia pobytu w Budzynie została spisana tylko do chwili, w której wydobył się z dna i nieoczekiwanie znalazł się w gronie uprzywilejowanych więźniów, w ścisłej elicie, której pozwolono wykonywać pracę biurową. Po mniej więcej rocznym pobycie w Budzynie trafił do Płaszowa, stanął na czele utworzonego specjalnie przez Niemców komanda matematycznego, które miało – pod nadzorem niejakiego Walthera, tytułującego się profesorem – rozwiązywać problemy z zakresu matematyki dla obserwatorium astronomicznego w Babelsbergu. Miało to jednak jakieś znaczenie dla przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy. Problemy, które mieli rozwiązywać żydowscy matematycy, zmuszeni do pracy przez Niemców, były przysyłane do obozu m.in. bezpośrednio przez najwyższe dowództwo marynarki wojennej. Jak wspominał Henry Orenstein, budziło to respekt nawet wśród kierownictwa obozu w Płaszowie z Amonem Göthem⁴⁹ na czele⁵⁰.

Stosunkowo dobre warunki panowały do czasu ewakuacji w głąb Niemiec przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Wobec nieuchronnej klęski i wśród wojennego chaosu nie zwracano już większej uwagi na członków komanda matematycznego. We wrześniu 1944 r. z Płaszowa Stark został wywieziony do Ravensbrück, a w marcu 1945 r. trafił do Sachsenhausen. Szczegółów pobytu w tych miejscach nie znamy. Z rzadkich wzmianek we wspomnieniach i w listach wiemy tylko tyle, że brał udział w tzw. marszach śmierci, podczas których tysiące ludzi – niemogących podołać narzucanemu tempu – zabijano. Szczęśliwie uniknął tego losu. Tuż przed wyzwoleniem w okolicach miasta Schwerin po raz kolejny musiał uciekać przed plutonem egzekucyjnym, który wobec zbliżających się wojsk amerykańskich postanowił pozbyć się niewygodnych świadków i wymordować resztki Żydów znajdujących się pod jego władzą. Wyzwolenie przyszło załedwie na tydzień przed ostateczną kapitulacją III Rzeszy. Stało się to 2 maja 1945 r. Wiemy to z za-

⁴⁹ Amon Göth (1908–1946) – zbrodniarz nazistowski, członek SS i NSDAP, odpowiedzialny m.in. za likwidację gett w Krakowie i Tarnowie, komendant obozu w Płaszowie. Wyrokiem Najwyższego Trybunału Narodowego skazany na karę śmierci. (Informacje o powojennych losach dzieci hitlerowskich oprawców, m.in. Amona Götha, można znaleźć w artykule Przemysława Wilczyńskiego, *Lekcja*, „Tygodnik Powszechny”, 2 VIII 2011).

⁵⁰ Informację taką znajdziemy we wspomnieniach jednego z członków tego komanda, Henry’ego Orensteina, który po wojnie wyemigrował do USA i zaśląnął tam jako innowacyjny przedsiębiorca przemysłu zabawkarskiego i pokerzysty, a także autor setek opatentowanych wynalazków. Henry Orenstein jest autorem wspomnień opublikowanych w roku 1987, *I shall live. Surviving against all odds 1939–1945*. Informacja przytoczona powyżej, zob. s. 218–219.

świadczenia, które wydał mu *Oberbürgermeister* miasta Schwerin, w celu ułatwienia mu przedostania się przez strefy okupacyjne i powrotu na ziemie polskie.

Wolność od cierpień fizycznych, która przyszła wraz z uwolnieniem z rąk niemieckich i zakończeniem działań wojennych, nie oznaczała końca cierpień psychicznych, których doznawał do końca swoich dni. Wojna zламаła nie tylko jego zdrowie fizyczne. To, co wydarzyło się w latach 1939–1945, odcisnęło się przede wszystkim na psychice i kładło się cieniem na postawie przyjętej w latach powojennych. Utrata w tak brutalny sposób całego środowiska, z którym żył i wiązał nadzieje na przyszłość, oraz najbliższych, których kochał, oznaczała coś znacznie więcej niż tylko zamknięcie pewnego etapu życia. Szok, który przeżył, wstrząs, jakiego doznał, w sposób nieodwracalny zmieniły jego percepcję świata i stosunków międzyludzkich. On sam to, co się z nim wydarzyło, określał mianem „duchowej śmierci”. Stracił to, co najistotniejsze – sens życia. Skończyła się w nim „wiera w człowieka”, której nie potrafił i nie chciał zastąpić czymś innym.

Dominujące stało się uczucie samotności i przynależności do świata zmarłych. Sam o sobie pisał jako o „człowieku zza grobu, żyjącym trupie, pozostałym po świecie, który przestał istnieć”. Nie chodziło tylko o środowisko żydowskie, eksterminowane przez okupanta niemieckiego, ale także o system wartości i wiary w postęp oparty na humanitaryzmie i intelekcie. W gettach i obozach oraz po „aryjskiej” stronie stracił poczucie łączności z obydwoima społeczeństwami, do których z racji pochodzenia oraz kultury należał, żydowskim i polskim. Zarówno Polacy, jak i Żydzi zaczęli mu się wydawać obcy. Ci pierwsi jawili się w jego oczach jako „współpracująca z gestapo masa”, która czy to bezpośrednio, czy też wyłapując i dostarczając Niemcom ofiary, *de facto* brała udział w mordzie na Żydach. Dostrzegał masowe „szakalstwo” w postaci „setek tysięcy żyjących z cmentarzyska żydowskiego”, widział „sępy, krążące po ulicach w poszukiwaniu łupu – Żyda, którego można zaszantażować”, ograbić, a następnie przekazać Niemcom. Jego przywiązanie do polskości powodowało, że odczuwał wstyd i nie chciał się z tym pogodzić, ale przyznawał: „uczucie buntuje się, podczas gdy przesłanki doświadczeń i obserwacje są niezbite”.

Równie obce stało mu się środowisko żydowskie. Będąc w obozie, odczuwał to następująco: „Nie mam z kim rozmawiać. Ci ludzie myślą i czują inaczej niż ja, i to tak zupełnie inaczej, że nie mogę znaleźć z nimi wspólnego języka. Zupełnie samotny, zupełnie opuszczony [...]”. Ogółowi żydowskiemu przypisywał „kupiecką psychikę” oraz inne cechy, jakby żywcem wyjęte z antysemitycznych publikacji. Był to dla niego twór „wykoślawiały, przechytrzały, którego całe jestestwo przesiąknięte jest psychiką pieniądza. Zemściła się na nich ta psychika za czasów Hitlera, zwłaszcza wiara w to, że wszystko, nawet życie, można kupić”. Więziony w gettach i obozach, a więc przebywając głównie wśród Żydów, ich negatywne zachowania przejawiał jeszcze bardziej niż postępowanie Polaków. Nie bolało go tylko to, że nikt nie chciał mu pomagać, że ludzie którzy w jego obecności objadali się „do niestrawności”, choć widzieli, że jest skrajnie wyczerpany i grozi mu śmierć z głodu, nie chcieli podzielić się z nim nawet kromką chleba. Znacznie mocniej dokuczała mu pogarda okazywana przez „lepszych panów”, którzy z takim łachmaniarzem jak on nie chcieli nawet rozmawiać. Nie było to zresztą zjawisko tylko obozowe, gdzie wszyscy, wypędzeni z domów, już po utracie najbliższych, w każdej chwili spodziewali się śmierci, ale także gettowe, gdzie jeszcze nie zdawało sobie sprawy z niemieckich zamiarów. Także wówczas musiał często udawać, że nie

jest głodny, powstrzymywać szarpiący wnętrznościami ból, i odmawiać poczęstunków, bo wiedział, że w przeciwnym razie będzie postrzegany jako biedak i drzwi wielu domów, z których mieszkańcami chciał pozostawać w kontakcie, zostaną przed nim zamknięte. Tej pogardy okazywanej mu z powodu nędzy i upadku, których nie był winny, bo były spowodowane tylko postępowaniem okupanta, nie potrafił wybaczyć. Jak pisał, tych, którzy tak go traktowali, „nienawidził bardziej niż Niemców”. W jego oczach wina tych osób była taka sama lub nawet większa niż Niemców. Uzasadniał to następująco: „Jeśli mogli odtrącić mnie lub takiego jak ja, tylko dla braków środków materialnych, dla upadku mego wyglądu zewnętrznego, w sytuacji, gdy zdawali sobie sprawę z tego, że jest to niezawinione przeze mnie, że ich może oczekiwać to samo, wtedy gdy grozi nam wspólnie śmierć, to ich wina moralna jest równa niemieckiej, jeżeli nie większa”. Doszło do tego, że (jak przyznawał) czułby zadowolenie, gdyby ich rozstrzelano.

Znalazłszy się w sytuacji szczerzego zwierzęcia, całą swą nieufność i nienawiść kierował w stronę świata zewnętrznego. Do Niemców, do Polaków, do Żydów. Wroga stała się w jego oczach nawet natura. Odgłosy przyrody, które kiedyś sprawiały mu przyjemność, stały się odgłosami walki na życie i śmierć. Siebie samego postrzegał jako ofiarę, duszącą się w „zwycięskich zwojach boa-esesmana”. Przyroda straciła dla niego aurę niezwykłości, cudu, przed którym pochylano głowy. Przestała być „mieszcząńska, błoga, niosąca uniesienie”, stała się raczej „żarłoczna, chciwa, niemiłosierna”, wprost „niemiecka”. Przyroda – pisał – to zwycięstwo perzu. „Zwycięża silniejszy – jak w obozie, jak u Niemców. Nad wszystkim teraz ciąży śmierć – gnojowisko, na którym rośnie bujnie nowe życie”. Nawet chłód i deszcz, które mocno dokuczały więźniom, jawiły się jako wyraz „paktu” zawartego przez naturę z Niemcami, dla wytracenia tych, którzy jeszcze walczą o przetrwanie.

Niezwykłe silnym uczuciem był ból po stracie najbliższych oraz świadomość cierpień, jakich zaznali, zanim zostali zamordowani. Prócz matki i ojca, wspomnianych wyżej, stracił także brata Zygmunta⁵¹, z wykształcenia lekarza, zabitego w getcie lwowskim oraz siostrę, zastrzeloną w obozie janowskim. Zginęli także jego dobrzy koledzy po fachu, przyszłość matematyki polskiej: Ludwik Sternbach oraz Herman Auerbach⁵². Najbardziej, najmocniej przeżył śmierć matki. Do końca życia nie mógł poradzić sobie z pamięcią nienormalnych relacji rodzinnych, które wytworzyły się z powodu strasznego głodu w getcie. Nie mógł wymazać ze wspomnień widoku na wpół oszalałego z głodu ojca ani spuchniętej z tej samej przyczyny matki, ratowanej od śmierci drobinami marchwi, której ostatnim posiłkiem w życiu były skradzione przez niego resztki kaszy jaglanej. Nie mógł poradzić sobie ze świadomością, że swoim najbliższymi nie mógł pomóc, uratować ich, zaoszczędzić im cierpień. Nie potrafił też zapomnieć własnego upokorzenia i bezradności. Chociaż tuż przed rozpoczęciem akcji deportacyjnej nie było go już w domu, więc nie widział samej wywózki, to wizja zabieranej z domu matki, jej bólu i poniżenia, wciąż do niego wracała. Obraz ten powtarzał się w snach, które śnił w ruinach getta: „Gaszę świecę – wyłania się znowu twarz.

⁵¹ Zygmunt Stark (1904–1942) – brat Marcelgo Starka, lekarz. Zachowało się po nim zaświadczenie „swojszczyzny” wydane przez władze miasta Lwowa w roku 1922 (*de facto* potwierdzenie obywatelstwa polskiego) oraz karta rejestracyjna ofiar II wojny światowej w Instytucie Yad Vashem w Jerozolimie, którą po wojnie wypełniła wdowa po nim, Renata Stark-Cohen. Zob. dokumenty na s. 59 i 60.

⁵² Herman Auerbach (1903–1942) – polski matematyk pochodzenia żydowskiego; prof. Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie 1939–1941, więzień getta lwowskiego. Popelniał samobójstwo wobec zagrożenia wywiezieniem do obozu zagłady w Bełżcu.

Matki. Tak, jak ją widywałem w ostatnich dniach. Opuchnięta z głodu i choroby. Patrzy na mnie. Teraz rozplakałem się. Siedząc nieruchomo, czułem spływanie łez. Znowu ten ciągły ból! Co Ona cierpiała, gdy Ją zabierali? Nie mogę tego opisywać. Ten ból skończy się razem ze mną. Mamo! Mamo! Jak ja Cię kochałem”. Matce zawdzięczał najwięcej, jej postać odegrała najważniejszą rolę w jego ocaleniu. Zawsze gdy odczuwał rezygnację i niechęć do dalszej walki o przetrwanie, przypominały mu się ostatnie jej słowa, wyrażające pragnienie, by jej dzieci przeżyły: „Ja się nie boję o siebie, że ja zginę, bylebym wiedziała, że wy jesteście ocaleni!”. Z trojga rodzeństwa udało się to tylko jemu.

Cierpienia fizyczne i psychiczne, które mu zadano, uniemożliwiły właściwą ocenę rzeczywistości. Postawy negatywne, zarówno Polaków, jak i Żydów, przysłoniły mu całość obrazu i zadecydowały o wypaczeniu oglądu świata. Pomoc, której mu czasami udzielano, traktował jako odstępstwo od normy, ludzi, którzy potraktowali go dobrze, jako jednostki całkowicie różne od wrogiej masy. Z tego względu reagował z niedowierzaniem, gdy spotykał Polaków wyciągających do niego dłoń: „To zdziwienie, gdy się spotykało ludzi jak Rózia⁵³, Lewiccy⁵⁴, Ottowie⁵⁵, Borsuk⁵⁶, Zahorski⁵⁷ – że są jednak istoty myślące inaczej; zdziwienie, że są ludzie, którzy dla drobnej sumy nie zamordują człowieka”. Nie był też w stanie do końca zrozumieć zachowania Żydów, którzy wykazywali zainteresowanie jego losem. Potraktowany dobrze przez Mirskiego, Zysmana czy Chaima Zelmanowskiego, nie potrafił odczuwać wdzięczności. Pisał: „Dochodziła do mnie wtedy kromka chleba, ale nie dochodziła istota czynu”. Tak bardzo przyzwyczaił się do bezwzględnej walki o byt, do skrajnego egoizmu i wyrzucia z ludzkich odruchów, że nie potrafił uwierzyć, że ktoś postąpiłby inaczej, że ktoś zdobyłby się na życzliwość czy współczucie.

Bez względu jednak na to, jak źle wpływały na niego warunki stworzone przez Niemców, jak bardzo poddawał się instynktownej walce o przetrwanie, jest niewątpliwe, że potrafił zachować resztki człowieczeństwa, szczególną jak na tamte czasy normalność, a także godność. Wynika to nie tylko z jego zapisków, którym przecież zawsze można zarzucić subiektywizm i wybielanie własnej postaci. Wskazuje na to także głos wspomnianego wcześniej, nieznanego z nazwiska Aleksa. Oto jak wspominał Marceliego Starka ten nastoletni chłopiec zagubiony w obozowych warunkach: „Po śmierci Fredka Lewina na moją prycę trafił lwowski matematyk, Marceli Stark. I od tego

⁵³ N.N.

⁵⁴ Marian i Irena Lewiccy – lwowscy znajomi autora z okresu przedwojennego. Marian Lewicki (1908–1955) był znanym orientalistą. Wybuch wojny zastał go w Paryżu. Po wojnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Zaangażowany w powojenne sprowadzanie do Polski zbiorów Ossolineum. U Lewickich były też przechowywane dokumenty rodzinne Marceliego, książki z jego lwowskiego księgozbioru domowego, w tym pełne, dwunastotomowe angielskie wydanie dramatów Szekspira (zob. fot. na s. 270). Z Ireną Lewicką korespondował przez wiele lat po wojnie, zob. listy nr 42–52 w tym wydaniu.

⁵⁵ Edward Otto (1908–1986) – matematyk, profesor Politechniki Warszawskiej. Przed wojną, ze względu na miejsce urodzenia (Lwów) związany ze środowiskiem matematyków lwowskich.

⁵⁶ Karol Borsuk (1905–1982) – matematyk, doktor filozofii, podczas okupacji hitlerowskiej prowadził wykłady w tajnym Uniwersytecie Warszawskim i kursie politechnicznym w Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda, więziony, po upadku powstania warszawskiego zmuszony do ukrywania się. Od 1946 r. prof. matematyki na UW.

⁵⁷ Być może Zygmunt Zahorski (1914–1998) – matematyk, absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej, w latach 1939–1941 przebywał we Lwowie, pracował jako asystent prof. Stefana Banacha, z którym był związany także autor wspomnień. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. powrócił do Warszawy. Problem osób ukrywających się z powodu pochodzenia żydowskiego był mu bliski, gdyż dotyczył także jego żony Heleny Zahorskiej (właśc. Estery Steinbok). Od 1948 r. profesor UJ.

momentu zaczął się dla mnie ważny okres pracy w obozie. Bo zaintrygowany tym, że Stark jest matematykiem, zadałem mu jakieś naiwne matematyczne pytanie. A on ucieszył się, że kogoś interesuje matematyka, zaczął mi kijkiem na piasku rysować równania, potem opowiadał o swoim życiu we Lwowie, o literaturze ukraińskiej, którą bardzo kochał – i stworzyła się między nami taka przyjaźń. Ten słaniający się, bliski śmierci z głodu intelektualista – i ja. Niedoszły uczeń gimnazjum. Miłośnik matematyki. Stark w ogóle nie miał pieniędzy. I żeby nie umrzeć z głodu, wyszukiwał sobie w śmietnikach odpadki. Od tych odpadków zbierało mu się na wymioty, ale wmuszał je w siebie, uważając, że to jedyna szansa przeżycia. Wkrótce do naszych rozmów dołączył pewien inżynier, Zysman. Niezwykle kulturalny człowiek znający się na literaturze, na filozofii, matematyce i fizyce [...]. Miałem wtedy szesnaście lat, Stark pewnie trzydzieści pięć, Zysman koło czterdziestu. Widać sprawiało im przyjemność takie kształtowanie mnie. Czy mieliśmy świadomość, że wkrótce zginiemy? Tak. [...] A jednak to, co najbardziej z Budzynia pamiętam, to właśnie te rozmowy. Nie nudę i żmudę codziennej dziesięciogodzinnej pracy, nie owo nieustające myślenie o jedzeniu – lecz właśnie, że siedzimy sobie gdzieś i gawędzimy. O literaturze, o Balzaku, o tym, o tamtym. Tak. Wiedzieliśmy dobrze, że jesteśmy na urlopie od śmierci. Ale to nie przeszkadzało, bym w niedzielę po południu, kiedy czasem dawano nam wolne, siadał ze Starkiem i rozmawiał z nim o logice matematycznej. Nawet kiedy człowiek jest pewny śmierci, to nie myśli tylko o tym, jak przeżyć czy uciec. Ma przecież jeszcze inne funkcje. Nie tylko fizyczne funkcje”⁵⁸. Te „inne funkcje” jak widać, do których był zdolny, pomagały przetrwać nie tylko jemu, ale także innym, dla których taki wzorzec był potrzebny, by nie załamywać się psychicznie, by podtrzymywać w sobie nadzieję na przetrwanie. Pozytywnie o Starku wypowiadał się także inny autor opublikowanych pamiętników, Henry Orenstein⁵⁹.

Dopiero po wojnie Stark zdał sobie w pełni sprawę z tego, jak bardzo okres wojenny wykrzywił i wypaczył jego wizję relacji międzyludzkich. Był na tyle uważnym obserwatorem, że widział zmiany nie tylko w innych, ale także w sobie. Wspominał szok, którego doznał na widok „normalnego” życia w Lublinie, gdy był więziony z Budzynia na Majdanek. Nie mógł uwierzyć, że ludzie „normalnie” żyją, gdy obok na Majdanku mordują i palą ludzi. Porównując jednak ich zachowanie z własnym, nie dostrzegał większej różnicy. W gettach i obozach z jeszcze bliższej odległości obserwował mordy na mężczyznach, kobietach i dzieciach, pozostając na zewnątrz „obojetny” na te wydarzenia. Zauważał jednocześnie, że był to powolny proces, który umożliwiał przyzwyczajanie się do dziejących się w pobliżu okrucieństw. Widział zmiany w sobie samym i zadawał sobie pytanie, w jaki sposób „bestia zmieniała nas, wciągając w swoją zwierzęcą otchłań” oraz jak to się stało, że w miarę upływu czasu stawał się „nieczuły na najpotworniejsze okrucieństwa, których był świadkiem”. Autoanaliza była bez wątpienia jego silną stroną. Zauważył nawet, że nie mógł w sobie powstrzymać nienawiści do Niemców, że „nauczył się nienawidzić jak faszysta, jak nacjonalista” i pytał od razu: „Jaką drogą zeszedłem w to bagno, którym sam niegdyś pogardzałem, które było mi całkowicie obce?”. Stopniowo wracał do normalności i równowagi. Trauma powojennych lat powoli ustępowała. W roku 1948, w liście do znajomej, Hanny Reich, pisał m.in.: „Muszę się

⁵⁸ J. Wiszniewicz, *A jednak czasem mówiam sny...*, s. 90–92.

⁵⁹ H. Orenstein, *I shall live...*, s. 218–219.

przyznać, że w czasie wojny tak dalece u nas upadły stosunki pomiędzy ludźmi (zwłaszcza w społeczeństwie żydowskim), że nie byłbym wówczas uwierzył, że ktoś mi prawie nieznanemu w dalekim kraju starać się dla mnie o coś, czego nabycie sprawia trudności i koszt – jak sądzę – poważny. W tych czasach u nas ludzie zamożni, a nawet bardzo bogaci i za czasów hitlerowskich, byli zupełnie nieludscy. Długi czas po zakończeniu wojny musiałem się leczyć z nieufności do ludzi i żalu za męki moje i mej rodziny, które mogły być bez wielkiego trudu zmniejszone. Wyleczyłem się w końcu z tego”⁶⁰.

Ta duchowa rekonwalescencja była konieczna, by mógł szukać dla siebie miejsca w Polsce jako osoba mająca, oprócz żydowskiej, także polską tożsamość. Było to też potrzebne, by mógł zrewidować „wyrok potępienia w stosunku do społeczeństwa polskiego”⁶¹. Sprawy żydowskie bowiem (choć nie uczestniczył w życiu społeczności żydowskiej w Polsce) były mu bliskie. Po powrocie do kraju zarejestrował się w Żydowskim Komitecie Centralnym⁶².

Jedynym krajem, do którego wyobrażał sobie emigrację, była Palestyna, a jego przyszła żona, jak zadeklarował w liście pisanym do krewnego w Anglii, musiałaby pochodzić ze środowiska żydowskiego⁶³. Towarzyszek życia znaleźć mu się jednak nie udało, w czym przeszkodziła, jak pisał, m.in. znikoma liczba stosownych kandydatek, które po wojnie w Polsce się ostały. Ostatecznie nie zdecydował się na emigrację i pozostał w kraju. Wpływ na to miały zapewne także przedwojenne przekonania komunistyczne. Jak wielu innych uwierzył, że nowy ustrój przyniesie pozytywne zmiany, pozwoli zbudować lepszy świat. Kilka pierwszych lat, podczas których wprowadzano wiele nieznanych dotąd reform socjalnych, oraz odbudowa kraju pozwalały wierzyć tę ożywiać. „Duże tempo odbudowy porywa i wciąga. Na niektórych odcinkach dzieją się wprost cuda” – pisał w grudniu 1948 r. do znajomej w Londynie w komentarzu do przesyłanych jej książek na temat sytuacji w Polsce⁶⁴. Nie trwało to długo. To, co tutaj budowano, okazało się dalekie od jego ideałów. Jak twierdzą znajomi (dokumentów bowiem nie odnaleziono⁶⁵), po krótkim członkostwie w PZPR⁶⁶ zrezygnował z niego i zwrócił partyjną legitymację. Świat bez ideałów, którymi żył, pozbawiony ponadto naturalnego dla niego środowiska, jakim była spolszczona inteligencja żydowska, miał na niego przynębiający wpływ. Brakowało mu zaplecza środowiskowego, rodziny, bliskich, z którymi mógłby spędzać czas wolny. Nasilało to poczucie traumy po przejściach wojennych. Co jakiś czas powracało uczucie obcości, wyalienowania, samotności i niezrozumienia. Popadał w krócej i dłużej trwające stany depresyjne, które utrudniały mu kontakt ze światem zewnętrznym. Szukał ucieczki i zapomnienia w pracy. W kwietniu 1949 r. tak tłumaczył

⁶⁰ List nr 13 w tym wydaniu.

⁶¹ List Karola Borsuka do Marcellego Starka z roku 1946, zob. list nr 2 w tym wydaniu.

⁶² Był to naturalny krok dla wszystkich, chcących w środowisku żydowskim w Polsce odnaleźć bliskich lub znajomych. W Żydowskim Instytucie Historycznym zachował się odpis karty rejestracyjnej o numerze 14312.

⁶³ Zob. list nr 18 w tym wydaniu.

⁶⁴ Zob. list nr 39 w tym wydaniu.

⁶⁵ Także w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej brak obszerniejszej dokumentacji dotyczącej osoby Marcellego Starka (AIPN, III 2-5537-3(5)/11, 31 V 2011). Zachowały się tylko informacje paszportowe, dotyczące wyjazdów zagranicznych, m.in.: 1952 i 1955 r. – Czechosłowacka Republika Ludowa, 1954 r. – Bułgaria, 1961 r. – ZSRS, 1958 r. – Francja, Anglia, 1961 r. – USA, Anglia, 1962 r. – ZSRS, Szwecja, 1963 i 1966 r. – Anglia, 1965 r. – Izrael.

⁶⁶ Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – powstała w roku 1948 partia polityczna, grupująca komunistów sprawujących w Polsce rządy dyktatorskie w latach 1945–1989.

się z długiej przerwy w korespondencji: „Byłem w stanie silnej depresji, nie mogłem się zdobyć na napisanie jakiegokolwiek nieurzędowego listu. Przerwałem wszelką prywatną korespondencję. Nie było sił. Stała samotność i niewiara we wszystko po przejściach wojennych rozstraja i zabija. Stałem się bardzo aktywny w sprawach matematycznych, nie mogę się zdobyć na najmniejszą inicjatywę osobistą w stosunku do siebie. Muszę bez przerwy pracować i pracować, nie powinienem mieć wolnych chwil. Najgorszy okres to niedziele i święta. W ten sposób długo żyć nie można”⁶⁷. Nie miał jednak wyjścia, w ten właśnie sposób żyć musiał. Do końca swych dni pozostał osobą żyjącą samotnie. Ponieważ nie miał rodziny, czas wypełniał pracą zawodową, różnymi zainteresowaniami, w tym przede wszystkim fotografią i muzyką oraz podtrzymywaniem znajomości, zarówno tych przedwojennych, jak i nowych. W testamentie właśnie przyjaciółom powierzył wszystko to, co po nim pozostało⁶⁸.



Fot. Marcin Urynowicz

Szosa Kraśnik–Urzędów w pobliżu fabryki w Budzynie, widok w stronę Kraśnika, stan dzisiejszy

Do tekstu wspomnień zdecydowano się dołączyć szeroki wybór z powojennej korespondencji autora. Zdecydowało o tym co najmniej kilka przyczyn. Po pierwsze, korespondencja ta stanowi niejako kontynuację tekstu wspomnień, niejednokrotnie podnosi te same lub podobne problemy egzystencjalne, poszukuje odpowiedzi na te same pytania o kondycję moralną rodzaju ludzkiego, stosunki między ludźmi, o wartości duchowe i to, co ważne w życiu człowieka. Marceli Stark niejednokrotnie wprost odwoływał się w listach do swych okupacyjnych doświadczeń, a niektóre jego sądy i opinie, jak wszystko na to

⁶⁷ List nr 41 w tym wydaniu.

⁶⁸ Zob. dokument na s. 346.

wskazuje, tam właśnie miały swoje źródło. W jednym z listów tak doradzał młodemu człowiekowi: „Być może to, co piszę, odrzuci Pan jako nudy moralizatorskie. Ale tak nie jest. Mnie zawsze interesuje człowiek i nie jest to moralizowanie. Musi Pan dojść do najgłębszych źródeł swego postępowania po to, by się im nie poddać. A będzie to Panu potrzebne, jeśli zechce Pan zachować pewną godność i odzyskać szacunek dla siebie w nowym życiu, które teraz Pana czeka. Niech mi Pan wierzy, można z tego wyjść oczyszczonym. Piekło obozów i otoczenia znacznie gorszego niż to, które Pana czeka, pozwoliło mi się oczyścić z wielu błędów. Niech Pan nie lekceważy słów starego człowieka, który dużo widział i przeżył, wiele z tego, czego Pan nigdy nie zobaczy i nie będzie w stanie zrozumieć”⁶⁹.

Po drugie, korespondencja ukazuje autora w szerszym kontekście sytuacyjnym. Pozwala zobaczyć przynajmniej wybranych ludzi, z którymi był związany i którzy dla niego – a on dla nich – byli w jakiś sposób ważni. Sam fakt, że listów od nich lub odpisów listów do nich nie wyrzucił w trakcie porządkowania niedługo przed śmiercią swych papierów, świadczy o przywiązaniu, jakie do tej korespondencji oraz jej autorów lub adresatów żywił.

Możemy wyróżnić tutaj kilka grup korespondentów, zaznaczając przy tym, że przyjęte podziały są umowne, a ich granice często na siebie zachodzą. Mimo to prezentowana korespondencja została właśnie ułożona w takich grupach, a dopiero wewnątrz grupy – chronologicznie.

Do pierwszej można zaliczyć przede wszystkim osoby znane, funkcjonujące w jakiś sposób w życiu publicznym, mające wpływ na sprawy naukowe, społeczne, a nawet polityczne. Należeli do nich m.in. profesor Edward Otto, profesor Karol Borsuk, profesor Tadeusz Banachiewicz⁷⁰, Hanna Szmuszkowicz⁷¹, Stefan Rozmaryn⁷². Wspomnieć przy tym należy, że nie była to korespondencja tylko urzędowa, częściej towarzyska, wynikająca z łączącej nadawcę i adresata przyjaźni. Tutaj znaleźli się dwaj respondenci, których zidentyfikować do końca się nie udało, ale których można zaliczyć bez wątpienia do grona przyjaciół. Byli to nieznani z nazwiska: Zygmunt, z wykształcenia najprawdopodobniej także matematyk, oraz Stefan, który pomógł mu w okresie okupacji.

Jako drugą grupę potraktować można krewnych Starka, których udało mu się odnaleźć dzięki pomocy znajomej z Londynu, Hanny Reich. Było to dwoje członków rodziny autora, Leonard Kirsch z Londynu oraz jego siostra, Charlotte Kestenbaum, zamieszkała w Nowym Jorku (jak to jednak bywa, więcej korespondował z osobą, która w odszukaniu rodziny mu pomogła, aniżeli z własnymi krewnymi).

Trzecia grupa to współtowarzysze niedoli z Budzynia, z którymi udało się nawiązać kontakt korespondencyjny: Józef Zysman zamieszkały w Argentynie i Isaj Dratwer – w Izraelu.

Do czwartej, najważniejszej – jak się wydaje – grupy należy zaliczyć wszystkich tych przyjaciół i znajomych autora, z którymi korespondencja miała charakter bliski

⁶⁹ List nr 81 w tym wydaniu.

⁷⁰ Tadeusz Banachiewicz (1882–1954) – wybitny matematyk i astronom zajmujący się także astrofizyką i geodezją, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, członek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk. *Doctor honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego i Poznańskiego.

⁷¹ Hanna Szmuszkowicz (1910–1993) – matematyk, docent, początkowo związana Uniwersytetem Łódzkim, pod koniec życia z Uniwersytetem Warszawskim oraz Polską Akademią Nauk.

⁷² Stefan Rozmaryn (1908–1969) – profesor prawa, marksista. Do 1939 r. adwokat we Lwowie. W roku 1941 uciekł przed Niemcami na wschód. Członek Związku Patriotów Polskich. Od 1947 r. wykładowca UW. Jeden z autorów konstytucji lipcowej z 1952 r.

i prowadzona była przez dłuższy czas. Znaleźli się w niej: Blanka Kościukowa, mająca podobne jak on, doświadczenia obozowe; Miriam Sternbach-Reiss, siostra przyjaciela, także matematyka, zamordowanego we Lwowie przez Niemców, Ludwika Sternbacha; Irena Lewicka, która pomagała jemu samemu i jego rodzinie w okresie okupacji, i na końcu bez wątpienia najbliższy mu członek rodziny, z którym miał kontakt po wojnie, Renata Stark-Cohen, żona jego brata, zamordowanego we Lwowie przez Niemców, Zygmunta Starka. W tej grupie znalazła się także korespondencja z przedwojenną studentką, Heleną Lapter, dla której Marceli Stark był autorytetem.

Do roku 1957 wymiana listów z Renatą Stark-Cohen miała charakter okazyjny, związany głównie z urlopami i innego rodzaju wyjazdami. Mieszkali bowiem oboje we Wrocławiu, gdzie Renata wyszła ponownie za mąż, za Henryka Cohena, lekarza. Dopiero po wyjeździe Renaty i Henryka do Izraela w roku 1957 nabrała ona charakteru regularnego. Jak można sądzić na podstawie zachowanych listów Renaty (listy wysyłane przez Marcellego do Izraela nie zostały zachowane), to ona częściej pisywała, martwiła się o jego stan zdrowia, udzielała porad, przysyłała lekarstwa. On, choć pisywał rzadziej, to jednak ciężko przeżył wyjazd jedynej osoby z rodziny, która pozostała mu w kraju. Po jej wyjeździe żalił się w listach na odczuwaną tęsknotę i przygnębiające uczucie samotności. Spotkali się ponownie tylko raz, w roku 1965, gdy korzystając z podróży po Europie, Marceli udał się z Grecji do Izraela. Koszty podróży lotniczej oraz jego pobytu pokryła Renata.

W piątej grupie umieścić by można z kolei osoby, z którymi korespondencja miała charakter jednorazowy, incydentalny, ale jej treść lub forma były na tyle znaczące, że autor nie chciał się z nią rozstawać. Przykładem pismo z września 1961 r. do Jana Jaworskiego z odmową poparcia przedłużenia urlopu naukowego. Pozostało ono w prywatnym archiwum autora zapewne, jak wspominał Wiesław Żelazko, jako przykład „kunsztu dyplomacji”, gdy musiał odmawiać kierowanemu do niego prośbom⁷³. W tej grupie umieszczono także korespondencję z profesorem Franciszkiem Leją⁷⁴, profesorem Hugonem Steinhausem⁷⁵ oraz Andrzejem Turowiczem⁷⁶. Tutaj znalazł się list od nieznanego z nazwiska Mirka wyraźnie zafascynowanego osobowością Marcellego Starka, a także list autora *Pamiętnika* do Stefana Witkowskiego oraz korespondencja z Feliksem Kabakowem⁷⁷, rosyjskim matematykiem i polonofilem.

W przygotowywaniu *Pamiętnika* i korespondencji Starka do druku nie bez znaczenia była świadomość, że pomimo wielu osiągnięć i dokonań spisanie tych wspomnień, epizodów z życia pod niemiecką okupacją było zapewne najbardziej znaczącym dla po-

⁷³ Zob. wspomnienie Wiesława Żelazko, s. 340–341.

⁷⁴ Franciszek Leja (1885–1979) – matematyk, prof. Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z założycieli Polskiego Towarzystwa Matematycznego oraz jego przewodniczący w latach 1961–1965. Autor niepublikowanych pamiętników *Dawniej było inaczej*.

⁷⁵ Hugo Steinhaus (1887–1972) – matematyk polski, ze względu na żydowskie pochodzenie ukrywał się w okresie wojny jako Grzegorz Krochmalny.

⁷⁶ Andrzej Turowicz (1904–1989) – matematyk, zakonnik i ksiądz katolicki. Otrzymał stopień dr. filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim (1946). Bliski krewny Jerzego Turowicza (1912–1999).

⁷⁷ Feliks Aleksandrowicz Kabakow (1927–2008) – rosyjski matematyk, kandydat nauk, nauczyciel i wychowawca młodzieży, znawca i miłośnik kultury polskiej.



Droga prowadząca do fabryki, odchodząca od szosy Kraśnik–Urzędów, stan dzisiejszy. Fotografie współczesne wykonano dzięki wskazówkom Jarosława Cybulaka i Krzysztofa Kołodziejskiego

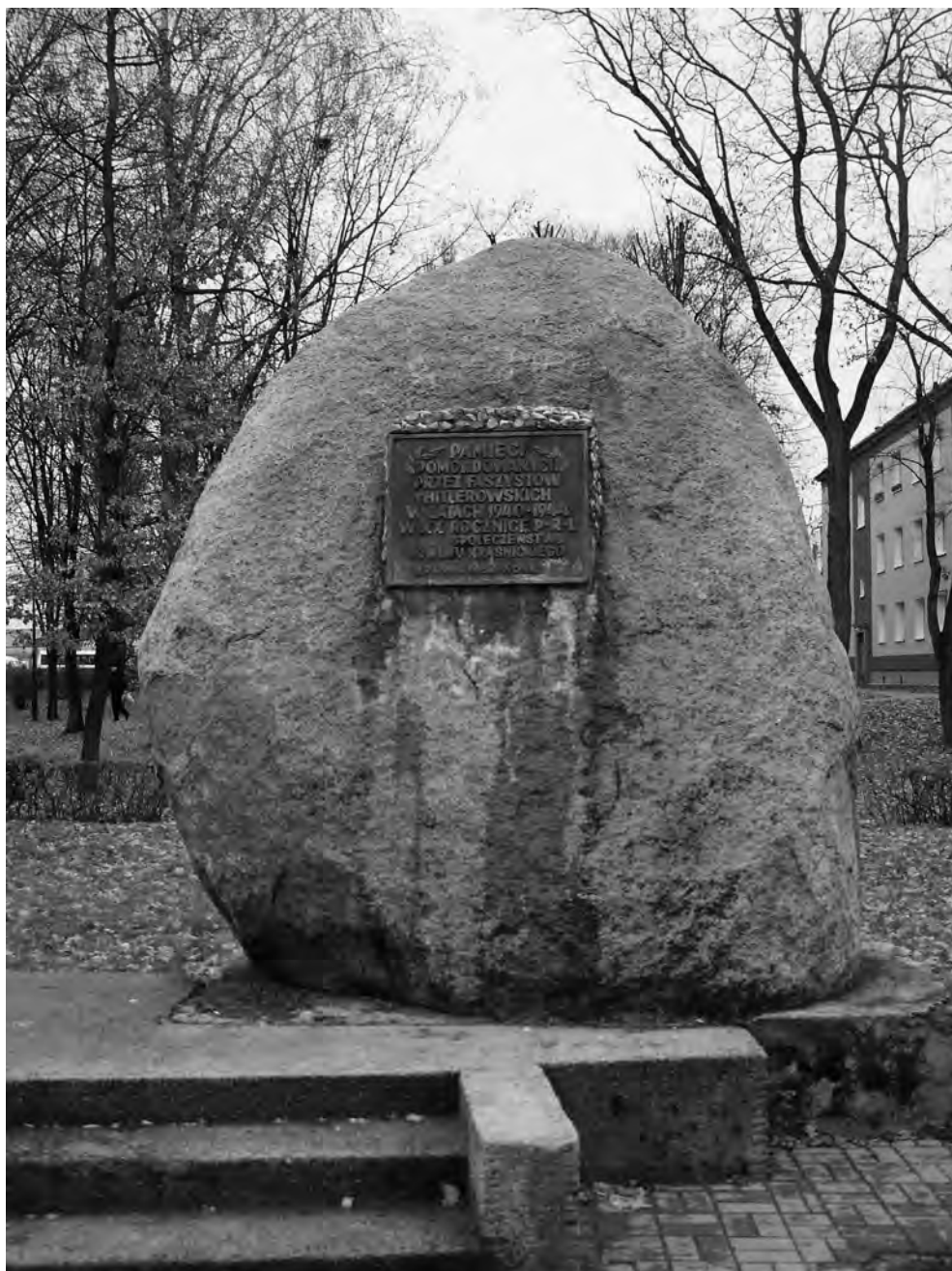
tomnych czynem Marcelego Starka. Książki i artykuły matematyczne, których był autorem lub redaktorem, będą zastępowane coraz nowszymi, doskonalszymi. Relacji złożonej przez świadka nikt poprawić ani ulepszyć nie może. To, co ważne, co pomoże w podtrzymaniu pamięci o tragedii, której doświadczył, co składa się na pamięć o jednym z najważniejszych wydarzeń w dziejach Polski, o zagładzie ponad trzech milionów jej obywateli żydowskiego pochodzenia, należy możliwie dobrze zabezpieczyć, udokumentować i przekazać następnym pokoleniom. Być może przyczyni się to do właściwego upamiętnienia miejsca, w którym rozgrywały się opisywane tu wydarzenia.

Trudno bowiem uznać dzisiejszy stan utrwalenia pamięci o przeszłości na poziomie lokalnym za odpowiedni. Obszar, gdzie obóz funkcjonował, nie jest w żaden sposób oznaczony, nie można odnaleźć ani jego granic, ani nawet dostatecznej informacji o jego istnieniu. Dokładnie tam, gdzie znajdowały się baraki, w okolicy skrzyżowania ulic Słowackiego i Mickiewicza, gdzie mordowano i grzebano więźniów obozu, rozciąga się dziś zabudowa mieszkalna, domy jedno- i wielorodzinne oraz budynki i place usługowe, sklep spożywczy, parking, śmietnik. Przy szosie Kraśnik–Urzędów (droga krajowa nr 833) nie zachował się już właściwie żaden ślad, poza betonowym „odbijakiem”, z dawnej bocznicy kolejowej. Także na terenie samej fabryki nie ma żadnych śladów świadczących o odpowiednim upamiętnieniu tego miejsca. Dawno nieczytelny już napis umieszczony przez harcerzy oraz gwiazda Dawida, zawieszona przez żydowskich turystów na ogrodzeniu okalającym teren, bardziej każą się domyślać niż wyjaśniają, co tam kiedyś było. Z kolei w parku miejskim, którego teren nigdy do obozu nie należał, umieszczono głaz, a na nim napis: „Pamięci pomordowanych przez faszystów hitlerowskich w latach 1940–1944. W XX rocznicę PRL. Społeczeństwo powiatu kraśnickiego. Kraśnik Fabr[yczny] 1964”. Jak to się często dzieje w Polsce, nie ma nawet wzmianki



Fot. Marcin Urynowicz

Tablica zawieszona przez harcerzy polskich oraz gwiazda Dawida umieszczona przez turystów izraelskich na symbolicznym ogrodzeniu byłego obozu koncentracyjnego, mieszczącego się przy fabryce. Napis na tablicy brzmi: „Pamięci pomordowanych w tym lesie w latach 1939–45 p[rzez] niemieckich faszystów. Harcerze”



Obelisk w parku miejskim. Napis brzmi: „Pamięci pomordowanych przez faszystów hitlerowskich w latach 1940–1944. W XX rocznicę PRL. Społeczeństwo powiatu kraśnickiego. Kraśnik Fabryczny 1964 r.”

Fot. Marcin Urynowicz



Pozostałość dawnej bocznicy kolejowej w Kraśniku Fabrycznym nieopodal szosy Kraśnik–Urzędów

Fot. Marcin Urynowicz



Jedna z głównych ulic osiedla fabrycznego, stan dzisiejszy



Skrzyżowanie ulic J. Słowackiego i A. Mickiewicza. Przebudowany budynek przedwojenny (wg wskazówek Henryka Dolińskiego), stan dzisiejszy. Być może stacjonowała w nim załoga SS, nadzorująca obóz pracy w Budzynie, zob. fotografia na s. 23



Miejsce byłego obozu pracy, stan dzisiejszy. Ekspozycja północna, w stronę skrzyżowania ulic J. Słowackiego i A. Mickiewicza

Fot. Marcin Urynowicz



Miejsce byłego obozu pracy, stan dzisiejszy. Ekspozycja południowa, w stronę Kraśnika

Fot. Marcin Urynowicz



Miejsce byłego obozu pracy, stan dzisiejszy. Ekspozycja zachodnia



Miejsce byłego obozu pracy, stan dzisiejszy. Ekspozycja wschodnia

o narodowości ofiar, o tym, że ludzie ci cierpieli, bo byli Żydami. Takie relikty dawnego ustroju nie powinny zakłamywać przeszłości, a wraz z nią naszej pamięci. Czy tragedia tysięcy więzionych tam osób nie zasłużyła na więcej? Czy my sami, a w szczególności mieszkańcy tych stron, winniśmy się tym zadowalać? Myślę, że odpowiedź jest dla wszystkich oczywista.

Tekst publikowanego pamiętnika uległ drobnym poprawkom, niezbędnym dla lepszego zrozumienia. Konieczne było także podzielenie go na części tworzące spójną całość. Tylko niektóre tytuły rozdziałów pochodzą od autora.

Całość książki wieńczy zbiór wspomnień o Marcelim Starku autorstwa osób, które go znały. Tylko niektórzy doczekali chwili wydania niniejszej publikacji. Jakkolwiek wspomnienia te były już drukowane, to jednak warto, by czytelnicy mogli się z nimi zapoznać⁷⁸. Postać Marcelego Starka, bardziej żywa i kolorowa oraz – co ważne – zupełnie momentami niepomnikowa, raczej zwykła, normalna, posiadająca tak zalety, jak i wady, stanie się dzięki nim bliższa, a przesłanie tego, co napisał, bardziej zrozumiałe.

Do grona osób, którym należą się podziękowania za pomoc w pracach nad przygotowaniem niniejszego pamiętnika do druku, należą m.in.: spadkobierczyni Marcelego Starka, pani Barbara Kryda oraz prof. Andrzej Grzegorzczuk i inni inicjatorzy wydania; Jarosław Cybulak, kierownik Archiwum Państwowego w Lublinie Oddział w Kraśniku; Krzysztof Kołodziejewski, z-ca dyrektora Archiwum Państwowego w Lublinie; Zbigniew Wichrowski, dyrektor Muzeum Regionalnego w Kraśniku; Marek Schraberman, pracownik Yad Vashem Institute w Jerozolimie; Rebecca Schiller, pracownik YIVO Institute w Nowym Jorku i wiele innych osób, których tutaj wymienić nie sposób. Bez ich pomocy niniejszy tekst byłby bez wątpienia uboższy.

⁷⁸ „Wiadomości Matematyczne” 1979, nr 21.2 (Seria II), s. 101–113. Wyjątkiem są wspomnienia prof. Andrzeja Grzegorzczuka, po raz pierwszy publikowane w tej książce.

Deklaracja inicjatorów

Marceli Stark (1908–1974) na przełomie lat 1945–1946 w krótkim czasie napisał swój zadziwiający „Pamiętnik”, złożony z opisów wybranych epizodów swego życia z okresu 1942–1945.

Kiedy ciężko zachorował, powierzył Barbarze Krydzie troskę o swój „Pamiętnik”, pozostawiając jej całkowitą swobodę publikowania wszystkich materiałów związanych z jego życiem. Dlatego pierwszymi czytelnikami „Pamiętnika”, spośród odwiedzających Marceliego jego znajomych i przyjaciół, byli:

Barbara Kryda, adiunkt na Wydziale Polonistyki UW, nauczycielka języka polskiego w Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie;

Andrzej Grzegorzczuk, logik, filozof, profesor IFiS PAN i UW;

Renata Grzegorzczukowa, językoznawca, profesor UW;

Andrzej Schinzel, matematyk, profesor IM PAN, członek PAN;

Hanna Żelazko, matematyczka, nauczycielka matematyki w Gimnazjum i Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie;

Wiesław Żelazko, matematyk, profesor IM PAN.

Wyżej wymienieni, zapoznawszy się z „Pamiętnikiem”, zgodnie uznali, że stanowi on ważne świadectwo wydarzeń i głębokich, dramatycznych przeżyć ich autora, i gorąco wsparli Barbarę Krydę w zamiarze opublikowania „Pamiętnika” wraz z innymi materiałami (szczególnie korespondencją) związanymi z jego autorem, stanowiącymi tragiczny obraz ludzkiego losu, nie pozbawiony jednak nadziei i wiary w sens dobra.



Zbiory Barbary Krydy

Marceli Stark, ok. 1970 r.



Zbiory Barbary Krydy

Barbara Kryda – główna spadkobierczyni Marceliego Starka, depozytariuszka Pamiętnika

SŁOWO
O
MARCELM STARKU



Frank Marcelli

*Going home, going home,
We are going home;
That's not far, just across,
Through an open door.
(negro spirituals¹)*

(Do domu, do domu,
Oto idziemy do domu;
To niedaleko, byle przejść
Przez otwarte drzwi).
(tłum. Barbara Kryda)

Jeżeli prawdą jest, że każde istnienie ludzkie przez czas swojego trwania – od początku do końca – rozwija i realizuje swój własny, tajemniczy plan Dojścia – Wypełnienia – Dokonania, to trzeba też przyznać, że zdarzają się egzystencje, dla których proces ten przebiega szczególnie boleśnie. Każda z nich może stanowić materiał do refleksji, zawiera jakąś naukę, którą przyjąć należy z szacunkiem i pokorą. Zdarzają się i takie, którym towarzyszyć musi zaskoczenie, współczucie i głęboka zaduma nad zawiłymi drogami, które trzeba było przemierzyć, zanim otworzyły się te właśnie drzwi, o których mówi cytowana pieśń.

Szczególnie okrutnie bywa wtedy, gdy los jednostki nakłada się na wyjątkowo trudny moment historii i gdy znajduje się ona na przecięciu sfer przyciągania różnych napięć kulturowych, różnych systemów wartości.

Nie ma dróg lepszych i gorszych. Każda jest niepowtarzalna. Ale też i każda zasługuje dlatego na uważne, obecne współczucie nas wszystkich – współuczestników w tym dążeniu.

Spotykający się, rozpoznający spod swego obciążenia, żegnający się w sytuacji odejścia, w momencie, w którym nadal nic nie jest jasne ani rozwiązane do końca – możemy sobie ofiarować świadomy wysiłek obecnej, lojalnej miłości.

Życie Marcelego Starka, matematyka, urodzonego we Lwowie 19 września 1908 r., a zmarłego w Warszawie 4 maja 1974 r., jest przykładem jednej z tych właśnie, szczególnie trudnych dróg, na których przecięły się i splątały zarówno momenty dziejowe, jak związana z nimi tragedia środowiska, z którego pochodził, a w końcu napięcie indywidualnego losu człowieka. Może być ono również przykładem egzystencji, na której przebiegu znać szczególnie mocno kształt owej – jeśli można ją tak nazwać – siły porządkującej, pod której naciskiem w najgłębszym nawet rozdarciu formują się i objawiają ład, spokój i harmonia.

Przejawiała się ona, między innymi, w napięciu i odwadze zasadniczych pytań stawianych wobec świata i jego porządku, życia społeczeństwa, w którym żył, i sensu własnego istnienia. Pierwsze z nich zadecydowało o wyborze drogi naukowej w matematyce, której nie oddzielał nigdy od ogromnego świata kultury – filozofii, sztuki, zwłaszcza

¹ Fragment religijnej pieśni niewolników murzyńskich.

muzyki, którą przeżywał głęboko i lubił się tym przeżyciem dzielić z innymi. Drugie związało go od wczesnej młodości z konsekwentnie lewicowymi, rewolucyjnymi kręgami społeczno-politycznymi oraz przyczyniło się do świadomego, choć niezwykle trudnego, dokonanego w tragicznych warunkach samookreślenia sytuacji narodowej. Trzecie na koniec przesądziło o akceptacji wiary.

Wszystkie te trzy rejony spłoty się i dopełniły, tworząc – szczególnie w ostatnich latach życia – pod cieniem nasilającej się choroby, ów dostrzegalny ton akceptującej pogody, zainteresowania pełnią człowieczego losu, aktywnego wobec ludzi, z którymi żył, i pragnienia włączenia we wspólnotę duchową tych, których uważał za bliskich.

Przed śmiercią Marceli uporządkował osobiste papiery, pozostawiając tylko te, które wydawały mu się szczególnie ważne. Na pierwszym miejscu znajdował się dokument w postaci grubego brulionu, nazywany tu *Pamiętnikiem*, z którego niewielkie fragmenty były drukowane po śmierci Autora w „Więzi” (1975, nr 3). Oprócz tego pozostały, również wybrane przez niego samego, listy z lat 1946–1973. Stanowią one tło, na którym *Pamiętnik* nabiera szczególnego znaczenia.

Nie istnieje już świat, z którego Autor wyrósł i o którego zagładzie próbował opowiedzieć na przykładzie własnym i najbliższych ludzi.

Nie ma tamtego Lwowa, miasta wielu kultur, w którym przez stulecia żyła społeczność polsko-ukraińska (czy polsko-ukraińsko-żydowska lub polsko-żydowsko-ukraińsko-niemiecka). W ich współżyciu łączyły się i przecinały kwestie obyczajowe, narodowe, społeczne i wyznaniowe.

Ich granice bywały ostre, ale bywały i zatarte, zmieniały się i przesunęły ze względu na czas i okoliczności. Dotyczyło to nie tylko obszaru dawnego zaboru austriackiego, na którego terenie leżał Lwów. Przez cały wiek dziewiętnasty dokonywały się przecież w całej Europie przekształcenia społeczno-kulturowe, prowadzące m.in. do łagodzenia napięć czy różnic obyczajowych, w tym i takich, które wynikały z demonstrowanych sposobów zachowań towarzyszących różnym wyznawanym religiom. Mimo odżywiających konfliktów czy – z drugiej strony – deklarowanej obojętności, były szanse na uratowanie i w niepodległej Polsce tej wielokulturowości. Historia najnowsza (zwłaszcza to, co stało się po roku 1939), zdecydowała, że stało się inaczej.

Lwów był miastem, gdzie zawsze współistniało względne bogactwo jednych i skrajna bieda drugich, pewność siebie jednych i głębokie kompleksy innych, osadzenie od dawna, w sposób naturalny, w różnych tradycjach narodowych i religijnych. Nadawały one tej społeczności szczególny, trwały charakter, pełen wewnętrznych napięć, ale i fascynacji, dla powierzchownego obserwatora niepozbawionych zewnętrznego uroku. Dla tych jednak, którzy znajdowali się w samym centrum takich układów i przemian, zmuszani niekiedy do dramatycznych osobistych wyborów, musiały wydawać się one krzywdzące i bolesne.

Na to wszystko nałożyło się po 1939 r. nieludzkie doświadczenie wojny, zwłaszcza po wkroczeniu do Lwowa Niemców latem 1941 r. i założeniu tam w dzielnicy Zamarstynowa „strefy wydzielonej” – obozu janowskiego, pełniącego (oprócz getta) funkcję obozu koncentracyjnego dla ludności żydowskiej. Ostateczny koniec społeczności żydowskiej (jej wymordowanie, wywiezienie) nastąpił w roku 1942.

Bez uwzględnienia tego doświadczenia w życiorysie Marcelego nie da się zrozumieć formowania jego świadomości, przeżyć i decyzji.

Wielokrotnie mówił on o rodzinie, z której pochodził („ojciec był zastępcą handlowym, po wojnie od r. 1922 do 1932 kupcem, potem zbankrutował i został inkasentem handlowym do wybuchu wojny w 1939 r.”) – była to galicyjska inteligencja polsko-żydowska, w której językiem myślenia i wypowiadania się, formowanym na lekturach szkolnych i publicznym życiu kulturalnym był przede wszystkim, a czasem wyłącznie język polski, w bliskim towarzystwie niemieckiego i angielskiego, z wyniesionymi ze szkoły elementami greki i łaciny. Zapleczem dla nich była szeroko rozumiana kultura europejska. Świadectwem tej kultury są książki, gromadzone w domowych zbiorach, ratowane w czasie wojny i po niej, oddawane na przechowanie polskim przyjaciołom.

Deklarowanym oficjalnie wyznaniem była (jak widać na przechowanym przez polskich przyjaciół ze Lwowa maturalnym świadectwie szkolnym Marceliego) religia mojżeszowa, sam Marceli jednak – wcześniej określając swoją postawę jako radykalnie lewicową – w konsekwencji uważał się za ateistę. Z tej pozycji brał też udział w pracach organizacji studenckiej „Życie” (Związek Niezależnej Organizacji Socjalistycznej „Życie”), a od roku 1935 do jej rozwiązania w KPZU (Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy). Związek z tymi organizacjami wynikał z osobistych doświadczeń życiowych – jak sam pisze, „skrajnej nędzy po utracie pracy przez ojca, wyrzucenia rodziny z mieszkania na bruk” itp. To wszystko spowodowało zaostrzoną ocenę świata, ludzi i wartości.

W oficjalnym życiorysie napisanym w roku 1950 określił swoje pochodzenie jako „drobnomieszczańskie”, posługując się używanym wówczas stereotypem. W tym samym dokumencie opisuje swój stosunek do przemian politycznych w powojennej Polsce: „W obliczu napiętej sytuacji międzynarodowej w zimie ubiegłego roku postanowiłem wstąpić do partii, jeśli zostanie przyjęty. Zgłosiłem się w kwietniu ubiegłego roku, z przyczyn ode mnie niezależnych przyjęcie mnie jako kandydata zostało odłożone do października ub.r., z tym jednak, że pracowałem już pod dyktandami partii. W październiku zostałem przyjęty jako kandydat i jestem nim dotychczas”².

Tego okresu w swoim życiu – choć miał do niego w latach późniejszych stosunek krytyczny – nigdy się jednak nie wyparł.

Zarówno on sam (po studiach od roku 1932 asystent przy katedrze prof. Banacha³, a następnie przy katedrach prof. Ruziewicza⁴ i Steinhausa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie), jak i jego starszy brat Zygmunt, lekarz, pracowali w środowiskach inteligenckich Lwowa. Marceli podejmował również (częściowo legalnie, później nielegalnie) działalność ideowo-społeczną w kręgach robotników i biedoty miejskiej. Ich bliscy i przyjaciele,



Marceli Stark,
zdjęcie maturalne

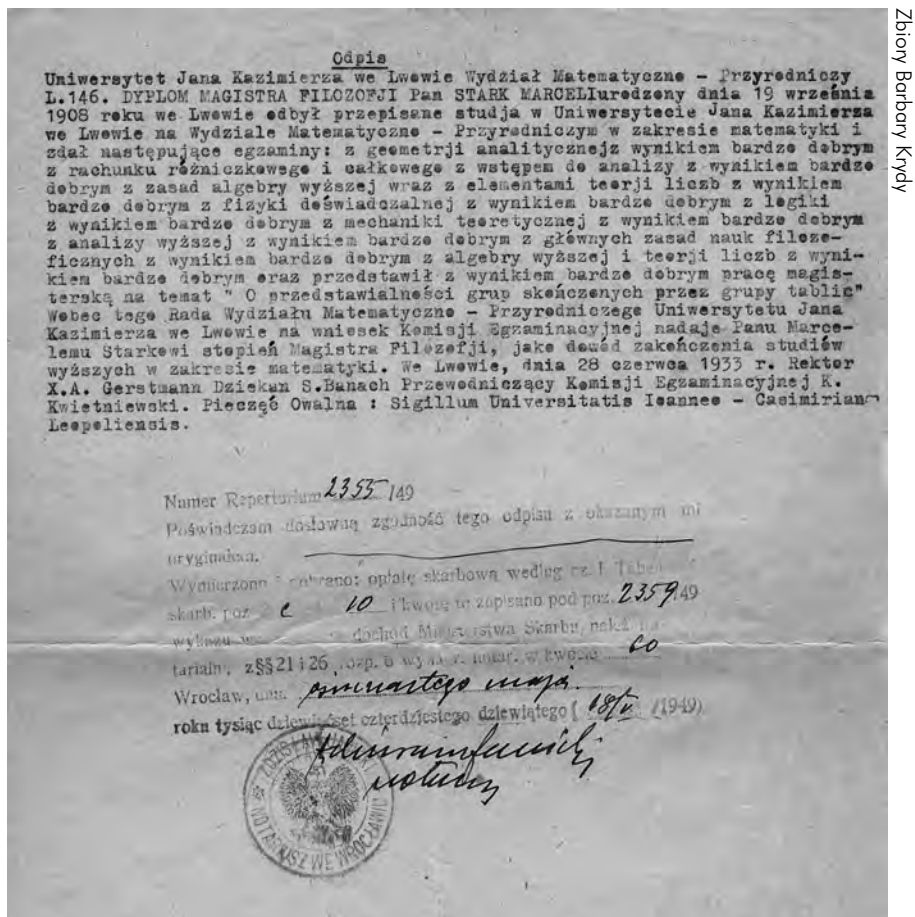
² Zob. „Życiorys własny autora wspomnień”, s. 69–71.

³ Stefan Banach (1892–1945) – wybitny matematyk, przedstawiciel tzw. szkoły lwowskiej, twórca nowej dyscypliny matematycznej: analizy funkcjonalnej. Od 1927 profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Od 1939 prezes Polskiego Towarzystwa Matematycznego.

⁴ Stanisław Ruziewicz (1889–1941) – matematyk polski, ofiara ludobójstwa niemieckiego.

niekiedy wybitni specjaliści, w większości wymordowani w czasie okupacji, stanowili też część owej inteligenckiej tkanki łącznej, narastającej w społeczeństwie polskim po I wojnie światowej, na którą składali się przedstawiciele czy spadkobiercy różnych grup społecznych i różnych narodowości. Wielu jej przedstawicieli, w tym wszyscy pochodzenia żydowskiego, zostało skazanych przez niemieckiego okupanta na wyniszczenie.

Wśród osobistych dokumentów Marcelego, uratowanych i przechowywanych przez jego lwowskich przyjaciół, znalazło się wspomniane świadectwo maturalne z III Gimnazjum im. króla Stefana Batorego we Lwowie⁵ oraz dyplom magistra filozofii z Lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza (Wydział Matematyczno-Przyrodniczy)⁶, podpisany przez rektora księdza Adama Gerstmann⁷ i dziekana S[tefana] Banacha. Na tym dyplomie znajdują się same oceny bardzo dobre.



Zbiory Barbary Krydy

Notarialne poświadczenie tytułu magistra, uzyskanego na przez Marcelego Starka na Uniwersytecie we Lwowie, Wrocław, 18 maja 1949 r.

⁵ Zob. dokument na s. 53–54.

⁶ Zob. dokument na s. 55–56.

⁷ Adam Gertsman (1873–1940) – ksiądz katolicki, rektor Uniwersytetu Lwowskiego.

l. pisany na Wydział mac-przyroun. U. J. K.
Lwów, dnia X 1926

Zgłosił (a) się na Politechnikę we Lwowie
Wydział inżynierski 1. roku
we Lwowie, dnia 20 września 1934 r.

KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO

Lwowskiego

PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Stark Marceli



urodzony dnia 19 miesiąca września
roku 1908 w Lwowie
województwa lwowskiego
wyznania możeszowego
po ukończeniu nauki w Państwowym
Gimnazjum III im. Kr. Stefana
Batorego w Lwowie,

do którego był przyjęty
1 września roku 1924, zdawał w dniu 27 maja roku 1926
gimnazjalny zwyczajny egzamin dojrzałości dawnego typu klasycznego wobec
Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez Kuratorium Okręgu
Szkolnego Lwowskiego

pismem z dnia 23 marca 1926 Nr F-3535, i otrzymał
następujące oceny ostateczne z przedmiotów egzaminacyjnych:

z religii	<u>dobry</u>
z języka polskiego	<u>~</u>
z języka łacińskiego	<u>dostateczny</u>
z języka greckiego	<u>dobry</u>
z historii wraz z nauką o Polsce współ- czesnej	<u>dobry</u>
z fizyki	<u>~</u>
z matematyki	<u>bardzo dobry</u>

Poza tem uzyskał _____ ostatnie oceny roczne w klasach VI—VIII
(lub odpowiednie oceny na egzaminie wstępnym do wymienionego gimnazjum)
z przedmiotów następujących:

z języka polskiego: *dobry*
z fizyki: *dobry*
z języka niemieckiego: *dobry*
z przyrodoznawstwa: *dobry*

z propedeutyki filozofji: *bardzo dobry*
z ćwiczeń cielesnych: _____
z _____: _____
z _____: _____

Państwowa Komisja Egzaminacyjna uznała *Starka*
Marcelęgo za dojrzałego do studjów
wyższych i wydaje *mu* niniejsze świadectwo.

W Łwowie dnia *27 maja* roku *1926*

Nr. *19*



PRZEWODNICZĄCY
PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

Starka

CZŁONKOWIE
PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

Emanuel Rowny, inż.

Helena Chmińska, mgr. z historji.

Władysław Stajda, mgr. z j. łac.

Adam Małyszynowski, mgr. z matemat.

Albin Wierzyński, mgr. z j. greck.

UNIwersYTET *Jana Kazimierza we Lwowie*
 WYDZIAŁ *Matematyczno-Przyrodniczy*
 L. 146.

DYPLOM MAGISTRA FILOZOFJI

Pan *Stark Marceli*
 urodzony dnia *19 września* 1908 roku we *Lwowie*
 odbył - przepisane studia w Uniwersytecie *Jana Kazimierza*
 we *Lwowie* na Wydziale *Matematyczno-Przyrodniczym*
 w zakresie *matematyki*
 i zdał - następujące egzaminy:

z *geometrii*
analitycznej z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *rachunku różniczkowego i całkowego*
 z *gozrę występnym do analizy* z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *zasad algebry wyższej wraz z elemen-*
tami teorii liczb z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *fizyki*
doświadczalnej z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *logiki* z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *mechaniki*
teoretycznej z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *analizy*
wyższej z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *głównych zasad nauk*
filozoficznych z wynikiem *bardzo dobrym*
 z *algebry wyższej*
i teorii liczb z wynikiem *bardzo dobrym*
 z z wynikiem

Sygn. F. 2.

Drukarnia Państwowa Nr. 37981. 10-IX. 27. 4000.

z z wynikiem
z z wynikiem
z z wynikiem

oraz przedstawił - z wynikiem *bardzo dobrym* pracę magisterską
na temat *O przedstawialności grup skończonych przez grupy tablic*

Wobec tego Rada Wydziału *Matematyczno-Przyrodniczego*
Uniwersytetu *Jana Karłowicza we Lwowie*
na wniosek Komisji Egzaminacyjnej nadaje Panu *Marcelemu*
Starkowi stopień

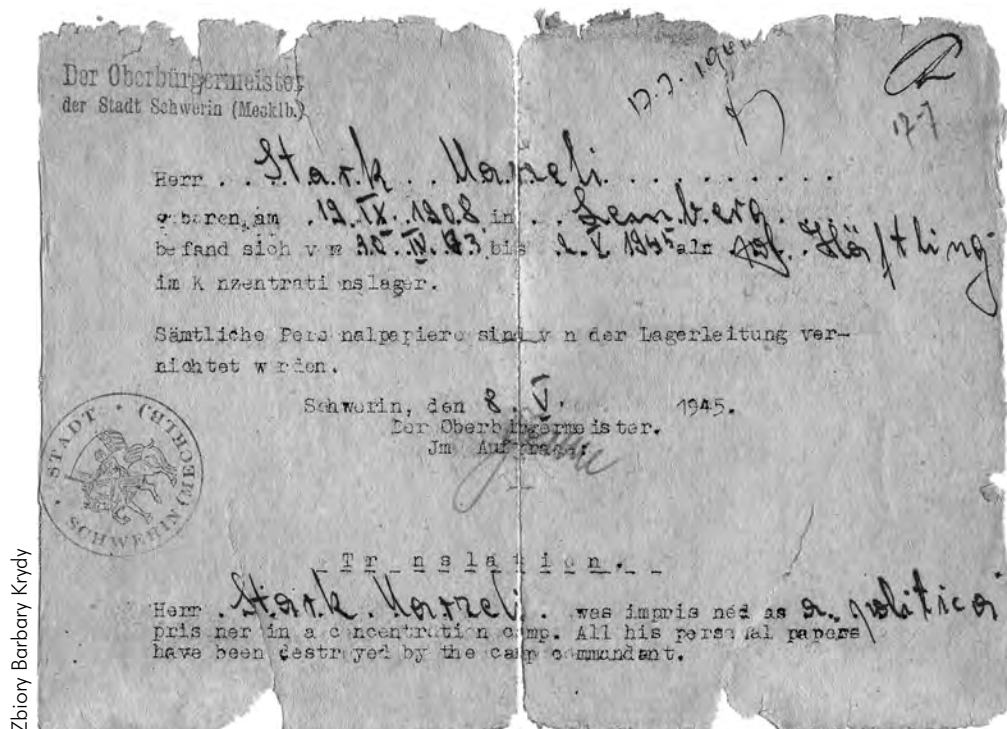
MAGISTRA FILOZOFJI,
JAKO DOWÓD ZAKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH W ZAKRESIE
matematyki

We Lwowie, dnia *28 czerwca* 1933 r.

REKTOR *[Signature]* DZIEKAN *[Signature]*

 PRZEWODNICZĄCY KOMISJI EGZAMINACYJNEJ
[Signature]

Zabiegając po wojnie o odzyskanie osobistych książek, oddanych we Lwowie na przechowanie przyjaciółom i znajomym (przede wszystkim Irenie i Marianowi Lewickim⁸), Marceli podkreślał szczególne znaczenie dwunastotomowego, angielskojęzycznego wydania dramatów Szekspira⁹, *Klubu Pickwicka* Dickensa¹⁰ oraz podartej broszury, biografii Marii Curie¹¹ („jedynej [...] pamiątki po Matce”¹²).



Zaświadczenie o byciu więźniem obozów koncentracyjnych, wydane Marcelemu Starkowi przez nadburmistrza miasta Schwerin, 8 maja 1945 r.

Zachowało się również zaświadczenie o pobycie w obozie koncentracyjnym. Skrajnie zniszczoną, podklejoną z największą pieczołowitością karteczkę podpisał jakiś *Oberbürgermeister der Stadt Schwerin (Mecklb.)*¹³. Zaświadcza ona, że Herr¹⁴ Stark Marceli urodzony 19 IX 1908 in Lemberg¹⁵, przebywał od 30 IV [19]43 do 2 V 1945 jako *pol[nische] Häftling im Konzentrationslager*¹⁶.

⁸ Zob. przypis nr 54 we „Wstępie”.

⁹ Chodzi oczywiście o Williama Szekspira (1564–1616).

¹⁰ Charles Dickens (1812–1870) – jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy angielskich.

¹¹ Maria Skłodowska-Curie (1867–1934) – najśłynniejsza polska chemiczka i fizyczka, dwukrotna laureatka nagrody Nobla.

¹² Zob. list nr 46 w tym wydaniu.

¹³ *Oberbürgermeister der Stadt Schwerin (Mecklb.)* (niem.) – nadburmistrz miasta Schwerin (Mek[emburgia]).

¹⁴ Herr (niem.) – pan.

¹⁵ In Lemberg (niem.) – we Lwowie.

¹⁶ *Pol[nische] Häftling im Konzentrationslager* (niem.) – pol[ski] więzień w obozie koncentracyjnym.

Przed samą śmiercią, dokonując wyboru papierów osobistych (przede wszystkim listów i brulionów maszynopisów) nieprzeznaczonych do zniszczenia, Marcelli pozostawił nam również prawo wykorzystania ich do ewentualnej publikacji łącznie z *Pamiętnikiem* (sugerując, jeśli to będzie potrzebne, jakieś uporządkowanie chaotycznie zapisywanego w brulionie materiału).

Pamiętnik powstał w całości na przełomie 1945 i 1946 r. Dotyczy on głównie roku 1943. Pojawiająca się na marginesie w pewnym momencie uwaga: „Może napisanie tego pamiętnika będzie Letą¹⁷” – określa charakter całości. Po wojnie dawał Marcelli bliskim fragmenty do przeczytania i oceny – znajdziemy ślad tego w zachowanych listach. Poszczególne rozdziały, chaotyczne pod względem konstrukcyjnym, cechuje pewien wspólny rys: obok tendencji dokumentacyjnej zdumienie rodzajem doświadczenia, wstrząs doznanego przeżycia, dramat weryfikowania – również w sobie – tych wszystkich niszczących sił, jakie namacalnie, w sposób odkryty, jawny wystąpiły w naszej epoce przeciw wartościom kultury europejskiej.

Skazany na śmierć wraz z całą społecznością żydowską, z którą wyłączny związek wcale nie był dla niego dotąd oczywisty (czuł się członkiem całego społeczeństwa, w którym żył), przeszedł wszystkie możliwe stopnie zagrożenia i degradacji, jakie w tej sytuacji były możliwe. Tak to zapisuje. Kolejne etapy uwięzienia, roboty przymusowe, próby ucieczki, utrata bliskich, izolacja w getcie warszawskim zakończona powstaniem, kolejne obozy, przez które przeszedł: Lublin, Budzyń, Majdanek, Płaszów, Ravensbrück, Sachsenhausen. Wreszcie dramat podjęcia życia na nowo. Z tej właśnie pozycji, z dystansu paru zaledwie miesięcy od zakończenia wojny relacjonuje niektóre rejonu dostępnego sobie doświadczenia.

Uogólnienia wyrastają tu rzadko. Wzniesione bywają któraś z tych sił nie do zniszczenia – instynktem wspólnoty, wierności prawdom najprostszym, wstrząsem wobec obrazu miłości (np. fragment dotyczący ojca z małym synkiem w obozie) i zgrozą wobec okrucieństwa, upostaciowanego np. w osobach komendanta Götha¹⁸ czy Feixa¹⁹. Pragnienie obiektywizmu łączy się z najgłębiej osobistą postawą piszącego. W jednym z listów pisze po wojnie: „Próbowałem pisać dziennik. Zostawiłem. Zaczęła się z tego robić zła literatura”. Ale dokonanego zapisu nie zniszczył. Jedyne zabieg, którego dokonaliśmy wobec tekstu, to wprowadzenie układu chronologicznego.

Zachowany wybór z korespondencji dopowiada w przejmujący sposób treść *Pamiętnika*, ukazując tło osobowe – postacie przyjaciół, znajomych, wreszcie niektórych ocalałych krewnych autora.

Jest to przede wszystkim blok listów od bratowej, żony zamordowanego we Lwowie Zygmunta, lekarza, po którym pozostała jedynie „Karta przynależności” z 1922 r. (zaświadczenie posiadania „prawa swojszczyzny w gminie miasta Lwowa”)²⁰. Bratowa, Renata Stark-Cohen (z domu Wilbach), była wybitną orientalistką; po wojnie wyszła za mąż po raz drugi, również za lekarza i do roku 1956 mieszkała i pracowała we Wrocławiu. Następnie zdecydowała się na emigrację do Izraela. Pracowała na uniwersytecie

¹⁷ Leta – w mitologii starożytnych Greków nazwa jednej z pięciu rzek Hadesu, jej woda pozwalała zapomnieć zmarłym o swoim poprzednim życiu.

¹⁸ Zob. przypis nr 49 we „Wstępie”.

¹⁹ Zob. przypis nr 11 we „Wstępie”.

²⁰ Zob. dokumenty na s. 59 i 60.

Kraj: Małopolska Powiat polit.: Miasto Lwów.

L. 106992 1922. -
IV.

Oplata mlej uiszczonea do poz. 9861
od świadczenia: 500.
koncesji: 300.
w Protokole: 1922
We Lwowie dnia 18/11/1922

Karta przynależności

mocą której magistrat kr. st. m. Lwowa potwierdza, że

(Nazwisko) Zygmunt Stark

(Charakter lub zatrudnienie) student

(Wiek) ur. we Lwowie dnia 30 października 1904 r.

posiada prawo swojszczyzny w gminie miasta Lwowa.

Własnoręczny podpis strony: Zygmunt Stark

Lwów, dnia 18 listopada 1922 r.

Prezydent miasta:
Janusz

Dowództwo

OPŁATA STEMPLOWA 50000
OPŁATA STEMPLOWA 100000
OPŁATA STEMPLOWA 100000
OPŁATA STEMPLOWA 30000
OPŁATA STEMPLOWA 30000

Drakiem W. A. Skrykowski, Zimorowicza H. Tel. 740.

Karta przynależności – poświadczenie swojszczyzny w mieście Lwów Zygmunta Starka, brata Marceliego

w Jerozolimie, choć języka hebrajskiego musiała uczyć się od podstaw. Prowadziła zajęcia m.in. z języków: tureckiego, nowoujgurskiego, kazachskiego, mongolskiego. Po wtórnie owdowiała, do śmierci Marcelego pozostała dla niego najbliższym członkiem rodziny, wymieniali między sobą dziesiątki listów, na ogół banalnych, jakie pisuje się w takich układach na co dzień. Były tam informacje o niewielu pozostałych przy życiu znajomych, o zdrowiu, bieżących zajęciach, zainteresowaniach – m.in. o lekturach.

29581

CENTRALNY KOMITET ŻYDÓW w POLSCE
WYDZIAŁ EWIDENCJI I STATYSTYKI

Karta rejestracyjna Nr _____

1. Nazwisko Stark
(dla przątek panieńskie)

2. Imiona Renata
(używane podkreślić)

3. Urodzony (a) dn. 25. IX mies. 1904 roku
w _____

4. Rodzice Boruch - Pepi
(imię ojca, imię i nazwisko panieńskie matki)

5. Adres z 1.IX 1939 r. _____

6. Skąd przybył(a) _____
(nazwa miejscowości, ew. nazwa kraju)

7. Adres obecny (i ewent. następne zmiany adresu)

Data zamieszkania	Miejscowość	Ulica
	Wrocław	Karlówce Wnie.
		Poko 32

8. Stan cywilny _____

9. Wykształcenie _____
(dla uczących się podać nazwę zakładu naukowego)

Zbiory Barbary Krydy

Karta rejestracyjna Renaty Stark-Cohen, wypełniona w siedzibie
Komitetu Żydowskiego w Katowicach, 28 marca 1947 r.

Wymieniali między sobą książki, w tym naukowe, ale też polską wersję literackiej klasyki europejskiej oraz jej oryginały w języku francuskim, niemieckim czy angielskim. Znajdowały się tam również pozycje współczesnej literatury polskiej. Renata Cohen, zdecydowawszy się na Jerozolimę, jako na swoje miejsce na ziemi, zaakceptowała z pełnym zrozumieniem decyzję pozostania w Polsce, jak go nazywała, Musia. Zapraszała go do siebie na gościnny pobyt połączony z wykładami w różnych środowiskach, ale wiedziała, że jego miejsce jest w Polsce. Po śmierci Marcelego, o której natychmiast ją zawiadomiliśmy (wraz z informacją o przyjętym przez niego chrzcie), napisała, że chce mieć również i swój finansowy wkład w jego płytę nagrobną. Jej życzenie zostało spełnione.

8 grudnia 1974.

Droga Pani,

9.

Serdecznie dziękuję za list z dnia 9. listopada.

Zapewne trudno było znaleźć kamieniarza, który by wykonał pracę nie typową. Odłożenie więc roboty do wiosny wydaje się i mnie słuszne.

Jestem pewna, że decyzja Marcelego wynikała z głębokiej potrzeby wiary. Uważam też, że każdy człowiek może wybrać religię, która mu odpowiada. To sprawa bardzo osobista, w którą nikt nie ma prawa ingerować.

Załużę bardzo, że macie tak złą pogodę. U nas dotychczas było temperatura prawie letnia, od dwóch ^{dni} mamy deszcze, bardzo potrzebne dla rolnictwa. Z tego może Pani z łatwością wyciągnąć wniosek o niesprawiedliwości na tym Bozym świecie. Jedni posiadają zbyt mało, inni zbyt wiele. Jedno i drugie niezależne od człowieka.

Wkrótce zbliżają się święta Bożego Narodzenia, a po tym kończy się stary rok i następuje Nowy.

Zyczę więc Pani i Jej Rodzinie szczęśliwego

NOWEGO ROKU.

Zbiory Barbary Krydy

List Renaty Stark-Cohen do Barbary Krydy, 8 grudnia 1974 r.

Zbiory Barbary Krydy

14. 5. 1975

Droga Pani

Serdecznie dziękuję za przesłanie mi ~~mi~~
 mi dwóch fotografii grobowca sp. Marceliego.
 Robota kamieniarska piękna i napis na grobowcu
 niesamblanowy. Odróżniam ten zieleń, lecz ta wy-
 maga przelegnowania, a więc dodatkowy koszt.
 Dla Pani. Nie otrzymuję jeszcze czasopisma,
 w którym wydrukowane były fragmenty po-
 niżej, mam jednak nadzieję, że poście nie zawiedzie.
 Raz jeszcze dziękuję za trud i starania,
 oraz życząc serdecznie zyskania zdrowia dla
 Pani i Jej Rodziny

Renata Stark-Cohen-Wilkart

List Renaty Stark-Cohen do Barbary Krydy, 14 maja 1975 r.



Zbiory Barbary Krydy

Grób Marceliego Starka

Pozostałe listy, choć nie tak liczne, ukazują jednak ważne strony trudnej egzystencji Marcelego i środowiska, z którym czuł się związany.

Są to, po pierwsze, listy zamykające doświadczenie okresu wojny oraz odnajdujące nielicznych dawnych, żyjących przyjaciół i znajomych, zwłaszcza tych, którym autor zawdzięczał coś w swojej tragicznej wojennej tułaczce (m.in. Edwarda Otto, Karola Borsuka, Ireny i Mariana Lewickich). Widać, że chciał natychmiast przekazać im słowa podziękowania. Było ich niewielu; więcej takich, którym pragnął się zwierzyć z aktualnej trudności adaptacji w nowej rzeczywistości, zwłaszcza wobec odradzających się postaw antysemityzmu (np. Blanka Kościukowa, Miriam Sternbach-Reiss); są wreszcie wśród nich i tacy, którzy trafem ocaleni, znaleźli się (jak wszyscy wysiedleni ze wschodnich części Polski – w tym wypadku ze Lwowa) bez znanej sobie, ojczystej ziemi pod nogami.

To pokazuje wymiana myśli z Ireną Lewicką ze Lwowa, po wojnie zamieszkałą w Krakowie, która przechowała część książek i dokumentów Marcelego (brat Ireny, Marian Lewicki, orientalista, sprowadzał po wojnie do Polski ze Lwowa zbiory Ossolineum) czy z Heleną Lapter z Torunia (dawną lwowską studentką), której usiłował w jej rozterkach pomóc.

Interesująca jest powojenna wymiana listów z byłymi współwziętnymi z obozu w Budzynie, członków „matematycznego komanda”, używanego przez Niemców do dokonywania specjalnych obliczeń na potrzeby okupanta. Rozproszeni po świecie (Argentyna, Izrael, Polska) przedstawiają dalszy ciąg dziejów tej rozbitej społeczności, której elementem wspólnym pozostały polska kultura i język, jakim do siebie mówią poprzez dzielącą ich przestrzeń.

Z korespondencji tej widać, że po doświadczeniu okupacji i po cierpieniu obozów Marceli przeżył szok także na skutek przeżyć powojennych. Wróciwszy do kraju w lipcu 1945 r., o mało co nie padł ofiarą pogromu w Krakowie²¹. Podobnie zapewne przeżył wieści o pogromach w Kielcach²². Mimo to, nie tylko znajdował w sobie dość sił na podjęcie i utrzymanie pozycji w środowisku, ale umiał podtrzymywać innych, służyć radą słabszym od siebie. Radził nie rezygnować z dalszej drogi w życiu, wbrew tragicznym doświadczeniom nie załamywać się, nadrabiać stracony czas i możliwości, szukać pocieszenia w nauce, sztuce, w przyjaźni, w twórczej pracy, w życiu rodzinnym. Sam jednak rodziny już nie założył.

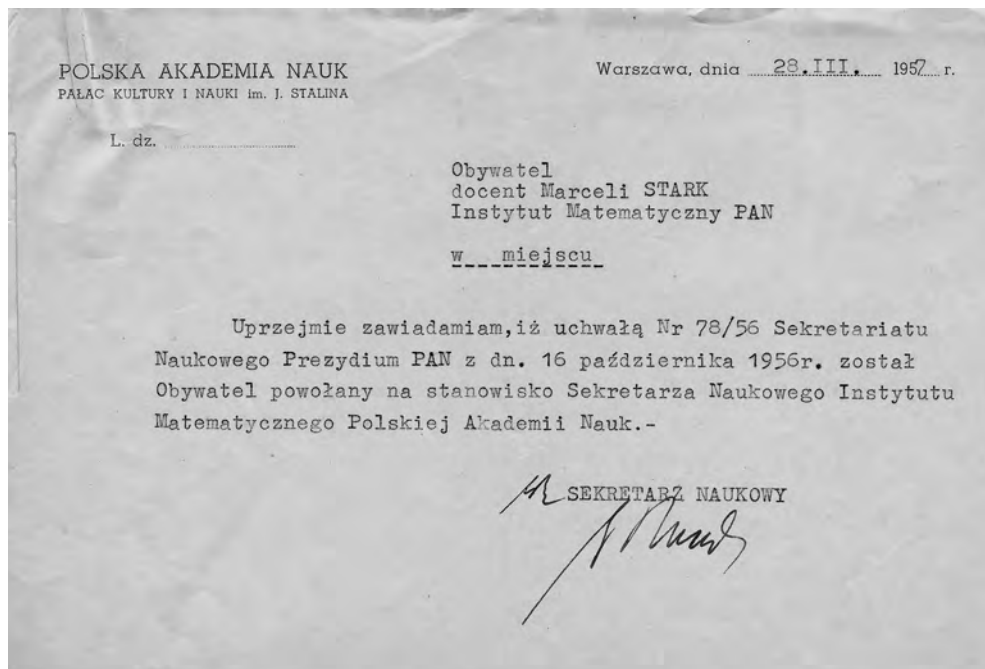
Po krótkim okresie adaptacji podjął pracę dydaktyczną i naukową na Uniwersytecie Wrocławskim. Tam bowiem po wojnie ulokowano uniwersytet i politechnikę, będące w pewnym sensie kontynuacją uczelni lwowskich. Miały one wspólny Instytut Matematyczny, w którym Marceli Stark pracował w latach 1946–1950 na stanowisku adiunkta. Na tym samym stanowisku w roku 1949 rozpoczął pracę w oddziale wrocławskim nowo utworzonego Państwowego Instytutu Matematycznego PAN. Zajął się tam wydawnictwami instytutu, które były drukowane we Wrocławiu. Szczególnie wysoko cenił sobie pracę w redakcji „*Studia Mathematica*”²³, założonych jeszcze we Lwowie przez Banacha

²¹ W dniu 11 lipca 1945 r. miały miejsce ataki na ludność żydowską w Krakowie na tle rasowym.

²² Pogrom w Kielcach miał miejsce w dniu 4 lipca 1945 r. Zamordowano wówczas ponad 40 Żydów.

²³ Czasopismo to założyli w roku 1928 Stefan Banach oraz Hugo Steinhaus. Wznowiono je po wojnie, w roku 1948. Ukazuje się do dnia dzisiejszego.

i Steinhausa. Od początku 1948 r. był sekretarzem redakcji. W roku 1951 przeniesiony został do Warszawy, jako sekretarz instytutu. Po mianowaniu docentem, w roku 1954 został zastępcą dyrektora instytutu do spraw ogólnych. Stanowisko to pełnił do roku 1970. W dalszym ciągu zajmował się wydawnictwami, również na terenie PWN.



Zdjęcie Barbary Krydy

Zawiadomienie o powołaniu Marcelego Starka na stanowisko sekretarza naukowego Instytutu Matematycznego PAN, 28 marca 1957 r.

Marceli Stark jest autorem kilku oryginalnych prac naukowych, także podręczników akademickich z zakresu geometrii analitycznej oraz, we współpracy z prof. Andrzejem Mostowskim, z algebry wyższej.

Wśród planowanych przez niego prac znalazł się również (niezrealizowany) projekt wydania *Księgi Pamiątkowej Członków PTM, którzy zginęli w czasie wojny 1939–1945 roku*. Dotyczy tego korespondencja z profesorem Leją z Krakowa.

W oczach bliskich (o czym świadczy list od znajomego jeszcze z czasów lwowskich, Andrzeja Turowicza, matematyka, który po wojnie wstąpił do zakonu benedyktynów w Tyńcu) wyglądało to niekiedy na „zagłuszanie się” pracą.

Zbierał książki i albumy, wysyłał je za granicę do bliskich i znajomych. Miał ogromną płytotekę, którą w testamencie przekazał Zakładowi dla Niewidomych w Laskach.

Osobnym rozdziałem w życiu Marcelego była muzyka. Sfera przeżyć, gromadzonych na koncertach w Filharmonii Warszawskiej i w czasie domowych, bardzo kameeralnych spotkań w gronie najbliższych przyjaciół, stwarzała przestrzeń dla doświadczeń wychodzących daleko poza obszar czysto estetyczny. Podobnie jak kontakt z naturą, prowadziła tak daleko, jak indywidualny człowiek poprzez kontakt z pięknem pozwolił się poprowadzić. Pokazują to listy ze szczupłej, ale znaczącej korespondencji

z rosyjskim matematykiem i polonofilem, Feliksem Kabakowem. Ten ostatni, zaproszony w 1967 r. przez Andrzeja Grzegorzycyka nawiązał w Polsce wiele przyjaźni i traktował swoje związki z Polską jako otwarcie na świat wartości trudno dostępnych we własnym kraju. Listy te ukazują, jak z przypadkowych kontaktów towarzyskich może wyrastać bogata świadomość bliskości kulturowej i duchowej, obejmującej szerszy krąg spraw i ludzi.

Zbiory Barbary Krydy



Fotografia wykonana przez Marcelę Starką.
Widok na Kościeliec z okolic schroniska
„Murowaniec” na Hali Gąsienicowej
(wg wskazówki Szymona Barona, prezesa PTT)



Marceli Stark na Gubałówce
19 kwietnia 1946 r.

Zbiory Barbary Krydy

Mimo nasilającej się choroby serca Marceli po wojnie wyjeżdżał w okolice Zakopanego: zachowało się jego zdjęcie z Gubałówki z roku 1946. U wylotu Doliny Kościeliskiej był dom zaprzyjaźnionego starego nadleśniczego tamtego regionu, Józefa Krzysiaka, i chatka letnia malarza, Tadeusza Kulisiewicza²⁴. Z tym ostatnim łączyło Marcelę nie tylko warszawskie sąsiedztwo, ale wieloletnia serdeczna przyjaźń i wakacyjna gościnność w razie potrzeby. Umiał nawiązywać bliskie kontakty, przyjaźnił się z wieloma osobami (choć z każdą jakby „oddzielnie”), interesował się ich losem, cenił kontakty z dziećmi. Z deklarowanej w dawnych latach lewicowości pozostała w nim niechęć do „posiadaczy i wyższych sfer”. Do końca życia łączyły go bliskie więzy ze zwykłymi ludźmi z wielu środowisk (w tym szczególnie z warszawską wielodzietną rodziną Elżbiety i Wojciecha Grodeckich).

²⁴ Tadeusz Kulisiewicz (1899–1988) – malarz, laureat wielu prestiżowych nagród.

Nr aktu	Ochrzczonego			Rodzice ochrzczonego	
	Imię i nazwisko	Dzień, miesiąc, rok, miejsce		Nazwisko, imię, wiek, wyznanie, miejsce zamieszkania	
		urodzenia	chrztu św.	ojca	matki
9	Marceli Stark	19. wrzesień	10. marzec	Ignacy	Franciszka d.
		1908	1974	Stark	Sak
		Śróń	Warszawa (w domu chorego)	wyżn. mojżeszowe	wyżn. mojżeszowe
				Warszawa	
..... Warszawa dnia 10. marzec roku 1974..... Podpis X. Proboszcza: <i>X. Tadeusz Fedorowicz</i>					

Połączeni:	Nazwisko, imię, wiek, wyznanie, miejsce zamieszkania rodziców chrzestnych		Szafarz Chrztu św.	Wpisy (bierzmowania, ślubu, święceń wyższych, profesji zakonnej)	Uwagi
	ojciec	matka			
	Andrzej	Barbara	Ksiądz Tadeusz Fedorowicz		
	Grzegorz	Kryda			
	rym. kat.	rym. kat.			
	Warszawa	Warszawa			
Podpis zgłaszającego i rodziców chrzestnych: <i>Marceli Stark, Barbara Kryda, Andrzej Grzegorz</i>					

Wpis do ksiąg parafialnych parafii rzymskokatolickiej Matki Bożej Królowej
Meksyku w Laskach Warszawskich

Przyjęcie chrztu w roku 1974 przed pójściem do szpitala na trudną operację serca było decyzją, która nabrzmiewała w jego doświadczeniach i przemyśleniach od dłuższego czasu, choć większość znajomych o tym nie wiedziała; podjął ją – wydawało się – nagle. Najbliższych przyjaciół zawiadomił o niej w ostatniej chwili, bez zbędnych wyjaśnień, które zresztą nie były nam potrzebne, prosząc o ułatwienie przyjęcia sakramentu w warunkach domowych. Andrzej Grzegorzczak podjął się zorganizowania tego przez kontakt z księdzem Tadeuszem Fedorowiczem z Lasek. Była to ceremonia nadzwyczaj poruszająca, choć brało w niej udział zaledwie kilka osób (poza mną, Andrzejem i Renatą Grzegorzczakami, również matematyk, Andrzej Schinzel).

Po kilku tygodniach od operacji stan zdrowia Marceliego zaczął się niestety pogarszać. Wieczorem 11 kwietnia 1974 r., po liturgii Wielkiego Czwartku w jednym z kościołów na Krakowskim Przedmieściu – w której brał udział po raz pierwszy i ostatni

w życiu – wybrał się na spacer pożegnalny z Warszawą. Kontakt z najbliższymi przyjaciółmi zachował do końca, odwiedzany przez nich w domu. Zmarł nagle, 4 maja 1974 r., na ulicy.

W późniejszej mszy żałobnej w kościele Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie i w pogrzebie na Wólce Węglowej uczestniczyli liczni znajomi, przyjaciele i przedstawiciele warszawskiego środowiska matematycznego.

Barbara Kryda



Informacje o śmierci Marceliego Starka zamieszczone w prasie: nekrolog oficjalny i od przyjaciół, „Życie Warszawy” maj 1974 r.



ŻYCIORYS WŁASNY AUTORA WSPOMNIENÍ¹

Urodziłem się we Lwowie w r[oku] 1908, 19 września. Pochodzenie drobnomieszczańskie, ojciec był wówczas zastępcą handlowym, po wojnie², od 1922 do 1932 r. kupcem, następnie zbankrutował i został inkasentem handlowym aż do wybuchu wojny 1939 r.

Szkołę początkową i średnią ukończyłem we Lwowie w 1926 r. Wstąpiłem w tym samym roku na Uniwersytet we Lwowie, gdzie studiowałem matematykę. W roku 1929 zostałem mianowany asystentem przy katedrze prof. Banacha i przechodziłem w latach następnych do 1935 r. po kolei jako asystent do katedr prof. Ruziewicza³ i Steinhausa⁴.

Po roku 1931, na skutek gwałtownie wzrastającego kryzysu zacząłem interesować się sprawami społecznymi, dla których do tego okresu nie miałem żadnych zainteresowań. Studiowałem dzieła klasyków marksizmu-leninizmu. Ofensywa ideologiczna faszystów połączona z atakami antysemickimi, wzrastające trudności gospodarcze ogólne, osobiste przeżycia na tle skrajnej nędzy, w jaką popadła rodzina (eksmisja z mieszkania na bruk), zrewolucjonizowały mnie. Wstąpiłem do organizacji studenckiej „Życie” w roku 1934 jako zwyczajny członek. Praca tam polegała na braniu udziału w masówkach i demonstracjach oraz prowadzeniu pracy propagandowej w dziedzinie ekonomii politycznej, którą się wówczas zajmowałem. Gdy mi zaproponowano pracę nielegalną, przyjąłem. Wynajmowałem mieszkania na spotkania członków K[omite-tu] C[entralnego] K[omunistycznego] Z[wiązku] M[łodzieży], a następnie pracowałem jako maszynista dla KC KZM od wiosny do jesieni 1935. Ponieważ nastąpiło podejrzenie, że lokal jest zdekonspirowany, zostałem od tej pracy odstawiony. Przyjęto mnie jesienią 1935 r. do K[omunistycznej] P[artii] Z[achodniej] U[krainy]. Tu zostałem przydzielony do pracy na Polskim Związku Myśli Wolnej, gdzie miałem organizować grupę referentów dla lewicowych związków zawodowych. Poza tym brałem udział i w innych akcjach (wypadki lwowskie 1936 [r.] kwiecień, wielki



Marceli Stark,
lata sześćdziesiąte XX w.

Zbiory Barbary Krydy

¹ Spisany w roku 1950; jego charakter odpowiada atmosferze tamtych czasów.

² Chodzi oczywiście o I wojnę światową, 1914–1918.

³ Zob. przypis nr 3 w „Słowie o Marcelim Starku”.

⁴ Zob. przypis nr 75 we „Wstępie”.

strajk budowlany⁵). Po rozwiązaniu tego związku zostałem z końcem 1936 r. aresztowany pod zarzutem przynależności do KPZU. Z braku dowodów zostałem zwolniony z początkiem 1937 r., po czym natychmiast wróciłem do pracy partyjnej. Tu dostałem przydział do dzielnicy i pracowałem przez 1937 r. aż do 1938 r. Wiosną 1938 r. partia została rozwiązana i od wiosny 1938 [r.] do wybuchu wojny politycznie nie pracowałem⁶.

Od 1935 do wybuchu wojny w 1939 r. nie mogłem otrzymać żadnej pracy i utrzymywałem się z korepetycji. Po wybuchu wojny i wyzwoleniu Lwowa przez Armię Czerwoną natychmiast zgłosiłem się do pracy i byłem aktywistą przy organizowaniu związku zawodowego nauczycielstwa szkół średnich. W grudniu 1939 r. otrzymałem nominację asystenta przy katedrach matematyki uniwersytetu i na tym stanowisku pracowałem do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej w r[oku] 1941. W tym czasie byłem członkiem M[iędzynarodowej] O[rganizacji] P[omocy] R[ewolucjonistom] i agitatorem wśród pracowników uniwersytetu.

Po wejściu Niemców do Lwowa (którego opuścić nie mogłem z powodu choroby, nie chcąc pozostawić matki, ciężko chorej sercowo) zostałem wzięty do przymusowych robót dla Żydów, jako robotnik fizyczny, bez wynagrodzenia. W tych warunkach żyłem do sierpnia 1942 r., w którym zamordowano rodziców, po czym uciekłem na fałszywych papierach do Warszawy, w listopadzie 1942 [r.]. Po dwu miesiącach pobytu w Warszawie zostałem schwytany i odstawiony do SS-Befehlstelle przy ul. Żelaznej. Gdy nas stamtąd wyprowadzono i skierowano w kierunku getta lub Pawiaka (celu nie znałem), udało mi się uciec i przedostałem się do getta. Tu nie mogłem uzyskać żadnych kontaktów organizacyjnych z powodu braku znajomości⁷. Przez pewien czas udawało mi się szmuglować broń do getta. Po podpaleniu getta w czasie powstania zostałem schwytany i wywieziony do Lublina. Z Majdanka wysłano mnie do obozu pracy przy fabryce samolotów w Budzynie, gdzie pracowałem z początku jako pracownik fizyczny, potem w buchalterii i z powrotem zostałem przydzielony do pracy fizycznej. W kwietniu 1944 [r.] wywieziono wszystkich inżynierów-mechaników, chemików, przyrodników, fizyków i matematyków, mnie w tej liczbie, do Majdanka i Płaszowa. Tam zostałem przydzielony do komanda matematyków (wykonywających obliczenia dla obserwatorium astronomicznego w Babelsbergu⁸). Byłem z tym komandem po kolei przewożony do Ravensbrück (wrzesień 1944) i Sachsenhausen (marzec 1945). W kwietniu ewakuowano pieszo nas na zachód. Pod Schwerinem zostaliśmy otoczeni przez wojska amerykańskie. Oswobodzony zostałem 2 maja 1945 r. Po krótkim wypoczynku wybrałem się 23 maja 1945 r. do kraju. Po przejściu granicy okupacji sowieckiej zostałem, jako pochodzący ze Lwowa, uznany za obywatela sowieckiego i odstawiony do obozu dla repatriantów. W tym obozie przebywałem do początku lipca 1945 [r.], po czym i do mnie została zastosowana umowa repatriacyjna i uzyskałem pozwolenie na powrót do kraju. Tu wróciłem w połowie lipca 1945 [r.]. Z początku byłem chory i nie mogłem pracować. W kwietniu

⁵ Strajki wiosną 1936 r. we Lwowie, krwawo tłumione przez policję, były częścią fali strajkowej, która rozpoczęła się w całej Polsce po brutalnej interwencji policji wobec protestujących w Krakowie w marcu tego roku, gdzie kilka osób zostało zabitych.

⁶ Rozwiązanie Komunistycznej Partii Polski było związane z tzw. wielką czystką w sowieckiej Rosji w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku.

⁷ Konspiracja żydowska w getcie, z obawy przed inwigilacją, była nastawiona bardzo nieufnie względem wszelkich osób niezaufanych i niepotrafiących wykazać się stosownymi znajomościami. Dlatego wiele osób, szczególnie spoza Warszawy, nie mogło pomimo najlepszych chęci włączyć się w oficjalny nurt antyniemieckiego podziemia.

⁸ Miejsowość w pobliżu Berlina.

Zbiory Barbary Krydy

ZARZĄD MIEJSKI
 w WROCŁAWIU
 Nr A.A.O.1w/4228/49.

Wrocław, dnia 24 maja 1949 r.

L.dz. 155930

Poświadczenie obywatelstwa

Oś. STAREK MARCELI
 w Wrocławiu ul. Piatowska 43 urodzony (a) -19- dnia WROCŁAWIE
 roku 1908 w Łowicze powiatu

w 1949 roku Ignacego i Franciszki zd. Sak
 urodzony (a) dnia 19 r.

2000 urodzona dnia
 roku w Łowicze powiatu
 1 urodzony (a) dnia 19 r.
 2 urodzony (a) dnia 19 r.
 3 urodzony (a) dnia 19 r.

posiada (ją) obywatelstwo Państwa Polskiego.

Poświadczam to, zapisano we właściwym rejestrze pod L. 3278-

Wpłaty miejskie w kwocie 52,00 zł
 skasowano na bieżąco


 Z4 Przewodniczący Miasta
 Wrocławski Stowarzyszenie
 Miejskie Oddział

1949 r. 24 maja

Druk 8.820 „Prasa Wrocławska” 8.10

Poświadczenie obywatelstwa polskiego, wydane
Marcelemu Starkowi przez Zarząd Miejski
we Wrocławiu, 24 maja 1949 r.

Posiadam dwie publikowane prace naukowe i napisałem podręcznik uniwersytecki geometrii analitycznej, który obecnie zaczął się drukować.

Marceli Stark

PAMIĘTNIK



*And if I laugh at any mortal thing
 'tis that I may not weep; and if I weep,
 'tis that our nature cannot always bring
 Itself to apathy, for we must steep
 Our hearts first in the depth of Lethas spring
 Ere what we least wish to behold will sleep...¹*
 (George Byron, [Don Juan], 4, IV)

Może napisanie tego pamiętnika będzie Letą?^a

Noc sylwestrowa

Pierwszy sylwester na wolności: w gruncie rzeczy może mała różnica między nim a ostatnim dniem 1942 roku. Byłem [wtedy] na aryjskich papierach². Kilka dni przedtem zostałem okradziony przez moją gospodynię. Dzień wcześniej nasłała mi trzech zbirów, którzy weszli jako tajna policja i zrobili dokładną osobistą rewizję, szukając łupu³. Oszukali się. Byłem goły. Przez cały dzień 31 grudnia celowo nie wracałem do domu. Szukać innego mieszkania nie mogłem, będąc zupełnie bez środków. Sytuacja beznadziejna.

Godzina policyjna o ósmej⁴: po tym czasie aresztują wszystkich znajdujących się na ulicy. Przed samą ósmą wracam do domu – gospodyni otwiera mi, oświadczając, że znowu była policja, poszukują mnie, ona się obawia i nie wpuści mnie do domu. Zwykły trick z jej strony.

I oto o godzinie 7.45 znajduję się bez dachu nad głową, nie mam gdzie pójść.

Gonię ulicą Wspólną do Marszałkowskiej, wsiadam do tramwaju i jadę w kierunku placu Żelaznej Bramy. Chcę spędzić noc w ruinach⁵. Wsiadam, przechodzę do ulicy

^a *Dopiski autora nad tekstem.*

¹ „A gdy się śmieję z życia krotoczwili,
 To, że nie mogę płakać; a gdy płaczę,
 To, że cielesność z uczuciem się sili,
 Nim zbezwładnieję; gdy do serca skaczę
 Sęp wspomnień, trzeba byśmy je skropili
 Letejską wodą – nie puści inaczej”
 (tłum. E. Porębowicz, Warszawa 1959, s. 164)

² Dokumenty poświadczające nieżydowskie pochodzenie. Wobec masowej eksterminacji ludności żydowskiej przez władze hitlerowskich Niemiec była to od pewnego momentu jedyna możliwość przeżycia przy zachowaniu pozorów normalnego funkcjonowania, tj. bez konieczności pozostawania w permanentnym ukryciu. Na ogół zdobycie tzw. aryjskich papierów nie było łatwe, należały do nich m.in. dokument identyfikacyjny potwierdzający narodowość inną niż żydowska, zaświadczenie o zameldowaniu oraz o zatrudnieniu. Nazwa wzięła się od rasistowskiej terminologii władz III Rzeszy, które propagowały mit pochodzenia większości ludów europejskich od „Ariów”, których pozytywne cechy miały być zaprzeczeniem negatywnych cech żydowskich. Za najbliższych ideałowi rasowemu uznawano Niemców, predestynowanych do zarządzania Europą, a szczególnie ziemiami zamieszkanymi przez Słowian, w tym Polaków, uznawanych za kategorię jakościowo gorszą, tzw. „podludzi”.

³ Informacje o takim postępowaniu ludzi wynajmujących osobom pochodzenia żydowskiego mieszkania i pokoje stosunkowo często pojawiają się w relacjach z czasów II wojny światowej.

⁴ Godzina policyjna w Warszawie na ogół zaczynała się o godz. 20.00 i trwała do 6 rano.

⁵ Chodzi o ruiny pozostałe po oblężeniu Warszawy we wrześniu 1939 r.

Świątokrzyskiej, gdzie jest najwięcej zrujnowanych domów. Szukam ruin, w których mógłbym się ukryć. Spokój, jak zwykle, mnie nie opuszcza. Jednak gruzy uporządkowane, wejścia zasypane – nie można się nigdzie dostać. Szybkim krokiem, już po ósmej, idę w kierunku Wielopola. Pamiętam, że w tamtej okolicy widziałem kościół, a koło niego pełno zburzonych domów.

Wiatr dmie. Śnieżycą, śnieg siecze w twarz, z trudem można trzymać otwarte oczy. Docieram do kościoła, wchodzę pomiędzy gruzy. Na ulicy ani żywego ducha. W gruzach nie ma ani jednego miejsca, gdzie by można się schronić przed śniegiem i wichrem. Sterczą gołe ściany i rumowiska.

Z daleka dochodzą głosy pijaków i wesołe nawoływania rozbawionego towarzystwa: widać mają przepustki nocne. Przygnębiony, ale spokojny przekradam się na drugą stronę ulicy. Wchodzę w nowe rumowisko, widzę sklepienie, które zdołało się zachować, podchodzę pod nie. Zimno mi, ciemno, choć oko wykol. Przesuwam się ostrożnie, wtem – noga się zapada. Odskakuję w tył, zatrzymuję i zastanawiam, co mam robić. Nagle przypominam sobie, że mam świecę. Ze wszystkich stron sterczą ściany, światła nie będzie widać na odległość – zapalam. Przede mną głęboki dół, kilkumetrowej głębokości – omal nie wpadłem. Posuwałem się po zdradzieckim sklepieniu nad zasadzką nadającą się na wilczy dół.

Śnieg siecze. Dygoczę z zimna. Ręce drętwieją. Krążę pomiędzy gruzami w poszukiwaniu schronienia. Widzę w pobliżu czarny otwór: niegdyś drzwi od mieszkania, dziś pustka, szkielet. Wchodzę – noga znów się zapada. I tu można zapalić światło. Było to parterowe mieszkanie, podłoga zgniła i zapadła się, przy ścianach zostały resztki. Z boku wystaje mur na szerokość około 20 centymetrów. Z przodu, tam gdzie stoję, prósz śnieg. Drzę. Wolno przesuwam się więc wzdłuż tego dwudziestocentymetrowego kantu, aż docieram do tylnej, głębszej części – nareszcie miejsce, gdzie śnieg nie dochoodzi. Ale wiatr hula – przykucnąłem w kącie.

Czas mija – jestem rozdrażniony, przemarznięty, minuty ciągną się w nieskończoność. Ciemność, świst wiatru: szczuty zwierz w lochach, ukrywający się, samotny w przeludnionym mieście. Cisza, przerywana wichrem – za każdym razem, gdy zawieje, w przeciagu, w którym siedzę, mróz przejmuje mnie do kości. Wtulam głowę w kołnierz lekkiego płaszcza. Dygocę, czas się straszliwie dłuży – jest dopiero wieczór, czekam na rano. Obawiam się rana: Co pocznę, gdy dzień się zacznie? Mam jeszcze na kupno chleba, co dalej?

Odpędziłem dręczące myśli – zaczynam drzemać. Drzemka nie mogła długo trwać: budzi mnie zimno. Wiatr rozhulał się na dobre, częściowo rozpędził chmury. Śnieg przestał padać, widzę, że na dworze się przejaśniło. Przede mną czarny, przepastny zarys lochu. Ruszyć się nie mogę, kroku nie ma gdzie zrobić, żeby nie obsunąć się w dół. Nie mogę ruszyć palcami – rozcieram ręce. Wiatr przewiewa przez ubranie do ciała, nogawkami wspina się w górę, czuję zimno aż na brzuchu. Czas dłuży się niemiłosiernie, a przy tym dziwna obojętność – może to już i oswojenie się z podobnymi sytuacjami. Mija minuta za minutą: nie mam zegarka, nie wiem, czy minęła godzina, czy trzy. Czas istnieje wtedy, gdy dokonuje się jakaś zmiana. W mojej sytuacji, gdy brak wrażeń zewnętrznych, wszelkich zmian – czas przestaje istnieć. Wieczność ciemności, zimno, dygotanie, raz po raz odpływanie świadomości. Umęczenie, wśród którego ogarnia mnie nieprzeparta senność. Boję się zasnąć, żeby nie przemarznąć na śmierć. Próbuje się

podnieść – nogi zdrętwiały, kolana bolą przy rozprostowywaniu. Obijam ręce o tułów, jak widywałem kiedyś u woźniców, nie daje to rozgrzewki.

Nie można tu zostać dłużej. Przesuwam się z powrotem i wychodzę. Wiatr uderza z całą siłą: mroźny, straszliwy. Szczeka mi drży, całe ciało dygoce, nie panuję nad ruchami. Próbuję znaleźć inne schronienie. Błądzą po rumowiskach, potykam się o kamienie, cegły; wywracam się i spadam w dół z wysokości jakichś dwóch metrów. Potłukłem się, zwłaszcza kolano boli. Mimo to błądzą dalej, stawiając kroki jak ślepiec, z wysiłkiem próbując każdego stąpięcia. Żadnej myśli, uwaga całkowicie skoncentrowana na chodzeniu.

Przedemną pojawia się ściana. Macam – czuję okna, szyby. Ciemno, ale wszystko szczelnie zamknięte. Dochodzą mnie głosy: tu mieszkają ludzie. Szybko zawracam – strach przed ludźmi. W mojej ciemności nie może mnie nikt zauważyć. Już nie zwracam uwagi na kroki – cały wysiłek kieruję na to, aby jak najszybciej znaleźć się dalej od ludzkich mieszkań. Wracam tą samą drogą; gubię ją, krążę po omacku – obijam nogi, ciągle potykam się. Jakiś czas błądzą. Nagle otwiera się przede mną wejście do tego samego lochu, w którym się przedtem schroniłem. Wchodzę tą samą drogą, przesuwam się do tyłu na szczątek podłogi. Usiąść nie mogę, kolano dokucza. Stoję jakiś czas. Ta nie-ruchomość jest straszna. Męczy wpatrywanie się w ciemność. Zamykam oczy i opieram się o ścianę. W tej pozycji długo wytrzymać nie można – wysuwam się z powrotem na zewnątrz, przechodzę w kierunku ulicy. Śnieg nawiał, każdy krok zaznacza ślad.

Musi już być chyba dwunasta w nocy. Żadne światło znikąd nie dochodzi: miasto zaciemnione. Zresztą otaczają mnie ruiny. Z części nieba wiatr przewiał chmury. Dochodzi słabe światło gwiazd. Naprzeciw mnie, po drugiej stronie ulicy mur wysokości parteru, z otworami dawnych okien i bramy. Myślę przejść na drugą stronę. Nagle, w odległości jakichś trzydziestu metrów zauważam czarne sylwetki dwóch mężczyzn. Szybko cofam się i chowam w ukryciu – tak jednak, że mogę obserwować ulicę. Przechodzą w pobliżu, słyszę ich głosy: granatowa policja⁶. Oddalają się, znikli w ciemności. Po jakimś czasie wysuwam się, czekam jeszcze trochę i przechodzę na drugą stronę.

Za murem, widzianym przeze mnie – pusta przestrzeń, pokryta świeżą warstwą śniegu. Stoję przed nią, nie bardzo wiedząc, co robić. Jestem straszliwie umęczony i bez przerwy dygoce, nie mogąc opanować szczykania zębami. Gdybym się znalazł na polarnych śniegach, nie byłbym bardziej opuszczony – a na pewno bezpieczniejszy. Drażni mnie myśl, że ta noc musi się skończyć, a po niej nadejdzie jutro, beznadziejność jutra. Odpędzam te myśli. Jestem zupełnie bezradny. Niepokój o dzień jutrzejszy tylko pogorszy mój stan obecny, ale ciągle powraca. Jutro sytuacja będzie znacznie gorsza. Tymczasem ani żywej duszy, do której mógłbym się zwrócić o radę i pomoc. Stoję tak i przez krótką chwilę myślę, co począć. Nie widzę żadnego wyjścia. Zmęczenie staje się tak wielkie, zimno tak przejmujące, że męka chwili obecnej zabija troskę o jutro. Szukać schronienia, i to natychmiast!

Z dala widzę zarys domu. Przez otwory górnych pięter widać gwiazdy. Najwidoczniej dom też zrujnowany, trzeba podejść. Brnę przez śnieg, zostawiam ślady. Dolne piętra

⁶ Granatową policją nazywano (od koloru mundurów) *Polnische Polizei* (Policję Polską), utworzoną przez okupanta niemieckiego i składającą się z Polaków (w większości byłych policjantów Policji Państwowej). Działała w latach 1939–1944.

całe, dom opuszczony, brak okien. Szukam wejścia. Znajduję bramę. Wchodzę. Absolutna cisza, słyszę własny oddech. Nie jestem pewien, czy nikt tu nie mieszka. Nagły skrzyp. Staję jak wryty, tłumiąc oddech. To skrzypnęła deska pode mną. Napięcie mija. Stoję dłuższy czas, żeby się zorientować. Ciszy nic nie przerywa. Przede mną czerni, w której zarysowuje się plama schodów. Po prawej stronie mocniejszy odcień czerni. Rozglądam się: dookoła ściany. Zapalam świecę. Po prawej stronie wejście do piwnicy. Schody prowadzące w dół. Na ścianie po prawej stronie afisz w dwóch językach, żydowskim i polskim: „Strzeżcie się wszy, wszy to śmierć!”⁷. Tu było getto; to dom wyłączony z getta⁸. Jeżeli coś w nim jest, to chyba tylko duchy wymordowanych mieszkańców. Dziwne uczucie, mimo półświadomości: po raz pierwszy od wielu miesięcy spotykam się z życiem żydowskim. Tak jakbym badał prehistoryczne wykopaliska. Oto ślady – odtworzyć z nich życie, rzeczywistość dnia codziennego.

Nie mam czasu na te myśli. Ostrożnie, na palcach schodzę do piwnicy. Na lewo komórka pod schodami, dalej jedna piwnica. Wszystko porozkopywane. Powyrywane cegły ze ścian. Hulali tu szabrownicy w nadziei znalezienia kosztowności pozakopywanych przez wymordowanych. W kącie wała się jakiś modlitewnik. Hebrajskie litery. Takie to dziwne; wraca mi pełna świadomość. Zrezygnowana myśl o życiu, które zniknęło, na którego gruzach tu stoję. Dziwna, kryjąca się po norach resztką życia. Staję mi w oczach sentymentalizm [powieści] *Na srebrnym globie*. Gdy byłem młody, mając dwanaście czy trzynaście lat, płakałem, wzruszony straszliwą samotnością człowieka na Księżycu, tęskniącego za Ziemią, za ludźmi. Tani sentymentalizm Żuławskiego⁹.

Tutaj stanąłem w obliczu rzeczywistości straszniejszej niż los samotnika księżycowego. Tu nie glob ziemski unosił się nad sklepieniem niebios. Tu unosiło się jeszcze w powietrzu życie codzienne, powszednie – życie ludzi, którzy nie wrócą. W kącie wała się zbutwiała skrzynia, która szabrownikom nie przydała się na opał. Z tej skrzyni wygarniały kiedyś węgiel żywe ręce. Tu jeszcze unosiła się męczarnia chorych, umierających na tyfus w nędzy i głodzie, unosił się brud i nędza, stworzone przez Niemców, zżerające ludzi, bezradnych w walce z nimi. Tu były ślady życia społeczeństwa, bezlitośnie dręczonego i dławionego; społeczeństwa, które było i którego już nie ma.

Tu, w tej piwnicy dla mnie skoncentrowały się miliony istnień ludzkich – gwarne, tętniące życie, ogrom stwarzanych przez nie wartości kulturalnych i naukowych; miliony

⁷ Plakaty tej treści, publikowane przez władze hitlerowskie, miały na celu izolację ludności żydowskiej od polskiej. Była to jedna z form represji ułatwiających okupantowi realizację ostatecznego rozwiązania (niem. *Endlösung*), tj. zagładę całej ludności żydowskiej w Europie.

⁸ Getto warszawskie istniało od października 1940 do maja 1943 r. Był to najprawdopodobniej dom wyłączony z getta po tzw. Wielkiej Akcji (lipiec–wrzesień 1942 r.), gdy do komór gazowych w Treblince wywieziono ok. 250 tys. mieszkańców getta. We wcześniejszym okresie, ze względu na ciągłe zmiany granic prowadzące do uszczuplenia terytorium getta, także wyłączano poszczególne ulice i domy z getta, ale na ogół były one natychmiast zasiedlane przez ludność polską, wśród której nie brakowało bezdomnych i osób pozbawionych dachu nad głową z powodu zniszczeń wojennych.

⁹ Jerzy Żuławski (1874–1915) – pisarz, poeta, dramaturg okresu Młodej Polski. Jeden z prekursorów polskiej literatury fantastycznonaukowej. Autor trylogii, której akcja dzieje się na Księżycu. Pierwszym jej tomem jest powieść *Na srebrnym globie* (1903), kolejne to *Zwycięzca* (1910) oraz *Na starym globie* (1911). Co warto podkreślić, a czego zapewne autor wspomnień nie wiedział, druga żona Żuławskiego, Kazimiera Żuławska, mieszkała w czasie okupacji hitlerowskiej w Warszawie. Wraz z synem Wawrzyńcem Żuławskim działała w konspiracji i pomagała ukrywającym się Żydom. Oboje zostali odznaczeni tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie w roku 1980.

codziennych trosk, szarych nadziei i oczekiwań. Oczekiwań na wybawienie, które były mi tak dobrze znane. To było. Tu widziałem przeszłość potwornie zmiażdżoną, która wrócić nie może. I płakać teraz nie mogłem. Teraz stałem zupełnie bez uczucia. Nawet tęsknić nie mogłem. Wszystko we mnie zamarło.

Tęsknić nie mogłem, gdyż czułem się umarły razem z nimi. Kto to potrafi zrozumieć? Przestałem żyć – razem z nimi. Teraz wałęsam się mechanicznie, bez obawy o jutro (choć jest ono beznadziejne), w absolutnym spokoju. Nie niepokoi mnie już myśl, że mogę być jutro schwytany przez Niemców. Nie potrafię tego określić, ale czuję, że skończyło się we mnie coś bardzo istotnego, co nadawało mojemu życiu sens. Wówczas nie wiedziałem, co to było. Ten koniec, duchowa śmierć nadawała mi ów bezwzględny spokój, niezmacony myślą o możliwym jutrzejszym rozstrzelaniu. Po raz pierwszy odczułem to w tamtym momencie, a nie opuściło mnie dotąd, tak że jestem jakby człowiekiem zza grobu, żyjącym trupem, pozostałym po świecie, który jakby przestał istnieć. Dziś wiem, co się skończyło – wówczas nie potrafiłem tego określić: skończyła się we mnie wiara w człowieka, najistotniejsza część mego przeżycia duchowego. Żyłem i pracowałem nie dla siebie – sens nadawali mojemu życiu zawsze ludzie. Dziś już nie mogę. A nie mam tego czym zastąpić.

Siadłem na skrzyni. Bólu w kolanie już nie czułem – czuć nie mogłem, znieczuliło mnie zimno. Zanikł zmysł czucia we wszystkich członkach. Zgasilem świecę. W spokoju, który nie był rezygnacją, wpatrywałem się w ciemność. Bezkształtne, jaśniejsze plamy unosiły się w pomroce – złudzenie zmęczonych oczu. Zmieniały one bez przerwy kształt. Płynne, migawkowe i zmienne jak senne widziadła. Oparłem głowę o ścianę. Żadnej myśli. Ciągłe chaotyczne plamy, ruchliwe, wolno płynące to w górę, to w dół. Czasem przybierały realniejsze kształty: jakieś najzwyczajniejsze, codzienne, szare – kształt łyżki, pieca. Potem zaczęły się wyłaniać twarze ludzkie, nietrwające nawet na chwilę w nieruchomości, zmieniające bez przerwy drobne szczegóły – zarys ust, nosa, policzki. Z zapadłych wydymające się w nalane, pokazuje się wąs, narasta, szczech przechodzi w brodę, broda odpada – twarz kobieca za chwilę przetwarza się oblicze dziecka. Każda zmiana szczegółu zmienia charakter; dziesiątki różnych charakterów, nastrojów. Przeważają złośliwe. Wszystkie wpatrują się we mnie. Twarze rozwiewają się, zamykam oczy. W piwnicy ciepło, nie dochodzi nawet szum wiatru.

Znowu otwieram oczy, znowu twarze. Teraz umęczone, w skurczach przedśmiertnych, potem twarze trupów. Skóra powlekająca tylko kości. Męczą mnie. Zapalam świecę. Odpoczywam. Widziadła musiały trwać długo, zdaje się, że drzemałem. Nie potrafię sobie zdać z tego sprawy, jestem współprzutomny. Taki sen nie oznacza zamarznięcia.

Gaszę świecę – wyłania się znowu twarz. Matki¹⁰. Tak jak ją widywałem w ostatnich dniach. Opuchnięta z głodu i choroby. Patrzy na mnie. Teraz rozplakałem się. Siedząc nieruchomo, czułem spływanie łez. Znowu ten ciągły ból! Co Ona cierpiała, gdy Ją zabierali? Nie mogę tego opisywać. Ten ból skończy się razem ze mną. Mamo! Mamo! Jak ja Cię kochałem. Ile musiałś ode mnie wycierpieć. Jaki byłem oschły – nie z braku uczucia, ale bojąc się je okazać. Jak ja strasznie tęsknię za Tobą, Mamo! Nigdy już nie wymówię tego słowa. Teraz mogę mówić tylko do ludzi obcych: matka. Mamo!

¹⁰ Franciszka Stark (?–1942) – z domu Sak.

Mamo! Patrzysz na mnie nieruchomo, nie odrywasz oczu, nie mrugniesz powiekami, tylko patrzysz. Słyszę Twoje ostatnie słowa: „Ja się nie boję o siebie, że ja zginę, byłabym wiedziała, że wy jesteście ocaleni!”. Moja kochana, najdroższa Mamo! Jakbym chciał znowu unieść Cię na rękach, jak wtedy, gdy Cię, chorą, przenosiłem. Jakbym Cię chciał odnaleźć gdzieś blisko. Jaki zostałem samotny, jak mi okropnie bez Ciebie!

Mamo! Niech Twoja twarz nie zginie tak jak inne, mnie tak źle! Nie będę umiał nawet w myśli odtworzyć Twojej twarzy, nie mogę sobie już nic wyobrazić. I znowu Cię widzę, Mamo! Kochana! Najdroższa twarz patrzy i patrzy bez przerwy. Ból wzbiera, tak mnie rwie... Coś Ty wycierpiała!...

Nie wiem, co było dalej, prawdopodobnie zasnąłem. Zbudziłem się złamany, rozbity, nie mogę powiedzieć: spokojny – raczej bez jakiegokolwiek uczucia. Zwlokłem się do schodów. Na dworze jasny dzień.

Ostrożnie wyszedłem. Biała przestrzeń śniegu, podszedłem ku ulicy. Nieliczne postacie ludzkie – widocznie jest wcześniej. Idę w kierunku ulicy Pańskiej. Wraca skądś grupa młodzieńców – rozbawionych, dobrze ubranych. Wesoło śpiewają. Do kościoła wchodzi kobieta. To Nowy Rok. Przy ulicy Pańskiej otwarty sklepik – wchodzi i chcę kupić ćwierć kilo chleba. Nie mogę wymówić słowa. Muszę strasznie wyglądać, gdyż kupiec bacznie się we mnie wpatruje. Opuszczam głowę i chrypię z trudem: „Ćwierć kilo chleba”. Zapłacałem. Na ulicy odłamuję kawałkami chleb i żuję. Czarny, pełno w nim plew, nie smakuje – nie chce mi się jeść, mam zaciśnięte gardło. Zmuszam się, gdyż wiem, że nie wolno tracić sił. Idę wolno Pańską. Przechodzę koło numeru 103: tu mieszka Zahorski¹¹. Nie mogę do niego wstąpić – ich gospodyni mnie podejrzewa, nie chcą, bym przychodził w czasie jej obecności. Nie mogę narażać ich na przykrości. Dochodzę do Towarowej^b, skręcam w lewo, wchodzę w Grójecką. Dochodzę wolno do placu Narutowicza. Co robić?

Kościół¹². Wchodzę. Kazanie noworoczne: banalne upominania, tyle a tyle ślubów udzielono, tyle a tyle chrztów, tylu przystąpiło do spowiedzi. Wzrost pobożności, wzrost miłości chrześcijańskiej. Czuję ten wzrost¹³. Wychodzę – jest już po ósmej.

Niedaleko mieszkają Ottowie¹⁴. Myślę: niech się dzieje, co chce, do nich wstąpię. Mają osobne mieszkanie – ich nie narażę.

Dzwonię. Wpuszczają – przepraszam za tak niewczesną wizytę, tłumaczę sytuację. Szczerze mi współczują. Ciepła herbata, spokój mieszkania, w którym jest ognisko domowe. Dwoje ludzi, mających siebie – nieopuszczonych, nieszczutych, niesamotnych, bezpiecznych.

Odpocząłem, dzwonię do mojej gospodyni. Oświadczam mi przez telefon, że mogę wrócić. Nie mam innego wyjścia, wracam. Dowiaduję się, że policja zabrała moje rzeczy – ona ich opłaciła. Nie będą mnie więcej szukać. I po to tylko, żeby ukraść tych

^b *Woryginale*: Targowej. Prawdopodobnie przejęzyczenie Starka. *Ulica Targowa w Warszawie jest po drugiej stronie Wisły*.

¹¹ Zob. przypis nr 57 we „Wstępie”.

¹² Także dziś funkcjonujący kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w parafii św. Jakuba przy ul. Grójeckiej 38 (pl. Narutowicza). Proboszczem do 1944 r. był ks. Jakub Dąbrowski, który zginął w czasie powstania warszawskiego. Prośba o przybliżenie postaci proboszcza i innych duchownych tego okresu, skierowana do kancelarii parafialnej w dniu 20 IX 2011 r., pozostała niestety bez odpowiedzi.

¹³ Uwaga – rzecz jasna – ironiczna, ze względu na tragiczne położenie autora i brak jakiegokolwiek zainteresowania nim, nie mówiąc o pomocy ze strony wiernych.

¹⁴ Zapewne Edward Otto wraz z małżonką. Zob. przypis nr 55 we „Wstępie”, także list nr 1.

moje rzeczy, jędba wygnała mnie wczoraj z domu. Nieobliczalna histeryczka, chciwa, dla stu złotych może obrabować i narazić człowieka na śmierć, by w chwilę później tego żałować i temu samemu pomóc.

Jędba ta żyła z rabunku, specjalnie zwabiła Żydów na aryjskich papierach, a potem ich ogałacała. Zginęła w pierwszym dniu powstania¹⁵.

Dziś jest Nowy Rok 1946: sytuacja duchowa i otoczenie mało się różni od Nowego Roku 1943¹⁶.

¹⁵ Trudno stwierdzić, na ile ocena autora jest trafna. Bardzo prawdopodobne, że miał rację. Nie można jednak wykluczyć (z powodu braku jakichkolwiek dodatkowych informacji na temat tej osoby), że na tak negatywną ocenę wpłynęło ogólne rozczarowanie Starka postawami społeczeństwa polskiego.

¹⁶ Autor ponownie nawiązuje do antysemickiej atmosfery po wojnie (zob. pierwsze zdanie rozdziału, s. 75). Wielu członków społeczności żydowskiej w Polsce oceniało sytuację podobnie. Należy bowiem pamiętać, że społeczeństwo polskie, ogromnie spauperyzowane w wyniku pięcioletniej okupacji, było dodatkowo w dużej mierze zdemoralizowane warunkami wojennymi, stworzonymi przez okupanta niemieckiego. Pewna część ludności uległa też wpływom antysemickiej propagandy niemieckiej i nastrojona była do Żydów co najmniej niechętnie. Nakładała się na to wrogość wobec osób chcących odzyskać zrabowane im przez Niemców majątki, które następnie przeszły w ręce polskie. Ponadto kraj *de facto* pozostawał w sytuacji wojny domowej i stereotyp tzw. żydokomuny był wyjątkowo popularny wśród szerokich kręgów społecznych. Na skutek tych wszystkich czynników co najmniej kilkadziesiąt osób zostało zamordowanych w pierwszych latach powojennych tylko ze względu na pochodzenie żydowskie. Pogromy na Żydach miały miejsce m.in. w Kielcach i Krakowie. Różnych ekscesów antyżydowskich, zbliżonych do pogromów, jak np. w Rzeszowie, było wiele i dotychczas ich nie policzono. W rezultacie ludność żydowska żyła w permanentnym poczuciu wyalienowania i zagrożenia.

Getto się pali.

Mały pokój, dolne szyby przesłonięte, przez górne wpada światło. Się-
dze w kacie z Czarnobrodym na łobach. Nie można oddychać, zaduch. W tej
małej izdebce stłoczona masa co najmniej pięćdziesięciu osób. Do sąsied-
niej izdebki prowadzi niskie drzwi. Tam drugie tyle. By przejść z miej-
sca musi się chodzić po nogach.

Wszyscy mówią szeptem. Głośniejsze słowo wywołuje reakcje wszyst-
kich, syk lub wzrok patrzących zmusza do stłumienia głosu.

Zdenerwowanie, kobiety niemal histeryzują. Zmęczenie, okropne umę-
czenie wielu przesiedlanych bez ruchu dni, niedospanych nocy.

Jesteśmy w schronie. Akeja. Noce jasne od łuny. Czy to likwidacja
getta, której spodziewano się, czy to tylko akcja czesiciowa?

Znowu ogarnia spokój straszliwych chwil rezygnacja bezwładna, nie-
zależnienie losów od czynu własnego. Czy skazali nas ostatecznie na śmierć?

Wybuchy granatów ręcznych. To od strony Niskiej. Turkot karabinów
maszynowych.

W ręku trzymam Conrada: The shadow line. Pomimo wszystko mogę
czytać - a nawet myśleć nad tym co czytam. Przerywam. Gdzie są moi chłop-
cy. Akcja zaskoczyła nas niespodziewanie, jesteśmy odcieci, nie mamy broni.

Przed kilku dniami w nocy zbudziła nas wystawiona czujka: "Do
schronu! Natychmiast!". Przyszedł meldunek, że nad ranem zaczyna się akcja
likwidacyjna getta. Toebens i Schulz już są obstawieni. Pospiesznie
zbieramy się, zostawiamy mieszkanie otwarte, i wspinamy się na strych do
schronu. Na strychu stawiamy ostrożnie kroki, starając się robić możliwie
nieznaczące ślady, zacierając je za sobą. Przez otwór w podłodze wpuszczamy
się do zamurowanego mieszkania na trzecim piętrze. W szybkim ta-
tempie zbierają się mieszkańcy domu przynależni do tego schronu, scho-
dzą z łobami kobiety, dzieci, mężczyźni, starcy. Czekamy w napięciu
czy ta zapowiedź okaże się prawdziwa czy to tylko próżny fałszywy
alarm. Wchodząc na wyższe piętra przez okna kuty tarzawowe zauważyłem
na podwórzu postacie poruszające się w ciemności, jak zjawiska. Ogólna
ucieczka do schronów.

Ciemność. Cisza w schronie. Słychać przyspieszone oddechy. Zm-
Z rzadka odezwie się tu i owdzie szept, by natychmiast zamilknąć. Schron
już u góry zamknięty maskującą pokrywą. Zaczyna być duszne. Czy akcja
się zacznie. Ostatni wchodzący przyniesli wiadomość, że Niemcy już we-
šli do Getta. Czy to prawda? Podnieconych umysły mogą widzieć najprze-
roczniejsza nieistniejące zjawiska. Który raz już przeżywałem podobną
sytuację? Ziliu niemieckich mordów już się wydobyłem cało? Ciemno, duszno
Nie poddaje się groźbie sytuacji, zartujemy z Czarnobrodym. Budzę zger-

Getto się pali

Mały pokój, dolne szyby przysłonięte, przez górne wpada światło. Siedzę z Czarnobrodym¹ w kącie, na tobołach. Nie można oddychać, zaduch – w tej małej izdebce stłoczona jest masa co najmniej pięćdziesięciu osób. Do sąsiedniej izdebki prowadzą niskie drzwi: tam drugie tyle, by przejść z miejsca na miejsce, musi się chodzić po nogach. Wszyscy mówią szeptem, głośniejsze słowo wywołuje reakcję wszystkich: syk lub wzrok patrzących zmuszają do stłumienia głosu. Zdenerwowanie, kobiety niemal histeryzują. Zmęczenie, okropne umęczenie wielu przesiedzianych bez ruchu dni, niedospałych nocy. Jesteśmy w schronie². „Akcja” – noc jasna od łuny³. Czy to spodziewana likwidacja getta, czy tylko „akcja” częściowa? Znowu ogarnia spokój straszliwych chwil, rezygnacja woli, uniezależnienie losów od własnego czynu. Czy już ostatecznie skazali nas na śmierć?⁴

Wybuchy granatów ręcznych – to od strony Niskiej. Turkot karabinów maszynowych... W rękę trzymam Conrada: *The shadow line*⁵. Pomimo wszystko mogę czytać – nawet myśląc o tym, co czytam. Przerywam, myśląc: gdzie są moi chłopcy? „Akcja” zaskoczyła nas niespodziewanie, jesteśmy odcięci od siebie, nie mam broni. Przed kilku dniami obudziła nas wystawiona czujka: „Do schronu, natychmiast!”. Przyszedł meldunek, że nad ranem zaczyna się „akcja likwidacyjna” getta. Toebens i Schulz⁶ już są obstawieni. Pospieszenie zbieramy się, zostawiamy mieszkanie otwarte i wspinamy się na strych do schronu. Na strychu stawiamy kroki ostrożnie, starając się robić możliwie najmniej śladów i zacierając je za sobą. Przez otwór w podłodze wpuszczamy się do zamurowanego mieszkania na trzecim piętrze. W szybkim tempie zbierają się mieszkańcy domu przynależni do tego schronu, schodzą się z tobołami – kobiety, dzieci, mężczyźni, starcy. Czekamy w napięciu: czy ta zapowiedź okaże się prawdziwa, czy to tylko fałszywy alarm. Wchodząc na wyższe piętro, przez okna korytarzowe zauważyłem na podwórzu postacie, poruszające się w ciemności jak zjawiska. Ogólna ucieczka do schronów, ciemność.

¹ Brak bliższych danych.

² Schronami nazywano w getcie warszawskim wszelkiego rodzaju skrytki mające umożliwić uchronienie się przed wysiedleniem i zamordowaniem przez Niemców. Schrony zaczęto budować po pierwszym wysiedleniu latem 1942 r. (tzw. Wielka Akcja), które pochłonęło ponad 250 tys. istnień ludzkich zagazowanych w komorach gazowych obozu zagłady w Treblince. Wówczas w getcie pozostało około 60 tys. osób, z czego tylko połowa legalnie, reszta się ukrywała. Miano nadzieję, że budowane skrytki pozwolą przetrwać kolejne akcje wysiedleńcze. Nie spodziewano się jednak, że Niemcy przystąpią do palenia całych budynków, co powodowało, iż wszystkie schrony, poza głęboko ukrytymi pod ziemią, stawały się bezużyteczne. Podobny był los schronu, w którym przebywał autor.

³ „Akcjami” nazywano wysiedlanie przez Niemców kolejnych grup ludności żydowskiej. Towarzyszyło temu, jak wyżej wspomniano, palenie całych budynków i ulic, co miało w zamiśle Niemców zmusić ukrytych ludzi do wyjścia na zewnątrz. Stąd łuny, o których wspomina autor, pożary bowiem trwały często długo po zakończeniu „akcji”, tj. po wyjściu Niemców z getta, którzy obawiając się powstańców żydowskich, przebywali w nim tylko w ciągu dnia.

⁴ Często do końca nie zdawano sobie sprawy z tego, że akcja wysiedleńcza wiosną 1943 r. jest ostateczna i że getto ma zniknąć. Na ogół miano nadzieję na zaprzestanie wysiedlania po kilku dniach i powrót do „normalnego” gettoowego życia. Stąd budowa licznych schronów i nadzieja na przetrwanie.

⁵ Joseph Conrad (właśc. Józef Teodor Konrad Korzeniowski) (1857–1924) – pisarz angielski polskiego pochodzenia tworzący w języku angielskim. Autor licznych powieści, a także opowiadań, esejów, dramatów. Powieść *The shadow line* ukazała się po raz pierwszy w roku 1917. Wersja polska, pod tytułem *Smuga cienia*, w przekładzie Jadwigi Sienkiewiczówny, została wydana w roku 1926 w Warszawie.

⁶ Chodzi o tzw. szopy, warsztaty robót przymusowych, które nazwę swą brały od nazwiska niemieckich właścicieli, którymi byli: Walter Caspar Toebens oraz Fritz Schulz.

Cisza w schronie, słychać przyspieszone oddechy. Z rzadka tu i ówdzie odezwie się szept, by natychmiast zamilknąć. Schron u góry jest już zamknięty maskującą pokrywą. Zaczyna być duszno. Ostatni wchodzący przynieśli wiadomość, że Niemcy już weszli do getta. Czy to prawda? Czy „akcja” się zacznie? Podniecone umysły mogą widzieć najprzeróżniejsze, nieistniejące zjawiska... Który to już raz przeżywam podobną sytuację? Z ilu niemieckich mordów wydobyłem się już cało?

Ciemno, duszno. Nie poddaję się grozie sytuacji, żartujemy z Czarnobrodym. To budzi zgorzelenie. Milknę, ironicznie myśląc o tym zwierzęcym, bezprzytomnym strachu, który w decydujących momentach pozbawia wielu możliwości ratunku. Czekamy, zapadamy w półdrzemkę. Budzi mnie wybuch granatu – gdzieś daleko... Za chwilę drugi: „akcja” rozpoczęta. Świt; niektórzy szepcą modlitwy. Kobieta siedząca przede mną kurczowo przyciska synka, patrząc bez wyrazu przed siebie. Naprzeciwko mnie trzy siostry – stare panny obejmują się, drżąc. Wsłuchujemy się: wybuchy są daleko, prawdopodobnie gdzieś od strony Gęsiej. Esesmani⁷ „pracują”. Cóż, jestem już z tym oswojony. Nie można bez przerwy myśleć o „akcji”, trzeba czymś zatrudnić umysł. Przypadkiem znajduję Conrada. Nie mam co palić, nie ma co jeść. Okienko na górze jest otwarte.

Czy już dużo ofiar złapali? Czy od razu mordują? Przez górne okienko widać Umschlagplatz⁸. Plac jest pusty, nie ma jeszcze na nim nikogo. Getto pochowało się po schronach. Coraz częściej powraca myśl: Co robią chłopcy? Co za pech, że właśnie dziś Kuba⁹ zabrał mi rewolwer! Jak długo będziemy tu siedzieć?

Znowu wybuch granatu – gdzieś blisko, jednak jeszcze nie w bezpośrednim sąsiedztwie. Które ulice są otoczone? Czy są już w naszym domu? Cisza, nikt nie wydobywa ani słowa z ust. W tym ścisku bezwzględność ciszy przytłacza i mnie. Wyczuwam ich przerażenie, ciąży nad nami niemiecka śmierć. W zupełnej bezbronności jedyną obroną jest przyczajenie się, zduszenie wszelkiego dźwięku. Żywszy ruch budzi uwagę otoczenia; kilkuletnie dzieci, zastraszone, boją się ruszyć rączką. Obawiają się widoku Niemca, świadome, że Niemiec to zguba, wiedzą, że na widok munduru trzeba natychmiast uciekać w rumowiska, do piwnic. Poza obroną przed Niemcami najważniejszy drugi problem: skąd zdobyć żywność?

Na Umschlagplatzu nie ma ruchu. Jak się to skończy? Nagle trzy wybuchy granatów, łomot karabinów. Czy to nie turkot gąsienic czołgów? Nie można czytać, problematyka Conradowska nie odpowiada jednak chwili. Czy na noc jak zwykle przerwą akcję? Jeżeli tak, to w nocy będzie się musiało zdobyć żywność w jakiś sposób. Ilość wybuchów zwiększa się. Co się tam dzieje? W ich ręce absolutnie nie można wpaść – to droga do komory gazowej.

Wobec bezczynności niezależnej od mojej woli, jak zawsze w takich chwilach, zasypiam. Śpię długo, siedząc podkurczony. Kiedy się budzę, jest już po południu. Otoczenie

⁷ Członkowie organizacji niemieckiej „eskadry ochronne NSDAP” (niem. Die Schutzstaffel der NSDAP). Były to elitarne jednostki militarne podległe bezpośrednio partii nazistowskiej, czyli właśnie NSDAP.

⁸ Termin niemiecki oznaczający „plac przeładunkowy”. Była to nieistniejąca obecnie część Dworca Gdańskiego, wykorzystywana przez okupanta niemieckiego do „wymiany towarowej” z gettem, tj. do rabunku i wywozu towarów pochodzących z getta oraz dostarczania nielicznego pożywienia, która trafiała do skoncentrowanej tam ludności żydowskiej. Od lata 1942 r. Umschlagplatz służył także jako miejsce deportacji do komór gazowych Treblinki oraz innych miejsc zagłady.

⁹ Brak bliższych danych.

~~Noc, jasna, ciemna, gładka~~
 Noc rozjasniona krwawiejszym ogniem, huczącą
 trzaskiem płomieni. Moutonne syreny ognia,
 z ~~zawracającymi~~ ^{plonącymi} się hełek padają, rozprzeczne
 węgle. Cienna ulica obserwowana z wnętrza
 płomieni. Tu u płomieniach ludzkie, tam ma
 ulicy ludzkie. Tu potępienie, skazanie, tam
 Niemcy. Patrz i ~~obserwuj~~ z wnętrza płomieni. Chwila
 niecierpliwa twa śmierć. Zauważ Cię z ulicy Niemiec,
 kula ~~śmierci~~ cię trafi. Nie zauważysz padającej belki
 sploniętą życiem. Gaś zapalające się ~~chwilę~~ chwila
 ubranie. Nie rozumaj przepalonego obuwia, porzą-
 cego stopy. Nie wychodź z ognia. Słuchaj grzmioty
 ognia. Patrz na przeczki i dołgaszące ruiny
 spalone wczoraj, które już rano Niemcy prze-
 sputkali. Tak ~~hełki~~ hełki wyglądają twój słom-
 jętro, ale dłoń jestes herpieczny, bóg
 u morzu płomieni, u samym wnętrzu, do
 którego Niemiec nie dotrze. Skroś, bo tu ogień
 przysparza, przesunął się dalej. Tam płomie-
 nie, nie, dy chwieja płonącymi belkami
 jest miejsce dla ciotki. Hej, hej, wuj, wuj
 ogień dla herpieczności. Nie zważaj na dym,
 na to, że nie możesz oddychać, na to że spalone
 brwi, asmalone włosy, że oczy parzą, ~~nie~~
 z trudem możesz się patrzeć, dym gryzie,
 wżera ci się w oczy, obraża, dusi, trzymaj się!
 Siedź u ognia! Najgorszym ognikiem wali
 zmusz się. Nie zwracaj uwagi na tego przegłanego
 trupa. Odskoocz, bo ta belka trzeci raz, za-
 chwile, runie. ~~Ja~~ Skocz w bok. Patka, za się

Fragment rękopisu pamiętnika Marceliego Starka, zapisany ołówkiem

zaczyna się oswajać z sytuacją, w ten sposób będziemy musieli spędzić co najmniej kilka dni. Minęła cisza pierwszego napięcia, dookoła rozmowy półgłosem: domysły, dociekania, ocena sytuacji, kłótnie o miejsce. Co jakiś czas kierownik schronu musi uciszać. Wtem – napięcie: na dachu Umschlagplatzu pokazała się kobieta, czołga się na brzuchu, znika w zejściu do innego strychu. Przed tym samym domem siedzą „czarni”¹⁰. Jedzą, palą papierosy. Przyprawiają jakąś kobietę.

Noc, rozjaśniona krwawiącym ogniem, hucząca trzaskiem płomieni. Monotonnie syczy ogień, z płonących belek padają rozżarzone węgle. Ciemna ulica obserwowana z wnętrza płomieni – tu w płomieniach ludzie, tam na ulicy ludzie; tu skazańcy, tam Niemcy.

Patrz i obserwuj z wnętrza płomieni: chwila nieuwagi – i śmierć. Zauważy cię z ulicy Niemiec – kula cię trafi, nie spostrzeżesz spadającej belki – spłoniesz żywcem. Gaś zapalające się co chwila ubranie; nie zrzucaj przepalonego obuwia, parzącego stopy; nie wychodź z ognia. Patrz naprzeciwko, w dogasające ruiny spalone wczoraj, przeszukane już rano przez Niemców – tak będzie wyglądał twój dom jutro. Dziś jeszcze jesteś bezpieczny, boś w morzu płomieni, w samym ich wnętrzu, do którego Niemiec nie dotrze¹¹.

Uważaj, bo tu ogień przygasa, posuń się dalej. Tam płonie parter, między dwiema płonącymi belkami jest miejsce dla człowieka: wejdź, wejdź w ogień dla bezpieczeństwa! Nie zważaj na dym, na to, że nie możesz oddychać, na spalone brwi, na osmalone oczy, włosy... Oczy pieką, z trudem możesz patrzeć; dym gryzie, wżera ci się w oczy, drażni, dusi – trzymaj się! Siedź w ogniu, najwyższym wysiłkiem woli zmusz się! Nie zwracaj uwagi na tego zwęglonego trupa, odskocz, bo ta belka trzeszczy, za chwilę runie...

Skocz w bok – padła, żar się rozsypał; przykucnij, bo z ulicy zobaczą. Gdy ściana się pali, przesuń się w głąb, w kierunku podwórza. Patrz w niebo czerwone od łuny – tu pali się wszystko. Tu śmierć hula, tu wiatr roznosi ogień, tu piekło – tyś potępieńcem. Trzymaj się, nie zamykaj oczu, odskocz w bok, gdy cię stopy parzą – duś się, ale nie wychodź! Huczy monotonnie ogień – trzask płomieni z bliska i z daleka. Bezustannie grają karabiny maszynowe – nękające wystrzały ze wszystkich stron.

Groza ognia – dobroczynnego, bo chroniącego przed Niemcem. Nie przejmuj się tym, żeś od rana widział dziesiątki takich, którzy się żywcem spalili: ta śmierć nie taka straszna – od dymu szybko stracisz przytomność, a po tym wszystko jedno. Mocuj się o życie ze śmiercią. Zaszło ci w gardle? To nic – skacz, tańcz w ogniu jak salamandra. To ogień zbawienny, w którym naprawdę widzisz kogoś, kto rozwiewa ostatnie ułudy. Wszystko dokoła się pali, możesz zejść na podwórze – teraz Niemiec nie wejdzie, odechniesz. Patrz! Płonie dom, w którym niedawno mieszkałeś: tak spłonął świat, który sobie stworzyłeś.

¹⁰ Formacje pomocnicze tworzone przez Niemców, zwane tak od koloru mundurów. Rekrutowali się zazwyczaj z ludów mających nadzieję na uwolnienie się spod dominacji sowieckiej przy pomocy Niemców (Ukraińcy, Litwini, Łotysze) oraz jeńców bolszewickich, którzy w nadziei ratowania życia przechodzili na stronę wroga. Najbardziej znani są funkcjonariusze obozu szkoleniowego w Trawnikach (tzw. *Trawniki-Männer*) używani do likwidacji gett i mordowania ludności żydowskiej. Stan liczebny wynosił ok. 4 tys. (jesień 1943 r.).

¹¹ Palenie całych ulic rozpoczęło się od momentu objęcia dowództwa nad siłami niemieckimi przez SS-Gruppenführera Jürgena Stroopa (1895–1952).

się to objęło na rozkaz Koena. A punkt
mimiczny przedstawienie: Gruby i olia
miał, ulubieniec obozu dla swoich kup
wytepuje z kupletem godnym organu
dub Stürmera. I tu też oklaski. A naj
oklaskuje Ferjet i każdy powtarza: Kres
kipska za upokolenie tych ludzi, za ich
godności, za ich skrzętałości nawet w stosu
tego kamoty. Szczęśliwy byłam gdy się to
na zalewa skaneryta. Zżerał mnie wity

Zatarty mi się w pamięci szczególnie pierw
chwil pobytu u Klage-Aschewera w dub
dalony wóz pamiętam dobitnie.

Wydotatem się z wagonu. Zeskoczy
na ziemię, i stanie. Uniesiony po te
spędzanej w wagonie, z podkurwonymi
mi, odchnięciem świeżym powietrzem
mnie czarnobrozi z kurzynek.

Pierwsze dni pobytu w obozie

Zatarły mi się w pamięci szczegóły pierwszych dni pobytu w Plage–Łańskiewicz¹ w Lublinie. Dalszy ciąg pamiętam dokładnie.

Wydostałem się z wagonu. Zeskoczyłem na ziemię, w słońce. Umęczony po tej nocy, spędzonej z podkurczonymi nogami w nabitym wagonie, odetchnąłem świeżym powietrzem. Koło mnie Czarnobrodzi z kuzynką. Boso, tylko w pończochach, bez obuwia. Rozglądam się: dookoła stopy desek i drewna budulcowego. Duży plac – jakaś fabryka w Lublinie.

Przy wysiadaniu obecni esesmani. Zganiają na plac. Nie przypominam sobie, jak w tym momencie zniknęły kobiety. Później oznajmiono, że są w oddzielnym baraku. Zbieramy się na placu. Gdy wszyscy wysiedli, zaczęli podchodzić jeńcy – byli żołnierze, Żydzi w polskich mundurach – i wywoływać zawody². Nie mogę się zdecydować, czy pozostać jako niewykwalifikowany, czy podać pierwszy lepszy zawód. Gdy wywołują metalowców, zgłasza się Czarnobrody; nie chcąc pozostać sam, po krótkim wahaniu przyłączam się do niego. Postanawiam podać jako zawód pokrywacz dachów – w każdym wypadku zdaje mi się, że jest to fach, który wymaga możliwie mało wiadomości.

Usadawiają nas na placu grupami, według zawodów. Jeńcy pilnują, by nie przechodzić z grupy do grupy. Niektórzy z nich dodają nam otuchy i próbują pomóc, inni biją harapami. Pytamy ich, gdzie jesteście. U Plage–Łańskiewicz. Jest to jednak tylko *Dulag* (*Durchgangslager*)³; stąd będziemy dopiero rozsyłani do różnych obozów.

Siedzimy na placu: rozkosz siedzenia z wyciągniętymi nogami. Po jakimś czasie zajeżdża kilka wagonów. Pojawiają się esesmani. Lotem błyskawicy rozchodzi się wiadomość, że będą wybierać do Trawn⁴. Wszyscy zdenerwowani; każdy chciałby się tam dostać. Przyszłość pozostałych niewiadoma – grozi słynny KL Lublin (Majdanek)⁵. Nie mam żadnej osobistej oceny sytuacji; nie orientuję się. Wobec tego – idąc za owczym pędem – chciałbym też dostać się do Trawn.

Jeden z esesmanów ogłasza, że wywołani mogą zabrać ze sobą żony. Pomimo poważnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, zaczynam porównywać moją sytuację z innymi. Moja jest jednak lepsza. Jestem wolny jak ptak. Nie mam rodziny, bliskich, nie mam ma-

¹ Chodzi o tereny fabryki E. Plege – T. Łańskiewicz, przy zbiegu dzisiejszych ulic Droga Męczenników Majdanka i Wrońskiej, w południowo-wschodniej części miasta.

² We wrześniu 1939 r. w Wojsku Polskim walczyło 120–150 tys. Żydów. Nieustalona dokładnie liczba, prawdopodobnie ok. 60 tys., trafiła do niewoli niemieckiej, a blisko 20 tys. do niewoli sowieckiej. Większość Niemcy zwolnili, by nie podlegali międzynarodowej ochronie i by móc traktować ich jak pozostałą część ludności żydowskiej. Jeńcy żydowscy w Lublinie byli więzieni w obozie przy ul. Lipowej, większość została wymordowana lub zmarła na skutek panujących tam warunków.

³ *Durchgangslager* (niem.) – obóz przejściowy, czyli tymczasowe miejsce zatrzymania więźniów lub jeńców, skąd rozsyłano ich do miejsca przeznaczenia, na ogół obozów koncentracyjnych lub obozów pracy.

⁴ Obóz w Trawn⁴ został utworzony po rozpoczęciu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 r. Spełniał on kilka funkcji, zarówno obozu koncentracyjnego dla Żydów, Polaków i jeńców sowieckich, jak i obozu szkoleniowego dla formacji pomocniczych. Działały tam także warsztaty, w których wykorzystywano bezpłatną pracę ludności żydowskiej. Obóz pracy zaczęto likwidować po 3 i 4 listopada 1943 r., gdy w ramach akcji *Erntefest* („Dożynki”) zamordowano łącznie ponad 40 tys. osób.

⁵ KL Majdanek (niem. *Konzentrationslager Majdanek*) był umiejscowiony na obrzeżach Lublina. Spełniał funkcję obozu koncentracyjnego oraz obozu jenieckiego. Funkcjonował w latach 1941–1944. W latach 1942–1943 działały tam komory gazowe, w których mordowano głównie ludność żydowską. Przez obóz przeszło prawdopodobnie blisko 400 tys. osób, zginęło ponad 200 tys., z czego około połowę stanowili Żydzi.

jątku, o który mógłbym się obawiać – a nawet butów. Wyglądam okropnie. Włosy stanowią jeden gęsty kłak, pełen sadzy, niemożliwy do rozplątania. Czarny od sadzy i dymu, z czerwonymi oczami, rozdrażnionymi przez pożar, w którym siedziałem około 36 godzin, w ubraniu nadpalonym z lewej strony. Mimo to czułem się rażnie, niemal byłem w dobrym humorze. Podziałała na mnie zmiana. Nie zwracałem uwagi na przyszłość, zadowolony, że się skończyło getto. Atmosfera jego była okropna, gorsza niż obozu.

Zauważyłem Staszka Folmana⁶. Podczołgałem się od mojej grupy, metalowej, do elektryków, by z nim porozmawiać. Dowiedziałem się, że jest z żoną. Gorączkowo wypytuję go o różne zawody – jaki podać. On ma mało cierpliwości, jednak odpowiada. Tymczasem na placu esesman wywołuje zawody. Wywołani, którym inni zazdroszczą, wstają, biegną do kobiet zebranych niedaleko wagonów, wskazują, szczęśliwi, że już są wewnątrz – wszak jadą do Trawniki. Trawniki! To było marzenie wszystkich obecnych wówczas w dulażu. A dziś nie żyje z nich nikt, zostali zamordowani, pozostali przy życiu tylko ci, którzy się trafem dostali do Budzynia. Po jakimś czasie wywołują elektryków – nawijaczy. Folman uradowany wybiega, wywołuje żonę, znika w wagonie. Tak pojechał na śmierć.

Wracam do mojej grupy. Czarnobrody znikł. Rozglądam się, zdenerwowany. Jedy-ny mój znajomy. Poza nim nie znam nikogo. Chcę zasięgnąć jeszcze innych informacji. Czołgam się o kilka kroków wstecz, by o coś zapytać. Zauważa to esesman. Podchodzi do mnie, każe mi stanąć. Pyta do jakiej grupy należę. Mówię, że do *Dachdecker*⁷. – „Dlaczego się poruszasz?”. Wali mnie harapem przez twarz. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty... Nie zasłaniam się, nie wydaję głosu, nie mogę wobec Niemca zachować się bez godności. A ten wali bezustannie. Czuję, że mi spływa po twarzy krew, on bije przez oczy, nie przerywa. Zrozumiałem, że będzie bił dopóki nie padnę, że moja postawa go rozjątrza, że zakatuje choćby na śmierć. Wobec tego padam na ziemię, kuląc się, niemo. To poskutkowało. Odszedł.

Wycieram krew rękawami, skóra twarzy podarta harapem, boli. Powoli zasycha krew, zostają krwawe blizny i rany pokryte skrzepem, twarz opuchnięta i zdeformowana. Kłak włosów lepki od świeżej krwi. Mieszanina włosów, sadzy, brudu i prochu.

Wywoływanie skończyło się. Wagony zamknięto, odjechały. Wśród pozostałych rozczarowanie, niepokój. Esesmani odeszli, teraz jeńcy pilnują nas, niektórzy biją niezgodniej od esesmanów. Przypatruję się zdumiony, że ci też. W getcie uważałem, że takie typy są wyjątkowe – a tu widzę ich więcej.

Z niektórymi można rozmawiać. Ci z nas, którzy poukrywali pieniądze, pytają, czy można kupić chleb. Można, bochenek za 500 zł. Możliwości szmuglu są prawie żadne, kto przywozi chleb z robót, w razie złapania bywa bezwzględnie rozstrzelany. Wobec tego ceny horrendalne. Mam wrażenie, że jeńcy chcą wykorzystać sytuację, żeby się obłowić. Zbyt dobrze są ubrani i zbyt dobrze wyglądają⁸.

Czekamy, nic się nie dzieje. Siedzimy beczynnie, oszołomieni ostatnimi przejściami, wielu drży ze strachu przed KL-em (i mieli rację). Ja, jak zwyczajnie, uważam swój

⁶ Brak bliższych danych.

⁷ *Dachdecker* (niem.) – dekarz.

⁸ Jeńcy żydowscy wykorzystywani przez Niemców do pilnowania więźniów byli po części zdemoralizowani, po części widzieli wysługiwanie się okupantowi jako jedyną szansę na przeżycie. Nie mając zapewne wątpliwości co do ostatecznego losu więźniów, nie mieli też skrupułów przed wyłudzeniem od nich pieniędzy, zarówno dla własnej korzyści, jak też dlatego, żeby nie wpadły w ręce niemieckie.

los za wygraną. Wszak jestem skazany na śmierć – a tu, nawet w wypadku KL-u, wygrałem jeszcze z miesiąc życia (później, w Budzynie, przestałem uważać się za skazanego, czekałem na wydobycie się, nie licząc przy tym na żadne cuda). Czarnobrody się nie zjawia. Wszyscy wokół marzą, jakby się dostać do Trawnik lub Poniatowa⁹...

Po kilku godzinach oczekiwania każą się nam ustawić. Nagle zauważam Kaczkę¹⁰. Wygląd straszliwy. Żółty, oczy zamknięte, na rękę trzyma syna. Z ust dziecka toczy się żółta piana, wymiotuje żółtym płynem, nieprzytomne, nogi, ręce i głowa zwisają bezwładnie, dogorywa. Kaczka ugina się pod ciężarem, też na wpół przytomny, z ust wydobywa mu się też piana. Wymiotuje, wprost na syna. Ale nie puszcza go z rąk, zatacza się. Zażył truciznę, jak się okazuje, za słabą na dorosłego.

Ktoś podchodzi do Kaczki, wyjmując mu dziecko z rąk, ten stara się je zatrzymać, jest zupełnie bezsilny. Tamten odgina mu ręce – Kaczka nie ma siły się mu oprzeć – syn skończył mu na rękach. Ktoś odnosi dziecko na deski i tam zostawia.

Idę z kolumną, przysuwam się do Kaczki i prowadzę go. Próbuję do niego mówić, a on wydobywa tylko jęk, że trucizna była za słabą. Podchodzimy do jakichś baraków. Tu nas zbierają w półkole. Przed nami grupa młodych dziewcząt, doskonale wyglądających. Gruby esesman, kierownik dulażu wyprowadza jakąś kobietę, Żydówkę, z obwiązaną twarzą. Esesman przemawia – że nic nam się nie stanie, że niesłusznie rozsiewa się wśród nas pogłoski, że Żydów się morduje, że jedynie zbierają nas w obozach pracy i do takich wszyscy zostaniemy wysłani¹¹.

Po nim przemawia kobieta, po niemiecku, z typową niemiecką wrzaskliwością: będzie się nam w obozach dobrze powodziło, głodu nie zaznamy, a jako dowód, każe nam się przypatrzeć dziewczętom, które świetnie wyglądają, mimo że są już pół roku w obozie. Nie dodaje przy tym, że są to właśnie kucharki, a ona sama kierowniczką kuchni.

Ustawiają nas gęsiego. Dają nam po misce gęstego, tłustego pęczaku i po dziesięć chleba. Pierwsza gotowana strawa od dłuższego czasu. Każdy, kto otrzymał porcję, wchodzi do budynku. Udaje mi się wejść w kolejkę drugi raz i otrzymać drugą porcję. Wchodzę do budynku.

Dwa piętra i parter. Nie ma poszczególnych pokoi, duże sale, schody drewniane, żadnych ławek czy mebli. Tu spotykam Czarnobrodą¹² z kuzynką. Rzuca się na mnie, dostaje histerycznego ataku, nie widząc męża. Na parterze widać wodę. Nareszcie można się umyć. Orzeźwiony myciem i kolacją, wraz z Czarnobrodą i ich kuzynką kładziemy się na podłodze drugiego piętra. Czarnobroda histeryzuje. W getcie opowiadano, że w Treblince¹³,

⁹ Właściwie Poniatowa k. Opola Lubelskiego. Istniał tam pierwotnie obóz koncentracyjny dla jeńców sowieckich (ok. 20 tys.), a następnie obóz dla ludności żydowskiej wykorzystywanej do pracy w zakładach Többensa. Wszystkich więźniów żydowskich wymordowano na początku listopada 1943 w ramach akcji *Erntefest*.

¹⁰ Brak bliższych danych.

¹¹ Przemawianie i zapewnienie o bezpieczeństwie było standardowym postępowaniem Niemców mającym na celu łatwiejsze zarządzanie ofiarami skazanymi na śmierć, by eliminować nastroje paniki i zapobiec ewentualnemu buntowi.

¹² Małżonka wyżej wspomnianego mężczyzny o nazwisku Czarnobrody.

¹³ W Treblince funkcjonowały dwa obozy, koncentracyjny (1941–1944) i zagłady (1942–1943). Chodzi tutaj rzecz jasna o ten drugi, w którym działały komory gazowe i krematorium, a który został utworzony w ramach akcji eksterminacyjnej wymierzonej w ludność żydowską. Wymordowano tam m.in. ok. 250 tys. warszawskich Żydów deportowanych tam latem 1942 r. Jednostki, którym udało się uciec i wrócić do getta, opowiadały o tym, co tam się dzieje. W roku 1943 w Treblince miał miejsce bunt, w wyniku którego nielicznym udało się zbiec i ocalać (m.in. Jankielowi Wiernikowi, którego broszurę *Rok w Treblince* opublikowano w roku 1944 w wydawnictwie konspiracyjnym). W Treblince zginęło blisko 900 tys. osób.

gdzie gazowano ludzi, po każdej egzekucji podłoga komory była zlewana wodą; tu, na parterze podłoga zalana jest wodą przez myjących się. Widok wody działa na histerię Czarnobrodego: zupełnie nieprzytomna, lamentuje, że jesteśmy w komorze gazowej. Nic nie pomaga moje tłumaczenie, że ona nie może być tak zbudowana, że to za duży budynek, nieszczelny, nie ma budowy komory. Histeryzuje, płacze, woła męża. Na mnie jej histeria nie działa, irytuje mnie tylko. Ma do mnie pretensje, że nie wyskoczył po drodze z wagonu, że ona wyskoczyłaby za mną. Mruczę tylko: Ja pani nie powstrzymywałem od skakania – i kładę się.

Ciasnota straszliwa. Duży budynek nabitý ludźmi, dużo starców i kobiet, nie ma gdzie ręki położyć. Ciągłe krzyki, kłótnie o miejsce, z różnych stron podnoszą się krzyki, że coś skradziono. Zaduch, smród. Wykorzystuję swój talent do spania w ciężkich sytuacjach. W najbardziej krytycznych momentach, gdy nic nie mogła pomóc moja inicjatywa, ogarniała mnie senność i mogłem spać bez przerwy nawet 24 godziny. Był to niezwykły dar, którego mi zazdrośczone. Ileż mi on męczarni zaoszczędził!¹⁴

Przespąłem noc. Raz tylko obudziłem się. Dookoła w ciszy leżą pokotem ludzie. Niektórzy chrapia, wielu leży z otwartymi oczami. Tysiące, stłoczone na tej podłodze, oczekujące śmierci. Wszystko wymęczone po straszliwych przejściach spalania getta. Rodziny, matki z małymi dziećmi. Musiałem zejść z przyczyn fizjologicznych. Nie było gdzie nogi postawić. Chodziłem po ludziach. Jedni leżeli na drugich. Na schodach leżeli. Na parterze stali w wodzie ci, dla których nie znalazło się miejsce na górze. Cicho, niesamowicie. Gdy wróciłem, z trudem wcisnąłem się na dawne miejsce i oczywiście znowu zasnąłem.

Ranek. Można było wyjść z budynku. Naprzeciw kilka baraków. Dowiaduję się, że ci, którzy tam śpią, są tu już od kilku dni. Jest nawet partia trzystu ludzi, którzy byli w Treblince, mieli pójść do gazu, byli nawet już rozebrani; w ostatniej chwili przeprowadzono jeszcze selekcję, wybrano trzystu zdrowych i odesłano ich tutaj.

Spotykam Czarnobrodego. Znalazł jakiegoś krewnego, jeńca, ten obiecał mu, że go zatrzyma. Żona rzuca się na niego z histerycznym płaczem, po krótkim czasie on odchodzi, z tym, że zaraz wróci. Tak go widziałem po raz ostatni.

Kręcę się jeszcze jakiś czas. Nagle każą się ustawić w dziesiątki i prowadzą za baraki. Koło mnie Czarnobroda z kuzynką, żona Kaczki¹⁵ wymiotująca na żółto; Czarnobroda znowu lamentuje; ma do mnie nieuzasadnione pretensje. Z daleka widzę KL-owców. Po raz pierwszy widzę gwiazdy i numery na piersiach. Ciężko pracują, gnani przez jakiegoś Niemca, również z numerem. Jeszcze nie wiedziałem, co to jest kapo¹⁶.

Otoczają nas esesmani. Wybierają kobiety, odrywają od mężów, szarpiąc i bijąc. Odcinają grupę 800 mężczyzn (mnie między nimi), reszcie każąc się rozejść. Odprowadzają nas w inną część obozu, dzielą na osiem grup po sto. W uszach mam ciągle jeszcze

¹⁴ Był to w istocie czynnik niezwykle istotny dla zwiększenia możliwości przetrwania, ponieważ jednym z najważniejszych elementów wypracowanej przez Niemców zagłady pośredniej było fizyczne wyczerpanie ofiar, a przede wszystkim maksymalne ograniczenie czasu snu, co uniemożliwiało odpoczynek i regenerację organizmu.

¹⁵ Brak bliższych danych.

¹⁶ Kapo – mianowani przez Niemców przywódcy komand roboczych, wywodzący się z więźniów danego obozu. Cieszyli się niedostępnymi dla innych przywilejami i mieli dużą władzę nad podległymi im współtowarzyszami. Musieli posługiwać się językiem niemieckim, często byli to obywatele niemieccy, a w większych obozach Niemcy osadzeni z powodów politycznych lub kryminalnych. Na ogół nie cieszyli się dobrą opinią, w złym traktowaniu współwięźniów bowiem upatrywali szansy własnego przetrwania lub też byli zdemoralizowani panującymi warunkami. Nieliczni tylko zapisali się pozytywnie w pamięci ocalałych.

placz, lament i histerie Czarnobrodej. Każda setka usadowiona jest osobno, w kwadratach 10 rzędów po 10. Niemiecka precyzja. Każdą setką „opiekuje się” kilku „czarnych”. Kręcą się jeszcze koło nas jeńcy. Koło naszej grupy znajduje się jakiś przyzwoity człowiek, oznajmia nam, że wysyłają nas do obozu w Budzyniu. Jeden z nie najgorszych obozów. Zadowolony jestem, że stan przejściowy, dulaż, się kończy. Denerwuje mnie nagle oderwanie od wszystkich znajomych, brak Czarnobrodego. Przyglądam się „czarnym”. Staram się z wyglądu określić typy. W pobliżu nas dwóch. Jeden młodzik, z którego wyglądu nie da się wysnuć żadnego wniosku. Drugi wysoki, prostacki, brutalny typ. Próbuje z nimi wszcząć rozmowę – nie odpowiadają.

Pokazuje się jakiś esesman. Elegancki, wytworny blondyn w wieku około trzydziestu lat, miły, kulturalny wygląd. Podchodzi do nas, bada wzrokiem. W rękę piękna, skórzana teczka.

Pyta, ilu rzemieślników jest wśród nas. Podnosi się dużo rąk. Kiwa z zadowoleniem głową: „Sehr gut, sehr gut”¹⁷. Podchodzi do mojej grupy, zaczyna rozmowę. Powiada, że jest komendantem obozu, do którego jedziemy, że będzie nam tam dobrze, wikt dostateczny, dwa razy dziennie zupa i chleb. Niedaleko mnie siedzący grubas od razu się przypodchlebia: że słyszał, że to dobry obóz, że dają tam funt chleba dziennie itd. Patrzę na niego ze zdziwieniem – po co to wygaduje, po co rozmawia (po przyjeździe był jednym z pierwszych, którzy opłacili się, żeby zostać policjantami). Pan komendant Feix¹⁸ zauważa, że jestem bez obuwia. Zwraca się do mnie wprost, bym się zgłosił w obozie, dostanę obuwie. Odchodzi, zapowiadając, że musimy czekać na wagony.

„Czarni” nie dają się poruszyć. Siedzę koło jakiegoś staruszka; jak się później dowiedziałem, był to lekarz warszawski, dr Puppke. Ma on na palcu złotą obrączkę ślubną. Zauważa ją „czarny”, podchodzi, łapie za palec i ciągnie za pierścienek ze słowami: „Dasz eto mienia na pamiatku, praua?”¹⁹. Pierścień nie schodzi, ściga go więc siłą, nie trzaskając się o jęki Puppkego.

Czekamy w ten sposób z godzinę lub dwie. Położyć się nie można; nogi drętwieją od ciągłego podkurczania. O niczym nie myślę. Obojętny jest mi obóz: moja decyzja i osobisty wysiłek; z chwilą znalezienia się w przemocy Niemców nie mają one choćby chwilowego znaczenia. Następuje duchowa prostracja²⁰. Czekam bezwładnie, machinalnie.

Po upływie dłuższego czasu zajeżdża sześć wagonów. Myślę: ładna będzie jazda, przeciętnie 130 osób na wagon, dzień gorący, byleby to długo nie trwało. Wraca Feix. Setkami odprowadzają do wagonów. Dziwi mnie, że koło wagonów, a są one dość daleko, robi się ścisk przy wskakiwaniu do wagonów. Dlaczego się tak spieszą, u licha? W końcu nadchodzi kolej na moją setkę. Maszerujemy dziesiątkami. Przechodzimy obok Feixa. Ten ze zmarszczonymi brwiami ryczy: „Aber los! Schnell!”²¹. „Czarni” momentalnie zdejmują karabiny, walą kolbami. Już zrozumiałem pośpiech. Thuką, chaotycznie wskakujemy do wagonu. Miejsca już nie ma.

Wskakują dwaj „czarni”, thuką kolbami, stłaczają, robi się miejsce dla dalszych. Wagon napchany, drzwi zasuwa. Od razu robi się duszno, że ledwie można odetchnąć. Je-

¹⁷ „Sehr gut, sehr gut” (niem.) – Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

¹⁸ Zob. przypis nr 11 we „Wstępie”.

¹⁹ „Dasz eto mienia na pamiatku, praua?” (ukr.) – Dasz mi to na pamiątkę, prawda?

²⁰ *Prostracja* – całkowite załamanie.

²¹ „Aber los! Schnell!” (niem.) – Ruszać się! Szybciej!

stem w pobliżu okienka. Nie ma gdzie nogi postawić, nie można się obrócić, brak powietrza, w dodatku jestem niski. Od razu staje się mokry od potu. W dodatku mam na sobie kurtkę. Rozpinam więc kurtkę, marynarkę, koszulę. Pociąg rusza. W czasie jazdy okienkami wpada wprawdzie nieco powietrza, lecz nie daje ono żadnej ulgi. Chciałbym zrzucić kurtkę, lecz nie mogę – ulegnie zniszczeniu. Umiem jednak cierpliwie znosić dolegliwości fizyczne.

Koło mnie narzekania. Jęki, zdenerwowanie. Stojący przy okienku opisują drogę, którą przejeżdżamy. Mija godzina, dwie, jazda trwa. Duszność nie do zniesienia. Pociąg staje. Sądzymy, że u celu. Pukają więc do „czarnych”, proszą o wodę. Odpowiedź: „Na szczo wam wody, job wasza mat”²². Zaczynają pokpiwać. Miałem jeszcze to szczęście, że w takich sytuacjach nie piłem nigdy, sam organizm nie domagał się wody, wprost przeciwnie. Już od 36 godzin nic nie piłem, poza wczorajszą zupą, a miałem wstręt do wody. Ktoś wysuwa butelkę z „góralem”²³, „czarny” bierze ją i „górala”, obiecuje wodę. Za chwilę wpada pusta butelka z rozmachem, uderza kogoś w głowę. Na peronie stoi kilku „czarnych”. Bawią się, rzucając kamienie do wagonu. Wpadają kamienie, niektóre wielkości głowy dziecka, uderzają stojących, nie ma gdzie się cofnąć w tym tłoku.

Odczuwam straszny, nieznikający smród. Widocznie ktoś, nie mogąc się powstrzymać, narobił w portki. Kamienie wałę, smród, zaduch, tłok. Wreszcie pociąg rusza. Znowu ciągnie się godzina, dwie, zjeżdżamy na boczny tor, jedziemy lasem. Dobiłem się do okienka. Widzę jakiś obóz, więźniów stojących w wodzie po kolana – osuszanie moczarów. Jedziemy dalej. Wreszcie pociąg staje, wkrótce drzwi się otwierają. „Czarni” kolbami dopingują, wyskakujemy, od razu ustawiamy się piątkami w kolumnie.

Marsz. Prowadzą nas dobrze wyłożoną drogą, przez las, który się przerzedza i znika. W niewielkiej odległości, na wzgórzu widoczne są wieże kościoła jakiegoś miasteczka. Droga prowadzi pod górę, ciężko mi iść boso po kamieniach; ukazują się domy jakiegoś osiedla. Część otynkowana, część w trakcie budowy. Stoją równymi rzędami, bielutkie, czyściutkie. Skręcamy w bok z drogi. Idziemy szeroką ścieżką, twardo wybitą stopami przechodzących; przechodzimy koło domu, przed którym stoją „czarni” i Żydzi z białymi opaskami²⁴ na rękach. Ukazuje się rząd baraków, podwójny rząd drutów – obóz. Po raz pierwszy wchodzę do obozu.

Przed obozem „czarni”. Budka wartownika. Bacznie się nam przyglądają. Wkraczamy do obozu. W obozie odrębne zadrutowanie, tam nas wprowadzają, zamykają bramę. Obóz w obozie. Dwa baraki. Wyprowadzają nas na trawnik za barakami. Ustawiają w pięciu rzędach. Podchodzą ci z białymi opaskami, dobrze wyglądają – to policja obozowa. Wszyscy w mundurach jeńców. Feix kroczy przed nami. Pada rozkaz: „Wszystkie plecaki i walizy oddać!”. Feix na chwilę odchodzi. Leżą zaledwie trzy plecaki i jedna waliza.

Policjanci żwawo do nich podbiegają. Koło mnie, niedaleko, jeden ma plecak, zdejmuję go i stara się wyjąć żywność. Robi się zamieszanie – każdy rzuca się i chce też coś z niego wyjąć. I ten jeden plecak momentalnie przestał być własnością. Sięgam i ja, zdobywam dwie kostki cukru. Nadbiega policjant, wali, zabiera plecak. Nie da sobie

²² „Na szczo wam wody, job wasza mat” (ukr.) – Na co wam woda (i przekleństwo: „job wasza mać”).

²³ Góralami nazywano okupacyjne banknoty z najwyższym nominałem (500 zł), wydawane przez Bank Emisyjny w Warszawie. Nazwa pochodzi od wizerunku górala na awersie banknotu (rewers przedstawiał Tatry).

²⁴ Zapewne opaski z niebieską gwiazdą Dawida, które od grudnia 1939 r. zarządzeniem władz niemieckich byli zobowiązani nosić wszyscy Żydzi od 12. roku życia na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

zabrać łupu, który niepisany prawem obozowym jemu się należy. Wkładam cukier do ust. Od razu czuję się pokrzepiony. Teraz zdaję sobie sprawę, jak jestem osłabiony i wyczerpany.

Wraca Feix. Robi się porządek. Nadchodzi wysoki i szczupły jeniec, który po polsku oznajmia, że mamy oddać złoto, kosztowności, pieniądze i noże. Podchodzi trzech policjantów z koszami, obchodzą pierwszy rząd. Padają kosztowności, pieniądze itp. Koło mnie ktoś przygotowuje dwa „górale” do oddania. Mówię mu, by mi je dał, ja zaryzykuję – nie chce. Stoję w pierwszym rzędzie. Pierwszy rząd występuje kilka kroków naprzód, potem drugi, trzeci. W tym momencie zauważam, że w moim rzędzie ktoś zwałił się na ziemię. Za nim stoi Feix. Bucha z głowy krew. Feix rzuca rozkazy. Kilku najbliższych stojących rozbiera trupa. Strzału nie dosłyszałem. Zwykła niemiecka metoda: przy odbieraniu pieniędzy zastrzelić jednego lub kilku dla postrachu. I oto leży już nagi trup młodego chłopca. Biorą go za ręce i nogi i wynoszą za baraki. Ubranie zabiera policjant do magazynu.

Feix cel osiągnął. Wielu nastraszonych oddaje mienie, które zamierzali ukryć. Zwiększa się ilość zrzucanych pieniędzy. Kończy się ceremonia. Odchodzi Feix i policja. Każą nam wejść do baraków. Od razu zjawia się kilku „czarnych”. Dokładnie przeszukują trawnik, na którym staliśmy, poszukując zrzucanych pieniędzy. Przeglądają każde zagłębienie, każdą trawkę. Obławiają się, gdyż widać, że często coś podnoszą.

Wchodzę do baraku. Prycze. Jestem zmęczony, kładę się. Nagle dochodzi mnie śpiew. Jestem zdziwiony, skąd tu, w tym pustkowiu śpiew? Wychodzę. Na gościńcu długi, czarny wąż maszeruje. Śpiewają. Dookoła „czarni”. Skręcają do obozu. Wchodzą, na czele grupa jeńców; po jakimś czasie zbierają się dookoła drutów naszego ogrodzenia. Od nich dowiadujemy się, gdzie jesteśmy.

Wracam do baraku. Dziwi mnie, że u kilku widzę całe bochenki chleba. Na sam ten widok zaczynam odczuwać głód, który był uśpiony pod wpływem wrażeń. Skąd oni wzięli chleb? Wszak przed chwilą wszystko odebrano. Policjanci już handlują. Przynoszą chleb po 80 zł za bochenek, gdy przed południem kosztował 40. Wykorzystują popyt.

Kładę się. Na dworze się ściemnia. Oznajmiamy kolację. Wychodzimy z baraku. Dostajemy nowiuténkie blaszane miski, łyżki. Nalewają miskę zupy – gorącą, z ziemniakami, zjadam, dostaję nawet drugą. Starczy mi. Przechadzam się, by odetchnąć świeżym, wieczornym powietrzem.

Teraz wydają supę dla drugiego baraku. Stoi ogonek, w nim dr Puppke; boso, w rękę trzyma buciki. Staruszek ledwo stoi na nogach. Nadchodzi Feix. Zauważa Puppkego. „Was macht du Alter, hier? Hier muss man arbeiten. Dich brauch' ich nicht. Du wirst erschossen”²⁵. Idzie dalej. Zauważa drugiego starca. Wargi mu się zaciskają: „Was? So ein Mist hat man nur geschickt? Ich hab' denen gesagt ich brauche Arbeiter und die haben solches Gesindel mir gegeben”²⁶. Wyjmuje harap zza pasa, łapie starca za włosy, wyciąga go z szeregu. Ten z trudem chodzi, pada, Feix go ciągnie za włosy po ziemi, wali harapem po głowie. Słyszę przeraźliwy krzyk starca. Feix w szaleństwie wali bez opamię-

²⁵ „Was macht du Alter, hier? Hier muss man arbeiten. Dich brauch' ich nicht. Du wirst erschossen” (niem.) – Co ty stary tu robisz? Tutaj trzeba pracować. Ciebie tu nie potrzebuję. Zostaniesz rozstrzelany.

²⁶ „Was? So ein Mist hat man nur geschickt? Ich hab' denen gesagt ich brauche Arbeiter und die haben solches Gesindel mir gegeben” (niem.) – Co? Więc tylko śmiecie przysłano? Powiedziałem przecież, że potrzebuję robotników, a dali mi jakąś zgraję.

tania. Za włosy go ciągnie w górę, stawia na nogi. Zwraca się do stojącego w pobliżu policjanta: „Wo ist der zweite Alte? Bring in gleich hier. Aber im Nu! Schnell!”²⁷.

Policjant udaje, że go nie może znaleźć. Feix się wścieka. Puppke jest jednak z daleka widoczny – wskazuje go. Policjant go przyprowadza. Feix obu starców popędza przed sobą, bijąc po głowach harapem. Ci starają się biec, posuwają się drobnymi, starczymi krokami, zasłaniając rękami głowy. Szpicruta nie przestaje działać, bijąc po rękach. Idą za barak, do dołu między klozetem a wieżą wartowniczą. Podchodzą w tamtym kierunku. Feix się odwraca i woła do policjanta: „Zwei Kriegsgefangene hier. Die sollen die zwei gleich ausziehen”²⁸. Jest tu kilku jeńców, żaden nie chce iść. W końcu poszło dwóch policjantów. Po upływie krótkiego czasu usłyszałem dwa strzały. Wróciłem do baraku. Umęczony, zasnąłem z miejsca twardym, kamiennym snem.

²⁷ „Wo ist der zweite Alte? Bring in gleich hier. Aber im Nu! Schnell!” (niem.) – Gdzie jest ten drugi starzec? Przyprowadź go tu zaraz. Tylko już! Szybko!

²⁸ „Zwei Kriegsgefangene hier. Die sollen die zwei gleich ausziehen” (niem.) – Dwaj jeńcy wojenni tutaj. Niech zaraz tych dwóch rozbiorą.

Wziętych z więzienia hier. Die sollen die zu
ausziehen." Jest kilka jeńców, zaden m
iść. W końcu poszło obrotu polijantów.
nie krótkiego czasu nastąpił strach

Wróciliśmy do baraku. Wnętrze, zas
z miejsca twardego, kamieniem surowym

Ranek. Porzuciłem sobie leżąc. Ciek
tem otoczenia, wychodzę. Do naszych dru
potchodzą stary obozowice. Przypatru
się sobie wzajemnie. Z obrzydzeniem
lżem na większość z nich, brud, ręce
tachmany, zwisające, na nosach obr
złote, poscierane, owoce zrobione z
tych papierowych sienników, niektórzy
mają obrucia, obwiązali nogi siennika
w ręku menuarika obozowego wyrobu, niektórzy
menuariki trzylitrowe; czuję jakby bit o
smród; Ogarnia mnie strach; czy i ja
będę wyłobztał? Czy i ja będę miał tak

Adaptacja

Ranek. Pozwalają nam leżeć. Ciekaw jestem otoczenia, wychodzę. Do naszych drutów podchodzą starzy obozowicze. Przypatrujemy się sobie wzajemnie. Z obrzydzeniem spoglądam na większość z nich – brud, ręce czarne, zwisające łachmany, na nogach drewniaki zdarte, pościerane, onuce zrobione z podartych, papierowych sienników. Niektórzy nie mają obuwia, owinęli nogi siennikami, w rękach menażki obozowego wyrobu, niektóre menażki trzylitrowe. Czuję, jakby bił od nich smród. Ogarnia mnie strach: czy i ja też będę tak wyglądał? Czy i ja będę miał takie strupy i wrzody na twarzy? Jak u nich z wszami?

Pytam, jak długo są w obozie – dopiero 6–8 miesięcy. Prawie wszyscy pochodzą z Kraśnika¹. Wszelkie rozmowy z nimi schodzą na jedzenie. Myśl obraca się ciągle dookoła jedzenia. Czy i tak będzie ze mną? Mają czerwoną farbą wymalowane krzyże na plecach i lewym kolanie. Długo się nie kręcą. Wkrótce zbierają się placu apelowym i kolumną wychodzą do pracy. Słyszę ich śpiew. Jak te widma mogą śpiewać? Zostajemy z policjantami, dobrze ubranymi, schludnymi, czystymi i dobrze wyglądającymi.

Przynoszą nam kawę. Chleba nie dają. Głodny jestem, ale pal diabli! To nie ma znaczenia, w obiad zjem. Wkrótce wchodzi „najstarszy” obozu, wywołuje kilka zawodów i wyprowadza grupę pięćdziesięciu do kąpieli. Policjanci opowiadają różne historie o tym, jak to „czarni” w kąpieli robią rewizje, że zabierają pieniądze i kosztowności, że zresztą to wszystko niszczy się przy odwyszawianiu. Osiągają pożądany skutek. Wielu oddaje im pieniądze na przechowanie, oczywiście za opłatą. Wielu też nie zobaczyło więcej depozytów.

Postanowiłem podać się jako niekwalifikowany. Wobec tego mam czas. Wracam do baraku i kładę się. Widzę wielu szperających i gmerających w deskach. Chowają pieniądze. Nie mam tych zmartwień. Rozmawiam nieco, śpię znowu. Ciągłe inne grupy odchodzą. Nie zwracam uwagi na głód. Ciągłe widzę więcej chleba. Policja handluje. Nie ma ani jednej znajomej twarzy. Co począć z czasem? Zauważam nagle teścia dr. Nusenblatta². Zapomniałem jego nazwiska. Staruszek ledwo się trzyma. Żal mnie ogarnia, wszak ten człowiek długo tu przeżyć nie może. Albo go zastrzeli Feix, albo zniknie na skutek warunków obozowych. Lokujemy się na jednej pryczy. Staruszek rozmawia bezustannie. Męczy mnie ta starcza paplanina, muszę mieć jednak do niego cierpliwość, nie wolno mi go tak zostawić. Przedpołudnie dłuży się niesłychanie.

Dochodzi dwunasta. Przynoszą kotły z zupą, dostaję dwie miski. Starczy. Nalałem się, głodu nie czuję. Zauważyłem ogonek przed jakimiś drzwiami. Co to? Fryzjer. Tu gołą bezpłatnie. Zdziwiony jestem, nie przyzwyczailem się do bezpłatnych usług. Wchodzę. Na twarzy mam szramy i przyschniętą krew z przedwczorajszego lania w Lublinie. Goli mnie jakiś starszy warszawianin. Brzytwa tępa, drapie jakby zdzierając skórę z zarostem. Dobre i ostre brzytwy we fryzjerni obozowej były tylko dla płacących. Na głowie mam kłaki, zbite i brudne. Fryzjer nie chce tego ostrzyć, mówi, że to zrobią

¹ Społeczność żydowska Kraśnika w okresie przedwojennym liczyła ponad 4 tys. osób, co stanowiło blisko połowę mieszkańców miasta. Większość tamtejszych Żydów zginęła w obozie zagłady w Bełżcu. Osoby, z którymi rozmawiał autor wspomnień, należały do liczącej kilka setek grupy, którą umieszczono w obozie pracy w Budzynie pod koniec 1942 r., gdy ostatecznie likwidowano kraśnickie getto.

² Brak bliższych danych.

w kąpiel. Mogę poczekać. Przed goleniem nie zmywa pędzla, tą samą pianą, którą namydlił poprzedniego, mydli i mnie. Oszczędzanie mydła. Nie dają go Niemcy za dużo. A to, że fryzzeria jest ośrodkiem szerzącym panoszące się tu grzybice i liszaje, nikt nie obchodzi. Obozowicze muszą być goleni raz na tydzień. Grzyb to sprawa inna. Obóz mógłby być doskonałym laboratorium doświadczalnym dla mego brata³, badającego specjalnie grzybice.

Po wyjściu od fryzjera kręcę się beczynn timer. Jest Kaczka. Osłabiony, wycieńczony, nie można z nim mówić. Leży na sienniku. Ale widzę, że stan jego się poprawia. Rozglądam się przez druty po okolicy. Dookoła obozu krzewy i drzewa. Obóz położony jest na wyniosłości, widok z niego na wszystkie strony. Dookoła lasy, jednak niezbyt wielkie. Próbuję zbadać możliwości ucieczki, rozkład i wielkość lasów. Nie można się stąd zorientować. Trzeba się co do tego porozumieć z krańicznymi. Dlaczego oni stąd nie uciekają? O kręcących się wokoło „czarnych” się nie troszczę. Nie mam nic, jestem bosi, nie wzbudzam ich zainteresowania. Przeprowadzają ciągle rewizje. A węch mają dobry. Już kilku obrabowali. Feix nie pokazał się przez cały dzień.

Wieczór. Znowu zupa, znowu udało mi się dostać dwie miski, aczkolwiek z pewnym trudem. Łapię się na tym, że zaczynam „kombinować”⁴ po obozowemu. Wielu zostawia zupę, nie mogąc jej jeść, jeszcze im nie smakuje. Wielu z nich popuchło później i zginęło z głodu. Chcę się położyć spać. Nie pozwalają. Wszystkich wyganiają, wyprowadzają z ogrodzenia, zamykają w umywalni. Feix dał rozkaz, że do rana wszyscy mają być wykapani, a baraki oczyszczone. Wobec tego zamykają jak bydło i każą czekać. Mijają długie godziny, nuda, robię się senny, umęczenie po przejściach ostatniego tygodnia daje się we znaki. Jest już druga w nocy, nie ma gdzie usiąść, cała betonowa podłoga zalana wodą. W końcu umęczenie zwycięża, siadam w mokrym kącie i zasypiam.

Spałem tak w wodzie dłuższy czas, nim przysła pod ranek kolej i na mnie. Z przemoczonymi spodniami wchodzę do łaźni. Rozbieramy się do naga, rzeczy idą do odwszenia. „Czarni” się kręcą. Fryzjer strzyże. Mam ostrzyżoną do skóry łepetę. Szczęśliwy jestem, że pozbyłem się nareszcie obrzydliwego splotu na głowie. Przesuwając ręką, wyczuwam palcami pełno skrzepów i strupów po biciu lubelskim. Wchodzimy do łaźni. Spodziewam się, że dostaniemy mydło. Nic takiego. Dwie minuty gorącego tuszu i koniec. Czekamy na zwrot ubrań. Nago stoimy w zimnej izbie, dygocząc. W końcu ubrania. Rozkosz je wdziąć, są gorące, wspaniale ogrzewają. Wracamy do baraku. Boso włożę po wyjściu z kąpeli w kałużę błota. I tak od razu po myciu mam stopy pokryte błotnistą skorupą. W baraku zasypiam do rana.

Budzą nas wcześnie. Kawa i wyprowadzają. Dziękuję na kompanie. Kompanie na grupę. Kompanijnymi zostają ci, którzy się opłacili. Grupowymi z początku ci, którzy służyli w wojsku. Ćwiczą nas w maszerowaniu, potem rozchodzimy się.

Wolny czas spędzałem na ogół z teściem Nussenblatt. Dobry staruszek, mimo że zdzieciniał. Znajduję dla niego dużo cierpliwości. Jeden z kucharzy wyłudza od niego dobry zegarek za 100 zł. Ten sam kucharz później mi się chwalił, że go sprzedał za

³ Wspomniany wcześniej Zygmunt Stark. Zob. przypis nr 51 we „Wstępie”.

⁴ Kombinowaniem nazywano na ogół różne formy obchodzenia „regulaminu” obozowego, mające na celu przeżycie więźnia, np. wykradanie dodatkowych porcji żywności, pozorowana praca. Główną cechą kombinowania była korzyść uwięzionego kosztem władz obozowych, ale nie współwięźniów.

400 zł. Staruszek, który dostawał mdłości z głodu, od razu się posilił. Całe 100 zł poszło na chleb.

Znowu wieczór. Minął drugi dzień w obozie. Sen i ranek. Poniedziałek. Mamy pójść do roboty.

Pierwszy dzień pracy w obozie. Jestem zaciekawiony, jak wygląda taka praca. Pracowałem już dosyć: tłukłem kamienie na ulicach Lwowa, ładowałem samoloty motorami na lotnisku w Skniłowie⁵, nosiłem na barkach szyny, ciężkie krzyżownice w budowni rozjazdów lwowskiego Ostbahnu⁶, rozrąbywałem ziemię, stwardniała na kamień na mrozie 25 stopni, a stale niedożywiony, gnany, bity, zawsze wyczerpany. Jak to się będzie tutaj przedstawiać? Czy uda się markierować?⁷

Po raz pierwszy staję w piątkach na placu apelowym. Należę do kompanii, która nie ma iść do werku⁸, tylko do *Siedlung*⁹, do osiedla, budować domy i ogródki dla osiadłych tu Niemców. Gdy mamy już wyjść, Feix zauważa, że nie mamy krzyży. Ryczy, pieni się ze złości, zatrzymuje nas. Naprędce przynoszą kociołek farby i malują krzyże na płaszczach, marynarkach i lewym kolanie. U niektórych wychodzą krzyże przez całe plecy. Wychodzimy. Po raz pierwszy słyszę krzyki „czarnych”: „Śpiewać!”. Kilku próbuje śpiewać. Po raz pierwszy widzę również „czarnych” bijących kolbami. Robi się zamęt. Każdy zaczyna śpiewać co innego. Chaos, bałagan, kakofonia, a „czarni” walą. Na szczęście droga jest krótka, niedługo stajemy na polanie, między dwoma domami. Podchodzą cywilni Niemcy¹⁰ i przejmują nas grupami. Moja grupa przeznaczona jest do plantowania. Dostajemy łopaty i zaczyna się pierwsza praca w obozie.

O kilka kroków stoi „czarny” i pilnuje tempa. W krótkim czasie znudziło mu się i odchodzi. My, naturalnie zaczynamy pracować tak, by z daleka wyglądało tylko, że praca posuwa się naprzód. Macha się łopatami i wysypuje, czasem próżną, a czasem z odrobiną ziemi. Gdy „czarny” podchodzi, robota staje się normalna¹¹.

W czasie roboty bezustanna gadanina, na ogół czeza i jałowa, raczej denerwująca. Nie potrafię jej znieść. Ze mną jest staruszek, teść Nussenblatta. Drepcze dookoła, łopaty nie może dźwignąć. Radzę mu nosić kamienie, nabierać trochę kamyczków w ręce i stać z nimi, a gdy nadejdzie któryś z oprawców, odchodzić z nimi dla wyrzucenia na stos zbieranych kamieni. Staruszek stosuje się do mojej rady, ale w połowie drogi zapomina się i staje w widocznym miejscu, jak posąg. Udaje mi się krzykiem go ostrzec. I tak przez cały dzień trzeba nim kierować, ostrzegać go, poddawać mu sposoby pracy.

Głód doskwiera, ale nie zwraca się na to jeszcze uwagi. Rozglądam się po okolicy, w pobliżu krzaki. Możliwości ucieczki wspaniałe. Ale dokąd? Nie znam tych lasów, nie

⁵ Lotnisko na obrzeżach Lwowa. Kiedyś odrębna miejscowość, obecnie część miasta.

⁶ *Ostbahn* (niem.) – Niemiecka Kolej Wschodnia. We Lwowie, jak w wielu innych miejscach, firma ta wykorzystywała darmową pracę robotników żydowskich.

⁷ *Markierować* – stwarzać pozory pracy; w szerszym sensie oznacza tyle co *kombinować*, zob. przypis nr 4 w tym rozdziale.

⁸ *Werk* (niem.) – zakład.

⁹ *Siedlung* (niem.) – osada, osiedle.

¹⁰ Ludność niemiecka w większości akceptowała wykorzystywanie przymusowej pracy Żydów i Polaków (oraz osób innych narodowości) na rzecz państwa niemieckiego. Stąd wynikało częste współdziałanie cywilów, którzy mieli w tym osobisty interes, z władzami nazistowskimi w nadzorowaniu niewolniczej pracy obozowiczów.

¹¹ Wobec warunków stworzonych w obozie takie zachowanie było konieczne dla zachowania sił i szans na przeżycie.

wiem nawet, czy daleko się ciągną, czy gdzieś zaraz się nie kończą. Ucieczka musi być przygotowana, obmyślana, nie można uciekać samemu, bez pomocy. Na pomoc jednak nie mogę liczyć, nie mam nikogo poza obozem. Lwów daleko, a ci, co tam pozostali, nie mogą pomocy udzielić. Chyba znaleźć towarzysza. Ale czy są w pobliżu partyzanci? Wszak to lubelskie strony, słynne z partyzantek. Z kim uciekać? Poza Kaczką nie znam nikogo. Ale myśl sama obraca się w kręgu ucieczki. Z pracujących ze mną nikt tej okolicy nie zna.

W międzyczasie macham łopatą. Udaje mi się wejść na pół godziny do budującego się obok domu. Zbiera się tam jednak wkrótce za wielu, ci, którzy pracują, wyganiają nas, nie można ściągać „szłępa”^a. Godziny się jeszcze nie ciągną, wszystko dookoła jest nowe, obserwuje się okolicę, towarzyszy. Wszak z tymi ludźmi mam stale pracować. Są to jednak ludzie, którzy przeszli już szkołę getta, każdy myśli o sobie i wyłącznie o sobie, nie ma nawet śladu współdziałania, choćby przy pracy. Tych trzeba się strzec, jeśli chodzi o ucieczkę. Nie dopuściliby do niej albo wydaliby, ze strachu o siebie. A gdy chodzi o ucieczkę, nie można się z niczym liczyć, w obozie jest się straconym.

Wiadomości z frontu nie mamy już od początku „akcji” w getcie, a więc od dwóch tygodni. Co mogło się w międzyczasie wydarzyć?

Starzy obozowicze, którzy tu pracują, są już „zadomowieni”. Znają źródła i ujścia żywności czy pieniędzy, sposoby organizacji, markieracji i bytowania obozowego. My musimy to wszystko opanować oczekującym nas doświadczeniem. Czas osławiania się będzie również „przyrodniczą” selekcją, dobozem naturalnym. Starzy kręcą się po domach, handlują z Polakami, kupują u nich chleb, który odsprzedają nowo przybyłym. Przykro uderza mnie ich stosunek do Niemców: uniżone czapkowanie, służalczość, uśmiechanie się. Element małomiasteczkowy – kupcy i handlarze, bez godności i bez kośca. Widziałem, że pracują tu niezbyt ciężko, jako rzemieślnicy. Zorientowałem się, że jest to jedna z lepszych placówek¹², na które wszyscy starają się dostać. Niektórzy nawet pracowali jako posługiwacze domowi.

W obozie jest barak przeznaczony dla kobiet. Jest ich nieduża ilość. Te sprzątają po domach, pracują w kartoflarni, wykonują najłżejsze roboty.

Godzina 12. Zbieramy się i odmaszerowujemy znowu do obozu, po obiad. O pierwszej jesteśmy z powrotem.

Dzień zaczyna się dłużyć niemiłosiernie. I nam, i „czarnym”. Ci przeprowadzają rewizje, dla rozrywki tłuką, kręcą się, dokuczając. Robota postępuje bardzo wolno naprzód, mały zysk mają tu z naszej przymusowej pracy.

Piękny dzień przeciąga się. Jestem jeszcze oszołomiony, jeszcze w uszach dzwieczą eksplozje i detonacje, jeszcze czuję smród pożaru, palących się szmat. Wokół zieleń, za którą tęskniłem w murach getta, wzroku nie zatrzymują ściany obdrapanych i zniszczonych domów. Ale między nami a zielenią łańcuch „czarnych”, lufy karabinów. Pociąga ku sobie krzak, oddalony zaledwie o pięć metrów. Nie jesteśmy między drutami, od wolności, od świata odgradza mała, drobna przestrzeń – nieprzekraczalna.

Nie mam z kim rozmawiać. Ci ludzie myślą i czują inaczej niż ja, i to tak zupełnie inaczej, że nie mogę znaleźć z nimi wspólnego języka. Zupełnie samotny, zupełnie

^a *Zapis niejasny. Prawdopodobnie powinno być szlep (od żyd. „szlepn” – ciągnąć, wlec), co może oznaczać przyciągnięcie uwagi wartowników.*

¹² Placówkami zwano miejsca pracy poza terenem obozu lub getta.

opuszczony, nie jestem jednak przygnębiony. Pozostaję absolutnie spokojny, jak zawsze. Nie rozumiem, skąd ten spokój. Czy z rezygnacji? Jednak nie jestem zrezygnowany.

Ale wszelkie pragnienia są we mnie bardzo słabe, niemal nie mam żadnych pożądań. Nawet nie ma we mnie silnego pragnienia wolności. Coś się dla mnie na wolności skończyło, coś, czego nie mogę jeszcze określić. Ta wolność nie będzie już wolna. Nie będę mógł w niej żyć. Nie mówiąc już o chwili obecnej, za Niemców, gdy jedynym dla mnie miejscem dostępnym byłby las, partyzantka – jedyne zresztą miejsce, gdzie chciałbym naprawdę się dostać. Ale nie pociąga mnie nawet myśl o wolności bez Niemców. Coś się tam skończyło, co nadawało życiu wartość. Ale co? Jak ja bym żył, gdybym nawet wyszedł jakimś cudem z obozu, po wojnie?

I to mnie zaskakuje, że nie potrafię sobie tego wyobrazić; do dawnego życia wrócić nie będę mógł. „Akcje”¹³, getta, stosunek ludzi do ludzi, Polaków do Żydów, Żydów do Żydów przeobraziły mnie. Zwykłe cechy ludzkie, jak ofiarność, społeczność, które wydawały mi się oczywiste i naturalne, dziś widzę jako śmieszne. Słowo „człowiek” staje mi się czymś obcym, na pierwsze miejsce wysuwa się „ja”. Ale jakie jest to „ja”? Marne; po raz pierwszy w życiu jestem bez zapału, bez entuzjazmu, bez idei – jestem niczym. Stoczyłem się na przeciwną wartośćom kraniec, a w staczaniu się brak kresu.

Przypominam sobie moment ataku na Moskwę¹⁴. Wszak wówczas byłem zdenerwowany, niespokojny, brała mnie rozpacz na myśl, że Moskwa może paść. Był to dla mnie najstraszniejszy moment w czasie całej wojny; przeszedłem wcześniej tyle osobistych cierpień, najokrutniejszych, jakie mogą pojedynczego człowieka spotkać, przechodzących granice możliwe do zniesienia. Nie było to jednak dla mnie tak straszne, jak myśl, że Moskwa mogłaby zostać zdobytą przez Hitlera. Brała mnie rozpacz, że jestem bezczynny, że jestem zmuszony do pracy dla Niemca. Gazety niemieckie roily się od zapowiedzi i przechwałek. Nie wyobrażałem sobie życia z chwilą, gdy Związek Radziecki miałby paść.

Szalona radość, po prostu oddychać nie mogłem, gdy przeczytałem 12 grudnia 1941 [r.] krótką notatkę o wycofaniu się Niemców z Rostowa¹⁵. Wyczułem punkt zwrotny wojny, pomimo że nie znałem i nie oceniałem strategicznych możliwości obu stron. Tę notatkę jeszcze dziś pamiętam niemal na pamięć.

I co się stało? Jestem w obozie. Od tego czasu minęło długich 16 miesięcy, pełnych strasznych przeżyć. Skąd ta bierność, bezwładność? Nie mogę sobie zdać sprawy, skąd to załamanie. Czy widok człowieka w całej jego nagości, w całym bezwstydzie, nieskrępowaniu, rozluźnieniu wszelkich hamulców załamał mnie? Wszak zdawałem sobie i przedtem z tego sprawę. Jednak wówczas odbywało się to rozumowo. Nie zetknąłem się z tą realnością osobiście. Ale Warszawa od listopada 1942 do stycznia 1943 [r.] podzialała na mnie.

Widok tych setek tysięcy, żyjących z cmentarzyska żydowskiego, potwornego, masowego szkalstwa był ponad moje siły moralne. Te sępy, krążące po ulicach w poszukiwaniu łupu – Żyda, którego można zaszantażować, odebrać mu czasem ostatnią setkę,

¹³ Zob. przypis nr 3 w rozdziale „Getto się pali”.

¹⁴ Autor ma na myśli zapewne koniec 1941 r., gdy wojska niemieckie znalazły się w odległości zaledwie kilkudziesięciu kilometrów od stolicy ZSRS.

¹⁵ Rostów nad Donem, miasto na południu Rosji w jej europejskiej części. W 1941 r. na krótki okres Rostów został zajęty przez Wehrmacht. Kontrofensywa radziecka rozpoczęła się 27 listopada i doprowadziła do wyparcia Niemców. Była to pierwsza dotkliwa porażka wojsk niemieckich w wojnie z ZSRS.

a potem z lekkim sercem oddać Niemcom na śmierć. To zdziwienie, gdy się spotykało ludzi jak Rózia¹⁶, Lewiccy¹⁷, Ottowie¹⁸, Borsuk¹⁹, Zahorski²⁰ – że są jednak istoty myślące inaczej; zdziwienie, że są ludzie, którzy dla drobnej sumy nie zamordują człowieka... Z chwilą, gdy w każdym się widzi mordercę, żadnego zysku, współpracownika gestapo²¹ – świadomego lub nie – a jeszcze gdy ten obraz powiększa zwyrodnienie widziane w getcie, zmienia się zasadniczo stosunek do świata.

Do bytowania jednak w tym stylu nie jestem zdolny. Co zostaje? Co da wolność? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Gorycz, obrzydzenie do wszystkiego i do siebie. Wolność... nie chcę myśleć o niej. Z wściekłością macham łopatą, pracuję zawzięcie, aż towarzysze zwracają mi uwagę i złością się.... Plunąłbym na nich i na siebie. Do wszystkiego wstręt. Chciałbym zapomnieć, spać.

Wreszcie upragniony odmarsz. Zupa, kromka chleba, mogę spać. Ma nadejść męczący sen. W baraku tłok, gwar, hałas, krzyk, smród. Na pryczy ciasno, śpi nas po dwóch na sienniku. Koło mnie obrzydliwy brudas, który już teraz, w pierwszych dniach pobytu w obozie zbiera niedopałki. Leży koło mnie, nie może zasnąć, jak ja, światło jeszcze się świeci, nie ma sygnału na spanie. Opowiada mi ciągle o jedzeniu. Nie rozumiem jego kręgu myśli, dziwię się. Ten człowiek w pierwszym dniu pracy wpadł już w normalny tryb obozowy. Całkowity jego widnokrąg zacieśniła kuchnia. Odwracam się od niego, zaczynam rozmowę z sąsiadem z prawej. Ten jest rozumniejszy.

Pytam go, dlaczego krańciznanie nie uciekają z obozu, jeśli są z tych stron i orientują się w okolicy. Może mi udzielić informacji. I on się tym interesował. Otóż chłopci mordują każdego spotkanego Żyda, na ogół dla rabunku. Warszawa czy Lubelskie, miasto czy wieś – znów ta sama psychika: Żyd = człowiek, którego można obłupić i zamordować. W ten wieczór ogarnął mnie wstyd, wstyd, jaki niejednokrotnie w tych czasach odczuwałem, wstyd za to, że masa polska współpracuje z gestapo, że ta masa okazała rysy najhaniebniejsze i najbezwstydniejsze, spadła tak nisko, że niżej nie można. Bolesnie odczułem, że Borsuk, Lewicki to wyjątki. Nie mogłem tego ogarnąć i zrozumieć: na ogół ci najszlachetniejsi, dla których został mi szacunek, którzy, chociaż nieliczni, ratowali w pewnej części honor swego narodu, przed wojną byli ideowymi endekami, uznawali antysemityzm. Czy zdają sobie teraz sprawę, że ich ideologia w konsekwencji prowadziła do tego, co się teraz dzieje? Czy cofnęli się ze swego stanowiska?²²

¹⁶ N.N.

¹⁷ Lwowsky znajomi autora z okresu przedwojennego; zob. przypis nr 54 we „Wstępie”.

¹⁸ Zob. przypis nr 55 we „Wstępie”.

¹⁹ Zob. przypis nr 56 we „Wstępie”.

²⁰ Zob. przypis nr 57 we „Wstępie”.

²¹ Gestapo (niem. Geheime Staatspolizei) – Tajna Policja Państwowa, powstała w III Rzeszy po dojściu Hitlera do władzy. Oprócz niej funkcjonowało wiele innych formacji tworzących organa niemieckich służb bezpieczeństwa, np. Ordnungspolizei (Policja Porządkowa), Sicherheitspolizei (Policja Bezpieczeństwa) czy Sonderdienst (Służba Specjalna). Gestapo było jednak najbardziej znane Polakom, dlatego na ogół przedstawicieli każdej formacji policyjnej określano potocznie jako „gestapo”.

²² Antysemityzm przedwojennej Polski przygotował grunt pod haniebne zachowania pewnej części polskiego społeczeństwa. Jednak zachowanie osób, które miały odwagę pomagać Żydom, wbrew temu, co sugeruje autor, niewiele na ogół miało wspólnego z orientacjami politycznymi. Ważniejsze były cechy osobiste, a przede wszystkim umiejętność zachowania własnego zdania i brak oportunizmu. Sympatia, a nawet przynależność formalna do Narodowej Demokracji, nie musiała mieć nic wspólnego z rasową wrogością wobec Żydów, jak miało to często miejsce w nazistowskiej III Rzeszy. Znanych jest wiele przypadków „antysemitów” ratujących Żydów w latach 1939–1945. W an-

Ogarnia mnie wstręt. Z jednej strony nie mogę już czuć łączności z Polakami. Zbyt haniebne było ich oblicze w czasie działalności gestapo (jak później się przekonałem, zupełnie inne, godne i pełne człowieczeństwa w tej samej sytuacji było postępowanie Francuzów i Holendrów²³). To zerwanie jednak nie idzie łatwo. Jest raczej narzucone rozumowo niż uczuciowo. Zbyt duże więzy łączą mnie z tym narodem, zwłaszcza lata pracy z robotnikami i wśród chłopów polskich. Boli mnie całokształt układu, odsoniętego w Polsce przez najazd hitlerowski. Nie mogę się z tym pogodzić. Uczucie buntuje się, podczas gdy przesłanki doświadczeń i obserwacje są niezbite.

Z drugiej strony, nie czuję i łączności z Żydami, pomimo że już dwa lata cierpię jako Żyd. Nie cierpię psychiki kupieckiej, nie rozumiem narodu, który nie jest oparty na robotnikach i chłopach. [Twór] wykoślawiały, przechytzwały, którego całe jestestwo przesiąknięte jest psychiką pieniądza. Zemściła się na nich ta psychika za czasów Hitlera²⁴, wiara w to, że wszystko, nawet życie, można kupić²⁵. Spędziłem lata mojego życia wśród robotników, żyłem z nimi i pracowałem wśród nich. Teraz nie było już dla mnie miejsca między samymi Żydami. I tak nagle zawisłem w próżni, zostałem bez środowiska. Do społeczeństwa, nawet w razie uzyskania wolności, nie widzę drogi powrotnej. A sam być nie mogę. Co dalej?

W ten wieczór sprecyzowałem sobie, co się we mnie załamało. Już było ciemno, gdy zasnąłem, zaczęły się koszmarnie sny.

Ledwo zamknąłem oczy, zacząłem zapadać w drzemkę, obudziło mnie głośne pierdnięcie, jakby z armaty wystrzelił, tuż obok mnie. Znowu zasypiam, gdy zaczynam się dusić od smrodu wznoszącego się z pryczy pode mną. Rozdrażniony jestem i na skutek smrodu, w półśnie zaczyna mi majaczyć klozet, w którym się ukrywałem w sierpniu 1942 r. Duszę się, nie mogę złapać oddechu, wydaje mi się, że słyszę głosy ukraińskich milicjantów i sonderdienst²⁶. Wtłaczam się w otwór klozetowy i ukrywam w gównie, pod deską, wpada snop światła, to Ukraińcy szukają, nie znajdują mnie. Odchodzą. Wtem, nie wiem jak, znajduję się na drugim piętrze jakiegoś domu z siostrą i ojcem. Ojciec klóci się ze mną, że chcę wyjść bez opaski. Nie odpowiadam, wychodzę po jakichś gruzach, jakieś przejście przez zburzony dom, wśród „aryjczyków”²⁷. Idę ze spokojną

tysemitizm wpisywała się bowiem także rywalizacja gospodarcza, która ze względu na nierozwiązane problemy przeszłości oraz zacofanie kraju, przybierała często formę ekonomicznej konkurencji polsko-żydowskiej.

²³ Stereotyp taki rozpowszechnił się wśród ludności żydowskiej w Polsce jeszcze w okresie wojennym na podstawie niesprawdzonych pogłosek. Podobnie sądził m.in. Emanuel Ringelblum, twórca podziemnego archiwum w getcie warszawskim. Badania naukowe nie potwierdzają tej tezy. Szanse na przetrwanie w Holandii czy Francji były podobne jak w Polsce.

²⁴ Adolf Hitler (1889–1945), przywódca NSDAP (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei, pol. Narodowo-socjalistyczna Niemiecka Partia Robotników), twórca III Rzeszy.

²⁵ Ocena równie przesadzona jak zdanie o większości Polaków współpracujących z gestapo. Nadmierny krytycyzm autora wynikał zarówno z osobistego urazu wynikłego z warunków, w których się znalazł, jak i z faktu, że należał jednocześnie do dwu społeczności, polskiej i żydowskiej. Niewykluczone, że na taką ocenę wpływała także mocno lewicowa, komunistyczna orientacja polityczna autora, ideowo niechętnego kupieckiej klasie średniej.

²⁶ *Sonderdienst* (niem.) – Służba Specjalna; formacja policyjna powołana przez szefa Generalnego Gubernatorstwa, Hansa Franka (1900–1946) zamiast rozwiązanej organizacji paramilitarnej samoobrony (*Selbstschutz*). Członkowie sonderdienstu brali udział w akcjach antyżydowskich.

²⁷ Pojęcie z rasistowskiej terminologii przyjętej przez partię nazistowską w Niemczech, zgodnie z którym tylko potomkowie „Ariów” mieli predyspozycje do twórczej pracy i stanowili wartościowy element ludzki. Żydzi mieli być ich przeciwieństwem. Z kolei Polacy, chociaż okreśłani mianem „podludzi”, zaliczali się – według nazistów – do kategorii ludów mieszanych, gdzie pewne cechy aryjskie występowały. Stąd wszystkich nie-Żydów określano umownie mianem „aryjczyków”.

uśmiechniętą miną, patrząc uważnie, czy nikt nie zwraca na mnie uwagi. Jakaś szczupła kobieta bacznie mi się przypatruje, widocznie podejrzewa, zwracam się więc prosto do niej, zachowując pozór pewności siebie i obojętność. Pytam o drogę. Pokazuje mi kierunek, znajduję się nagle w polu. Z daleka widzę siostrę, z drugiej strony ojciec. Chcę od niego uciec, nagle wszystko się pali dookoła mnie, słyszę huk płomieni nad głową, iskry, belki się wała, skaczą, by uciec przed zapadającym się stropem, jestem wtłoczony w kąt, dym mnie dusi, budzę się.

Ciemno. Jedna lampka przy dyżurnym, jedna u wejścia nad skrzynią obitą blachą. Koło skrzyni dwóch w koszulach. Jeden sra, a drugi szczy. Skrzynia pełna, gdy spada gówno, chłapie i obryzguje szczającego od dołu. Ciurkanie i pierdzenie co chwila z innej strony. Odwracam się od miłego widoku na drugi bok. Leżę cicho, czuję ulgę po śnie. Boję się zasnąć, nie chcę dalszego ciągu majaczeń. Z drugiej strony chciałbym zobaczyć matkę, chociażby we śnie, w każdej, najgorszej sytuacji, byle zobaczyć. Nagle krzyk w pobliżu. Ktoś lamentuje, że mu spod głowy wyciągnięto chleb. Inni się wściekają, że przeszkadza spać, robi się krótki rozgardiasz i znowu cisza, przerywana krótkimi pierdnięciami. Cisza, zasypiam.

Idę schodami w górę, koło mnie pełno Żydów, jedni w górę, drudzy w dół. Ciąganie się to długo, ilość pięter wydaje się nieskończona, robi się ciemno, strych. Przede mną ściana, w ścianie otwór. Jestem w czarnym domu na Bonifraterskiej. Przejście do „szczotkarzy”²⁸. Nagle z drugiej strony wpadają ludzie z krzykiem, że tam Niemcy mordują. Uciekam z całą masą w dół, tłok, panika, biją się, spadam przez poręcz, lecę w dół, pode mną przepaść, spadam coraz szybciej, budzę się.

Serce wali jak młot. Z obu stron jestem ściśnięty. Daję kuksańca obu moim sąsiadom, którzy zwalili się na mnie, robi się miejsce wystarczające, bym mógł leżeć na boku. Znowu zasypiam.

Jestem z powrotem na schodach. Idę i idę bez końca, przede mną w dali pożar. W rękę mam rewolwer. Magazynek pełny naboji, prócz nich nie mam nic więcej. Wychodzę na strych i wtem znajduję się w piwnicy, dogasający pożar, piwnica nietknięta. Z oberwanej rury wodociągowej leje się woda, zalewa piwnicę. Stoję w wodzie, przepalone buty rozpadają się, schody jakieś na podwórzu, woda szybko podchodzi, trzeba uciekać, na podwórzu Niemcy.

Wychodzę, wślizguję się na dopalające się rumowisko, przeskakuję z nogi na nogę, piecze, nie mogę ustać, znowu się budzę.

Jestem mokry od potu, gorąco mi, zaduch i smród. Leżę jakiś czas, ogarnia mnie umęczenie, jestem w półśnie, już jest późno, niedługo trzeba będzie wstawać. Ogarnia mnie strach przed pobudką. Zasnąć, jak najprędzej, wykorzystać ten krótki czas, jaki jeszcze zostaje. Zasypiam nareszcie bez majaczeń. Gwizd. Pobudka. Najgorsza chwila dnia.

Dopiero drugi dzień pracy, a już wstanie przychodzi z trudnością. Wałam po nogach, nie ma rady, musi się człowiek zwlec. Drugi, trzeci, czwarty dzień jak pierwszy. Z tą różnicą, że ciągle silniej dokucza głód, ciągle bardziej się czuję osłabiony.

²⁸ Przy ul. Bonifraterskiej mieścił się tzw. szop (warsztat) szczotkarski, gdzie wyrabiano szczotki. Stąd określenie „szczotkarze”. Podczas powstania w getcie warszawskim oddziałem Żydowskiej Organizacji Bojowej na tym terenie dowodził Marek Edelman (ok. 1920–2009). Dziś na tym terenie mieści się ambasada Chińskiej Republiki Ludowej.

W dniach tych pracuję razem z teściem Nussenblatta. Chociażby przez szacunek dla tego ostatniego, jakiego nabrałem, obserwując go w czasie „akcji” w getcie, staram się pomóc staruszkowi. Drepcze ciągle bezradnie, zgubił dwa pierścioneczki, na których opierał wszystkie swe nadzieje na przetrwanie.

Po raz pierwszy spotykam się w pracy z majstrami niemieckimi. Zwykli ludzie. Jedni obojętni, drudzy objawiają nawet nieco współczucia, a jeszcze inni biją, lada drobnostka jest okazją do wyładowania złośliwych instynktów. Źle ułożona cegła – spadają ciosy na głowę. Nie bili jednak gorzej niż np. Polak, Martyka²⁹, który nagał własnych kolegów, kolejarzy, do roboty przy budowie w Ostbahnie lwowskim, a Żydów to już walił przy każdej nadarzającej i nienadarzającej się okazji. Niemiecki wysługus. Nie było różnicy między jego zachowaniem a sposobem bycia Niemców. Ale nie bili ci majstrowie gorzej niż np. niektórzy policjanci żydowski obozu w Płaszowie³⁰. „Swołoc” jest międzynarodowa i powszechna.

A ciągle w tych dniach działa na mnie widok przestrzeni, lasy, miasteczko, wsie widoczne z naszego wzgórza. Przypominam sobie wzruszenie, jakie mnie ogarnęło, gdy po wywiezieniu z getta, nie wiedząc, dokąd jadę, spodziewając się Treblinki, ujrzałem przez okienko szczyt korony drzewa, pokrytego świeżą zielenią. Była już wiosna w pełni, już koniec kwietnia, a ja jej nie zauważyłem w szarych murach Dzikiej, Muranowskiej i Niskiej, w odmęcie czuć nocnych, zdobywania broni, życia po piwnicach i strychach. Wydawało się, że jedziemy do Treblinki, pociąg stanął gdzieś wkrótce po odjeździe z Umschlagplatzu. Przez okienko spojrzałem na dwór – i oto kolor, od którego już oczy odwykły – zieleń. Nie zdawałem sobie sprawy, że już życie normalnie rozkwitło, mimo że ja walczę ze śmiercią, że już drzewa pokryte listowiem. Nie mogłem oczu oderwać, nie opuszczałem wzroku, gdy pociąg ruszył, nie chcąc zgubić tej wspaniałej zieleni w szarzyźnie otaczających nas murów i torów.

I oto znowu widzę zieleń, pola pokryte młodym zbożem, lasy, wiosnę w całej krasie – odgradzony od tej wspaniałości karabinami „czarnych”. Nowe oblicze przyrody: nie jestem w niej, nie czuję się znów jej częścią, nie żyję w niej; ona i ja; ona rozwijająca się samoistnym życiem, i ja, idący obok drugim torem. Obce i różne nurty. I tak jak oderwałem się od społeczeństwa, tak wyczuwam i tu nową, nieznaną mi dotąd obcość. Obcość piękna przyrody. Ta przyroda, lasy i pola stały się wrogie. One były wolne, w nich ucieleśniały się siły, które mnie wtoczyły w obóz, które żyły kosztem mojej śmierci. I odczułem ten napór na mnie wrażeń sił, usiłujących mnie zgnieść i zdławić, napór powodujący wzrost i mojej samoobrony, sprężenie się walki, odpowiadającej reakcją na akcję, reakcją nienawiści i bezwzględności. Nienawiści do wszystkiego.

W tych dniach przypadkiem przypomniały mi się dźwięki dziewiątej symfonii [Beethovena], obudziło to we mnie tylko wstręt i nienawiść, za jej fałsz, za wykoszlawioną ideologię nieistniejącej miłości, za jej chór, który miał wyrażać wspólne dążenie ludzi do radości, za jej nadzieję braterstwa. Szkodliwy fałsz, w którym tak długo żyłem, w którym zmarnowałem życie. I ciągle to samo pytanie: Tak nie jest; jak jest, to już wiem; ale jak w tym gównie żyć?

²⁹ Brak bliższych danych.

³⁰ Obóz pracy przymusowej (niem. *Zwangsarbeitslager Plaszow des SS- und Polizeiführers im Distrikt Krakau*), przekształcony następnie w obóz koncentracyjny koło Krakowa (niem. *Konzentrationslager Plaszow bei Krakau*) utworzony dla ludności żydowskiej w roku 1943 po zlikwidowaniu tamtejszego getta. Przez obóz ten przeszło ponad 100 tys. osób. Komendantem obozu był zbrodniarz hitlerowski, SS-Hauptsturmführer Amon Göth (1908–1946).

Przypadkiem poznałem jeńca, Mołdawana³¹. W czasie rozmowy z nim, gdy się dowiedział, kim jestem, samorzutnie zaproponował mi przynajmniej czasowo pracę na placówce, której był *vorarbeiterem*³². Nie będę miał żadnej ciężkiej faktycznej pracy, trzeba tylko uważać, gdy się zbliża jakiś Niemiec, by pracę udawać. Po dwóch dniach przeniósł mnie na tę placówkę.

Odszedłem po raz pierwszy od werku. Niepokoilem się przy tym o teścia Nussenblatta, jak się urządzi beze mnie. Pracowało się za olbrzymią halą fabryczną nr VI, przy naprawie żelaznych łóżek. Nic się nie robiło przez cały dzień, jedynie trzeba było wypatrywać, czy nie idzie *Werkschutz*³³ lub majster, wtedy młotki do ręki, waliło się z całych sił, udając, że się zbija nity. Za chwilę młotki wyrzucało się, i znowu zaczynało się wypatrywanie, czy nie idzie jakiś Niemiec. Męcząca bezczynność i nuda, drażniące pilnowanie się przed wrogiem. Pierwszy kontakt z Lewkowiczem³⁴ i jego otoczeniem.

Naprawiano dach hali. Pod pozorem naprawy dachu, który miał kształt spadzistych, załamujących się płaszczyzn, można się było nań wydostać i przespać w jakimś zakątku kilka godzin coraz bardziej dokuczliwego głodu. Podziw dla żarłoczności towarzyszy pracy. W tym samym czasie zdarzyło się, że ktoś skradł ukryte przez Lewkowicza pieniądze. Ten narobił wrzasku, dalej w płacz i lament, przekleństwa i zawođenje. Zainteresowali się tym *vorarbeiterzy*, wymacali, kto to mógł zrobić, i dawaj go prać! Po długim laniu ten się przyznał. Poszło na ugodę. 50 proc. zwrócono Lewkowiczowi, 50 proc. między złodzieja i oprawców. Tych 50 proc., które zostały Lewkowiczowi, były olbrzymią, kolosalną, jak na stosunki w obozie, sumą. Po ugodzie para drani – Lewkowicz i jego złodziej – żyli nadal w najlepszej zgodzie; wszystko załatwiono w ich moralności.

A ogół uważał złodzieja za spryciarza, któremu się udało, i zazdrośczone mu. Czy on był też i rzeczywiście złodziejem? Czy w tej sytuacji był ktoś lepszy i gorszy? Jakie stanowisko wobec tego można zająć? Gdyby mnie się udało, byłbym może to samo zrobił i słusznie. Indywidualny rozdział akumulacji.

Drugiego dnia po powrocie z werku dowiaduję się, że Feix zauważył teścia Nussenblatta, gdy ten stał z kamieniami w ręce w polu. Zagnano go do obozu i tam go zastrzelili.

Po kilku dniach ta placówka się rozleciała. Zaczęły się rury.

³¹ Brak bliższych danych.

³² *Vorarbeiter* (niem.) – brygadzysta.

³³ *Werkschutz* (niem.) – strażnik zakładu pracy.

³⁴ Brak bliższych danych.

Dzień jak zwykle...

Pobudka. Czwarta rano. Złezkaż się
w północy. Jęzre męczy omroczenie
dół sennych, jęzre ulekaż góres,
się, straca świadomość. Naciekanie spo
rymarki. Czynność ubrania skończona
bore. Już trzeci tydzień od schytnia
Ciegiele bore. Stwardniała skóra, popęk
wzarty brud. Myłta nie ma. Oplukanie
pomaga. Zolobym się od czasu do czasu
wzitek mycie noż. Lecz natychmiast to
na nich skorupa zarychającego błota,
nie mam o co wytrzeć. Zaczynają dok
wry.

Jść nie ma co. Codzienna krowka, ch
da się wieczór. Siadam i czekam na ka
jam już razem z fusami. Siebie, czeka
Harto wyjść na plac apelowy. Ustan
piętkami. Stojący i czekający na codzie

Dzień jak zwykle

Pobudka. Czwarta rano. Zwlekasz się z pryczy w półśnie: jeszcze męczy omroczenie widziadeł sennych, jeszcze uciekasz gdzieś, ukrywasz się. Wraca świadomość. Naciąganie marynarki – i czynność ubierania skończona. Nogi bose. Już trzeci tydzień od schwytania w getcie, ciągle boso. Skóra stwardniała, popękana, wżarty brud. Mydła nie ma. Oplukanie rąk wodą nie pomaga. Zdobywam się od czasu do czasu na wysilek mycia nóg. Lecz natychmiast tworzy się na nich skorupa zasychającego błota, gdyż nie mam czym wytrzeć. Zaczynają dokuczać wszy.

Jeść nie ma co, codzienną kromkę chleba zjada się wieczorem. Rano siadam i czekam na kawę. Wypijam ją razem z fusami. Siedzę, czekam. Hasło wyjścia na plac apelowy. Ustawiamy się piątkami, stoimy i czekamy na codzienny marsz do fabryki. Deszcz czy pogoda, chłód czy ciepło – stale to samo. Wychodzimy z obozu pod eskortą „czarnych”. Czy droga gładka, czy kamienie, kłujący żwir czy piasek: muszę boso maszerować, nie wolno zepsuć piątki, trzeba dotrzymać kroku obutym. Jeżeli skaleczysz się w nogę, zatrzymasz – popchnie cię uderzenie kolby.

„Czarni” komenderują: „Śpiewać!”. Idź po raniących kamieniach, rozdziawiaj usta i wydzieraj się: „O mój rozmaryniel!”... Jak gończe psy gnają nas, przebiegając wzdłuż maszerującej kolumny, wypatrując ofiary. Biada temu, który nie udaje chociażby, że śpiewa. Kolba wali, nie zważając gdzie. Dostają zwłaszcza starzy. Jeżeli nie znajdą ofiary, to walą dla przyjemności. Ciągłe z innej strony naciskają współwięźniowie, cofający się przed kolbami. Trącają po obolałych nogach. „Kupię se szabelkę...”. Iskry stają w oczach od nagłego uderzenia. „Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej...”. Wytworzyła się luka w kolumnie, biegiem trzeba nadażyć. Koło ciebie starzec, który ledwie chodzi. Chwytasz go pod ramię i ciągniesz biegiem. Nie może... zostawiasz go i dopędzasz kolumnę. Zamieszanie, nie ma piątek. Kolby walą ze wszystkich stron. Zamieszanie się zwiększa. Kolbami formują na nowo piątki...

Ile czaszek pękło w tych marszach? Ile żeber połamano?

Codziennie trzy kwadranse takiego marszu prawie przez rok. Przez błota, wpędzani celowo w kałuże sięgające wyżej kostek, przez śniegi i roztopy, czasem brnąć przez całą drogę w grząskim, śmietanowatym błocie. W czasie rześzystych ulew i zawiei śnieżnych, przemoczeni do nitki lub dygocący z przemarznięcia, dwa razy dziennie szliśmy tą samą drogą w takt bicia „czarnych”, w rytm wymuszanych pieśni. Oswoili nas z tym, nie pozostawiało to już wrażenia.

Wzdłuż drogi idą Niemcy z osiedla. Uśmiechają się szyderczo lub nie zwracają uwagi. Dla nich to też naturalne. Droga przecina szosę łączącą Kraśnik z Lublinem¹. Drogą jadą chłopskie wozy. Patrzą z zaciekawieniem. Ludzie wolni... Wzrok codziennie wymyka się wzdłuż tej szosy w dal, ku wolności. Chwila krótka. Potem znów mechanicznie idziesz dalej pomiędzy drzewami, znów głowa opada, rozdziawiasz gębę, udając, że śpiewasz, patrząc w ziemię.

Druty werku. Podchodzimy do bramy, werkschutze z karabinami przejmują nas od „czarnych”, liczą dokładnie. Obawiają się, by nie zgubiła się jakaś „perełka”. Maszeru-

¹ Lublin był jednym z głównych miast Generalnego Gubernatorstwa i siedzibą władz Dystryktu Lubelskiego. Przed 1939 r. mieszkało tam ponad 40 tys. Żydów. W okresie okupacji Niemcy utworzyli getto, którego większość mieszkańców zginęła w obozie zagłady w Bełżcu.

jemy w dół, na duży plac po zburzonej przez Niemców hali fabrycznej. Wewnętrzna komenda obozu znajduje się w ręku byłych jeńców wojennych. Na czele kolumny, wojskowym szykiem wprowadzają nas na plac. Zjawiają się niemieccy majstrowie i kierownik *arbeitseinsatzu*². Komenda: „Placówkami ustawić się!”. Majstrowie odbierają swoich robotników i odprowadzają ich na miejsce pracy.

Różne są placówki. Jedne ciężkie, o zabójczej pracy, inne znośne; są i „bardzo dobre”, lipne. Na ogół dużo zależy od majstra, no i od pieniędzy. Wielu więźniów zdołało do obozu przeszmuglować złoto. Przekupują więc na prawo i lewo: kierownictwo obozowe wewnętrzne, by otrzymać łżejszą pracę, majstrów, by uzyskać lepsze traktowanie. Ci głodu nie cierpią. W fabryce pracujemy razem z „cywilami”, ludnością miejscową. Szmuglują oni do fabryki żywność, którą za słone pieniądze odsprzedają więźniom. Nie masz pieniędzy i nie jesteś jeszcze zaaklimatyzowany w obozie, nie znasz sposobów „organizacji” – zginiesz z głodu. Nikt ci nie pomoże. Będziesz się oczami wpijać w chleb, masło, słoninę, którą inni się obżerają – nikt ci nie da ani okruszyny. Możesz zginąć, litości nie ma. I tak było we wszystkich obozach.

Najlepsza placówka to oczywiście kuchnia. Kucharze nie cierpią głodu. Kucharze nie biorą do ust jedzenia obozowego. Dla kucharzy gotuje się specjalny obiad; kucharz jest wypasiony, tłusty, ma czerwoną gębę. Kucharze to królowie obozu. Kucharze kradną. Kucharze mają kochanki (w obozach niemieckich – kochanków). Gdy zjawiliśmy się w obozie, przywleczeni z powstania w warszawskim getcie, zaroilo się między nami od kucharzy: „przyszedł zugang”. *Zugang*³ to nie znaczyło ludzie, którzy przeszli potworne męczarnie. *Zugang* to właściciele zegarków, butów, pierścieni, marynarek; to ludzie wygłodzeni, którzy za bezcen oddadzą kosztowności. *Zugang* trzeba wykorzystać.

„Masz zegarek, to daj, dam ci przez tydzień dodatkową porcję zupy”. „Masz porządne buty – dam ci przez miesiąc codziennie miskę zupy”. Kucharze mają w ten sposób „abonentów”: każdy kilku, jeżeli nie kilkunastu. Kucharzy jest kilkudziesięciu, abonentów kilkuset. Abonenci muszą mieć lepszą zupę – nie jesteś abonentem, dla ciebie zupa „zwyczajna”, woda. Ty zupę pijesz, abonenci zupę jedzą. Ciebie głód osłabia, abonenci cieszą się dobrym wyglądem. A królowie obozu, kucharze, za zdobyte dobro piją i bawią się, ściągają kochanki do swojego oddziału mieszkalnego: rozpusta, zabawa – i głód. Zdarzali się między nimi i uczciwi, ale pozostawali bezsilni: dominowała masa brutalnie korzystająca z wyzysku. Nie mógł na to poradzić *Lagerältester*⁴ Stockmann⁵, człowiek uczciwy i czystych rąk, ale mało energiczny.

Jedzenie przez cały czas się pogarszało: znikły i ślady kartofli, przyszła zgniła kapusta i ta znikła, gotowano jakieś marynaty ze szpinaku, przeznaczone dla Niemców na sałatki, ale zgniłe i nienadające się dla nich do użytku. Do tego miały dojść nieznaczne ilości kaszy (1 kg⁶ na osobę dziennie), ale ta znikła u kucharzy i abonentów, dla nas nawet nie próbowano jej gotować. Głód i nienawiść. Wytworzyło się oto uczucie, którego nie

² *Arbeitseinsatz* (niem.) – projekt pracy; chodzi o placówkę, do której robotnicy byli przydzielani.

³ *Zugang* (niem.) – dojsście. Termin ten znany jest także z prozy Tadeusza Borowskiego, gdzie również oznaczał nowych więźniów w obozie koncentracyjnym.

⁴ *Lagerältester* (niem.) – starszy obozu.

⁵ Chodzi oczywiście o wspomnianego wcześniej Mosze Noah Sztokmana (zob. przypis nr 37 we „Wstępie”). Jego uczciwość potwierdzają także inni więźniowie obozu.

⁶ Potoczny skrót słowa „dekagram”, oficjalnym jest „dag”.

zaznałem nigdy dotychczas: nienawiść do otoczenia – pałaca, zwierzęca, nieposkromiona nienawiść do tych bezwzględnych, sytych. Po raz pierwszy w życiu przestałem myśleć: „My”. Do tej pory nie wiedziałem, że można inaczej. Wtedy właśnie nauczyłem się rozróżniać: „Ja” i „oni”. „Oni” to otoczenie, wszyscy inni. Znikła wspólnota duchowa, w której dotychczas żyłem: związek z całym społeczeństwem, podporządkowanie siebie ogółowi, zważanie, by mój indywidualny wysiłek był częścią współdziałającą z pracą społeczeństwa. W tych pierwszych tygodniach Budzyna wytworzył się we mnie nowy stosunek do życia: człowieka samotnego, walczącego ze wszystkimi i przeciw wszystkim. Męcząca samotność wilka: *Homo sum, ergo lupus sum*⁷. Samotność zjadliwej walki, niechęci do każdego człowieka, podejrzliwość względem każdego słowa skierowanego do mnie. Stało się. Wówczas człowiek przestał być mi bratem, stał się wrogiem.

Dziś, po kilku latach, gdy piszę te słowa – nic się nie zmieniło. Trwa układ: ja i oni. Samotność i pustka nią spowodowana. Walka. Dziedzictwo straszliwej, najbardziej okrutnej walki o byt w obozie. Kanibalizm duchowy wytworzony bezwzględnością ścierania się tysięcy instynktów samozachowawczych. Czy mogło być inaczej? Czy przeżył ktoś z tych, którzy nie byli twardzi, okrutni i bezwzględni? Są tacy, ale tylko dzięki niesłuchanie rzadkim splotom szczęśliwych przypadków.

Ileż to razy już wchodziło się do werku z obitymi bokami – pieszczoty „czarnych”. Dzięki byłemu jeńcowi Mołdawanowi, któremu mam wiele do zawdzięczenia, dostałem się bez pieniędzy na „dobrą” placówkę. Porządny majster, nie gna i nie bije, wyznacza niewielką ilość pracy na cały dzień, nie troszczy się o tempo, byleby wykonać i nie dać się złapać werkschutzom na próżnowaniu. Zakładamy rury do centralnego ogrzewania, do wykopanych i wybetonowanych już rowów. Vorarbeiterem jest niejaki Lewkowicz z nabitą kabzą, towarzysze pracy też „nabici” – opłacili się solidnie, by się do niej dostać. Niby wykazują szacunek do mnie jako do człowieka z wykształceniem, ale w gruncie rzeczy niechęć: nie jestem „ich” człowiekiem, wyczuwają inny sposób myślenia. Nie lubią innych kategorii.

Godzina 6.30 rano. Praca ma się zaraz rozpocząć. W krzakach handel. Moi towarzysze zakupują u „cywilnych” chleb, masło, ser, jaja, boczek. Zabierają się do śniadania – to najbogatsza placówka. Obżerają się do niestrawności – jest to wynik strachu przed zagrażającym głodem, nawet u tych, którzy dysponują dużymi środkami. Strach ten, charakterystyczny we wszystkich obozach, wywoływał zbyteczne objadanie się, gdy tylko miało się czym – zjawisko psychologiczne ogólne dla wszystkich obozowiczów, którzy przeszli chociaż raz ciężkie warunki.

Moi towarzysze obżerają się. Mnie nikt nie poczęstuje. Od rana mdli mnie głód. Nie miałem nic w ustach. Moi towarzysze to bądź koledzy Lewkowicza, bądź z rozmaitych powodów ma on dla nich względy. Dla pieniądza szacunek znajdzie się zawsze i wszędzie. Wyznaczany jestem zawsze do najgorszych robót. Wozimy rury i zakładamy je do rowów. Wzrasta umęczenie i głód. Staram się nie myśleć o jedzeniu, ale nie mogę. Dookoła mnie ciągle jedzą. Muszę patrzeć. Wyczerpanie rośnie. Chciałoby się usiąść, a musi się wlec rury. Oni ciągle jedzą...

⁷ *Homo sum, ergo lupus sum* (łac.) – Jestem człowiekiem, więc jestem wilkiem. Zdanie zaczerpnięte z tzw. *Komedii ośle* (*Asinaria* II, 4, 88), której autorem był Titus Maccius Plautus (ok. 250 p.n.e. – 184 p.n.e.). Znane są także inne wersje tego zdania, np. *Homo homini deus est* (Człowiek człowiekowi jest bogiem) oraz *Homo homini angelus est* (Człowiek człowiekowi jest aniołem).

Ciągnę rury: wysiłek, przez moment nie czuję głodu... rura założona. Wyprostowuję się. Czuję osłabienie. W ustach sucho, spiekle gardło, piję wodę, nie pomaga, niesmak, obrzydliwa ślina zbiera mi się w ustach, wargi zlepiają się wstrętną, zasychającą wydzieliną.

Słońce zaczyna mocniej dogrzewać, przed oczami mgła. Znowu wysiłek, znowu wlokę rury. Czas wlecze się. Kiedy będzie obiad? Ciągłe obliczam, ile jeszcze do obiadu. Ledwo dziewiąta, a już z trudem utrzymuję się na nogach. Siadam na chwilę pod krzakiem, by nie być widzianym. [Towarzysze pracy] nie dają, zaraz pędzą: „narażam placówkę”. Im nie chce się siadać, oni osłabienia nie czują. Oni ciągle handlują po krzakach, prowadzą jakieś geszefty⁸.

Nogi, mimo że bose, ciężą jak z łożowiu. Jeśli tylko można, stoję. Podniesienie nogi przychodzi z trudem. Ręce bezwładnie opadają, nie mogę zacisnąć palców wokół rury. Nerwowym ruchem szarpnię ją, zrzucam i natychmiast ręka opada. Dłuższy wysiłek jest niemożliwy. Pracuje się nerwowymi chwytami. A myśl ciągle wraca do chleba. Wszędzie dookoła pełno jest chleba, masła, słoniny, poukrywanych przez towarzyszy pracy w krzakach i trawie. Niektórzy już jedzą po raz trzeci. Oczu nie można oderwać od chleba. Słonina, masło, jajka nie nęcą, tylko chleb. Zwykły czarny chleb. Gdyby mieć chociaż kawałek skórki od chleba. Ci nie dadzą ani okruszyny.

Już teraz czekam na wieczorną chwilę, kiedy dostanę codzienną kromkę chleba. Myśli mimo woli wracają do czasów pokoju, prześlizgują się po rozmaitych gatunkach chleba. Mimo woli czuję w ustach smak świeżego chleba kulikowskiego⁹, chrupką bułkę – było tyle gatunków chleba: żytni, pszenny, razowy, kołacz. Szaleństwo, obłąkanie chlebowe. Chleb... chleb... chleb...

Na śniadanie jadło się bułki... Rura toczy się popychana przeze mnie i przez towarzysza... Czy można zrozumieć, że kiedyś nie dojadło się kromki do końca... i to nasmarowanej? Rura nad rowem – trzeba ją szarpnąć i zrzucić na pochyłe deski. Stoczyła się. Chwila wypoczynku. Trzeba iść po następną rurę: wlokę się – trzeba iść powoli, przeciągać ten moment, w którym nie ma wysiłku... Jak to się działo, że miało się na własność cały bochenek chleba... Nie mogę tego zrozumieć... Znowu rura... Jak można było być sytym po dwóch kromkach chleba... Trzeba iść po następną rurę. Wlokę się. Trzeba iść powoli, przeciągać ten moment, w którym nie ma wysiłku... Znowu rura. Ludzie modlą się: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...”¹⁰. Chleb przestał być powszednim. Czarny, razowy chleb z masłem i kwaśnym mlekiem... Czy dla mnie znowu kiedyś chleb będzie powszednim?... Przesuwam rurę... Myśli płaczą się, chaos.

Gdybym umiał mleć językiem tak jak inni, może byłoby mi łatwiej to znosić. Tymczasem milczę, pracuję bez słowa. Ciągłe to samo. Umęczenie tak wielkie, że nie mogę dłużej, kładę się. Niech się dzieje, co chce. Za złapanie na leżeniu w czasie pracy katoowano gorzej niż Bittera¹¹, Feix jednemu z takich wyrwał żywcem jądra... Oczy zamykają się – zasnąć, zapomnieć o wszystkim... zapomnienie...

Nie dają leżeć, gwałtem zmuszają do wstania – mają rację. Mózg mam zupełnie rozklekotany, czuję, że o ile nie opanuję się, będę zgubiony. Za moralnym załamaniem szło

⁸ *Geszeft* (żyd.) z niem. *Geschäft* – interes.

⁹ Popularny chleb lwowski, utrwalaony w piosence Mariana Hemara (1901–1972), wykonywanej przez Władę Majewską (1911–2011).

¹⁰ Cytat z modlitwy chrześcijańskiej *Ojcze nasz*.

¹¹ Zob. rozdział „Egzekucja Bittera”.

zawsze fizyczne. Staram się oderwać myśli od chleba, o czym myśleć? Co mogłoby zainteresować? Nie znajduję takiego tematu. Niechęć, muszę myśleć... Mimo woli widzę opuchniętą matkę... stary ból na myśl o tym, jak oni ją porwali. Ból szarpie – uciec od bólu... Co z bratem i siostrą? Czy żyją? Ból... uciec i od tej myśli, to gubi... zupełna pustka w głowie... Myśleć! Koniecznie myśleć! Nie o głodzie! Nicość... Chcę myśleć o matematyce... szukam problemu. Mimo woli towarzyszy temu ból tęsknoty za matką... Próżnia mózgu... i ból. Gwałtem trzeba wziąć się do matematyki. Już nie chcę myśleć o niczym nowym, wystarczy przypomnieć sobie coś znanego... A może wrócić do jakichś zdarzeń z życia? Radosnych? Ból rwie... co oni zrobili z matką? Niechęć, wstręt do wszystkiego... Słońce smali... na brzegu rowu znalazłem kilka poziomek. Cudowny smak – istnieją ludzie, którzy jedzą poziomki ze śmietaną i cukrem i nie znajdują w tym nic specjalnego... Matka, gdy ją zabierali, nie mogła chodzić... Jak wyglądają wielomiany aproksymacyjne w dowodzie Landaua¹²? Twierdzenia Weierstrassa¹³? Zaczynam palcem pisać po piasku, ręka powoli ustaje... W oczach mgła... Nie czuję już głodu. Słońce pali, jak wtedy na Wiśle, gdy leżałem na kajaku... Fale uderzały o burtę, unosiliśmy się w górę i w dół, kajak kołysał się... szum fal... Niechęć. Jestem spocony: Czy rodzeństwo żyje?... Rury... kanał... zbliża się pora obiadu... jeszcze pół godziny. U nas już nie pracują, odpoczywam. Jeden stoi na cynku. Mózg przestał pracować, przestałem myśleć. Zupełne zobojętnienie, mgła... Słońce. Zdjąłem koszulę i leżę. Gorycz i zobojętnienie, apatia i samotność.

Obiad. Pracuję niedaleko kuchni; podchodzę i stoję w ogonku – krzyki, odpędzanie tych, którzy usiłują się dostać poza kolejnością. Oddaję bloczek, z okienka wysuwa się ręka kucharza, podaje miskę. Wyjmuję łyżkę z kieszeni i zjadam. Miska szybko się opróżnia. Kręcę się jakiś czas. Czasem zdarza się możliwość zorganizowania drugiej miski. Bardzo rzadko. Szkoda czekać. Kładę się i natychmiast zasypiam kamiennym snem. Nie wiem, jak długo to trwa. Gwizd. Koniec obiadu. Szpicruty policjantów obozowych od razu walą opieszale.

Zwlec się trzeba do roboty. Wszystko od nowa. Lekko odpoczęty, jeszcze czuję zupę. Praca. Powoli głód znów rośnie. Znowu zmęczenie. Czekanie na wieczór, na godzinę szóstą. Potem zupa i kromka chleba. Potem sen. Jutro do roboty: rury i głód, obiad i kolacja, sen i znowu do roboty. Nie ma perspektywy końca tej męki. Rozum dyktuje, że skończy się to śmiercią. Uczucie jest sprzeczne z rozumem. Instynkt samozachowawczy każe wierzyć, że się przetrzyma. Ta wiara, z którą miliony ginęły w komorach gazowych, nie tracąc jej do ostatniej chwili. Wytrwać, za wszelką cenę. Przestają działać wszelkie normalne, ludzkie motory postępowania, pozostaje tylko instynkt samozachowawczy. Człowiek poddaje się mu nieświadomie, bezwolnie. Nie można tak żyć dalej. Trzeba znaleźć jakieś metody zdobycia pożywienia, inaczej śmierć.

Popołudnie ciągnie się tak samo jak przedpołudnie, nie jest jednak tak męczące. Miska wody ma swoje znaczenie. Szósta: gwizdek, koniec pracy. Zbiórka na placu, odliczanie – trwa czasem godzinę. Niecierpliwość, nadchodzą „czarni”. Wyprowadzają z werku, zaraz za bramą kolby idą w ruch. Usta się otwierają: „O mój rozmarynie, rozwijaj się...”. Trzy kwadransy marszu, nóg nie ma siły podnieść, a trzeba ciągle gonić, nad-

¹² Chodzi zapewne o twierdzenie Edmunda Landaua dotyczące zbieżności szeregów liczbowych.

¹³ Karl Weierstrass (1815–1897) – matematyk niemiecki.

rabiać luki. Zbliża się obóz: podwójny rząd drutów kolczastych, karabiny maszynowe z wież wartowniczych, esesmani i Feix. Liczą znowu. Jesteśmy w obozie, podchodzi-my do kuchni, czekamy na supę. Liczą – dostajemy supę... Liczą – dostajemy po krom-ce chleba... Liczą – prycza... I tak dzień za dniem.

Ale widowisko powoli, a jednak stale się zmienia. Gdy przyjechaliśmy do obozu, było między nami dużo dobrze wyglądających, dobrze ubranych, większość posiadała dobre, wysokie buty. Kucharze dobrze się ubrali, policja obozowa się obłowiła – ci nie magazynują już ubrań i butów. „Czarni” krążą po obozie, przeprowadzają rewizje oso-biste. Jeżeli znajdą złoto lub kosztowności, zabierają. Więźniowie z obawy przed „czar-nymi” oddają złoto na przechowanie policji obozowej. Ta w przeważającej liczbie przy-padków sprzeniewierza je.

Złoto ma tylko małą część więźniów. Wielu z pozostałych jest jeszcze dobrze ubra-nych i ma buty. W werku widuje się często więźnia rozglądającego się, czy nie ma w po-bliżu werkschutza, chyłkiem wchodzącego między krzaki lub w jakiś kąt: po chwili w tym samym miejscu ukazuje się cywil, rozgląda się również, wchodzi ostrożnie w krzaki; często ma paczkę pod pachą. Za jakiś czas wychodzi więzień – znikły buty, za-miast nich ma chodaki. Paczka szybko chowana w trawie lub ukryte za pazuchą pienią-dze. Czasem znika marynarka – zamiast niej łachman – lub zmiana spodni... Po kilku ty-godniach my, przywiezieni z Warszawy, wyglądamy jak starzy obozowicze. Wtedy, gdy przyjechaliśmy, nastraszyliśmy się tego widoku. Teraz my też jesteśmy obdarci i brudni. A także jest wśród nas coraz więcej szkieletów lub popuchniętych z głodu.

Przyzwyczailem się do umęczenia z głodu, choć – nie zdając sobie sprawy z tego – jestem coraz słabszy. Teraz wymykam się z pracy na krótko przed przerwą, gdyż zorien-towałem się, że pierwsze zupy wydawane przez kuchnię są zwykle gęstsze i bardziej wartościowe. Często też dostaję od inż. Mirskiego¹⁴ drugi bloczek na supę – dwie wody mają większe znaczenie niż jedna. Ale teraz i dwie wody nie dorównują jednej misce otrzymywanej z początku. Z dnia na dzień jedzenie pogarsza się. Czerwiec, nie ma kar-tofli. Dochodzi do tego, że jako rację dzienną dla całego obozu, dwóch tysięcy ludzi, wy-znaczają 30 kg zgniłej kapusty i 20 kg kaszy. Dostajemy po misce farbowanej na lilio-wo wody, w której można znaleźć pływające listki kapusty. Kucharze wydają tę supę ze śmiechem: „Po co wy to świnstwo bierzecie? Będziecie z tego tylko mieli czym szczać”.

Wypijam swoją miskę, ewentualnie drugą – brzuch mam nalany tak, że nie mogę się poruszać, a głód szarpie. Wściekłość na kucharzy za ich śmiech i kpiny, bezradna roz-pacz: toż nawet i po supie nóg nie mogę podnieść. Gwałtownie doskwiera głód, rozbu-dzony okraszona wodą. Kładę się pod krzakiem i obserwuję.

Dookoła krążą cienie ludzi: wymęczone „łajzy” – obdarte, czarne od brudu, oczy im latają dookoła. Jak sępy rzucają się, gdy ktoś cokolwiek wypłuje.

Jeden z sytych je chleb. Człowiek starszy, więc odkrawa skórkę i kładzie ją na boku. W tej samej chwili rzuca się na nią dwóch: jeden ją schwycił, silnie trzyma w garści, dru-gi usiłuje ją wyrwać. Szamocą się z krzykiem, biją się, porozbijali sobie głowy. W cza-sie bójkę posiadacz skórki wpycha ją sobie do ust. Drugi, widząc, że przepadło, odchod-zi, klnąc. Mija wybuch energii u obu, znowu powłóczą nogami, snują się, wypatrując okazji... leniwe ruchy ludzi osłabionych.

¹⁴ Być może Bronisław Mirski (Frydman), autor relacji przechowywanej w AŻIH (zob. przypis nr 26 we „Wstępie”).

Do nozdrzy dochodzi smród. Koło kuchni jest dół, do którego kucharze wrzucają zgniłe kartofle, obierki, popiół, śmiecie, często też tam się załatwiają. Wściekły smród w pobliżu kuchni. Niemiecka higiena. Dookoła dołu krąży policjant obozowy z pałąk lub szpicrutą. Z dala kręcą się wychudłe postacie – popuchłe twarze, obrzmiałe powieki, ręce jak u kościotrupów. Strażnik na chwilę odwraca uwagę od dołu. Widma natychmiast wskazują tam, łapczywie, szybkimi ruchami chwytają obierki, pakują wraz z popiołem, śmieciem, przesiąknięte zgnilizną (a czasem i moczem) łupiny do toreb i menażek. Będzie uczta: wymyją, naniżą na drut i upieką. Strażnik zauważa – rzuca się, wpada i wściekle siecze szpicrutą: zwykle przez głowę, przez oczy, twarz. Od uderzeń natychmiast obrzmiewają krwawe, sine pręgi, ale więźniowie nie zważają na to, pakują do menażek do pełna i uciekają. Znowu koło dołu porządek.

Koło kuchni ustawiono stoły. Teraz je się na siedząco. Zdarza się, że wypłujesz jakąś łupinę – w tejże chwili z tyłu wysuwa się jakaś ręka z zakrzywionymi palcami, łapie, coś wypłut i pakuje wprost do ust, a oczy już patrzą na lewo i na prawo, wypatrując łupu. Często dwie ręce biją się o ten sam wypłuty kęs.

Za kuchnią koło okienka kręcą się „abonenci”. W stosownym momencie przyskakują, podają menażkę – za chwilę ta wysuwa się z powrotem, pełna gęstego: porcja przeznaczona przez Niemców dla kilkunastu, jeżeli nie dla kilkudziesięciu wybranych. Patrzmy na to bezradni: mówi się o tym głośno, lecz gdy usłyszysz któryś z policjantów, to wali i na tym się wszystko kończy.

Obóz umiera z głodu. Tylko kucharze piją i bawią się. Ciągłe znikają jakieś popuchnięte twarze, zniekształcone ręce i nogi, a na ich miejsce pojawiają się nowe potworne stworzenia. Zmieniają się aktorzy. Dół w lesie zapełnia się trupami. Coraz częściej słyszy się rano: ten czy tamten w nocy umarł, trzeba wynieść. Po prostu zasypiają i nie budzą się.

Wśród silniejszych krążą widma. Nikt im nie pomaga; kto ma środki, nic z nich nie uрони dla drugiego. Wie, że gdy zostanie bez niczego, to i jemu nikt nie pomoże. Strach przed głodem u sytych, twardość, bezlitosność, wyzbycie się odruchów ludzkich – wszystko na skutek strachu. Głód.

Na drugiej pryczy ode mnie leży chory starzec. Astmatyk. Do rewiru¹⁵ go nie przyjęli. Usta mu się otwierają jak u ryby. Łyka powietrze. Usta otwarte. Piersi silnie podnoszą się i opadają. Odchodzę rano do pracy. Gdy przechodzę koło niego, jego oczy mnie odprowadzają. Zapominam o nim. Wracam wieczorem, w bladym świetle żarówki rzuca mi się w oczy zmiana w kształcie twarzy. Policzki zapadły się, uwydatniła się siwa szczerć, oczy zamknięte. Teraz oddech jest krótki, urywany, piersi poruszają się szybko. Leży w ubraniu, obuty.

Przywołany lekarz oświadcza, że chory nie przetrzyma nocy. Nie ma już po co brać go do rewiru. Usłyszało to kilku wyrostków. Szybko podchodzą do umierającego, jeden z nich nie ma trzewików. Nie patrzą na twarz chorego, a na ubranie i na buciki. Słyszę, jak jeden z nich mówi do drugiego: „Trzeba mu zdjąć buty”. Mówiący ma dobre buty na nogach, dla niego mogą one być tylko środkiem zamiany na żywność. Podchodzi i dotyka nóg leżącego, inni doskakują i nie pozwalają zdjąć obuwia: każdy chciałby je mieć dla siebie. Krążą dookoła, kontrolują się wzajemnie. Chory leży sam, nikt się

¹⁵ Chodzi o miejsce, gdzie umieszczano osoby chore. Poza separacją nie odbywało się tam żadne leczenie.

nim nie interesuje, oddech słabnie. Czyhający zbliżają się: trzech stoi w pobliżu głowy, dwóch u nóg. Kilku z nas oburza się – przepędzamy ich. Za chwilę są z powrotem. Krążą w trochę większej odległości. Tak ciągnie się przez kilka godzin. Starzec coraz słabiej oddycha i ciągle kilka par oczu nie odrywa się od niego. Gwizdek: spać, rozbieramy się i światła gasną.

Rano wstaję – obok leży trup starca. W spodniach, bez marynarki i bucików.

przeetrwania, zapytuje się czy ma serce
męczyć, po co się je, chodzi i żyje
Tak to wszystko będzie ukończone
Lecz mechanizm organizmu jest silnie
niezależnie od myśli i woli domaga
się i jedzenia, instynktownie. Tworzy
zwykle myśl o głodzie, przed oczami
chleb. Życie jest silniejsze od sumienia
życie domaga się chleba. Imaginacja
że śmiercią.

Stość i samotność. Ból wspomnień
bezradność jutra.

— . —

Budzą. Już od kilku tygodni, nie
ze dwa miesiące jestem w obozie.

Popatrując gruchota wieść:
niektórzy z placówki „Landwirtschaft“
warte Werkseinsatz i zbierają. Wszyscy
podnieceni. I z jednej strony zarządk

Represje

Budzyń. Już od kilku tygodni, może i ze dwa miesiące jestem w obozie. Po południu gruchnęła wieść: jeden uciekł z placówki *Landwirtschaft*¹. Zmylił wartę, werkschutzów i zbiegł. Wszyscy podnieceni – z jednej strony zazdroszczą uciekinierowi, z drugiej obawiają się konsekwencji.

Popołudnie się dłuży – czekamy wieczora i obawiamy się go. W końcu zbiórka. Zbieramy się normalnie w fabryce i odmaszerowujemy. Na razie wszystko idzie zwyczajnym trybem. Wracamy do obozu, pod kuchnię, czekamy na zupę, głód panuje nad myślami. Przez cały dzień miałem w ustach litr wody z kilkoma kartoflami, otępiały czekam. Nareszcie mam w ręku miskę zupy. Gorąca, ledwie mogę utrzymać. Z daleka słychać warkot motocykla. To jedzie Feix. Dookoła poruszenie, niektórzy od razu uciekają do baraków. Nie stracę zupy. Nie używając łyżki, piję ukrop wprost z miski. Parzę się, ale nie rezygnuję. Warkot zbliża się, piję prędzej. Całe usta oparzone.

Motocykl wjeżdża do obozu, wpada przed kuchnię – wprost w masę ludzi, nie troszcząc się o nikogo. Jak kury przed rowerem, tak jedzący rozbiegają się na wszystkie strony. Mam jeszcze nieco zupy i kilka kartofli na spodzie miski. Motocykl zatrzymuje się o kilka kroków ode mnie; Feix zeskakuje i strzela w powietrze, strzał za strzałem. Nie uronię ani odrobiny zupy. Wypijam do końca, kartofle wyjmuję rękami i pcham wprost do ust. Feix ryczy: „Zostawić jedzenie, do baraków!”. Rozwścieczony: wzrok błędny, piana na ustach. Niektórzy – wygłodzeni jak ja – nie zostawiają zupy, pospiesznie pochłaniają resztki. Feix wpada w szal: strzela w tłum, nie trafiając.

Uciekam, po drodze łapiąc stojącą na ziemi miskę zupy. Ledwie rozpoczęta, pełno w niej kartofli. Gnam z tłumem na drugi koniec obozu, do baraku, w biegu piję zupę. Ciżba, więc zwalням krok, znowu piję. Ktoś oburza się na mnie, że w tym popłochu pamiętam o jedzeniu. Nim docisnąłem się do baraku, miska była wykończona.

W baraku tłok, nie można się precisnąć. Ciasnota straszliwa. Zaduch. Gwar i hałas. Niepokój. Nad wszystkim ciąży obawa przed rozwścieczonym Feixem, płochliwi drżą i błędną.

Wpada policja obozowa z rozkazem: wszyscy, którzy w tym dniu pracowali w *Landwirtschaft*, mają się stawić na placu. Dwustu ludzi. Zamieszanie, bo pochowali się, nie można ich znaleźć. Grupowi wyszukują swoich, akcja przeciąga się. Z jednej strony policja wyłapuje, z drugiej chowający się ze strachu przed śmiercią. Na dworze Feix szaleje. W końcu policja kompletuje byle jakich dwustu i wyprowadza.

Ulga dla pozostałych. Ta sama ulga, egoistyczna, jaka występowała przy akcjach, selekcjach i rzeziach – że się nie jest wybranym, że uniknęło się skazującego losu. Nadal trwa podniecenie, niepokój o tych dwustu i mimo to uczucie ulgi. Po upływie pół godziny wracają. Feix wybrał trzydziestu zakładników, którzy mają być rozstrzelani do 24 godzin, jeżeli uciekinier się nie znajdzie. Ułożono ich na placu apelowym, twarzami do ziemi, pod strażą „czarnych”: ci biją ich i tłuką kolbami.

Znowu wpadają policjanci. Feix nakazał, aby obóz natychmiast kładł się spać. Od razu biorą się do pałek. Zdaje sobie sprawę z sytuacji – że natychmiast mogą wpaść „czarni” i mordować – przeciskam się więc do pryczy, rozbieram i kładę: prawie nagi. Nakryć nie ma, ubraniem nie wolno się nakrywać. Zimno.

¹ *Landwirtschaft* (niem.) – rolnictwo. Część robotników przymusowych była wykorzystywana do prac rolnych.

Trwa ogólne zamieszanie. Każdy stara się docisnąć do swojego legowiska, więc biją się, rozpychają łokciami, kto silniejszy, toruje sobie drogę, słabsi pozostają w tyle. Wpadają „czarni”. Wszyscy momentalnie są na pryczach – kto nierozebrany, kładzie się, udając śpiącego. Cisza – każdy zapiera oddech w piersiach. Nade mną słyszę brzęk łyżki, tłukącej się o szybę. „Czarni” idą powoli między pryczami, rozglądając się na wszystkie strony; biją szpicrutami po nogach. Odczuwam bolesne uderzenie w gołą stopę, nie drgam nawet. Marsz ich trwa krótko, a dla nas przeciąga się w nieskończoność. Nagle zauważyli w kącie ofiarę – starca, który nie zdołał dostać się na pryczę. Dostakują momentalnie, zaczynają go siec szpicrutą, gdzie popadnie: po głowie, po rękach, po brzuchu. Człowiek upada, jęcząc. A nam nie wolno się poruszyć – leżymy z zamkniętymi oczyma, udając śpiących, musimy słyszeć wyzwiska „czarnych”, jęk bitego. Mało im szpicrut, zaczynają walić kolbami karabinów. Jak w kuźni dwóch na przemian wali młotami rozpalone żelazo, tak oni walą starca. Jeden podnosi karabin, drugi uderza i na odwrót. Trzask łamanych kości, uderzenie kolbą, trzask kości, uderzenie kolbą, silniejszy trzask łamanej czaszki, łamanych żeber i goleni. Już leży zlany krwią trup, a oni z zaciekleścią jeszcze go walą.

Do baraku wchodzi Feix w towarzystwie niemieckiego żandarma, Mohra², dowódcy „czarnych”. Wysoki, suchy Prusak z zimną, bezduszną, wzbudzającą odrazę twarzą. Kroczą powoli, mierzając oczami wszystko dookoła, idą w kierunku „czarnych”. Jeden z nich w czasie bicia złamał kolbę. Niedopuszczalne przestępstwo: bić i zabijać wolno i należy, niszczyć majątku państwowego nie wolno. „Czarny” musi jakoś zrzucić z siebie winę. Melduje Feixowi, że z przyczyny w sąsiedztwie w czasie mordowania starca ktoś żelazem złamał kolbę. Zwlekają z tej przyczyny pięciu ludzi. Ryk: „Gdzie żelazo?”. Tłumaczą, że nie było żadnego żelaza. Ponowny ryk: „Gdzie żelazo?!”. i bicie. Rozkaz: „Rozstrzelać ich!”.

Zaskakuje młody chłopak, Bruno³, syn inżyniera Maliniaka⁴, znajdującego się w tej piątce. Krzyczy, że jeżeli zabierają ojca, to on idzie z nim. Wyprowadzają tę piątkę, Bruno goni za nimi. Feix każe mu zostać, ten nie chce. Feix jest skonsternowany nieposłuszeństwem, niezdarzającym się tu nigdy. Bruno ponownie oświadcza, że podzieli los ojca, jakkolwiek by on był. Pozer Feix to sadysta, ale człowiek mądry: rozumie wartość bajki z żelazem, zmyślonej przez „czarnych”. Ma już trzydzieści ofiar na dworze, rezygnuje więc z dalszych pięciu. Chwyta się nagle tricku, dostosowanego do swoich hitlerowskich pojęć: wspaniałomyślnie oświadcza, że wobec bohaterskiej postawy chłopca zwalnia wszystkich pięciu i wychodzi.

W baraku absolutna cisza – gdzieś tam ktoś kaszlnie i znowu cisza. Uspokoiło się: Feix już nie wróci. Przygnębienie nakłada się na umęczenie całodzienną pracą, wrażeniami, głodem. Oczy zamykają się same. Ktoś schodzi dla załatwienia potrzeby; słychać ciurkanie. Z jednej strony obita blachą skrzynia, do której załatwia się potrzeby fizjologiczne, z drugiej – snem wiecznym śpi starzec zamieniony w krwawy befsztyk.

Na placu apelowym tańczą „czarni” – tańczą po leżącej trzydziestce. Pilnie baczą, czy nie zauważą u któregoś jakiegoś ruchu, czy nie usłyszą jęku. Skaczą po głowach i plecach, kopią w nogi. Śmieją się i szyczą. Dla nich to okazja do pierwszorzędnej zabawy.

² Werner Mohr, członek załogi SS w Budzynie; zob. „Wstęp”, s. 24.

³ Brak bliższych danych.

⁴ Brak bliższych danych.

Kolby w ciągłym ruchu. Kolby zabijają. „Czarni” przykładają papierosy do ciała, próbując – martwe czy żywe? – „Wesoło wam, co? Ciepło?”.

Ci leżą bez ruchu. Głucha, ciemna noc. Chmury zasłoniły niebo, przysłoniły gwiazdy. Dochodzą tylko światła lamp otaczających obóz. Cisza. Zimna, majowa noc, nieprzerywana bzykaniem owadów. Szumi wiatr w otaczających obóz drzewach. Pustkowie, wśród lasów na wyżynie. Padają krople zimnej rosy. Poruszać się nie wolno. Przed oczami ciągle ten sam skrawek gruntu, do uszu dochodzą tylko głosy „czarnych”. Wiele spośród leżących już nigdy się nie poruszy. W widocznych z oddali wioskach wolni ludzie już dawno ułożyli się do snu. Pogasły światelka. Słychać oddalone szczekanie psów.

Noc się pogłębia, dłuży, ciągnie i ciągnie. Jednostajność leżenia, czekania na mordcerze jutro. Mijają minuty, zbierają się w kwadranse, kwadranse – w godziny. Monotonie nieskończonych godzin przerywa tylko poszum drzew, świst zimnego, przejmującego wiatru. W barakach budzi nas ze snu chłód. Ci na placu leżą na ziemi z wyciągniętymi rękami, obici, skopani, na wpół przytomni. „Czarni” uspokajają się, są zmęczeni: każda zabawa się znudzi. Złość z powodu konieczności pilnowania leżących przez całą noc wyładowują na nich – kopnięciami, uderzeniami kolb, wyzwiskami. I znowu – spokój i bezruch.

Chłód wilgotnej ziemi zamieniający się w zimno podnosi się, wchodzi w ciało, przenika do kości. Grabieją wyciągnięte ręce, kostnieją nogi. Męczące, straszliwe oczekiwanie długich, niekończących się godzin poprzedza Feixowe jutro: zapowiedzianą egzekucję.

Noc wieczności hitlerowskiej. Noc oblędu oczekiwania na bezsensowną śmierć. Zamierają myśli, zanika czucie skostniałego ciała. Pozostają na placu beczułe ciała, pośród zimna ziemi, zimna lasu, zimna wiatru i zimna samotności i opuszczenia. Okropne zimno bezzadności, niewoli, zamknięcia pośród drutów obozowych, pomiędzy karabinami maszynowymi wież wartowniczych.

Noc bez końca; noc, w której trzydziestu leżących wyczuwa czuwanie „czarnych”, z której wyłaniają się oczy Feixowej twarzy – noc hitlerowskiego sadyzmu.

Ubrania przemakają rosą poranną. Horyzont przejaśnia się, wznoszące się słońce w dotkliwym chłodzie świtu oświetla żywych leżących i trupy, karabiny zbydlęconych „czarnych”. Odchodzimy do pracy przygnębieni, w obawie czekającej wieczorem egzekucji.

Słońce wznosi się na horyzoncie, oświetlając trzydziestu leżących w zupełnym bezruchu, w tej samej pozycji, w jakiej ułożono ich wczorajszego dnia. I znowu – minuty ciągną się, długie jak godziny w nocy, męczarnia nie zmniejsza się. Feix lubuje się widokiem katowni. „Czarni” zmęczeni się – już trzecia zmiana – a tamci ciągle leżą.

„Najstarszy” obozu działa: zbiera ukryte jeszcze kosztowności, właściwą drogą zakupuje Feixa. Wieczór, wracamy do obozu. Ci ciągle leżą, ale Feix znowu gra wielkodusznego – oświadcza, że darowuje im życie...

„Czarni” odchodzą, ale leżący nie wstają, gdy oświadcza się im, że darowano im „winę” i życie. Podchodzą lekarze: ośmiu już nigdy nie wstanie, zatłuczono ich na śmierć. Zwleka się więc z nich ubrania, zwłoki wrzuca do dołu w lesie. Dwudziestu dwóch odniesiono do rewiru. Ilu wyszło z niego? Nie wiem.

Ekzekucja Bittera.

nam mi w myślach staje ciwroblek
to budziński. Rząd kaiskich barak
aych mieszkań. Po upalnym dniu zach
e staję zalewa plac apelowy. Wyczerpa
racy, jak codziennie, stojemy w rzędzie pr
lunę i czekamy na zupę. Bezsiła, głod
li. Jestem w stanie zobojętnienia, już nie
rozpac, pryncypiona została aktywność, b
keji na wydarzenia frontowe, zobojętnie
hanczne życie. Po zwińszeniu zadaw
się najprostszą funkcję życiową.
jeść i spać. Żeby już leżeć na tygnie
Sun dają nam podłotekiem, obrie
in a mało go. Czekasz przedkuchnia, na je
i monisz się myślą w ciemności nocy. B
swoich marzeń sennych. Już leżesz
przekradat bunkrami, już leżesz Ci
ity palące helki na głowę, już

Egzekucja Bittera

Znów mi w myślach staje czworobok drutów budzyńskich. Rząd końskich baraków, naszych mieszkań. Po upalnym dniu zachodzące słońce zalewa plac apelowy. Wyczerpani po pracy, jak co dzień, stoimy w rzędzie przed kuchnią czekamy na zupę. Bezsiła, głód mdli. Jestem w stanie zobojętnienia, już minęła rozpacz, przyćmiona została aktywność, brak reakcji na wydarzenia frontowe, zobojętnienie. Mechaniczne życie. Po zwierzecemu wykonuje się najprostsze funkcje życiowe.

Zjeść i spać..., żeby leżeć już na sienniku... Snu dają nam pod dostatkiem, dziewięć godzin, a mało go. Czekasz przed kuchnią na jedzenie i unosisz się myślą w ciemność nocy. Boisz się swoich majaczeń sennych. Znów będziesz się przekradał bunkrami, znów będą ci się waliły płonące belki na głowę, znów będziesz się dusił w dymie płonącego getta. Będziesz się ukrywał... Ukaże ci się spuchnięta matka, odżyje dawna rozpacz na widok Jej głodu... Rwać cię będzie tęsknota za matką, za tą zamordowaną... Ból będzie cię szarpać w pomroce majaczeń. Zbudzisz się i gryźć aż będziesz z bólu ręce, z przeolbrzymiej bolesti, z tej strasznej samotności. Zbudzisz się i uświadomisz sobie, że oni wszyscy już nie żyją. I będziesz w tym omroczeniu nocnym czekać.

Z dała ci światło przy dyżurnym, od czasu do czasu wejdzie „czarny” dla kontroli. Czekasz. Czy tej ciszy nie przerwie krzyk zamęczonego?... Leżysz na pryczy znękany, głodny, brudny i znowu zasypiasz. I znowu utoniesz w powodzi obrazów męczących, będziesz dalej przeżywać „akcje”. Rano wstaniesz, ledwo trzymając się na nogach. Męczarnia zwleczenia się z pryczy. Z trudem stoisz na nogach, z wyczerpania wszystko drga przed oczami, wzroku nie możesz utrzymać na przedmiocie odległym o kilka metrów. Z głową w dół opuszczoną, półprzytomnie, automatycznie wykonasz wszystkie czynności, powtarzające się codziennie. Tak to czekając na zupę, przeżywałeś już męczarnię nocy.

Wreszcie dostajesz zupę. Już pierwszy łyk budzi uśpiony głód, od razu odczuwasz szarpanie głodu, jaki pozostanie po wypiciu miski. Myśl: jak wydostać jeszcze zupy? Lecz nagle budzi się niepokój. Z przeciwległej części obozu ustawiają pierwszy blok w dwóch rzędach, zwróconych twarzą do siebie. Mija zobojętnienie, zwierzęcy instynkt nakazuje czuwać. Co to oznacza? Jaki nowy pomysł komendanta? Słońce oświeśla nagiego człowieka z uwiązaniem na szyi stryczkiem. Ciągnie go „czarny”, niski, pijany, zaciska mu pętlę na szyi, zmusza go do posuwania się w rytm swojego kroku. Jak pies i hydel. Za nim postępuje komendant obozu, Oberscharführer¹ Feix, ze zmienioną twarzą, zaciśniętymi ustami, wysuniętą dolną wargą, charakterystycznym dla niego przy mordach błędnym wyrazem oczu. W rękę trzyma swój dobrze nam znany rewolwer. Już wiadomo, że będzie katorga, Feix uczyni publiczne widowisko z mordu, będzie się napawać krwią. Jeszcze dziś się wzdygam, myśląc o tym człowieku... Feix... to słowo napawało kiedyś zgrozą i obrzydzeniem 2 tys. ludzi.

„Czarny” ciągnie na sznurze więźnia, Bittera. Nie pamiętam, za jakie „przestępstwo”. Ciągniony przez sznur, nagi jak się urodził, idzie pomiędzy dwurzędem. Asystują

¹ Oberscharführer (niem.) – stopień w formacji SS; odpowiadał stopniowi Feldwebel w wermachcie (odpowiednik polskiego sierżanta).

unterscharführerzy², Feix, dookoła obozu „czarni”, z wież wartowniczych celują lufy karabinów maszynowych. Wolno idzie Bitter pomiędzy współwięźniami. Za nim posuwa się Feixowy rewolwer, skierowuje się po kolei od głowy do głowy. Pod komendą rewolweru podnoszą się ręce i uderzają Bittera. Dwurząd się kończy, „czarny” zawraca, ciągnie straceńca z powrotem. Znowu przechodzi szereg, padają razy, rewolwer z wolna przesuwa się. Na ciele katowanego pojawiają się śińce.

Feixowi mało. Rzuca rozkaz: „Cały obóz ustawić w czworobok!”.

Próbuję uciec od tej rzeźni, schronić się do baraku. Drogę zagradza policja obozowa, biją pałkami, „czarni” kolbami, zmuszają do wyjścia na plac, ustawienia się w czworoboku. Udać mi się wymknąć z rzędu i krążyć poza szeregiem stojących, nie chcę być między bijącymi.

Powoli idzie Bitter, 2 tys. rąk podnosi się i uderza. Ktoś uderza za słabo, Feix nagradza go kopnięciem w brzuch. Jęcząc, posuwa się Bitter. Komenda Feixa: „Pięścią w oko! W zęby! W ucho! Pięścią w nos!”.

Każe się kłaść Bitterowi. „Skakać po nim! Wstań! Idź dalej!”.

Skazany nie może. Zaciska się na szyi powróż, napręża się, dusi, podnosi i ciągnie dalej. Bitter się słania. „Kopnąć go w brzuch! W podbrzusze!”.

Pada. Powróż go podciąga. Padają razy, uderzenie współwięźniów otoczonych karabinami maszynowymi, esesmanami, „czarnymi”, w centrum Feix. Jęk katowanego. Śmieje się gruby Unterscharführer Teufel³. Zapala papierosa i z zaciekawieniem przypatruje się trwaniu egzekucji.

Krąży dookoła czworoboku. Karnawał śmierci. Zwiększają się męczarnie Bittera. W Feiksie nie obudzi się ludzkie uczucie, nawet teraz go nie zastrzeli. Jeden ze współwięźniów nie może patrzeć na tę mękę. Chce zaoszczędzić Bitterowi katuszy, kopie go silnie w skroń. Zabić go, a nie dopuścić go do dalszych męczarni. Bitter pada. Wściekłość Feixa, szpicrutą okłada tego, kto chciał go pozbawić trwania widowiska. Bitter leży nieprzytomny, z ust leje mu się krew. „Czarny” kopie go w połamane żebra, miażdży mu butem nos. Bitter się nie podnosi. Zlewa go „czarny” wodą, raz i drugi. Leżący jęczy, wraca do przytomności. Powrozem podciągają go w górę. Wleczce się, słaniając, pochylony w tył, podtrzymywany powrozem. Krew zalała mu oczy, nieprzytomne, szeroko otwarte, niewidzące, patrzące wprost w szkarłatny dysk słońca i niemrużące się.

Zaschło mi gardło, serce tłucze się gwałtownie. Ogarnia wściekłość. Z trudem opamnowuje się myśl, by skoczyć i wyrwać Feixowi ten rewolwer, położyć go na miejscu wraz z bandą. Rozum hamuje. Nie można! Nastąpiłaby masakra całego obozu. Musi się czekać. Ile ofiar jeszcze? Na kogo następna kolej? Czy wyjdzie ktokolwiek żywy z tego piekła?

Ręce bez przerwy podnoszą się, nogi kopią. „Czarny” nieprzytomny z pijaństwa i Feix oszalały sadyzmem gnają nieprzytomnego Bittera. Znow upadł. Woda. Część obozu, korzystając z zamętu, rozbiega się. „Czarni” kolbami zaprowadzają porządek.

Przedemną przesuwa się niekształtna bryła, która była kiedyś człowiekiem. Siny kształt o nieforemnej głowie, czerwonej bryle mięsa na miejscu nosa, z obrzmiałymi powiekami, krwią ciekącą z ust, na czaszce krwawa rana, brak szmata skóry.

Ciało bezwładnie się osuwa, powróż się zaciska, język się wywala. Cisza. Z ust nie wydobywa się żaden jęk, żaden krzyk. Milczy i dyszy. Nie pomaga woda, nie pomaga-

² Unterscharführer (niem.) – stopień w formacji SS; odpowiadał stopniowi Unteroffizier w wermachcie.

³ SS-Rottenführer Ernest Teufel, zob. „Wstęp”, s. 24.

ją podkowy butów „czarnego”, szpicruta Feixa. Ciężko dyszy. Jeszcze się żebra podnoszą. Nie ma już w nim ludzkich uczuć, stracił wzrok, słuch, połamane kości, żebra, złany krwawą posoką. Kopie „czarny”, kopie Feix. Zamiera dyszenie, leży nieruchomy zezwłok.

Zaszło słońce, wieczór. Obóz milczy.

było zależne od takiego kęsa.

Jeżeli jeden raz zdarzyło mi się
ukraść chleb. Bytem wtedy w jeńczej
sytuacji, bo stał czerpiątkiem otulając
a pracownikiem mierzynki czerpiątko.

Wraz najbliższej sposobności, w dwa
poźniej Lenkowie musieli mnie z pl

Kapitel. W pierwszych miesiącach po
w Budzynie mieliśmy co dwa tygodnie
i obieranie. Tak wazywano stanie
dwa minuty pod gorącym a czasem
prysznicem. Miałoby być, a jednak
dużo warty. Fejz pisał, że się
regulować. Po jego odejściu bud
szły się na dobre. Wyjechał czyli R
był jego Kom. R.

Z poranku do kąpieli chodziliśmy
dwa. Poźniej budzili nas o nocy i po

Kąpiel

W pierwszych miesiącach pobytu w Budzynie mieliśmy co dwa tygodnie kąpiel i odwszawianie. Tak nazywano stanie przez dwie minuty pod gorącym, a czasem chłodnym prysznicem. Mało było tego, a jednak posiadało dużą wartość. Feix pilnował, by się [kąpiele] odbywały regularnie. Po jego odejściu brud rozpanoszył się na dobre¹. Higiena, czyli kąpiel, to był jego konik.

Z początku do kąpieli chodziło się za dnia. Później budzili nas w nocy i pół nocy spędzano, czekając na dwuminutowy prysznic. Oszczędność czasu roboczego. Co dnia szedł do kąpieli inny barak. Ci, którzy mieli w tym dniu się kąpać, pozostawali w obozie i w miarę wykapania odprowadzano [ich] do roboty.

Dziś zostaje nasz barak. Jestem zadowolony, gdyż mam teraz ciężką pracę w werku. Będzie odpoczynek. Ładny, słoneczny dzień, nie ma upału. Na początek idzie pierwsza „kompania”. Ja należę do drugiej. Na nas kolej będzie około południa. Do baraku nie wpuszczają. Kładziemy się na trawie za barakami. Dookoła rozmowy. Pokazują się pieski – policjanci. Łapia do roboty. Czyszczenie klozetów, wynoszenie wody koło łaźni itp. Same obrzydliwości. Jedna robota nieobrzydliwa: plantowanie za kuchnią, koło drutów.

Typy policjantów są różne. Jedni nie biją, krzyczą z rzadka, w razie konieczności używają pałki lub szpicruty. Inni używają jej przy każdej sposobności. Pierwsi na ogół to spekulanci, używają swego stanowiska do wykorzystywania więźniów, do bogacenia się ich kosztem. Drudzy to na ogół typy prostackie. Ci właśnie przy sposobności każdej kradzieży są używani do śledztwa. Śledztwo polega na tym, że podejrzanego kładzie się na ławie, spuszcza spodnie i tłucze go szpicrutą tak długo, aż się policjanci nie zmęczą. Jeśli do tego czasu się nie przyzna, to niewinny. Jeśli się przyzna pod wpływem bicia, choćby faktycznie był niewinny, dostaje karę. Metoda przejęta od gestapo, SS przez ich wiernych naśladowców i wysługusów. Kara polegała albo na dalszym biciu, albo staniu przez 24 godziny w pełnym obciążeniu, tzn. trzymaniu na ramieniu ciężkiej belki z zawieszonymi kamieniami przez całą dobę, bez jedzenia. Pod tym ciężarem delikwent ugiął się od początku. Jeśli w grę wchodziły pieniądze, to po wychłostaniu zazwyczaj część dostawał właściciel, część złodziej, a lwia część znikła jako wynagrodzenie za fitygę i haracz w rękach policji. Policjanci byli nałani, nażarci, pili i bawili się. Na to stanowisko dostawano się za grube pieniądze. O ile mi wiadomo, Lewkowicz np. zapłacił 4 tys. zł. Prawie wszyscy wykonywali swoją robotę bardzo gorliwie. Wyróżniał się między nimi specjalnie wysoki kraśniczanin nazywany „Rudy”². Ten uważał swą robotę za wspaniałą zabawę, wykonywał ją zawsze z humorem, nie szczędząc dowcipów. Umiał czasem podejść i pożytecznie do sprawy. Będąc zawsze przy Feiksie, gdy ten przebywał w obozie, niejednokrotnie ciężkim uderzeniem szpicruty i biciem, uprzedzającym uderzenia i gniew Feixa, ocalał ofiarę od męczarni lub nawet śmierci z rąk Feixa.

Stockmann, „najstarszy” obozu, sam człowiek porządny, ale mało energiczny, nie mógł temu wszystkiemu przeciwdziałać. Nie starał się też zbytnio. Autodydakta³, nie nadawał się na to stanowisko. Po polsku mówił z błędami, popełniając zabawne pomyłki.

¹ Zob. przypis nr 11 we „Wstępie”.

² N.N.

³ *Autodydakta* – samouk.

Często się słyszało z jego ust: „Ustawić się według alfabetu”. Znudzony, za mało miał cierpliwości do poszczególnych obozowiczów i z nadto się poddawał wpływom swego bezpośredniego otoczenia, ze szkodą dla obozu. Nie bił nigdy. Raz zaledwie widziałem go bijącego. Był to wypadek wyjątkowy, w pełni zasługujący na bicie. Chodziło o więźnia złośliwie uchylającego się od pracy w sposób tak beczelny, że narażał na szwank swą grupę i cały obóz. Gniew jego był wówczas słuszny. Poza tym wypadkiem nie słyszałem, by kogoś uderzył.

Wracając do kąpieli, dzień się zaczął normalnie. Ustawiliśmy się rano na placu apelowym w czworoboku. Przyjechał Feix na koniu. Elegancki, sympatyczna twarz, inteligentna, robiący wrażenie człowieka o wysokiej kulturze, jak zresztą wielu esesmanów. Piękny koń, ufundowany przez obóz (gdy ten koń zachorował, cały obóz przeżywał silny strach i czym prędzej starano się wydostać, na wszelki wypadek, nowego wierzchowca).

Objeżdża czworobok dookoła. Zauważa jakiś błąd u kogoś. Każe mu wystąpić z szeregu, stanąć przy koniu, odwrócić się do siebie tyłem, odrzucić czapkę. Uderza powoli a silnie szpicrutą po głowie, celując tak, by koniec szpicruty, zaopatrzony w kawałki żelaza uderzał po twarzy, oczach, nosie, ustach. Ofiara się kurczy od bólu i zasłania głowę rękami. Wtedy każe zdjąć ręce, bijąc po nich silnie i szybko. Zdejmuje ręce, a ten znowu uderza powoli, celując, z rozmachem. Od uderzenia do uderzenia ofiara musi czekać. Jeśli się zdarzało, że ten znowu się zasłaniał lub odskakiwał, przybiegała policja, zwykle Rudy, trzymali więźnia, a Feix kontynuował zabawę. Powolny początek, potem przyspiesza, w końcu wali szybko i z pasją, roznamiętniając się za każdym uderzeniem, baczając jednak, by żelaza trafiały w twarz. Gdy ofiara była zalana krwią, opuchnięta, głowa zdeformowana, zaprzestawał. Jechał dalej, szukając dalszej ofiary. Po kilku takich wyładowaniach jechał do domu na śniadanie, do swojej miłej żonki⁴ i trzyletniej córeczki⁵.

Kolumna pracujących wyszła, a my, mający się kąpać, zostajemy. Krótco leżymy na trawie za barakami, w kącie, który nie jest widoczny z zewnątrz obozu. Wchodzą policjanci, łapiąc do robót. Do najobrzydliwszych wyszukują łajzy i obszarpańców. Mimo że jestem już też ob-



Prawdopodobnie komendant obozu, SS-Unterscharführer Reinhold Feix (z prawej), obok jego pomocnik Greger. Dziecko to najprawdopodobniej wspomniany w relacjach syn komendanta

⁴ Lisolette Feix; zob. przypis nr 11 we „Wstępie”.

⁵ Feix miał najprawdopodobniej także sześciolatniego syna. Mówi o tym Nuchim Rozenel w relacji przechowywanej w AŻIH, 301/2221, Warszawa, 27 II 1947 r., s. 7. Zob. fot. powyżej.

darty i bosi, nie tykają mnie, widać poznają po mnie, że nie jestem łajzą. Oczywiście, nie biorą ludzi dobrze ubranych albo dobrze odżywionych. Jak zawsze, ich ofiarą padają najbardziej wycieńczeni.

Kopią rowy dookoła klozetów, czyszczą klozety, wydobywają nieczystości. Syci dalej się wylegują. Leżę i ja. Coraz mniej leży, gdyż coraz to następni kąpią się i odchodzą do werku. Zostaje w końcu tylko druga kompania. Ponieważ zbliża się pora, gdy Feix zwykle wizytuje za dnia obóz, wszyscy muszą stanąć do jakiejś pracy. Idę za kuchnię, do plantowania. Tu robota się dzieli na trzy rodzaje: kopanie ziemi dżaganem, łopatą, ładowanie nosilek do miejsc, które mają być zasypane i wyrównane. Mnie przypada dźwiganie nosilek. Powoli pracujemy, nie wyężdżając się, po obozowemu. Trwa to niedługi czas, gdy dowiadujemy się, że Feix [jest] w obozie. Zaczyna się praca gorączkowa. Nosilki dobrze ładowane, ciężkie. Trzeba iść szybko, zwłaszcza w przejściu, w którym jest się widocznym z daleka. Co chwila ktoś donosi, gdzie w tej chwili znajduje się Feix. Feix się zbliża. Praca gorączkowa. Nadchodzi, staje i przypatruje się robocie. Spokojnie, nie robiąc żadnych uwag. Stoi z kwadrans, wskazuje, co robić, uwagi rozsądne i rzeczowe.

Zauważa jednego starca. Marszczy się i nie spuszcza z niego oka. Podchodzi bliżej i obserwuje jego pracę. Ten pracuje z najwyższym wysiłkiem. Patrząc spod oka, widzę u niego nerwowe napięcie i strach. Dżagan podnosi wysoko w górę, uderza z rozmachem, odwala bryłę ziemi za bryłą. Nic mu nie pomoże. Jego wiek budzi u Feixa wściekłość. Podchodzi powoli i mówi coś do niego po niemiecku. Starzec nie zrozumiał. Szpicruta unosi się w górę, wali starca przez twarz, na odlew. Z miejsca krwawa pręga. Starzec wydaje krzyk bólu. Głupiec, nie zdaje sobie sprawy z tego, że jęk i krzyk bólu najbardziej roznamiętnia Feixa. Temu warga od razu się wysuwa, usta zaciskają, wali raz za razem, bez przerwy, długo, staje się nieprzytomny.

Starzec zwala się na ziemię, jęcząc ciągle. Feix wali aż do umęczenia. Wtedy zaprzestaje, szybko odzyskuje swój normalny wygląd, odchodzi o kilka kroków, nie zwraca uwagi na swą ofiarę i dalej obserwuje. Starzec się podnosi, dźwiga z trudem, nikt nie ośmiela się podejść do niego, pomóc mu. Nie ocierając krwi, chwytą dżagan. Straszliwym wysiłkiem go podnosi, oczy ma opuchnięte, zalane krwią. Dalej rozwala bryły, prawdopodobnie szczęśliwy, że nie został na miejscu zastrzelony.

Feix przywołuje dwóch „czarnych”, szepce do nich po cichu parę słów i odchodzi. „Czarni” dają komendę „Szybciej”. Nosilki ładowane tak, że ledwo można udźwignąć. Nosimy je szybko, niemal w biegu, ręce się urywają. Wysypujemy i momentalnie zawracamy. „Czarnym” wszystkiego mało. Rozkaz: nosilki biegiem. Rozkaz popierają pałkami. Ustawiają się wzdłuż drogi, którą przechodzimy. Dżagany walą bez przerwy, gorączkowo, ziemia się zbiera, nosilek mało. Za każdym razem ładuje się wysoką górę, nie można jej dźwignąć. W oczach ciemno od wysiłku. Biegiem przenosimy ciężar przechodzący nasze siły. Przy każdym biegu tam dwa uderzenia z całej siły pałką, z powrotem dwa nowe uderzenia. Robi mi się zupełnie ciemno w oczach od silnego uderzenia w głowę. Kopią i biją. Biegnę, bieg bez przerwy, nosilki ładowane momentalnie, nie ma odpoczynku, trzeba wysypać w biegu i natychmiast wracać. Razy padają, ciało obolałe, tracę oddech, nie mogę dłużej biegać. W tym momencie nadchodzi policjant i wzywa nas do kąpieli. Rzucamy nosilki i pędem uciekamy od zezwierzęconych sadystów.

Nareszcie jesteśmy w łaźni. Na głowie guz, którego nie mogę dotknąć, wsadzam głowę pod zimną wodę. Dyszę, ledwo mogę złapać oddech. Całe ciało obite. Rozbieramy

się. Rozkaz: „Zostać w bieliźnie”. Feix ma nadejść i zrobić przegląd. U kogo uzna, że bielizna zniszczona, dostanie zmianę. To, że bielizna brudna, nie ma znaczenia. Bielizny się nie zmienia. Moja koszula aż twarda od potu, czarna z brudu. W normalnym stanie brzydziłbym się jej dotknąć końcem palca. Zagnieżdżyły się w niej wszy. Ryzykuję. Dyskretnie, by inni nie widzieli, drę ją w kilku miejscach, tak by robiła wrażenie, że się rozsypuje; nowe miejsca zasmarowuję, by nie było poznać, że świeżo rozdarta. Momentalnie zamieniła się w twardy łachman. Czekamy na Feixa. Inni się denerwują, każdy obawia się zetknięcia z nim. Jak zwykle, jestem spokojny.

Wchodzi Feix. Ogląda każdego, wybiera ośmiu do zmiany bielizny. Mnie między nimi. Mego sąsiada, który ma podartą koszulę od dawna (widziałem to, jak się rozbięrał), zbił po brzuchu, zarzucając mu rozmyślne rozdarcia. Odszedł.

Za chwilę przychodzi z zewnątrz wiadomość: Feix zastrzelił człowieka. Do dziś nie wiem, kto to był.

Kąpiel. Dwie minuty gorącej wody, bez mydła, czuję się odświeżony. Mimo bólu z pobicia. Trzy kwadranse czekania na wyjęcie ubrania z komory odswawiającej. Nareszcie ubrany, w świeżej bieliźnie. Od razu nas ustawiają i prowadzą do pracy.

Szczęśliwy jestem z wyjścia z tego piekła. Przy pracy nie ma bezpośredniego zetknięcia z Feixem. Wyprowadzają nas w pole, poza werk, do pracy w landwirtschaftcie.

Prowadzą nas przez pole. Młode zboże, sięga nie wyżej kostek. Po raz pierwszy widzę łąn zboża od lat. Wzrok sięga w dal, dzwonnice kościołów w Kraśnikach⁶. Brnę boso przez piasek i żwir ścieżki; bezpośrednie zetknięcie z przyrodą, poza drutami, mimo straży werkschutzów, zachowujących się zresztą po ludzku, zaciera nastrój przedpołudniowy. Ból dolega w mniejszym stopniu.

Dochodzimy do miejsca pracy. Wyrąb leśny, należy karczować pozostałe pniaki, pozostałe po starych, grubych drzewach. Korzenie grube, rozbiegające się na wszystkie strony. Już tu pracuje grupa obozowiczów, przydzielona stale do tego miejsca. Dla nas nie ma siekier ani dżaganów, tylko łopaty. Dlatego nie nalegają, byśmy pracowali. Dwaj werkschutz kręcą się między nami, żądając zachowania pozorów pracy, a w razie kontroli ze strony esesmanów lub inspektora leśnego mamy faktycznie pracować.

Normalnie pracującym na tej placówce przydzielona jest norma: wykarczowanie pnia na dzień na dwóch. Robota wykonalna w czasie normalnym z niezbyt wielkim trudem, jednak dla ludzi wymęczonych, wygłodniałych, osłabionych i niepracujących fizycznie przedtem, norma ta jest bardzo wysoka. A na placówce tej stale pracują „łajzy” i najbardziej obszarpani i nieporadni. Jest już popołudnie.

Na karczowisku z różnych stron unoszą się dymy ognisk. Wiatr zawiewa ostry dym gryzący ich w oczy. Do każdego ogniska doskakuje ciągle inny łachmaniarz, pogrzebie i wraca do roboty. Ponieważ my, świeżo przybyli, nie mamy roboty, kręcę się od jednego ogniska do drugiego. Tu pieką się kartofle, tu nanizane na drut obierki kartoflane, tam obierki gotują się w menażce. Przy jednym z ognisk grzebie jeden i wyciąga kartofel. Świeżo upieczony, gorący, zjada go. Przyskakuje drugi, grzebie również i rzuca się na pierwszego z krzykiem, że ukradł mu jego kartofel, gdyż włożył cztery duże, a są tyl-

⁶ Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny wzniesiony ok. 1469 r. oraz kościół pw. Świętego Ducha z lat 1758–1761. Z miejsca w pobliżu terenu, na którym znajdował się obóz, rozciąga się widok na odległy o kilka kilometrów Kraśnik.

ko trzy. Ten zaprzecza, wymyślają sobie wzajemnie, biją się. Rozdzielamy ich, poszkodowany odchodzi, ciągle jeszcze krzycząc. Jestem w obozie dopiero od kilkunastu dni, nie znam jeszcze takich scen, które dane mi było widzieć codziennie przez dwa lata we wszystkich obozach. Walka o kartofel, czasem tylko o łupinę lub plaster kartofla.

Gdy podchodzę do ognisk, w pobliżu karczujący odpędzają mnie. Boją się, bym im nie skradł łupin. Jestem dopiero od niedawna, jeszcze nie rozumiem ich stanu duchowego, tej obawy o utracenie najdrobniejszej części żywności. Dziwi mnie ich zachowanie. Przy jednym z ognisk siedzi starszy, pięćdziesięcioletni więzień. Siadam koło niego, zaczynam rozmowę. Kraśniczanin, opowiada o swojej zamożności przedwojennej. Pal go lichy z tą zamożnością, diabli wiedzą, ile w tym bujdy, a ile prawdy, każdy teraz zmyśla cuda o swoim majątku. Opowiadam mu o przedpołudniu w obozie. Nie robi to na nim żadnego wrażenia. Przeżyli znacznie gorsze rzeczy. Opowiada mi o Bożym Narodzeniu 1942.

Nie pracowali wtedy w werku. Na Boże Narodzenie, w silny, przejmujący mróz, wygnali ich poza obóz; kazali karczować krzewy. Rękawic nie wolno było nosić. Ręce szybko zgrabiałły, nie czuło się, gdy się zaciskało palce dookoła gałęzi. Narzędzi nie dano. Samymi rękami musieli obłamywać gałęzie, wyrwać krzaki. Pomiedzy nimi kręcił się Feix i „czarni”. Ci kolbami walili cały czas, rozbijali głowy, pękały czaszki. Feix obserwował. Kto nie mógł się zdobyć na wysiłek wyrwania krzaka z korzeniem, dostawał kulę w łeb. *Genickschuss*⁷. Słynny, hitlerowski *Genickschuss*. Po oczyszczeniu z krzewów musieli rękami rozgarniać śnieg i wyrwać trawy. Nie śmiało zostać ani jedno źdźbło. To było Boże Narodzenie 1942.

Wtrąca się inny do rozmowy „A jak to było z sześcioma jeńcami? Uciekło kilku jeńców z obozu. Złapano sześciu. Feix powiesił ich za nogi. Tak wisieli przez trzy godziny. Po tym czasie Feix własnoręcznie bił ich pękiem kolczastych drutów w rozkrocz. Na oczach całego obozu. Rozrywał im genitalia, brzuch, wnętrzności i tak osobiście zakatował ich na śmierć”.

Przerywa pierwszy: „A pamiętasz, jak Feix zastrzelił jednego, na którym zobaczył wesz?” I zaczyna się litania morderstw i katuszy Feixowych. 350 zamordowanych przez niego leży w dole koło klozetu obozowego. Dół ten już zasypany. Czynny był jeszcze w pierwszych dniach mojego pobytu w obozie. Zaczął porastać trawą. Często się tam wylegujemy. Często tam załatwia się potrzebę. Tak było wszędzie. Znikł kult dla zmarłych, wpojony nam przed wojną, oswoił się z nimi. Trup to nie było więcej niż padlina kota, to coś zbytecznego i śmierdzącego. Trupa należy wyrzucić.

Tak minął dzień kąpielowy.

Raz obserwowałem, jak Feix wszedł do łaźni, gdy kąpały się kobiety. Musiały się ustawić nago, dwurzędem. Chodził między [nimi] przez jakiś czas, potem zaczął je okładać szpicrutą po piersiach, po brzuchu, specjalnie młodsze. Trwało to jakieś pół godziny. Widoczne [to] było przez okienko łaźni. Potem poszedł do domu. Prawdopodobnie do żony i dziecka. Przykładowy mąż, był kochającym ojcem.

Feixa denerwowało, że wielu spośród nas, *Warschauer Banditen*⁸, nie oddało mu jeszcze wszystkich pieniędzy i kosztowności. Przyprawiało go to o wściekłość. Żerowali

⁷ *Genickschuss* (niem.) – strzał w potylicę; była to rozpowszechniona metoda uśmiercania ofiar ze względu na natychmiastowy zgon i małą ilość krwi. Metodę tę stosowali też Rosjanie, którzy w ten właśnie sposób uśmiercali oficerów polskich w Katyniu i innych miejscach masowych egzekucji.

⁸ *Warschauer Banditen* (niem.) – warszawscy bandyci.

na tym „czarni”. Od kolacji do snu kręcili się po barakach, czatowali koło klozetów, by ich Feix nie zauważył, i przeprowadzali rewizje. U kogo coś znaleźli, odbierali. Poszkodowany był bezradny, musiał siedzieć cicho. Gdyby Feix się dowiedział, „czarny” zostałby ukarany, ale więzień byłby zastrzelony. Jeśli nic nie znaleźli, to bili. Dwa razy miałem tego drugiego pecha.

Raz Feix znalazł u jednego 50 złotych. Wyzначzył mu łagodną karę: „Fünfzig am Arsch”⁹. Łagodność motywował tym, że wie, że nie wszyscy oddali pieniądze. Tego wieczoru urządzi jeszcze raz zbiórkę. Będzie wolno bezkarnie oddać kosztowności. Po tym terminie będzie bezwzględnie strzelać. Oczywiście nikt nie oddał. Był rozwścieczony. Chciwość jego nie miała granic.

Egzekucja odbyła się normalnie. Ściągnięto spodnie, a Rudy walił. Za każdym uderzeniem bity musiał liczyć. Rudy walił z całej siły. Mniej więcej przy dwudziestce bity nie mógł już liczyć z bólu. Zaczął liczyć Rudy. Liczy: 21, 22, 23, w tym momencie Feix się oddał. Rudy liczy: 24, 25, 30, 31, 37, gdy Feix się przybliży, znów po kolei: 38, 39. Od uderzenia do uderzenia była pauza. Przeciągało się to dość długo. Ponieważ było to pierwsze publiczne bicie za naszej bytności, wielu z warszawian krzywiło się, bladło. Na mnie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Zdawałem sobie sprawę, że to najmniej szkodliwa kara. Bity będzie miał tylko co najmniej przez dwa tygodnie trudności w siedzeniu. Dziwiłem się tylko brakowi godności bitego, jego krzykom i wrzaskom. Sądziłem, że nie mogłbym się tak zachować. Przekonałem się później, że słusznie. Byłem kilka razy bity, raz dostałem 25 na tyłek, ale nigdy nie wydobył się żaden jęk. Bolało bardzo. Ale nie mogłbym jęczeć wobec Niemca lub prosić go o litość. Nie wiem, czy mogę to nazwać godnością osobistą czy nie, gdyż dużo z niej się traciło w obozie. Raczej był to skutek nienawiści, strasznej nienawiści do wroga. Wroga, Niemca prosić o litość? Jemu sprawić przyjemność jęczeniem? Dla mnie to było niemożliwością. A jakże wielu kwiczało, darło się wniebogłosy przy biciu. Zwłaszcza Żydzi.

W innych obozach stwierdziłem, że twardzi byli w tym wypadku szczególnie chłopci. Ale też ich nienawiść była najbardziej bezwzględna¹⁰. Nie mogłbym też, jak wielu to robiło, płakać i błagać przed rozstrzałem o życie. Wielu tak robiło. Mogłbym albo zachować pełny spokój, albo przynajmniej palnąć mordercę w mordę. Nie są to puste słowa z mojej strony. Byłem dwa razy bezpośrednio przed rozstrzałem i zachowałem absolutny spokój, jasność umysłu. To mnie zresztą oba razy uratowało. Wielu też było takich, którzy w godny sposób się zachowali przed śmiercią, np. powieszony w Płaszowie¹¹.

Mieszany sposób zachowania się był przy egzekucji sześciu w Budzynie. Feix wiedział, że obozowicze w werku robią interesy z cywilnymi Polakami. Wściekał się, ale nie mógł nic zaradzić. Werkschutze starali się przeszkodzić, nie mogli. Była to zresztą kwestia życia i śmierci dla obozowiczów. Pewnego dnia wyłapał aż sześciu. Przychodzimy do obozu, o niczym nie wiedząc. Ustawiamy się na placu apelowym. Nie każą

⁹ *Fünfzig am Arsch* (niem.) – pięćdziesiąt w tyłek.

¹⁰ Zauważana przez autora różnica pomiędzy chłopami a Żydami wynikała zapewne z odmiennych obyczajów. W kulturze polskiej, szczególnie w odniesieniu do chłopów i pomiędzy nimi, kara fizyczna, bicie, było zjawiskiem towarzyszącym człowiekowi od najmłodszych lat, zarówno w szkole (o ile do niej uczęszczał), jak i w domu czy na ulicy. W tradycji żydowskiej takie kary fizyczne były spotykane znacznie rzadziej, dlatego wiele osób nie było przygotowanych na tego rodzaju represje.

¹¹ N.N.

się nam rozejść. Nie przypominam sobie dokładnie początkowych szczegółów. Pamiętam jednak, że po pewnym czasie stałem w pierwszym rzędzie, na wprost zachodzącego słońca, które mnie raziło, utrudniając widzenie. Od tego miejsca pamiętam każdy szczegół, są to momenty, których się nie zapomina.

Stoi sześciu na środku placu, w odległości jakichś dwudziestu metrów ode mnie. Czterech byłych jeńców wojennych i dwu z Warszawy. Feix pozuje. Wygłasza długie przemówienie o swojej wspaniałomyślności i dobroci, nie może dłużej tolerować naszych interesów z cywilnymi. Tych sześciu zostało na tym złapanych. Zostaną ukarani i każdy następny złapany na tym przestępstwie będzie w ten sam sposób ukarany. Będą bezwzględnie rozstrzelani.

Koło niego stoi „czarny”, jeden z wyższych rangą. Typowa twarz ukraińska. Ukrainiec ze wschodniej Galicji. Trzyma w ręku Feixowy, wielostrzałowy rewolwer. Feix każe się tym sześciu rozebrać. Jak zwykle było w tych sytuacjach, i to u wszystkich narodowości, posłusznie się rozbierają. Opór byłby zresztą daremny. Wywołałby tylko wymyślne katowanie. Stają nadzy. Feix każe im klęknąć. Jeden z jeńców, stojący na brzegu pada na kolana, płacze, zalewa się łzami i błaga Feixa: „Panie Oberscharführer! Ja jestem jeńcem, ja cztery lata w niewoli...” i dalej plecie nieprzytomnie. Feix podnosi dumnie głowę, odpowiada, że go nie wzrusza, że musi bezwzględnie ponieść karę i odchodzi o kilka kroków. Ten czołga się za nim na kolanach, płacząc, składając ręce jak do modlitwy. Feix ostro każe mu wrócić na miejsce. Ten płacze ciągle, Feix ryczy. W końcu jeńiec wraca na miejsce i – łkając – klęczy. Pozostałych widziałem z tyłu. Wyrazu twarzy ich nie znam. Byli spokojni.

Feix oddaje „czarnemu” znak. Ten zachodzi od tyłu, dość długo celuje w łkającego. Wystrzał. Ciało się momentalnie zwala na ziemię. *Genickschuss*. Żaden z pozostałej piątki nie drgnął przy wystrzale. „Czarny” idzie w bok o dwa kroki. Celuje w następnego. *Genickschuss*. Leżą dwa ciała. Trzeci. Czwarty. Piąty. Szósty. Leży sześć ciał.

Feix kontynuuje przemowę. Z otworów w tyle czaszki leje się strumieniem krew. Tworzy kałuże dookoła ciał. Feix przemawia. Krew wsiąka w ziemię. Wtem drugie z leżących ciał zaczyna się ruszać. Przewraca się na bok, potem na wznak. Z ust wydobywa się głęboki, okropny jęk bólu człowieka zupełnie nieprzytomnego: „Oooch!”. Drugie, głośnie: „Oooch!”. Krew się z niego leje. Trzecie: „Oooch!”. Feix szybko się odwraca. Wrywa czarnemu z ręki rewolwer, długo celuje w serce. Strzał. Podniesiona noga opada. Trup.

Feix skończył przemowę. Wybiera grupę ludzi do zakopania trupów w dole leśnym. Trupy układają na dragach podtrzymywanych z obu stron. Krew się już nie leje. Wybiera drugą grupę ludzi, która ma tworzyć szpaler idący wzdłuż ciał, by Niemcy z osiedla nie zobaczyli trupów. Co się dzieje, to oni wiedzą. Ale nie znoszą widoku trupów. Psuje im to apetyt. Ziemia w miejscu egzekucji ma być przekopana. Nie śmie zostać żaden ślad.

Karawana odchodzi. Za nią Feix. My rozchodzimy się na kolację. Łyka się ją z trudnością.

Po dwóch godzinach w baraku słyszę rozmowę. Mówiący, wysoki, silny, zdrowy, młody chłop, był jednym z ochotników do zagrzebania trupów. Opowiada o zupie, którą dostał za grzebanie, unosi się nad jej gęstością, smakiem. Mówi to ze śmiechem. A dla mnie jego zachowanie jest naturalne.

niezdy nie ustanie. Zulekają z nich
nie, zutaki wrzaca się do domu leśni
Dwudziestu chłuch odnosi się do re
Glu wyzło z niego? Nie wiem.

Kradzież chleba.

Rury. Pracujemy w oddalonym zakętku
verku. Tu nie zjadzie ~~żaden~~ werkschut
SS-man. Na każdy wypadek stoją jacyś
żeksa". Zachowujemy się swobodnie. Cze
roboty wyznaczonej przez majstra od
biśmy. Odpowiadamy, leżąc wśród krow
albo sędrec w rowie.

Co kilkadziesiąt metrów w rowach s
szereżenia, w których ma stać jakaś
natura, zwane przez nas bunkrami
od góry betonem, daskami zastawione
deszczem, wiatrem, werkschutzami
tu patrosi chłuch jeden, jedyny gruch

Kradzież chleba

Rury. Pracujemy w oddalonym zakątku werku. Tu nie zajdzie żaden werkschutz ani esesman. Na każdy wypadek stoi jeden na „weksa”¹. Zachowujemy się swobodnie. Część roboty wyznaczonej przez majstra odrobiliśmy. Odpoczywamy, leżąc wśród krzaków albo siedząc w rowie. Co kilkadziesiąt metrów w rowach są rozszerzenia, w których ma stać jakaś aparatura, zwane przez nas bunkrami. Kryte od góry betonem, doskonała zasłona przed deszczem, wiatrem, przed werkschutzami. Złapać tu potrafi chyba jeden jedyny gruby Willi², chytra bestia, umiejący nagle wyrosnąć jak spod ziemi, zawsze uśmiechnięty i mile żartujący, w tych żartach bacznie obserwujący. Nagle doskakuje do kogoś i bierze na bok. Tam skrupulatna rewizja. Szuka kosztowności. Na drobne sumy niełakomy. Za próżnowanie nie wydaje. Ale chciwy rabuś, czający się czasem godzinami za węglem, czyhający na ofiarę. Miał talent w wynajdywaniu złota. Gdy obrabował, to musiano milczeć, bo w przeciwnym razie groziła okrutna śmierć ze strony Feixa. Parę osób wpadło w ręce Feixa, wybranych przez Willego. Zdaje mi się, że właśnie Bitter był jego ofiarą. Gruby i zwinny, znający języki, ohydny typ nalanego Bawarczyka. Przy próżnowaniu Willego nie obawialiśmy się. W tym wypadku nie był groźny. Przed innymi zawsze można było ostrzec na czas.

Nanoszę z pobliza siana do bunkra i kładę się. Leżę zupełnie bezmyślnie, w zwyczajnym, głodowym otępieniu. Dookoła nad głową, za betonem, krzewy i wysoka trawa. Aż kipią od życia. Bzykanie much i owadów, jakiś motyl zabłąkał się do bunkra i trzepoce skrzydłami. W końcu wylatuje wzdłuż wpadającej strugi promieni słonecznych. Przyglądam się mrówkom dookoła. Obserwuję ich ruchy, staram się zrozumieć ich zainteresowania. Na chwilę zapominam o głodzie i obozie; jak zawsze wśród traw i krzewów, pochłania mnie otaczające najdrobniejsze życie.

Po pionowej ścianie bunkra sunie czarny, długi, nigdy przedtem niewidziany przeze mnie ślimak. Sunie powoli a bezustannie, nie widać przy tym najmniejszego ruchu. Jakby przesuwany niewidzialną ręką. Nie ma skorupy. Dotykam go, by widzieć, jak się zachowa przy podrażnieniu zewnętrznym. Nie kurczy się, tylko skręca w bok i dalej sunie w górę, zostawiając na ścianie ślad.

Po ciasnocie i gwarze obozu, po hałasie i krzykach werku, po męczącym drylu marszu do werku i rozdziału do pracy – jaki cudowny wypoczynek. Tak mogłoby się leżeć i na wolności. Cisza, jakiej się nie czuło już od lat.

W bunkrze życie. Obserwuję je tak, jakbym nic nie przeżył, jakby nie było Niemców. Z przyjemnością przypatruję się brunatnej, polnej myszy, latającej po dnie bunkra. Zwinnie przebiega z kąta w kąt; nie zwraca na mnie uwagi. Zachowuję pełną nieruchomość, przysuwa się aż do mnie, przebiega przez spodnie, obwąchuje rękę, odskakuje, chowa się do jakiejś dziurki i znowu wyskakuje, przebiega do brzegu bunkra i kantem, w którym schodzą się dwie ściany, biegnie na górę, jakby to był płaski poziom. Wybiega z bunkra, by za chwilę wrócić i znowu hasać.

Nagle skoczyła za nią zielona żaba. Trzy takie skaczą tu. Wpadły do bunkra i nie mogą się wydostać. Patrzą, jak skaczą, poruszają podgardlami. Nagle robię się sentymentalny

¹ Chodzi o stanie na straży, by wiedzieć, czy nie zbliża się ktoś z personelu obozu.

² SS-Unterscharführer Willi Heitmayer, zob. „Wstęp”, s. 24.

i czuję żal tych żab, skazanych w bunkrze na śmierć głodową. I jednocześnie odczuwam ironię, ironizuję ten głupi żal. Z ironią wyrzucam deską dwie żaby na dwór, przy trzeciej ogarnia mnie złość: a zdechnij tu, tak jak ja zdechnę w tym obozie.

Kładę się, nie obserwuję już niczego, zamykam oczy. Teraz jednak jestem rozdrażniony, leżenie mnie męczy. Po krótkim czasie wstaję, żaba dyszy w kącie, mysz się schowała, ślimak prawie zupełnie wylazł. Niech zdechnie. Wychodzę.

Zbliżam się do swoich towarzyszy. Siedzą pod krzakami. Drażni mnie temat ich rozmów. Wieczne jęczenie i narzekanie. Albo stękają i wymyślają Niemcom, albo mówią o jedzeniu. Do mnie zwracają się: „Co słychać? Co na froncie?”. Wieczorem w werku od inż. Zysmana³ mam prawie codziennie wiadomości frontowe. Mam im więc zdać sprawę z sytuacji frontowej. Ale nie chcą jej tak, jak jest, tylko tak, jak ją chcą widzieć. Krzywią się, gdy im przedstawiam w ten sposób, że wojna może jeszcze tego roku się nie skończyć. Przecież oni tego nie wytrzymają. Ciągłe jedzą, a ja, wygłodzony, mam być ich pocieszycielem. Bierze mnie niesmak, gdy słyszę codzienne pytanie: „No, to powiedz pan, co będzie z nami?”. W złości odpowiadam: „Ja przetrzymam, bo jestem silny i mam mocną budowę, a z panem będzie tak, jak pan sobą pokieruje” – i odchodzę.

Wyporokowałem mu: ja przetrzymałem dzięki swej budowie, a on, gdy mu się skończyły pieniądze, złąział i prawdopodobnie nie wytrzymałby normalną drogą. Został zastrzelony w lutym 1944.

Idę z powrotem do bunkra. Siedzę zły i wściekły. Nie mam ochoty na nic. Głód dokucza jak zawsze. Do bunkra schronili się ludzie z innej placówki. Mysz zabili. Mielą językami aż do obrzydzenia. Trajkot gra mi na nerwach. Zaczyna padać deszcz. Obie placówki schodzą się do bunkra. Robi się ciasno i nieprzyjemnie. Na dworze w rurach pełno poukrywanego żarcia.

Wściekam się na myśl o moim głodzie i tych bochenkach chleba leżących w rurach na handel i użytek własny. Deszcz rozpadał się na dobre. Wychodzę na chwilę za potrzebą i widzę chleb. Pół chleba, obok garnuszek masła. W rurze. Wracam. Lecz ten chleb nie schodzi mi z oczu. Nie czułbym tak głodu, gdybym go nie zobaczył. Widok jego rozbudził silniejszy głód. Czuję się ociężały ze zmęczenia. Już dostałem obuwie, ciężkie drewniaki stukają przy każdym kroku i ciążą straszliwie. Minęło poprzednie zapomnienie, zostało znowu zwierzę, myślące wyłącznie o nasyceniu swego głodu. Ciągłe widzę ten chleb. A Lewkowicz ma tę czelność, by się do mnie zwrócić, żebym wyszedł i uważał, by nikt nie ukradł pozostawionych rzeczy.

Deszcz siąpi. Siadam pod krzakiem, na wprost mnie chleb. Masło mnie nie interesuje. Nikogo nie ma, kto by mnie mógł zobaczyć. Zbliżam się do chleba i siadam na rurze. Poznaje garnuszek, to Lewkowicza. Chleb też jego. Ten ma tego chleba aż nadto, nie wie, czym się zażerać. Siedzę przeszło kwadrans. W końcu wyciągam chleb. Niemal ciepły. Świeżuteńki. Chowam z powrotem. Przez dotknięcie chleba głód się jeszcze powiększył.

W końcu nie mogę wytrzymać, niech się dzieje, co chce, temu draniowi krzywdy nie zrobię. Odlamuję kęs i połykam. Głód aż szarpie. Niech wszystko szlag trafi. Chowam chleb za pazuchę, idę w krzaki, łamię w pół i zjadam ćwiartkę. Niemal ją połknąłem. Funt chleba. Takiej ilości chleba nie miałem w rękach prawie od dwóch miesięcy,

³ Józef Zysman – przyjaciel autora z obozu; po wojnie korespondowali; zob. listy nr 19 i 20 w tym wydaniu.

jeszcze przed złapaniem. Chowam drugą ćwiartkę w krzaki i wracam. Od przyjazdu do obozu nie czułem się tak posilony. Wyrzutów nie robię sobie żadnych. To nie była kradzież, to wziąłem z konieczności człowiekowi, dla którego ta ćwiartka nie miała znaczenia, który miał grubą forszę narabowaną w gettowym zamęcie. Nie wziąłbym, gdybym wiedział, że to jeden z nielicznych kęsów głodnego. Jeszcze dziś słyszę jego głos: „Józiu! Jedz chleb. Co chcesz do niego, masło czy słoninę? Tato, ja niegłodny. Jedz! Ja nie chcę. Ale jedz!” i gwałtem zmusza swojego syna do wpychania kielbasy i słoniny. Chodzi ten syn dumny i napuszony. Wszak jego tato ma pieniądze, dobrze ukryte, tak że ich nikt nie odbierze. Wstręt budzą we mnie jeszcze dziś.

Deszcz mija. Trzeba wykonać znowu część roboty. Lewkowicz wychodzi, rozdziela robotę, zauważa brak chleba. Robi krzyk, klnie, jakby go obrabowano. Ośmielono się zabrać kilo chleba jemu, samemu Lewkowiczowi. Budzi we mnie pogardę tym krzykiem i zawoźdzeniem. Człowiek, który miał jeszcze w pół roku później, gdy go zastrzelono, przy sobie złoto wartości kilkudziesięciu tysięcy.

Krzyczy: „Ja się domyślam, kto to zrobił. Aby się udławił”. I dobrze się domyśla. Między mną a nim staje w tym momencie mur twardej nienawiści, pogarda z mojej strony do tego zimnego i podłego szubrawca, nienawiść z jego strony, nienawiść właściciela do tego, który śmiał uszczknąć cząstkę jego własności, oraz pogarda posiadającego do nieposiadającego. Rozumiem, że z tej placówki wkrótce wylecę. To była wzajemna nienawiść, która poza obozem nosi nazwę nienawiści klasowej.

To był typ człowieka, który się opłacił, by zostać policjantem, by żyć dobrze wraz z synkiem, zimny, obojętny na wszystko, co się dzieje, byle jego nie tknęło. W parę miesięcy później, gdy się urządziłem w obozie, gdy moje kwalifikacje zawodowe nabrały znaczenia, miałem sposobność parę razy z nim rozmawiać. Ale między nami zawsze w rozmowie wyczuwało się nienawiść.

Tej kradzieży nie żałuję. Była ona słuszną. Nie można tego nawet nazwać kradzieżą. Ten chleb mnie się należał, bo życie było zależne od takiego kęsa.

Jeszcze jeden raz zdarzyło mi się ukraść chleb. Byłem wtedy w jeszcze gorszej sytuacji, bo głód cierpiałem dłużej, a pracowałem niezwykle ciężko.

Przy najbliższej sposobności, w dwa dni później, Lewkowicz usunął mnie z placówki.

iat akumulacji.

~~Placówka się rozleciała. Zaczęły się powroty.~~

jego śmierć po powrocie z Werku, dowiadując się, że Feigt zamordował tescię Nussenblatta, ten stał z kamieniami w ręce w polu. Później go do obozu i zastrzelił go.

W kilku dniach placówka się rozleciała. Zaczęły się powroty.

statem przez dewkowięza wyrzucamy z placówki. Niezależnie od placówki to znaczy dostać się do rezerwy. Właśnie, to ci, którzy zostają na placu, których nie rozdziela do najgorszych robot, to są ci, którzy nie chcą najcięższej pracy, nad którymi najgorzej się najbardziej zwracają. To są ci, którzy na placu uciekają od wszystkich przykazań płacących ich, ci za których goni Szypiański walczyć. Niezależnie harapem przez głowę, to są ci,

Bez placówki – w rezerwie

Zostałem przez Lewkowicza wyrzucony z placówki. Być bez placówki to znaczy dostać się do rezerwy. Rezerwa to ci, którzy co dzień zostają na placu, których Szypiacki¹ przydziela do najgorszych robót, to są ci wygłodzeni, którzy najciężej pracują, nad którymi majstrowie się najbardziej znęcają. To są ci, którzy na placu uciekają od swych przydziałów, obawiając się ich, ci za którymi goni Szypiacki, waląc umiejętnie harapem przez głowę, to są ci, nad którymi znęca się policjant obozowy w werku, Smolarz². To są ci, których postacie się widzi codziennie w werku – w łachmanach, boso lub z nogami owiniętymi w stare worki, goniący z rękami na głowie, po których wali harap Szypiackiego. To są ci z dołów kartoflanych.

Przedemną tą perspektywą. Zwracam się do Mołdawana. Daje mi nową placówkę. Wyładowywanie maszyn. Ostrzega, że będzie to robota ciężka. Lepsze jednak to niż rezerwa. W tym czasie poznałem już wiele osób w obozie. Znałem już przede wszystkim Zysmana i Zelmanowskiego³.

Zysmana poznałem przypadkiem. Oczekując na zbiórkę wieczorną do wyjścia z werku, ujrzałem dwóch rozmawiających obok mnie. Jeden zadawał stereotypowe pytanie: „Jak długo jeszcze będziemy tu siedzieć? Co słychać? Czy są nowości z frontu?”. Drugi mu odpowiada sensownie, rzeczowo. Po raz pierwszy słyszę tu mądrą ocenę sytuacji naszej i frontowej. Zaciekawia mnie mówiący – poprawna polszczyzna, język człowieka wykształconego, mimo żydowskiego akcentu. Wysoki, chudy, żywo gestykuluje – charakterystycznie dla rasy. Chcę go poznać, gdyż wyczuwam intelekt. Wtrącam się do rozmowy uwagą utrzymaną również w tonie rozsądnym. Zaczynamy rozmowę, przedstawiamy się. Jest inżynierem, maszynowiem. Od tego czasu spotykam go codziennie. Okazuje się, że należy do tej samej grupy co ja.

Zbliżyły nas wspólne zainteresowania. Ciekawi go specjalnie fizyka, a również matematyka. Ma wiadomości z matematyki znacznie większe niż przeciętny inżynier. Niejednokrotnie w pierwszym okresie budzińskim rozmawialiśmy o matematyce. Pewnej niedzieli przedpołudniem spędziliśmy ze sobą parę godzin razem. Opowiedziałem mu, na czym polega Kleinowska⁴ klasyfikacja w Erlanger Programm⁵ i jako przykład poza geometrią rzutową starałem się mu elementarnie przedstawić idee geometrii Möbiusa⁶. Mamy też zbliżony stosunek do literatury. Czytał dużo, lecz mniej niż ja. Zasadnicze żądanie, jakie stawia literaturze, to podłoże społeczne lub psychologiczne, przy niezaniebawianiu formy. Ceni wysoko tych samych pisarzy co i ja. Wychował się też w trudnych warunkach. Z domu chasydzkiego, kształcił się, pomimo przeszkód stawianych przez rodzinę, ukończył politechnikę. Był żonaty – żona jego nie żyje – był jednym z tych, co przeszli selekcję w Treblince⁷.

Byliśmy aż do powrotu do Polski we wszystkich obozach razem. Po bliższym zaznajomieniu się z nim przekonałem się, że jest to fenomen pamięciowy. Nie zapomniiał niczego, czego już raz się nauczył. Nauka nie przychodzi mu zupełnie łatwo, przegryza

¹ Brak bliższych danych.

² Brak bliższych danych.

³ Zapewne dr Chaim Zelmanowski, biolog (zob. „Wstęp”, s. 26 i 33).

⁴ Felix Klein (1849–1925) – matematyk niemiecki.

⁵ Teoria z zakresu geometrii, stworzona przez Felixa Kleina podczas jego pobytu w bawarskim mieście Erlangen.

⁶ August Ferdinand Möbius (1790–1868) – niemiecki matematyk i astronom.

⁷ Więcej o tej grupie zob. W. Lenarczyk, *Obóz pracy przymusowej...*, s. 266.

powoli każdą rzecz, bardzo gruntownie i z głębią. Nie ma szerokich, ogólnych horyzontów naukowych, ale myśleć umie, niezbyt trudne problemy rozwiązuje samodzielnie, o ile są one dostępne opanowanym przez niego środkom. Myśli rozsądnie i logicznie. A przede wszystkim dużo myśli. Pasjonuje się do samego końca sytuacją strategiczną. Jako człek ogromnie zarozumiały, wskutek tego często niegrzeczny, raczej tchórz, który ze względu na tę cechę w zupełnie łatwych sytuacjach nie wykorzystuje możliwości organizacji i stosuje się do wydawanych przez Niemców poleceń i rozkazów, nawet wtedy, gdy zatracił już sens. Po inteligencku bezradny, postępuje na ogół etycznie, dużo bardziej niż prawie wszyscy obozowicze, postępowanie takie wynika u niego raczej z tchórzostwa niż z głębi przekonań. Nie zorganizuje miski zupy, nie chcąc się narazić, a tłumaczy to etyką. Gdy jednak ta sama miska wepchnie mu się do ręki, przyjmuje bez skrupułów. Żywi szalony kult dla nauki i wiedzy, stąd jego powiedzenie: „Cenię bardziej człowieka utalentowanego o złym charakterze, niż na odwrót”. W tym okresie utrzymuje się na poziomie, szmuglując do obozu z werku niezliczoną ilość żywności. Jedyń zresztą człowiek, z którym mogłem przez cały czas obozu utrzymywać rozmowy o jakim takim wyższym poziomie, poglądy społeczne charakterystyczne dla mieszczanina żydowskiego.

Skrajnie przeciwnym typem jest Zelmanowski. Poznałem go przypadkiem. Pociągnął mnie do niego niezmiernie miły uśmiech, dobroć rozlana na twarzy, rzucił przy tym kilka pięknych słów bardzo piękną polszczyzną. Szczęśliwy, że znajduję kogoś, z kim mogę mówić, zagadnąłem go i rozmowa się potoczyła. Człowiek o bardzo wysokim poziomie etycznym, głęboko ugruntowanym, niezdolny w najgorszych warunkach obozowych do postępu sprzecznego z nim. Dziecinnie niepraktyczny, nierozumiejący rzeczywistości ani ludzi, nierozumiejący cudzej psychiki ani niezdający sobie sprawy z możliwości istnienia innej psychiki niż jego własna.

Na tym tle jego podejście do obozowiczów niezmiernie go ośmieszało, na każdym niemal kroku. Scharakteryzuje go może taki epizod: W czasie, gdy panował najgorszy głód, gdy pierwsze zupy były gęste, a reszta była zwyczajną brudną wodą, gdy wszyscy się dobijali o uzyskanie właśnie tych bardziej wartościujących zup, gdy była to bardzo często walka wilków o kęs, Zelmanowski przekonywał, że nie powinno się tak postępować, bo ci, co stoją dalej, są pokrzywdzeni w swej kolejności, że powinno się odbierać posiłek w tej kolejności, w jakiej się przychodzi. Obrywał wtedy niejedno grube wymyślenie. Sam nigdy kolejności nie zmieniał na swoją korzyść.

I tak zawsze bujający w obłokach. Uczynny. Nie zapomnę mu nigdy jajka, jakim mnie poczęstował w dniu, w którym męczył mnie wyjątkowo straszliwy głód. Zauważył z wyrazu oczu, że cierpię. A był sam w bardzo skromnych warunkach, gdyż dostawał codziennie za ledwie ćwiartkę chleba od znajomego, za pewne usługi. Stale wyśmiewany przez Zysmana.

Z początku jednak, gdy ich zaznajomiłem, Zysman chętnie z nim obcował. Łączyło ich wspólne pasjonowanie się wydarzeniami frontowymi. Podczas gdy Zysman przyjmował je rozważnie i krytycznie, Zelmanowski entuzjazmował się lada błahostką lub przejmował drobnym niepowodzeniem. Gdy w r[oku] [19]43 5 lipca rozpoczęła się ofensywa sowiecka⁸, on już ósmego czy dziewiątego był zrozpaczony brakiem wyni-

⁸ 5 lipca 1943 r. ofensywę na Łuku Kurskim, pod kryptonimem „Zitadelle”, rozpoczęli Niemcy. Jednak bardzo szybko okazało się, że to strona radziecka przejmuje inicjatywę. Stąd być może pomyłka autora, który nie mógł być wówczas jeszcze dobrze poinformowany o właściwym przebiegu wydarzeń na froncie.

ków. Musiałem go pocieszać przykładem ofensywy zimowej, kiedy to jej pierwsze wyniki okazały się dopiero po kilku tygodniach. Zysman wkrótce stracił dla mnie zainteresowanie, gdyż wydarzenia frontowe wprawdzie mnie ciekawiły, ale nie pasjonowały, a to był jego główny krąg zainteresowań podówczas. Na rozmowy naukowe nie było wtedy czasu.

Z Zelmanowskim mój stosunek zacieśniał się, zwłaszcza od czasu, gdy zaczęliśmy razem pracować.

Wcześniej jednak parę słów o Mirskim. Pewnej niedzieli poznałem go przez Zysmana w obozie. Gdy ten mnie przedstawił, Mirski poczęstował mnie papierosem, bardzo sympatyczny i miły w rozmowie. Szybko się zorientowałem, że jest to człowiek o niewielkim wykształceniu, posiadający dyplom inżyniera chemii. Cechowała go duża towarzyska ogląda, widać było po nim obracanie się w wyższych sferach mieszczańskich Warszawy. Narodowościowo do końca uważał się za Polaka. Uderzył mnie jego życzliwy i przyjazny stosunek w rozmowie. Po pierwszym papierosie częstował dalszymi, zmuszając wprost do brania ich. Po kilku dniach w werku, przed rozejściem się do pracy, czuję, że ktoś mnie chwyta za rękę. Oglądam się, Mirski się wita i odchodzi. W ręce czuję, jakiś drobiazg. Bloczek na zupe. Co za niespodzianka, o jak wielkim znaczeniu! I tak niemal codziennie, przez dwa najgorsze miesiące, gdy nie tyle druga wodnista zupa, ile samo wręczenie bloczka miało olbrzymie znaczenie moralne. Nie zdaje sobie może i do dziś Mirski sprawy z tego, ile dla mnie znaczyła ta odrobina życzliwości, przychodzącej mu łatwo, niemal zdawkowo.

Zasadnicze w jego stosunku do mnie okazało się to, co dotyczyło najgorszego mego okresu w obozie. W czasie, gdy straciłem placówkę u Lewkowicza, byłem znów bosy, gdyż drewniaki się zdarły po dwóch tygodniach. Wkrótce spodnie z zamiany też się zdarły, chodziłem w łachmanach – prawa nogawka rozpruta od dołu do góry, lewa w strzępach i dziurach. Marynarka w strzępach i poplamiona. Jestem brudny, gdyż pracuję przy maszynach, zmywam twarz i ręce tylko w ten sposób, że ścieram je mokrym piaskiem. Mydła lub proszku nie mogę uzyskać. Na twarzy mógłby mi mech rosnąć, a zmyć niczego nie mogę, zwłaszcza w zimnej wodzie.

Mimo to nie zaliczam się do łajz, gdyż nie cechuje mnie charakterystyczne dla nich żebractwo i zachowuję w dużej mierze godność. Jednak przez „lepsze towarzystwo” nie jestem mile widziany. Mój wygląd zewnętrzny ich razi. Nawet Zysman stroni ode mnie w tym czasie. Jedyńm człowiekiem, którego stosunek do mnie się nie pogorszył, jest Zelmanowski. Dla innych jestem człowiekiem wytraconym z ich sfery. Mieszczańska psychika się nie zmienia w obozie. Nic sobie jednak nie robię z ich lekceważenia i politywania, i tak nie cierpiełem tej klasy przed wojną. Wyjątek stanowi, poza Zelmanowskim, Mirski. Ten ma zawsze dla mnie przyjazne słowo, z daleka uśmiech, okaże aktywną pomoc, czuję w rozmowie z nim faktyczne traktowanie mnie jak równego sobie. I tego mu nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę. Ale też nigdy nie zapomnę tego politywania i odtrącenia przez mieszczańską kastowość zachowywaną przez wielu nawet w obliczu śmierci. Później, gdy się ze swojej sytuacji wygramoliłem, gdy byłem czymś, dałem im to niejednokrotnie odczuć.

Ten łachmański okres, gdy byłem, dla swego wyglądu tylko, celem każdego policyjnego harapa, obiektem poszturchiwanym i popychanym przez byle grupowego i kompanijnego, kiedy „lepsi panowie” byli zadowoleni, że nie musieli ze mną mówić, nauczył

mnie wiele. Pogłębił i rozżarzył moją nienawiść do nich. Doprowadził do tego, że czułem zadowolenie, gdy spotykała tych panów jakaś przygoda, i być może czułbym nawet zadowolenie, gdyby poszli na egzekucję. Nienawidziłem ich bardziej niż Niemców, bo wina ich była większa niż Niemców. Jeśli mogli odtrącić mnie lub takiego jak ja tylko dla braków środków materialnych, dla upadku mego wyglądu zewnętrznego, w sytuacji, gdy zdawali sobie sprawę z tego, że jest to niezawinione przeze mnie, że ich może oczekiwać to samo, wtedy gdy grozi nam wspólnie śmierć, to ich wina moralna jest co najmniej równa niemieckiej, jeżeli nie większa. Czy może obawiali się, że poproszę ich o wsparcie? Nigdy tego nie robiłem. Piętrzyli oni mur, jaki stawał między mną a społeczeństwem.

Jeszcze będąc u Lewkowicza, sprzedawałem spodnie. Niedaleko rowu, w którym pracowałem, były baraki junaków⁹. Byli to chłopcy wiejscy, przymusowo wzięci do robót w werku. Mieli lepszy wikt, wystarczający, którego i tak nie zużywali, gdyż dostawali z domów paczki. Szmuglowali żywność i handlowali z obozowiczami. Były między nimi typy najprzeróżniejsze. Na ogół z chłopska chciwi, chcieliby wydusić ze swoich partnerów każdego złotego. Wiedząc, że nie umiem się targować i handlować, jeden z towarzyszy z jednym z nich umówił cenę spodni.

Miałem znakomite bryczesy, które ocalały nienaruszone po pożarze getta, pomimo opalenia kurtki, marynarki i spalenia się bucików. Miałem za nie dostać 200 zł i inne, spodnie. Pod wieczór w bunkrze zamieniłem z tym junakiem spodnie. W krótkiej rozmowie przy zamianie zwrócił mi uwagę, że jestem inny od reszty towarzyszy i rzucił kilka prostych słów pociechy i współczucia. Bardzo mnie to zdziwiło, odwykłem od takiego traktowania ze strony innych więźniów, a tym bardziej od innych, wolnych ludzi, których nastawienie było zwyczajne takie, by możliwie wykorzystać, a stosunek raczej niechętny.

Mam 200 zł. Kupiłem osemkę chleba za 7,50 zł. Na nogach za to łachman drący się już w chwili ubrania. Tak wielkiej ilości chleba, 250 gramów, nie miałem w ręku już ze trzy tygodnie. Siadam w bunkrze i nim zaczęję jeść, przypatruję się osemce. Głód szarpie jeszcze bardziej na widok jedzenia, jednak nie jem. Jakiś dziwny spokój spływa na mnie, gdy mam w ręku chleb oraz świadomość, że będę mógł kupić jeszcze. Głód nie jest dokuczliwy, nie towarzyszy mu przygnębienie, jakoś w tym momencie złagodził się mój stosunek do otoczenia. Oglądam tę osemkę i nie mogę pojąć, że taka duża ilość chleba jest moja własna, że nie jest to chleb widziany u innych, że ten chleb będę mógł unieść do własnych ust. Zwisają okruszyny. Uważam by nie upadły, oskubuję je i połykam. Nadłamuję kawałek i połykam niemal bez rozgryzienia. Coraz bardziej zmniejsza się ta osemka, aż w końcu znika całkowicie. Teraz dopiero czuję głód, jakiego jeszcze nie czułem ani razu w obozie. Po prostu dziko szarpie, rwie wnętrzności. Siedzę krótki moment i podchodzę pod kuchnię, dokupuję ćwiartkę. Mam zamiar zjeść osemkę, a resztę zostawić na jutro. Nie mogę. Ćwiartka znika w mgnieniu oka.

Gdy wstaję, czuję, że przybrałem na siłach. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jak strasznie jestem wycieńczony. Przecież dalej ciężko mi powłóczyć nogami, a jednak o ile lżej niż przedtem! Jaka to olbrzymia, przedługa skala. Ileż trzeba męczarni, by zejść na najniższe jej stopnie. Kto zrozumie to ciągle, bezustanne, niemające chwili przerwy

⁹ Junakami nazywano na ogół młodych mężczyzn spośród ludności chrześcijańskiej (na terenach polskich byli to Polacy), przymuszanych przez Niemców do służby w batalionach pracy. Junacy byli także czasami wykorzystywani podczas antyżydowskich akcji, likwidacji gett itp.

cierpienie, prócz tych, którzy je przeżyli! Kto zrozumie, że w wyczerpaniu głodowym nie czuje się głodu, tylko mgliste zamroczenie, otępienie, bezwład. Kto odczuje drganie przedmiotów, na które się spogląda, drganie, którego nie da się zmysłami zauważyć! Kto wie, prócz tych, którzy tego zaznali, co znaczy z trudem podnieść głowę! Co znaczy przy każdym kroku zaznawać strachu przed krokiem następnym, przed myślą, że trzeba będzie unieść nieskończony ciężar stopy! Co znaczy w marszu nie móc wykorzystać możliwości przysiadnięcia na chwilę, w strachu na myśl o jeszcze większym, znacznie gorszym wysiłku dźwignięcia się! Ostry ból głodu na widok jedzenia, a potem znowu zatapianie się w nicość bezwładu.

I co znaczy izolacja i samotność, wytworzona dookoła człowieka dlatego tylko, że jest on głodnym. Izolacja idąca od zewnątrz, ze strony otoczenia, i izolacja od wewnątrz. Co znaczy, że gdy ktoś, jak wtenczas Zelmanowski, poczęstuje czymkolwiek, to wbrew rozumowi, przyjmuje się to nie z wdzięcznością, a z nienawiścią, że jak wilk na łańcuchu, szczyrzy się zęby do wszystkich, a chciałoby się gryźć pierwszego zbliżającego się, choćby ten niósł w ręku misę żarcia.

Na drugi dzień ten sam junak przyniósł mi cały zgnieciony chleb po niższej cenie. Gdy nie miał drobnych, zgodził się odebrać później. I nigdy się po nie nie zgłosił, mimo że widział mnie niejednokrotnie. Dlaczego? Czy nie zależało mu na tych trzydziestu złotych, czy reagował jak człowiek, widząc moją sytuację? Na tydzień byłem zabezpieczony przed głodem, przy ówczesnych cenach chleba i brakach mojego organizmu, których nadrabiania się domagał. W końcu znikła ostatnia dziesiątka. I znowu głód. Stokrotnie gorszy niż przed sprzedażą spodni, głód organizmu, który częściowo nadrobił straty, głód świeży, najbardziej męczący. Wtedy to znikła chwilowo moja odporność psychiczna, wtedy ściągnąłem chleb Lewkowiczowi, wtedy też zostałem bez placówki.

I znowu czekanie na kolację. Przed kuchnią bity chłopiec¹⁰. Młody, płacze. Pierwszy raz go ujrzałem po naszym przyjeździe z Lublina. Bardzo młody, może piętnastoletni chłopiec, dziecko nieledwie. Leżał na pryczy, niedaleko mnie, oczekiwaliśmy na pierwszą kąpiel. Nie zwracałem na niego uwagi, leżał odwrócony; ja też patrzyłem, leżąc nieruchomo, w okna podwórza. W pewnej chwili odwrócił się na drugi bok. Wtedy ujrzałem po raz pierwszy jego twarz, pełną strupów. Przejął mnie wstręt, w półmroku baraku wydawało mi się, że pokryty jest ohydłą grzybicą. Przeszedłem na inny siennik, zapomniałem o nim.

Po kilku dniach zobaczyłem go ponownie. Zdziwiło mnie, że zmniejszyła się ilość strupów. Podeszedłem bliżej, przypatrzyłem się. To nie była choroba skórna, to była duża ilość drobnych ranek, drobne strupki na wyleczeniu. Zapytałem go, skąd te znaki. Uśmiechnął się do mnie, jakby wdzięczny, że ktoś się do niego odzywa nie ofuknięciem, że interesuje się, że pyta o niego samego. Był w bunkrze, Niemcy rozbili bunkier granatami. W czasie wybuchów był blisko, odpryski murów poraniły mu twarz i ręce. Zabrano go z matką do Lublina. Tam, w dulażu, oderwano go od matki, z którą nie wiadomo co się stało, przewieziono z innymi mężczyznami do Budzynia. Czy był kiedyś w życiu bez matki? „Nie, nigdy dotychczas się nie rozstawaliśmy. Czy ja nie wiem może, co się mogło stać z jego matką?” – ma piętnasty rok.

Uśmiecha się znowu do mnie, smutnym, przeziłym uśmiechem dziecka. Nagle się znalazł sam, opuszczony, bez matki, która dotychczas troszczyła się o każde jego

¹⁰ N.N.

pragnienie. Zrobiło mi się go ogromnie żal, uczułem niemal fizyczny ból. Nie mogłem temu dziecku dać ani słowa pociechy, jeśli bym nie chciał kłamać, a nie mogłem się zdobyć w tym momencie na kłamstwo.

Straciłem go na kilka dni z oczu. Gdy znów go zauważyłem, siedł w kolumnie, dwie piątki przede mną. Twarz mu się wygładziła, jeszcze tylko pozostały jaśniejsze plamki po odpadłych strupkach, czysta, dziecięca cera. Przypadkiem odwrócił głowę, zauważył mnie, uśmiechnął się znów do mnie przyjaźnie tym swoim smutnym, ściągającym kąty ust uśmiechem. Lecz czułem w nim jakby ślad goryczy. Odpowiedziałem mu też uśmiechem, pełnym, otwartym, starając się wlać weni jak najwięcej radości i przyjaźni, chciałem, by choć ten uśmiech dodał mu otuchy.

A po tym widywałem go dość często, lecz nie miałem sposobności z nim rozmawiać. Przybladł, twarz mu się ściągnęła, oczy straciły blask, jednak nie zatracił charakterystycznej, wewnętrznej subtelności. I znów straciłem go z oczu.

Pewnej niedzieli leżałem, odpoczywając na jakimś sienniku. Uczułem w pewnej chwili, że coś mnie ugniata od spodu. Z wewnątrz siennika wydobyłem torbę, w której znajdował się sznur, duży kłębek. Prawdziwy skarb w obozie. Bez namysłu go wziąłem, a torbę włożyłem z powrotem.

Po upływie kilku dni znowu miałem okazję pomówić z chłopcem. Pytam, jak mu się powodzi. Na to pytanie, zwrócone do niego osobiście, z trudem może w ogóle odpowiedzieć. Usta mu drgają, ledwo hamuje płacz. Niewinnym pytaniem wzburzyłem go. Rozumiem go doskonale. Samotne dziecko, wrażliwe, nieotrzymujące znikąd dobrego słowa, po obozowym stale ofukiwany i przepędzany, w straszliwym kontraście po utracie ciepła macierzyńskiego, w którym był wychowany, po zniknięciu matki, która w najgorszych warunkach getta ochraniała go jednak od ciosów zewnętrznych, nieznający właściwie okrucieństwa świata ani złego słowa, znalazł się nagle w sforze dzikich, zeźlałych wilków. I stąd w nim jakiś wewnętrzny, okrutny strach – i to nie przed Niemcem.

Kąciki ust mu drgają, powstrzymuje płacz. Odpowiada: „Bardzo źle! Jestem strasznie głodny”. Przypatruję mu się. W tym krótkim czasie jakże wychudł! Przez odsłoniętą na piersiach koszulę widać żebra, wystające ponad rozpadliny, w które zapadła się skóra. „Nic nie mam, wszystko mi ukradli” – „A coś ty miał?” – „Torbę, a w niej kłębek sznurka”.

Robi mi się ogromnie przykro, że to ja mu właśnie ten sznur zabrałem; nie mam go już zresztą, podzieliłem się od razu z towarzyszami. W tym przygnębieniu, w cierpieniu, do jakiego ani nie jest przyzwyczajony, ani do którego nikt go nie przygotował, w tej samotności drobna strata mało w gruncie rzeczy znaczącego sznura przygnębiła go dotkliwie. Odczuł ją jako cios. Drobniutka kropla, która przepełniła jego miarę. A może ten sznur był związany z jakimiś jego wspomnieniami? Wątpię, gdyż to nie bywa u chłopców w tym wieku. Chciałbym mu pomóc, a nie mogę. Przez kilka minut rozmowy z nim zatracam mimowolnie narastającą we mnie dzikość, staram się dać mu trochę ciepła.

I znowu mówi, nie umie mówić bez uśmiechu. Ale ten uśmiech teraz jest już pełny goryczy, jest bolesny, przestał już być dziecienny. W ciągu kilku tygodni zatracił dziecięctwo, choć nie stał się człowiekiem dojrzałym. Pytam go: „Czy nie możesz niczego sobie zorganizować, zakraść się gdzieś do szeregów, wydostać drugą zupę?” – „Nie, nie mogę, będą na mnie krzyczeć, mogą mnie uderzyć. Inni to robią – ja nie umiem”.

Biedne, delikatne dziecko, które boi się więcej krzyku i poszturchiwań niż głodu, jaki je szarpie, jaki je wyzuwa z sił. A jest osłabiony. Ma już powolne ruchy ludzi wyczerpanych, już idąc, trzyma głowę opuszczoną w dół.

Żegnam go. Wraca na siennik, kładzie się, posyłając mi jeszcze uśmiech. Z oczu płyną mu łzy. Odwraca się głową do siennika i płacze. Podchodzę raz jeszcze, głaszczę go po krótko ostrzyżonych włosach. Żadne słowo nie może go niczym pocieszyć, chciałbym choć w ten, nic nieznaczący sposób przekazać mu odrobinę choćby ciepła, serdeczności, które utracił z bliskimi swoimi na zawsze. Leży tak, odwrócony i płacze, nie patrząc na mnie. Gorzki płacz dziecka.

Pędzą do snu. Wracam na prycze obolały, tym razem nie swoim cierpieniem. Jeszcze poprzez skorupę mojej zatwardziałości przebija zrozumienie dla bezbronnego.

I znowu go nie widuję. W walce codziennej, w szamotaniu się z głodem, w wysiłku przesuwania maszyn i zamroczenia po powrocie po pracy, zapominam o nim zupełnie. Tego wieczoru, gdy podchodzimy pod kuchnię, gdy odbieram swoją miskę zupy, widzę dwóch policjantów stojących z dwóch stron nad leżącym na ziemi chłopcem. Właśnie on. Biją go z całych sił harapami, a on, kurcząc się i wtulając się w ziemię, płacze, szlocha na cały głos i woła: „Nie pójdę stąd! Nie pójdę! Nie pójdę! Dajcie mi jeść! Ja nie pójdę!”. Ci szamoczą się z nim, biją usiłując go podnieść, on szarpie się, wyrwa i znów rzuca na ziemię: „Dajcie mi jeść! Ja jestem głodny!”. Harapy nie przestają go walić, a ta szkielecina, zapamiętała w głodzie, który w końcu przewyciężył jego strach przed biciem, obawę przed chamskim krzykiem, nie ustępuje, całą swoją istotą domagając się: „Jeść! Jeść!”.

Podchodzę, zwracam się do nich – dlaczego go biją, czy nie mogliby dać mu miski zupy? I tak zawsze coś zostaje – ale łachmaniarzowi, takiemu jak ja, należy się za to również harap. Z łachmaniarzami się nie rozmawia. Dostają po głowie, wylewają mi zupę i wracają do niego tym zacieklej. Moja interwencja może mu tylko zaszkodzić. Odchodzę. Kto może zrozumieć cierpienie i drogę duchową tego chłopca, delikatnego i subtelного, która go doprowadziła do takiego aktu rozpacz?

Ten rozpaczliwy akt jednak mu pomógł. Wprawdzie został zbity przez policjantów, ale cała sprawa doszła do wiadomości Stockmanna, lagerältestera. Był to jedyny porządny człowiek pomiędzy wszystkimi na tym stanowisku, których spotkałem w różnych obozach. Zajął się chłopcem, dał mu drobną funkcję jakiegoś posłańca. To jednak ulżyło jego doli. Gdy po kilku tygodniach mnie spotkał znowu, uśmiech jego był pełny, wesoły, chociaż nie było w nim radości. Zauważyłem nawet, że się bawił z rówieśnikami. Ostatecznie przestał być dzieckiem. Stał się obozowym łobuzem, ale mimo to jednak zawsze dużo wyżej stał od swoich kolegów, nigdy nie nabrał ordynarności. Czy przeżył wszystkie obozy?

Dzień zakończył się normalnie.

dostał ze zgruchanie, musiał się nad jej z
smakiem. Mówi to ze śmiechem.

A dla mnie jego zachowanie jest

10 p. 00
Dzień ten przebiegł dla mnie nowo
nie miałem żadnych osobistych wprowa
jak zwykle stawaliśmy na placu ap
Feigst objechał czworobok, rozkręcał
Nie pajechał do domu, lecz wzdłuż
drogi do worku jechał wzdłuż kolumny
i z powrotem. Elegancki, wytworny, o sy
tycznym, kulturalnym wyglądzie, na p
wierzchołku. Grupy, wzdłuż których pr
dział przesyły się, maszerowały równo
równym krokiem, starały się śpiewać
Dostaliśmy do worku, zwykły rozdział pr
normalny dzień głodu, zbrojka wiecz
powrót do obozu. W miarę zbliżania ob
5 pierwszych przesłach podniecenie, po

Dzień ten przeszedł normalnie

Dzień ten przeszedł dla mnie normalnie. Nie przeżyłem żadnych osobistych wzruszeń. Rano, jak zwykle, stanęliśmy na placu apelowym. Feix objechał czworobok, rozkrwawił kilku. Nie pojechał [po tym jednak] do domu, lecz wzdłuż całej drogi do werku przejeżdżał tam i z powrotem. Elegancki, wytworny, o sympatycznym, kulturalnym wyglądzie, na pięknym wierzchowcu. Szeregi, wzdłuż których przejeżdżał, prężyły się, maszerowały równym, miarowym krokiem, starały się śpiewać do taktu.

Doszliśmy do werku – zwykły rozdział pracy, normalny dzień zmaganie się z głodem i śmiertelnym znużeniem, zbiórka wieczorna, powrót do obozu. W miarę zbliżania się do obozu w pierwszych szeregach podniecenie, podają w tył jakąś wiadomość. Dochodzi do mnie: „W obozie była w ciągu dnia selekcja”. Bliższych szczegółów nie znamy jeszcze. Znowu to egoistyczne uczucie ulgi, że się uniknęło śmierci. Niesmak i odraza. I tylko tyle. W miarę osławiania z rzeczywistością obozową zanika i żal za straconymi. Pozostaje zrezygnowana nienawiść, bezsilna, niepodniecająca, czekająca na możliwość wyładowania się.

Wchodzimy do obozu. Prowadzą nas na plac apelowy. Po drodze dowiaduję się, że w samym obozie Feix zastrzelił 61 osób. Zapowiada się jednak coś jeszcze. Stoimy czworobokiem. Wchodzi Feix. Robi się nieswojo. Czy będzie dalszy ciąg? Feix powoli się rozgląda, mówi coś do najstarszego obozu, ten szuka po szeregach, wskazuje Feixowi. Podchodzi do jednej kompanii, wywołuje kogoś. Co to ma znaczyć? Czy znów jakaś egzekucja? Dalszy ciąg selekcji? Wywołany wybiera grupę więźniów, staje przed nimi. Odzywa się śpiew. Śpiewają jakąś pieśń. I tyle. Feix słucha, każe powtórzyć. Kiwa z uznaniem głową i odchodzi. W ciągu rannego marszu spodobała mu się jakaś pieśń i teraz kazał sobie powtórzyć – dla rozrywki, po pracowicie spędzonym dniu.

Rozbiegamy się, chcąc się dowiedzieć szczegółów. Zauważam nowe twarze. Jest *Zugang*. Są wystraszeni, ledwo można z nimi mówić. W końcu od jednego z nich wydobywam, co się stało. Są z Bełżyc. Byli tam w obozie pracy, około tysiąca ludzi. Obóz miał zostać rozwiązany, więźniowie przewiezieni do Budzynia. Było ich jednak za dużo. Feix nie chciał tylu przyjąć. Przeprowadził więc selekcję. Wybrał 500 osób, przeważnie kobiety i wszystkie dzieci. Starców i tak już między nimi nie było. Na jego rozkaz „czarni” rozwalili tych pięciuset.

Potem resztę zagnano do Budzynia. Tu znowu byli świadkami selekcji. Zebrano wszystkich pozostałych w obozie na plac apelowy. Wyłączono kucharzy. Następnie sam Feix przeprowadził selekcję. Wybrał chorych i dzieci, kilku słabszych starszych. Łącznie 61 osób. Zastrzelił ich osobiście. Wszyscy są już zakopani.

A nam dzień przeszedł zwyczajnie. O niczym nie widzieliśmy. Rozpytuję się o kilku znajomych, którzy tego dnia zostali w obozie, gdyż źle się czuli. Trzech z nich zastrzelił. Jeden z nich został dlatego, że poprzedniego dnia skaleczył się w nogę. Dwóch miało gorączkę.

Ale kolację trzeba zjeść. Idę pod kuchnię. Po drodze dolatuje mnie płacz. Przed wejściem do jednego z baraków stoi niski, czterdziestoletni człowiek¹ i głośno szlocha. Do

¹ N.N.

niego tuli się mały, może ośmioletni chłopczyk² i także płacze. Staję i słucham. Chłopczyk opowiada, że w południe, gdy wywoływano ich na plac apelowy, wyszedł z dwoma braćmi. Z przerywanego łkaniem opowiadania dorozumiewam się, że malca ktoś koło baraku zatrzymał, wepchnął go do środka i kazał mu się schować. Dwaj starsi bracia jego poszli. Nie wrócili. Człowiek zanosí się szlochem. Rano miał trzech synów. Ma jednego. Niski, chudy, wynędzniały.

Obserwowałem go przez długie miesiące. Synek pomagał w kuchni. Zawsze, gdy wracaliśmy z pracy, oczekiwał przy bramie. Gdy ojciec wchodził, podbiegał, rzucał mu się w objęcia, całował. Potem brał go za rękę i tak trzymając się, szli razem w stronę kuchni, gdzie synek miał już zawsze przygotowaną dla ojca miskę zupy. Szedłem raz ojcem w jednym szeregu. Już z daleka, od chwili, gdy obóz stał się widoczny, nie odrywał od bramy oczu. Przy bramie nie było małego. Ojciec stał się niespokojny, zbladł, zwrócił się do mnie, czy nie widzę syna. Weszliśmy do obozu. Syna nie ma przy bramie. Ojciec omal zmysłów nie stracił. Wtem z dała pędzi chłopak. Ojciec, który wymizerowany ledwie chodził, zrywa się i biegnie naprzeciw, rzucając się sobie w objęcia. I znów idą razem, trzymając się za rękę; synek z podniesioną twarzą, wpatrzony w ojca, uśmiechnięty coś opowiada, ojciec nie odrywa od niego oczu. Widząc ich razem, odczuwałem zawsze dziwny szacunek. Tych dwóch nie zatraciło jeszcze nic z człowieczeństwa. Bez względu na otoczenie, trwała ich najbardziej oddana miłość. Elegancki, mile się prezentujący Feix. Wynędzniały, obdarty łachmaniarz.

Feix był kulturalny. Feix lubił muzykę i śpiew. Feix dbał o więźniów. Żeby im uprzyjemnić pobyt w obozie, zarządził, by w drugi dzień Zielonych Świąt niemieckich³ odbyło się przedstawienie. Aktorami mieli być sami więźniowie.

Feix wiedział, że więźniowie lubią śpiew. W każdą niedzielę, w pierwszym i drugim baraku, na zsuwanych stołach odbywał się rodzaj występów. Zbierał się tłum – ciasno, duszno, oddychać nie można. Ciągłe ktoś inny wskakuje na stół, śpiewa lub recytuje kuplety, tanga, rzeczy poważne. Tu usłyszałem po raz pierwszy słowa pieśni powstałej wśród warszawian w tym obozie: „Yuc rema Warszauer jadym... – będziemy tworzyć nowe życie”⁴.

Wśród mordów i głodu, wśród bicia „czarnych” i terroru Feixowskiego, w ostatniej niedoli wyrывała się dusza więźniów, tą rozrywką chociażby szukając zapomnienia. Proste to były występy, marne głosy i recytacje, nie było w tym sztuki, ale wszyscy łaknęli ich. Każdy występ był przyjmowany oklaskami. Przy wesołych lub humorystycznych występach oklaski frenetyczne⁵. Milczeniem lub niechęcią przyjmowano występy poważne lub tragiczne. Tego było aż nadto w rzeczywistości. Poszukiwano tylko rozrywki i zapomnienia.

² N.N.

³ Przez „niemieckie” autor rozumie zapewne chrześcijańskie. Chodzi o święto Zesłania Ducha Świętego, tzw. Zielone Świątki, które w roku 1943 obchodzono w dniu 13 czerwca.

⁴ Brak bliższych danych na temat tej pieśni. Nie wiadomo, czy słowa „będziemy tworzyć nowe życie” to kontynuacja pieśni, czy w zamierzeniu autora tłumaczenie pierwszego zdania. Tak czy inaczej, nie znając jidysz ani hebrajskiego, zapewne źle usłyszał pierwsze słowa, która brzmieć powinny: „Yad Rama, Varshaver Jidn” co oznacza, „Silną ręką, warszawscy Żydzi”.

⁵ *Frenetyczne* – entuzjastyczne, gorące (od łac. *phreneticus* – szalony).

Zachodzili czasem „czarni”. W tych wypadkach nie przeszkadzali.

Feix zarządził przedstawienie. Spędzono wszystkich przymusowo na plac apelowy. Siedzenia dla Feixa z żoną i córką, unterscharführerów z żonami. Za nimi wewnętrzne kierownictwo obozu. Słońce smaży, siedzimy i musimy się przypatrywać. Głupie występy, niesmak bierze, nie mogę zrozumieć, jak ta masa może okłaskiwać teraz cokolwiek, gdy to się odbywa na rozkaz Niemca. A punkt kulminacyjny przedstawienia: gruby idiota kraśnicki, ulubieniec obozu za względu na swoje kuplety, występuje oto z programem godnym organu ONR⁶ lub „Stürmera”⁷. I tu... też oklaski. A najbardziej okłaskuje Feix i każe występ powtórzyć. Krew we mnie kipiała za upodlenie tych ludzi, za ich brak godności, za ich służalczość nawet w stosunku do tego bandyty. Szczęśliwy byłem, gdy ta haniebna zabawa się skończyła. Zżerał mnie wstyd.

⁶ Obóz Narodowo-Radykalny – skrajnie nacjonalistyczna i antysemicka organizacja polska powstała w roku 1934, zdelegalizowana przez władze po kilku miesiącach, następnie działała nielegalnie.

⁷ Główny prasowy organ antysemicki partii hitlerowskiej.

niepoczekane straty.

Zielone Świąta 1943. Drugi dzień.
Jenny jak zwykle. Jednak w mojej grupie
nastroj jest inny niż zwykle. Roz-
sie, toczą, dookata atmosfery świątecz-
i domach, przed wojną. Każdą wspom-
domu, rodzinę. Dużo częściej rozmawiają
zwykle zajmują opowiadania o przeży-
wach sprawianych w te świąta. Każdą
pisa się o wspomnieniach. Siędzą lub
grupami po dwóch lub trzech. Każdą
~~możi do słuchania~~ w grupie słuch, tr-
każdy mówi, nikt nie słucha. Głosne
wzruszenie, zatopienie się w przeszłość. W-
oczy zapatrzone w dół.

Ci ludzie, zatwardziali w obliczu
innych, pod wpływem wspomnień i tęsk-
zacznają płakać. Nawet najokrutniejsi
bardziej bezwzględni. Płacze nawet Lech

Zielone Świąta 1943

Znów rury. Praca u Lewkowicza w Budzynie. Jeszcze nie nastąpiło zupełne oswojenie z obozem. Pomimo dwóch lat panowania niemieckiego, głodu, akcji, ciągłych prześladowań – jeszcze się ma pewien cień wymagań od człowieka, jeszcze niezupełnie się w nas zatarł humanitaryzm w stosunku do otoczenia.

[Ale rośnie nienawiść] – nienawiść do otoczenia za jego zwierzęcość i bezwzględność. Nienawiść za to, że zezwierzęcają i mnie. Nienawiść za to, że zmuszają do walki indywidualnej, wilczej, samotnej i jałowej, walki tylko o własny byt. Zanika wszelkie poczucie łączności społecznej, wszystkie hamulce moralne. Zostają nagie bestie w walce o swój los, zobojętniałe na los innych, nietroszczące się o życie i śmierć pozostałych tysięcy, godzące się na śmierć milionów, byleby ich życie zostało ocalone. Przy tym każdy z osobna cierpi; każdy poniósł własne niepowetowane straty.

Zielone Świąta 1943 [r.]. Drugi dzień¹. Pracujemy jak zwykle. Jednak w mojej grupie nastrój jest inny niż zwyczajnie. Rozmowy toczą się wokół atmosfery świątecznej w domach przed wojną. Każdy wspomina własny dom, rodzinę: dużą część rozmów, jak zwykle, zajmują opowiadania o przysmakach sprawianych w te święta. Każdy zatapia się we wspomnieniach.

Siedzą lub pracują w grupach – po dwóch lub trzech. W takiej grupie każdy mówi – nikt nie słucha. Głośne marzenia, zatapianie się w przeszłości; u wielu oczy zapatrzone w dal. Ci ludzie, stwardniali w obliczu cierpień innych – pod wpływem wspomnień i tęsknoty zaczynają płakać. Nawet najokrutniejsi, najbardziej bezwzględni: płacze nawet Lewkowicz, wspominając żonę i młodszego syna, których niedawno stracił. Z wszystkich ust pada ciągle jedno i to samo słowo: „Treblinka”.

Jeden szlocha, opowiadając o żonie i dwojgu dzieciach spalonych w Treblince, drugi ciągle mówi o swoim dorosłym synu... Żony, dzieci, braci, siostry, ojców i matki pochłonęła nienasycona Treblinka!

Wszyscy to ludzie religijni, dla których ta sprawa nie była nigdy przedmiotem procesu myślowego; wychowani od dzieciństwa w praktykach religijnych; wykonujący je mechanicznie, którym wychowanie stworzyło z pojęć wiary coś tak naturalnego i potrzebnego jak powietrze do oddychania. A jednak – w obliczu cierpień przewyższających ich możliwość pojmowania – stale pada to samo pytanie, pojawia się ten sam rys zwątpienia: „Czy jest Bóg na niebie? Czy może on istnieć, jeżeli dopuszcza do takich potworności?...”. Pytanie to, jeżeli zadaje je poważnie człowiek prosty, niemyślący – musi być sprowadzone przez straszne cierpienie. I znowu – ich wychowanie religijne, wiara w grzech i karę nasuwa pytanie, które tak często się słyszało: „Czym myśmy zgrzeszyli, że tak cierpimy? Może ja zgrzeszyłem, ale czym zawiniła moja dwuletnia córka? Za co została uśmiercona?”.

To drugi dzień Zielonych Świąt, dzień, w którym odmawia się modlitwy za zmarłych². Zebrali się w czasie pracy w rowie, w kacie. Jeden stoi na warcie i modła się.

¹ Prawdopodobnie w tym miejscu autor nie nawiązuje do świąt chrześcijańskich, lecz do żydowskich, które także potocznie zwano „Zielonymi Świątkami”. Było to faktycznie święto Szawuot, mające źródła w rolniczym charakterze starożytnego Izraela, dlatego zwane też Świętem Plonów, obchodzone ku pamięci otrzymania Tory i przyjęcia wszystkich praw religijnych. W roku 1943 święta te zaczynały się 8 czerwca wieczorem. Drugi dzień świąt przypadał więc na 10 czerwca 1943 r.

² Hebrajska modlitwa „Izkor”, podczas której wspomina się imiona osób zmarłych.

Każdy wspomina swoich zmarłych i szlochają – głębokim, okrutnym szlochem. Po raz pierwszy odmawiają modlitwę za zmarłych, „Kadisz”³ – od razu nie za jednego, ale za wielu, za całą rodzinę, która miesiąc temu jeszcze żyła. Rany świeże, dopiero co powstałe. W tej modlitwie, mimo że niewierzący, czują się im bliski – ta sama boleść, ta sama tęsknota. W tym momencie we wszystkich wyzwala się to, co było przytłumione naszym życiem i walką dnia codziennego; wzbiera rozpacz.

Ogrom bólu. Rozbici, samotni, rwani tęsknotą za tymi, których prochy rozwiały już wiatry z pieców treblińskich. Nie chce się im pomieścić w głowie ta straszna prawda; myśli wracają ciągle do trupów z wywalonymi językami, szukając między nimi swych najdroższych, wracają i uciekają od tego, nie mogąc uwierzyć. Rozum wmusza świadomość: nie żyją, tam zginęli... Łamią się pod tym brzemieniem; nie dorośli do nieszczęść tej miary.

Jeden z nich robi wrażenie przeciętnego, pobożnego kupca. W pewnym momencie woła: „Boga nie ma! A jeżeli jest, niech będzie przeklęty (*jimach szmoj*)!”⁴. Nikt się nie wzdrygnął, dalej kiwają się w modlitwie, dalej wargi poruszają się w ciszy, obawiając się wydać głośniejszy dźwięk, by nie został usłyszany, nie ściągnął oprawców.

A gdy przychodzi szczytowy moment modlitwy, gdy mają zawołać: „Szema Israel, Adonai Elohim Adonai Echad”⁵ – to z cicha wołają, przeciągając ostatnie słowo. Kiedyś w bożnicach słowa te wymawiali z krzykiem, przeciągając ten krzyk – krzyk sztuczny, pełen zwykłej obłudy praktykujących z nawyku⁶. Dziś ten przeciągły szept jest tragiczny, przejmujący w swojej szczerości niezależnie od znaczenia tych słów. W dzieciństwie nauczono ich, że te słowa są najważniejszym zaklęciem przeciw strachom, najpewniejszą formułą zbawczą. Dziś szepcą ją, przeciągają – ale nabrała dla nich innego sensu. Patrząc na nich, odczuwam, że te słowa wyrывa im bezbrzeżna rozpacz, dno niedoli; czuję w nich wołanie o ratunek...

Budzi się w człowieku ironia: „Szema Israel...” – tylko tego Izraela już nie ma. Słyszeć to może już tylko garstka pozostała po milionach. Mimo woli przypomina się nędzny wiersz Ujejskiego⁷ i wspomniały oryginał: „Al neharot Bawel szam jaszawnu, gam bachinu...”⁸ („Nad rzekami Babilonu – tam siedzieliśmy i płakali!”)⁹. Taka to dziwna łączność sytuacji, straszne, że właśnie nam, właśnie mnie przypadło w udziale przeżywać, i to jak istotnie, jeden z najtragiczniejszych momentów historii; że właśnie ja, aby znaleźć porównanie do mej sytuacji i przeżyć, muszę sięgać o tysiąclecia wstecz, odczuć

³ „Uświecenie” – krótka modlitwa, której celem jest uświecenie Imienia Boga. Odmawiana wyłącznie w obecności „minianu”, tj. 10 mężczyzn. Istnieje kilka wersji tej modlitwy, m.in. „Kadisz Josem”, o którym powyżej mowa, tj. kadisz osoby osieroconej, która odmawiając tę modlitwę, modli się także za zmarłych.

⁴ *Jimach szmoj* (hebr.) – niech jego imię będzie wytarte.

⁵ „Szema Israel, Adonai Elohim Adonai Echad” (hebr.) – „Słuchaj Izraelu, Pan jest Bogiem, jedynie Pan”. Jest to najważniejsze zdanie liturgii żydowskiej, najbardziej zasadnicze wyznanie wiary.

⁶ Tak wygląda to z perspektywy osoby niewierzącej i niepraktykującej. W religijnych środowiskach żydowskich ma to głęboki sens i znaczenie.

⁷ Kornel Ujejski (1823–1897) – pochodzący z okolic Lwowa poeta nawiązujący w swej twórczości do tekstów biblijnych, stylizujący swe wiersze na psalmy. Zwany ostatnim wielkim poetą romantyzmu. Chodzi tutaj o wiersz zainspirowany tekstem psalmu wspomnianego przez autora dalej. Wiersz ten zaczyna się od słów: „Płyną rzeki babilońskie, płyną, szumią w dal, Wiatr powiewa brzeżną trziną, nami chwieje żal, Nad wodami my usiedli o chlebie żebraczym – Ziemia święta, matko nasza! Kiedyż cię obaczym?” (z tomu *Melodie biblijne*).

⁸ „Al nyharot Bawel” (hebr.) – nad rzekami Babilonu.

⁹ Chodzi o Psalm 137(136).

swą łączność z rozbitkami jerozolimskimi, niestety – odczuć i zrozumieć Jeremiasza¹⁰. Nad rzekami Babilonu... w rowach fabryki budzyńskiej... i słowa psalmu, których dokładnie nie pamiętam; wezwanie: „Zaśpiewajcie nam wesołe pieśni Syjonu”¹¹ i rozkaz „czarnych”: „Warum Juden nicht singen?”¹².

Ech! Ta pustynia mezopotamska, te trupy spalonej Jerozolimy, te wymordowane kobiety, dzieci... Przeżyłem to samo trzy tysiące lat później. Widzę palące się stosy inkwizycji, szalejące pogromy w gettach niemieckich, tysiąclecia mąk i prześladowań. Europa, przez tysiąc lat wszecz i wzdłuż zlewana krwią Żydów. I oto teraz, tutaj – jeden z ostatnich rozbitków istniejącego niegdyś narodu: jeszcze mogą się zacisnąć pięści; bunt – nie wiadomo przeciwko komu.

Jako dziecko silnie przeżywałem opisy rzezi krzyżowców, widziałem umierających na stosach hiszpańskich z wołaniem: „Szema Israel!”, widziałem tłuszczę wciskającą się w getta dla rabunku, widziałem prześladowanych, uciskanych i mordowanych, utrzymujących się przy życiu tylko dzięki chytryści i zaradności. Kto nie sprostał, ginął na drodze tysiącleci. Selekcja naturalna, a ja przeżywam punkt szczytowy.

By dorosnąć do tej miary cierpień, trzeba być człowiekiem wielkim. Nas one otępiły, stanęliśmy zobojętniali wobec śmierci, która wciska się w każdy ułamek czasu, w każdą myśl, panuje nad świadomością. W cieniu śmierci pracujemy, jemy, śpimy, przenika ona najdrobniejszą czynność. Nie wierzy się w możliwość przetrwania, zapytuje się, czy jest sens tak się męczyć; po co się je, chodzi i żyje, skoro i tak wszystko to będzie wkrótce unicestwione.

Lecz mechanizm organizmu jest silniejszy, niezależnie od myśli i woli domaga się snu i jedzenia, instynktownie [narzucając swoje potrzeby psychiczne]. I wraca zwykła myśl o głodzie, przed oczami chleb. Życie jest silniejsze od śmierci, życie domaga się chleba. Zmaganie życia ze śmiercią.

Głód i samotność, ból wspomnień i beznadziejność jutra.

¹⁰ Jeremiasz (hebr. *Iremijahu*) – jeden z proroków biblijnych wywodzący się z rodziny kapłańskiej, żył na przełomie VII i VI w. p.n.e. Autor biblijnej Księgi Jeremiasza (przypisuje mu się także autorstwo Lamentacji – hebr. *Ejcha*).

¹¹ Nieścisły cytat z tegoż psalmu 137(136), 3: „Zaśpiewajcie nam którąś z pieśni Syjonu” (w tłumaczeniu Czesława Miłosza; zob. *Księga psalmów*, tłum. Cz. Miłosz, Paryż 1982).

¹² „Warum Juden nicht singen?” (niem.) – Dlaczego Żydzi nie śpiewają?

Zajst się chłopcem, dał mu drobny funt
kieszo' portmonet. To jednak wzięto jego
Gdy po kilku tygodniach mnie spotka
wsmiech jego był potny, wesoty ale nie
Zamierzajem nawet, że się bawił z krow
Przestał być dzieckiem. Stał się obżornym
ale jednak zawsze dużo wyżej stał od sw
kolegów, nigdy nie nabył ordynarności.
przeżył wszystkie obozy?

Dzień się zakończył normalnie.

Od tego dnia nie było nudy. Jedu
zare, dni jeszcze niczego zorganizować nie
Każdy z głodu potoczył na mnie serce, ciężką
obierając mi możliwość myślenia. Wiedzieli
robię, bezpośrednio, nie uznając catości
tych dni najstraszniejszej niecierpliwości.

W cato'ziennej nocy, gdy zebraliśmy się
laczni apelować do odmaru, Szypiański w
dobrowolnie się zgłasza do porostania u we

Walka o życie

Skończyła się i umywalnia. Przez parę dni nic nie mogłem zorganizować. Zaraz na-
zajutrz głód położył na mnie swoją ciężką łapę, odbierając mi możliwość myślenia. Wie-
działem tylko to, co robię bezpośrednio, nie będąc w stanie ująć całości. Jeden z tych dni
najstraszniejszej nienawiści.

Po całodzienniej udręce, gdy zebraliśmy się na placu apelowym do odmarszu, Szy-
piacki woła: „Kto dobrowolnie zgłasza się do pozostania w werku przez kilka godzin
dla wykonania pracy niecierpiącej zwłoki? Dostanie dodatkowo chleba”. Zgłaszam się
bez namysłu, wraz ze mną leci hurma oberwańców, głodnych cieni. Wybierają nadają-
cych się do pracy. Jestem jednym ze „szczęśliwców” – pozostałych odpędzają harapami.

Grupą dwudziestu ludzi odmaszerowujemy do budującej się kuchni dla Niemców.
Należy wybijać w betonowym suficie dziury, w które mają być wgipsowywane kołki dla
umocowania izolatorów elektrycznych. Dostajemy tępe majzle i małe młotki do krusze-
nia betonu. Po całodziennym znoju, rękami nadszarpanymi sznurami, którymi ciągnięto
maszyny trzeba teraz z całej siły walić w sklepienie, za każdym razem usuwając ledwie
widoczny ślad. Z dwudziestki zostaje nas w krótkim czasie zaledwie dziesięciu. Resz-
ta, lepiej od nas obznajomiona z warunkami werkowymi, rozbiegła się w poszukiwaniu
żarcia. My odrabiamy podwójną robotę – za siebie i za nich. W zamroczeniu z głodu i ze
zmęczenia, czekając na przyrzeczoną zupę, pracujemy przeszło dwie godziny. Po tym
czasie znudziło się i majstrowi niemieckiemu – zwalnia nas. Na dworze czeka zupa; oka-
zuje się jednak, że ci, którzy wymigali się od pracy, wyłowili już z niej wszystkie pożyw-
niejsze części. Jednak i to, co pozostało, ma jeszcze pewną wartość. Osłabiony z głodu
żarłocznie wypijam miskę zupy, potem drugą, wreszcie trzecią. Dokonałem tego, co wy-
dało się mi nieprawdopodobne przy przybyciu do obozu – na co patrzyłem i nie chciałem
własnym oczom wierzyć: wchlałem w siebie blisko cztery litry płynu. Jestem nalany, nie
mogę się ruszyć. Do odejścia mamy ze dwie godziny – mamy wracać razem z grupą pra-
cującą w innej części werku. Pozwalają nam kręcić się w pobliżu.

Werk ucichł, cisza rozlała się nad halami. Wieczór rozświetlony migotaniem gwiazd,
kręgiem księżyca, srebrzącym łąki ścielące się między halami. Zeskakuję z podmurowa-
nia wprost w wybujałe krzewy, dookoła mnie cisza, samotność, bezludzie. Po raz pierw-
szy od dwóch lat jestem na łące sam – nie rozglądając się, czy nie szczerzy zębów kara-
bin, nie oczekując krzyków i przeganiania.

Idę w głąb łąki. Zapominam o głodzie, o nalanym aż do dokuczliwości brzuchu. Czu-
ję woń kwitnącego tymianku, przepiękną woń rozkwitłych traw. Leżę wśród nich na zie-
mi, wsłuchując się w rozkwierkotanie pasikoników i świerszczy. Letnia noc, letnia muzyka
– głos łąk. Przede mną srebrzy się kwiecie łubinu, błękitnego w dzień. Ogarnia mnie roz-
kosz, głębsza niż kiedykolwiek na wolności, rozkosz bycia sam na sam z przyrodą. Leżę
– nad głową Wielki Wóz, załamanym dyszlem wskazujący [Gwiazdę] Polarną. Znów wi-
dzę tak dobrze znane konstelacje, których nazwy zdołałem zapamiętać. Znikł gdzieś obóz,
Niemcy, zamilkła wojna... przeżywam wzruszenia stare, ciągle niezmiennie, odczuwam
w pełni piękno. Błogość wsłuchania się w rzepolenie owadzie – łąka kipi życiem.

Ale wymowa tego obrazu w duszy jest zmieniona. Niedyś odczuwałem tylko tętno
życia, tylko piękno, tylko własne wzruszenie. Dziś wsłuchuję się w koci chód śmierci,
czającej się wszędzie dookoła. Czy głośniejsze bzyknięcie nie jest ostatnim szarpnięciem

struny świerszcza, w którego w tym momencie wpiły się ostre, żarłoczne kleszcze pasikonika? Czy śpiew nocny ptaka, dochodzący z pobliskiego krzaka nie umilknie tej nocy na zawsze, stłumiony krzywym sowim dziobem? Dziś dla mnie ten cień, który mignął nad głową, cień szeroko rozpostartych skrzydeł puszczyka, to jeden z fragmentów życia, ale także, a może i przede wszystkim, jeden z momentów śmierci. Dziś dla mnie bezgłośne sunięcie nietoperza oznacza śmierć tysięcy drobnych owadzych istnień. Rozświetlone, roziskrzane niebo nad głową niesie w sobie zimną pustkę przestrzeni międzyplanetarnych, w których króluje niebyt. Jakże silnie odczuwam własną nicość, którą w każdej chwili może zmieścić pistolet esesmański.

Wsluchuję się w rozgwar łąki. Niedyś, rzucony na tło mego wnętrza odbijał jego stan, dawał przeżycie piękna, dziwną radość, rozlanie w otaczającym cudzie, majestatyczny spokój, w którym trwałem, obawiając się zniszczyć go jakąś niepowołaną myślą. Dziś cud przestał być cudem. Dokoła wre walka, szarpie głód, rwący wnętrzności pasikonika, nietoperza czy puszczyka. Głód jest podstawą życia, głównym instynktem, kierującym większością czynności otaczającego mnie obecnie świata. Znikł majestat; nigdy już nie wróci. Przyroda przestała być mieszczańska, błoga, niosąca uniesienie. Stała się dla mnie żarłoczna, chciwa, niemiłosierna – niemiecka. Teraz w malowniczości kępki traw widzę walkę korzeni o soki, bezlitosne stłumienie wszystkiego, co może ulec przez silniejszych, bardziej wytrzymałych. Przyroda to zwycięstwo perzu. Jak ja w tej chwili duszę się w zwycięskich zwojach boa-esesmana, tak wszystko dookoła, opłatanе wzajemnie, walczy. Zwycięża silniejszy – jak w obozie, jak u Niemców. Nad wszystkim teraz ciąży śmierć – gnojowisko, na którym rośnie bujnie nowe życie.

Myślę o tych wszystkich nieżyjących, dzięki którym ja żyję; o tych, co pozostawili swoje mienie w gettach, w opuszczonych mieszkaniach, z czego tacy jak ja korzystali, by żyć. Prawdopodobnie dzięki mojej śmierci utrzyma się przy życiu ktoś inny. Współpraca życia i śmierci. Śmierć to tylko jeden z przejawów życia. Przyroda znowu jest tajemnicza. Ale to głęboka tajemniczość bezsensu nieskończenie wielu walk o byt, o życie niezmiennie i stale kończące się śmiercią-nawozem dla budowy nowego życia. To tajemniczość wiecznego przemijania i wiecznego trwania. Wiecznego, zwierzęcego strachu przed śmiercią wszystkiego, co żyje. Głód i strach – dwie najbardziej dominujące cechy życia.

Bezsens mojego własnego głodu i męki, walki o życie, mego trwania, ale i mojej śmierci. Bezsens istnienia i nieistnienia, nienawiści, ale i dobroci Zelmanowskiego. Bezsens mego czucia.

Ale jednak czuję i żyję, czuję rozkosz samotności tego wieczoru, jednak... Jednak ból na wspomnienie Sternbacha¹, jego rozmów o kalejdoskopie nieboskłonu. Ból ciższy, ciemności, w której kłębi się morze postaci, które przeminęły, o które zazębiły się wszystkie nici mojego istnienia, które uszły, znikły, dzierząc te nici mocno trwale. Nic mi tymi suną ich mary, zbliżając się do mnie jakby z wyrzutem, że ja jeszcze jestem. Widzę dziesiątki trupich, zastygłych twarzy, których faktycznie po śmierci nie widziałem, patrzących na mnie z wyrzutem, jakby pytających: skąd wzięłem to prawo do życia jeszcze. Byli silniejsi ode mnie, mieli większe prawo do istnienia. Przesuwa się drobnym kroczkiem Auerbach², lękliwy i myślący. Patrzy we mnie mocno Sternbach. Cisza,

¹ Zob. przypis nr 47 we „Wstępie”.

² Zob. przypis nr 52 we „Wstępie”.

brzezienna życiem, które było, ogromem myśli i twórczości, która przeminęła. Cisza, w której gra wieczna miłość mej matki – wyolbrzymioną twarzą patrzy we mnie, uśmiecha się swym cudnym, pełnym najgłębszego umiłowania uśmiechem, jakby ciesząc się moim widokiem, jakby mówiąc: „Musisz żyć! Zginęłam, byś żył! To jest moje najgłębsze pragnienie, temu oddałam całe swe życie, swoją śmierć! To było moje ostatnie zwrócone do ciebie słowo, moja ostatnia myśl...”.

Korowód bezgłośnie krzyczących cieni.

I oto w bezsensie znajduję sens, sens nierozumu, sens tego, com niegdyś miłował, sens dany ukochaniem tych wielu, wielu istot, które się przesunęły poza to, co możliwe do uchwycenia, które oddzieliła ode mnie bariera niemieckiej zbrodni.

Wstaję, by ujrzeć bezszelstny lot puszczyka siadającego na gałęzi na wprost mnie; by znieruchomić, wpatrując się w tę niesamowitą, sową twarz, wpijającą się we mnie dziwnymi, krągłymi oczyma. Spoglądamy na siebie wzajemnie: mam przed sobą nieodgadnioną, jakby ludzką – a jednak nieludzką twarz, kryjącą w sobie coś, czego nie mogę zrozumieć ani ogarnąć, co chciałbym uchwycić i co gubię. Rozwija skrzydła i znów bezszelstnie ulatuje, zostawiając mnie w niedopełnieniu czegoś, w co chciałbym wejść – a nie wiem, co to jest.

Wracam: w przerwany lot puszczyka śpiewie ptaków odczuwam znów to, co po raz pierwszy przeczułem w ostatnią noc przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 roku. Widzę siebie i Sternbachów siedzących na zagubionej ławeczce w Parku Stryjskim³, wsłuchujących się pięknym, czerwcowym wieczorem w śpiew słowików, dochodzący ze wszystkich otaczających nas krzewów. Śpiew nagle urywa się, jakby tym wszystkim ptaszkom jednocześnie podcięto gardła – przerwany lotem sowy. Czyż nie był to wieczór symboliczny? I nagle widzę, że dopiero teraz rozumiem. Głęboko, w pełni rozumiem nagły strach tych ptaków, rozumiem ich straszliwy byt, rozumiem, że trzeba było długo pasować się ze śmiercią, by doszła do świadomości na trwałe przypadkowość utrzymania się przy życiu.

Gwizd wzywa do powrotu. W roztargnieniu przechodzę wszystkie czynności zbiórki, pozwalam zrewidować się w poszukiwaniu chleba, ukradzionego w werkowej piekarni. W milczeniu wracam z drobną grupą – tym razem niebity, gdyż nie ma z nami „czarnych”, a tylko werkschutze. Nie słucham głupiej i obmierzłej paplaniny, a próbuję uchwycić szmer wiatru w wierzchołkach sosen lasu, przez który przechodzimy. Sięgam wzrokiem w ciemność, rozlewającą się nad rozciągniętymi wzdłuż drogi polami, z którą tak dawno nie miałem kontaktu, patrzę w zapomniany już widok światła w mieszkaniach Niemców z osiedla, po raz pierwszy widzę z dala czworobok światła dookoła obozu. Zwiększają się zarysy lamp, wchodzimy w cichy, uśpiony obóz. Jeszcze wydają nam w kuchni kolacyjną wodę i wracam do cichego baraku, przywitany u wejścia smrodem i widokiem starucha przykucniętego nad skrzynią, by lec umęczony na sienniku i jeszcze czuć w sobie spokój i samotność tego wieczoru – jedyne własnego wieczoru, jedynej własnej chwili w ciągu lat spędzonych w obozach.

³ Jeden z najpopularniejszych i największych parków Lwowa, założony w roku 1877, położony na górzystych stokach wąwozów. Wznosi się tam m.in. pomnik Jana Kilińskiego, w tradycji polskiej ta część parku nosiła nazwę „Park im. Jana Kilińskiego we Lwowie”.

wieprz i stędy z ostatem bez placówki.

Drugi etap obozu. Maschinenhaus
Motdawan przyjeżdżał mnie do tej kuchenki
nas piecimy. Z placu odchodzimy wraz z
mi i ślusarzami do hali VI. Olszyna
150 m długości około 80 m szerokości.
ce nie dokuczy, tu jest się zabezpieczyć
od deszczu. Z początku nie ma co robić. K
z godzinę, zapoznaniem się z nowymi towarzyszami
pracy. Jeden z nich dwudziestokilkuletni
z Warszawy, Diament i jego szwagier; starszy
pięćdziesięciokilkuletni, siny człowiek, m
(nie mój znajomy); czterdziestoletni Krasn
jeszcze jakas' fajza. Krasnki wyjmają go
i zapala. Ktoś się do niego zwraca, by zoi
miedopatek. Odpowiada: „Nie lubię przery
rosa w środku, zresztą nikomu mi nie
podobnie mi się to powiedzenie. Lubię szez
i jasną postać, bez wykrętów i obłędów,

Maschinenausladen¹

Moldawan przyjął mnie do tej komendy. Jest nas pięciu. Z placu odchodzimy wraz z blacharzami i ślusarzami do hali VI. Olbrzymia hala, 150 m długości, około 80 m szerokości. Tu słońce nie dokuczy, tu jest się zabezpieczonym od deszczu.

Z początku nie ma co robić. Kręcę się z godzinę, zaznajamiam z nowymi towarzyszami pracy. Jeden z nich to dwudziestokilkuletni drukarz z Warszawy, Diamand² i jego szwagier, starszy, pięćdziesięcioletni, siwy człowiek, Kaczka³ (nie mój znajomy), czterdziestoletni Krasucki⁴ i jeszcze jakaś łajza. Krasucki wyjmuje papierosa i zapala. Ktoś się do niego zwraca, by zostawił niedopałek. Odpowiada: „Nie lubię przerywać papierosa we środku, zresztą z zasady nikomu nic nie daję”. Podobą mi się to powiedzenie. Lubię szczerość i jasną postawę, bez wykrętów i obłudy, bez względu na stanowisko.

Drugi Kaczka głądzi i miele językiem bez przerwy, płotąc głupstwa. Po godzinie znajduje się praca. Należy przesunąć dwie maszyny na drugi koniec hali. Jedna z nich, niewielka dwuipółtonowa, druga olbrzymia, włoska frezarka i tokarka, ważąca osiem ton. To jest robota dla naszej piątki na cały dzisiejszy dzień. Do pierwszej piątki starczy, ale czy do drugiej?

Bierzemy się do pracy. Ze mnie jest jeszcze pożytek, jeszcze działa tydzień chlebowy. I zaczyna się kołowaczina. Podkładanie rolek, popychanie sztangami. Ale wysiłek fizyczny ogromny. Trzeba napinać ręce, wspierać się nogami o ziemię przy pełnym napięciu sił. Szybko się męczę. Utrudnia pracę Kaczka, który podkłada rolki i robi to idiotycznie, bez jakiegokolwiek wyczucia. A krzyczy i wrzeszczy! Z drugiej strony okazuje się, że szczupły i suchy Krasucki jest siłaczem nie lada. Starczy za trzech. Najlepiej pracuje Diamand, który ze znanstwem i doskonałym wyczuciem kieruje robotą.

Męczę się bardzo szybko. Po dwóch godzinach nie mogę się zdobyć na zaparcie się pełnymi siłami o ziemię i posunięcie maszyny, mimo że nie chcę, by inni pracowali za mnie. Pracujemy w odstępach czasu, z odpoczynkami, zważając, by żaden Niemiec nas na odpoczynku nie złapał. Maszyna posuwa się, po jakimś czasie jest na swoim miejscu.

Teraz czeka nas ciężki orzech do zgryzienia, frezarka. Jak w piątkę się do niej zabrać? I rzeczywiście; nie możemy jej ruszyć z miejsca. A tu już ręce omdlały, czuję zupełne wyczerpanie, już nie tylko z głodu, ale i z ogromnego wysiłku. Nogi drżą pod mną. Usiąść nie można. Na szczęście nie mamy nad sobą żadnego Niemca. Możemy pracować w wolnym tempie. Stosujemy różne sposoby, flaszencug⁵, i wolniutko, centymetrami, posuwa się [w końcu] naprzód.

Dzień się nie dłuży, mija szybko, cały dzień zajęty pracą, mozolną, wyczerpującą. Do wieczora nie przesunęliśmy jej o te 50 m. Nadchodzi upragniona godzina 5:30. Fajrant. Ścieram z twarzy i rąk oliwę, szoruję nawet twarz piaskiem, woda nie zmywa. Jestem wysmarowany, brudny, nie ma możliwości zmycia. W dodatku spodnie zaczęły się i nadarły, czy krawcy zechcą zaszyć? Uciekam na plac zbiórki i padam na trawę, czekając na odejście. Nie mogę się ruszyć, myślę ze strachem o drodze powrotnej. U Lewkowicza

¹ *Maschinenausladen* (niem.) – wyładowywanie maszyn.

² Brak bliższych danych.

³ Brak bliższych danych.

⁴ Brak bliższych danych.

⁵ *Flaschencug* (niem.) – wciągnik, wielokrążek (rodzaj dźwigni taśmowej).

był głód bez mordęgi, tu i głód, i straszliwa mordęga. Podchodzi Zelmanowski. Już samo jego towarzystwo działa kojąco. Ustawiamy się. Stoimy obok siebie, Zelmanowski, Zysman i ja. Czekamy. Zbiórka. Brakuje jeszcze jeden od kompletu. Cały obóz musi czekać. Po straszliwym dniu stój i czekaj. Usiąść nie chcę już, później nie można wstać i chodzić. Jak Szypiacki ustawi dziś kompanię? Czy moja będzie na końcu? Jeśli tak, to kiepsko, trzeba będzie boso biec pod górę prawie całą drogę do obozu.

Nareszcie upragniony gwizdek. Odchodzimy. Po drodze Zysman podaje komunikat niemiecki i opowiada mi, że w obozie junaków jest umywalnia, z której wyłowić można resztki jedzenia. To mi głęboko zapada w umysł. Jeśli mi się uda, to będzie jednak pewna poprawa sytuacji.

Wchodzimy do obozu i znowu pod kuchnię. Czekamy z godzinę. Siedzę pod przeciwnym barakiem i obserwuję. Koło kuchni kręcą się oberwańcy, łajzy, wychudłe strachy na wróble, tłoczą się dookoła stołów, usiłują się dostać do okienek, gdzie się wydaje zupę. Przy jednym wydaje kucharz Biały⁶. Machnie łyżką, nie nabierze pełnej porcji, nalewa w miskę. Przy okazji bije, poprzez okno, łyżką po głowach.

Dostajemy zupę ostatni. Jem i przypatruję się dalej. W kotłach została jeszcze zupa. Ta wiadomość rozchodzi się wśród wygłodniałych. Gromadzi się cała kupa przed okienkiem. Żebrzą, proszą, lamentują, nie mogą zmiękczyć kucharskich serc. Masa się jednak nie rozprasza, bije się między sobą, by być bliżej okienka, a nuż uda się jeszcze dostać zupy. Krzyk, przeklinanie, a nad wszystkim góruje ostry, piskliwy głos Białego, który wali chochlą po głowach. W końcu wyskakuje przez okno, rzuca się w tłum i ten silny, wykarmiony chłop ciska się w masę, wali na prawo i lewo osłabionych nędzarzy, gdzie popadnie. W pasji dopada jednego, obala go na ziemię, kopie. Ten zrywa się i ucieka, Biały goni za nim, dopędza go, znowu go powala, kopie butami, wali pięściami po głowie, po plecach. Ten krzyczy, zasłania się rękami, miską przysłania głowę. W końcu Biały się męczy.

Wraca do okienka, staje, uśmiecha się. „Zróbcie porządek, dam wam zupę”. Po krótkim bałaganie więźniowie ustawiają się przed okienkiem pojedynczo. Na przedzie młody chłopiec, twarz pokryta krostami, nogi owinięte w szmaty, wychudzony. Biały go pyta: „Chcesz zupy?”. „Tak, tak...”. Biały nalewa z kotła gorącej zupy do miski: „Na, masz”. Chłopiec podchodzi, wyciąga ręce, by wziąć miskę. W tym momencie Biały oblewa go gorącą zupą, parząc mu twarz, z góry na dół. „Chciałeś zupy, masz. Chcesz jeszcze?” – i śmieje się. Dobry, kucharski dowcip.

Łapie węża gumowego i skierowuje strumień zimnej wody na ogonek. Rozbiegają się. Biały znów zaśmiewa się znakomitym żartem. A zupa została w kotłach. Może była potrzebna dla nakarmienia Feixowych wieprzy? Czy też dla kucharskich abonentów?

*Maschinenkommando*⁷ – dzień drugi. Teraz nam przydzielili ośmiu chłopą, robota idzie szybciej. Po kilku godzinach frezarka jest na miejscu. Kończy się bezustanne pokrzykiwanie: „Heeej, rób! Raaazem!”. Dostajemy szmaty, mamy czyścić maszyny. To robota doskonała. Stoi się, rusza się rękami, faktycznie nic nie robiąc. Zapoznając się z Diamandem. Poczciwy chłop, koleżeński, bez forsy. Zakrada się do ślusarni i ukradkiem przerabia piłki do żelaza na noże, które zamienia na chleb. Z tego żyje jako tako.

⁶ Brak bliższych danych.

⁷ *Maschinenkommando* (niem.) – oddział maszynowy.

Każdą drobnostką dzieli się ze szwagrem, ale nie na odwrót. Poznać w nim [można] od razu człowieka, który faktycznie pracował w życiu, nie ma kupieckiej mentalności. Rozmawiam z nim krótko, po czym wychodzę, by się przyjrzeć obozowi junaków.

Niedaleko [od] wejścia, po lewej stronie stoi umywalnia. Ale wstęp do tego obozu wzbroniony jest dla naszych obozowiczów. Dowiaduję się, że inspektor obozu junaków to człowiek okrutny, który chodzi z dwoma tresowanymi wilczurami. Gdy kogoś złapie, smutny jest jego los. Mimo to postanawiam zaryzykować. W porze obiadowej szybko zjadam swoją wodę i wracam, kręcąc się za halą VI, pod obozem junaków.

Obserwuję ich zachowanie. Niedaleko umywalni jest kuchnia, gdzie odbierają właśnie obiad. Piękny, upalny dzień. Przykucają koło umywalni lub w pobliżu kuchni i pałaszują. Zauważam, że wielu z nich po paru łykach wchodzi do umywalni. Widocznie nie zjadają swoich porcji i prawie wszystko wylewają. W pobliżu kręci się jeszcze paru naszych obozowiczów. Widocznie mają te same plany co ja. Koło umywalni wielki ruch, junacy wchodzi i wychodzi. Teraz wejść nie można. A tu się zbliża pół do pierwszej, koniec naszej przerwy [obiadowej]. Wkrótce jednak ruch się zmniejsza, a nawet zanika. W tym momencie szybkim, ale równym i opanowanym krokiem przechodzę mostek nad rowem, wchodzę do domu i znikam w umywalni. Jednym rzutem oka ogarniam całość. W przejściu mignęły mi dwie kompanie junaków stojące piątkami na placu, przy nich inspektor z psami. Jeśli mnie psy teraz nie wytropią, jestem bezpieczny, gdyż inspektor zajęty, a żaden z junaków nie nadejdzie.

Środkiem umywalni biegnie koryto do mycia, w nim woda, pełna piasku i odpadki jedzenia. Dużo kartofli z wylanych zup. Nie mogę się zdobyć na wyłowienie ich. Wtem zakrada się jeszcze jeden obozowiec i bez namysłu pakuje je do ust. Nie namyślając się więc, wprawdzie ze wstrętem, ale robię to samo. Obrzydliwy smak mydlin, kartofle wygotowane i rozmokłe od leżenia w wodzie, pełno w nich piasku pozostałego po szorowania naczyń. Nie zważam na nic, łykam bez namysłu, rzucając okiem przed drzwi dla obserwacji placu. Tam robi się ruch, szybko więc wychodzę i wykradam się z ich obozu. Udało się.

Wracam na salę. Mam pełny brzuch obrzydliwości – ale pożywnych. Mogę łatwiej znieść popołudnie. Żałuję, że nie miałem menażki. Lepiej byłoby zamiast zjadać na miejscu nabierać do menażki. Jedzenie zabiera czas, a zbierając, można więcej użyć. Postanawiam pożyczyć jakieś naczynie.

Tak minął dzień drugi. Bez pracy, lekko się pożywiłem. I tak w żołądkowym polowaniu gubi się człowiek. Zatracają się zainteresowania, ztraca myśl, pozostaje brzuch zawsze wołający o swoje; jeśli napchany, to strach przed następną godziną, strach przed przyszłym głodem. Powoli, pomaleńku, z dnia na dzień zmienia się psychika człowieka. Upodobnia się on do psa włóczęgi, wiecznie goniącego w poszukiwaniu żywności, którego życiowa perspektywa ogranicza się do myśli: „Czy to do żarcia, czy też nie ma dla mnie wartości?”. W ogólnym rozluźnieniu wspólności gubi się i własna łączność – samotny pies włóczęga.

Jeśli staram się chwilami myśleć o rzeczach, które dawniej mnie interesowały, to muszę się do tego zmusić i to nie na długo. Myśl zatraciła poziom, stała się drobnostkowa, czepiająca się spraw codziennych, nie umie się wydostać poza widnokrąg miski. Poza nocami, w czasie których ciągle jednakowo męczą mnie i prześladują koszmary, zapomina się o wszelkich przejściach, zapomina się o rodzinie, o ideach. I znów jak u psa

włóczęgi. Tak jak ten, zapomina po kilku godzinach czy dniach o dzieciach mu zabranych, czy też silnych przejściach, tak i u mnie zdobywanie żywności, harówka, ciągły głód lub strach przed głodem zabijają wszelkie życie umysłowe, uczuciowe. Jedyne momenty, gdy one z lekka ożywają, to droga do werku i z powrotem, gdy w chwilach wolnych od bicia „czarnych” rozmawiam z Zelmanowskim i Zysmanem.

W obozie, po powrocie, syci mogą odpocząć, ci, którzy mają jakieś środki, mogą porozmawiać. Ja muszę kombinować, by się zakraść do innej kompanii i wydostać jeszcze jedną miskę. I to wkrótce zawodzi. Gdy zauważyłem, że zastępca kompanijnego zwrócił na mnie uwagę (a byłby mi powiedział najwyżej kilka słów na uboczu, i na pewno uprzejmie, gdyż był to jeden z najporządniejszych funkcjonariuszy), zrobiło mi się nieprzyjemnie i zaniechałem tego na zawsze. Nikomu zresztą tym krzywdy nie wyrządziłem, była to „organizacja”, bez okradania kogokolwiek.

Gdy syci odpoczywają, ja muszę czekać na wydanie chleba, aż kompanijnemu zechce się odebrać, aż przyjdzie grupowy i wyda; jeśli się nie jest obecnym, dostaje się czasem porcję równą połowie normalnej. A nie mogę sobie pozwolić na ten luksus. Gdy mnie w tym czasie Kaczka (pierwszy, nauczyciel) zapytał, jak żyję, poza kłopotami materialnymi, odpowiedziałem mu: „Żyję w misce i nie mogę dojść do tego, by wyściubić nos poza jej brzeg”.

W tymże czasie przez Zysmana poznałem Schönmana⁸. Znałem go z widzenia. Młody chłopak, szesnastoletni, z nogą w gipsie. Pewnej niedzieli wmieszałem się, po obozowemu, do rozmowy, jaką prowadził z Zysmanem. Zareagował niegrzecznie, słusznie zresztą, niejednokrotnie i ja tak reagowałem na natręctwo. Po przedstawieniu mnie przez Zysmana rozpoczęliśmy rozmowę na tematy z fizyki. Chłopak był ogromnie uzdolniony, miał rozległe zainteresowania humanistyczne i przyrodnicze, pomimo braku odpowiedniego kształcenia. Miałem z nim wiele rozmów przez czas tego obozu. Był w dobrych warunkach, gdyż wuj jego był lekarzem obozowym. Przez kilka niedziel pod rząd dawałem mu lekcje matematyki, lecz rozpadło się to z różnych przyczyn po kilku razach. Bardzo dużo miłych chwil dały rozmowy z nim.

Po kilku dniach pracy przy maszynach dostał się tam i Zelmanowski. Zachęciłem go do tego, gdyż przez tych właśnie kilka dni nie było tam wielkiej roboty. Lecz miał pecha. Właśnie wtedy zaczęła się harówka, i to na trwałe.

A myśl bez przerwy obraca się w kręgu żarcia. Ciągłe przemysłiwam, jak je zdobyć. Obserwuję otoczenie. Zmienili się w ciągu sześciu tygodni warszawianie. Z wyjątkiem nielicznych, już masa ich stała się podobna do starych obozowiczów. Chodzą obdarci i brudni. Z moim transportem przyjechało wielu inteligentów. Duża część z nich ma środki albo otrzymuje pomoc za pewne drobne lub większe usługi (jak np. przechowywanie pieniędzy) od innych. Część jednak nie ma żadnych możliwości tego rodzaju i znajduje się w sytuacji podobnej do mojej. Zauważyłem jednak poważną różnicę pomiędzy nimi a sobą. Są obrzękli – z chorób i słońca, albo wyczerpani, poruszają się z trudem, wyczerpanie ich widoczne [jest] z daleka w wyrazie twarzy, [w] przygaszeniu, braku energii, utracie wszelkiej nadziei. Unikam rozmów z nimi, gdyż drażni mnie ich

⁸ Brak bliższych danych. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że jest to autor anonimowych wspomnień, o których była mowa wcześniej. Ten bowiem także miał na nodze gips i tylko reakcja żydowskiego komendanta obozu uchroniła go przed zamordowaniem przez Feixa (zob. *A jednak miesiam czasem sny...*, s. 84).

bezustanny lament. Wieczne narzekanie i ciągle powtarzające się pytania: „Co będzie? Co z nami będzie?”. Na słowa otuchy zawsze mają kontrargumenty na niekorzyść, typowo inteligenckie rozdzielanie włosa na czworo.

Nie można w nich tchnąć ducha, jeśli się czasem zdarzy, że rozmowa zejdzie aż na tak „wysokie” tematy. Podczas gdy u mnie jest głębokie przekonanie, że jeśli mnie nie zastrzelą czy nie zagazują, to ja się chorobom i głodowi jednak nie dam, u nich występuje zupełna rezygnacja. I zauważyłem u tych inteligentów zupełną utratę godności osobistej, człowieczeństwa. Raz zaobserwowałem, jak po rozdzieleniu łyżki marmolady, komuś nieco marmolady upadło na drogę obozową – nic nieznacząca czerwona plamka kurzu. Nie wpadłoby mi na myśl, by się nią w ogóle zainteresować, a byłem w czasie największego nasilenia głodowego. Dwóch inteligentów stojących w pobliżu podwleкло się, z kurzu wylizywali tę odrobinę marmolady palcami, kłócąc się przy tym. Wstręt brał mnie do nich, do ich zupełnego zatracenia własnej osobowości. Chyba że jej nigdy nie mieli.

Może byłem silniejszy od nich tym, że przeszedłem już bodaj silniejszy trening głodowy i wyszedłem z niego zwycięsko, przy straszliwie wyczerpującej pracy na Ostbahnie lwowskim wiosną 1942 r.? Może objawem mojej siły była właśnie owa nienawiść do otoczenia, której śladu u nich nie zauważyłem? Dużo też mogła znaczyć większa odporność mojego organizmu, mimo że potrzebował on też więcej pokarmu dla podtrzymania energii, większa wytrzymałość fizyczna. Dla nich niemożliwością byłoby zakraść się do umywalni czy do kartoflanej piwnicy. Ja dość szybko odrzuciłem zabójczy w tym wypadku balast inteligenckich przesądów i to robiłem. Dla mnie natomiast niemożliwością było podniesienie z ziemi, zwłaszcza przy Niemcu, skórki od chleba, która komuś wypadła z ręki, lub wykończenie miski, którą ktoś obcy zostawił przy stole, mimo że cały organizm rwał się do tego. Nie mógłbym wyciągnąć ręki. Inną była sytuacja, w której ktoś znajomy zwrócił się do mnie wprost z propozycją, czy bym nie wykończył jego zupy. Ileż to razy zdarzało mi się, że koło mnie w czasie głodu stała miska z odrobiną na spodzie resztek – nie tykałem takiej. Dwa czy trzy razy zdarzyło mi się, że nie wytrzymałem. A oni rzucali się na to łapczywie, stale szukali takich możliwości, brak im natomiast było odwagi na zaryzykowanie np. kradzieży kartofli, która była względnie łatwa.

z ziemi, wykonać miszkę, którą ktoś obcy
wił na stole po miarę, że cały organizm
się do tego. Nie mógłbym wyciągnąć ręki.
była sytuacja, gdy ktoś znajomy zwrócił
do mnie uprząst, czy nie wykonasz jego
Głęboko rozmyślałam się, że jako mnie w
głodu stała miszka z odrobiną, na spory
resztek; nie tykałem łabiej, zalarzyło
to dwa lub trzy razy. Oni rzucali się na
stół, wrzucali tego; brak im było odwagi
zaryzykowanie kradzieży kartofli, które były u
lata. ~~depsi pauci nie odwracali się~~

A tymczasem pracuję przy maszynach.
jenniej bo z Zelmanovskim. Jednak warunki
się pogorszyły. Dostaliśmy dwóch nagania
russkich, jeden aż z za Rosowa, drugi też z
Drugiej, człowiek cichy, nieznacznie ubiór sowie
głównie dla zaimpiecia Rosciot's i z przyrzu
religijnej. Człowiek ograniczony, ciemny, a

U kresu sił

A tymczasem pracuję przy maszynach. Przyjemniej, bo z Zelmanowskim, jednak warunki pracy znacznie się pogorszyły. Dostaliśmy dwóch naganiaczy, ruskich: jeden zza Rostowa, drugi też gdzieś z Rosji. Ten drugi człowiek, cichy, nie chce się przyznać, ale do Niemców przeszedł dobrowolnie: z nienawiści do ustroju sowieckiego, głównie za zamknięcie kościołów; z przyczyn o charakterze religijnym. Jest to człowiek nieco ograniczony, ciemny, ale spokojny, nigdy nikomu nie dokuczy – raczej chwilami pomaga. Natomiast ten pierwszy stał się [dla nas] udręką. Do Niemców również przeszedł dobrowolnie, ale bez żadnych uzasadnień ideowych – po prostu z oportunizmu i chęci zysku. Nieludzkie bydlę, zezwierzęcone: sam ogromnie silny, dobry robotnik, odżywiający się znakomicie (zajadał się stale białymi bułkami) – żądał tego samego od nas. Jeżeli nie mogliśmy podolać, napędzał kijem. Już po moim odejściu z tej placówki, przy naganianiu, zdzielił jednego pracującego żelazną sztangą po głowie, zabijając na miejscu. Ten drugi niejednokrotnie wyrażał się o nim z pogardą: sam, jeżeli nawoływał do roboty, to używał określenia „chodźmy” i [rzeczywiście] współpracował z nami. Pierwszy, którego nazywaliśmy Rusem, brutalnie napędzał nas batem, jak zwierzęta. Obaj mieszkali w okolicy, we wsi. Przez chłopów byli znienawidzeni: raz w rozmowie skarżyli się, że nikt nie chce im nic sprzedać ani nawet mówić z nimi.

Skończyły się dobre czasy czyszczenia maszyn – teraz nadchodził wagon za wagonem; jeszcze jednego nie wyładowano, a już czekał następny. Pędzono nas i poganiano ze wszystkich stron: wyładowywanie musiało odbywać się w terminie, gdyż pusty wagon musiał być w terminie odstawiony na stację. Dni stały się upiornie męczące. Pod wieczór ślanialiśmy się na nogach. Dzień w tym okresie wyglądał mniej więcej tak:

Słyszę gwizd. Jeszcze tkwię w bezładzie snu, jeszcze błądzi gdzieś wizja nocna, dręczące mamidła ulatniają się. Wszystko to ulatnia się, pozostawiając na powierzchni jedną z pierwszych myśli na jawie: już dzień. Kurczę się w sobie, chcę uniknąć nadchodzącego dnia.

W zaczynającym się tumultcie, rozgwarze otoczenia zasłaniam twarz rękami, obracam się brzuchem do siennika – chcę powstrzymać uciekający odpoczynek, odwlec moment wstania, odepchnąć od siebie koszmar dnia.

Szybko, z pełną wyrazistością staje mi w oczach obraz mordęgi; już słyszę poganianie Rusa – jawa, pełna jawa. Leżę już w pełni rozbudzony, odpycham od siebie rzeczywistość. Nie chcę słyszeć głosu lamentującego z powodu kradzieży butów, kłótni dwóch sąsiadów – chcę zyskać na czasie jeszcze kilka minut leżenia. Nie mam po co wcześniej wstawać, ubrać nie mam co, myć się nie pójde: tu nie ma piasku do szorowania rąk... Leżeć. Gdyby dali jeszcze godzinę.

Nad rozgwarem zapanowuje tubalny głos Rudego: „Aufstehen! Aufstehen!”¹. Nie chcę. Czuję szarpanie za nogę; Rudy przeszedł. Leżę dalej. Krzyk, hałas. Niedaleko ktoś kłóci się z kimś, że dzisiaj jego kolejka na przynoszenie kawy. Ciągłe leżę z głową obróconą do siennika, wykorzystując jeszcze kilka minut odpoczynku. Wkrótce jednak zganiają wszystkich. Nie ma rady – podnoszę się, naciągam spodnie, wkładam marynarkę, jestem ubrany. Znowu boso. Czuję silny ból w udach. Ciągący ból w rękach. Przypa-truję się dłoniom: czarne od oliwy maszyn, popękane, stwardniałe, trudno je zgiać, boli

¹ „Aufstehen! Aufstehen!” (niem.) – Wstawać! wstawać!

poruszenie stawów. Widać ślady wczorajszego tarcia o piasek, ale bez mydła wyczyścić nie sposób.

Siedzę na pryczy. Przechodzący klną, potracając ciągle o nogi na wąskiej przestrzeni. Schodzę – stopy i uda aż bołą, gdy pierwszy raz na nich stoję. Kilka pierwszych kroków jest niepewnych, jakbym poruszał kłocami, jakby to nie były moje nogi. W całym ciele drży jeszcze napięcie wczorajszego wysiłku – zapierania się w ziemię przy przesuwaniu maszyn. Na dworze już jasno: to czerwiec, najdłuższe dni w roku.

Na wprost baraku niebo czerwieni się zorzą świtu. Różowią się obłoki. Z dala, na widnokręgu, na tle niskich krzewów – wyłania się brzeg kręgu słonecznego, widzialnie znosząc swą purpurę, powiększając się w oczach.

Świt – piękny, płomienny, nienawistny: zwiastun dnia, zwiastun niemieckiej przemocy, niewoli, niemiecki świt. Świt w tamtym, drugim świecie, świt poza drutami. Tu – przekleństwo. A jednak jak co dzień, mimo przytłumienia uczuć, mimo ośpienia, które stało się trwałą cechą naszej osobowości, mimo wrogości, jaka w nim tkwi, świt ten narzuca się swoim pięknem. Nie patrzę długo, a czuję go w sobie. Nie daje mi już uniesienia jak dawniej, nie przejmuję swym cudownym kolorytem, ale mimo wszystko czuję jego malarskość. Wciąż jeszcze widzę kontrast szkarłatu dysku i ciemnego tła fioletowięjących chmur na zachodzie. Tam ucieka noc.

Przez mgnienie oka oceniam to wszystko i skręcam na barak. Idę drogą między barakami, wychodzę na szerszy plac. Poważnym krokiem, poćwierkując między sobą, uciekają przede mną dwie śmieciuchy, podobne do skowronków. Idę dalej, dochodzę do długiej szopy. Klozet; siadam. Zaczyna się poranna rozmowa, towarzysząca załatwianiu się. Zdajemy sobie sprawę z różnych lagrowych nowin: tu jest teren rozpowszechniania się najdzikszych plotek.

Front gdzieś pod Orłem, a tu pytają codziennie o to samo: czy to prawda, że Rosjanie zajęli Wilno? Zapewniają przy tym, że to z wiarygodnego źródła, że tak powiedział komuś Niemiec, że ktoś to słyszał przez radio... Nie próbuję zaprzeczać, nie uwierzyliby mi i tak. Zostawiam pytanie bez odpowiedzi. Raz zdarzyło mi się, że pytający zaczął się ze mną kłócić, że mu zaprzeczam, że mu psuję iluzję, bo on chce się cieszyć dobrą nowiną, choćby była nieprawdziwa.

Dookoła czekający kłócą się z siedzącymi, napędzając ich: ścisk, nie można się dopchać. Niektórzy załatwiają się koło klozetu, we wgłębieniu, w którym zagrzebano już 350 ofiar Feixa. W obozie brak papieru. Są szczęśliwcy, którzy mają go pod dostatkiem: wielu z nich nie chce oddać ani kawałka innym. Większość go nie używa. Niemiecka higiena.

Wracam do baraku. Na wieży strażniczej nudzi się Ukrainiec, wyśpiewując coś na głos. Karabin skierowany jest na obóz. Śpiewowi Ukrainka wysoko, gdzieś w przestworzach, towarzyszy śpiew skowronka. Wolnym, zmęczonym krokiem idę z powrotem. Pomimo że to czerwiec, poranki są chłodne. Od ziemi ciągnie zimnem, chłód przejmuje na wskroś. Tego chłodu nie odczuwają ci tam, za drutami: tam nazywa się to przyjemnym chłodem poranka. Tam rozkoszą bywało nawet w dni majowe, znacznie zimniejsze, chodzenie świątem boso po gęstej rosie, tu się dygoce; tu lada ochłodzenie na skutek tego, co naukowo nazywa się brakiem kalorii – a tu głodem – powoduje dygotanie.

W baraku zaduch; ciepły, lepki smród lepszy jest jednak od zimnej wspaniałości wschodu. Dzielą kawę: czasem gorąca, czasem letnia – nigdy nie starczy dla wszystkich.

Biją się o nią ci, którzy mają coś do zjedzenia, a najbardziej „muzułmanie” – najbardziej wygłodzeni, opuchnięci, [którzy] wypijają nieprawdopodobnie jej ilości. Zastanawiam się: po co? Chyba aby jeszcze bardziej opuchnąć. Jak zwykle w tym okresie – kawy nie odbieram. Wstręt mnie bierze nawet na myśl o tym bezwartościowym płynie. Wody jest aż za dużo na obiad i wieczorem. I bez niej człowiek musi wstawać każdej nocy po trzy lub cztery razy.

Czasu jest sporo: budzą nas przedwcześnie, zawsze jest co najmniej pół godziny czekania na zajęcia. Podchodzę do pryczy Mirskiego, zamieniam z nim kilka słów i siadam w oczekiwaniu. Ponuro – jeden z tych najcięższych momentów dnia, kiedy głód najbardziej dokucza na widok jedzących dookoła. Ciągłe to samo – oczu nie można oderwać od chleba, czekanie się dłuży. Na wpół drzemię – chciałoby się, żeby nie nadszedł gwizd na wyjście. Męczy lęk przed katogą dnia; męczy bezruch, beczynne siedzenie, oczekiwanie. Koło mnie siedzi grupowy Lewinow²: opowiada o swoich zdobyczach miłosnych Wissenbergowi³. Wiecznie to samo – Wissenberg opowiada po raz nie wiadomo który o swoim bracie coś, co mi zawsze wylatuje z głowy. Lewinow wypala swojego codziennego papierosa po śniadaniu, częstuje mnie niedopałkiem. Nigdy go o to nie proszę – a wiele razy poczęstował mnie i całym papierosem: jak na obóz jest to bardzo dużo. Ktoś prosi Wissenberga, żeby zostawił mu niedopałek. Ten albo odmawia, albo – manifestując swą niechęć – zostawia parę „cugów”. Czekanie męczy.

Gwizd: wychodzimy. Ustawiamy się za barakiem. Jestem w drugiej grupie drugiej kompanii, razem z Zysmanem i Zelmanowskim. Stoimy tak, by w marszu być w jednej piątce. Kogoś brakuje, Lewinow się niecierpliwi; w końcu – jak zwykle spóźniony – pokazuje się Kaczka. Segalowicz (kompanijny) wpada w pasję, wściekły wali spóźnionych harapem. Kaczka ma pecha, obrywa najwięcej. Wreszcie stan się zgadza. Maszerujemy na plac i tu zaczyna się stanie.

Zimno – słońce się wzniosło, ale jeszcze za słabe, by mogło ogrzać. Zysman komuś tłumaczy, skąd pochodzi zjawisko pozornie mniejszej średnicy na niebie od średnicy na widnokręgu o zachodzie i wschodzie. Koło mnie dwóch rozmawia o wczorajszej zupie; zaczynają się narzekania na kucharzy. Kilku gryzie surowy groch – zastanawiam się, gdzie oni go zdobywają. Wszystkie kompanie wmaszerowały na plac. Wchodzi Szypiacki – pełen tupetu, życia, w eleganckim wojskowym mundurze. Nie ustoi na miejscu, kipi wprost energią. Podchodzą kompanijni, ustawiają się rzędem przed Szypiackim – ten podnosi gwizdek do ust: długi, przeciągły gwizd. Komenda Szypiackiego: „Stillstand!”⁴, cały obóz stoi na baczność. Codzienna ceremonia zdawania meldunków przez kompanijnych, po wojskowemu: salutują, zdają raport. Śmieszne to i głupie w naszych warunkach; wprowadzone przez byłych jeńców, uznane przez Feixa.

Raport się kończy, znowu gwizd i komenda: „Rührt euch!”⁵. Zaczyna się gwar, który momentalnie się ucisza, gdy wchodzi Feix. Ten normalnie wykrwawia kilku, po czym komenda: „Rechtsum!”⁶. Przygotowujemy się do wymarszu. Koło baraków trwają krzyki policjantów, poszukujących ukrywających się i bijących ich. Stoimy koło siebie

² Brak bliższych danych.

³ Brak bliższych danych.

⁴ „Stillstand!” (niem.) – Baczność!

⁵ „Rührt euch!” (niem.) – Spocznij!

⁶ „Rechtsum!” (niem.) – W prawo zwrot!

trójką, z Zysmanem i Zelmanowskim. Zysman opowiada najnowsze wiadomości polityczne. Zna lekarzy, a ci mają wiadomości z Londynu. To, co mówi, jest przemyślane i do rzeczy. Jeżeli czegoś nie jest pewien, wyraźnie to zaznacza.

Wychodzimy. Jak zwykle przebiegamy koło bramy i furtki wartowniczej. Z początku wszystko jest w porządku: kompanie wydzierają się na cały głos. Wszystkie teraz śpiewają pieśń, którą upodobał sobie Feix: „Ma-ri-an-na!...”. Wkrótce jednak szyki się psują. Szypiackiemu w dniu wczorajszym coś się nie podobało. Postanowił ukarać obóz – sam więzień, a znęca się nad całym obozem. Prowadzi szybkim marszem. Grupa jeńców na przodzie maszeruje w zwartych szeregach szybkim krokiem. Zaraz za nimi jednak tworzy się bezład: szyki się psują, powstają luki. „Czarni” mają ulubione pole do popisu. Puszczają w ruch kolby, zapełniają luki. Cały ogromny wąż ludzi pędzi biegiem. Kilka kroków marszem, kilkadziesiąt biegiem. Starsi zadyszani, nie mogą złapać tchu: ciągle ktoś się przewraca. We wstawaniu pomaga mu karabin „czarnego”. Ci żądają przy tym bezustannego śpiewu. Sam już dyszę, od biegu kłuje w piersiach. Mijamy drogę wiodącą do Lublina, wpadamy w las, dobiegamy do werku. Jeszcze w werku biegniemy – zgrzani, spoceni; skaleczyłem się w nogę. Nareszcie plac rozdzielczy. Pół obozu rzuca się w bok, żeby się odlać: każdy obozowicz cierpi na pęcherz. Niestychane ilości wody, jakie w nas wlewają, mają swój wpływ. Płyną z nas fontanny, o jakich nie ma wyobrażenia człowiek na wolności. Rozpiera, aż boli. Kompanijni na to nie zezwalają, krzyczą, niektórzy biją, ale nikt ich nie słucha – fizjologiczny mus jest silniejszy... Po krótkim czasie jesteśmy podzieleni według placówek.

*Maschinentransport*⁷ idzie za blacharzami. Szybkim krokiem odmaszerowujemy w kierunku hali VI.

Już z daleka widać wagon z maszynami. Zbliżamy się do hali udręki. Nad wagonem flaszencug⁸. Już przy zbliżaniu się zaczyna ogarniać cierpienie. Koło wejścia wyraźna sylwetka Rusa. Wita nas mruczeniem – nieprzychylnym, zjadliwym. Jeszcze nie ma szóstej trzydzieści – początku pracy, a on już gna. Musimy pędzić na przeciwległy kraniec hali, aby przynieść rolki, sztangi, łańcuchy. Dwie rolki zostały wczoraj zgniecione olbrzymim ciężarem maszyny. Wyszukuje więc długą rurę i pędzi mnie z Zelmanowskim z tą rurą do szwajserów⁹, by ją przeciąć. Rura ciężka, mimo to zmusza nas do dotrzymywania kroku. Szwajserzy jeszcze nie rozpoczęli pracy, ale on ich pogania, zmusza do szybkiego przecięcia. Wracamy z trzema nowymi rolkami do wagonu.

Tu – praca w pełnym toku. Liny oplecione dookoła maszyn, zaczepione o hak flaszencuga. Ciągniemy za łańcuch: wczepiamy się dłońmi, napinamy mięśnie, wydobywamy wszystkie pozostałe jeszcze siły. Maszyna ledwo drga. Unosi się milimetr za milimetrem. Już z rana, przy pierwszej robocie nie czuje się rąk. A tu przed nami cały długi dzień, tylko że nie ma czasu myśleć. Zwariowany Rus miota się, wrzeszczy: „Job twoju mat’”, gna krzykiem i batem – jak woźnica popędza konie ciągnące ciężar ponad siły.

Maszyna już się uniosła: zawisła w powietrzu, każde pociągnięcie łańcucha podnosi ją o kilka milimetrów, każde jej uniesienie o kilka milimetrów to szmat życia wyrwany ludziom śmiertelnie umęczonym. Nie możemy więcej. Rus widzi wyczerpanie, zmienia

⁷ *Maschinentransport* (niem.) – transport maszynowy.

⁸ *Flaschenzug* (niem.) – wciągnik, wielokrażek (rodzaj dźwigni taśmowej).

⁹ *Schweisser* (niem.) – spawacz.

nas – nie ze względu na nasze wyczerpanie, ale dlatego, że w tym momencie nie nadajemy się do pracy. Chwila wypoczynku: ręce opadłe bołą jeszcze teraz – nie można wyprostować palców, na których, jak na glinie, odcisnęły się ogniwa łańcucha. Głodu się nie czuje – nie ma czasu o nim myśleć. Za chwilę harówka zacznie się na nowo.

Tymczasem druga para ciągnie. Zacięli usta, twarze zaczerwienione, oczy wyłazą na wierzch, jednemu przez szpary zaciśniętych zębów wysunął się język – a Rus krzyczy: „Dawaj, dawaj!”. Powoli, pomaleńku maszyna wznosi się, jest już ponad brzegiem wagonu... Przerwa, teraz trzeba wagon odsunąć. Mam wleźć pod wagon, sztangą poruszyć koło. Pozostała piątka ma odsunąć wagon, z którego odsunięto dopiero jedną maszynę. Naładowany jest jeszcze jakimiś dwudziestoma pięcioma tonami – prócz ciężaru własnego.

I znowu Rus działa. Towarzysze zapierają się nogami o ziemię, jeden woła: „Ra-a-zem! Ra-a-zem!”, ja sztangą podważam koło. Wagon rusza. Wyskakuję spod niego i zapieram się również. Teraz, gdy ruszył, nie może stanąć. Musi się go pełnym wysiłkiem popychać, gdyż inaczej znowu trzeba go będzie wzruszać, znowu czekałby nas najstraszliwszy wysiłek poruszenia go z miejsca. Odsuwamy wreszcie wagon o kilkanaście metrów. Wracamy do maszyny – teraz ją trzeba opuścić. Opuszczanie to najłżejsza część pracy, trzeba przy tym wychylić maszynę poza tor, tak by osiadała wprost na rolkach. Gdy już siedzi na rolkach, sztangami trzeba ją popchnąć, popodkładać w tempie rolki, wymieniając nowe na stare i w ten sposób odsunąć o kilka metrów. Po tym jak najszybciej trzeba wrócić do wagonu, który ma być w ciągu tych kilku godzin wyładowany. Przysuwamy wagon z powrotem, znowu oplatamy liny dookoła następnej maszyny i robota idzie od nowa swoim trybem.

Nadchodzą panowie pracujący w AEG¹⁰. Są to więźniowie z otoczenia Mirskiego. Lekka, biurowa praca. Dla załatwienia jakichś czynności urzędowych (albo pod ich pozorem) spacerują sobie po hali. Zaciekawiają ich maszyny. Podchodzą do nas. Nie zwracają uwagi na naszą mordęgę – my ich nie obchodzimy, tylko te nowe, piękne maszyny. Do jakiego celu one służą. Dla mnie ich celem jest zamordowanie mnie, czuję w nich wrogą siłę. Przykładem jest ta niemiecka wiertarka. Dla mnie ta maszyna jest pełna krwi. Na wagonie widzę kartkę: „Nadawca: Heinkel, Oranienburg”¹¹. W tych kłocach, którymi poprzybijane są maszyny do wagonu, widzę obóz koncentracyjny; ten wagon jest dla mnie pełen życia towarzyszy niedoli w Oranienburgu, tak samo gnanych i bitych jak ja. A tamci widzą tylko maszyny, interesują ich abstrakcyjne pytania w rodzaju: „do czego to służy?” itp. A potem pójdą do swojego biura, do chleba i słoninki. My, wymordowani przy tych maszynach, ich nie interesujemy.

W wagonie, na ścianie znajdujemy dwa napisy: jeden w języku rosyjskim, drugi we francuskim, podające nazwiska ładujących wagon w Oranienburgu i miejsca, skąd pochodzą. Innym razem znów znalazłem napis rosyjski: „Przy ładowaniu tego wagonu zabili...” – i tu było podane nazwisko zabitego.

A praca trwa bez przerwy. Rus nie pozwala wyjść do kłozetu na dłużej niż pięć minut. Słabnie się z chwili na chwilę, po kilku godzinach pracuje się nieprzytomnie, zupełnie

¹⁰ Allgemeine Elektrizitäts-Gesellschaft – niemiecki koncern elektrotechniczny. Ponad połowa jego produkcji była przeznaczona na potrzeby przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy.

¹¹ Chodzi o wspomnianą we „Wstępie” fabrykę lotniczą Ernsta Heinkela, produkującą na potrzeby lotnictwa III Rzeszy. Fabrykę w Oranienburgu Ernst Heinkel otworzył w roku 1936.

nie widząc, co się robi. A jeszcze od czasu do czasu przejdzie jakiś Niemiec, wrzeszcząc: „Los! Arbeiten! Bewegt euch, ihr Sauhunde!”¹².

Gorączkowa, zupełnie nieprzytomna robota ostatkami sił. Wyczerpanie ogromne – ale zupełnie innego typu niż z głodu. Takie jak wtedy, na Ostbahnii lwowskim. Wydaje się, że ten wagon nigdy się nie wyładuje. Jakby w nim przybywało maszyn. Wreszcie wytaczamy pusty wagon. Przed nami nowe zadanie: wszystkie maszyny są stłoczone u wejścia do hali – należy je przesunąć na drugi koniec hali i ustawić w porządku. Ale i Rus w końcu daje nam odpoczynek – pół godziny przed przerwą. Włokąc nogę za nogą, idę na drugi koniec sali, by odpocząć. Nic nie widzę przed sobą – jak zamroczony chorobą. Dochodzę do maszyn na drugim końcu hali, łapię jakąś szmatę i udaję, że czyszczę maszynę: to jest nasz odpoczynek.

Koło mnie Zelmanowski; patrzę na niego: ma inną, zupełnie zmienioną twarz. Poblądł, nie ma swojego zwyczajnego – dobrotliwego, pełnego wewnętrznej pogody – wyrazu. Nie ma przebiegu żadnej myśli; widać tylko fizyczne wyczerpanie. Zasypiam na stojąco przy maszynie: krótki sen, właściwie drzemka, lekko pokrzepia.

Odchodzę do kuchni, po drodze spotykam Mołdawana. Widzi moje wyczerpanie, ale jest bezradny. Porządny chłop, na wszystko ma bardzo ludzkie reakcje. Rozmawiam z nim o drobnostkach, w końcu pytam wprost: „Czy jeńcy wiedzą, że celem jest wyniszczenie nas tu – wszystkich?” – „Wiedzą” – „Czy wiedzą, że jeżeli nas nie wyniszczą, a front się zbliży, to wszystkich nas wystrzelają...” – „Wiedzą o tym też”. O możliwości ewakuacji nie śniło się wtedy nikomu. „Wy przecież jesteście byłymi wojskowymi, prowadzicie od wewnątrz cały obóz, macie jakiś wpływ na rzeczy – czy pomyślał już ktoś, co zrobić w takim wypadku?” – „Jeżeli zechcą nas wystrzelać, rzucimy się na nich masą”.

Tak oto naiwnie wyobrażali sobie możliwość oporu. Jeżeli tak mówił Mołdawan, to znaczy, że wśród jeńców żadnego oporu nie będzie, bo on był najlepszym z nich. Ale nie widać też, do kogo by się można zwrócić, by cokolwiek zorganizować. Nie znam tych ludzi, większość z nich czuje do mnie niechęć, gdyż nie mówię po żydowsku¹³. Najbliżsi z mojego otoczenia nie nadają się do tego. Pytam Mołdawana o możliwości ucieczki, stawiam przed nim sprawę otwarcie: chcę za wszelką cenę wydostać się do lasu. Pyta mnie: „Czy ma pan kogoś na zewnątrz, żeby to załatwić?” – „Nie” – „Uciekać bez pomocy z zewnątrz pan nie może – pierwszy lepszy chłop albo pana odda Niemcom, albo zabije¹⁴. Zresztą i w partyzantce nikt pana, przypadkowo zbłąkanego w lesie, nie przyjmie – nawet gdyby się pan tam dostał”¹⁵.

Przy kuchni rozważam beznadziejność sytuacji. Tymczasem wszystko odbywa się normalnie – zupa, obiad skończony. Obecnie jednak jest ta różnica, że nie odpoczywam

¹² „Los! Arbeiten! Bewegt euch, ihr Sauhunde!” (niem.) – Ruszać! Pracować! Ruszać się, wy brudne psy!

¹³ Osoby niemówiące po żydowsku traktowane były często jako „odstępcy”, którzy zatracili kontakt z masami żydowskimi. Nierzadko określano ich mianem „asymilatorów”, nawet jeśli dalekie były od takich postaw. Było to wzmocnione skrajnymi warunkami obozowymi echo sporów wewnątrz społeczeństwa żydowskiego, które ciągnęły się od co najmniej przełomu XIX i XX w.

¹⁴ Na temat stereotypu ogółu polskiego społeczeństwa współpracującego z Niemcami oraz przyczyn ukształtowania się takiego myślenia zob. „Wstęp”, s. 29, 31, 33.

¹⁵ Osoby nieznane, nieposiadające rekomendacji były traktowane nieufnie jako potencjalni szpicle niemieccy. W wypadku Żydów dochodziło niebezpieczeństwo stania się ofiarą osób zarażonych demoralizacją wojenną i antysemityzmem.

w czasie obiadu, tylko krążyć wokół obozu junaków, żeby się dostać do umywalni. Przygotowałem sobie wiadro (przedwczoraj wszedłem z wiadrem). Spotkał mnie inspektor: wytłumaczyłem mu, że pasę opodal konie (które tam były rzeczywiście) i idę po wodę dla nich. Zabronił mi nabierania wody w obozie junaków („jest dość kranów poza nim”), nic mi poza tym nie robiąc. Kilka dni temu wszedłem z wiadrem, upewniwszy się przedtem, że w pobliżu nie ma inspektora. Nabrałem odpadków kartoflanych z zup w umywalni i zalałem wodą. Gdy mnie spotkał najstarszy z junaków, widząc wodę przepuścił mnie. Później przemyłem skrupulatnie i zjadłem tę obrzydliwość. Wczoraj nie mogłem się zakraść.

Krążę w pobliżu, czekając na moment po obiedzie ustawiania się junaków w szeregu, by się znów zakraść. Jeden z czatujących w tym samym celu opowiada mi, że wczoraj pies wykrył kogoś w umywalni i poszczuty przez inspektora pogryzł mu twarz, nos i genitalia. Nie zważam na nic – już dwa dni nic nie zorganizowałem, praca wyczerpująca, obiad – woda, bezpośrednio po wypiciu tej wody męczy piekielny głód. Niech się dzieje, co chce: muszę wreszcie zdobyć coś pożywniejszego. Zakradam się, gdy zanika ruch koło umywalni. Umywalnia pusta – na obiad junacki była widocznie jakaś płynna zupa czy kasza, która spłynęła, nie zostawiając resztek. Działam gorączkowo, głód odbiera mi przytomność. Klękam i zaczynam grzebać w kanale odpływowym: pełno w nim piasku, a w tym tkwią jakieś resztki jedzenia. Wchodzi któryś z junaków – patrzy na mnie ze zdziwieniem, potem kiwa głową, nic nie mówiąc.

Czuję, że się rumienię ze wstydu, ale nie mogę: śmierć albo jedzenie. Wyszedł. Wynajduję w tym kanale stare, wygotowane w zupie i wymoczone kawałki brukwi, jakiś kawałek skórki ze słoniny, nieco ziaren grochu. Pcham wszystko do ust, po kilku minutach wychodzę. Zakradłem się wówczas ostatni raz do tej umywalni. Następnego dnia ją rozebrano. Był to najniższy stopień, na jaki spadłem w ciągu całego pobytu w obozie. Jeden, jedyny raz. W tym dniu znalazłem inny, lepszy sposób organizacji.

Jest już po przerwie. Trzeba wrócić do pracy. Mamy przesunąć maszyny i musimy zrobić to prędko, gdyż ma nadejść następny wagon. Rusz wprawia nas w ruch. Krasucki posilił się, zjadł pół chleba – sił ma dość. Natomiast Zelmanowski, mimo że zjadł ćwiartkę, ledwo stoi na nogach. Chłopisko przyniósł mi kromkę chleba. Biorę ją, szybko zjadam – mimo to w moim stosunku do niego pozostaje jednak coś dziwnego: jakaś nieufność, niedowierzanie. Nie mogę zrozumieć, co to znaczy, że ktoś częstuje mnie chlebem. Tak jest to inne od otoczenia, od wszystkiego, do czego nawykłem w obozie, od tych ram, w które wtłoczono moją myśl i podejście do współwięźniów. Tak odbiega od tej wrogości, którą przyzwyczaiłem się wyczuwać dookoła siebie z chwilą, gdy zacząłem występować jako człowiek głodny.

Wszak aby móc rozmawiać z ludźmi, z którymi mogłem toczyć rozmowy na tematy mnie obchodzące, musiałem na ogół dobrze zatajać swój głód. Przyzwyczaiłem się do tego w Ostbahnie lwowskim w czasie, gdy moja rodzina spuchła z głodu; nabrałem wtedy techniki w zamaskowywaniu głodu, by nie zostać zupełnie wypartym spośród ludzi, by na dalszą metę mieć jednak możliwość zdobywania jakiegokolwiek żywności. Wszak jeszcze rok temu, przed „akcją” w Warszawie odmawiałem przyjęcia poczęstunku, by móc bywać w getcie u ludzi, na których mi zależało, by się przede mną nie zamknęły drzwi na przyszłość. I od tej szkoły, danej mi przez tych, którzy za czasów niemieckich byli w lepszych ode mnie warunkach, odbiegał Zelmanowski.

Ale i on nie mógł już przebić mojego gorzkiego przyzwyczajenia i stwardniałej skrupy lęku i obcości. Dochodziła do mnie wtedy kromka chleba, ale nie dochodziła istota czynu. Nie mógł rozbić mojej niewiary i nieufności; już nie byłem zdolny czuć jego serdeczności i szczerości. Mogłem pojąć rozumowo jej istnienie, mogłem ją zrozumieć przez analogię do siebie samego – takiego, jakim byłem niegdyś – ale jej nie czułem. Ta szczerze ofiarowana kromka chleba – nie z poczucia chwilowej, przelotnej litości, ale wypływająca z całej istoty tego człowieka, z jego ogromnej dobroci – przyszła za późno. Dlaczego nie spotkałem go rok wcześniej, nim obraz mojej matki – chorej i spuchniętej z głodu, dla której nie mogłem znaleźć pomocy, nim widok mojego ojca, który z głodu odczuwał do nas wszystkich niechęć, wrogość, który łakomie śledził każdy kęs, jaki nieśliśmy do ust, mnie nie znieprawił?

Za późno. Nie mogło się już odstać to, co się stało; te straszne chwile bytowania oddanej sobie rodziny, w której głód rozbudzał najgorsze, najsprzeczniejsze z naturą [człowieczeństwa] instynkty. Nie mogła się odstać ta straszna męczarnia z powodu matki, którą przeogromnie miłowałem za jej pełne samozaparcia życie, jakie miała, poświęciwszy się dla nas, za jej niesłychaną dobroć. Ale po tym, jak widziałem tę matkę cierpiącą, dla której radość stanowiły dwie marchewki, które jej przyniosłem wtedy, gdy leżała chora; gdy nie można było zdobyć pomocy znikąd; dla której musiałem ukraść kubek kaszy jaglanej – ostatni pokarm, jaki jej dałem w życiu, przy ostatnim z nią widzeniu; której musiałem bronić przed oszalałym z głodu ojcem – po tym wszystko się we mnie załamało. Pozostałem strzępem i nie mógł mi już pomóc Zelmanowski. Za późno.

Był chleb, był kanał, z którego wydobywałem resztki, znalazło się fizyczne pokrzepienie, ale wyprostować się już nie mogłem.

Mignęły mi te myśli przez głowę jak błyskawica. Nie było we mnie, choćbym chciał, wdzięczności dla Zelmanowskiego. Nawet do niego nie czułem już pełnego zaufania. Nie byłem już zdolny.

A Rus pędzi do pracy. Trzeba przesuwac maszyny. Przy przekleństwach Rusa, przy krzykach: „Ra-a-azem!” – popychać sztangę, podkładać rolki, zapierać się o cement, uważając, by rolki nie przydużyły pokaleczonych, bosych nóg; pracować, pchać wrażą maszynę. Zapomnieć o wszystkim, widzieć przed sobą tylko zimną stal wiertarki, uczynić z mięśni narzędzie do przesuwania. Pchać tę maszynę w samotności, której nic nie jest w stanie rozwidnić czy zapełnić – pchać szybko, bo opodal stoi Feix. Feix jest w werku: siedzi okrakiem na motocyklu i flirtuje z jakąś Niemką. Roześmiani oboje – niedaleko wagon kartofli, który więźniowie wyładowują, pędząc z nosilkami, w obecności Feixa tracąc przytomność z przerażenia.

Feix chce zabawić tę Niemkę. Do wagonu prowadzi deska szerokości pół metra, po której wnoszą i znoszą nosilki – Feix przywołuje jednego z więźniów i każe mu skakać przez tę deskę. Tam i z powrotem. Zabawa mu się nie nudzi. Znosi się od śmiechu, Niemka mu wtóruje, głośnym, perlistym śmiechem. Elegancko ubrana w piękną, letnią sukienkę. A człowiek skacze, bosy, po żwirze – przez deskę – tam i z powrotem. Zabawa się ciągnie, trwa z kwadrans, w końcu jednak się nudzi. Feix żegna się i odjeżdża, Niemka roześmiana odchodzi. Lekka, zgrabna, urocza. A więzień wlecze się, by pokrwawione i posiniaczone nogi umyć pod studnią.

Wlecemy maszyny przez halę. Rus popędza: „Hej! Hej! Hej!”. Czarne, brudne bydlęta ludzkie pchają maszynę, tego zimnego wroga, tego – w tej chwili – bez-

pośredniego, namacalnego przedstawiciela hitleryzmu. Długie, bardzo długie popołudnie. Nie czuje się go przy popędzaniu, czas leci jak z bicia strzeł. Maszyny znikają z wejścia, stają na drugim końcu hali – równiuteńko, w doskonałym porządku. *Deutsche Ordnung*¹⁶. Ile krwi, ile śmierci w tym ładzie, porządku! Iluż to ludzi pobito, np. na lotnisku w Skniłowie tylko za to, że beczki z benzyną nie stały zupełnie równo, że niektóre odstawały od rzędu około 10 cm.

Maszyny znikły z wejścia, już piąta godzina. Rus nas zwalnia; wlokę się z Zelmannowskim do pompy. Trę ręce piaskiem, trę twarz piaskiem – mimo że boli, nie da się zmyć. Niech się dzieje, co chce – muszę się położyć. Jednak [napięta uwaga czuwa]: skąd ci wynoszą kartofle? Wracam do hali. Są tu jakieś schody zabite deskami. Kilka desek wyrwanych. Schodzę nimi w dół, piwnica – nie ma w niej niczego, jednak w ścianie jest jakiś otwór. Wspinam się: przez otwór widoczna jest druga piwnica, pełna kartofli. Próbuję się wcisnąć... nie mogę, jestem za szeroki [w ramionach]. Trzeba znaleźć szczuplejszego współnika. Teraz jestem pewien, że to jest właściwe źródło organizacji: tu trzeba będzie skierować cały wysiłek.

Wychodzę, zbliżam się do placu zbiórek. Spotykam Ryśka Krakowskiego¹⁷. Znam go jedynie powierzchownie: idziemy razem, zbliżamy się do miejsca między dwoma pagórkami, gdzie przed zbiórką odbywa się handel chlebem. Rysiek chce tam odpocząć. Mówię mu, że nie mogę tu stanąć – zbyt drażni mnie widok chleba: mdli, rozbudza narastający głód. Rysiek otwiera menażkę i chce mi wcisnąć do ręki osemkę chleba, usprawiedliwiając się, że nie ma więcej. Jestem zaskoczony – wzbraniam się, wciska mi w rękę. Po raz drugi w tym dniu zdarza mi się to, co tak niezwykle rzadko przytrafia się w obozie. Ale jednak za późno, zbyt to rzadkie i przypadkowe.

Schodzą się ze wszystkich stron werku. Handel, opowiadanie nowin, oczekiwanie na zbiórkę. Nadchodzi Szypiacki. Długi gwizd i zbieramy się kompaniami. Grupowi nas odliczają, potem to samo robią kompanijni lub ich zastępcy. Zaczynają się niecierpliwić; brakuje jednego czy dwóch. Stoimy – już i gadanie się nudzi. W końcu przyprowadzają jakiegoś łajzę, który się spóźnił, gotując kartofle czy usiłując coś organizować. Na miejscu wymierzają karę: 25 na tyłek. Kończy się egzekucja i wrzaski bitego; zaczyna się ceremonia odbierania raportu przez Szypiackiego. Codziennie ten sam nonsens, powtarzany dwa razy: rano i wieczorem. Wreszcie nadchodzi upragniony moment odejścia z werku.

Tym razem naszej kompanii się udaje: idziemy bezpośrednio przed jeńcami, w ten sposób unikamy gonitwy i zapełniania luk, dającego się dotkliwie we znaki zwłaszcza u końca kolumny. Wymaszerowujemy po odliczeniu, idąc pod górę aż do bramy werku. Tu znowu postój, przejmują nas „czarni”, jeszcze raz odliczają. Z umęczenia i wyczerpania wielu siada – na menażkach lub wprost na ziemi – oczekując odliczenia. Nie siadam, bo później powstanie jest dla mnie zbyt męczące. Umęczenie jest tak wielkie, lęk przed marszem tak dolega, że chciałoby się stać bez końca, byle tylko nie musieć iść dalej. Ogarnia strach przed męczarnią podnoszenia nóg, maszerowania boso po żwirze i kamieniach gościńca. Stoję i czekam w półdrzemce.

¹⁶ *Deutsche Ordnung* (niem.) – niemiecki porządek.

¹⁷ Pochodził z Warszawy. Był kolegą anonimowego autora wspomnień z okresu wojennego, przebywającego m.in. w Budzynie (zob. *A jednak czasem miewam sny...*, s. 95).

Koło mnie Zysman i Zelmanowski, lecz ten ostatni tak wyczerpany, że z trudem wysłuchuje ostatnich wiadomości frontowych, mimo że czeka na nie z niecierpliwością cały dzień.

Wyczerpanie zabiło głód. Teraz już tylko chciałbym lec na pryczy i zapomnieć o wszystkim. Lepsze są pożary i ucieczki we śnie niż dźwiganie rąk i nóg, ważących tony. Poza umęczeniem żadnego innego uczucia. Przypadkiem znajduje się drut, którego szukałem nadaremnie na hali. Tym drutem będę mógł spiąć nogawki spodni, rozdartych od góry do dołu i odsłaniających łydki i uda, pokryte już brudem i pyłem, mimo że zmyte wodą przed niespełną godziną. Te nogawki, rozwiewające się w podmuchach wiatru – to część odzieży, która była kiedyś spodniami. Chowam drut. Gdy zepnie się nogawki i obciśnie u dołu drutem dookoła goleni, będzie cieplej w porannych chłodach.

Słońce u zachodu pokrywa się czarnymi chmurami. Zrywa się wicher, kołyszając bliskimi sosnami – szumiąc w ich gałęziach, gna wprost w oczy tumany kurzu. Kłębiące się chmurzyska szybko przesuwają się po niebie, zakrywając cały nieboskłon. W tyle, daleko za nami, jaśnieje pasmo błękitu. Nad nami ponura czerń deszczowych, niskich chmur; przed nami tańczą wiry piachu, bijąc w oczy i zapowiadając nadchodzącą ulewę.

Stoimy, „czarni” jeszcze nie nadeszli. Uderzają pierwsze, rzadkie, duże krople; szybko się zagęszczają; ulewa wali, krople rozbryzgują się na kamieniach gościńca, zacinając z wiatrem, niosąc dalszą udrękę. Zbijamy się w zwartą masę, lecz woda i tak leje się za kołnierze, stajemy się przemoczeni do nitki. Wiatr porywa chmury, które szybko przechodzą; jeszcze chwilę siąpi drobny deszczyk, mija i oto znów ukazuje się złociste słońce: znów piękna pogoda. Ot, krótka, letnia ulewa.

Ale tej nocy cały obóz będzie marzł; tej nocy nie będzie się spało w ciepłym smrodzie baraku, gdyż nasze kołdry – czyli nasze ubrania – są przemoczone. Tej nocy będziemy suszyć nasze ubrania własnym ciepłem, rozkładając je na własnych ciałach. Tak jest już od szeregu dni: tak było wczoraj i przedwczoraj, tak jest codziennie. Systematycznie w czasie naszego marszu wieczornego jesteśmy polewani deszczem, jakby i przyroda zawarła pakt z Niemcami, by nam dokuczyć i dodatkowo wyniszczyć. Długie tygodnie codziennych marszów w deszcz.

Nadeszli „czarni”; po krótko trwającym przeliczeniu wychodzimy. Mamy i teraz szczęście: konwojują nas dziś „czarni”, którzy na ogół nie biją. Za to ucierpią maszerujący w tyle – tam są gorsi. Długi wąż wysunął się już z werku, zawalił drogę – posuwa się z wolna, idzie piątka za piątką: niesamowity obraz sytych pomieszanych z żywymi szkieletami; dobrze, przyzwoicie ubranych obok łachmaniarzy, owiniętych w niesamowite szmaty... Nad całą kolumną rozlega się śpiew: „Śpij żołnierzu w ciemnym grobie” obok „Aj, aj, aj”, „Marianna” i „Szła dziewczeczka” – wszystko rozlega się jednocześnie, kłóci się wzajemnie – żądają tego kolby „czarnych”. Jak zawsze – nie śpiewam, poruszając tylko ustami, gdy zbliża się czerń Ukrainca.

Liczę etapy drogi dłużącej się; mierzę przed sobą pozostałą jeszcze przestrzeń. Wybiegamy z werku, dochodzimy do lasu: tu droga jest mniej dokuczliwa, kamienie gościńca pokryte cienką warstwą piasku nie ranią tak bardzo stóp. Przechodzimy przez krótki odcinek lasu, mijamy długi odcinek drogi Lublin–Kraśnik. Jak zawsze, wzrok wymyka się w tę dal – zakazaną, dla nas niedostępną. Wychodzimy na drogę idącą pod górę, prowadzącą do osiedla.

Jesteśmy teraz w dolinie, w którą spłynęła woda po ulewie, tworząc z odcinka drogi, którą mamy przejść, płytki stawek sięgający wyżej kostek. Dzięki bosym nogom oszczędzona mi zostaje przykrość, która spotyka moich towarzyszy – brnięcie w obuwii przez wodę. Nie można zejść z drogi. „Czarni”, po suchej łące, ciągnącej się wzdłuż obu stron drogi, kolbami nakierowują idących z powrotem w kałużę. Przebiegamy wodę na odcinku przeszło stu metrów – ja po prostu umyłem nogi i wychodzę na suche kamienie. Moi towarzysze muszą teraz iść w przemokniętych butach. Jutro, w piękną pogodę poranka będą znów szli w przemoczonych butach, które z trudem wciągną na nogi.

Przed nami prosta linia ciągnąca się aż do osiedla. Oglądam się: widzę na zakręcie „czarnych” biegnących w tyle, wywijających kolbami i walących w gnające, bezładne stado. Celowo wywołują zamieszanie, by móc sobie użyć. Przemoczeni wyśpiewujemy nigdy nienudzące się „czarnym” śpiewy. Wreszcie mijamy pierwsze domy osiedla. Skreścamy w lewo, do obozu. Krótki odcinek od gościńca do obozu, brnięcie przez obrzydliwe, oślizgłe bagno i dochodzimy wreszcie do budki wartowniczej. Znów liczeni przez Mikę¹⁸, zostajemy wpuszczeni do środka.

¹⁸ Brak bliższych danych.

pobytu w obozie.

I znów przeklęty świt, mordercza uleciała, ciągnącego się jak wieczność i mijającego strzałą. Gdy serce wali w piersiach zatykając chłód w gardle, gdy sznurzy orzynam i zwracając skota ręk nie mogąc już ich palcami wrywać, gdy nogi się uginają w bezkresnym cieniu maszyn, gdy żądłowate łosy i młota egipskiego, ciągnącego głąb dla piramid aonickiej, gdy na plecach zamiast bata egipskiego patka mordowcy Rusa, gdy zapartury są jeszcze kilka minut pozostałych do koncy, zajędła nagle nowy wagon, który ma być nowym natychmiast. I tu majstra niemieckiego rozkaz pozostać aż do wyładowania. Werek pustocze, gdy cały obóz już odprocy musimy jeszcze wrywać się kawały zyciarować na pastwę moloche niemieckiego mal i rozpacz, rwać się całą istotą do odprocy

Koniec etapu pracy z maszynami

I znowu przekłęty świt, mordercza udręka dnia, ciągnącego się jak wieczność i mijającego jak strzała. Gdy serce wali w piersiach, zatykając dech w gardle, gdy owijam i zawiązuję sznury dookoła rąk, nie mogąc ich już palcami utrzymać, gdy nogi uginają się w bezkresnym wleczeniu się maszyny, gdy zazdroszczę losowi niewolnika egipskiego, ciągnącego głazy dla piramidy faraonńskiej, gdy na plecy zamiast bata egipskiego spada pałka nadzorcy Rusa, gdy zaparłszy się, liczę jeszcze kilka minut pozostałych do końca pracy – zajeżdża nagle nowy wagon, który ma być wyładowany natychmiast. Z ust majstra niemieckiego pada rozkaz pozostania aż do wyładowania.

Gdy werk pustoszeje, gdy cały obóz już odpoczywa, my musimy jeszcze wyrwać z siebie kawały życia, oddawać je na pastwę molocha niemieckiego. Niemal w rozpacz, rwąc się całą istotą do odpoczynku – niech nie dadzą jeść, niech pozwolą legnąć. A wroga stał jakby drwiąco wysysa nasze siły.

Mijają godziny, znowu noc legła nad werkiem, tylko my pracujemy; wagon musi zostać opróżniony. Minęły straszliwe godziny, przed nami nareszcie pusta platforma. Majster Niemiec załatwia dla nas kubel zupy – zimnej, obrzydliwej. Chcemy się do niej zabrać, ale w momencie odejścia Niemca okazuje się, że policjantowi obozowemu, Smolarzowi się spieszy. Jednym kopnięciem nogi wylewa zupę i gna nas do obozu. Smolarzowi spieszo do swej kolacyjki i dziewczki.

Zagnano nas na miejsce, kolacji też nie zostawiono, ległem, głodny i obolały z jedną, jedyną myślą pociesającą – jutro niedziela, późniejsza pobudka, do pracy nie pójdę. W nocy śni mi się wermachtowiec¹, który mnie kopie, leżącego, na lotnisku w Skniłowie. Budzę się, jakby od dotkliwego kopnięcia, a to tylko silny ból w udach i łydkach, napinanych w przeciągu całego dnia, który teraz, w chwili wyprostowania i odpoczynku daje się dotkliwie odczuć. Ni nocy, ni dnia.

Niedziela. Wstajemy, gdy słońce się już wzniosło wysoko. Odpoczynek. Po odejściu tej części, która jednak pracuje dziś w werku, przeważna część zostaje. Do baraków nie wpuszczają, kładziemy się na placu za nimi. Rozkosz spokojnego leżenia mącona jest marszem kiszek. Lecz nie trwa długo. Elektryzuje wkrótce wiadomość, że Feix jest w obozie. Ten nie zezwala na beczynne leżenie. Telegram bez drutu działa, donosząc o każdym jego ruchu, o kierunku, do którego zmierza. Leżymy przysłonięci barakiem, czujnie, by zerwać się z chwilą jego zbliżenia, ściągnąć z siebie łachman zwany marynarką i udawać, że się go trzepie, że to porządki. Feix zadowolony, praca wre. Odchodzi do innej części obozu, położyć się jednak nie można, zbyt to ryzykowne. Stać beczynnie też nie można. Zbieramy się więc grupą i zaczynamy ćwiczenia w marszu.

Polegają one na tym, że marszowym krokiem idziemy za barak, zza którego nie możemy być przez niego widziani. W miarę, jak się zbliża, wychodzimy i znów marszowym krokiem odchodzimy na drugi, przeciwny koniec obozu i tu się chowamy. Tak ta zabawa w ciuciubabkę ciągnie się przez cały czas jego pobytu w obozie, który przedłuża się tym razem do ponad dwóch godzin. Nie można się doczekać jego zniknięcia. W pewnej chwili nie możemy go wyminąć i przechodzimy w marszu obok niego.

¹ Od niemieckiego słowa Wehrmacht – siły zbrojne, armia.

Słyszę, jak zwraca się do lagerältestera, wskazując na grupę śpiesznie się od niego oddalającą: „Warum fliehen die Leute von mir? Ich mach’ ja denen nichts böses”².

Wreszcie nadchodzi upragniony moment jego odejścia. Teraz możemy naprawdę odpocząć. Kładę się za barakiem, na ziemi wysuszonej słońcem, zdeptanej butami, co rano i co wieczór podlewanej moczem setek obozowiczów, kładę się na wznak i doznaję rozkoszy leżenia w słońcu. To nic, że ziemia śmierdzi. Tu w obozie wszystko śmierdzi. Wiatr niesie smród z dołów wychodkowych, spod ciała, z ziemi wydobywa się odór mocz, z baraków dochodzi smród zgnilizny. Tego się już nie czuje, nozdrza przestały różnicować smród. My nie czujemy już naszego własnego smrodu. Zauważamy go tylko wtedy, gdy maszerując kolumną, w drodze do werku napotykaemy cywilnych, którzy z nadto się do nas zbliżą i krzywią się, czasem zasłaniając nawet nos. A śmierdzieć musimy, nie mając mydła, nie otrzymując zmiany bielizny, cierpiąc w większości na rozstrój żołądka i biegunki, na wzdęcia.

Zasypiam w słońcu. Leżę z godzinę, budzę się spocony, wymęczony. Nie mogę dłużej spać, budzi się niepokój, niepozwalający leżeć. Kręcę się od grupy do grupy, nigdzie nie mogąc się dłużej zatrzymać. Przypatruję się dziwnym grupkom półnagusów, spacerujących w koszulach i marynarkach. To ci, których spodnie naprawiają krawcy. Moich już nawet nie chcieli przyjąć, jako nienadających się do naprawy.

Niepokój wewnętrzny, nerwowość nie pozwalają się nigdzie dłużej zatrzymać, czas się wlecze niemiłosiernie, nie mam nawet cierpliwości na dłuższą rozmowę z Schönmannem³, któremu coś niecoś wyłożyłem z matematyki. Brak pracy jest moralnie gorszy niż praca. Nie mogę na niczym skupić myśli, niczym się zainteresować. Mierzi mnie widok otaczających łasków, oddalonych wsi i borów, wież Kraśnika na horyzoncie. Zbyt to się już wżarło w oko, już ta codzienna jednakowość obrazów dokucza nie mniej niż głód i praca. Wstręt budzi bezsensowna ludzka gadatliwość.

Kładę się na chwilę koło grupki inteligentów i to tych lepiej sytuowanych, żeby być świadkiem rozmów tego typu: „Moja żona robiła świetne babki, nadziewała kakaem lub makiem z rodzynkami. Na śniadanie piłem zawsze kakao – A ja zawsze piłem herbatę i to tylko angielską. Musiała mieć dobry aromat, do tego bułeczkę z maselkiem, z ementalerem i szyneczką – Ja najbardziej ze wszystkich mięs lubię pieczoną gęś” itd.

Po kwadransie takiej rozmowy uciekam, przyłączam się do grupki nieinteligentek. Tu rozmowa się toczy w języku żydowskim. Też o jedzeniu. Temat – przysmaki gotowane i pieczone na święta wielkanocne. Zachwycają się nimi, przerywają sobie wzajemnie, by dodać jakieś szczegóły, mówią równocześnie, nie słuchając się. A najbardziej entuzjazmuje się i ponosi tymi obrazami szkielet o obrzękłych nogach, rękach i twarzy, ledwo mogący utrzymać się na nogach, wypijający rano niezmiernie ilości kawy, wieczór wystający przed pokojem policjantów, by wypić zlewki przez nich wylewane, bijący się o nie, upominający się o nie donośnym, żebraczym głosem, podnoszący każdy odpadek, kompletna ruina moralna i fizyczna. Były prokurent bankowy, w obozie dopiero drugi miesiąc, który przedtem nigdy i śladu głodu nie zaznał. Poszturchiwany przez wszystkich, budzący we wszystkich swym zatraceniem wszelkiej

² „Warum fliehen die Leute von mir? Ich mach’ ja denen nichts böses” (niem.) – Dlaczego ci ludzie uciekają przede mną? Przecież nie robię im nic złego.

³ Brak bliższych danych (zob. rozdział „Maschinenausladen”).

godności wstręt, koło którego nikt z obrzydzenia nie chce stanąć – czy to w marszu, czy w szeregu.

Gdzie się zwrócić, wszędzie mowa o jedzeniu, bądź to o przysmakach wolności, bądź to o jedzeniu w obozie. Myśli wszystkich krążą dookoła niego. Obóz żyje myślą o jedzeniu. Nie można przed tą myślą uciec, dochodzi z zewnątrz, gdziekolwiek ruszyć, dochodzi z wewnątrz szarpaniem głodu. Nie można się przed nią opędzić. Dochodzi widok dymu, unoszącego się z kominów kuchennych, zapachem smażonej słoniny i cebuli, wydobywającym się z okien pomieszczenia policjantów, widokiem wielu jednak jedzących.

Powoli, sekunda po sekundzie, zbliża się pora obiadowa, chwila pierwszego posiłku, włania w siebie pierwszej wody. Teraz już pozwolą wejść do baraku, odpocząć po udręce skwaru letniego.

Nie ma odpoczynku. Po obozie rozlega się krzyk: „Maschinentransport! Zbiórka koło kancelarii! Do pracy, do werku!”.

Wiadomość ta mnie elektryzuje. Teraz dostać się na halę VI, gdy jest pusta, to znakomita okazja do przedostania się do kartoflanych piwnic. Natychmiast się zgłaszam i wkrótce z grupą wychodzimy do werku. Niedbałość kierownictwa w niedzielę popołudniu doszła do tego, że wypuszczono nas samych, bez eskorty.

Po raz pierwszy i ostatni w ciągu obozowych lat znalazłem się bez eskorty poza drutami. Mineliśmy drogę, poszliśmy skróconym traktem, przez lassek. Przed oczyma staje mi zjawia wolności. Parę kroków zboczyć, w krzaki i przed siebie. Jest się wolnym. Ale dwie przeszkody. Towarzysze pilnują, ci, których samych nie dręczą te myśli, nie dopuszczają do ucieczki. A gdyby nawet – co dalej? Nie znam okolicy. Nie wiem, w którym kierunku iść. Pierwszy napotkany chłop albo zastrzeli, lub zamorduje siekierą, albo odda Niemcom. Żywności nie sposób zdobyć. Pola jeszcze nie wyżywią. I tak oprócz drutów namacalnych wystawili Niemcy mocną, jeszcze gęstsza barierę, której przekroczenie jest trudniejsze niż faktycznej. Bez zorganizowanej pomocy z zewnątrz niczego nie zdziałasz. Zupełna bezsilność i bezradność.

I tak idąc drobną grupką lasem, jak na wycieczce, czując dookoła swobodę i nieskrępowane życie, mijając wyelegantowanych na niedzielny spacer Niemców, musi się iść w określonym kierunku, do werku, w niewolę.

I znowu praca na hali. Lecz teraz możemy wspólnie z Diamandem zakraść się do piwnicy. On wyrzuca przez dziurę kartofle, ja je ładuję do nogawic spiętych drutem. Dwukrotnie wynoszę i chowam w kryjówce. Jest zapas kartofli starczy na kilka dni. Sama myśl o tym dodaje siłę, zwiększa optymizm, zmienia tory myślowe, pozwala żywić nadzieję na przyszłość, wyprostować się nieco spod ciężaru, przygniatającego swym balastem. W tym dniu zakończył się etap mojego najgorszego życia w obozie.

Dzień następny zaczął się normalnie. Przed pracą wydobyłem z kryjówki nieco kartofli, schowałem w nogawkach, by przy sposobności ugotować. Pracuję jak zwykle, gdy wtem wchodzi dwóch dobrze ubranych obozowiczów, jeden z nich wskazuje na mnie. Drugi do mnie podchodzi, pyta, czy znam język niemiecki w słowie i w piśmie i czy umiem pisać na maszynie. Na moją twierdzącą odpowiedź powiada, że będę musiał zdać egzamin i odchodzi. Zostawia mnie nierozumiejącego, o co chodzi, i zachodzącego w głowę, co to może znaczyć. Na razie biorę się dalej do roboty, myśli jednak krążą dookoła tego wypadku. Wiem, że bywały takie przypadki – egzamin w stosunku do

tych więźniów, których przydzielano do pracy biurowej. Nie śmiem nawet o tym myśleć, wszak jest wielu takich, którzy by dali grube tysiące za taki przydział – i tylko tacy bywają przydzielani do pracy biurowej. Mnie się to tyczyć nie może. Trzeba czekać wyjaśnienia zagadki.

Po upływie pół godziny zjawia się Szypiacki. Każe mi iść ze sobą. Z zażenowaniem wyrzucam kartofle z nogawek i idę za nim. Odprowadza mnie do magazynu w hali XVII. Tu otaczają mnie więźniowie pracujący na miejscu, dobrze wyglądający. Dostaję mydło, kubek z wodą, zmywam się jak należy. Zaczyna się egzamin. Dyktando niemieckie, piszę bez błędu.

Każą mi czekać na szefa. Pojawia się wysoki, chudy, cywilny Prusak. Nie raczy nawet spojrzeć w mą stronę, krótkim tylko kiwnięciem głową zgadza się na przyjęcie mnie. Zostaję pracownikiem biurowym.

było obce? Kiedy się wytknęło mężnane
przed tymi uczucie miłości? Na p
te nie będą prawdopodobnie mógł odp
twardo, niemal niemożliwe przejść ten
etap panowania niemieckiego i jego wpły
psychiki. Odoziera on drogi różnych,
miejscych siebie ludzi: mnie przed tym
po tym.

Alte przedewszystkiem: wyściganie selekcji
to było zobojętnienie wskutek nadmiernej p
bólow, wyoswojenie z wypadkami tego rodzaju
skutek ogromnego rozgorzelenia bezpośredniego,
już znikło, ale zostało mnie innym? Czy u
te przyczyną?

Majdanek

Siedzę w przyczepce auta ciężarowego
pokryta brezentem, z tyłu wpięte, a którego
siedzą SS-mani. ~~Te~~ Tebie diabliwie, mato ho

Majdanek

Siedzę w przyczepce auta ciężarowego. Buda pokryta brezentem, z tyłu wejście, u którego stoją i siedzą esesmani. Telepie diabelnie, mało bebechów nie wytrzęsie. Chcę mówić, głos się tak trzęsie jak my wszyscy. Już druga godzina jazdy. Za mną Budzyń, pierwszy rok obozu, w którym – w ostatecznym rozrachunku – było mi stosunkowo nieźle. Przede mną KL Lublin. Wiem, że KL Lublin jest już bezludny. To tylko etap przejściowy, przenoszą nas z *nebenlagru*¹ do macierzystego, dla przesłania dalej. Jest nas trzydziestu czterech, tzw. zasranych inteligentów², tzn. inżynierów, chemików, biologów, fizyków, matematyków. Mnie kaprys untersturmführera Leopolda³ zakwalifikował jako specjalistę od *Metallbearbeitungsmaschinen*⁴. Specjalista od obrabiarek, który nie potrafi odróżnić frezarki od wiertarki... Dostałem taką ocenę, gdyż pracowałem w biurze rysowniczym Heinkela w Budzynie. Dodatek: *Mathematiker*⁵; ciekawe, co będzie. Moi towarzysze, między innymi Mirski, Zysman, Zelmanowski – podenerwowani i zaciękawieni. Cztery Orensztajny⁶.

Wkrótce będziemy na Majdanku. Dziś rano zatrzymano nas w obozie z tym, że odchodzimy na transport. Jestem zadowolony – i przy tym trochę zły. Trzy dni temu dałem sobie wyrwać zęb ze złotą koroną, którą sprzedawałem, żeby żyć. Zdołałem tylko kupić chleba, którego objadłem się do syta i taki obrzydliwy, farbowany fabrykat obozowy, zwany cukierkami. Ssę to teraz i przez dziurę w brezencie obserwuję okolicę. Wraz z podrzutami podskakuję i [choć] oko przy dziurze – nie da się niczego zaobserwować. Zostaje tylko wrażenie zieloności, pól i łąk, jakieś szare plamy, prawdopodobnie budynki. W czasie jazdy pod górę trzęsienie się zmniejsza, ale wzrasta w dwójnasób, gdy zwiększonym pędem zjeżdżamy w dół. Już wkrótce powinna się ta jazda skończyć. Ukazują się budynki, które mogę teraz obserwować przez wejście do wozu, gdyż esesmani usiedli. To przedmieście Lublina. Za nami został Kraśnik, rok Budzyna, znajomi, z którymi już się zżyło, obóz, w którym się nieco zaaklimatyzowało, w którym znało się i źródła, i ujścia. Przed nami nieznana przyszłość. Po co oni nas wiozą? Do czego mamy być użyci?

Jesteśmy na ulicach Lublina. Migają domy, sklepy – rzecz, która wydaje się upiorna, niewiarygodna: ludzie idą swobodnie. Miasto jak przed wojną (zapomnieliśmy już, że takie istnieją), z tą różnicą, że na ulicach widać dużą ilość niemieckich mundurów. Znać, że front niedaleko. Człowiek wpatruje się z napięciem w zwykłych ludzi, zachowujących się swobodnie, normalnie – widok dobrze znany, a już obcy. Oko, które przez rok nie widziało innego budynku niż z rzadka rozrzucone domki osiedla lub hala fabryczna i baraki, wchłania znowu widok miasta.

¹ *Nebenlager* (niem.) – podobóz.

² Autor używa potocznych określeń obozowych.

³ SS-Untersturmführer Josef Leopold. Przybył on z Majdanka do Budzyna na przełomie stycznia i lutego 1944 r. w związku z wyjęciem obozu spod kompetencji SS i włączenie w struktury obozu koncentracyjnego na Majdanku.

⁴ *Metallbearbeitungsmaschine* (niem.) – obrabiarka metalu.

⁵ *Mathematiker* (niem.) – matematyk.

⁶ Nie do końca wiadomo, co autor ma na myśli. Nazwisko dość popularne w środowisku żydowskim, być może tyle osób o tym nazwisku znajdowało się we wzmiankowanej grupie. Był tam także Henryk (Henry) Orenstein, ur. 1925 w Hrubieszowie, słynny pokerzysta, żyjący dziś w USA, autor publikowanych wspomnień: *I shall live*. Zob. przypis nr 30, s. 19.

A rok temu wydawało się, że pustka werku i otaczające lasy będą ostatnim widokiem, jaki pozostanie na siatkówce oka. Oni chodzą tak swobodnie, jakby nic się nie wydarzyło. A żyjąc w obozie, przeszedłszy potworną grozę, mimo woli wydawało się, że choćby daleki cień tego, doszedł do ich świadomości, [że] wystarczy, by uderzyć jakby obuchem. Mimo że rozum zaprzecza, złuda taka gdzieś na dnie trwała.

Tu, na ulicach Lublina, nic się nie stało: eleganci i elegantki, ubrani modnie, spacerują, flirtują, uśmiechają się – ich to nie tknęło. I to przecież nie są Niemcy. Na modłę niemiecką ubrany fircyk spaceruje kokietując panienkę – w cieniu krematorium, które popiołami pokrywa dachy Lublina. Poza tymi, którzy są w obozie, nikomu to nie przeszkadza zasnąć.

Mijamy śródmieście, znowu pokazują się niższe domy, przedmieście. Wyjeżdżamy z miasta, wóz toczy się znów szybciej brukowaną szosą, wkrótce staje. Zdają komuś jakiś meldunek, wóz skręca w bok.

stronę, krótkim kinnikiem który zgadza
przyjście mnie. Jestem pracownikiem
wym.

Selekcja w Starobie.

Wczesna pora dnia maja 1944r. Sobota wieczór,
nie rozchodzi się wieść, że jutro nie wychodzi
do roboty. Pobudka o 7-cj, apel o 9-cj.
radość z wypoczynku. Uprawdzie to wydługo
przykto w tym obozie, ale jestem tu od niedawna
nie się nie orientuję. Nie wiem, czy należy
przykładać większą wagę.
Budzę się normalnie i leżę. Porostaje
odpoczynek, lecz przed pobudką wstać
nie. Leżenie o końcu nocy, wyjaśniono się,
nie ukrytego i zastawka Hütte go i zaczynam
uderzenie gongu, ubieranie się, mycie, kawa,
już zjedzony śniadaj. Czekaamy na apel, zbyt
mim nie przejmuję. Zbliża się godz. 9-ta.

Selekcja w Płaszowie

Pierwsza połowa maja 1944 r. Sobota wieczór¹ – po obozie rozchodzi się wieść, że jutro nie wychodzimy do roboty. Pobudka o siódmej, apel o dziewiątej. Ogólna radość z wypowiedzynku. Wprawdzie to wydarzenie niezwykle w tym obozie, ale jestem tu od niedawna: jeszcze się nie orientuję, nie wiem, czy należy do takich spraw przykładać większą wagę.

Ranek – budzę się normalnie i leżę. Pozostają dwie godziny leżenia, lecz przed pobudką wstać nie wolno. Leżenie w końcu męczy; rozjaśniło się, więc wydobyłem ukrytego w zagłówniku Huttego^a i zaczynam czytać. Uderzenie gongu – ubieram się, mycie, kawa: chleb już zjadłem wczoraj. Czekamy na apel, zbytnio się nim nie przejmując. Zbliża się godzina dziewiąta.

Bloki ustawiają się przed barakami – gong, kolumnami odmaszerowujemy na plac. Ogromny plac apelowy zapełnia się długimi prostokątami ludzi. Morze głów, wchodzą esesmani. „Mützen auf!”² – krótkie zestawienie przy stoliku zebranych liczb. Apel się zgadza, lecz nie każą odejść do baraków. Pojawia się nowa postać: Hauptsturmführer Blancke³. Wraz z nim zwiększa się załoga SS i otacza plac. Komenda: „Mężczyźni zostają, kobiety do obozu kobiecego!”. Domyślam się, że będzie selekcja. Niebo chmurne, dzień chłodny, wieje wiatr, lekko kropi deszcz.

Z przeciwległej strony placu jakiś blok rozbiera się do naga, ustawiając się gęsiego. Wolnym krokiem defilują przed Blanckem, ten stoi wysoki, sztywny – Zeus olimpijski. Ledwo raczy spojrzeć, w rękę trzyma ołówek, który drga to w jedną, to w drugą stronę. U jego boku stoją policjanci obozowi; śledząc pilnie każdy ruch ołówka, naganiają przechodzących w stronę, którą ten ruch wskazuje. Ołówek nie jest obojętny w stosunku do przechodzących. W jedną stronę odsyła się starców, dzieci, chorych, wymizerowanych, pokrytych wrzodami, ludzi o słabej budowie, w drugą zdrowych i silnych. Pierwsi są odsyłani do kartoteki, tam spisują ich numery i nazwiska, drudzy ubierają się z powrotem na dawnych miejscach.

Wieje zimny wiatr. Panu hauptsturmführerowi chłodno, każe podać sobie futro. Otula się nim i nadal z wyniosłą miną, obojętnie przegląda defilujących: pan życia i śmierci. Tempo za słabe – pan Hauptsturmführer każe się rozebrać do naga od razu trzem blokom i szczelniej okrywa się futrem. Defilada musi odbywać się biegiem. Szybciej drga ołówek, szybciej padają wyroki. Znajdują się tacy, którym udaje się z grupy skierowanej do kartoteki przekraść do pozostałych, lecz sfera policjantów czatuje pilnie. Szpicrutami okładają nagie ciała, pędzą powrotem, kopią i biją. Koło Blanckiego kręci się *Lagerältester* Chilewicz⁴ i jego zastępca, Finkelstein⁵ – usłużnie śledzą każde skinienie i gest, kłaniają się służalczo każdemu esesmanowi, wypełniają ich rozkazy, walą i biją ludzi do krwi, ordynarnie krzyczą i wyzywają. Bez przerwy z ich ust toczą się najordynarniejsze wymyślania, nieznane mi dotychczas plugastwo.

^a *Zapis niejasny.*

¹ 6 bądź 13 maja 1944 r.

² „Mützen auf!” (niem.) – Zdjąć czapki!

³ Max Blancke (1909–1945) – członek SS, z wykształcenia lekarz. Do Płaszowa trafił w marcu 1944 r., wcześniej służył m.in. w obozach w Dachau, Buchenwald, Majdanek. Na Majdanku i w Płaszowie zajmował się selekcją więźniów przeznaczonych do zamordowania w komorach gazowych.

⁴ Prawdopodobnie Wilek Chilewicz – zamordowany we wrześniu 1944 r. wraz z grupą policjantów żydowskich podejrzanych o zatrzymywanie i nieprzekazywanie Niemcom dóbr osobistych więźniów Płaszowa.

⁵ Prawdopodobnie Mietek Finkelstein.

Jeden z więźniów, wysoki, zdrowy chłop potyka się niedaleko hauptsturmführera. Ołówek klasyfikuje go na śmierć. Człowiek zdolny do życia nie śmie potknąć się w obliczu esesmana. Przebiega jeden blok za drugim – panu hauptsturmführerowi się nudzi, zabawa się przeciąga. Mija godzina, dwie, trzy. Biedna ofiara obowiązku.

Mój blok ma najwyższy numer, ma iść ostatni. Po czterech godzinach oczekiwania kilku umęczonych pozwala sobie usiąść w środku grupy – tak, aby nie być (o ile to możliwe) widzianym z zewnątrz. Zauważa to Finkelstein, wpada i kopniakami „przywraca porządek”. Robi się zamieszanie, kilku chłopcom z mego bloku udaje się wymknąć i schować w baraku.

Przed hauptsturmführerem ma przedefilować blok „kapów”. Herr Hauptsturmführer dr Blancke nie patrzy nawet w tym kierunku. Niemieckie pieski skaczą, z uśmiechem przebiegają przed obliczem Zeusa. Mija znowu godzina, dwie, dochodzi trzecia. Zbliża się kolej na nasz blok. Napięcie rośnie, wiele twarzy błednie. My, świeżo przybyli z Majdanka, w odróżnieniu od krakowian dobrze rozumiemy tę grę. O selekcjach Blanczego słyszało się już i w Majdanku.

Rozbieramy się. Moja budowa i stan fizyczny pozwalają mi mieć otuchę; spokój, który mnie nie opuszczał w najcięższych momentach, dopisuje i teraz. Biegniemy przed sędzią orzekającym życie i śmierć – ołówek szybko drga, wybiera jednego za drugim. Nasz blok przebiega, kończy się zabawa. Lecz pan Hauptsturmführer ma dziś ciężki dzień, wyjątkowo dużo pracy: musi taką samą selekcję przeprowadzić jeszcze w obozie kobiecym. Tam też rozbierają się do naga, policjanci biją, Chilewiczowa⁶ klnie, ołówek wydaje wyroki...

Po defiladzie ogólne podniecenie. Krakowianie starają się łudzić, że wybrano niezdolnych do pracy i słabych na *Schonung*⁷. Znam te metody, milczę. W domu umarłego nie mówi się o śmierci, skazanemu o wyroku.

Mija poniedziałek, wtorek – nic się nie zmienia. Niektórzy zaczynają już zapominać – koniec tygodnia – pocieszają się, że to było dla celów statystycznych.

Znowu sobota wieczór i znów dowiadujemy się, że w niedzielę nie idziemy do pracy, a apel o dziewiątej. Kładę się spać obojętny⁸.

Ranek – piękny, słoneczny dzień majowy. Gdy wychodzimy z baraków, widzimy w każdym przejściu „czarnego” z karabinem maszynowym – obóz wewnętrzny otoczony wzmocnionymi wartami „czarnych”. Co kilkadziesiąt metrów cekaem, lufy karabinów na wieżach skierowane wprost na obóz, na wieżach wzmocniona obsługa. Zdenerwowanie. Wielu „majdankowców” obawia się ogólnej rzezi. My, którzy znamy historię Majdanka, Trawnika, Poniatowa, mamy powody do obawy⁹.

Wypędzają nas na plac. Zjawia się cała załoga esesmanów. Prowadzą na smyczach psy: wilczury i owczarze, tresowane do rzucania się na ludzi, wyją i rwą się na uwięzi.

⁶ Najprawdopodobniej żona „starszego obozu” Chilewicza, którą ze względu na swą funkcję uczynił „kapo” dla zapewnienia lepszych warunków.

⁷ *Schonung* (niem.) – dosł. ochrona, pobłażliwość. W praktyce oznaczało to miejsce, gdzie gromadzono przeznaczonych na śmierć.

⁸ Poniżej opisana akcja odbyła się 14 lub 21 maja 1944 r.

⁹ We wszystkich tych miejscach na początku listopada 1943 r. w ramach akcji „Erntefest” wymordowano wszystkich więźniów żydowskich. W KL Majdanek było to blisko 18 tys. osób. O Trawnikach i Poniatowej zob. s. 88, przypis nr 4 oraz s. 90, przypis nr 9.

W oczach więźniów strach – bardziej bojaźliwi dygoczą. Niektórzy półprzytomni, obok mnie jakiś starzec powtarza słowa modlitwy przedśmiertnej, usta jego szepcą: „Wioli”¹⁰.

Apel – wszystko odbywa się normalnie. Przeliczono, stan zgadza się. Wycofują inne narodowości, zostają sami Żydzi. Tak, jak to było w czasie wymordowania Żydów na Majdanku 3 listopada 1943 r. Koło mnie Silberg¹¹ – spopielali, ze zmętniałymi oczyma, przygarbiony – powiada do mnie: „Teraz nas wszystkich wykończą”. Przecząco kiwam głową, dodając: „To zakończenie selekcji z ubiegłej niedzieli”, ale sam nie mam pewności. U nich niczego nie można przewidzieć. Od zbyt wielu osób jest zależny nasz los, zbyt dużo jest sprzecznych rozporządzeń. Serce bije, w ustach gorzki smak, gardło wyschło. Czuję strach i wściekłość: upokarzająca i bezsensowna byłaby ta śmierć. Rzuciłbym się im do gardła – a jestem bezsilny.

Na plac zajeżdża auto. Wsiada olbrzymia kupa tłuszczu: komendant obozu, Hauptsturmführer Amon Göth. Jak zwykle pijany. Rozgląda się po placu, bada wzrokiem, daje znak. Psy ze swoimi panami gęsto rozmieszczają się pomiędzy więźniami. Nabieram pewności, nie wiedząc dlaczego, że to dalszy ciąg niedzieli, że zabiorą zapisanych – ale serce wali, ponura wściekłość, wściekłość... Lufy skierowane w nas – gdzie spojrzeć, karabiny, czujne na każdy ruch masy. Wargi zaczynają mi drgać z nienawiści.

Powolnym krokiem przechodzi Göth, za nim podąża Hauptscharführer Eckert¹²: chuda, okrutna, zwierzęca twarz. Wyczytuje z kartki numery – tylko numery, więźniowie nazwisk nie mają. Podchodzi po kolei do każdego bloku, wybiera zapisanych. Ci występują – bezsilni, bezradni, bezwolni nieprzytomnie ustawiają się w piątki. Teraz zliczają numery przy każdym bloku – ilość się zgadza. Esesmańskie hycle wraz z psami odprowadzają ich grupami do wyjścia, ustawiają na gościńcu wejściowym w zwartą kolumnę. Każda chwila ciągnie się w nieskończoność: gorycz, bezmierna gorycz – serce wali, piersi dyszą, tuman na mózgu, upokorzenie i wstręt – tylko nie ma współczucia dla skazanych.

Głośno i dobitnie pada chrapliwe niemieckie brzmienie numerów, kopniak pomaga ociągającym się. Czas mija, kolumna rośnie – już jest dwustu, trzystu, sześciuset, ośmiuset... Z kartoteki obozowej usuwają kartki, znikają numery, stan liczebny obozu się zmniejsza – a Hauptscharführer Eckert bez przerwy czyta. Zbliża się do nas: odchodzą starzy i młodzi, chorzy i kaleki, zdrowi, których wyznaczył kaprys Blanckiego.

Podchodzi do naszego bloku – w pobliżu mnie młody chłopak, niezapisany, gorączkowo zamienia z zapisanym marynarkę. Nie wytrzymuję, zwracam się do niego: „Co robisz! Oni idą na śmierć!” – „Mój ojciec jest zapisany, pójdę za nim, nawet do gazu”. Milknę.

Zachrypłym głosem pada numer. Przerwa. Występuje starzec. Następny numer, przerwa, występuje następny. I tak zmieniają się przerwy i numery, wychodzą bezwolne manekiny. Występuje mój student, mgr Münzer¹³ z Lublina. Ostatnie jego słowa: „Żegnajcie, to koniec”.

Odchodzą. Oddala się śpiesznie cała grupa, szczuta psami – selekcja się skończyła. Otwierają się bramy obozu, z wolna rusza kolumna, czoło znika w bramie, za nim

¹⁰ Zapewne zapis winien brzmieć „Widuj” – co oznacza żydowskie wyznanie wiary, służące także za modlitwę przedśmiertną.

¹¹ Brak bliższych danych.

¹² Willi Eckert – SS-Hauptscharführer, wcześniej służył m.in. w KL Mauthausen. Znany z brutalności i popełnianych nadużyć.

¹³ Brak bliższych danych.

dalsze szeregi. Idą powoli, wąż zmniejsza się, znika ostatnia piątka. Bramy zostają otwarte.

Cisza, piekielna cisza: nie słychać żadnego słowa, tylko gdzieś tam płacz kobiet. Esesman „lituje się”, uspokaja: „Oni idą tylko do Auschwitz”. Esesmańska pociecha. Koło mnie słuszny, czterdziestoletni mężczyzna płacze syna^b. Usta jego ciągle wymawiają imię: „Chaim, Chaim”. Błady jak ściana, z martwymi oczami stoi szesnastoletni chłopiec – usta kurczowo zaciśnięte, drgają mu mięśnie twarzy, nieprzytomnie zgrzyta zębami. Zabrano mu ojca i matkę. Milczenie, które starczy za „Ejl malej rachamim”¹⁴.

Lufy karabinów nadal celują w nas nieruchomo. Psy i esesmani nie pozwalają się poruszyć. Nie wiadomo, dlaczego nas jeszcze przetrzymują. Patrzą nieruchomo w dal, myśli błyskawicznie przelatują przez głowę – bezładne, niczym niepowiązane: jakieś szare momenty życia codziennego. Dziwnie pusto – i nienawiść. Wtem nadchodzą policjanci z wiadomością: selekcja trwa. Blancke w szpitalu wybiera chorych tyfusowców, chorych na dyzenterię zwalają razem ze zdrowymi na auta i pakują do wagonów. Zwalają chorych ze zdrowymi – oto dostateczny dowód, że to na śmierć. Ta masa stłoczona w wagonach płaszowskich wyładowała się u bram komory gazowej w Auschwitzu i natychmiast poszła na śmierć.

Selekcja w szpitalu skończyła się: czekanie trwa. Cisza, przerywana jęklwym zawodzeniem – wtem drogą ku wyjściu przejeżdżają auta pełne dzieci. Zabrali dzieciniec; zostawili dziesięcioro dzieci funkcyjnych i naturalnie synka doktora Grosmana¹⁵. Dzieci płaczą, ich płacz jest silniejszy niż oddalenie, głośniejszy niż warkot motorów. Z aut wyciągają się małe rączki, słychać krzyki: „Mamo, mamo!”. Przerażliwa groza.

Wznosi się straszny krzyk matek, krzyk straszny, którego już nigdy w życiu zapomnieć nie można, przejmujący swym bólem do głębi, krzyk, który na zawsze zobojeźnia człowieka. Matki biją się pięściami po głowach, rwą sobie włosy: jedne rzucają się na ziemię i szlochają, gryzą ziemię i załamują ręce. Inne, nie bacząc na nic – na psy, karabiny i esesmanów – rzucają się w kierunku wyjścia i pędzą. Marszczy brwi Hauptsturmführer Göth. Esesmani zastępują matkom drogę, biją, walą kolbami, puszczają psy, które szarpia i gryzą. Jeden z esesmanów trzyma kobietę za włosy, jej rozpacz jest silniejsza – ciągnie go, zapierającego się, ku bramie, wyciągając ręce i krzycząc, wciąż krzycząc imię dziecka. Esesman nie puszcza włosów; nie może jej utrzymać, więc podstawia jej nogę, a kiedy kobieta pada, kopie ją i poniewiera, leżącą na ziemi. Dziki, zwierzęcy krzyk matki, krzyk bólu, w którym powtarza się wciąż imię dziecka. Esesmani zapędzają ją na miejsce: wlokąc po ziemi, biją szpicrutą przez twarz, przez piersi, znęcając się nad nieprzytomną.

Hauptsturmführer Göth rzuca rozkaz: „Milczeć!”. Matki stają w szeregu i zawodzą rozpaczliwie – rozkaz Götha nie jest w stanie stłumić ich szlochu: płacz wznosi się i przejeżdża, rwie do głębi; tego bólu nie da się opisać. Göth się gniewa: pierwszy raz zdarza się, że jego rozkaz nie jest usłuchany. Nie lubi płaczu i krzyku w obozie: te kobiety mają jutro pracować. Wehrmacht potrzebuje koszul i spodni; one jutro muszą normalnie szyć, musi być dyscyplina i porządek. Dlaczego milczą megafony? Odzywają się dźwięki niemieckich pieśni: niemiecka bestia kpi sentymentalną melodią „Mutterliebe”¹⁶.

^b *Tak w oryginale.*

¹⁴ „Ejl malej rachamim” (hebr.) – Boże pełen miłosierdzia (modlitwa za zmarłych).

¹⁵ Brak bliższych danych.

¹⁶ *Mutterliebe* (niem.) – miłość matki.

Ryczą megafony; płacz matek miesza się z dźwiękiem tang – piękny, słoneczny dzień. Selekcja się skończyła, bloki odchodzą do baraków, schodzą z placu hycle i psy, „czarni” zabierają karabiny maszynowe. Plac pustoszeje. Z wież tylko lufy wyzierają jak normalnie. Z megafonów dochodzą dźwięki sielankowego banału: „Chłop i poeta”¹⁷.

Dlaczego przez cały czas selekcji jedynym uczucie, jakiego doznawałem, była wściekłość, upokorzenie i nienawiść do Niemców? Dlaczego nie doznawałem współczucia dla idących na śmierć? Wszak trzy lata przedtem nie troszczyłbym się w takim przypadku o konsekwencje: bez względu na to, kogo by to dotyczyło, rzuciłbym się w obronę człowieka. Trzy lata wcześniej nie byłem w stanie w ogóle wyobrazić sobie choć w przybliżeniu podobnej sytuacji, nie miałem wątpliwości co do swojego zachowania. Czy [dziś] jestem w stanie odtworzyć drogę zmiany, te drobne dawki, którymi bestia zmieniała nas, wciągając w swoją zwierzęcą otchłań? Jak to się stało, że podczas gdy w pierwszym dniu wkroczenia Niemców do Lwowa doznawałem niemal fizycznego bólu na myśl o torturowanych i mordowanych w „Brygidkach”¹⁸, mimo że sam byłem bezpiecznie schowany u dozorczy, a żadnego faktu bezpośrednio nie widziałem – później stałem się nieczuły na najpotworniejsze okrucieństwa, których byłem naocznym świadkiem?

Czy to kolejne, prawie bez przerwy następujące po sobie utraty znajomych, przyjaciół, najbliższych z rodziny doprowadziły do stanu zubożenia? Czy to drobne dawki znieczuliły na wielkie? I jak to się stało, że ja, który niegdyś nawet zrozumieć nie mogłem nienawiści do narodu, ja, który zawsze próbowałem zrozumieć powody zła, szukałem jego sprawców i drogi unieszkodliwiającej ich działanie, umożliwiającej wyprowadzenie społeczeństwa ze stanu, który uważałem za zły – doszedłem do tego, że nie mogę powstrzymać w sobie nienawiści do tego narodu, nie chcąc szukać w nim żadnych dobrych właściwości, nie wierząc w jego wychowanie? Jak się to stało, że nauczyłem się nienawidzić jak faszysta, jak nacjonalista? Jaką drogą zeszedłem w to bagno, którym sam niegdyś pogardzałem, które było mi całkowicie obce? Kiedy wykluło się i zdażyło wzrosnąć uczucie mściwości, nieznane mi nigdy przedtem?

Na pytanie to prawdopodobnie nie uda mi się odpowiedzieć. Trudno, prawie niemożliwe jest dla mnie teraz przejść jeszcze raz cały ten okres panowania niemieckiego i jego kolejnych wpływów na psychikę. Oddziela on dwóch różnych, nierozumiejących siebie ludzi: mnie przed tym i mnie po tym. I nigdy nie będę wiedział: czy w czasie selekcji pławowskiej było to zubożenie wskutek nadmiaru przeżytego bólu, czy oswojenie się z takimi wypadkami, czy może skutek ogromnego rozgoryczenia, wynikającego ze wszystkich tych przeżyć, rozgoryczenia, które minęło, ale zostawiło mnie innym? A może wszystkie te przyczyny¹⁹?

¹⁷ Utwór muzyczny (uwertura), którego twórcą był Franz von Suppé (1819–1895) kapelmistrz Teatru Wiedeńskiego (Theater an der Wien), daleki krewny Gaetano Donizettiego, pochodzenia włosko-belgijsko-czesko-polskiego.

¹⁸ Potoczna nazwa więzienia lwowskiego umiejscowionego przy ul. Kazimierzowskiej (obecnie Horodeckiej). Znane z masowego mordu więźniów dokonanego przez władze radzieckie w czerwcu 1941 r.

¹⁹ Było to zjawisko psychologiczne występujące dość często u osób, które przeszły przez niemieckie obozy. Obserwował to m.in. Icchak Edison na przykładzie swojego brata: „Jaki był po tych przejściach? Żył tam ze śmiercią, spał ze śmiercią i budził się z nią. Często miałem wrażenie, że nie opowiada o sobie, ale jakiejś innej osobie. I prawdopodobnie mój brat nie zdawał sobie sprawy, że ten, który to wszystko przeszedł, był rzeczywiście inną osobą, ponieważ przepaść między tamtym piekłem i normalnością była zbyt wielka i straszna, by mogły one być połączone wspólną przestrzenią ciągłości i kontynuacji. Dlatego przeszłość obozów śmierci musiała zostać oddzielona punktem, by można było rozpocząć nowe, normalne życie. I dlatego każdy powracający kaletnik patrzył na swe przeszłe życie jak na koszmar, który przyśnił się innej osobie. Ten psychologiczny fenomen umożliwiał ponowne dopasowanie się normalnie funkcjonującego środowiska ludzkiego” (*Pojln noch der „bafrajung”*, Paryż 1956, s. 54).

Ciągle słyszymy pytanie: skąd Niemcy wzięli tylu zbrojców, tylu psychopatycznych sadystów? Moja odpowiedź jest zawsze jednakowa: Niemcy nie są pod tym względem narodem wyjątkowym, wszystkie narody są pod tym względem takie same.

Sadyzm jest jedną z najgłębszych, najbardziej istotnych cech natury ludzkiej. W normalnych warunkach stłumiony, pokryty pokostem wychowania i wbijanej do głowy etyki, usypiony – drzemie. Budzi się z całą gwałtownością, gdy uzyskuje swobodę, gdy staje się bezkarny – a dochodzi do hitlerowskich potworności, gdy jest kultywowany.

Przez całą historię przewija się nić sadyzmu. Rzym starożytny, średniowiecze z torturami, wojny religijne z ich rozbestwieniem, katowanie wrogów, wbijanie ich na pal itp. trwające do XIX w., okrucieństwa rewolucji francuskiej, wojny domowej w Rosji, Niemiec hitlerowskich... To nie te wypadki stworzyły sadyzm; raczej były tłem, na którym wyrosło i rozpełtało się głęboko tkwiące w ludzkiej naturze zwierzęce okrucieństwo.

W obozach obserwowałem wszystkie narodowości. Poza Niemcami w obozach byli na ogół niebrodniarze. Jednak pozostawienie swobodnej ręki wyzwalalo we wszystkich mordercze dążenia. Wszyscy – Polacy, Żydzi, Francuzi, Rosjanie – potrafili bić i znęcać się nad współwięźniami z własnej woli, bez rozkazu, np. kopać ciężarne kobiety w brzuch – bez żadnego współudziału Niemców.

Obserwuję siebie – jestem już osiem miesięcy na wolności, ale jeszcze dziś, gdybym mógł dostać Feixa w swoje ręce, mógłbym się nad nim znęcać w najpotworniejszy sposób: katować go powoli, wymyślnie, bez żadnego hamulca wewnętrznego czy też obrzydzenia. Nie mógłbym tego zrobić w stosunku do jakiegokolwiek bądź człowieka, w warunkach braku we mnie tego podłoża nienawiści. Właściwą drogą, wskazywaną przez cały mój dorobek kulturalny, jest jednak wykonanie na nim prawnie orzeczonego wyroku śmierci.

Ale świadomość, że mógłbym go torturować, że czuję przyjemność na myśl o katuszach zadawanych temu bydlakowi, świadczy o sadyzmie tkwiącym i we mnie, a obserwowanym na każdym kroku u innych.

Rozmowa, którą dziś przeprowadziłem¹: młody plutonowy, przyjemna, miła twarz, robiący wrażenie człowieka niezdolnego do żadnego okrucieństwa, opowiada: „Gdy szliśmy na Berlin, ile razy potrzebowałem, brałem Niemkę, rozwalalem ją i dwa, trzy razy posunałem. Potem dźgałem bagnietem, czasem nożem przebiłem na wskroś, przybijałem do deski pod spodem i koniec. Wszyscy robili tak samo...” – kończy miękkim, pieszczotliwym głosem.

Skąd Niemcy wzięli tylu sadystów...?

¹ Autor odwołuje się do okresu tużpowojennego, gdy powstawał powyższy pamiętnik, czyli przełomu 1945 i 1946 r.

**WYBRANA
KORESPONDENCJA**

I. Powrót do normalności, m.in. korespondencja z osobami z życia publicznego

Nr 1

1946 lipiec 4, Łódź – Edward Otto do Marcelego Starka, któremu wraz z żoną pomagał w okresie okupacji. Odnowienie znajomości po wojnie. Chęć spotkania

Wielce Szanowny Panie Kolego!

Listem Pana bardzo z żoną ucieszyliśmy się. O makabrycznych przygodach Pana i pobycie w Krakowie mówił mi prof. Marczewski¹ jeszcze w okresie Bożego Narodzenia, ale nie umiał podać Pana adresu.

Miło usłyszeć, że pamięta Pan spotkanie w Warszawie, choć wolałbym, gdybym wtedy mógł dać Panu najistotniejszą pomoc, tzn. pokój.

Bardzo jestem ciekaw Pańskich przeżyć. Dlatego z prof. Borsukiem zastanawialiśmy się nad pewnym listem czy kartką pochodzącą zdaje się od Pana, a adresowaną do [sklepu]. Poza tym jest dla mnie bardzo [zagadkowy] telefon Pana w dniu 18 I 1943 [r.] po aresztowaniu nas w niedzielę².

Nasza historia jest zupełnie nieinteresująca. Jedynie mieliśmy kłopoty (bardzo poważne) finansowe po zaaresztowaniu.

Wolałbym porozmawiać z Panem o dalszych sprawach, gdyż będzie to bardziej wyczerpujące. Czy będzie Pan w końcu lipca we Wrocławiu? Ja się zamówiłem do prof. [...]a. Sądzę, że się zobaczymy.

Łączę mocny uścisk dłoni,
EOtto^b

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, s. 1.

^a *Zapis nieczytelny.*

^b *Podpis odręczny w oryginale.*

¹ Zapewne Edward Marczewski (1907–1976) – polski matematyk żydowskiego pochodzenia, profesor i rektor Uniwersytetu Wrocławskiego.

² 18 stycznia 1943 r. przypadał w poniedziałek.

*1946 lipiec 10, Warszawa – Fragment listu Karola Borsuka do Marcelego Starka. Pista-
wa społeczeństwa polskiego w okresie wojny i pomoc okazywana przez nadawcę adre-
satowi, gdy ten ukrywał się w Warszawie po tzw. aryjskiej stronie. Stan zdrowia adresata*

Szanowny Panie Adiunkcie!

Serdecznie dziękuję Panu za tak miły list z dn[ia] 4 VII 1946 [r.], jak również i za list poprzedni, na który nie odpisałem, gdyż nie podał Pan swojego adresu i wyraźnie zazna-
czał, że odpowiedzi nie oczekuje. O losach Pana dowiadywałem się za pośrednictwem
naszych wspólnych kolegów i z dużym podziwem myślałem zawsze o energii, którą
okazał Pan w tak beznadziejnych warunkach, ratując życie. Cieszę się bardzo, że wresz-
cie znalazł się Pan w atmosferze zdrowej i przyjaznej, i że może Pan pracować zgodnie
ze swymi zamiłowaniem. Nie wątpię, że te przejawy barbarzyństwa i ślepej nienawi-
ści rasowej, z którymi Pan się i w kraju spotkał, należą już do faktów zanikających. Nie
dziwi mnie, że jeszcze się zdarzają (jak np. ostatnio – w Kielcach¹), ich brutalność jest
bezwątpiwie przejawem zbrodniczej atmosfery, którą promieniował hitleryzm i której
wpływ na pewno pozostawił trwałe ślady. Ale postawa całego społeczeństwa, a przynaj-
mniej jego dominującej większości, jest taka, że chyba można patrzeć z otuchą w przy-
szłość. Smutne jest to, że w czasie okupacji tak ujemne wrażenie odniósł Pan w stosun-
ku do postawy społeczeństwa polskiego. Sądzę, że w tej beznadziejnie ciężkiej sytuacji,
w której się Pan wówczas znajdował, stykał się Pan znacznie częściej z tymi zbrodni-
czymi elementami, niżby to wynikało z ich liczebności. Dlatego też wyrazy uznania
ze strony Pana dla mnie, jakkolwiek tak cenne, wydają mi się zupełnie niewspółmier-
ne wobec błahości pomocy, którą Panu okazałem. Przeciwnie, często wydawało mi się,
że w zbyt małym stopniu starałem się wówczas ułatwić Pana sytuację i jestem głęboko
przekonany, że ze strony 90 proc. Polaków spotkałby się Pan z postawą nie mniej życz-
liwą, niż była postawa moja – oczywiście, jeżeli się uwzględni jeszcze stosunek kole-
żeński, który nas łączy. Widocznie jednak los tak chciał, że w tych złych dniach stykał
się Pan przeważnie z tymi pozostałymi 10 proc. Cieszę się, że Pan wynikający stąd wy-
rok potępienia względem społeczeństwa polskiego zrewidował i że znowu Pan czuje się
jego członkiem.

Zmartwiła mnie wiadomość o złym stanie Pana serca. Widać i pod tym względem je-
steśmy kolegami. Niemniej mam nadzieję, że uda się Panu kiedyś przyjechać do Warsza-
wy lub że spotkamy się na jakimkolwiek innym gruncie. Opowie mi Pan wówczas do-
kładnie swoje losy, których jestem bardzo ciekawy, a ja Panu opowiem swoje. Nie były
one tak ciężkie jak Pana, ale bardzo mało brakowało, bym zginął, podobnie jak moja ku-
zynka, o której śmierci Pan wspomina. Co się tyczy spraw finansowych, o których Pan pi-
sze, to uważam, że w żadnym razie nie powinien Pan uważać się za mego dłużnika. Po-
mijając błahość tej sumy, strata jej była wynikiem katastrofy, której ulegliśmy wszyscy.
Gdyby pieniądze te pozostały w moim ręku, zostałyby one mi zabrane w chwili katastrofy

¹ W dniu 4 lipca 1946 r. w Kielcach miał miejsce pogrom na ludności żydowskiej, dokonany przez cywilów, mili-
cjantów i żołnierzy. Kilkadziesiąt osób zginęło, wielu było rannych.

mego sklepu, nie mówiąc już o późniejszej ogólnej zagładzie w czasie powstania. Miło mi będzie, jeżeli sprawę tę będziemy uważać za całkowicie zakończoną [...].

Bardzo serdecznie Pana pozdrawiam,
Karol Borsuk

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

Szanowny Panie Adminku.

Szczerze dziękuję Panu za tak miły list z dn. 4. VII. 1946, jak również i za list poprzedni, na który nie odpowiedziałem, gdyż nie dostałem Panu mojego adresu i nie miałem sposobu, by odpowiedzieć na wszelkie. O losach Pana dowiedziałem się za pośrednictwem naszych przyjaciół kolegów i z dużym podziwem myślałem o energii, którą okazał Pan w tak bezwzględnych warunkach, w jakich się znajdował. Ciężko było, że wówczas miał Pan w atmosferze zdrowej i przyjacielskiej i że może Pan pracować zgodnie z moimi zamiarami. Nie wątpię, że te warunki brzośne i dobrej niałości w niej, z których Pan się i w końcu spotkał, należą już do przeszłości. Nie dziwi mnie, że jeszcze nie odebrałem (tak np. ostatnio w Kalesach), ich brzośność jest bezwzględnie przejawem zdrowej atmosfery, którą promieniował listem i której wątpię nie powrócić. Ale powrót tego spotkań, a przynajmniej jego domniemanej wielkości, jest dla mnie, że chyba moim powrót z obawy w przyszłości. Świadczą o tym, że w moim obywateli tak naprawdę nie miał Pan w stosunku do powrót spotkań polskiego. Sądzę, że w tej bezwzględnej sytuacji, w której się Pan wówczas znajdował, może Pan znacznie usunąć z życia zdrowotnymi elementami, nie by to wypadało z ich brzośnością. Dlatego też uprząm wówczas ze strony Pana dla mnie, polskiego tak cenne, wydać mi się zupełnie niepotrzebne, wobec brzośność powrót, który Pan okazał. Przeciwnie, jako wydać mi się, że w tym miejscu skupiają się Panu, wówczas właśnie Pan wyjechał i jakże szybko powrót, że ze strony 30% Polaków spotkał by się Pan z powrót nie mniej wielką niż była powrót moja — ogólnie rzecz ujętym, że Pan brzośność, który musiałem. Widowałem jednak los tak ciężki, że w tym stylu dawał mi Pan powrót z życia przynajmniej 10%. Ciężko było, że Pan uprząm, aby uprząm powrót powrót polskiego powrót i że może Pan uprząm się jego utonieniem.

1946 czerwiec 24, Kraków – Fragment listu nieznanego z nazwiska Zygmunta¹, matematyka, do Marceliego Starka. Problemy osobiste, rzeczywistość powojenna, także problematyka polsko-żydowska na przykładzie sytuacji żony i stereotypów antyżydowskich, wyrażanych przez siostrę autora

[...] Z nowych kłopotów mogę wymienić przyjazd siostry. Siostra oznacza nowe wydatki, bo nie pracuje, pracować nie umie, a może i nie chce. Czy też nie może chcieć, co praktycznie wychodzi na jedno. Bynajmniej nie jestem jej wrogiem, ani nie mam zamiaru jej szkalować. 1. Typ prawie dziki, z tą różnicą, że niechowana w lesie, więc mówić umie. 2. Półanalfabetka (4 oddz[iały] szk[oły] powsz[ecnej] przed 17 laty, teraz 28 lat). Ale bez analfabetyzmu powrotnego, bo czytanie brukowych powieści plus pewne zdolności swoje robią. 3. Dość nerwowa, chyba obciążona dziedzicznie, bo i ja mam nerwy kiepskie. Chyba po ojcu, bo matka zrównoważona. 4. Zmanierowana, lubi naśladować mowę różnych kumoszek, styl Wiecha², nawet z dość dobrym poczuciem humoru, ale to dobre w miarę. Gadać może 18 godzin na dobę, różne plotki i wspomnienia z tak drobnymi szczegółami, że nudzi i zaciera główną treść, i to nie pytając, czy ktoś chce słuchać. 5. Poglądy np. polityczne czy religijne żadne. O religii „mądrzy się” w stylu wiejskich „filozofów”, nawet nie na poziomie szesnastoletnich sztubaków, raz za, raz przeciw. O polityce wie tyle, co jej kumoszki. Zaznacza się wpływ Hitlera. Co prawda matka, jako osoba b[ardzo] łagodna i zupełnie niewykształcona i apolityczna nie była antysemitką, a ja – gdy czasem przyjeżdżałem do domu – to nawet uświadamiałem ją w swoim kierunku, ale ten wpływ był mały, znacznie silniej działały wpływy różnych przypadkowych koleżanek. Toteż, gdy wyraziła się o jakimś Niemcu (była na terenach przyłączonych do Rzeszy), że był jej sympatią, i obsztorcowałem ją za to, odpowiedziała w tym sensie, że przygadał kociół garnkowi, bo ja przed wojną w Krośniewiczach spacerowałem raz po alejkach z Żydówką. (O narodowości żony nie wie, bynajmniej nie ze strachu, a z innych powodów, które częściowo będą niżej). W dyskusji, która powstała później, użyła dwóch podstawowych argumentów – Żydzi zabili P[ana] Jezusa i Żydzi zabijają dzieci na macę. Pierwszy łatwo było obrócić przeciw, bo musiała uznać, że byli „porządni Żydzi”, a o drugim można było powiedzieć tylko, że inteligentni antysemita, np. Hitler, w niego nie wierzą, bo jest tylko dla najciemniejszej hołoty, „nie mów tak nigdy, bo poznają, żeś ze wsi” – punkt jej ambicji, bo ma obojętność wieśniaczki, zresztą istotnie jest ze wsi i ulega wpływom środowiska. Nie była jednak pewna, czy to prawda, bo „wobec tego ciocia X też jest z najciemniejszej hołoty” (i właściwie prawda, tylko z tej lepiej ubranej). Zresztą sprzeczać się nie umie, uważa, że zawsze ma rację i że przekonać znaczy przegadać, o ile powiedziała ostatnie słowo, to jej racja.

[...] Żona powiedziała: „zmarnowaliście waszą Basię, skandal”.

¹ Najprawdopodobniej Zygmunt Zahorski, z którym Marceli Stark się przyjaźnił (zob. przypis nr 57 we „Wstępie”).

² Stefan Wiechecki „Wiech” (1896–1979) – literat, publicysta, dziennikarz, satyryk. Znany z gwarowego stylu felietonów opisujących życie Warszawy. Autor wielu dzieł, m.in. powieści *Cafe „Pod Minogą”* (1947) i *Manius Kitajec i jego ferajna* (1960). Ukazały się jego wspomnienia *Pięte przez dziesiąte* (1970). Biografia Wiecha pt. *Nad szarej Wisły brzegiem...* (autorstwa Tadeusza Witlina) ukazała się w roku 1990.

[...] Z zaniedbanych zdolności, które zresztą teraz nie dadzą nic konkretnego, bo ważniejszy fach, ma rysunkowe i malarskie, jak na osobę bez żadnej szkoły, fenomenalne.

[...] Właściwie przypadkiem jest, że ja nie poszedłem jej drogą. Bo i ja do 13 lat byłem z matką, ale zajmowałem się już wtedy matematyką i uparłem się, że skończę szkołę i gimnazjum, pomimo że języki czy historia mi się nie podobają. O ile macie doświadczenie, to proszę o radę, co z tym fantem zrobić.

Co do żony, to istotnie jest przepracowana mocno. Zdrowie ma słabe na wątrobę, a odpocząć ma zamiar w wakacje. Psychicznie nie może czuć się dobrze, jak chyba rozumiecie, na skutek zupełnej utraty środowiska. Nieraz dawniej obsztorcowywała mnie, zresztą słusznie, za oportunistę. Bo choć oświadczenia na profspilce³ nie muszą być miarodajne, to jednak były. Rzeczywiście do wojny byłem tylko oportunistą, zmiany istotne nastąpiły później, może nawet dopiero w [19]41 lub dalej. Żona odznacza się też dużą odwagą wojskową, spacerowała pod kulami i nie bała się nalotów. A jednak tak twarda osoba jest oportunistką, choć Niemców nie ma, w sprawie własnej narodowości, i słusznie. Bo przy tak wrednym nastawieniu, jakie ma, mniej lub mocniej, większość ludzi, zostałaby w próżni, czego boi się bardziej od nalotów. Odpadną wszystkie koleżanki i wszystkie uczennice, i z najlepszej nauczycielki zostanie od razu najgorszą. Czasem mówi, że robi to ze względu na mnie. Ale ja tego wcale nie wymagam. Choć bojowego charakteru nie mam, to fakt. Jednak jak kiedyś (w szpitalu) powiedziałem, miała pretensje. Z mojej rodziny wiedzą o tem dwaj kuzyni, reszty zawiadamiać nie chcę, choć nie boję się, bo mi głowy nie urwą, ale po co zbyteczne dyskusje? A siostra też do tego za głupia. Gdyby wiedziała, to może jeszcze trudniej byłoby dać sobie z nią radę. Takie są przyjemności tego świata i to wyliczając tylko te złejsze. Zdenerwowały mnie też dwie dyskusje z amatorami wojny domowej, jak mawiam, gośćmi z klubu samobójców. Doprawdy, nie jestem człowiekiem myślącym społecznie. Widziałem raz takiego, mawiał, że choć czasy są przykre, ale jednak przyjemne, bo ciekawe. Mnie tam wcale nie bawią. Nic ciekawego nie widzę w rzeziach ani przewrotach, ciekawsze są kryształki śniegu. Nie ma czasów jak 1870–1914 albo te za sto, pięćset lat, o ile świat będzie jeszcze istniał. A taki jak teraz, to niech jasna cholera zatłucze. Na tem kończę i wszystkiego najlepszego^a.

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 5.

^a Poniżej nieczytelny podpis.

³ *Profspilka* – w żargonie komunistycznym „związek zawodowy”, oczywiście komunistyczny.

1947 marzec 16, Kluczbork – *Fragmenty listu nieznanego z nazwiska Stefana do Marcellego Starka. Radość z ocalenia adresata, losy wojenne i powojenne, informacja o książkach, które przechował dla adresata*

Drogi Marcelku!

Z radością dowiedziałem się z artykułu pt. *Seminarium matematyczne* w „Dzienniku Zachodnim”, iż przetrwałeś ciężki okres okupacji i obecnie owocnie pracujesz na Uniwersytecie Wrocławskim. Ostatnią wiadomość miałem od Ciebie z wiosną 1942 lub [19]43 roku, pisaną – o ile sobie przypominam – z Białej Podlaskiej. Prosiłeś mnie wtedy o udanie się do dr. X (nazwiska nie pamiętam), mieszkającego w okolicy placu Antoniego, u którego zdeponowałeś część Twych książek – a które on miał spieniężyć i równowartość przesłać Tobie. Byłem u niego kilkakrotnie w tej sprawie i prosiłem o skomunikowanie się ze mną w Unii Strażackiej lub w domu. Wydawał mi się jakiś podejrzliwy i dawał niejasne odpowiedzi – dlatego też przestałem się z nim komunikować. Napisałem Ci o tym, ale na list nie dostałem żadnej odpowiedzi – sam zaś zarabiałem tak niewiele, iż nie mogłem Ci materialnie dopomóc w tym okresie.

Później po usamodzielnieniu się, tzn. złożeniu egzaminu dyplomowego i uzyskaniu posady w Treuhand-Grundstücksverwaltung¹, 26 XII [19]43 [r.] ożeniłem się. Zarabiałem w tym czasie dość dobrze, sporządzając kosztorysy i rachunki w języku niemieckim dla przedsiębiorców budowlanych, lecz niestety, nie znałem Twego adresu, a Ty też się nie odzywałeś. Od tego czasu minęło kilka lat, w ciągu których wielokrotnie wspominaliśmy Cię z rodzicami, snując domysły na temat Twego dalszego losu. Ja osobiście sądziłem, że na pewno wstąpiłeś do partyzantki i to jest powodem Twego milczenia. Wierzyłem jednak zawsze, iż walkę o życie wygrasz. Podobnie, nie mieliśmy od brata mego, Władka, przez dłuższy czas żadnej wiadomości, mimo iż wysłał dziesiątki listów – dopiero w 1943 r. przez Lizbonę przysłał kilka paczek, a potem znów – milczenie. Dopiero po wojnie odezwał się na nasze poszukiwanie *via* Lizbona. Jest obecnie w Anglii w RAF² mechanikiem lotniczym (wojskowym) – ale ma tego dość i wybiera się gdzieś dalej. Ludzie się w czasie wojny porozpraszali po świecie i upłynie jeszcze sporo czasu, zanim się nawzajem poodnajdą. Zwykle z pomocą przychodzi w takich okolicznościach przypadek – jak też i w danym. Zapytywałem o Ciebie na Politechnice Gliwickiej – lecz tam Ciebie nikt nie znał i nie mógł dać informacji.

Przypuszczam, iż sprawię Ci miłą niespodziankę, przesyłając wykaz ocalałych książek z Twojej biblioteki, a które są w każdej chwili do odebrania u mnie. Pierwotnie zdeponowałeś u mnie około kilkadziesiąt książek naukowych, w tym dużo beletrystyki obcej. Następnie za każdą bytnością u mnie zabierałeś po kilka książek celem sprzedaży wzgl[ędem] deponowania u dr. X. Nie prowadziłem żadnej ewidencji ruchu książek i nie znam dokładnie ich ilości, ale to, co zostało w moim posiadaniu, to w ok. 80 proc. udało mi się wywakuować ze Lwowa. Część z nich musiałem niestety zostawić we Lwo-

¹ Treuhand-Grundstücksverwaltung (niem.) – niemiecki zarząd powierniczy zajmujący się sprzedażą ziemi.

² Royal Air Forcess (ang.) – Królewskie Siły Powietrzne (angielskie lotnictwo wojskowe).

wie na strychu mieszkania rodziców, gdyż sam posiadałem mnóstwo własnych bagaży (ok. 26 sztuk) i miałem sporo kłopotów z zapakowaniem własnych książek technicznych (ok. 150 sztuk); notatek i czasopism. W każdym razie to, co zostało, było w moim mniemaniu najmniej wartościowe. Kilka książek angielskich, między nimi *Klub Pickwicka* pozwoliłem sobie pożyczyć koledze, inż. Ż. i przypadły w jego mieszkaniu po aresztowaniu go w lutym 1944 r. i zajęciu mieszkania przez Moskali. Sądzę, że z tego powodu nie będziesz miał żalu do mnie. Prócz tego znajdują się w moim posiadaniu książki otrzymane od Ciebie w darze lub kupione [...].

Najprościej byłoby odebrać książki osobiście lub przez kogoś upoważnionego, bo jest tego ok. 1–2 walizki. Drogą pocztową byłoby to zbyt uciążliwe i ryzykowne. Mieszkam obecnie w Kluczborku odległym od Wrocławia o ok. 100 km (na wschód) i sądzą, iż znajdziesz na tyle czasu, aby mnie odwiedzić – przy tej sposobności nagadamy się do syta.

[...] od konferencji jałtańskiej³ zupełnie konkretnie zacząłem myśleć o wyjeździe na Zachód. Zaczęliśmy powoli likwidować mieszkanie, sprzedawać meble itp. Wyjechaliśmy ze Lwowa 20 V [19]45 [r.] z myślą, że jedziemy do Łodzi, lecz stąd skierowali nas do Kluczborka. Chcąc nie chcąc, musieliśmy się na to zgodzić i do tej chwili tu siedzimy.

[...] Zresztą obecnie absorbuje nas umysł wychowanie naszego synka, Tolusia, który wkrótce ukończy 4 mies[iące]. Chowa się zdrowo i jest bardzo żywy, czasem zaś daje mamusi i babci taką szkołę, iż nie są zdolne o niczym myśleć, jak o wypoczynku.

[...] Myśl o wodzie przywiodła mi na pamięć naszą wspólną wycieczkę kajakową do morza i zdjęcia w [tym] czasie dokonane. O ile sobie przypominam, zostawiłeś te zdjęcia u mnie, muszę więc poszperać między zdjęciami i wybrać dla Ciebie komplet, względnie zrobimy to razem, po Twoim przyjeździe.

Dobrze pamiętam chronologicznie mniej więcej do końca, do ostatniego niemal dnia. Sądzą, iż Twoje przeżycia okupacyjne, tzn. te, których nie znam, obfitują w szereg tragicznych nieraz przeżyć, w których stawką było życie. Wiem, iż przykro jest wygrzebywać z pamięci przeżycia smutne i tragiczne, które z dzisiejszej perspektywy wydają się jakimś chyba koszmarnym snem, z którego człowiek chce się jak najszybciej otrząsnąć. Gdyby było inaczej, to nie znalazłbyś w sobie sił i entuzjazmu do twórczej pracy naukowej, której się teraz oddajesz.

Na tym dzisiaj kończę, życząc owocnej pracy na polu naukowym.

I pozdrawiam Cię serdecznie,

Stefan

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 5.

³ Konferencja jałtańska (4–11 II 1945 r.) – spotkanie Wielkiej Trójki, tzn. przywódców koalicji antyhitlerowskiej (Winstona Churchilla, Franklina Delano Roosevelta i Józefa Stalina), które miało decydujące znaczenie dla powojennego kształtu Europy.

1947 grudzień 27, Wrocław – Marceli Stark do Hanny Szmuszkowicz. Podziękowanie za zainteresowanie w okresie pobytu w Łodzi. Wrażenia z odwiedzin Warszawy, a szczególnie ruin byłego getta

Szanowna Pani!

Odpocząwszy nieco po drugiej i to bardzo męczącej części swej podróży, śpieszę z podziękowaniem za tak daleko idące zainteresowanie moją osobą w czasie pobytu w Łodzi. Te dwa dni – dzięki Pani – pozostawiły nader miłe wspomnienie i wniosły nieco intelektualnej rozrywki do mego monotonnego i zapracowanego życia. Miałem zaledwie jeden dzień wypoczynku, gdyż drugi dzień świąt spędziłem na załatwieniu oczekującej mnie, obszernej korespondencji „Studiów”, przygotowaniu prac do druku itp. Wypoczynek polegał właściwie na tym, że nie byłem zmuszony do wykonywania tego w nerwowym tempie.

Zwiedziłem obecną Warszawę. Dużo się tam zrobiło, jest to jednak znikome wobec tego, co pozostało. Straszne wrażenie zrobiło na mnie getto. Znałem je dość dobrze, spędziłem tam przeszło trzy miesiące, ale nie mogłem się zorientować, gdzie jestem. Beładna kupa ruin. Byłem na szczątkach domu, w którym mieszkalem, w miejscu, gdzie zostałem po raz ostatni złapany. Z trudem mogłem się zorientować. Ponuro wznosi się z całego getta jeden tylko budynek, *Werterfassung*¹, obecnie gmach „Społem”. Z budynkiem tym łączą się liczne wspomnienia, a przede wszystkim myśl o setkach tysięcy, które tędy przeszły na śmierć. Wytworzyła się literacka sytuacja, gdy z gruzów tych zaczęły powstawać cienie od wielu lat nieżyjących, domy powznosiły się i zmartwychwstawała we mnie znowu okropność okresu z końca istnienia getta i powstania w getcie. Przeżyłem to po raz wtóry. Wówczas nie widziało się całej ohydy hitlerizmu, gdyż żyjąc w niej, było się nieco z nią oswojonym. Całą jego potworność odczuwa się w pełni dopiero teraz, w momentach, gdy wczuwa się w ów okres.

Ale dość o tym. Widok getta przynębił mnie na kilka dni.

Pozwalam sobie zwrócić się do Pani z następującą prośbą: Mazur² obiecał mi, że pozwole Pani – o ile się Pani na to zgodzi – uczynić wyciąg z jego notatek, dotyczący ostatniej pracy Wojdyśławskiego³. Prosiłbym Panią o uczynienie tego, celem opublikowania w „Colloquium”⁴.

Druga prośba: W razie wyjazdu Mazura do Bierutowic⁵, proszę uprzejmie o zawiadomienie mnie o tym – i to jak najszybciej, gdyż jestem pewny, że nie załatwi tego, co mi obiecał, i będę musiał za nim jeździć.

¹ *Werterfassung* – instytucja niemiecka powołana w celu wydobycia z terenu getta warszawskiego (według planów niemieckich miało być ono całkowicie wyburzone, a na jego miejscu miał powstać park), wszelkich wartościowych materiałów pozostałych po ludności żydowskiej. Przymusowymi robotnikami tej instytucji byli Żydzi.

² Zapewne Stanisław Mazur (1905–1981) – polski matematyk, poseł na Sejm PRL I kadencji.

³ Zapewne Menachem Wojdyśławski (1918–1942) – lwowski matematyk pochodzenia żydowskiego.

⁴ Chodzi o „Colloquium Mathematicum”, pismo matematyczne powstałe we Wrocławiu w roku 1947. Publikowane są tam artykuły jedynie w językach obcych: francuskim, niemieckim, angielskim lub rosyjskim.

⁵ Bierutowice – wieś koło Karpacza, następnie jego część, nazwa utworzona od nazwiska Bolesława Bieruta; dziś Karpacz Górny.

199

Trzecia prośba: Ogromne zainteresowanie wśród naszych matematyków wzbudziły moje tekstylia, za które jestem Pani bardzo wdzięczny. Pytają, czy istnieje możliwość dokonania takiego zakupu i dla nich, w granicach oczywiście na jednego człowieka znacznie węższych niż moje. Będą bardzo zobowiązani, gdyby można było coś w tym rodzaju uskutecznić i dla nich. Ze swej strony, muszę powiedzieć, że u d a ł o mi się zniszczyć swe ubranie, w którym byłem w Łodzi, tak dokumentnie, że muszę obecnie nosić stare ubranie, już mocno wytarte. Natychmiast po przysłaniu mi kuponu, oddam go do krawca, by mieć co nosić.

Jeszcze raz dziękuję za wszystko i przepraszając za fatygę, dołączam jeszcze jedną prośbę: proszę o wyłamanie się spod wpływu Mazura i odpisanie.

Łączę mocny uścisk dłoni^a

P.S. Po odejściu od Pani usiłowałem bezskutecznie, prawie przez godzinę połączyć się z Panią. Flanelę znalazłem. Pozwalam sobie przypomnieć o mej prośbie dołączenia 1 i ½ metra żorżety oraz podszewki.

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 2.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

Nr 6

1948 czerwiec 7, Wrocław – Odpowiedź Marcelego Starka na pismo prof. dr. Tadeusza Banachiewicza w sprawie zagrabionych przez Niemców książek i maszyn do liczenia, którymi zajmował się w obozie w Oranienburgu

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Otrzymałszy dziś list Pana Profesora w sprawie maszyn do liczenia, spieszę podać dane następujące: Walther (byłoby to ubliżeniem godności profesorskiej używać dla niego tego tytułu) stworzył w maju 1944 [r.] dwa biura rachunkowe, jedno w obozie płaszowskim i drugie w Krakowie na wolności. W czasie pobytu w Polsce dostaliśmy od niego jedną maszynę do rachowania trzynastomiejscową, rosyjską, której pochodzenia nie znam, oraz drugą, marki Tales, również trzynastomiejscową, starszą, która według mych przypuszczeń pochodziła z Obserwatorium Astronomicznego w Krakowie. Jak wnioskowałem z jego kilku odezwań ówczesnych i późniejszych, zaopatrzył on taką samą drogą w maszyny i drugie biuro. Otrzymaliśmy również tablice trygonometryczne Petersa, siedmiocyfrowe i ośmiocyfrowe, tablice logarytmiczne Petersa, siedmiocyfrowe oraz kilka tablic pięciocyfrowych. Według niestartych pieczęci, pochodziły one z obserwatoriów astronomicznych uniwersytetów w Krakowie, Warszawie i Lwowie. Jak widać, Walt[h]er trudził się systematycznie łupieniem polskich instytucji naukowych. Po wywiezieniu nas do obozu w Ravensbrück¹ dostarczył nam jeszcze następujących maszyn: „Nova Bruns-viga”, „Facit” piętnastomiejscowa, „Tales” nowa, piętnastocyfrowa. Maszyny te po ewakuacji Ravensbrücka zostały za nami przesłane do obozu w Oranienburgu. Twierdzenie Walt[h]jera, że zostały one powierzone opiece naszego „komanda” i że mieliśmy je zaopatrzyć w napisy ułatwiające transport powrotny, mija się z prawdą, gdyż: 1) w obozie nie wolno było Niemcowi mówić z więźniem o klęsce Niemiec, nie uczyniłby tego tym bardziej aktywny hitlerowiec, jakim był Walt[h]er; 2) nie znaliśmy dokładnego pochodzenia każdej maszyny z osobna; 3) w chaosie ówczesnym nikt z nas nie myślał – Walt[h]er również – o odszkodowaniach wojennych i odsyłaniu maszyn; 4) zaopatrzenie maszyn w napisy nie mogło być przez nas skuteczne – Walt[h]er o tym wiedział, gdyż maszyny otrzymywaliśmy tylko na godziny pracy, po czym zwracaliśmy je do tak zwanej szreibszuby².

Obóz w Oranienburgu został ewakuowany w nocy z 20 na 21 kwietnia 1945 roku. Komando nasze dzięki temu cudem uniknęło śmierci, gdyż było na pierwszym miejscu listy zagazowań, które miały się rozpocząć 21 kwietnia. W czasie ewakuacji maszyny pozostały na szreibszubie wraz z tablicami i wszelkimi papierami. O ile mi wiadomo, w dzień później obóz zajęty został przez wojska rosyjskie i szreibszuba nie uległa zniszczeniu.

Po powrocie do kraju w sierpniu 1945 roku, za poradą prof. Knastera³ wysłałem list do dr. Olszewskiego, Kraków, ul. Tomasz, numeru nie pamiętam, opisujący dokładnie

¹ KL Ravensbrück w Brandenburgii funkcjonował w latach 1939–1945. Przez obóz przeszło ok. 150 tys. więźniów. W roku 1944 uruchomiono tam komorę gazową.

² *Schreibstube* (niem.) – kancelaria.

³ Zapewne Bronisław Knaster (1893–1980) – profesor matematyki, od 1939 zamieszkały we Lwowie. Po 1945 przeniósł się do Wrocławia.

wszelkie maszyny i tablice zabrowane przez Walt[h]era. Dziś już nie przypominam sobie dokładnie, skąd pochodziły poszczególne tablice.

Proszę o przyjęcie zapewnień bardzo głębokiego szacunku^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

Wrocław, 7 czerwca 1948 r.

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Otrzymałszy dziś list Pana Profesora w sprawie maszyn do liczenia chciałem podać dane następujące: Walther (byłoby to ubliżeniem godności profesorskiej używać dla niego tego tytułu) stworzył w maju 1944 dwa biura rachunkowe, jedno w obozie piaszowskim i drugie w Krakowie na wolności. W czasie pobytu w Polsce dostaliśmy od niego jedną maszynę do rachowania 13-miejscową, rosyjską, której pochodzenia nie znam oraz drugą, marki Tales, również 13-miejscową, starszą, którą ~~mieli~~ według moich przypuszczeń pochodziła z Obserwatorium Astronomicznego w Krakowie. Jak wynioskowałem z jego kilku odczytów ówczesnych i późniejszych, zaopatrzył on taką samą drogą w maszyny i drugie biuro. Otrzymałszy również tablice trygonometryczne Petersa siedmiocyfrowe i ośmiocyfrowe, tablice logarytmiczne Petersa siedmiocyfrowe, oraz kilka tablic pięciocyfrowych. Według niestartych pism pochodziły one z obserwatoriów astronomicznych uniwersytetów w Krakowie, Warszawie i Lwowie. Jak widać Walther trudnił się systematycznie kupieniem polskich instytucji naukowych. Po wywiezieniu nas do obozu w Ravensbrücke dostarczył nam jeszcze następujących maszyn: "Nova Brunsviga", "Facit" piętnastomiejscowa, "Tales" nowa, piętnastocyfrowa. Maszyny te po ewakuacji Ravensbrücka zostały za nami przesłane do obozu w Oranienburgu. Wierzę, że zostały one powierzone opiece naszego "komanda" ~~mieliśmy~~ i mieliśmy je zaopatrzyć w napisy ułatwiające transport powrotny mija się z prawdą gdyż 1°: w obozie nie wolno było Niemcowi mówić z więźniem o klęsce Niemiec; nie uczyniłby tego tym bardziej aktywny hitlerowiec, jakim był Walther; 2°: nie znałbym dokładnego pochodzenia każdej maszyny a osobna; 3°: w chaosie ówczesnym nikt z nas nie mógł - Walther również - o odeszkodowaniu wojennych i odsyłaniu maszyn; 4°: zaopatrzenie maszyn w napisy nie mogło być przez nas uskutecznione - Walther o tym wiedział - gdyż maszyny otrzymywaliśmy tylko na godziny pracy, po czym zwracaliśmy je do tam zwanej szrajbsztuby. Obóz w Oranienburgu został ewakuowany w nocy z 20 na 21 kwietnia 1945 roku. Komando nasze dzięki temu cudem uniknęło śmierci, gdyż było na pierwszym miejscu listy zagazowań, które miały się rozpocząć 21 kwietnia. W czasie ewakuacji maszyny pozostały na "szrajbsztubie" wraz z tablicami i wszelkimi papierami. O ile mi wiadomo w dzień później obóz został zajęty przez wojska rosyjskie i szrajbsztuba nie uległa zniszczeniu.

Po powrocie do kraju w sierpniu 1945 roku, za poradą prof. Anastera wysłałem list do P. Oleszewskiego, Kraków, ul. Tomazsa, numeru nie pamiętam, opisujący dokładnie wszelkie maszyny i tablice zabrowane przez Walthera. Dziś już nie przypominam sobie dokładnie skąd pochodziły poszczególne tablice.

Proszę o przyjęcie zapewnień bardzo głębokiego szacunku

Prof. Dr Tadeusz Banachiewicz
Kraków, Kopernika 27, Obserwatorium Astronomiczne

^a Brak podpisu. Na końcu: nazwisko i adres adresata. List przepisany z brulionu maszynopisu.

Nr 7

1948 czerwiec 28, Wrocław – Odpis listu Marcelego Starka do Marii Owsiennej, mieszkanki Wałbrzycha. Znajoma z czasów przedwojennych, najprawdopodobniej mieszkanka Lwowa. Wojna i wspólni znajomi. Plany spotkania

Szanowna Pani!¹

Ogromnie ucieszyłem się przed kilkoma miesiącami, dowiedziawszy się, że udało się Pani uratować w okropnych latach wojennych. Poszukiwałem Pani adresu, wiedziałem, że przebywa Pani w Wałbrzychu, nie mogłem jednak dostać szczegółowych danych.

Będzie dla mnie dużą przyjemnością móc spotkać się z Panią. Jest Pani jedną z nielicznych osób, z którymi mogę nieobojętnie mówić o nieobecnych już a drogich mi przyjaciółach. Dużo lat upłynęło, ze stratami poniesionymi nie można jednak się pogodzić. Często wracam myślami do potwornych czasów i zawsze na pierwsze miejsce po mej rodzinie wysuwa się postać Ludwika, Pani Józi, oraz docenta Auerbacha.

Przypadkiem dowiedziałem się, gdzie przebywa siostra Ludwika, pani Miriam Reissowa. Opisałem jej obszernie przejścia jej rodziny. Mimo że sam przechodziłem nie mniejsze okropności, pisząc o córce i Ludwiku, nie mogłem wstrzymać się od łez.

Jestem szczerze zmartwiony, że nie mogę wskutek nawału zajęć natychmiast przyjechać do Wałbrzycha. Jest u nas obecnie czas egzaminacyjny. Skończy się on 15 lipca. Jeśli uda się mi się wcześniej skończyć egzamina, to przyjadę do Wałbrzycha na jeden dzień. Jeśli nie, to będę mógł przyjechać dopiero około pierwszego sierpnia, gdyż piętnastego wraz z profesorem Ślebodzińskim² wybieramy się na dwutygodniową wycieczkę. Postaram się jej trasę tak wyznaczyć, by przejść przez Wałbrzych. Terminu wycieczki przesunąć nie mogę, dwa tygodnie zaś są jedynym wypoczynkiem w ciągu roku. Jeśliby Pani przed 15 lipca zahaczyła o Wrocław, to prosiłbym o natychmiastowe skomunikowanie się ze mną. Jeśli nie, to jak pisałem, około 1 sierpnia przyjadę do Pani.

Proszę o przyjęcie wyrazów głębokiego szacunku^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ Maria Owsienka – powojenne nazwisko teściowej Ludwika Sternbacha; zob. list nr 36.

² Władysław Ślebodziński (1884–1972) – matematyk polski, profesor Politechniki Wrocławskiej. Przed wojną zamieszkały w Poznaniu. W okresie wojennym więzion obozów koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau, Gross-Rosen i Nordhausen.

Nr 8

1948 listopad 18, Warszawa – Stefan Rozmaryn do Marceliego Starka. Radość z odnalezienia przyjaciela. Prośba o opisanie losów wojennych

Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów
Biuro Komitetu
Dyrektor

adres: jak wyżej
albo W[arsza]wa, Polna 44/20

Mój kochany Marceli!

Przeglądając spis wykładów Uniwersytetu Wrocławskiego, z prawdziwą radością znalazłem tam Twoje imię, nazwisko, wykłady itp.

Bardzo się cieszę, że żyjesz i działasz. Napisz mi, proszę, co się z Tobą działo przez te lata. Widzieliśmy się ostatnio chyba w [roku] 1941.

Ja wróciłem z ZSRR do kraju z końcem 1946 r., odnalazłem żonę i mam obecnie już rocznego syna.

Serdecznie Cię pozdrawiam,
Stefan Rozmaryn¹

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

¹ Zob. przypis nr 72, s. 37.

Nr 9

1948 listopad 28, Wrocław – Marceli Stark do Stefana Rozmaryna. Podziękowanie za list, losy w okresie wojennym i powojennym

Kochany Stefanie!

Miłą niespodziankę sprawił mi Twój list. Nie wiedziałem, że jesteś w kraju. Żałuję, że nie zetknęliśmy się w czasie moich dość częstych przyjazdów do Warszawy. Zażdroszczę Ci tego, żeś zdołał odnaleźć rodzinę i masz już syna. Szczęśliwy chyba jesteś, że udało Ci się uniknąć okupacji hitlerowskiej.

Moja rodzina, niestety, została w całości wymordowana. Wskutek choroby nie mogłem w czerwcu 1941 [r.] opuścić Lwowa. Przeszedłem wszelkie okropności panowania niemieckiego i to w najgorszej postaci. Głód, wycieńczenie, ukrywanie się na fałszywych papierach w Warszawie, schwytanie, aleja Szucha, ucieczka z transportu na Pawiak na egzekucję, getto warszawskie, powstanie w getcie, Majdanek, obozy w Płaszowie, Ravensbrück, Sachsenhausen, piesza ewakuacja niemal bez żywności z Berlina pod Hamburg, oto nagłówki, które mogłyby wypełnić spore i niesamowite tomy. W ostatnim roku pobytu w obozie pomogła mi matematyka, gdyż zostałem wydzielony do tzw. komanda matematyków, praca czysto naukowa w dziedzinie równań różniczkowych.

W lipcu 1945 roku wróciłem do kraju. Po kilkumiesięcznym odpoczynku wziąłem się z powrotem do matematyki. Pracuję już trzeci rok na uniwersytecie i politechnice we Wrocławiu. Pracy huk, pedagogicznej i wydawniczej.

Wskrzesiłem przedwojenne wydawnictwo „*Studia Mathematica*”, prócz tego obecnie wydaję obszerny podręcznik uniwersytecki geometrii analitycznej, który u mnie kontraktowały „*Monografie Matematyczne*”¹. Kilkanaście godzin wykładów i ćwiczeń, kierownictwo sprawami sześciu katedr matematycznych pochłania mnie całkowicie. Jestem w dobrej formie fizycznej. Z naszych kolegów wyklada tu Adam².

Przyjm serdeczny uścisk dłoni^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ Wydawnictwo seryjne zainicjowane przez Stefana Banacha, tom pierwszy ukazał się w roku 1932 i było to opracowanie *Théorie des opérations linéaires* jego autorstwa.

² N.N.

II. Korespondencja z Hanną Reich i krewnymi z Londynu

Nr 10

1948 luty 9, Wrocław – Fragmenty odpisu listu Marceliego Starka do Hanny Reich z prośbą o pomoc w ustaleniu londyńskiego adresu kuzynki

Jestem wzruszony dowodem pamięci okazanym przez Panią człowiekowi prawie zupełnie nieznanemu. Przykro mi, że prośba ma kosztuje Panią tyle zachodów i starań. Proszę bardzo zaniechania dalszych poszukiwań tej książki, postaram się o pożyczenie jej z biblioteki Seminarium Warszawskiego, które ją prawdopodobnie posiada.

Z Bielawy wyjechałem po jednodniowym pobycie, gdyż wywiązały się na tle napiętych stosunków domowych, które są – o ile mi wiadomo – Pani znane, nieprzyjemne sceny, których świadkiem nie chciałem być. Ciężki jest los tych trojga ludzi, w tragiczny sposób ze sobą związanych, męczących się i nieumiejących, lub też raczej niemogących zerwać łączących je więzów. Na razie nastąpiło pewne odprężenie, gdyż chwilowo mieszkają każde z osobna. Nie rozwiązuje to sytuacji, prędzej czy później skomplikuje się to jeszcze bardziej. Żał mi, i to bardzo, Natka, który cierpi podwójnie, wskutek swej choroby i zdaje sobie sprawę z tego, jaki to wywiera wpływ na otoczenie. Silnie ucierpią na tym również dzieci, jedno, wychowane w niewłaściwy sposób przez matkę, która ma do niego histeryczny stosunek, drugie, niezwykle wartościowe, inteligentne i bystre, porzucone przez matkę, która prawdopodobnie nie jest do niego przywiązana, jeśli mogła je pozostawić ludziom niemal obcym i wyjechać. Ciekaw jestem, jaki jest sąd Pani w tej sprawie, gdyż mam wrażenie, że poznała ich Pani bliżej w czasie ich pobytu w Anglii i zna Pani ich obecne stosunki. Ucieszył mnie ostatnio otrzymany list od Natka, w którym pisze, że czuje się znacznie lepiej, przyszła szybka poprawa, choroba jak w niewytłumaczony sposób się pokazała, tak znika. Oby się to utrzymało. Jest bardzo zadowolony z pracy w Instytucie Wydawniczym, gdzie zaczyna odgrywać poważniejszą rolę i ma zajęcie, które mu odpowiada. Posiada to silny wpływ na samopoczucie, a co za tym idzie i na zdrowie. Podobna sytuacja była u mnie, gdy po powrocie do właściwej pracy i uspokojeniu nerwowym i poprawie samopoczucia, ustąpiły zupełnie objawy dość silnej, pozostałej po obozie niedomogi sercowej.

Pozwalam się zwrócić do Pani z pewną prośbą, pod warunkiem również, że nie zajmie to Pani zbyt wiele czasu. Nie jest to dla mnie bardzo pilne. W Londynie mieszkała przed wojną kuzynka mej matki, której adresu nie znam i – jak z przykrością muszę się przyznać – nazwiska małżeńskiego dokładnie nie pamiętam. Brzmi ono Kestenberga lub Kestenbaum, imię Lotti z domu Kirsch. Pochodzi z Berlina, wyszła po pierwszej wojnie za męża za bogatego przemysłowca lub kupca londyńskiego o powyższym nazwisku, branża, o ile sobie przypominam, futrzana. Po przewrocie hitlerowskim w Londynie przebywał również jej brat, dr Kirsch, adwokat (niemiecki). Bardzo zależy mi na uzyskaniu ich adresu i nawiązaniu z nimi kontaktu, a przede wszystkim o powiadomieniu [ich] o losie mej Matki. Gdyby to nie sprawiło Pani trudu, przy sposobności, czy mogłaby Pani zwrócić się do właściwych źródeł? Zdaje sobie sprawę z trudności z tym związanych, zwłaszcza w Londynie.

Pyta Pani o życie we Wrocławiu? Jak w całej Polsce, odbudowujemy i budujemy, trudu wiele, przeszkód co niemiara, wszystko się zwalcza i pracuje. Przyjemnym jest to, że

widzi się już wyniki pierwszych prac i trudów ponoszonych od dwóch lat. Jeśli Zachód nie przeszkodzi, to odbudujemy dobrobyt¹. Żyję pracą, nie mam prawie życia osobistego, nie umiem zresztą żyć inaczej. Ale dość o sobie.

Byłoby mi bardzo miło, po poznaniu Pani w Bielawie, gdyby zechciała Pani utrzymywać ze mną korespondencję.

Bardzo przepraszam za prośby, którymi Panią obarczam i serdecznie pozdrawiając, łączę mocny uścisk dłoni²

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

Mars Hanka Reich, London, ~~Wzgorka~~ 35, Granville Place, High Road, Finchley, s.12.
Wrocław, 9 lutego 1948 r.

Droga Pani!

Jestem warczony dowodem pamięci okazany przez Panią człowiekowi prawie zupełnie nieznane. Przekro mi, że prośba ma kosztuje Panią tyle zgodności i starań. Proszę bardzo zaniechanie dalszych poszukiwań tej książki, postaram się o pokolenie jej z biblioteki Seminarium Warszawskiego, które ją prawdopodobnie posiada.

Z Bielawy wyjechałem po jednodziennym pobycie, gdyż wywiał się na te napiętych stosunków domowych - które są o ile mi wiadomo Pani znane - nieprzejmnie sceny, których świadkiem nie chciałem być. Ciągle jest los tych trojga ludzi, w tragiczny sposób ze sobą związanych, mogących się i nie umiejących lub też raczej niemogących zerwać z sobą. Wciąż się je widzę. Na nie nastąpiło pewne odwrócenie, gdyż chwilowo mieszkają każde z osobna, ale rowniając się to sytuacji, gdzieś on później komplikuje się z osobną, bardziej. Żal mi, i to bardzo, Matka, który cierpi podwójnie, w skutek swej choroby i zdaje sobie sprawę z tego jaki to wpływ wywiera na otoczenie. Silnie uciernia na tym również dzieci; jedno, wychowywane w niewłaściwy sposób przez matkę, która ma do niego historyczny stosunek, drugie, niezwykle wartościowe, inteligentne i bystre, porzucone przez matkę, która prawdopodobnie nie jest do niego przywiązana, jeśli mogła je pozostawić ludziom niemal obcym i wyjechać. Ciągle jestem jaki jest sąd Pani w tej sprawie, gdyż mam wrażenie, że poznała ich Pani bliżej w czasie ich pobytu w Anglii i zna Pani ich obecne stosunki. Ucieszył mnie ostatnio otrzymany list od Matki, w którym pisze, że czuje się znacznie lepiej, przysłała szybka poprawa, choroba jak w niewytłumaczony sposób się pokazała tak znika. Oby to się utrzymało. Jest bardzo zadowolony z pracy w Instytucie Wydawniczym, gdzie zaczyna odgrywać poważniejszą rolę i ma zajęcia, które mu odpowiada. Posiada to silny wpływ na samopoczucie a co za tym idzie i na zdrowie. Podobna sytuacja byłaby mnie, gdy po powrocie do właściwej pracy i uspokojeniu nerwowym i poprawie samopoczucia, ustąpiły zupełnie objawy dość silnej, pozostała, po okresie niedomogi sercowej.

Pozwalam sobie zwrócić się do Pani z pewną prośbą, pod warunkiem oczywiście, że nie zabije to Pani zbyt wiele czasu. Nie jest to dla mnie bardzo pilne. W Londynie mieszkała przed wojną kuzynka mej matki, której adresu nie znam i - jak z przykrością muszę się przyznać - niewielka możliwości dokonać nie nie pamiętam. Braci on Kastenberga lub Kastenbauma, imię Lotti z domu Kirsch. Pochodzi z Berlina, wyjechała po pierwszej wojnie ze matką z bogatego przemysłowca lub kupca londyńskiego o powyższym nazwisku, branka o ile sobie przypominam futrzana. Po przewrocie hitlerowskim, w Londynie przebywała również jej brat, Dr Kirsch, adwokat (niemiecki). Bardzo należał mi na uzyskaniu ich adresu i nawiązaniu z nimi kontaktu, a przede wszystkim o powiadomieniu o losie mej Matki. Gdyby to nie sprawiło Pani trudu, przy sposobności, czy mogłaby Pani zwrócić się do właściwych osób? Zależy mi o sprawie z trudności z tym związanych zwłaszcza w Londynie.

Pyta Pani o życie we Wrocławiu? Jak w całej Polsce, odbudowujemy i budujemy, trudu wiele, przeszkód co niemiara, wszystko się zwalnia i pracuje. Przyjemny jest to, że widzi się już wyniki pierwszych prac i trudów ponoszonych od dwóch lat. Jeśli Zachód nie przeszkodzi to odbudujemy dobrobyt. Żyję pracą, nie mam prawie życia osobistego, nie umiem zresztą żyć inaczej. Ale dość o sobie.

Byłoby mi bardzo miło, po poznaniu Pani w Bielawie, gdyby zechciała Pani utrzymywać ze mną korespondencję.

Bardzo przepraszam za prośby, którymi Panią obarczam i serdecznie pozdrawiając

Łączę mocny uścisk dłoni

² Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ W pierwszych latach powojennych, jako przedwojenny komunista, Marcei Stark (podobnie jak wielu Polaków) wierzył, że nowy ustrój poprzez odrzucenie starego porządku i zwrócenie się ku ideałom sprawiedliwości społecznej, zapewni wszystkim dobrobyt.

Nr 11

1948 luty 23, Londyn – Hanna Reich do Marcelego Starka. Odpowiedź na list z 8 lutego tr. Odnalezienie rodziny adresata. Oczekiwanie na książkę, o którą prosił adresat

Drogi Panie Stark!

Na prośbę Pana w sprawie odszukania jego krewnych natychmiast zareagowałam i cieszę się niezmiernie, że mi się udało ich odnaleźć.

Natychmiast skomunikowałam się z dr. Kirschem i bardzo się ucieszył wiadomością o Panu. Wypytywał się wiele, podałam mu adres i możliwe, że jego list wcześniej [do] Pana dotarł aniżeli mój, bo ja jeszcze powtórnie się z nim skomunikowałam, ale pomimo najlepszej chęci nie mogłam wcześniej napisać. [...] ^a

Opowiadał mi, że siostra jego, o której Pan wspominał, jest w New Yorku, ale jestem pewna, że on już pana o jej adresie poinformuje.

Książki natomiast dotychczas nie otrzymałam, zamówiona jest, a gdy tylko nadejdzie prześlę. Od jakiegoś czasu jest tu ogromny brak książek, dopiero w ostatnim tygodniu czytałam w gazecie artykuł, gdzie piszą, że uczniowie uniwersytetów zmuszeni są na 24 godziny jeden od drugiego książki pożyczać ze względu na ich brak [...].

Hanka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1

^a *Opuszczono dane adresowe kuzyna Marcelego Starka.*

Nr 12

1948 maj 15, Wrocław – Marcei Stark do Hanny Reich. Podziękowanie za skontaktowanie z kuzynem, zaabsorbowanie własną pracą oraz sytuacją wspólnych znajomych

Droga Pani!

Ze skruchą przyznaję się do wielkiej winy, odpowiadając dopiero teraz na list z lutego. Dzieje się to dlatego, że chciałem przed odpisaniem zobaczyć się z Natkiem¹, co miało stać się z końcem marca i przeciągnęło się aż dotychczas. [...].

Niezmiernie jestem wdzięczny za skontaktowanie mnie z kuzynem. Uzyskałem dzięki temu fotografie mej rodziny, a zwłaszcza matki, co ma dla mnie duże znaczenie.

Jak się pani obecnie czuje? Niepogody panujące mogą wprawdzie źle wpłynąć na samopoczucie Pani, sądzę jednak, że przejdą. Ja pracuję jak zwykle pełną parą, robota dydaktyczna, naukowo-organizacyjna, naukowa, wydawnicza i trochę zarobkowej poza tym. Nie mam na nic czasu jak zwykle.

Proszę przyjąć ode mnie serdeczne pozdrowienia i ukłony^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ Wspólny znajomy z Bielawy. Zob. list Marceliego Starka do adresatki z 9 II 1948 r. (list nr 10).

Nr 13

1948 czerwiec 7, Wrocław – Marceli Stark do Hanny Reich. Potwierdzenie otrzymania książki i podziękowanie za nią. Kwestia stosunków międzyludzkich i brak zaufania spowodowany przeżyciami wojennymi

Droga Pani!

Otrzymałem wczoraj książkę. Sprawiała mi ona ogromną radość, z dwóch przyczyn. Pierwsza, to natury fachowej, gdyż ogromnie długo o tę książkę się starałem. Druga, natury ogólniejszej, to niezwykła przyjemność, gdy się odczuwa pamięć i życzliwość. Ledwo się znamy z jednej rozmowy. Muszę się przyznać, że w czasie wojny tak dalece u nas upadły stosunki pomiędzy ludźmi (zwłaszcza w społeczeństwie żydowskim), że nie byłbym wówczas uwierzył, że ktoś mi prawie nieznany będzie w dalekim kraju starać się dla mnie o coś, czego nabycie sprawia trudności i koszt – jak sądzę – poważny. W tych czasach u nas ludzie zamożni, a nawet bardzo bogaci i za czasów hitlerowskich byli zupełnie nieludscy. Długi czas po zakończeniu wojny musiałem się leczyć z nieufności do ludzi i żalu za męki moje i mej rodziny, które mogły być bez wielkiego trudu zmniejszone. Wyleczyłem się w końcu z tego. Postępowanie Pani należy właśnie do wprost przeciwniej kategorii, którą gdyby się wówczas częściej spotykało, o ile mniej było mąk moralnych. Chciałbym bardzo się czemś odwdziaczyć, ale jak?

Proszę przyjąć ode mnie jak najserdeczniejsze podziękowania i pozdrowienia. Proszę o list i to koniecznie.

Łączę mocny uścisk dłoni^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

Wrocław, 7 czerwca 1948 r.

Droga Pani!

Otrzymałem wczoraj książkę. Sprawiała mi ona ogromną radość, z dwóch przyczyn. Pierwsza, to natury fachowej, gdyż ogromnie długo o tę książkę się starałem. Druga, natury ogólniejszej, to niezwykła przyjemność, gdy się odczuwa pamięć i życzliwość. Ledwo się znamy z jednej rozmowy. Muszę się przyznać, że w czasie wojny tak dalece u nas ~~xxxxxxxxxx~~ upadły stosunki pomiędzy ludźmi (zwłaszcza w społeczeństwie żydowskim), że nie byłbym wówczas uwierzył, że ktoś mi prawie nieznany będzie w dalekim kraju starać się dla mnie o coś, czego nabycie sprawia trudności i koszt jak sądzę poważny. W tych czasach u nas, ludzie zamożni a nawet bardzo bogaci i za czasów hitlerowskich, byli zupełnie nieludscy. Długi czas po zakończeniu wojny musiałem się leczyć z nieufności do ludzi i żalu za męki moje i mej rodziny, które mogły być ~~xxxxxxxxxx~~ bez wielkiego trudu zmniejszone. Wyleczyłem się w końcu z tego. Postępowanie Pani należy właśnie do wprost przeciwniej kategorii, ~~zaj~~ którą gdyby się wówczas częściej spotykało, o ile mniej było mąk moralnych. Chciałbym bardzo się czemś odwdziaczyć, ale jak?

Proszę przyjąć odemnie jak najserdeczniejsze podziękowania i pozdrowienia. Proszę o list i to koniecznie.

Łączę mocny uścisk dłoni

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

Nr 14

1948 luty 22, Londyn – Tłumaczenie listu Leonarda Kirscha do Marcelego Starka. Nawiązanie kontaktu po wojnie, pytania o losy rodziny

Drogi Kuzynie!

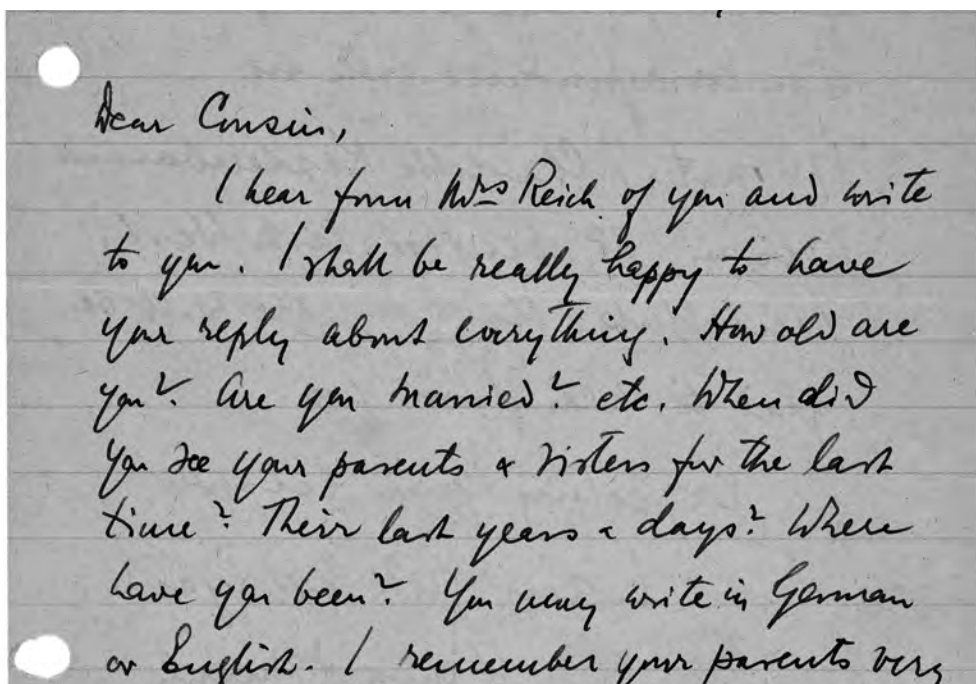
Piszę, gdyż dowiedziałem się o Tobie od Pani Reich. Bardzo proszę, byś napisał mi wszystko o sobie. Ile masz lat? Czy jesteś żonaty? Kiedy widziałeś swych rodziców i siostrę po raz ostatni? Jakie były ich ostatnie dni? Gdzie przebywałeś? Możesz pisać po angielsku lub niemiecku. Pamiętam Twoich rodziców bardzo dobrze. Twój ojciec zatrzymał się w naszym domu w Berlinie na kilka tygodni, gdy byłem mały. Widziałem także Twą matkę, gdy odwiedziłem Kraków w roku 1923 z moim ojcem.

Mamy też innego kuzyna, Mariana Kircha, który mieszka w Szwajcarii [...]. Pozostajemy w kontakcie korespondencyjnym.

Moja siostra, Charlotte Kestenbaum, mieszka w Nowym Jorku [...]. Byłaby zadowolona, gdybyś do niej napisał.

Oczekuję Twojej odpowiedzi,
z szacunkiem,
twój Leonard Kirsch

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. angielski, k. 1.



Dear Cousin,

I hear from Mrs Reich of you and write to you. I shall be really happy to have your reply about everything. How old are you? Are you married? etc. When did you see your parents & sisters for the last time? Their last years & days? Where have you been? You may write in German or English. I remember your parents very

1948 marzec 8, Wrocław – Tłumaczenie odpisu listu Marcellego Starka do Leonarda Kirscha, kuzyna zamieszkałego w Londynie. Dzieje rodziny w okresie II wojny światowej

Drogi Kuzynie!

Miło mi było otrzymać Twój list. Poszukiwałem Cię bez rezultatu od dwóch lat, by zawiadomić Cię o losie mojej rodziny.

Zmuszony jestem poinformować Cię, że brak tu dobrych wiadomości. Z całej mojej rodziny jestem jedynym, który przetrwał niemiecką masakrę.

W momencie wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej mieszkaliśmy we Lwowie. Pierwsze dni niemieckiego panowania były jednocześnie momentem, kiedy po raz pierwszy w życiu widzieliśmy pogrom, którego okrucieństwa nie mogłem sobie do tego czasu wyobrazić. Nie mogłem jednak też przypuszczać, że będzie to nic w porównaniu z tym, co miało nadejść.

Wejście Niemców było początkiem głodu i upokorzenia. Traktowani byliśmy gorzej niż bydło. Nie muszę opisywać mentalności nazistów, ponieważ znasz ją z własnego doświadczenia... Od tego momentu, codziennie z siostrą chodziliśmy do ciężkiej pracy od 5 rano do późnego wieczora, ślaniając się z głodu. Najgorsza jednak była choroba mojej ukochanej matki. Nawet teraz, kiedy dzieli mnie od tamtego czasu wiele lat i jestem dojrzałym mężczyzną, nie mogę powstrzymać łez na myśl o tym, jak ona cierpiała z powodu choroby, głodu i patrzenia na los swych dzieci, które kochała ponad wszystko na świecie. To była cudowna kobieta.

Wypędzeni z własnego domu mieszkaliśmy w chałupie na przedmieściu do lata 1942 [r.] W jaki sposób udało nam się przetrwać tę straszliwą zimę [1941/1942], sam nawet nie potrafię teraz pojąć. Nie mieliśmy dosłownie nic, bowiem wszystko zostało zrabowane przez Niemców. Moja matka była spuchnięta z głodu, a ja nie mogłem jej pomóc. [Domownicy] byli szczęśliwi, gdy udało mi się przynieść pęczek marchwi. Chleba nie widzieliśmy tygodniami. W końcu lipca 1942 [r.] zmuszony byłem zamieszkać oddzielnie, w piwnicy moich znajomych.

Był to czas „akcji”. To obrzydliwe słowo oznaczało dla nas okrutną śmierć. Aż nadeszła „Wielka Akcja” w sierpniu 1942 roku. 9 sierpnia, w dniu urodzin mojej matki, przekradłem się przez linię blokad, by móc złożyć jej życzenia. To był ostatni raz, gdy ją widziałem. Ostatnie słowa, jakie do mnie skierowała, brzmiały: „Wiem, że zginę. Ale w chwili swej śmierci byłabym szczęśliwa, wiedząc, że moje dzieci ocaleją”.

Następnego dnia została zabrana przez SS do komór gazowych w Bełżcu. Kilka dni później zabrali także mojego ojca.

Uciekłem ze Lwowa, pozostawiając siostrę i brata w obozie. Miałem fałszywe „aryjskie” papiery. Nie mogę w tak krótkim liście opowiedzieć wszystkiego, co przeszedłem do końca wojny. Aresztowany w Warszawie przez gestapo uciekłem do warszawskiego getta, gdy wraz z grupą szedłem na śmierć. W getcie przeżyłem trzy miesiące, organizując zbrojny opór. Walczyłem do ostatniego naboju w czasie powstania w getcie w kwietniu 1943 roku. Ujęty przez Niemców, tylko przez przypadek nie trafiłem do transportu przeznaczanego do komór gazowych w Treblince, lecz wysłany zostałem do obozu Majdanek-Lublin. Tam przebywałem do kwietnia 1944 roku.

Czytam prasę angielską i powojenną literaturę. Mimo wszystko nie rozumiecie jednak rzeczywistości w obozach nazistowskich. Było to znacznie gorsze aniżeli angielskie opisy.

Przeżyłem, ponieważ – jako dobry matematyk – byłem im potrzebny. Stworzyli specjalne komando i dali mi 10 osób do matematycznej pracy naukowej, potrzebnej dla przemysłu. Pracowałem w tych warunkach tak, jak się pracuje dla wroga, nic nie robiąc i maskując to rezultatami bez większego znaczenia. Było to możliwe, ponieważ niemiecki *Herr Professor*¹, pod którego kierownictwem pracowałem, nie był matematyczną gwiazdą.

Z Majdanka wysłano mnie do Krakowa, Ravensbrück, Sachsenhausen, zawsze w specjalnym oddziale. Po ewakuacji z Berlina bez jedzenia i na piechotę znalazłem się w pobliżu Hamburga. Nie jestem w stanie opisać ich okrucieństwa podczas tego przemarszu.

Po kapitulacji Niemiec w maju 1945 [r.] wróciłem do Polski, gdzie dowiedziałem się, że moja siostra i brat zostali zastrzeleni.

Mieszkam obecnie we Wrocławiu (niemiecki Breslau). Pracuję jako adiunkt znanego matematyka Steinhausa i wykładam na uniwersytecie i politechnice. Mam się dość dobrze obecnie, dysponuję miłym mieszkaniem, kolekcja mojej porcelany zawiera wiele sztuk starej, XVIII-wiecznej [porcelany firmy] Meissen, starochińskiej (oryginalna miniaturka), [mam też] stare japońskie akwarele, ładną bibliotekę. Ale pomimo to nie czuję się dobrze, będąc samotny po tak okrutnej utracie całej mej rodziny.

Pozwalam sobie zapytać Cię, czy posiadasz jakąś starą fotografię mej matki lub kogoś z rodziny. Jeśli tak, czy mógłbyś zrobić kopię i przesłać mi. Byłbym wielce wdzięczny, mając taką rzecz.

Przypuszczam, że znajdziesz wiele błędów w mej angielszczyźnie, więc – proszę – wybaczyć, ponieważ nigdy w Anglii nie byłem i uczyłem się tylko sam okazyjnie. Byłoby mi znacznie łatwiej pisać po niemiecku lub francusku, ale nie chcę używać niemieckiego, a nie wiem, czy nie byłoby to dla Ciebie kłopotliwe, gdybym napisał po francusku.

Z najlepszymi życzeniami^a

Źródło: *Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. angielski, k. 1.*

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ *Herr Professor* (niem.) – pan profesor. Marceli Stark używa tutaj tego określenia w sposób – rzecz jasna – ironiczny.

Wrocław, March the 8-th, 1948.

Dear Cousin!

I was glad to receive Your letter. I have been seeking You without result since two years in order to acquaint You with the fate of my family.

They are not merry news I am to communicate You. From my whole family I am the one who survived the German massacres.

In the moment of the outbreak of the German-Russian war we lived in Lwow (Lemberg). The very first day of the German rule was also the day when we for the first time have seen a pogrom, the cruelty of which I have not been able to imagine before. But I could not also to imagine that it will be nothing when compared with succeeding events. The coming of Germans was the beginning of hunger and humiliation. We were treated worse than beasts. I have no need to describe the mentality of nazis, as You know them from Your own experience. At that time, day after day with my sister we were going to work hard from 5 in the morning until late evening, weakened by undernourishing. But the worst the heartillness of my beloved mother. Even now, when that terrible time is many years over, although a grown up man, I cannot recollect without tears how she suffered from the illness, hunger and seeing the fate of her children she loved most. She was a wonderful woman.

Expelled from our home we lived in a hut in the suburbs until summer of 1942. By what means we outlived that terrible winter even I cannot comprehend now. We had literally nothing, as all was taken by Germans. My mother was swollen from hunger and I could not help her. They were happy when I brought a cluster of carrots. We did not see any bread for weeks. At the end of July 1942 I was obliged to live separately, in the cellar of my acquaintance.

It was the time of "actions". This ominous word meant a cruel death for us. There came the "great action" of August 1942. The 9-th August, it was the birthday of my mother, I have stolen through the lines of the blockade to bring her my greetings. It was the last time I saw her. The last words she directed to me were: "I know that I shall perish now. But in the moment of death I would be glad if I could know, that my children will escape".

The next day she was taken by SS to the gas-chambers of Bełżec. Some days afterwards they have taken also my father.

I fled from Lwow, leaving my sister and my brother in a camp. I had false, "arish" papers. I cannot describe in a short letter all I have gone through until the end of the war. Arrested in Warsaw by Gestapo I fled to Warsaw Ghetto when led with a group to the execution. In Ghetto I lived for three months organizing the armed resistance. I was fighting during the insurrection in Ghetto in April 1943 until I completely lost all cartridges. Taken by Germans, by an accident I was not joined to the transport going to the gas-chambers of Treblinka, but sent to the camp in Majdanek-Lublin. There I lived till April 1944.

I read the English press and post-war literary works. But You really don't know the reality of Nazis camps. It was much more terrible than the English descriptions.

I outlived because as for a good mathematician they had need for me. They created a special "Kommando" for me, and gave me 10 men for mathematical scientific work, needed by the industry. I worked so as one is working in such conditions for a foe, possibly nothing masked by results without great value. It was possible, because the German "Herr Professor" (a professor of a german university) under whose direction I should work was not a mathematical star.

From Majdanek sent to Krakow, Ravensbrück, Sachsenhausen, always in a special commando, I got near Hamburg, evacuated from Berlin without food, by foot. I shall not describe their cruelties during the way.

After the German surrender in May 1945 I returned to Poland where I learnt that also my sister and brother were shot.

I am living now in Wrocław (German Breslau). I am working as an "adjunkt" of the known mathematician Steinhaus, and lecturing at the university and at the polytechnic school. I am quite well at present, I have a nice

Nr 16

1948 marzec 8, Wrocław – Tłumaczenie odpisu listu Marcellego Starka do kuzynki, Charlotte Kestenbaum, siostry Leonarda Kirscha. Dzieje rodziny w okresie II wojny światowej

Droga Kuzynko!

Pozwalam sobie pisać do Ciebie jako do jedynej prawdopodobnie (prócz Twego brata) mojej krewnej, która przeżyła wojnę. Jako osoba stale pozostająca w kontakcie z moją matką zapewne interesujesz się jej losem.

Niemcy weszli do Lwowa 1 lipca 1941 roku. Ich władza rozpoczęła się od trwającego dwa dni pogromu, którego ofiarą padło 5 tys. osób zamęczonych okrutnie na śmierć. Wkrótce po tym wypędzono nas z naszego domu, w którym pozostawiliśmy cały dobytek. Rozpoczął się dla nas okres biedy, głodu i straszego poniżenia. Matka moja, będąc chora na serce, cierpiała więcej niż my młodzi, choć byliśmy zmuszani do ciężkiej pracy od 5 rano do późnego wieczora. Wychodziliśmy zawsze do pracy w strachu, by Niemcy nie zabrali jej podczas naszej nieobecności. Jak prawdopodobnie wiesz, zaczęli oni swe masakry zawsze od zabijania starych i słabych. Zima 1941/1942 była dla niej jednym pasmem cierpień: choroba, potrzeba ukrywania się, i najgorsze, głód. Cała spuchła z głodu. W końcu wiosny 1942 [r.] wraz z mą siostrą pieliliśmy pole wokół naszej izby, w której żyliśmy po wypędzeniu z domu, i to, co wyrwaliśmy ziemi, było naszym jedynym pożywieniem.

Był to czas „akcji”. Niemieckie słowo „akcja” oznaczało wówczas śmierć tysięcy, płądrowanie, strzelanie i zabijanie. Nie będzie przesadą, gdy powiem, że blond bestie rozbijały główki małych dzieci lub rozrywały je na kawałki, jak również paliły ludzi żywcem. Ja sam byłem świadkiem scen i okrucieństw nawet jeszcze większych. Lubili zabawiać się powolnym, trwającym godzinami torturowaniem na śmierć. Było to wskrzeszenie rzymskich cyrków, gdzie miejsce dzikich bestii zajęły psy i blond bestie. Trudno Ci w to uwierzyć w Ameryce, myślisz zapewne, że to emanacja chorobliwej wyobraźni. Ale to jest to, przez co przeszliśmy. W tamtym czasie prawie wszyscy Niemcy, jakich spotkałem, byli właśnie tacy.

W sierpniu 1942 [r.] rozpoczęła się *die grosse Aktion*¹. Jej pierwszy dzień przypadł na urodziny mej matki. Od krótkiego czasu mieszkalem już oddzielnie, w piwnicy moich znajomych. Tamtego dnia przekradłem się przez blokady, by złożyć jej życzenia, bo wiedziałem, że być może to ostatni raz, gdy ją widzę. Ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem, brzmiały: „Wiem, że zginę. Ale w chwili swej śmierci byłabym szczęśliwa, wiedząc, że moje dzieci ocaleją”. Następnego dnia SS zabrało ją do komór gazowych w Bełżcu. Kilka dni później podążył za nią mój ojciec. Nie było ucieczki. Moja siostra i brat zostali zabrani do obozu we Lwowie.

Posiadając fałszywe „aryjskie” papiery, uciekłem do Warszawy. Nie mogę tego opisać dokładnie, zbyt wiele się wówczas wydarzyło. Zostałem aresztowany przez gestapo w Warszawie, lecz udało mi się uciec, gdy byłem wraz z grupą prowadzony na egzekucję. Przekradłem się do getta, gdzie organizowałem zbrojną walkę. Walczyłem z nimi [Niemcami] podczas bitwy (to była bitwa) w getcie w kwietniu 1943. Ujęli mnie, gdy

¹ *Die grosse Aktion* (niem.) – wielka akcja.

skończyły mi się wszystkie naboje. Przez przypadek wysłany zostałem do słynnego obozu w Majdanku-Lublinie, tzw. *Vernichtungslager*². Przeżyłem, ponieważ wysłano mnie do pracy w fabryce samolotów. Tam potrzebowano matematyków zdolnych do pracy naukowej przy rozwiązywaniu nowo powstających problemów w przemyśle. Utworzono dla mnie specjalne Kommando³, dając mi 10 ludzi. Moim dyrektorem był jeden z niemieckich profesorów uniwersyteckich, mało pojętny, i dzięki temu mogłem pracować tak, by rezultaty mej pracy nie były specjalnie przydatne. Mimo to potrzebowali mnie. Zawsze, gdy Rosjanie podchodzili bliżej, ewakuowano mnie oddzielnie, do Krakowa, Berlina, Ravensbrück, Oranienburg-Sachsenhausen. Zostałem wyzwolony przez oddziały amerykańskie w okolicach Hamburga, uciekając śmierci w ostatnim momencie.

Mieszkam teraz we Wrocławiu (niemiecki Breslau). Zatrudniony jestem jako adiunkt (to prawie to samo co *assistant professor*⁴) i wykładam na uniwersytecie oraz na politechnice. Mam się dość dobrze, bo wykonuję swą ulubioną pracę, tzn. pracę naukową, oraz kieruję znanym matematycznym czasopismem. Mieszkam w dość ładnym mieszkaniu i mam możliwość gromadzić starą porcelanę, obrazy, mam też pokaźną bibliotekę. Nie mam jednak nic po mojej drogiej matce. Dlatego byłbym Ci bardzo wdzięczny, gdybyś odnalazła wśród listów jakąś jej starą fotografię i zrobiła dla mnie jej kopię. Być może masz też jakiś jej list, którego nie potrzebujesz i który mogłabyś mi przesłać? Chciałbym mieć kawałek papieru, na którym widziałbym jej pismo. Nie mam bowiem nic, nawet kawałka czegoś, co pochodziłoby od mojej rodziny. Kiedy wróciłem, dowiedziałem się bowiem, że także moja siostra została zastrzelona, a mój brat został zamęczony na śmierć przez gestapo. Jestem więc obecnie dość samotny.

Wybacz mi proszę taki smutny list. Nie będę już więcej o tym pisał. Wiem, jak bolesne są to wieści dla Ciebie.

Otrzymałem Twój adres od Twojego brata, którego znalazłem dzięki znajomej w Londynie. Wybacz także błędy w moim angielskim, jestem samoukiem w tym względzie.

Czy czas wojenny był trudny dla Ciebie? Jestem bardzo ciekaw, jak upłynęły Ci lata wojny.

Moc pozdrowień,
twój^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. angielski, k. 2.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

² *Vernichtungslager* (niem.) – obóz zagłady.

³ *Kommando* (niem.) – oddział.

⁴ *Assistant professor* (ang.) – profesor pomocniczy.

Nr 17

1948 marzec 31, Londyn – Tłumaczenie odpisu listu Leonarda Kirscha do Marcelego Starka. Podziękowanie za otrzymany list. Losy rodziny i sytuacja osobista adresata

Drogi Kuzynie,

Dziękuję Ci za list z 8 marca. Chciałbym Ci pogratulować wytrwałości, którą okazałeś podczas wojny, i życzyć wszystkiego najlepszego na przyszłość. Ile masz lat i czemu jeszcze nie znalazłeś dobrej żydowskiej dziewczyny, by się ożenić? Zrobiłeś na mnie wrażenie i mocno mnie zaskoczyłeś swoim świetnym listem po angielsku. Gdzie się nauczyłeś tak dobrze tego języka?

W moim starym albumie fotograficznym znalazłem dwa zdjęcia Twojej matki, Ciebie, siostry i brata. Załączam je¹. Byłem w Krakowie w roku 1923. Twoja matka wyszła powitać mnie i mojego ojca. Dziwię się, że czujesz się tam dobrze i nie chcesz emigrować. W przyszłym miesiącu jadę do Kanady, by otworzyć nową filię mojej firmy w Montrealu.

Wiesz prawdopodobnie, że mam żonę i trzy córki, w wieku 17, 16 i 14 lat. Ta druga przebywa w Nowym Jorku z moją siostrą, Lotte, i studiuje sztukę. Najstarsza pracuje, a najmłodsza wciąż się uczy.

Znam tutaj prof. Brodetsky'ego², znanego matematyka, który jest znanym [...] i profesorem na Leeds University.

Mam nadzieję, że napiszesz jeszcze i gdybym mógł być w czymś pomocny, będę zadowolony.

Z wyrazami przywiązania
Leonard Kirsch

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. angielski, k. 1.

¹ Żadne zdjęcia rodziny Marcelego Starka się nie zachowały.

² Zapewne Selig Brodetsky (1888–1954) – brytyjski profesor matematyki, członek Światowej Organizacji Syjonistycznej.

Nr 18

1948 maj 14, Wrocław – Tłumaczenie odpisu listu Marcelego Starka do kuzyna, Leonarda Kirscha w Londynie. Sprawy rodzinne oraz kwestia ewentualnej emigracji autora do Palestyny lub innego kraju

Drogi Kuzynie,

Bardzo dziękuję za fotografie mojej rodziny. Jestem głęboko wzruszony, widząc po raz pierwszy od długiego czasu zdjęcie mojej, błogosławionej pamięci, matki. Przyjemnie zaskoczyła mnie wieść, że masz trzy prawie dorosłe córki. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że jesteś żonaty. Wciąż mi się wydaje, że – opuszczając Niemcy – byłeś kawalerem. W moim przypadku małżeństwo tutaj nie jest rzeczą prostą. Moja przyszła żona musi być Żydówką, o stosownym wieku i intelekcie. Po niemieckiej rzezi znalezienie tutaj żony jest rzeczą prawie niemożliwą. Chociaż mam 40 lat, poczekam jeszcze trochę, aż wyjaśnią się stosunki międzynarodowe. Znając naszych sąsiadów, wierzę głęboko, że do tego dojdzie.

Jeśli chodzi o emigrację, to jedynym krajem, gdzie powinienem się udać, jest Palestyna. Jestem zmęczony życiem na wygnaniu¹, byciem zawsze obcym. Stosunki tutejsze świetne, moje relacje z Polakami są bardzo dobre, zostałem bowiem wychowany w ich kraju i kulturze, a więc nie mogą znaleźć żadnej różnicy między sobą a mną. Nie czuję się mimo to do końca „tutejszy”. Byłbym zadowolony, gdybym mógł pracować w Palestynie. Nie jest jednak łatwo tam się dostać, a poza tym – cóż mógłbym tam robić? Całe życie pracowałem na uniwersytetach, a byłbym zobligowany do zmiany zajęcia. To nie jest łatwe w moim wieku. Pomimo że znam niektóre zachodnie języki (niemiecki, francuski, angielski), nie chcę emigrować na Zachód, do Ameryki lub innych krajów. Wszystko, co mogę osiągnąć, mam już tutaj... Żyć wśród Amerykanów (lub ich oponentów) to nic wielkiego dla europejskiego intelektualisty.

Nie napisałeś, czym się obecnie zajmujesz, a to mnie interesuje. Nie wiem też nic o Twojej siostrze.

Miło będzie otrzymać dalsze informacje o Tobie i Twej rodzinie.

Oddany Ci^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. angielski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ *Tired of Galut* – *Galut* lub *Golus* (hebr.) – wygnanie, wypędzenie Żydów z kraju (Izraela) i ich pobyt na obczyźnie.

III. Korespondencja ze współtowarzyszami niedoli z Budzynia

Nr 19

1960 listopad 12, Buenos Aires – List do Marcellego Starka od Józefa Zysmana z Buenos Aires, dawnego współwięźnia z obozów hitlerowskich

Drogi mój!

Nasamprzód dziękuję Ci bardzo za książki, doprawdy trudno mi opisać radość, jaką mi sprawiły. Po pierwsze, żeś sobie przypomniał o mnie, po wtóre – treść ich tak interesująca.

Żałuję tylko, że rutyna pracy pochłania tyle czasu, że mało zostaje dla pogłębiania studiów matematycznych, ale jakoś zawsze odnajduję wolną godzinę dla tego celu. Ostatnio zajmuję się trochę nową gałęzią matematyki stosowanej, którą zapewne znasz, w tłumaczeniu polskim będzie to „badania operacyjne” (*Operations Research*). Stosuje się z powodzeniem te nowe metody w różnych zagadnieniach organizacyjnych w przemyśle, tak że interesuje mnie jako inżyniera, ale przyznam Ci, że więcej mnie interesuje strona czysto matematyczna tych problemów, sposób podejścia do zagadnienia, rozwiązania i elegancja niektórych dowodów... Nie zapomniałem też wstępu do funkcji zmiennych zespolonych, któreś mi wyłożył w Ravensbrücku i Sachsenhausen (o głodzie i chłodzie w odzieży „zebry”), toteż podręcznik Lei^a bardzo mi się przyda i nie mniej pozostałe, wszak tworzą wszystkie pewną całość.

Przypuszczam, że od czasu do czasu dochodziły Cię wiadomości o mnie. Jesień i zimę 1945–[194]6 spędziłem w sanatorium dla chorych na płuca w Felda w Bawarii, stamtąd drogą Konstanz am Badensee pojechałem do Szwajcarii. Byłem w Davosie (*Czarodziejska Góra*) rok i trzy miesiące, prawie rok w sanatorium, gdzie wyleczyłem się zupełnie z Tbe¹ i ostatnie miesiące jako nauczyciel matematyki i fizyki w szkole dla ofiar obozów. Stamtąd w sierpniu 1947 [r.] pojechałem do Szwecji, pracowałem w fabryce Electrolux i wiosną 1948 roku opuściłem Sztokholm i drogą Szwajcarii i Włoch udałem się do Argentyny, by połączyć się z jedynym bratem, który pozostał przy życiu, bo przed wojną wyemigrował. Po kilku tygodniach pobytu w Buenos Aires wstąpiłem jako inżynier do jednej z największych firm instalacyjnych centralnego ogrzewania, wentylacji, urządzeń chłodniczych i klimatyzacji (*air conditioning*²). W tej firmie pracowałem 9 lat, od trzech lat pracuję w fabryce, która wyrabia elementy dla wspomnianych instalacji. Słowem specjalnością moją jest termomechanika, wymiana ciepła i wszelkie zagadnienia mające [z nimi] łączność, tj. ogrzewanie, chłodzenie, suszenie, nawilżanie itd.

Choć żyję w kraju kapitalistycznym, wolnych przedsiębiorstw, jestem zawsze na posadzie, jako urzędnik, bo – jak zapewne zdajesz sobie sprawę – by mieć własne przedsiębiorstwo, trzeba mieć własny kapitał, którego nie mam... Żona moja (ożeniłem się

^a W oryginale: Leji. Zob. przypis nr 74 we „Wstępie”.

¹ Chodzi zapewne o TB (łac. *Tuberculosis*), czyli gruźlicę.

² *Air conditioning* (ang.) – klimatyzacja.

w lutym 1950 r. z Żydówką urodzoną w Argentynie z rodziców, którzy przybyli tu z Rosji w roku 1910) też pracuje, choć moglibyśmy żyć dość wygodnie z tego, co ja zarabiam; ale że dzieci nie mamy, nie chce Ona porzucić posady.

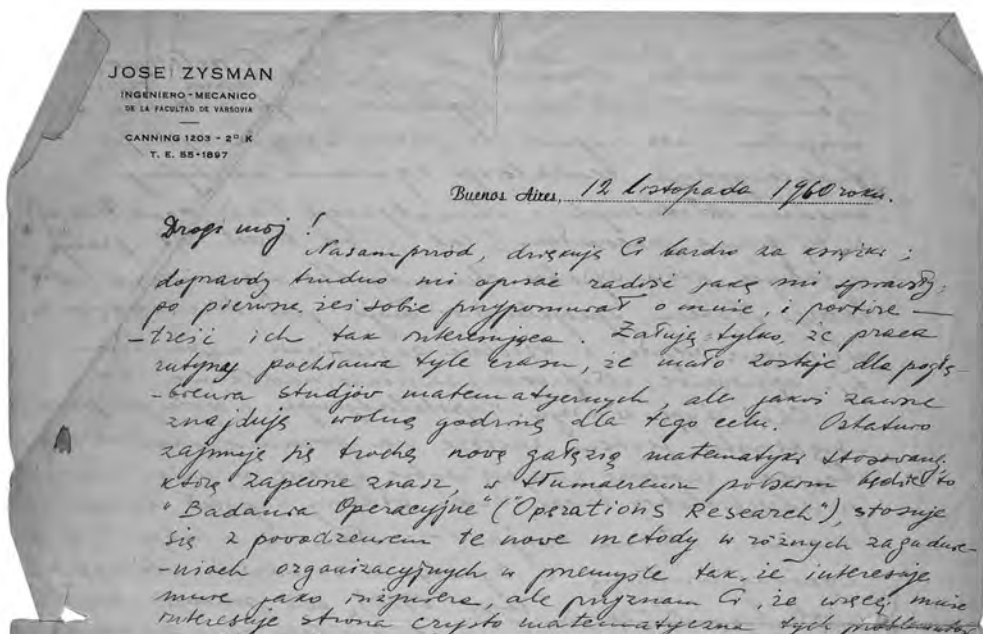
Żyje tu w Buenos Aires brat mój i bratowa, mają dwóch synów (starszy żonaty z dwójgiem dzieci), ukończył coś w rodzaju WSH³ (po hiszpańsku *Facultad de Ciencias Económicas*), młodszy jest na ukończeniu medycyny.

Żona moja też ma krewnych i dużo przyjaciół, tak że wśród krewnych, znajomych: przyjęcia, koncerty, teatry, kina – jakoś szybko mijają lata. Wakacje letnie (styczeń lub luty) spędzamy zawsze nad morzem lub w górach, bardzo lubimy podróżować. Szkoda tylko, że wycieczki zagraniczne są bardzo kosztowne. Ale też w Argentynie mamy dużo miejsc przepięknych. Klimat od tropikalnego na północy do podbiegunowego na południu; góry, jeziora, plaże przepiękne, słowem – można bardzo dobrze spędzić wakacje. W tym tygodniu zaczęły się tu pierwsze upały (przeszło 30 stopni i przeszło 50 proc. wilgotności względnej), dlatego też myśli się już o wakacjach. Prawdopodobnie pojedziemy w tym roku do Urugwaju. Urugwaj jest krajem sąsiednim, ale nie wymagają paszportu zagranicznego i wizy i nie uważa się tego wyjazdu jako wyjazd zagranicę. Jest znacznie bliżej niż do wielu miejscowości w Argentynie.

Mam nadzieję, że list ten będzie pierwszym z szeregu innych... Bądź zdrow i jeszcze raz dzięki za książki.

Twój Józef

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.



³ Wyższa Szkoła Handlowa.

Nr 20

1965 kwiecień 6, Buenos Aires – Drugi list Józefa Zysmana do Marcelego Starka w czasie jego pobytu w Izraelu na zaproszenie bratowej, Renaty Cohen

Szalom Raw Lecha!¹

Drogi mój!

List Twój dziś otrzymałem i jak widzisz, bez zwłoki odpowiadam. Cieszy mnie bardzo, że możesz sobie pozwolić odbyć tak ciekawą podróż. Ostatnią wiadomością, jaką otrzymałem od Ciebie, była kartka życzeniowa pod koniec 1963 roku.

[...]

Od dawnych znajomych z obozu mam tylko wiadomości od Wortmana, mieszka w Sztokholmie, biedak choruje bardzo, przeszedł ostatnio ciężką operację. Kilka lat temu miałem raz list od Orensztajnow, mieszkają w Stanach, Piotr Ajzensztad w Kanadzie – od niego nigdy wiadomości nie miałem. Nie tracę nadziei, że kiedyś się zobaczymy, choć teraz coraz trudniej ze względu na ograniczenia dewizowe, ale nadziei nie tracę. Chciałbym odwiedzić Stany Zjednoczone, Izrael i Europę; będąc w Europie wpaść na parę tygodni do Polski – na razie są to marzenia... U mnie nic specjalnie nowego. [...] Jakoś się żyje, prędko dwadzieścia lat, jakeśmy się rozstali. Dwadzieścia lat temu o tej porze byliśmy jeszcze w Sachsenhausen, ale czuło się już, że długo nie będzie to trwało, ale los był jeszcze bardzo niepewny – dwadzieścia lat, ile razy wracam pamięcią do owych czasów, do tego życia w piekle... najmniejszego szczegółu nie zapomniałem, ale lepiej teraz nie wspominać...

Jesteś w Izraelu, tam zapewne szykują się do Święta Wolności, Święta Wiosny (*Chag HaAviv*)², wiem, że Ty jesteś trochę z dala od tych spraw, ja zaś w dzieciństwie moim żyłem tą i nie inną rzeczywistością i nieraz żałuję, że nie pojechał w 1948 roku do Izraela zamiast do Argentyny, teraz dla mnie trudno myśleć o emigracji i o urzędzeniu się na nowo... Jak mówisz, starzejemy się i z latami przychodzą też dolegliwości, słowem trzeba rzeczywistość wziąć na trzeźwo i nie dać się wieść przez sny i uczucia...

W tym roku będzie mi trudno, ale w przyszłym, mam nadzieję będę mógł odbyć wycieczkę i jeśli będę w Paryżu, Londynie lub Sztokholmie – nie ominę Warszawy.

Twój Józiek

Pozdrów Dratwera i Zelmanowskiego, jeśli ich zobaczysz!

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.

¹ Hebrajska formuła powitalna nieprzetłumaczalna na język polski. Dosłownie: „Pokój wielki dla Ciebie”. Zastosowano formę kierowaną do mężczyzny. Użyto alfabetu hebrajskiego.

² *Chag HaAviv* (hebr.) – święto wiosny. Świętem Wolności i Świętem Wiosny nazywane są w tradycji żydowskiej święta wielkanocne, czyli Pesach. Święta te w roku 1965 zaczynały się 16 kwietnia.

1.

Buenos Aires, 6 kwietnia 1963 r.

! F! 22 p/16

Wojciechu!
 List Fojki dostaję ostatni... jak widoczne, bez radości
 odpowiadam. Czuję się bardzo, że mój list nie
 porównuje się do tego, co masz pod ręką. Ostatnia
 wiadomość, jaką otrzymałem od Ciebie, była karta
 zyczeniowa pod koniec 1963 roku.

Adres Dratwera jest:

Mg. Isaj Dratwer; Ramat Josef;
 ISRAEL.

Zelmanowskiego adresu nie mam, Dratwer nie
 mi go podał, ale zapomniał mi się.

Od dawnych znajomych z domu mam tylko wie-
 domości od Wiktora, młodszy w Sztokholmie
 i bardzo dobrze bardzo, przesłał ostatnio kilka
 operacji. Koło lat temu miałem raz list
 od Orensztejnów, młodszy w Stanach,
 Piotr Ajzenstadt w Kanadzie — od niego
 nigdy wiadomości nie miałem. Nie
 tracę nadziei, że kiedyś się zobaczymy, choć
 przez czas trudny. Ze względu na ogra-
 niczone możliwości; ale nadziei nie tracę,
 chociażby odwiedzić H. Z. Israel i Europę
 i będzie w Europie wpisać na parę tygodni
 do Polski — narazie to są marzenia...

U mnie nie specjalnie nowego.
 Pracuję w mojej specjalności t.j.

Nr 21

1962 marzec 21, Bat Jam – List Isaja Dratwera, byłego współwójnia (zamieszkającego po wojnie w miejscowości Bat Jam, w Izraelu), do Marceliego Starka

Drogi Panie Kolego!

Dziękuję za miły list, który sprawił mi wiele przyjemności, gdyż nie byłem pewny, czy kartka moja trafiła do Pana. Również ja się wciąż dziwię, że znalazłem się tutaj, ale sprawa ciągnęła się przez parę lat, uległem więc namowom mojej żony, która okupację

[illegible]

spędziła na aryjskich papierach. Może to trochę tłumaczy jej chęć wyjazdu. Uważam, że przede wszystkim powinni wyjeżdżać ci, co mają dzieci, oraz osoby młode. W moim wieku, bez znajomości języków, było to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne. Dobrze przynajmniej, że prawie zaraz dostałem pracę w Ubezpieczalni (*Kupat Cholim* – Kasa Chorych – *Histadrutu* – centrali związków zawodowych – bardzo poważna instytucja). Pracowałem w kilku miejscowościach jako zastępca – funkcja nieznana w Polsce. Obecnie pracuję w m[ieście] Natania już piąty miesiąc, nikogo nie zastępuję, ale w dalszym ciągu nie wiem, czy to już posada stała.... Tutaj takie sprawy ciągną się b[ardzo] długo. Warunki pracy są gorsze niż w Polsce, gdzie co najmniej trzy osoby robią to, co tutaj jedna... Przy wykonaniu pracy osoba z wykształceniem akademickim robi to samo, co przyuczona laborantka. Sytuacja nie do pomyślenia w Polsce! Różnica jest tylko w pensji. Dlatego też „akademyści”, jak się tutaj mówi, nie zawsze są dobrze widziani, zwłaszcza przez współpracowników, a nieraz i przez kierownictwo, bo są drożsi. Zarabiam przeszło 600 funtów miesięcznie, jest to dobra pensja, ale potrącenia wynoszą 30 proc., o ile nie więcej. Rocznie dostaję 160 funtów na książki, z tego na 80 funtów mam przedstawić rachunki, 80 f[untów] mam otrzymać na rękę. Ceny ostatnio poszły w górę, zwłaszcza na artykuły importowane, ponieważ mieliśmy dewaluację funta (67 proc.). Poprzednio dolar = 1,80 f[unta], obecnie = 3 [funty]. Od przeszło miesiąca nie mieszkamy już w prowizorycznym domku (barak). Otrzymałem małe mieszkanko jak na tutejsze warunki, ale najważniejsze, że nie musiałem zaciągać pożyczek, które tutaj są na porządku dziennym, tylko musiałem wpłacić tysiąc funtów kaucji oraz za względnie wyższe komorne, z prawem kupna. Do miejsca pracy jadę (a raczej tracę) przeszło 1½ godziny – Bat Yam – Tel Aviv – Natania – w jedną stronę.

Bat Yam – teoretycznie to inne miasto, ale faktycznie to przedmieście Tel Awiwu, do którego jedzie się 25 min[ut] autobusem. Nie ma mowy o jakimś wyżyciu się kulturalnym. Teatr – to muzyka ewentualnej przyszłości ze względu na brak znajomości języka; w kinie napisy są dwujęzyczne. O ile film mówiony po angielsku, to napisy w hebrajskim i francuskim. Kino profesjonalne jest znacznie droższe niż w Polsce. Zazdroścę Pańskich wyjazdów za granicę. Tutaj nie robią specjalnych trudności, ale są to imprezy bardzo kosztowne. Od Zysmana bardzo dawno nie miałem wiadomości. O ile spotka Pan doc. Drozdowicza (tel. 25-45-41), proszę go serdecznie pozdrowić i powiedzieć, że wysłałem do niego kartę, ale odpowiedzi nie otrzymałem.

Życzę wszystkiego najlepszego i załączam serdeczne pozdrowienia również od mojej żony^a.

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

^a Poniżej nieczytelny podpis.

IV. Korespondencja z Blanką Kościukową

Nr 22

1946 lipiec 8, Kraków – Fragment listu Blanki Kościukowej do Marceliego Starka, m.in. w sprawie zmian, które zachodzą wraz z upływem czasu w perspektywie przeżyć wojennych

Drogi Panie – (jak Pana mam nazywać, po imieniu?)

Czuję się bardzo winna wobec Pana. Cieszyłam, że będę mogła osobiście się usprawiedliwić we Wrocławiu. Nie udało się.

W maju miałam bardzo dużo trudności w związku ze zmianą mieszkania, a poza tym tak byłam wyczerpana i przygnębiona, że nie mogłam zdobyć się na napisanie listu. [...]

Miałam różne plany na to lato, chciałam wyjechać na tereny okupowane, to mnie najbardziej męczy. Jedyna osoba, na którą najbardziej liczyłam, że mi pomoże, wcale nie odpowiada na mój list. Niestety nie umiem szukać znajomości ani tzw. dróg [...]. Wszyscy ludzie – obcy. Myślałam z pewną ulgą o tym, że zobaczę się z Panem, będę mogła porozmawiać i wiele rzeczy opowiedzieć. Kto wie, może byśmy się strasznie pokłócili. Ale to już trudno.

Pierwszy Pana list przeczytałam z przeświadczeniem, że dużo w Panu zaszło zmian. Pamięć potwornych przeżyć (to brzmi jak z artykułu w gazecie, prawda?) zaciera się z wolna i teraz może Pan już patrzeć na wszystko z innej, bardziej „ludzkiej” perspektywy.

Przekonałam się, że myśli Pan o ludziach inaczej, niż Pan czasem przedtem mówił i teraz już nie boję się Pana tak jak na samym początku. Rozumiem Pana i wiem już teraz na pewno, że niedługo będzie Pan zupełnie „odczarowany”. Tylko proszę nie stać się od razu takim kotem domowym, co to zna tylko przyjemności opisane w drugim liście. Na to Pan chyba jeszcze za młody. Jako tzw. warszawianka, tj. osoba, która zaczyna od samego początku i jeszcze niczego nie umiała zdobyć, podziwiam Pana bardzo i ogromnie mi imponuje Pana kilkumiesięczny dorobek. Szalenie jestem ciekawa, jak to u Pana wygląda i bardzo chciałabym wszystko obejrzeć [...].

Tymczasem będzie Pan pisał do mnie, a ja będę odpowiadać sumiennie, nie tak jak dotąd. A jeszcze proszę mi wybaczyć moje milczenie i serdecznie pozdrawiam.

Blanka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

1946 wrzesień 15, Kraków – *Blanka Kościukowa do Marcelego Starka, fragmenty. Powojenna trauma. Proces zbrodniarza Amona Götha*

Drogi Panie,

Po tak długim czasie dopiero dziś udało mi się wyrwać z płataniny spraw, jakie mnie otaczają, zasiąść wreszcie spokojnie przy biurku (mam teraz biurko!). Może teraz, po miesiącu jest Pan już w innym nastroju i nie wydaje się Panu prawdziwe to, co mi Pan napisał. Bo ja nie wierzę w to ani trochę. Po okresie nienawiści i żalu do ludzi nastąpił przypływ litości i współczucia, a potem znów przyszło pewne oświecenie; to zupełnie zrozumiałe. Nie można wciąż czuć jednakowo silnie, żyć wciąż w takim samym napięciu. Człowiek broni się przed tem, zwłaszcza, jeżeli nauczył się żyć wśród takich przeżycień, w tak potwornej dyscyplinie, także wewnętrznej – jak Pan. Opisany przez Pana wypadek podziałał na mnie bardzo mocno, ale – widzi Pan – nie pozwoliłam mojej obraźni przekroczyć pewnych granic, bo mi – nie wolno. A Pan, broniąc się, nie rozumiał tego, że to – obrona.

Inną sprawą jest pewne przygnębienie i apatia, jaką Pan okazuje. Tego nie wolno Panu robić. Mam pewne skrupuły, że może jest w tem trochę i mojej winy. Zdaję sobie sprawę z tego, że rozprężenie i niepokój, jakie są we mnie, udzielają się innym ludziom przebywającym ze mną. Dlatego dobrze, że we Wrocławiu byłam tak krótko. Dawniej umiałam lepiej ukrywać takie stany na zewnątrz, byłam silna i zrównoważona. Teraz wyłazi to zupełnie dziecinnie na wierzch. Mam nadzieję, że niezależnie od tego, już u Pana wszystko złe przezwyciężone. Naprawdę nie warto przejmować się takimi sprawami, skoro ma się swoją ukochaną pracę (powtarzam to Panu pewnie po raz dziesiąty). TO najbardziej podziwiam i tego Panu najbardziej zazdroszczę. Gdybym osiągnęła tyle, co Pan, uważałabym, że życie moje ma jakiś sens.

Czytał Pan pewnie sprawozdanie z procesu Amona Götha. Byłam raz jeden na rozprawie. Tylko po to, żeby popatrzeć w oczy takiemu człowiekowi, który włożywszy białe rękawiczki, drgnieniem palca mógł mi wyznaczyć koniec¹. I żeby raz jeszcze przekonać się, że nie ma i nie będzie odpłaty nigdy. On był sobą do końca, bez żadnych wahań – my będziemy zawsze bezsilni. Uczucie bezsilności, brak wszelkiej nadziei – to było we mnie przez cały czas. Żadnego drgnienia radości, żadnego poczucia zemsty [...]

Przyjechał z Warszawy znajomy, którego Pan u mnie poznał, a potem wuj Mark, który mieszkał u nas. Dużo było rozmów i ciekawostek. Może niedługo i Pan wpadnie do Krakowa. Porozmawiamy sobie trochę, ale proszę o lepszy nastrój.

Serdecznie pozdrawiam,
Blanka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

¹ Zob. rozdział „Selekcja w Płaszowie”.

Nr 24

1946 listopad 18, Kraków – Blanka Kościukowa do Marcelego Starka, fragmenty listu. O poczuciu samotności, bezradności, chorobie i niechęci do religii

Drogi Panie,

nie wiem nic o tem, czy ten profesor, który miał załatwić zaświadczenie, był w Krakowie, czy też nie¹. U mnie nie był, a ja nie wiem, gdzie miałabym go szukać, skoro był tylko w przejeździe. Tak więc sprawa ta dotąd nie jest załatwiona i będę musiała pomyśleć o tem, żeby może w jakiś inny sposób to w końcu urzeczywistnić. Trzeba mi o tem pomyśleć, ale bardzo to teraz ode mnie dalekie. Jestem chora, już od miesiąca nie pracuję i objam się po domu. Tak się złożyło, że mamę, która także kwękała, udało mi się wysłać na leczenie do Dusznik na koszt ubezpieczalni. Tymczasem ze mną zrobiło się coś złego i już nie mogę podołać. Klęska na całej linii. [...] Ludzie, o których myślałam, że są mi bliscy i nie opuszczają mnie, właśnie teraz wyjeżdżają z Krakowa. [...] Może teraz ludzie nie umieją już czuć tak głęboko jak przed wojną, a słowa ich muszą być bez pokrycia. Trudno, nie można wymagać więcej, niż się otrzymuje, a za każdą odrobinę trzeba być wdzięcznym. Wyobrażam sobie, jakie śmieszne muszą się Panu wydawać moje dziecinne żale. Przykro mi, że tak zdziecinniałam, ale to może wynik samotności, nie tej głębokiej, wewnętrznej, której nie naruszy już żadna obecność ludzka, ale po prostu tej obiektywnej, rzeczywistej, którą wytyczają cztery puste ściany pokoju wypełnionego po brzegi – czekaniem. Na co, na kogo, tylko niekiedy dobrze to wiem. Ale poznałam do głębi gorycz czekania, ciężar odmierzony każdej sekundy, która posuwa mnie coraz dalej i coraz bliżej ku spokojowi i ciszy.

Spotkałam dziś znajomego, młodego lekarza. To bardzo żywy i wrażliwy człowiek. Wiem, jak wielką wagę przywiązuje do sakramentów i do spełniania dobrych uczynków (te słabości nieraz sprowadzały go już z medycznej drogi na klasztorne i inne manowce). Zaproponowałam mu, żeby spełnił wobec mnie dobry uczynek i dał mi jedną maleńką rzecz, której posiadanie za czasów niemieckich było taką wielką ulgą i szczęściem dla niejednego z nas². Odmówił. Ale chciał mnie za to zapoznać z pewnym księdzem-filozofem. I ja odmówiłam. Ale on – czułam to – był bardzo podniesiony na duchu i zdaje się, że nie traci nadziei, że jeszcze będzie ze mnie pociecha. To jednak nie dla mnie droga.

Widzi Pan, jak to dobrze, że wciągnął się Pan w robotę, i że ma Pan kogoś bliskiego. Takie koleżeństwo to wielka rzecz. Tym bardziej wtedy, gdy człowiek tyle przemierzył życia i zaczynać musi zupełnie od nowa, jakby się na nowo narodził. Zazdroszczę i tej zdolności, bo to wielka sztuka. Wydawało mi się, że i u mnie zaczyna się tworzyć jakaś nowa, zdrowa tkanka, ale urwało się. To było tylko złudzenie.

Kiedy Pan nie pisze, nie mam tego Panu za złe, bo wiem, że Pan bardzo zapracowany. Ale kiedykolwiek dostanę list od Pana, zawsze odpowiem i nie będę się niczemu dziwić. Chyba żebym już pióra utrzymać nie mogła, ale nie, do tego nie dopuszczę.

¹ We wcześniejszych listach nadawczyni prosiła Marcelego Starka, by pomógł jej uzyskać potwierdzenie ukończenia studiów na Uniwersytecie Lwowskim. Tu mowa o profesorze, którego nazwiska nie znamy.

² Chodzi o truciznę, której wiele osób używało, chcąc zaoszczędzić sobie i najbliższym cierpień z rąk oprawców.

Proszę mi wybaczyć moje stękanie, ale trudno, raz musi być tak, skoro nie może być inaczej. I proszę pozdrowić swojego dzielnego towarzysza.

Serdecznie pozdrawiam,
Blanka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

poniedziałek 18. VII 46

Drogi Panie,
nie wiem nic o tym, czy profesor, który miał mi zadobnie zastrzeżenie
był w Krakowie, czy też nie. U mnie nie był, a ja nie wiem gdzie mieszka
go szukać, skoro był byłby w przejeździe. Tak więc sprawa ta dopóki nie
jest załatwiona i będę musiała pomyśleć nad tem, żeby może i jeliś
mój sposób to skłonił unieważnić. Trzeba mi o tem pomyśleć, ale
bardzo to teraz ode mnie zależy. Jestem chora już od miesiąca nie
pracuję i obijam się po domu. Tak się zdarzyło, że mam, która sobie
wypisła udało mi się wysłać na leżenie do Dąbówki na koszt Liber-
alnego. Tymczasem se myślenie się coś tego i już nie mogę
podołać. Kłopot na całej linii. Lekcja koszt mi leżała, ale nieskomfortowne
roloty domowe nie pozwalają mi na to. Kurse dachy na choroby, nie
stają, jeliś i pień a do tego nosić regiel z piwnicy. Shown się więc
jeliś mogę. Ale jeliś się wali to już do grochu. Ludzie, o których wysłotał,
że są mi blizy i nie okazują mi, właśnie teraz wyjeżdżają z Kra-
kowa. Po prostu się, że daleko było nie mogę teraz myśleć o mnie,
ale naprawdę wiem, że i tak nie uwalilibym i nich opuszczać. Może
teraz ludzie nie lepiej już coś tak głęboko jeliś przed sobą, a skoro
nie mogą być bez pomocy. Trzeba, nie można zapomnieć i pójść mi
się obywateli a se bardzo odrobinkę może być zdrowym. Wyobraź
sobie jeliś smierne mój się Paniu wyjechać moje dziecięce rale.
Przykro mi, że tak zdrowym, ale to może wynika z samotności
nie tej głębokiej, wewnętrznej, której nie możemy już żadne wyde-
nienie, żadna obecność ludzi, ale poprostu tej objętych
necyrystkiej, którą wyhycają estry pustki ścian, polojni napetko-
ne po łosy - ciekawie. Na co, na tego, było wielki, dobre
to wiem. Ale ponieważ dopóki żony ciekawie, ciężej odmierno-
my kradzieży sekundy, która poszła mi coraz dalej i coraz bli-

Nr 25

1948 styczeń 1, Warszawa – Blanka Kościukowa do Marceliego Starka. Życie codzienne po wojnie, odbudowa normalnego życia

Drogi Panie!

Otwierając ten list, na pewno nie będzie Pan mógł już sobie przypomnieć jego nadawcy. Wyobrażam sobie, że wiele się przez ten czas u Pana zmieniło. U mnie całe wieki przeminęły od czasu, gdy się z Panem widziałam. Nawłóczyłam się niemało po różnych miejscach, przechodziłam rozmaite perypetie i wreszcie, teraz dopiero wylądowałam w mojej tak bardzo upragnionej – Warszawie. Było mi bardzo ciężko, nie wyobrażałam sobie, że tyle jeszcze znieść potrafię, zaszyłam się w jakiś kąt, nie odzywałam do nikogo i tak było łatwiej. Nie umiem jednak zapominać ludzi, zawsze do nich wracam. I teraz, kiedy już zaczynam żyć życiem normalniejszym, bardziej, mam nadzieję, ustalonym, musiałam pomyśleć o Panu. Bardzo jestem ciekawa, jak się Panu powodzi w pracy, czy zadowolony Pan jest ze swoich osiągnięć, czy ma Pan możliwości, które odpowiadają Pańskim zamierzeniom. Wyobrażam sobie też, że inaczej wygląda Pańskie mieszkanie. Gdybym teraz przyjechała, na pewno nie poznałabym wnętrza wypełnionych rozmaitymi pięknymi rzeczami. Od tego czasu pewnie Panu jeszcze łatwiej było urządzić się zgodnie ze swymi zamiłowaniem. W tym czasie też Wrocław stał się miastem bardziej odwiedzanym, ośrodkiem rozmaitych imprez kulturalnych, tak że i tego rodzaju braków już Pan zapewne nie odczuwa.

Kiedy ostatni raz spotkaliśmy się w Krakowie przypadkiem na ulicy (czemu Pan nie przyszedł?), wydawało mi się, że jest Pan trochę inny. Wydawało mi się, że jest Pan już pogodzony z życiem, że zdobył Pan już całkowitą równowagę, że przeszłość nie ciąży już na Panu w takim stopniu jak niegdyś. Bardzo to dobrze. Wierzę, że się Pan wyzwolił zupełnie i – kto wie – może ułożył sobie Pan już szczęśliwie swoje życie prywatne. Chciałabym bardzo, żeby tak było.

Dziś w pierwszy dzień Nowego Roku myślę o Panu serdecznie i życzę wszystkiego, wszystkiego naj-najlepszego. W jakiejś wolnej chwili proszę też i mnie jakąś myśl poświęcić.

Blanka Kościukowa

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

1948 styczeń 10, Wrocław – Marceli Stark do Blanki Kościukowej. Podziękowanie za otrzymany list, problem uporządkowania życia po przejściach wojennych, informacje o codziennym życiu autora

Droga Pani!

Jakże radosną niespodziankę sprawiła mi Pani swym listem. Myli się Pani jednak, sądząc, że z trudnością już będę mógł sobie przypomnieć jego nadawcę. Od czasu mego pobytu w Krakowie faktycznie wieki minęły, dużo się zmieniło, lecz była Pani jedyną osobą w Krakowie, z którą dzieliłem pewne zainteresowania intelektualne i mogłem mówić na tematy wówczas tak silnie mnie pochłaniające. Dziś do tych tematów na ogół nie wracam, nie zapomina się jednak ludzi, dla których Człowiek jest sprawą istotną.

Aby móc normalnie pracować, nie można tkwić w psychozie lat wojennych. Czasami, rzadko, uświadamiam sobie dawne przejścia, jakiś sen je naprowadza i wówczas zdaję sobie sprawę, jak potworne to było, jak chorym byłem po wyjściu z obozu. Dziś zdaje się jest to przeszłością. Pracuję pełną parą w dziedzinie matematyki, a właściwie odbudowy matematyki w Polsce. Wskrzesiłem przedwojenne czasopismo matematyczne polskie „*Studia Mathematica*”, które było jednym z najpoważniejszych czasopism europejskich przed wojną. Jestem właściwie jego faktycznym wydawcą, chociaż oficjalnie mam tylko stanowisko sekretarza redakcji. Tom, który powinien ukazać się na wiosnę, nie ustąpi tomo przedwojnemu. I to jest moje główne zajęcie. Prócz tego adiunktura, zajęcia pedagogiczne i administracyjne z tym związane, no i lekcje, aby żyć (są jednak znacznie lepiej płatne niż w Krakowie, biorę teraz do 1200 za godzinę). Jak Pani z tego zrozumie, pracy co niemiara.

Zakupów z dziedziny porcelany właściwie już nie robię. Z rzadka jeszcze coś nabędę, mam już za dużo i przestało to mnie interesować. Mam kilka obrazów, między innymi i przepiękne oryginały starych malarzy. Mieszkanie urządziłem, jak sądzę, estetycznie, lecz mieszkając w tem długo, nie spostrzega się tego. Można jedynie odczuwać brak czegoś, lecz nie posiadanie. Odzyskałem kilka z moich najlubieńszych książek przedwojennych, które mi zostały przywiezione ze Lwowa, m.in. najlubieńszą mą książkę *Klub Pickwicka*¹. Udało mi się nawet dostać *Pickwicka* i *Sama Wellera*² w porcelanie. Kupuję trochę interesujących mnie książek, które czytuję przed zaśnięciem, odczuwając zawsze wyrzuty sumienia za marnotrawienie czasu. Od czytania nie mogę się powstrzymać.

Ale przede wszystkim pracuję. I widzę już owoce pracy.

Zazdroszczę Pani Warszawy. Zwłaszcza imprez i życia, których nie ma we Wrocławiu. Jest to dziura o ludności wołyńskiej. Żałuję, że nie wiedziałem, że Pani jest w Warszawie. Byłem tam przed świętami, natychmiast skoczyłbym do Pani. Stanie się to jednak przy najbliższej sposobności (kiedy ona będzie?).

Napisałem Pani dużo o sobie, Pani jednak o sobie nie napisała właściwie nic. Nie wiem, co się dzieje z Panią, czy Pani pracuje i gdzie, co porabia Matka, jak się Pani czu-

¹ Najsłynniejsza powieść Charlesa Dickensa (1812–1870), pisarza angielskiego.

² Samuel Pickwick oraz Sam Weller – bohaterowie ulubionej powieści *Klub Pickwicka*.

je, czym interesuje, wśród jakich ludzi obraca. Nie wiedząc tego, nie mogę znać Pani samopoczucia.

Proszę napisać mi szerzej.

Wstydzę się za tak długie niedanie znaku życia. Należę jednak do ludzi cierpiących na listo[w]stręt. Proszę mi wybaczyć.

Bardzo serdecznie pozdrawiam^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

Blanka Kościukowa Wrocław, 10 stycznia 1948 r.

Droga Pani!

Jakże radośnie niespodziankę sprawiła mi Pani swym listem. Mylił się Pani jednak sądząc, że z trudnością już będę mógł sobie przypomnieć jego nadawcę. Od czasu mego pobytu w Krakowie faktycznie wieki minęły, dużo się zmieniło, lecz byłam Pani jedyną osobą w Krakowie, z którą dzieliłem pewne zainteresowania intelektualne i mogłem mówić na tematy wówczas tak silnie mnie pochłaniające. Dziś do tych tematów na ogół nie wracam, nie zapominam się jednak ludzi, dla których Człowiek jest sprawą istotną.

Aby móc normalnie pracować nie można tkwić w psychozie lat wojennych. Czasami, rzadko, uświadamiam sobie dawne przeżycia, jakieś sen je naprowadza i wówczas zdaje sobie sprawę jak potworne to było, jak chorą byłem po wyjściu z obozu. Dziś zdaje się jest to przeszłością. Pracuję pełną parą, w dziedzinie matematyki, a właściwie odbudowy matematyki w Polsce. Wskrzesiłem przedwojenne czasopismo matematyczne polskie "Studia Mathematica", które było jednym z najpoważniejszych czasopism europejskich przed wojną. Jestem właściwie jego faktycznym wydawcą, chociaż oficjalnie mam tylko stanowisko sekretarza redakcji. Tom, który powinien ukazać się na wiosnę nie ustąpił tomom przedwojennym. I to jest moje główne zajęcie. Prócz tego adiunktura, zajęcia pedagogiczne i administracyjne z tym związane, no i lekcje aby być (są jednak znacznie lepiej płatne niż w Krakowie, biorę teraz do 1200 za godzinę). Jak Pani z tego zrozumie pracy co niemiara.

Zakupów z dziedziny porcelany właściwie już nie robię. Zrzadka jeszcze coś nabędę; mam już za dużo i przestało to mnie interesować. Mam kilka obrazów, między innymi i przepiękne oryginały starych malarzy. Mieszkanie urządziłem – jak sądzę – estetycznie, lecz mieszkając w tym tak dłużej, nie spostrzegam się tego. Można odczuwać jedynie brak czegoś, lecz nie posiadanie. Odkryłem kilka z moich najulubieńszych ksiąg przedwojennych, które mi zostały przywiezione ze Lwowa m. i. najulubieńszą moją księgą, Klub Pickwicka. Udało mi się nawet dostać Pickwicka i Sama Wellera w porcelanie. Kupuję trochę, interesujących mnie, ksiąg, które czytuję przed zaśnięciem – odczuwając zawsze wyrzuty sumienia za marnotrawienie czasu, ale od czytania nie mogę się powstrzymać.

Nie przede wszystkim pracuję! I widzę już owoce pracy. Zgadzając Pani Warszawę. Zwłaszcza imprez i życia, których nie ma we Wrocławiu. Jest to dziura o ludności wołyńskiej. Sądzę, że nie wiedziałem, że Pani jest w Warszawie, byłam tam przed świętami, natychmiast skończyłbym do Pani. Stanie się to jednak przy najbliższej sposobności (kiedy ona będzie?).

Napisałem Pani dużo o sobie, Pani jednak o sobie nie napisała właściwie nic. Nie wiem co się dzieje z Panią, czy Pani pracuje i gdzie, co porabia Matka, jak się Pani czuje, czym interesuje, wśród jakich ludzi obraca. Nie wiedząc tego, nie mogę znać Pani samopoczucia.

Proszę napisać szerzej.

Wstydzę się, za tak długie nie danie znaku życia. Należę jednak do ludzi cierpiących na listostręt. Proszę mi wybaczyć.

Bardzo serdecznie pozdrawiam

P.S. Czy wie Pani gdzie przebywa Marian Wierciński i jaki jest jego adres?

Czy potrafiła Pani zorganizować sobie życie codzienne, tak by się móc od niego wyzwoić?

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

1948, Warszawa – Blanka Kościukowa do Marceliego Starka. Przeprowadzka do Warszawy i własne dziecko. Kłopoty, relacje ze światem zewnętrznym

Drogi Panie!

Bardzo to miło, że mi Pan odpowiedział¹. Cieszę się bardzo, że żyje Pan już na nowo. Zawsze zazdrościłam ludziom, którzy umieli się zamknąć w swojej pracy i potrafili coś zdziałać. Ale to udaje się przeważnie tylko mężczyznom. Nawet ja – ciemny człowiek – słyszałam coś niecoś o „Studia Mathematica”. Wiem najlepiej, że sekretarz redakcji to najważniejszy człowiek w piśmie i [d]oceniam Pana pracę, choć nic z tego nie rozumiem.

Winna jestem Panu relację o sobie. Postaram się uczynić to wyczerpująco, choć może nie będzie to bardzo zajmujące ani budujące. Ostatecznie po wojnie jesteśmy już nieco zblazowani i niewiele jest rzeczy, które nas mogą zadziwić.

Kiedy mniej więcej rok temu postanowiłam opuścić Kraków, a życie moje ułożyć na pewnej trwalszej podstawie, postanowiłam jednocześnie zerwać z całym krakowskim środowiskiem. Decydując się świadomie na pewne zasadnicze zmiany, rozumiałam, że lepiej będzie nie narażać się na żadne oceny, potępiające czy aprobujące. Że trzeba skupić całą swoją energię, która mi będzie potrzebna do tego, żeby zacząć na nowo i żeby wytrwać mimo wszystko. Przetrwałam cały ten rok, choć zdawało mi się to ponad siły. A kiedy już przyjechałam do Warszawy, kiedy już [z]dobyłam własny kąt i pracę i pierwszy raz od wojny poczułam, że mam prawdziwy dom, o którym myślę i do którego tęsknię – wydało mi się, że w moim postępowaniu jest zbyt dużo przesady. Że to, co teraz mam, to chyba więcej, niż się jeszcze mogłam w życiu spodziewać. Że każdy chyba zrozumie mnie i powstrzyma się od oceny. I rozesłałam listy do bliższych i dalszych ludzi. Także do Pana. Pierwsza odpowiedź nadeszła od mojej kuzynki, która jest teraz w tzw. Bizonii². Była taka, że poczułam się zupełnie przygnębiona. Straciłam odwagę. Teraz już nie chcę wracać, nie mam ochoty przypominać się nikomu. Nie będę już pisać żadnych listów. A jeżeli koniecznie potrzeba, będę kłamać tak, żeby nikt prawdy się nie domyślił.

A prawda jest taka prosta. Mam dziecko. Moje własne. Nikt prócz mnie o nie się nie troszczy, nikt za nie nie jest odpowiedzialny. Chciałam, żeby tak było i tak mi dobrze. Dzieciak ma 5 miesięcy. Mam z nim dużo kłopotu, ale i dużo radości. Moja najlepsza, najwyrozumialsza Mama zajmuje się nim z oddaniem. Pracuję w redakcji Działu Wydawniczego „Wiedzy”, jako redaktor stylistyczny. W „Odrodzeniu” zaszło bardzo dużo zmian, o których się Pan dowie. A ja nie mogłam tyle czasu być poza domem, ile tam było potrzeba. Zarabiam teraz tyle, że ledwie na życie mi starczy (utrzymuję przecież cały dom) i muszę brać prace do domu. To nie jest takie proste, zwłaszcza jeżeli się nie zawsze śpi w nocy. Nic więc dziwnego, że zrobiła się ze mnie w pewnym stopniu kura domowa. Poza rękopisami interesują mnie teraz tylko sprawy domowe: jak sprawuje się dzieciak, kiedy zdobędę się na jakiś niezbędny w domu sprzęt (np. krzesło), albo

¹ Odpowiedź Marceliego Starka na poprzedni list autorki nie zachowała się.

² Potoczna nazwa amerykańskiej i brytyjskiej strefy okupacyjnej w powojennych Niemczech.

kwiatek, bo przecież nie można tak żyć w pustych ścianach. Chciałabym, żeby u mnie było ładnie, ale to jeszcze długo, długo nie będzie możliwe. Za pierwszą moją pensję tutaj dałam sobie oprawić kilka drobnych reprodukcji i to jest jedyna rzecz ładna w moim domu. Ale jeszcze nie przyzwyczaiałam się do nich i wciąż na nowo się nimi cieszę. Marzę o tym, żeby kiedyś dzieciak mój miał chociaż pianino. Ale to są fantazje. Oto już wszystko o mnie.

Zespół, w którym teraz pracuję, jest bardzo miły, ale nieco zbyt światowy, co stwarza pewne zobowiązania towarzyskie. Dotąd udaje mi się prawie zawsze uniknąć zbliżenia. Świat jest taki maleńki, że nieraz trudno uniknąć starcia. A ja się boję.

Raz jeden udało mi się wyrwać domu. Byłam na koncercie Gimpla³. Był wspaniały. To naprawdę artysta dużego formatu. Grał tak bezwzględnie uczciwie, bez żadnych efektów zewnętrznych. Akompaniował mu Szpilman⁴, ten sam, który ukrywał się w wy-marłej Warszawie po powstaniu. Kiedy obaj, skrzypek i pianista, pokazali się na estradzie, rośli, europejscy, w nieskazitelnym frakach, odczułam to niby jakiś podniosły symbol. Teraz łatwiej mi myśleć pogodnie, więc pomyślałam: oto znak, że wszystko złe już minęło, teraz znów ludzie ujawniają to, co w nich jest najlepsze, to, co nietknięte udało im się wbrew wszystkiemu przenieść na drugi brzeg.

Tak oto wygląda życie osoby zdeklasowanej z własnej woli i chęci. Napisałam Panu prawdę, bo nie chciało mi się kłamać. A teraz na pewno weźmie mi Pan za złe mój brak umiaru. Co na to poradzić. Tak jakoś zawsze niezwykajnie mi się życie układa. Proszę mi wybaczyć mój list. Oczywiście nie będę się wcale dziwić, jeżeli Pan nie odpowie.

Serdecznie Pana pozdrawiam
Blanka Kościukowa

Adres M. Wiercińskiego: [...]. On o mnie nic nie wie i nie należy go informować, bo ma kontakt z moją daleką rodziną.

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

³ Bronisław Gimpel (1911–1976) – skrzypek polski pochodzenia żydowskiego, wyemigrował do USA w roku 1937.

⁴ Władysław Szpilman (1911–2000) – pianista polski pochodzenia żydowskiego, autor wielu znanych utworów muzycznych. Jeden z nielicznych członków warszawskiej społeczności żydowskiej, który po powstaniu w getcie i powstaniu warszawskim do końca ukrywał się w zrujnowanym mieście. Dzieje swe opisał w książce *Śmierć miasta* (1946 i 2001). Na tej podstawie w roku 2002 w reżyserii Romana Polańskiego powstał film *Pianista* (*The Pianist*).

1948 luty 15, Wrocław – Marceli Stark do Blanki Kościukowej. Gratulacje z powodu narodzenia dziecka. Porady, jak radzić sobie z problemami

Droga Pani,

W odpowiedzi na list Pani piszę jedno słowo: Gratuluję! Gratuluję! Pomimo wszelkich trudności, jakie Pani napotyka i napotykać będzie, znajdzie Pani w dziecku szczęście, cel życia, a może raczej nie cel, a coś, co Pani kocha i się poświęci, bez rozumowań, bez wahań, bo nie będzie Pani mogła inaczej. Nareszcie nie jest Pani sama i nie będzie już Pani samotna. To było odważne i słuszne, nie zdaje Pani sobie może sprawy z tego, do jakiego stopnia słusznie Pani postąpiła.

Dlaczego jednak Pani jest przy tym tak słaba i zważa na sąd drugich? Wszak, jeśli Pani będzie rozmawiać z dziesięcioma ludźmi, usłyszysz Pani dziesięć różnych sądów, a miarodajnym jest tylko jeden, a mianowicie Pani sąd. Jeśli Pani jest zadowolona i szczęśliwa, jak to jednak wyczuwam z Pani listu, to Pani postąpiła bardzo a bardzo właściwie. I dlatego raz jeszcze: Gratuluję.

Nie istnieje prawda obiektywna, a wyłącznie subiektywna, świat istnieje, my go jednak możemy poznać wyłącznie przez swe osobiste doznanie i własny sąd, własną moralność. Proszę odrzucić precz wszystkie mieszczańskie wahania i krzyk mieszczańskich i niemieszczańskich prostytutek, sprzedających się wedle ustalonego rytuału. Dlaczego Pani na ten świat sobie obcy zwraca uwagę? Co Panią obchodzi ich opinia? Osiągnęła Pani naprawdę wielkie szczęście, w tej chwili ja Pani zazdroszczę.

Chciałbym bardzo w czasie ferii wielkanocnych zaglądnąć do Warszawy, uświadomię Panią o tem przedtem i jednym z pierwszych moich kroków będzie złożenie Pani wizyty. Proszę się nie zrażać oficjalnym słowem „wizyta”. Nie wiem jednak, czy naprawdę będę mógł przyjechać.

Cieszę się również, że ma Pani pracę bardziej sobie odpowiadającą, że wyrwała się Pani z obrzydliwości robót gryziopiórków urzędniczych. Zdaje sobie sprawę z tego, że i ta praca niezupełnie Pani odpowiada, jednak otoczenie ludzi inteligentnych i praca „inteligencka” wpływa bardzo korzystnie.

Zdaje sobie również sprawę z tego, że w obecnym stanie rzeczy, przy marnych dochodach, ma Pani dużo kłopotów materialnych i niematerialnych. Chętnie bym Pani pomógł, jeśli to możliwe w jakikolwiek sposób, po koleżeńsku. Proszę i tu odrzucić wszelkie mieszczańskie skrupuły. Mam się w tej chwili stosunkowo dobrze.

Pozwalam sobie przesłać Pani odbitkę części nieścisłe matematycznej pierwszego zeszytu wydawanego przez nas we Wrocławiu czasopisma „Colloquium Mathematicum”. Stamtąd orientuje się Pani o ogromie wykonanej pracy w dziedzinie organizowania matematyki w Polsce po wojnie. Zadowolony jestem, że częśćka tego i na mnie przypada.

Na koncerty niestety nie chodzę, bo za mego pobytu we Wrocławiu nie było jeszcze ani jednego prawdziwie dobrego koncertu. Czasem chodzę do teatru, zwykle na komedie, gdyż poważniejsze sztuki, o ile są wystawiane, to bardzo lichy. A poza tym brak czasu. Czytam trochę po nocach.

Proszę przyjąć ode mnie serdeczne pozdrowienia dla Siebie i dziecka oraz ukłony dla Matki.

Ściskam gorąco dłoń^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

Wrocław, 15 lutego 1948 r.

Droga Pani!

W odpowiedzi na list Pani piszę jedno słowo: Gratuluję! Gratuluję! Pomimo wszelkich trudności, jakie Pani napotyka i napotykać będzie, znajdzie Pani w dziecku szczęście, cel życia, a może raczej nie cel, a coś co Pani Kocha i się poświęci, bez rozumowań, bez wahań, bo nie będzie Pani mogła inaczej. Nareszcie nie jest Pani sama i nie będzie już Pani samotna. To było odważne i szlachetne, nie zdaje Pani sobie może sprawy z tego, do jakiego stopnia szlachetnie Pani postąpiła.

Dlaczego jednak Pani jest przytem tak s/laba i zważa na sąd drugich? Wszak jeśli Pani będzie rozmawiała z dziesięcioma ludźmi usłyszysz Pani dziesięć różnych sądów, a miarodajnym jest tylko jeden, a mianowicie sąd Pani. Jeśli Pani jest zadowolona i szczęśliwa, jak to jednak wyczuwam z Pani listu, to Pani postąpiła bardzo a bardzo właściwie. I dlatego raz jeszcze : Gratuluję! Nie istnieje prawda obiektywna, a wyłącznie subiektywna, świat istnieje, my go jednak możemy poznać wyłącznie przez swe osobiste doznanie i własny sąd, naszą moralność. Proszę odrzucić przez wszelkie mieszczańskie wahania i szaleńcze mieszczańskie i niemieszczańskie prostytucje, sprzedających się wedle ustalonego rytuału. Dlaczego Pani na ten list sobie obcy zwraca uwagę? Co Pani obchodzi ich opinia? Odsługuje Pani naprawdę wielkie szczęście, w tej chwili ja Pani zaszczytuję.

Chciałbym bardzo w czasie ferii Wielkanocnych zaglądnąć do Warszawy, uwzględnić Pani o tam przedtem i jednym z pierwszych moich kroków będzie spotkanie Pani wizyty. Proszę się nie zrażać oficjalnym słowem "wizyta". Nie wiem jednak czy naprawdę będę mógł przyjechać.

Cieszę się również, że ma Pani pracę bardziej sobie odpowiadającą, że wyrwała się Pani z obrzydliwości robót gryzpińskich urzędniczych. Zdażę sobie sprawę z tego, że i ta praca niezupełnie Pani odpowiada, jednak otoczenie ludzi inteligentnych i praca "inteligentna" wpływa bardzo korzystnie.

Zdażę sobie również sprawę z tego, że w obecnym stanie rzeczy, przy marnych dochodach, ma Pani dużo kłopotów materialnych i niematerialnych. Chętnie bym Pani pomógł, jeśli to możliwe w jakikolwiek sposób, po koleżeńsku. Proszę i tu odrzucić wszelkie mieszczańskie skrupuły. Mam się w tej chwili stosunkowo dobrze.

Pozwalam sobie przesłać Pani odtisk części nieścisłe matematycznej pierwszego zeszytu wydawanego przez nas we Wrocławiu czasopisma Colloquium Mathematicum. Stamtąd zorientuje się Pani o ogromie wykonanej pracy w dziedzinie organizowania matematyki w Polsce po wojnie. Zadowolony jestem, że częśćka tego i na mnie przypada.

Ma koncerty niestety nie chodzę, bo za mego pobytu we Wrocławiu nie było jeszcze ani jednego prawdziwie dobrego koncertu. Czasem chodzę na do teatru, zwykle na komedie, gdyż poważniejsze sztuki, o ile są wystawiane, to bardzo mało. A poza tym, brak czasu. Czytam trochę po nocach.

Proszę przyjąć odemnie serdeczne pozdrowienia dla Siebie i dziecka oraz ukłony dla Matki.

Ściskam gorąco dłoń

Blanka Kościukowa

Barbara - Zoliborz

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

1948 kwiecień 11, Warszawa – Blanka Kościukowa do Marceliego Starka. Trudności życia codziennego, podziękowanie za okazane wsparcie i zaproszenie do złożenia wizyty

Drogi Panie!

Nigdy jeszcze nie byłam tak pogrążona jak teraz. Nie sądziłam, że taki leń jak ja będzie jeszcze kiedyś tak pracował. Było mi tak przyjemnie, kiedy dostałam list od Pana i przeczytałam parę krzepiących słów. Ale pomyślałam, że to jednak wszystko nie jest takie proste. Drogi, jakimi kroczą ludzkie zamierzenia, po których człowiek dochodzi do celu, są bardzo ciemne i splątane. A moje na przykład postępowanie może być wielką naiwnością i słabością, a jednocześnie można w nim widzieć niesłychaną odwagę. Może to być i pokora wielka, może być i pycha. Ja sama wiem właściwie tak niewiele. A kiedy myślę o tym, dochodzę nieraz do bardzo dziwnych i sprzecznych rzeczy. Na szczęście tak mało mam czasu na rozmyślanie. I żeby tylko dość sił było na wytrwanie i dość energii – już byłoby wszystko dobrze. Jak mało mam chwil wolnych – sam Pan widzi, skoro dopiero teraz na list odpowiadam. Przesiaduję codziennie do północy, a budzę się oczywiście już o piątej rano. Na dodatek Andrzej od dwóch tygodni występuje w charakterze cętkowanego tygrysa – ma odrę. Jest bardzo niespokojny i w nocy trzeba do niego często wstawać. Przepraszam, że wypisuję takie interesujące niezmiernie rzeczy, ale mnie się to wydaje takie ważne.

Czytam teraz parę ciekawych rękopisów. Konferencje z autorami albo tłumaczami są bardzo zabawne. Im który mniejszy, tym bardziej zarozumiały, im większy, tym skromniejszy. W tej dziedzinie, pełniąc nawet tak skromną funkcję jak ja, ma się to przeświadczenie, że jest to praca potrzebna, sensowna. A to już bardzo wiele. Szkoda tylko, że musi być jeszcze robota domowa, która mnie strasznie wyczerpuje. Ale na pewno się ją coś przyzwyczaje.

Myślałam, że Pan wpadnie na Wielkanoc. Nie robiłam żadnych planów wyjazdowych. Tak wielką mam ochotę porozmawiać teraz z jakąś lwowską duszą. Tyle się rozmaitych rzeczy dzieje, że nawet ja, ciemny człowiek, zaczynam się już w końcu niepokoić. Trochę chcę porozmawiać, a trochę się wyklócić, może by mi ulżyło. A tak czuję się znów w moim mieszkanku jak na wysepce. Gdyby mi się udało, to może pojadę do ciotki w Łodzi i na niej się skupię.

Bardzo dziękuję za „Colloquium [Mathematicum]”¹. Zapachniało mi od tego Lwowa i starymi wspomnieniami. A po bliższym przyjrzeniu się i pokonaniu pierwszego przerażenia na widok obcego języka okazało się, że ta francuszczyzna nawet dla mnie jest dostępna. Do smutnej listy znów trzeba dodać nazwisko. Na pewno słyszał Pan o tym wypadku z Nikliborcem². Podobno mania prześladowcza.

Bardzo wzruszona byłam ofiarowaną mi pomocą i bardzo dziękuję. To przyjemnie wiedzieć, że można na kogoś liczyć. Ale. Widzi Pan, tak się składa, że chyba po

¹ Fragment tego czasopisma Marceli Stark przesłał wraz z listem z dnia 15 II 1948 r.

² Władysław Nikliborc (1889–1948) – matematyk polski, profesor Politechniki Warszawskiej, zmarł podczas aresztowania przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

raz pierwszy, odkąd pracuję samodzielnie, zarabiam tyle, że mi wystarczy na tzw. życie. Nie ma tu już tak elementarnych braków, jakie odczuwałam w Krakowie. Trudność stanowią tylko wydatki nadzwyczajne, przyzwoity przydziewek dla małego czy dla nas, łóżeczko dla małego itp. Ale to już przecież nie konieczności tak pilne, dla których wypadałoby zaciągnąć pożyczkę, prawda? Trzeba po prostu posiedzieć w nocy i ciuć.

Proszę przyjechać kiedy, to pogawędzimy sobie. A jeżeli Pan ma aparat fotograficzny, to proszę przywieźć z sobą. Andrzej czeka na zdjęcia.

Serdecznie pozdrawiam i proszę o pamięć,
Blanka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

Drogi Panie!
 Wczoraj nigdy nie byłam tak pogodna jak teraz. Nie spłakam,
 że taki ten jest, że będzie jeszcze lepszy tak pracował. Było mi tak
 przyjemnie kiedy dostałam list od Pana i przeczytałam parę line-
 jowych słów. Ale pomyślałam, że to jednak wystarczy mi już takie poki-
 drogi, jakimi kiedyś ludzkie serce miało, po których człowiek docho-
 d i do celu, że bardzo ciennie i spłotało. A może nie przytęsk po-
 stępowanie może być wielko miernością i słabością, a jednakże nie
 można u mnie widzieć niestępcy odwrócić. Może to być i polowa
 wielka, może być i pycha. Ja sama wiem, że nie mam tak wiele.
 A kiedy myślę o tym, dochoch miar do bardzo daleko i spoz-
 nych rzeczy. Na przykład tak mało mam czasu na rozmyślenie.
 I kiedy byłam dość silną było mi wygodnie i dość energii - już byłoby
 wystarczyło dobrze. Już mało mam czasu do wiecz- - sam Pan wie,
 słowo dopiero teraz na list odpowiadam. Przewidyuję codziennie
 i z pomocą, a będzie się oczywiście już o pięćdziesiąt. Ale dzięki
 Andrzei od chrześcijaństwa myślę, że chociażby człowiekowi
 przyszedł - ma odwrócić. Jest bardzo niepokojący i w rzeczy samej do
 niego często wracam. Przekonam, że myślenie takie interesujące
 mieszkam nie, ale musi być to myślenie takie serce.
 Wczoraj teraz po ciebie tak odpowiadam. Konkretnie z autorem

V. Korespondencja z Heleną Lapter

Nr 30

1947 styczeń 7, Toruń – Helena Lapter, była studentka Marcelego Starka z Uniwersytetu Lwowskiego, zwraca się z prośbą o potwierdzenie zaliczonych egzaminów

W[ielmożny] Panie Profesorze,

I oto raz jeszcze zwracam się do W[ielmożnego] Pana z prośbą. W związku ze spaleniem się wszystkich innych dokumentów prosiłabym uprzejmie (proszę wybaczyć, że ośmielałam się trudzić W[ielmożnego] Pana) o przesłanie mi (odwrotne) załączonych w liście zaświadczeń. Chodziłoby tylko o to, by W[ielmożny] P[an] zaopatrzył je Swym podpisem. Ośmielałam się tę prośbę skierować do W[ielmożnego] Pana tylko dlatego, że podczas pobytu W[ielmożnego] Pana w Krakowie, wspomniał W[ielmożny] Pan o tym, że chętnie by mi takowych zaświadczeń udzielił... a nie mam warunków powtarzania już odbytych egzaminów.

Nie ma potrzeby zaznaczać, że do dotychczasowego długu wdzięczności za cierpliwość, choć niestety bezowocną pracę W[ielmożnego] Pana nad przyswojeniem mi wiedzy w zakresie matematyki, przybywa nowy, niemniej ciężki.

Łączę wyrazy należnego szacunku,
Helena Lapter

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

Nr 31

1947 grudzień 22, Toruń – Fragmenty listu Heleny Lapter. Podziękowanie za przesłane karty wspomnień, trudności w odnalezieniu się we współczesnym świecie po przejściach wojennych

W[ielmożny] P[anie] P[rofesorze]

Bardzo, bardzo dziękuję za przesłane karty wspomnień. Proszę wierzyć, dzień, w którym je otrzymałam wraz z załączonym listem, należy do prawdziwie miłych dla mnie.

Bo trzeba Panu wiedzieć, dotychczas nie zdobyłam tego miłego daru zżywania się prędkiego z ludźmi, dzięki czemu otoczona rozgwarem ludzi, w istocie czuję się bardzo samotna. Tym więcej, że są to ludzie pochodzący ze środowiska obcego mi, którego nie umiem uczynić sobie bliskim i nie mogę. Ja właściwie całą sobą tkwię w świecie przeszłości. Cokolwiek widzę, umiem odczuć tylko jako człowiek tej zaginionej przeszłości, wszelako dla mnie wciąż żywej i tak (będzie się Pan zapewne śmiał z mej głupoty), ale mimowolnie, choćby w tej chwili żyję też jakby tą inną minioną... Ulica Kleparowska 5, mieszkanie Państwa, moje pierwsze lekcje... i mimowolna sympatia, jaką we mnie obudziło życie Pana pełne pracy i ukochania wiedzy.

Cóż – wtedy – ja byłam szczęśliwa – jak bardzo, odczuwam dziś. Roіłam sny przedziwne, nieziszczalne, czarem nieuchwytnym spowijające dusze.

Rozwiały się wszystkie możliwości, marzenia nie ma, wspomnienia... Te pozostały.

„Rozmarzyłam się”, a tego czynić nie należy. Mówię to sobie bardzo często, oczywiście nie zawsze z pożądanym skutkiem. Lecz gdy „krzywdę” ponoszę ja sama, nie gnębi mnie to tak, gnębiąca byłaby mi świadomość krzywdy wyrządzonej Panu.

Tak cieszę się z nowo wiążącej się nici porozumienia z kimś „stamtąd”, niczym nie chciałabym zmącić obopólnego odczucia odnalezienia czegoś w tej bezmiernej pustce.

Proszę przyjąć wyrazy poważania,

HLapter

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

1948 kwiecień 20, Wrocław – Marceli Stark do Heleny Lapter. Przepraszam za brak odpowiedzi. Złe samopoczucie, nawiązanie do kwestii reorganizacji życia po traumie wojennej

Droga Pani!

Nie wolno się Pani gniewać za pozostawienie bez odpowiedzi kilku listów. Nie zawsze można pisać. Jestem czasem całymi miesiącami do tego niezdolny.

Czułem się bardzo źle. Nie fizycznie. Gorzej niż w obozie. Nie umiem powiedzieć, dlaczego. Może dlatego, że za mną i przede mną pustka. Zapomniałem, co to znaczy chcieć.

Możliwe, że jest to skutkiem ogromnego przepracowania. Teraz nieco odpocząłem, organizuję pracę tak, by mieć codziennie kilka godzin odpoczynku. Czuję się względnie lepiej.

List Pani leżał przez cały czas, czekając na odpowiedź. Czułem trwałe wyrzuty sumienia, zdawałem sobie w pełni sprawę z mojej winy, nie mogłem się jednak zdobyć na to, by pisać. Żadnego listu osobistego nie napisałem od dwóch miesięcy. Pierwszy list po tak długiej przerwie skieruję do Pani.

Rzadko kiedy wracam do przeszłości. Nie chcę.

Przeżyliśmy razem bardzo ciężki okres. Nie zachowałem o sobie najlepszego wspomnienia z tego okresu. Może się zachowałem niezupełnie źle, ale źle jednak. Obóz przerobił mnie mocno. Przewartościował zupełnie wielkości. Wątpię, czy mógłbym się dziś w tych samych warunkach tak samo zachować. Ale, kto wie?

Zewnętrznie – pracuję bardzo efektywnie, jestem wesoły, zdenerwowany – równocześnie.

To wszystko nieważne. Co jest ważne?...

Co z Panią? Nic o Pani nie wiem. Ponieważ nie umie Pani pisać o sobie, więc zadaję kilka pytań, na które ma mi Pani odpowiedzieć.

Jaki stan studiów? Czy jest Pani asystentką, jak do mnie doszły wieści? Jak Pani żyje? Z czego się utrzymuje (jak zwykle pewnie, żyje Pani chlebem, wodą i powietrzem, by resztę życia poświęcić dla złud. W gruncie rzeczy istnieją tylko złudy). Co Pani czyta? A najważniejsze, proszę coś napisać o sobie, gdyż te wszystkie pytania są czysto zewnętrzne, nie dotyczą one człowieka.

Proszę mi odpisać.

Życzę Pani życia pełnego złud, długotrwałych, nigdy nieprzerwanych. Bardzo gorąco, i to bardzo, Panią pozdrawiam^a.

PS Niedawno wpadły mi do ręki książki ulubionego Pani pisarza, Romain Rollanda¹. Odłożyłem z niesmakiem nawet *Colas Breugnona*². Fałsz.

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ Romain Rolland (1866–1944) – pisarz francuski, laureat literackiej Nagrody Nobla w roku 1915. Działacz na rzecz pokoju na świecie.

² Powieść Romain Rollanda z roku 1919, prezentująca pacyfistyczne relacje międzyludzkie.

Nr 33

1949 styczeń 12, Wrocław – Marceli Stark do Heleny Lapter. Porady wobec złego samopoczucia adresatki

Zaskoczył i zmartwił mnie ostatni list Pani. Czy nie może Pani odzyskać na nowo po wojnie równowagę? List Pani świadczy o straszliwej samotności, a co najważniejsze, braku celu czy też poważniejszego zainteresowania.

Pozwalam sobie wobec tego zapytać: Jaki jest stan studiów Pani? Wszak praca nauczycielska ma te elementy, które są Pani potrzebne, a w pracy tej znajdzie Pani zadowolenie. Znając Panią, wiem, że śmiało mogę przyganić, że jeszcze Pani [studiów] nie ukończyła. Niechże Pani, na miłość boską, pozdaje jak najprędzej egzamina, byle jak, byle się pozbyć uniwersytetu. Dla jednych celem studiów jest matematyka, sama dla siebie, dla innych jest to droga konieczna do uzyskania możliwości nauczania w szkolnictwie. Tu najważniejsze są nie wielkie wiadomości matematyczne, ale podejście do ucznia. Wiem, że miejsce Pani w szkolnictwie. Zapomniała Pani o tym zupełnie, gubiąc się w egzaminach i uzyskiwanych notach. Musi Pani w najkrótszym czasie pozdawać egzamina i skończyć z tym stanem, który nie wiem dlaczego, przeciąga Pani od blisko 10 lat. Nie czas teraz na sprawy osobiste. Pochłonie Panią życie szkolne, niezmiernie ciekawe, staną przed Panią nowe problemy, nie będzie Pani miała czasu dla siebie. A to jest norma życiowa. Wtedy wypełnia się pustka. Nie wolno mieć wolnego czasu, a ma go Pani za dużo, co świadczy o wadliwym ułożeniu sobie życia. Proszę się nie troszczyć o to, co [inni] pomyślą. Powtarzam raz jeszcze: pozdawać egzaminy byle jak.

Nie umiem pisać serdecznie. Jestem człowiekiem dość oschłym dla siebie i innych. Chciałbym umieć inaczej napisać, by Pani przypomnieć w imię tylu cierpień, które przeszliśmy wspólnie i osobno, w imię wielu przyjaciół, których każdy z nas potracił, że nie wolno nam teraz przebiegać obojętnie obok tego, co się u nas dzieje. Nie mamy do tego prawa. Musimy się mobilizować, w tej lub innej formie budować. Jest to walka, albo zbuduje się nowy świat, albo wróci stary, z inną formą mordy, nędzy i rzezi. Czy ma Pani prawo do tego dopuścić?

Niech Pani się weźmie do pracy społecznej, spokojnie, bez zbytniego entuzjazmu, pracując wytrwale, codziennie, robiąc rzeczy nudne, ale bez ustanku, tak by po roku móc spojrzeć za siebie i ujrzyć zbudowany przez siebie dorobek.

List mój wygląda wprawdzie na moralizatorski, proszę jednak wziąć go szczerze pod uwagę. Są w nim bardzo zdrowe rady. Przede wszystkim wyrwać się z obecnego impasu.

Serdecznie Panią pozdrawiam^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

Wrocław, 12 stycznia 1949 roku.

Droga Pani!

Zaskoczył i zmartwił mnie ostatni list Pani. Czy nie może Pani uzyskać na nowo po wojnie równowagę? List Pani świadczy o straszliwej samotności, a co najważniejsze brakiem celu czy też poważniejszego zainteresowania.

Pozwalam sobie wobec tego zapytać: Jaki jest stan studiów Pani? Wszak praca nauczycielska ma te elementy, które są Pani potrzebne, w pracy tej znajdzie Pani zadowolenie. Znając Panią, wiem, że śmiało mogę przyganić, że jeszcze Pani nie ukończyła. Niechżeż Pani, na miłość boską, pozdaje jak najprędzej egzamina, byle jak, byle się pozbyć uniwersytetu. Dla jednych celem ~~xxx~~ studiów jest matematyka, sama dla siebie, dla innych jest to droga konieczna do uzyskania możliwości nauczania w szkolnictwie. Tu najważniejszym jest nie wielkie wiadomości matematyczne, lecz podejście do ucznia. Wiem, że miejsce Pani w szkolnictwie. apomni~~az~~ Pani o tym zupełnie, gubią się w egzaminach i w uzyskiwanych notach. Musi Pani w najkrótszym czasie pozdawać egzamina i skończyć z tym stanem, który nie wiem dlaczego, przeciąga Pani od blisko 10 lat. Nie czas teraz na sprawy osobiste. Pochłonie Panią życie szkolne, niezmiernie ciężkie, staną przed Panią nowe problemy, nie będzie Pani miała czasu dla siebie. A to jest norma życiowa. Wtedy wypełnia się pustka. Nie wolno mieć wolny czas, a ma go Pani za dużo, co świadczy o wadliwym ułożeniu sobie życia. Proszę się nie troszczyć o to co pomyśla. Powtarzam raz jeszcze: pozdawać egzamina byle jak.

Nie umiem pisać serdecznie. Jestem człowiekiem dość oschłym dla siebie i innych. Chciałbym umieć inaczej napisać, by Pani przypomnieć w imię tylu cierpień, które przeszliśmy wspólnie i osobno, w imię wielu przyjaciół, których każdy z nas potracił, że nie wolno nam teraz przebiegać obojętnie obok tego co się nas dzieje. Nie mamy do tego prawa. Musimy się mobilizować, w tej lub innej formie budować. Jest to walka, albo zbuduje się nowy świat albo wróci stary, z inną formą mordu, nędzy i rzezi. Czy ma Pani prawo do tego dopuścić?

Niech Pani się wźmie do pracy społecznej, spokojnie, bez zbytniego entuzjazmu, pracując wytrwale, codziennie, robiąc rzeczy nudne, ale bez ustanku, tak, by móc po roku spojrzeć za siebie i ujrzeć zbudowany przez siebie dorobek.

List mój wygląda wprawdzie na moralizatorski, proszę jednak wziąć go szczerze pod uwagę. Są w nim bardzo zdrowe rady. Przede wszystkim wyrwać się z obecnego impasu.

Serdecznie Panią pozdrawiam

VI. Korespondencja z Miriam Sternbach-Reiss

Nr 34

1948 kwiecień 20, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Sternbach-Reiss – siostry lwowskiego przyjaciela, Ludwika Sternbacha. *Wojenne losy rodziny adresatki*

Szanowna Pani!

Po otrzymaniu od prof. Mazura adresu Pani pozwalałam sobie opisać bardzo krótko to, co jest mi wiadomo o losie Pani rodziców i brata¹. W okresie niemieckim zbliżyliśmy się do siebie bardzo mocno i stąd moje wiadomości. Nie wiem, czy powinienem o tem pisać, zdając sobie sprawę, jak to bolesne sprawy.

Po zajęciu Lwowa przez Niemców Ojciec² zaprzestał wychodzenia na ulicę; nie czynił tego – i słusznie – bez konieczności. Podobnie brat. Nie był to okres, gdy można było bezpiecznie, z białą opaską³ poruszać się po ulicach Lwowa. Z końcem sierpnia mieszkanie zostało zajęte przez Niemców. Rodzice przeprowadzili się na ulicę Jachowicza, brat z żoną do domku na przedmieściu, przy ulicy Biernatówka na Zamarstynowie. Rodzice mieli podnajęty pokój w jakimś mieszkaniu, brat osobny pokój, małą izdebkę. Biblioteka Ojca przepadła natychmiast, gdyż skonfiskowali ją Niemcy. Zdołał z trudem zabrać zaledwie po jednym egzemplarzu swoich przekładów Catulla⁴, Martiała⁵ i Tibulla⁶ lub Propertiusa⁷. Mieszkając w tym czasie niedaleko Ojca, zachodziłem do niego od czasu do czasu, gdy nie byłem zbyt przemęczony straszliwą pracą lub zdobywaniem najelementarniejszych środków żywności.

Był na zewnątrz dość opanowany, dręczył go jednak okropny strach, podsycany przez otoczenie. Nie mógł zrozumieć otaczającej go potworności, rzezi i mordów. Nie zdawaliśmy sobie jeszcze wówczas w pełni sprawy z naszej sytuacji.

Brat z żoną byli zupełnie opanowani. Urządzili się na Biernatówce, sądząc z początku, że to koniec tułaczki, myśląc o przetrwaniu tam do końca wojny. Ponieważ brat znał dobrze język niemiecki i miał znajomości, dostał pracę w prywatnej firmie niemieckiej (przemysł cegielniany). Zwalniało to od obowiązku pracy fizycznej. Nie miał, niestety w tym okresie dość odwagi, by mimo możliwości i mych usilnych rad, uciec wraz z żoną na aryjskich papierach ze Lwowa. Z końcem listopada kolega nasz, doc. Herman Auerbach⁸ (matematyk), został pozbawiony dachu nad głową. Brat z żoną zaprosili go na zamieszkanie u nich. W ciasnej izdebce, 9 metrów kwadratowych, z których dwa zajmowała kuchnia, mieszkali, nie mogąc się swobodnie poruszać. Byli jednak, na szczęście, materialnie dość dobrze sytuowani, tak że głodu nie cierpieli (dobrą sytuację nazywało

¹ Ludwik Sternbach – brat adresatki i przyjaciel Marcelego Starka. Zob. przypis nr 47 we „Wstępie”.

² Herman Sternbach – tłumacz łacińskich utworów klasycznych na niemiecki.

³ Była to biała opaska z niebieską gwiazdą, oznaczająca, że osoba ją nosząca jest Żydem.

⁴ Gaius Valerius Catullus – poeta rzymski żyjący w I wieku p.n.e.

⁵ Marcus Valerius Martialis – łaciński poeta z terenów dzisiejszej Hiszpanii, żył w I wieku n.e.

⁶ Albius Tibullus – poeta rzymski, żyjący w I w. p.n.e.

⁷ Sextus Aurelius Propertius – poeta rzymski, żyjący w I w. p.n.e.

⁸ Zob. przypis nr 52 we „Wstępie”.

się, gdy było się w stanie zjeść codziennie do 40 dkg chleba i zupe). Wystarał się dla Auerbacha o pracę, dającą w tym okresie jakie takie zabezpieczenie przed okrucieństwami niemieckimi. Zajął się nim i zaopiekował z właściwą bratu szlachetnością.

W tym okresie zacząłem przeżywać straszliwy głód. Pozostała mi głęboka wdzięczność w stosunku do brata za jego stosunek do mnie i pomoc trwale okazywaną. Zbliżyliśmy się w tym właśnie okresie, widując się niemal codziennie; niedziele spędzaliśmy zwykle przez cały dzień prawie. Brat czytał w wolnych chwilach Perrona⁹ *Algebra* oraz niektóre ze swych ulubionych książek, które zdołał uratować. Nie trwało to długo. Zdało mi się, że 12 stycznia 1942 r. „przez przypadek” dostał się do piekielnego obozu jawnowskiego. Dzięki znajomości języka niemieckiego i elektrotechniki pracował tam jako elektrotechnik samochodowy. Przez to nie był narażony na okrucieństwa obozowe; należał do fachowców, których Niemcy traktowali dobrze, oczywiście jak na stosunki obozowe. Okropnie jednak przeżywał mordy, których był codziennym świadkiem. Strasznie odczuli to rodzice. Do troski o Panią dołączył się teraz stały strach i obawa o życie Ludwika. Żona czyniła bohaterskie starania o wydostanie go. Nie udawało się. W obozie tym panował głód, od którego ludzie padali jak muchy. Ludwik jednak, dzięki żonie, która poświęciła temu dosłownie cały czas i każdą myśl, otrzymywał drogą nielegalną (przekupienie Ukraińców pilnujących obozu) paczki z domu. Udało mu się nawet, gdy ich prowadzono do kąpieli przy ul. Szpitalnej, raz oderwać od eskorty (znów przekupienie) i widzieć z rodzicami w ich domu przy ul. Jachowicza. Jak mi opowiadała żona, zjadł wówczas po raz pierwszy od trzech miesięcy ciepłą strawę. W ten sposób minęła zima i wiosna. Z końcem maja lub początkiem czerwca udało się żonie wydobyć go z obozu jako chorego na tyfus do szpitala epidemiologicznego, potem go zupełnie zwolnić (kosztowało to ogromne sumy i wymagało niesłychanego sprytu i zachodów). Wrócił w połowie czerwca na Biernatówkę. Nadal nie mógł się zdecydować na opuszczenie nielegalne Lwowa, mimo świetnych warunków zewnętrznych¹⁰.

Po wyjściu z obozu brat z żoną powzięli postanowienie popełnienia samobójstwa w razie powtórnego dostania się do obozu lub konieczności rozłąki wskutek schwytania przez Niemców. Zaopatrzyli się w 40 tabletek weronalu na osobę (każdy z nas chodził wówczas z trucizną). Po wyjściu z obozu brat przebywał stale w domu (miał wówczas na razie chroniącą pracę w tzw. Jüdische Sozialhilfe¹¹). Przeżyliśmy lipiec. Z końcem tego miesiąca rozeszła się wieść, że zanoszą się na okropność, jakiej dotychczas nie było. Dochodziły wiadomości z Warszawy o otoczeniu getta i wywożeniu Żydów. Niemcy zaczęły stemplować zaświadczenia pracy. Stemple te były wydawane tylko nielicznym. Wzdrygam się, myśląc o tych dniach. Nie wiem, dlaczego zdałem sobie sprawę, że Niemcy chcą wymordować wszystkich Żydów. Myśl taka nie była jednak rozpowszechniona, tak dalece, że nie usłyszałem takiego przypuszczenia od nikogo. Kilkakrotnie w ten sposób trafnie oceniłem sytuację, dzięki czemu żyję.

Namówiłem brata do szukania schronienia. W dowcipny sposób zbudował skrytkę w swym domu, nie miał do niej jednak zaufania. Kierował się myślą, że Niemcy, którzy

⁹ Oskar Perron (1880–1975) – matematyk niemiecki.

¹⁰ Chodzi o tzw. „dobry wygląd”, czyli brak semickich rysów.

¹¹ Jüdische Sozialhilfe (Żydowska Samopomoc Społeczna) – charytatywna instytucja żydowska działająca od roku 1940 na terenach polskich okupowanych przez Niemców. Na jej czele stał dr Michał Weichert. Po wojnie oskarżany o kolaborację, ostatecznie oczyszczony z zarzutów.

panicznie się obawiali tyfusu, nie ruszą szpitala epidemicznego. Tak było przy poprzednich wysiedleniach. Udało mu się ulokować Auerbacha, jako chorego na tyfus, w szpitalu, oni zaś sami, dzięki protekcji, zostali przyjęci jako pielęgniarze. Mieli się tam udać w niedzielę 9 sierpnia. Zapomniałem dodać, że już od miesiąca mieszkalem w sieni domku na Biernatówce, razem z nimi. Poruszanie się było już w tym dniu niebezpieczne, gdyż Niemcy zaczęli częściowo wyłapywać, obstawili dzielnice i nie przepuszczali. Ponieważ był to dzień urodzin mej matki, a znałem bardzo dobrze okolicę, przedarłem się do innej dzielnicy dla zobaczenia z matką i przy okazji widziałem rodziców. Byli strasznie niespokojni o Ludwika. Byłem krótko, matka przesłała pozdrowienia dla Ludwika i żony oraz zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa sytuacji, pożegnała się przeze mnie z nim.

W niedzielę tegoż dnia przenieśli się do szpitala. Strasznie się czułem samotnie, sam bez żadnego schronu, gdyż pod wpływem Ludwika straciłem zaufanie do skrytki.

W poniedziałek rozpoczęła się „akcja”. „Akcja” odbywała się dzielnicami. W okolicach, w których się odbywała, była gęsta strzelanina. Po tym poznawało się zbliżanie się Niemców. Odbywała się ona w całym Lwowie. W momentach ciszy, gdy strzały były w innych dzielnicach miasta, można było ryzykować wyjście, zwłaszcza w okolicach Biernatówki, gdzie można było łakami i mokradłami przekradać się.

We wtorek straciłem matkę. Dowiedziałem się o tem we środę. Gdy przekradłem się z powrotem na Biernatówkę, przyszedli również Ludwikowie. Długo wstrzymywałem się, i w końcu nie mogąc się pohamować, wybuchłem płaczem. Nie zapomnę nigdy braterskiego pocałunku Ludwika, bez słowa.

Ostatni raz widziałem Ludwika w sobotę lub w niedzielę 16 sierpnia. Było spokojnie, ugotowałem nieco stawy i zaniósłem im do szpitala. Zastałem wszystkie drzwi opieczutowane. Jakaś kobieta (Polka), widząc mnie, krzyknęła: „Na miłość boską, uciekaj pan, przed chwilą skończyli Niemcy wywozić wszystkich ze szpitala”.

Szpital zawiódł, skrytka nie. Niestety, tylko ja z naszej czwórki zostałem ocalony.

Natychmiast wróciłem i przez chłopca, który miał ostemplowaną *Arbeitskarte*¹², zawiadomiłem dr. Jacoba¹³ pracującego w Żydowskim *arbeitsamcie*¹⁴, naszego kolegę, o zabraniu Ludwika z żoną i Auerbacha. Zadzwoił on z miejsca na milicję ukraińską, gdzie pracował nasz dawny student, Hawryłyszyn¹⁵, z prośbą o ratowanie ich. Ten natychmiast pojechał na stację kleparowską, dokąd ich zawieziono. Przywiózł wiadomość, że Auerbacha z miejsca załadowano do wagonu i wywieziono do gazowni z Bełżcu, brat zaś – na szczęście – popełnił samobójstwo z żoną. Zażyli weronału, według mego przypuszczenia. Zaniesiono ich już nieprzytomnych ze szpitala. Zaoszczędzili sobie strasznych tortur gazowania.

Nie piszę więcej. Uciekłem po zakończeniu „akcji” ze Lwowa, dostałem się do obozu w Majdanku, stamtąd do innych, aż zostałem uwolniony przez armię amerykańską w Niemczech.

Po skończeniu „akcji” udałem się do mieszkania rodziców, chcąc zabrać na pamiątkę książki Ojca, lecz mieszkali tam już obcy ludzie, którzy mnie brutalnie wypędzili.

¹² *Arbeitskarte* (niem.) – karta pracy.

¹³ Brak bliższych danych.

¹⁴ *Arbeitsamt* (niem.) – Urząd Pracy.

¹⁵ Brak bliższych danych.

Będąc już we Wrocławiu, kupiłem przekład Ojca liryk Catulla. Jeśli Pani na tem zależy, to mógłbym tom ten przesłać. Dziwnym przypadkiem uratował się również z biblioteki Ojca *Ulisses* Joyce'a w przekładzie niemieckim, dwa tomy. Trudno mi go będzie jednak posłać, gdyż każdy tom waży ponad 50 kg, a wysyłanie przesyłek ponad 50 kg zagranicę jest niezwykle utrudnione. Przy najbliższej sposobności prześlę. Przed ucieczką ze Lwowa oddałem w przechowanie fotografię brata, która się uratowała. O ile Pani nie posiada zdjęcia brata, dam zrobić kopię i oryginał Pani prześlę.

Proszę wybaczyć wszelkie błędy stylistyczne i inne tego listu. List taki nie może być jednak pisany spokojnie. Nie jestem jeszcze po tych przejściach zrównoważony nerwowo. Kilka razy musiałem przerywać pisanie z powodu wzruszenia.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku^a

Źródło: *Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 2.*

Wrocław, 20 kwietnia 1948 r.

Szanowna Pani!

Po otrzymaniu od prof. Mazura adresu Pani pozwalam sobie opisać Pani bardzo krótko, toco mi jest wiadomo o losie Pani rodziców i brata. W okresie niemieckim zbliżyliśmy się do siebie bardzo mocno i stąd moje wiadomości. Nie wiem, czy powinienem o tem pisać, zdając sobie sprawę jak to bolesne sprawy.

Po zajęciu Lwowa przez Niemców ojciec zaprzestał wychodzenia na ulicę; nie czynił tego – i stuszenie – bez konieczności. Podobnie brat. Nie był to okres gdy można było bezpiecznie, ~~z~~ z białą opaską, poruszać się po ulicach Lwowa. Z końcem sierpnia mieszkanie zostało zajęte przez Niemców. Rodzice przeprowadzili się, na ulicę Jachowicza, brat z żoną do domku na przedmieściu, przy ul. Biernatówka na Zamagstynowie. Rodzice mieli podnajęty pokój w jakimś mieszkaniu, brat osobny pokój, mała izdebka. Biblioteka ojca przepadła natychmiast, gdyż skonfiskowali ją Niemcy. Zdołał z trudem zabrać zaledwie po jednym egzemplarzu swych przekładów Catulla, Martiala i Tibulla lub Propertiusa. Mieszkaliśmy w tym czasie niedaleko ojca, zachodziłem do niego od czasu do czasu, gdy nie byłem zbyt przemęczony straszną pracą lub zdobywaniem najelementarniejszych środków żywności. Był na zewnątrz dość opanowany, dręczył go jednak okropny strach, podsycony przez łaczenie. Nie mógł zrozumieć otaczającej go potworności, rzezi i mordów. Nie zdawaliśmy sobie jeszcze wówczas w pełni sprawy z naszej sytuacji.

Brat z żoną byli zupełnie opanowani. Urządzili się na Biernatówce, sądząc z początku, że to koniec tułaczki, myśląc o przetrwaniu tam do końca wojny. Ponieważ brat znał dobrze język niemiecki i miał znajomości dostał pracę w prywatnej firmie niemieckiej (przemysł ceglarniany). Zwalniało to od obowiązku pracy fizycznej. Nie miał, niestety, w tym okresie dość odwagi, by mimo możliwości i mych usilnych rad, uciec wraz z żoną na aryjskich papierach ze Lwowa. Z końcem listopada kolega nasz, doc. Herman Auerbach (matematyk) został pozbawiony dachu nad głową. Brat z żoną zaprosili go na zamieszkanie u nich. W ciasnej izdebce, 9 metrów kwadratowych, z których 2 zajmowała kuchnia, mieszkali, nie mogąc się swobodnie poruszać. Byli jednak na szczęście, materialnie dość dobrze sytuowani, tak, że głodu nie cierpieli (dobrą sytuacją materialną nazywało się gdy było się w stanie zjeść codziennie do 40 kg chleba i zupy). Wystarał się dla Auerbacha o pracę, dającą w tym okresie jakie takie zabezpieczenie przed okrucieństwami niemieckimi. Zajął się nim i zaopiekował z właściwą bratu szlachetnością.

W tym okresie zaczęłam przeżywać straszliwy głód. Pozostała mi głęboka wdzięczność w stosunku do brata, za jego stosunek do mnie i pomoc trwale kazywaną. Zbliżyliśmy się w tym właśnie okresie, widując się niemal codziennie; niedziele spędzaliśmy zwykle przez cały dzień razem. Brat szukał

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

Nr 35

1948 maj 29, Londyn – Miriam Reiss do Marcellego Starka z podziękowaniem za list oraz informacjami na temat przeżyć wojennych i obecnych

Drogi Panie Doktorze,

Dziś dopiero odpiszę Panu na Pański list. Ile razy zaczynałam pisać, tyle razy nie mogłam skończyć. Wszystko, co pisałam, zdawało mi się błahe i puste i bez sensu. Nie mogę też więcej napisać, jak tylko Panu z głębi serca podziękować za wszystko. Ciągłe wracam myślą do tych, których straciłam i wydaje mi się, że niepotrzebnie i niesprawiedliwie się stało, że ja właśnie żyję. A potem życie przychodzi, i wraca się do tysiąca drobniagów dnia i wie Pan, że jest tak, jakby się zapominało. Właściwie życie nabrało dwa różne aspekty, jakby dwie perspektywy: jedną tę z nastawieniem „po co” i „że nie ma celu”, a druga taka na odległość najbliższą „bo przecież się żyje”. Nie wiem, czy Pan wie, że ocalała też moja siostra, która miała dość energii i sprytu, aby uciec do W[arsza]wy na aryjskich papierach. Ze Lwowa musiała wyjechać, bo często zamieniano ją ze mną, ze względu na duże podobieństwo. Skontaktowałyśmy się w 1946 [r.] na wiosnę, potem w lecie przyjechała do mnie do Włoch. Potem wróciła do Niemiec, gdzie wyszła za mąż za dalekiego naszego powinowatego, który ocalał w Dachau, i razem wyjechać mają do USA. Ubiegłej zimy byłam u nich na czterotygodniowym urlopie. Niektóre rzeczy ona знаła z opowiadania innych, ale często właściwie nie mogliśmy o tych rzeczach mówić.

Przyniosła mi ona kilka fotografii, dość przypadkowo dobranych. Wisia¹ fotografię dostałam od dr. Birnbauma². Często myślę, bo często wraca się do tego „gdyby”, jak dobrze by było, gdyby ich wtedy³ wywieźli do Rosji. Przecież to była idylla w porównaniu z tem, co tam w tym piekle się przeżywało.

Potem myślę o ironii tragicznej losu mego Ojca⁴. Tak kochał i tak bliskim był mu język niemiecki, który ja nienawidzę, który chciałabym zapomnieć i znieść z powierzchni ziemi. I właśnie tym językiem Tatusz do mnie przemawiać ma ze swoich ukochanych tłumaczeń.

W Monachium odnalazłam syna wydawcy Ojca klasycznych tłumaczeń. Dał mi tłumaczenia Propercjusza. Za Catulla byłabym Panu bardzo wdzięczna. Ponieważ jestem bezdzietna, myślę, że przekażę je z czasem do uniwersytetu żyd[owskiego] w Palestynie.

Jakie zdjęcia Wisia Pan ma? Ja mam to z Alinką Manelską⁵ i z pp. Ghelbami⁶ i Józią⁷. Ocalały też listy Tatusia pisane do Józefa Pontèna⁸. Siostra odnalazła panią Pontèn i ta była już bardzo chora wtedy i w testamencie poleciła skontaktować się swej przyjaciółce z moją siostrą. Ponieważ teraz Pontènowi robią specjalne muzeum, zwrócono się

¹ Chodzi o brata, Ludwika Sternbacha.

² Brak bliższych danych.

³ To znaczy w latach 1940–1941.

⁴ Zob. przypis nr 2 w liście nr 34.

⁵ Brak bliższych danych.

⁶ Brak bliższych danych.

⁷ Brak bliższych danych. Z korespondencji wynika, że może być to żona Ludwika Sternbacha; zob. list nr 36.

⁸ Józef Ponthen (1883–1940) – niemiecki powieściopisarz, nowelista.

do siostry z prośbą o pozwolenie zatrzymania listów Ojca do niego dla owego muzeum. Zgodziłyśmy się z uczuciem mieszanym. Ale jednak byłoby to po myśli Ojca, aby listy jego tam były. Nam dano tylko w bardziej prywatnym charakterze kartki.

Po tym wszystkim, co było, nie mogę się otrząsnąć z myśli, że w każdym z nas pewnie siedzi taka bestia, bo przecież dlaczego tylko w nich⁹? Ciągłe nie mogę tego wszystkiego zrozumieć i właściwie po tym wszystkim zostaliśmy tylko my, których serce fizycznie boli na myśl o tym, co było, a inni zapominają, czy już zapomnieli, a w gruncie rzeczy mało ich to obchodzi.

Mam wyrzuty sumienia często, bo Rodzice przecież w 1939 roku mnie prosili o truzicnę. Nie dałam im wtedy. Byłam za słaba, aby wziąć na siebie problematyczną odpowiedzialność ich samobójstwa. Ale fantazja moja nie dopuszczała tych możliwości po-twornych, jakie przyszły.

Ponieważ pewnie Pan zna mnie z opowiadania, więc podam Panu kilka szczegółów o mnie. Od lata 1942 [r.] służyłam w wojsku w szpitalu wojennym, w którym byłam w Persji, Iraku, Palestynie, Egipcie, Włoszech, w końcu w Anglii¹⁰. Męża mego straciłam w 1941 w zimie na dalekiej północy. W 1946 r. wyszłam za mąż powtórnie za kolegę starszego mego syna, prof. dr. Reissa ze Lwowa, który był profesorem okulistyki.

Teraz pracujemy oboje tutaj, właściwie przygotowując się do pracy w tym kraju. Nie zdecydowaliśmy się na powrót do Polski, bo ani on, ani ja nikogo bliskiego tam nie mamy, ani nawet cmentarza, gdzie nasi leżą.

Napisałam ten list, zdaje mi się on zupełnie lekki, ale wiem, że Pan mnie zrozumie. Byłabym Panu wdzięczna, jakby Pan ze mną kontakt utrzymał. Proszę też mi napisać, czy czegoś Panu nie potrzeba, może z lekarstw, bo pewnie po tem wszystkim zdrowie ma Pan nadwężzone. Chętnie Panu pošlę.

Bardzo Panu dziękuję za list i za wszystko.
Miriam Reiss

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.

⁹ To jest w Niemczech.

¹⁰ Jak wskazuje na to kontekst, autorka przebywała w czasie wojny w ZSRS, skąd wydostała się wraz z Armią Andersa.

Nr 36

1948 lipiec 6, Wrocław – List Marcelego Starka do Miriam Reiss na temat losów jej brata, Ludwika Sternbacha, oraz własnych przeżyć wojennych i stosunku otoczenia do Żydów

Droga Pani!

Sprawiły mi dużą przyjemność oba listy Pani. Wyraża w nich Pani chęć rewanżu – za co? Czy mogę ja zrewanżować się rodzinie mych przyjaciół, którzy mi ocalili życie – co może jest mniej ważne – którzy w ciężkich momentach, w okresie gdy byliśmy ze wszystkich stron szczuci i bez uzasadnienia pogardzani, stwarzali atmosferę humanizmu, godności, niesprzeniewierzenia się zasadom, ludzkiego stosunku do bliźnich? Było to dziełem Wisia. Męczył się on moralnie okropnie, odczuwając żywiej niż ja to, co się działo dookoła. Byłem silniejszy, ale nie brakiem wrażliwości, lecz już na długie lata przed wojną obserwowałem społeczeństwo nie na podstawie urojonego, wytworzonego przez książki obrazu, poprzez mieszczański światopogląd. Pracowałem na wiele lat przed wojną wśród proletariatu lwowskiego; ta brutalność policji i rządzących, tortury, a nawet i mordy były mi już przed wojną znane. Byłem więc częściowo immunizowany przed załamaniem, gdy nastąpiła okropność, która przewyższyła mordy rzymskie. Zewnętrznie Wisio zachowywał spokój, rzucał od czasu do czasu słówko, które świadczyło jednak o jego straszliwym wzburzeniu. Nie odstępował jednak nigdy od swoich zasad.

Jednym z jego zdań kieruję się do dnia dzisiejszego: w czasie rozmowy, gdy Auerbach w podnieceniu powiedział, że po wojnie trzeba będzie Niemców mordować w ten sam sposób, Wisio w spokoju odparł: „Stosować tego rodzaju metody nawet do przeciwnika, znaczy spaść do jego poziomu”. Jasny i przemyślany humanizm, wypływający nie z narzuconych sobie zasad, lecz będący jego najgłębszą istotą, oto jego charakterystyczna cecha. Był niezdolny do kłamstwa, tak dalece, że mając możliwości ucieczki, przy doskonałych warunkach zewnętrznych i schronienia się na papierach aryjskich, nie chciał z tego skorzystać. Wolał z pełną świadomością przygotowywać się do śmierci, zaopatrzyć się w weronał. Rodzice Pani byli też w posiadaniu dostatecznej dawki weronału lub nawet cyjanku potasu. Piszę o takich rzeczach, chociaż być może nie powinienem, lecz było to wówczas rzeczą normalną; częstym tematem rozmów było, jaki środek jest najlepszy do popełnienia samobójstwa, każdy z nas [coś] posiadał, handel truciznami kwitł, naturalnie z towarzyszącymi oszustwami. Mieszkiałem bezpośrednio przed „akcją” w lecie 1942 roku, będąc bezdomnym, w przedsiönku domku, w którym mieszkali Ludwikowie. Była to oaza. Często rozmawialiśmy o matematyce, Wisio studiował algebrę, której do tego czasu nie znał. Pani Józia, najpraktyczniejsza z nas wszystkich, czytywała z Wisiem wiersze; co najdziwniejsze, były to najczęściej wiersze niemieckie.

Może Pani ulgę przyniesie świadomość, że Wisio nigdy nie zaznał cierpień fizycznych. W obozie nie przeszedł właściwego głodu dzięki pani Józi, nie zaznał bicia. Cierpienia jego były wyłącznie natury moralnej.

A było tego bardzo dużo. Pomimo że upokorzenie było straszliwe, że zapomnieć go nigdy nie można, szczytem jednak była zupełna bezbronność w momentach znęcania

się i bicia. Niestety, jeśli idzie o męczarnie fizyczne, to wydaje mi się, że przeszedłem maksimum tego, co można znieść. Jeśli przetrzymałem głód wielu lat (zdarzało mi się nie jeść po cztery do pięciu dni), ciężką pracę fizyczną, bicie i ponieważ i wyszedłem z tego prawie że zdrowy, to tylko dzięki niesłychanej kondycji fizycznej. Jak długo żył Wisio, to robił wszystko, co było w jego mocy, by mi ulżyć.

Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że być może nazwisko moje jest Pani zupełnie obce, gdyż zbliżyłem się z Wisiem już po Pani wyjeździe ze Lwowa. Z końcem 1940 roku powzięliśmy zamiar wspólnego wydania nowoczesnego zbioru zadań z analizy; niezwłocznie wzięliśmy się do opracowania materiału. Pracowaliśmy do nieszczęsnego czerwca 1942 roku. Materiały te zdołałem ocalić, przechowałem u Mazura, po skończeniu mej obecnej pracy mam zamiar kontynuować. To, co zebraliśmy, stanowi tylko małą część tego, co należy jeszcze umieścić. Wydam oczywiście pod wspólnym nazwiskiem, tak że pamięć brata zostanie utrwalona. Obecnie ma zostać wydania *Księga Pamiątkowa* ku czci matematyków polskich zmarłych w czasie wojny. Żałuję, że każdemu matematykowi można w niej poświęcić tak mało miejsca. Mam tam opracować życiorysy i zestawić wyniki Wisia.

Jeśli idzie o Michała Littmana, to nazwisko jego nie jest mi znane. Może będzie o nim wiedzieć coś bliższego matka pani Józ, z którą mam się po raz pierwszy zobaczyć w najbliższą niedzielę. Na każdy wypadek pozwalam sobie podać jej obecne nazwisko i adres: Maria Owsienka, Wałbrzych [...]¹.

Od dwóch lat mieszkam i pracuję we Wrocławiu. Dzięki swej pracowitości i zdolnościom organizacyjnym cieszę się dużym szacunkiem wśród profesorów i studentów, śmiem nawet powiedzieć, że jestem przez studentów lubiany. Mimo to nie mogę się wyzbyć uczucia obcości, pozostającego od lat wojny, z czasów gdy byłem parszywcem. Mało pomocy nam okazywano. Staliśmy się łupem najgorszej szumowiny, która pod egidą niemiecką usiłowała się na nas w szybkim tempie dorobić majątku. Niemcy celowo rozbudzali w stosunku do nas jak największą chciwość, legendy o rzekomych bogactwach, zezwalali – patrząc przez palce, na łupienie. Ten sam element, który terroryzował całe zdrowe społeczeństwo, wyżywał się na nas. Pomoc, jeśli przychodziła, to zwykle ze strony najmniej oczekiwanej, od ludzi, od których, sądząc po ich poglądach, spodziewać się tego nie można było. Ludzie niemal zupełnie nieznani zjawiali się, przynosząc pomoc, podczas gdy najbliżsi znajomi, przyjaciele, współpracownicy udawali, że nie poznają. Nastąpiło wtedy zupełne przewartościowanie człowieka. Znikł kult dla intelektu. Dziś dla mnie intelekt jest elementem drugorzędny.

Widziałem ludzi o wysokiej inteligencji i wykształceniu, zezwierzęconych. Zdolnych lekarzy, którzy byli w obozach niemieckimi pomocnikami; na własną rękę, bez nakazu bili i przeprowadzali selekcję do gazowania lub zastrzyków benzyny. Widziałem księdza, który okradał współtowarzyszy przy podziale. Byli jednak też lekarze, którzy uratowali życie co najmniej tysiącom. Znałem księdza, który zachowywał się jak święty. Widziałem złodziei, sprytnych oszustów, zużywających w obozie swój spryt na pomoc dla współwięźniów. Przede wszystkim nauczyłem się jednak cenić człowieka. Co najdziwniejsze, dziś po tych wszystkich przejściach jestem bardziej zahartowany moralnie i czuję się znacznie silniejszy niż z początkiem wojny.

¹ Zob. przypis nr 1 do listu nr 7.

Po powrocie do kraju zacząłem pisać pamiętniki. Przerwałem je, gdyż nie można po raz drugi przeżywać to samo i zauważyłem, że robi się z tego niedołączna literatura. Pozwalam sobie przesłać Pani niektóre wyjątki. W miarę możliwości, o ile zaciekawia Panią, prześlę dalsze.

Wysłałem dwa tomy *Ulyssesa* Joyce'a. Będą to prawdopodobnie jedyne książki, które pozostały z biblioteki Ojca.

Bardzo dziękuję za chęć wysłania leków. Na razie jednak niczego nie potrzebuję. Jedyna dokuczliwość poobozowa, czyraki, ustąpiły od paru miesięcy. Jeśli można, to prosiłbym jedynie o książkę H[eralda] Cramer[a] *Mathematical methods of statistics*, Princeton University Press². Nie prosiłbym o to, gdyby nie to, że jest to książka bardzo mi potrzebna, a sprowadzenie jej sprawia duże trudności. Bardzo przepraszam za tę prośbę, liczę, że mogę się zrewanżować.

Dałem zrobić kopię fotografii Wisia. Jeśli pokaże się dobra, to prześlę kopię, jeśli nie, to oryginał.

Proszę wybaczyć, że tak długo nie odpisywałem. Jest to koniec roku, okres najgorętszych egzaminów. W tym tygodniu mam około 160 egzaminów ustnych. List ten jednak tworzy pomost między chwilą teraźniejszą a Tymi, za którymi tęsknię, za nieżyjącymi przyjaciółmi. Będąc obecnie zupełnie samotny, tem chętniej się do nich przenoszę, chociażby na tak krótki okres.

Bardzo serdecznie pozdrawiam^a

Źródło: *Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 2.*

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

² Herald Cramer (1893–1985) – matematyk amerykański. Jego książka ukazała się w roku 1946.

1948 wrzesień 16, Londyn – Fragment listu Miriam Reiss do Marcelego Starka. O zamordowanym bracie, górach i stosunku do świata. Zachęta, by kontynuować pisanie pamiętników

Drogi Panie,

Dopiero dziś odpisuję na Pański lipcowy list, ale nie chciałam pisać, zanim nie otrzymam książki, o którą Pan prosił. Ponieważ musiała ją księgarnia sprowadzić z USA, więc dopiero przedwczoraj otrzymałam (zastałam, wróciwszy z Walii) i nadałam razem z listem. Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa, że mogłam ją Panu załatwić. W międzyczasie mieliśmy ciężki okres do odrobienia, bo mąż zdawał specjalistyczny egzamin. Na szczęście poszło mu dobrze i teraz powoli zacznie się rozglądać za odpowiednią pracą.

Ja też do 7 sierpnia miałam *full-time* zajęcie w dzieciennym szpitalu, w którym teraz są ferie. Byliśmy bardzo zmęczeni Londynem, gdyż dojazd do centrum, gdzie są nasze szpitale, podziemną kolejką od nas zabiera 35–40' czasu w jedną stronę i właściwie tylko się wtedy śpi w domu. Potem byliśmy u znajomych na wsi, a przedprzedwczoraj wróciliśmy z dziesięciodniowej włóczędzy po Walii, która pod wieloma względami przypomina Karpaty. Każde zbliżenie do gór to właściwie ciągły powrót do Wisia. On mnie nauczył kochać włóczęgę w górach. Mój mąż Wisia znał i ma dla niego dużo uczucia. Tak że właściwie nie było dnia, abym godzinami mu nie opowiadała, jak to szłam z nim przez Chomiak, Syniach, Dobroszanekę, to przez Żabie i Rafajłową¹. I wie Pan, ból staje się mniej ostry. Nawet opowiadać mogłam o śmiesznych przygodach naszych.

Dziękuję Panu za słowa pociechy, że Wisio nie cierpiał fizycznie, a moralnie. Mnie się zdaje, że jest granica, gdzie to się zaciera, że cierpienie moralne boli fizycznie. Zresztą nie umiem różnicować. Może sama mało – poza zmęczeniem i dość umiarkowanym głodem – dużo nie przeszałam. Chcę wierzyć, że nie było mu najgorzej.

Wiadomość, że chce Pan wydać swą pracę i że chce Pan Wisia nazwisko umieścić, ogromnie mnie cieszy. Oczywiście odbitkę chciałabym mieć i może finansowo w jakiejś wymiennej formie będę mogła się z długu wywiązać. To samo odnosi się do *Księgi Pamiętkowej* matematyków.

Wobec matki Józki postąpiłam nieładnie. Alinka M.² prosiła mnie, aby jej posłać lekarstwo. List Alinki zgubiłam i nie pomyślałam, że w Pańskim liście jest jej adres. Wobec tego załatwię to teraz. Proszę ją przeprosić za niechlujstwo w moim imieniu, bo nie wiem, czy życzy sobie otrzymywać stąd listy.

Ma Pan rację w tem, co Pan pisze o ludziach. Dawniej Tatuś mnie uczył, że człowiek jest dobry, że ma piękną duszę z dążeniami do dobra i piękna. Życie mnie nauczyło, że oblicze człowieka jest na ogół złe i brzydkie, że masa ludzka ma zawsze tendencję do ciągnięcia w dół i lubi zapach krwi.

¹ Mowa o rejonach górskich w Karpatach Wschodnich, przed wojną w granicach II Rzeczypospolitej. Obecnie Ukraina.

² Alina Manelska – zob. list nr 39.

Oczywiście za *Ulissesa* bardzo dziękuję. Nie mogę się pozbyć omal uczucia zawstydzenia, że Tatuś właśnie niemiecki język tak ukochał był; mam tak rozdwojone uczucie, gdy biorę książkę, w której Tatuś duszę swą zamknął w tym właśnie w języku, którego dźwięk tak trudno mi ocenić jako ładny, nie mówiąc już o tem, że bliski z tego czy innego powodu. Może mi to przejdzie.

Zdaje mi się, że pamiętniki powinien Pan pisać. Przecież nie wolno o tych rzeczach zapominać. To musi być na zawsze ostrzeżeniem i *memento*, jako świadectwo, do czego jesteśmy (mam na myśli rodzaj ludzki) zdolni. Niech przetrwają wszystkie dokumenty odmętów działań jednostek i grup. Może ktoś kiedyś potrafi znaleźć sposób, jak wyeliminować te instynkty z działań. Na razie nie ma ku temu nigdzie znaków na niebie i ziemi. Cynizm zewsząd napawa mnie uczuciem beznadziejności i przegranego życia epoki. Nie wiem, czy gdzieś na świecie uczą ludzi młodych o tem, że istnieje bezwzględne dobro, niezależnie od granic. Dobro, w swym etycznym pojęciu, tak jak Tatuś nas uczył.

Ale jak zwykle, gdy jest trochę lepiej człowiekowi – ma się dwie różne postawy w stosunku do życia: jedną filozoficzną trochę, starającą się ocenić rzeczy według ich bezwzględnej wartości, gdy one zdają się być z daleka i bardzo duże, i drugą, tę na bliskość nosa, gdzie duża i ważna staje się nie rzecz cała, a właśnie najgłębszy i najmniej-szy szczegół. I wtedy, gdy ma się tę drugą perspektywę, jeszcze jako tako można być szczęśliwym, odczuwając małe szczegóły i małe radości.

Wczoraj nocował u mnie przyjaciel Wisia, Zbyszek³ – z wydziału maszynowego Politechniki Lwowskiej, bardzo długo podczas studiów z Wisiem mieszkający. Do późna [w] nocy rozmawialiśmy znów o tem samym. Dlaczego i za co, i po co.

Cieszę się tem, co Pan pisze o swej pracy. I rozumiem Pańskie uczucie obcości. To był jeden z powodów, dla którego nie wróciłam.

Bardzo serdecznie Pana pozdrawiam i czekam na wiadomości od Pana, jako kogoś bliskiego,

Miriam Reiss

PS

Książkę wysyłam równocześnie. O pamiętniki w miarę możliwości proszę.

Źródło: *Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.*

³ Brak bliższych danych.

1948 październik 30, Wrocław – Fragment listu Marcelego Starka do Miriam Reiss. Refleksje na temat dobra oraz Ukraińców współpracujących z Niemcami. Pamiętnik i zacieranie się pamięci o wydarzeniach wojennych

Odpisuję po dłuższym czasie, z zawstydzeniem. Sądzę jednak, że wybaczy mi Pani. Kończy się teraz najgorętszy okres roku, naprzód egzamina wstępne na uniwersytet i politechnikę, potem początek roku i w związku z tym pracy co niemiara.

Książkę otrzymałem i ogromnie się nią ucieszyłem. Jedną z moich pierwszych myśli było, że sprawiłaby ona dużą radość Wisiowi, gdyż był to dział, którym się specjalnie zajmował, a jest to najlepsze dzieło, z punktu widzenia matematycznego, o statystyce, napisane przez jednego z najwybitniejszych specjalistów.

Pracuję teraz dużo, gdyż podpisałem kontrakt na wydanie podręcznika uniwersyteckiego geometrii analitycznej. Będzie to książka licząca około 500 stron. Zabiera mi to niemal całkowicie czas. Po zakończeniu tego mam zamiar zabrać się do wykańczania materiałów opracowywanych przeze mnie i Wisia. Będzie to praca bardzo duża i znów zabierze sporo czasu. Bardzo dziękuję za chęć pomocy finansowej, lecz okaże się to zbyt duże, gdyż sytuacja u nas jest obecnie wprost odwrotna niż przed wojną. Rząd bowiem przeznaczają duże sumy na oświatę i w związku z tym wydawnictwa matematyczne otrzymują duże subwencje i płacą wysokie honoraria, tak że raczej po wykończeniu (czego nie należy się spodziewać przed upływem dwóch lat) odpowiednią część honorariów otrzyma Pani. Jeśli idzie o *Księgę Pamiętkową*, to będzie w niej tylko bardzo krótka notatka, gdyż jest ona opracowywana bardzo zwięźle. W związku z notatką bardzo prosiłbym o podanie mi kilku danych biograficznych Wisia, jak rok i miejsce urodzenia, kiedy rozpoczął studia. Inne dane są mi znane.

Przed ucieczką ze Lwowa w roku 1942 udało mi się schować u znajomych kilka fotografii, między innymi fotografię Wisia. Dwie kopie tej fotografii załączam. Byłbym oddał na przechowanie więcej papierów jego i ojca, gdybym się spodziewał, że się przechowują. Niezmiernie żałuję, że zaginął rękopis ostatniej pracy Wisia, bardzo ciekawej. Przed wyjazdem szukałem go, lecz nie mogłem znaleźć. Nie mogę tego teraz odtworzyć, chociaż same wyniki pamiętam.

W zakończeniu przesyłam odpis fragmentu z mego pamiętnika, pisanego tuż po zakończeniu wojny. Nie mógłbym dziś już tego odtworzyć, pamięć tych przeżyć powoli się zaciera. Na szczęście! Czytając je teraz, myśli się z ironią, że właśnie ci „czarni” Ukraińcy, o których tam mowa, znaleźli obecnie schronienie w Anglii, gdzie się ich wybiela i robi bezwolne narzędzie niemieckie. Jest wprost niewiarygodne, że ci zawodowi mordercy, rzeźnicy z zamyłowania, są pod opieką anglosaską. Biada narodowi, który jest już zmuszony do używania takich narzędzi. Naród taki staje się moralnie wykończony. A to na dłuższą metę pociąga konsekwencje.

Wkrótce napiszę znowu. Nie przypominam sobie, jakie fragmenty przesyłałem Pani uprzednio. Byłoby mi miło, gdyby mi mogła Pani podać ich nagłówki.

Pisze Pani o absolutnym dobrze^a. Jest to błąd, takie nie istnieje. Dobro istnieje w każdej epoce inne. Dobro się zmienia. Dobro właściwie nie istnieje, jest to pojęcie metafizyczne.

^a Tak w oryginale.

My je wytwarzamy. Jest ono tworem ludzkim, a raczej stosunków między ludźmi. Nie istnieje ono dla pojedynczego człowieka, dla skupienia ludzkiego. Dlatego w miarę rozwoju stosunków między ludźmi postępuje rozwój tego, co Pani nazywa dobrem. Pomimo wszystko, postępujemy naprzód; jeśli bowiem porównamy okres średniowiecza czy wojen religijnych z naszym, to widzimy szaloną różnicę. Nasze przeżycia z czasów wojny, które wstrząsnęły [nami?] ze względu na swoją potworność i koszmar, są jednak wskrzeszeniem tego, co było chlebem codziennym okresu rzymskiego czy też renesansu lub wojny trzydziestoletniej. Nie ma Pani racji, wątpiąc. Niestety, nie żyjemy w epoce, kiedy postąpimy naprzód tak dalece, by zjawiska tego typu stały się niemożliwe. Z tego nie wynika, że epoka ta nie nastąpi. Epokę tę trzeba stworzyć. Naszym obowiązkiem jest ją stworzyć. Wątpi Pani w oczywistość.

Proszę przyjąć serdeczny uścisk dłoni^b.

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

Wrocław, 30 października 1948 r.

Droga Pani!

Odpisuję po dłuższym czasie, z zawstydzieniem. Sądzę jednak, że wybaczy mi Pani. Kończy się teraz najgorętszy okres roku, naprzód egzamina wstępne na uniwersytet i politechnikę, potem początek roku i w związku z tym pracy co niemiara.

Książkę otrzymałem i ogromnie się nią ucieszyłem. Jedną z moich pierwszych myśli było, że sprawiłaby ona dużą radość Wisiovi, gdyż był to dział, którym się specjalnie zajmował, a jest to najlepsze dzieło, z punktu widzenia matematycznego, o statystyce, napisane przez jednego z najwybitniejszych specjalistów.

Pracuję teraz dużo, gdyż podpisałem kontrakt na wydanie podręcznika uniwersyteckiego geometrii analitycznej. Będzie to książka licząca około 500 stron; zabiera mi to niemal całkowicie czas. Po zakończeniu tego mam zamiar zabrać się do wykańczania materiałów opracowywanych przeze mnie i Wisia. Będzie to praca bardzo duża i znów zabierze sporo czasu. Bardzo dziękuję za ofertę pomocy ~~xxix~~ finansowej, lecz okazało się to zbyt trudne, gdyż sytuacja u nas jest obecnie wprost odwrotna niż przed wojną; rząd bowiem przeznaczając duże sumy na oświatę i w związku z tym wydawnictwa matematyczne otrzymują duże subwencje i pisać wysokie honoraria, tak, że raczej po wykończeniu (czego nie należy się spodziewać przed upływem dwóch lat), odpowiednią część honorarium otrzyma Pani. Jeśli idzie o Księgę Pamiątkową, to będzie w niej tylko bardzo krótka notatka, gdyż jest ona opracowywana bardzo zwięźle. W związku z notatką bardzo bym prosił o podanie mi kilku danych biograficznych Wisia, jak rok i miejsce urodzenia, kiedy rozpoczął studia. Inne dane są mi znane.

Przedem ucieczką ze Lwowa w roku 1942 udało mi się schować u znajomych kilka fotografii, między innymi fotografię Wisia. Dwie kopie tej fotografii załączam. Byłbym ~~xxix~~ wdzięczny oddać na przechowanie więcej papierów jego i ojca, gdybym się spodziewał, że się przechowują. Niezmiennie żałuję, że zaginął rękopis ostatniej pracy Wisia, bardzo ciekawej. Przed wyjazdem szukałem go lecz nie mogłem znaleźć. Nie mogę tego teraz odtworzyć, chociaż same wyniki pamiętam.

W załączeniu przesyłam odpis fragmentu z mego pamiętnika, pisanego tuż po zakończeniu wojny. Nie mógłbym dziś już tego odtworzyć, Pamięć tych przeżyć powoli się zacierza. Na szczęście! Czytając je teraz myślę się z ironią, że właśnie ci "czarni" Ukraińcy, o których tam mowa znaleźli obecnie schronienie w Anglii, gdzie się ich wybiela i robiezwolne narzędzia niemieckie. Jest wprost niewiarygodne, że ci zawodowi mordercy, rzeźnicy z zamiłowaniem, są pod opieką anglosaską. Bieda narodowi, który jest już zmuszony do używania takich narzędzi. Naród taki staje się moralnie wykończony. A to na dłuższą metę pociąga konsekwencje.

^b Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

1948 grudzień 30, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Reiss. Przepracowanie autora, przeprasiny za długi okres nieodpisywania. Odbudowa kraju po zniszczeniach wojennych. Fragment wspomnień przesłanych adresatce

Droga Pani!

Bardzo przepraszam, że odpisuję dopiero teraz. Byłem zupełnie wykończony przepracowaniem. Skupienie się do listu wymagało przed tym odpoczynku. Nie zdaje sobie Pani sprawy, do jakiego stopnia byłem przepracowany, tak że musiałem na jakiś czas odłożyć pisanie książki.

W międzyczasie skomunikowałem się z Panią Manelską¹, która mówiła mi, że jest Pani bardzo niespokojna o przesłaną mi książkę. W ostatnim liście jednak powiadomiłem o jej otrzymaniu. Sądzę, że jest to raczej nieporozumienie.

Wpadła mi niedawno myśl, że prawdopodobnie nie ma Pani żadnych śladów pisma rodziny. Mam sporo kartek o treści matematycznej pisanych przez Wisia. Mógłbym je przepisać (oczywiście tylko kilka) i oryginały odesłać Pani, o ile Pani tego pragnie.

Znajduję się teraz w błędnym kieracie. Mam jeden z rzadkich u matematyków talentów, mianowicie zdolność organizacji. Jest to w całej pełni wykorzystywane przez matematyków polskich. Wskutek tego mam robotę dydaktyczną, kierownictwo seminarium (6 katedr), wydawniczą, piszę książkę, a teraz dołącza się nowa czynność. Dekretem Ministerstwa został utworzony ogólnopolski Instytut Matematyczny o zadaniach badawczo-naukowych. Będzie to instytucja o dużym znaczeniu, która będzie miała na celu między innymi rozwinąć matematykę stosowaną. Będę pracował właśnie w tym dziale, a to jest zadanie nie lada, gdyż przeważna część ciężaru organizacyjnego spadnie na mnie. Jest to robota bardzo interesująca (mimo że nazywam to „robotą”), ale pogrąży mnie zupełnie.

W chwilach przepracowania odpoczywam najlepiej, czytając bajki lub oglądając albumy z fotografiami zwierząt. Nie mogę wziąć się wówczas do żadnej innej lektury. Najbardziej odpowiadała mi niegdyś wspaniała bajka Carrolla *Alice in the Wonderland*² oraz drugi jego utwór, o grze w szachy. Nic nie wiedząc o autorze, domyśliłem się, że musiał ją pisać obłąkany matematyk. Domyśl sprawdził się. Szkoda, że o książki Carrolla tak trudno.

Czy utrzymuje Pani kontakt ze współczesną twórczością literacką w Polsce? Spodziewam się, że nie. Dlatego pozwalam sobie przesłać trzy książki wydane w ostatnim roku, z prośbą o niezwracanie, gdyż je już przeczytałem. Zaznajomią one Panią z naszą rzeczywistością roku 1945, którą bardzo ciężko po powrocie przeżywałem. Dużo się od tego czasu zmieniło na korzyść. Duże tempo odbudowy porywa i wciąga. Na niektórych odcinkach dzieją się wprost cuda. Proszę na podstawie tych książek, zresztą dobrych, nie wyrabiać sobie obrazu o naszych stosunkach [w] roku 1948.

¹ Brak bliższych danych.

² Chodzi o książkę brytyjskiego matematyka i poety, Lewisa Carrolla (1832–1898), pt. *Alice's Adventures in Wonderland* (*Alicja w Krainie Czarów*), opublikowaną w roku 1865.

Dołączam fragment z moich pamiętników, opisujący selekcję w obozie w Płaszowie. Proszę tego nie czytać, jak się czyta utwór literacki, gdyż nie mam żadnych w tym kierunku pretensji. Nie umiem sucho pisać dokumentów, należy to jednak traktować jedynie jako dokument. Mam jeszcze kilka fotografii Wisia (kopii, jakie już wysłałem). Czy pragnęłaby Pani otrzymać dalsze kopie?

Obawiam się, że każdy mój list przygnębia Panią, gdyż zawsze łączy albo z bolesnymi wspomnieniami, albo zawiera „załączniki”, które siłą rzeczy są ponure. Sądję, że z czasem zmieni się to na korzyść.

Proszę przyjąć życzenia Szczęśliwego Roku^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

Wrocław, 30 grudnia 1948 r.

Droga Pani!

Bardzo przepraszam, że odpisuję dopiero teraz. Byłem zupełnie wykończony przepracowaniem. Skupienie się do listu wymagało przed tym wypoczynku. Nie zdaje sobie Pani sprawy do jakiego stopnia byłem przepracowany, tak, że musiałem na jakiś czas odłożyć pisanie książki.

W międzyczasie skomunikowałem się z Panią Manelską, która mówiła mi, że jest Pani bardzo niespokojna o przesłaną mi książkę. W ostatnim liście jedną powiadomiłem o otrzymaniu jej. Sądję, że jest to raczej nieporozumienie.

Wpadła mi niedawno myśl, że prawdopodobnie nie ma Pani żadnych śladów pisma rodziny. Mam sporo kartelek o treści matematycznej pisanych przez Wisia. Mogłbym je przepisać (oczywiście tylko kilka) i oryginały odesłać Pani, o ile Pani tego pragnie.

Znajduję się teraz w błędnym kieracie. Mam jeden z rzadkich u matematyków talentów, mianowicie zdolność organizacji. Jest to w całej pełni wykorzystywane przez matematyków polskich. Wskutek tego mam robotę dydaktyczną, kierownictwo Seminarium (6 katedr), wydawniczą, piszę książkę, a teraz dołączam się nowa czynność. Dekretem Ministerstwa został utworzony ogólnopolski Instytut Matematyczny, o zadaniach badawczo-naukowych. Będzie to instytucja o dużym znaczeniu, która będzie miała na celu między innymi rozwinąć matematykę stosowaną. Będę pracował właśnie w tym dziale, a to jest zadanie niełatwe, gdyż przeważna część ciężaru organizacyjnego spadnie na mnie. Jest to robota bardzo interesująca (mimo, że nazywam to „robotą”), ale pograża mnie zupełnie.

W chwilach przepracowania odpoczywam najlepiej czytając bajki lub oglądając albumy z fotografiami zwierząt. Nie mogę wziąć się wówczas do żadnej innej lektury. Najbardziej odpowiadała mi niegdyś wspaniała bajka Carrolla „Alice in the wonderland” oraz druga jego utwór, o grze w szachy. Nic nie wiedząc o autorze domyśliłem się, że musiał ją pisać obłąkany matematyk. Domyśl sprawdził się. Szkoda, że o książki Carrolla tak trudno.

Czy utrzymuje Pani kontakt ze współczesną twórczością literacką w Polsce? Spodziewam się, że nie. Spędziłam Dlatego pozwalam sobie przesłać trzy książki wydane w ostatnim roku, z prośbą o niezwracanie, gdyż je już przeczytałem. Zaznajomią one Panią z naszą rzeczywistością roku 1945, którą bardzo ciężko po powrocie przeżywałem. Dużo się od tego czasu zmieniło na korzyść. Duże tempo odbudowy porwy i wciąga. Na niektórych odcinkach dzieją się wprost cuda. Proszę na podstawie tych książek, zresztą dobrych, nie wyrabiać sobie obrazu o naszych stosunkach w roku 1948.

Dołączam fragment z moich pamiętników, opisujący selekcję w obozie w Płaszowie. Proszę tego nie czytać jak się czyta utwór literacki, gdyż nie mam żadnych w tym kierunku pretensji. Nie umiem sucho pisać dokumentów, należy to jednak traktować jedynie jako dokument. Mam jeszcze kilka fotografii Wisia (kopii jakie już wysłałem). Czy pragnęłaby Pani otrzymać dalsze kopie?

Obawiam się, że każdy mój list przygnębia Panią, gdyż zawsze łączy albo z bolesnymi wspomnieniami, albo zawiera „załączniki”, które siłą rzeczy są ponure. Sądję, że z czasem się to zmieni na korzyść.

Proszę przyjąć życzenia Szczęśliwego Roku

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

1949 styczeń 12, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Reiss. Wojenne losy brata adresatki. Pomoc pani Józi, jego żony

Droga Pani!

W roku 1941, jesienią, wygnani zostali Wisio i Pani Józia na przedmieście Lwowa, Zamarstynów. W zaułku zwanym Biernatówką, w ciasnym pokoiku często zbieraliśmy się. Rozmowy kierowały się zwykle nie ku otaczającej rzeczywistości, odrywały się od niej ku wolności i – ku góróm.

Góry to był żywioł Wisia. Namietnie do nich wracał. Włóczęgi po Czarnohorze, sam na sam z przestrzenią. Szczególnie silnie oddziaływała w tych warunkach książka Ramuza¹: *Pastwisko na Derborence*. Tchnęło z niej to, czego nas pozbawiono, wiara w człowieka, miłość, przyroda. Jakże symboliczna była ta książka. W kilka tygodni później Wisia zamknięto w obozie. I tak jak Teresa niezmordowaną miłością, wbrew radom otoczenia wspina się na góry za Antonim i wyrwa go z kręgu majaczeń, tak Pani Józia, wbrew otoczeniu, niezmordowanym trudem dokonała rzeczy niemożliwej i wyrwała Wisia z obozu².

Jakże się dziś uradowałem, gdy ujrzałem nowe wydanie Ramuza. Nie wiem, jak to się stało, że dotychczas je przeoczyłem. Pozwalam sobie je przesłać Pani. Niech będzie wspomnieniem o bracie. Jest w niej dużo tego, co ukochał Wisio. Niech będzie hołdem dla miłości Pani Józi.

Proszę przyjąć uścisk dłoni^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ Charles-Ferdinand Ramuz (1878–1947) – francuskojęzyczny pisarz szwajcarski.

² Na krótko, niedługo potem wszyscy zginęli.

Nr 41

1949 kwiecień 16, Wrocław – Marceli Stark do Miriam Reiss. Wojenne losy brata adresatki. Dzieje nadawcy, jego walka zbrojna z Niemcami

Droga Pani!

Odpisuję dopiero po trzech miesiącach. Niedomagałem tej zimy, dłuższa grypa, ale nie to było przyczyną milczenia. Byłem w stanie silnej depresji, nie mogłem się zdobyć na napisanie jakiegokolwiek nieurzędowego listu. Przerwałem wszelką prywatną korespondencję. Nie było sił. Stała samotność i niewiara we wszystko po przejściach wojennych rozstraja i zabija. Stałem się bardzo aktywny w sprawach matematycznych, nie mogę się zdobyć na najmniejszą inicjatywę osobistą w stosunku do siebie. Muszę bez przerwy pracować i pracować, nie powinienem mieć wolnych chwil. Najgorszy okres to niedziele i święta. W ten sposób długo żyć nie można.

Wieczór wielkanocny. Ze wszech stron dolatuje dźwięk radia. Nabożeństwo. Siedzę sam i w liście próbuję nawiązać kontakt z rzeczywistością. Mimowolnie wracam do lat 1942 i 1943. W roku 1942 ciężka praca fizyczna przy budowie rozjazdów kolejowych. Musieliśmy szyny i krzyżownice nosić na plecach, a nie jak to być powinno, ciągnąć uchwytami. Niemców przy tym nie było. Ich najemnicy, rekrutujący się spośród Ukraińców lwowskich, kpią i naśmiewają się. To była wiosna lwowska 1942 roku. Mieszkaliśmy jeszcze w „domach”, podmiejskich chałupach, do których zostaliśmy wyrzuceni. Codziennie ktoś inny nie przychodził, nikt się o to nie troszczył; to zmarł, to Niemcy zabili. Kierownik Christens¹ oburzony: „Die lausigen Juden, die wollen nich[t] arbeiten. Die muss man lernen”².

Zawiadania Arbeitsamt, ten kierownika obozu przy cmentarzu na Janowskiej. W sobotę w południe wypłata. Niemcy Żydów nie wyzyskują, oni są wspaniałomyślni, za pracę płacą. Za 10 godzin codziennej pracy aż 12 złotych tygodniowo. Bochenek chleba kosztuje 45 złotych. Do tego ładny rachuneczek, podanie odliczeń na świadczenia społeczne, na ubezpieczenia chorobowe. W sobotę przy wypłacie zamykają budynek. Nie wolno wyjść. Nie wiemy, o co chodzi. Nagle okrzyk: „Achtung!”³. Powoli, majestatycznie wchodzi schodami oficer SS. Elegancki, nienagannie ubrany, o pięknej twarzy, robi wrażenie wybitnie eleganckiego kulturalnego przedstawiciela ostatnich osiągnięć kultury europejskiej. To znany morderca, kierownik obozu na Janowskiej. Został zawiadomiony, że 17 osób nie pracuje należycie u Christensa. Ma zabrać tych 17. Przy wywołaniu okazuje się, że jest tylko część. Jemu wszystko jedno, on ma dostać 17. Dopełnia liczbę brakujących kilkoma, pierwszymi lepszymi z brzegu. Wracam do domu, sobota wieczór. Po „obiedzie”, jak codziennie niemal, idę do Pani Józi i Auerbacha. Pani Józia opowiada, co zdołała zrobić dla Wisia, jaką paczkę i przez kogo zdołała mu posłać, naradzamy się, co robić dalej. Wracam do domu. Tu jeszcze mam rodzinę, matkę, siostrę,

¹ Brak bliższych danych.

² „Die lausigen Juden, die wollen nich[t] arbeiten. Die muss man lernen” (niem.) – Zawszeni Żydzi nie chcą pracować. Trzeba ich nauczyć.

³ „Achtung!” (niem.) – Uwaga!

brata na prowincji, ojca. Rozprawiamy, skąd zdobyć żywność, jak wykorzystać łupiny kartoflane, czy wodę po wygotowaniu kartofli można wypić. To był szary dzień kwietnia 1942.

Wielkanoc 1943⁴. Z rodziny i przyjaciół nie ma nikogo. Nie wiem, czy żyje brat i siostra, rodziców, Wisia, Józ, Auerbacha już nie ma. Długie lata nie zbliżą i nie przywiążą do siebie ludzi tak jak zima 1942. Jestem w Warszawie. Getto płonie. Schron zrobiony na wypadek „akcji”. Zamurowany pokój, skrytka, do którego wchodziło się przez zamaskowany otwór w strychu.

Jeszcze jest w getcie około 50 tys. ludzi. Wszystko w schronach, w podziemiach, zamurowanych mieszkaniach, w lochach zbudowanych pod piwnicami, kanałach. Po całym getcie unoszą się tumany pierza. To pierzem zasypywano dostępny do mieszkań, by robiły wrażenie niezamieszkanymi. Po każdym kroku zaciera się za sobą ślady. W ten sposób żyło się przez ostatnich kilka miesięcy getta. Teraz Niemcy prowadzą akcje pod hasłem: „Warschau muss judenrein werden”⁵. Nie mogą znaleźć nikogo, należy spalić getto wraz z Żydami. Po raz pierwszy napotykają opór. Nieliczne karabiny maszynowe witają auta z esesmanami. Uciekają i wkrótce wjeżdżają pancerniki i tanki. Zostają rozbite granatami ręcznymi, fabrykowanymi domorosłymi metodami. Każdy dom musi być zdobywany. Walka trwa. Lecz coś zdoła zdziałać garstka przeciw nieprzyjacielowi, który ostrzeliwuje z tanków, armat, bombarduje. Na ulicach leżą trupy Niemców obok trupów żydowskich. Do schronów dochodzi wieść: Niemcy podpalają dom za domem. Akcja rozpoczęła się w noc pierwszego dnia świąt żydowskich.

Niemcy zbliżają się do naszego domu. Przenosimy się do innego, niewykończonego schronu, pod piwnicami, z którego będzie można przekopać loch do kanału. W dzień bezustanna strzelanina i bombardowanie, w nocy strzelanina nękająca. Ni chwili spokoju. Trwa to już drugi tydzień. Nasz dom jeszcze cały. W nocy wychodzę na szczyt domu. Dokoła wszystko płonie. Bezustanny, straszliwy trzask płomieni, co chwila skądinąd dochodzi trzask walących się belek i dachów. W nocy mamy kontakty z innymi schronami i dowiadujemy się mniej więcej, jak wygląda sytuacja. Tu Niemcy odkryli schron i wymordowali wszystkich granatami ręcznymi. Tam był schron na strychu i wszyscy się spalili. Zbliży się kolej na nasz dom. Już od dwu dni nie jadłem. Znalazłem woreczek ziarnistej kawy i tym się żywię. Nikt się z nikim nie podzieli.

Nad ranem słyszymy gwałtowny wybuch nad głowami. To petardami został zapalony nasz dom. Siedzimy w napięciu – wytrzyma nasz schron czy nie? Śpiesznie usiłujemy gliną i cegłą zamurować luki. Czy sklepienie wytrzyma, gdy dom się zawali? Po godzinie zaczyna dochodzić dym. Ciągłe go więcej, nie można go opanować. Świeża glina popękała, musimy wyjść. Staramy się pomóc jeszcze wpierw kobietom, duszę się, wychodzę jeden z ostatnich, przy wyjściu padam, znajduję pod ręką okrągłe przedmioty, konserwy. Mimo że jestem już bliski utraty przytomności, chwytam je, wkładam do sakwy i przez loch wypełzam do piwnic. I tu pełno dymu, lecz można jeszcze oddychać.

U wejścia do piwnicy odzywa się głos: „Żydzi, wychodźcie, Niemcy nic wam nie chcą zrobić, chcą tylko przenieść was do obozów pracy w Trawniskach i Poniatowej, tam będzie-

⁴ Powstanie w warszawskim getcie wybuchło 19 IV 1943 r., to znaczy w przeddzień żydowskiego święta Paschy. Był to jednocześnie pierwszy dzień Wielkiego Tygodnia poprzedzającego chrześcijańską Wielkanoc.

⁵ „Warschau muss judenrein werden” (niem.) – Warszawa musi zostać oczyszczona z Żydów.

cie pracować do końca wojny”. Głos mówi po żydowsku⁶. Stoi na pewno nad nim esesman z rewolwerem w ręku. Słabsi wychodzą. Duszę się, nie mogę już oddychać, serce mam słabe, podtrzymywane cudem znalezioną kawą. Znajomi mnie zatrzymują gwałtem, przekonują, że lepsza tu szybka śmierć z uduszenia niż konanie w mękach KL-u w Majdanku. Padam na ziemię i przykładam zmoczoną chustkę do nosa. Na schodach cisza. Ktoś wychodzi i oznajmia, że na podwórzu Niemców już nie ma. Mam jeszcze przy sobie rewolwer z dwoma nabojami. Wychodzimy, cały ogromny blok w płomieniach. Tu jeszcze Niemcy nie mają dostępu, można czasowo swobodnie poruszać się po podwórzu. Leczący i to niebezpieczne, ze wszystkich stron wałęsają się płonące belki i słupki. Należy zejść do piwnicy. Tu przewietrzyło się, najbliższe konstrukcje drewniane spaliły się. Jesteśmy na razie bezpieczni.

Huk, zawaliły się schody i zapełniły gruzami. Jesteśmy zasypani. Nie ma wyjścia. Dym. Spod gruzów sączy się woda, gdzieś załamał się przewód wodociagowy. Zwierciadło wody szybko się podnosi, dym dusi. Wody już powyżej kolan. Nie można oddychać, musi się trzymać głowę nad wodą. W pożarze grozi zatopienie. Woda dochodzi do pasa. Nowy huk. To runęła kamienica i zawaliło się sklepienie. Wpada świeże powietrze. Przez płomień wyskakujemy na powietrze. Przez kilka minut intensywny oddech. Nie można tu stać, gdyż Niemcy nas mogą ustrzelić. Tu są już zgłiszczka, pożar dogasa. Przesuwam się po żarze i rozpalonych ceglach do miejsc, gdzie pożar w pełni. Pochylo-ny przez cały czas posuwam się z pożarem – przebywam przeszło 10 godzin nocy w sercu płomieni. Nad ranem pożar zakończył się. Wchodzą Niemcy.

Zużywam ostatnie naboje. Jeden z nich chwyta się za rękę i wszyscy uciekają. Po dwóch godzinach już są zgłiszczka, wśród których można się swobodnie poruszać. Wychodzę. Rewolwer już wcześniej wyrzuciłem jako bezużyteczny. Zauważyli: „Hände hoch oder ich schisse dich!”⁷. Zbierają około kilkadziesiąt osób i odprowadzają do dawnej szkoły. Stamtąd dostałem się do Majdanka. 30 IV 1943 [r.].

Piszę jak zwykle przykry list. Prosiła Pani o pamiątki, zauważyła Pani, że Wisio był mi bliski. Zrozumie Pani, że ludzie, z którymi się współżyło w tych czasach pogardy, byli niejednokrotnie bliżsi niż starzy przyjaciele. Posyłam Pani znowu książkę, Adolfa Rudnickiego⁸ *Szekspir*. Jest to zbiór nowel, z których niektóre są arcydziełami. Jest to bodaj najlepsza z książek, jakie ukazały się u nas po wojnie. Mistrz w psychologicznym odtworzeniu przeżyć, których sam nie doznawał. Zrozumie Pani wiele z tego okresu.

Przesyłam również IV tom „*Studia Mathematica*”. Są tam dwie prace Wisia napisane wspólnie z Mazurem. Załączam również dwie kartki z rozpoczętego przez nas w roku 1940 zbioru zadań, pisane ręką Wisia. Pisze mi Pani, że ma Pani zamiar przesłać mi *Alice in the Wonderland*. Bardzo dziękuję, lecz udało mi się tu nabyć egzemplarz z oryginalnymi ilustracjami. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zdołała Pani dowiedzieć się u księgarzy, jak [...]a firmy i w jakich krajach zostały wydane Tomasa Manna *Joseph und [seine] Brüder*⁹, trylo-

^a Fragment nieczytelny.

⁶ Takie sytuacje zdarzały się wówczas stosunkowo często. Pod groźbą rozstrzelania lub w zamian za obietnicę przetrwania niektórzy dawali się wykorzystywać do wyłapywania ukrywającej się ludność. Duża część schwytych rzeczywiście trafiła do ww. obozów pracy, gdzie następnie zginęła.

⁷ „Hände hoch oder ich schisse dich!” (niem.) – Ręce do góry albo cię zastrzelę.

⁸ Adolf Rudnicki (1909–1990) – polski pisarz: prozaik i eseista.

⁹ Chodzi o trylogię Tomasa Manna (1875–1955), najslawniejszego pisarza niemieckiego pierwszej połowy XX w., laureata literackiej Nagrody Nobla (1929), *Józef i jego bracia*, publikowaną w latach 1933–1943.

gia, oraz tego samego autora najnowsza powieść *Doktor Faust*. Gdybym wiedział, kto wydał, to postarałbym sobie je sprowadzić.

Proszę się na mnie nie gniewać, że tak długo nie odpowiadałem. Jestem naprawdę bardzo roztrzęsiony. Dziwna w tym rzecz, nigdy nie wracam do czasów wojennych, nie myślę o tym, co było, nie mogę. Organizm to odczuwa i nawet we śnie te przejścia prawie nigdy nie wracają. Nie wiem jednak, czy w takim stanie nerwowym będę mógł długo pociągnąć.

Piszę książkę, chciałbym ją już skończyć, męczy mnie, marzę o odpoczynku, lecz ten chyba już mi nie będzie dany tak, bym mógł po tym wesoło, z zapałem pracować. Ciąży zmora minionej wojny. Nie myślę o niej normalnie, lecz draży widocznie podświadomość. I ciągle uczucie bezcelowości. Po co ja o tym piszę? Wszak to męczy Panią.

Tym bardziej ciężko, gdy widzi się, jak wszystko dookoła się odbudowuje i rozbudowuje. Dla matematyka możliwości powojenne są w Polsce znacznie większe niż przed wojną. Większa ilość katedr i uniwersytetów, więcej zastosowań w przemyśle, który zaczyna wychodzić ze swego drobnowytwórczego charakteru, większy i istotny zapal młodzieży do nauki, Instytut Matematyczny, w którym również pracuję, zwiększający i organizujący matematykę w Polsce. Pracuję intensywnie, zorganizowałem matematykę we Wrocławiu (piszę, że ja, gdyż jest to głównie moja i Marczewskiego zasługa), wskrzesiłem „*Studia Mathematica*”, organizuję teraz jeden z oddziałów Instytutu, prowadzę komplety dla młodzieży. Tylko jedno, nie mogę w tym znaleźć swego osobistego miejsca. Czuję się obco wśród ludzi, bez względu na to, kim są, czai się wyrobiona w czasie wojny nieufność. „Czy mnie nie chcesz zamordować” i łapię się na tym, że to już przecież minęło, lecz to wraca i tkwi we mnie. Zbieram książki i czytuję, lecz stwierdziłem niedawno, że jakoś przypadkiem, wszystkie niemal książki przeczytane w ciągu ostatniego roku to klasycy starożytni, to historia starożytna, dzieła bliskiego i dalekiego wschodu, opisy życia zwierząt, bajki, matematyka. Wymknęły się z kręgu moich zainteresowań dzieła, które mogłyby dotyczyć bezpośrednio mnie, rzadko zaglądam nawet do XIX wieku, nie mogę już czytać lubianego dawniej Balzaka¹⁰. Wolę pesymizm Maupassanta¹¹, Czechowa¹², bo ci zrozumieli głęboko jednostkę. Ale i do starożytności zmienił się stosunek, śmieszy mnie mitologia Hellady, widzę ją oczami Lukiana¹³, wżarł się we wszystko beznadziejny i zabójczy racjonalizm. Jestem bardzo zmęczony.

Proszę się nie gniewać za ten list, piszę prawie że wyłącznie o sobie, pomimo że nie zna mnie Pani. Materialista dialektyczny powiedziałby „epigon zamierającego kapitalizmu, upadającej klasy”. Lecz nigdy nie byłem z kapitalizmem związany, przeciwnie, mierzył mnie, nienawidziłem tego systemu. To jest zmęczenie wojny, bólu zadanego przez okres pogardy dla człowieka.

Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹⁰ Honoré de Balzac (1799–1855) – jeden z najsłynniejszych pisarzy francuskich.

¹¹ Guy de Maupassant (1850–1893) – pisarz, mistrz noweli francuskiej.

¹² Anton Czechow (1860–1904) – jeden z najsłynniejszych rosyjskich dramatopisarzy.

¹³ Lukian z Samosaty (120–190) – pisarz rzymski o poglądach soficystycznych.

VII. Korespondencja z Ireną Lewicką

Nr 42

1946 lipiec 22, Kraków – List Ireny Lewickiej (bliskiej znajomej ze Lwowa), m.in. reakcja na podziękowania za pomoc udzielaną w okresie wojennym

Szanowny Panie Magistrze,

List Pana otrzymałyśmy z Matką ubiegłego tygodnia i przepraszam, że zaraz nań nie odpisałam. Sprawił nam Pan dużą radość. Nieraz jeszcze we Lwowie zastanawialiśmy się nad kolejami losów Pana... Cieszymy się ogromnie, że Pan żyje, i mamy nadzieję, że i ze zdrowiem w porządku. Co się tyczy podziękowań, którymi Pan nas zaszczyca, dotyczą one naprawdę, Panie Marceli, małych rzeczy, nic dużego nie zrobiliśmy, bo nie było do tego sposobności. Żał nam ogromnie Pana Zygmunta¹, bo to z gruntu pocziwy był człowiek, i szkoda Go wielka. W naszym posiadaniu są papiery uniwersyteckie dr. Zygmunta, nie wiemy, co z nimi zrobić, może Pan ma jakieś zlecenie w tym względzie, proszę nam napisać. Nie wiem, czy Pan regularnie otrzymywał pieniądze, które wysyłałam do Lublina na adres Pani, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Wysyłałam je do listopada 1943.

U nas właściwie bez zmian, jedynie martwimy się Marianem, który dotąd tkwi we Lwowie, nie mogąc otrzymać coś około 20 wagonów na transport biblioteki², będącej pod jego pieczę. Miał wyjechać w dwa dni po naszym wyjeździe, tj. 14 czerwca, a tu lipiec dobiega końca, a Jego nie ma.

Na razie mieszkamy kątem i robimy gorączkowe poszukiwania za mieszkaniem, o które bardzo ciężko, pominąwszy fakt i ten, że za darmo nie można go dostać³. Ja mam już zajęcie w szkolnictwie. Gdy rok akademicki się zacznie, zaniósę prośbę do Pana o opiekę nad jednym z moich uczniów, który ma zamiar studiować na politechnice. Chodzi mi o przyjęcie go na studia i protekcję przy rozdziale stypendiów. Jest to wartościowy chłopak i dlatego bardzo mi na nim zależy, jeśli Pan pozwoli, zgłosi się do Pana z moim listem. Może Pan będzie mieć wolny czas, proszę do nas napisać obszerniej o sobie, albo jeśli Pan będzie w Krakowie, proszę wstąpić do nas łaskawie.

Łączę ukłony i mocny uścisk dłoni
Irena Lewicka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski. k. 1.

¹ Brat Marceliego Starka, zamordowany we Lwowie (zob. przypis nr 54 we „Wstępie”).

² Chodzi o lwowską Bibliotekę Ossolineum, w której sprowadzenie do Polski zaangażowany był brat Ireny, orientalista, Marian Lewicki.

³ W uzyskaniu mieszkania, ze względu na działalność naukową Mariana Lewickiego, brata autorki listu, pomagała Komisja Orientalistyczna PAU.

1946 sierpień 3, Kraków – List Ireny Lewickiej w sprawie losów Zygmunta Starka, brata Marcellego

Wielce Szanowny Panie Magistrze,

Dziś rano rozmawiałymy z matką o Panu i doszliśmy do wniosku, że list mój, przesłany zwykłą pocztą, nie doszedł rąk Pana, tak że postanowiłam list nowy napisać. Tymczasem około południa przyszedł list Pana, wobec czego piszę zaraz nań odpowiedź! Jesteśmy Panu wdzięczne za opis kolei losów, które istotnie w czasach normalnych nadawałyby się do filmu. Dzięki Panu Bogu, że i tak się skończyło. Ponieważ Pan pragnie dowiedzieć się czegoś o losach dr. Zygmunta, nakreślę historię jego pokrótce, bo lepiej to zrobić ustnie, tym bardziej, że Pan obiecał przyjechać do Krakowa.

Z dr. Zygmuntem byłam w kontakcie stałym od czerwca 1943 do grudnia tegoż roku. Początkowo, to jest po roku 1942 był gdzieś w obozie na prowincji i tam wiodło mu się okropnie, puchł z głodu. W marcu 1943 r. został przeniesiony do Lwowa do obozu na Janowskiej, gdzie w krótkim czasie został naczelnym lekarzem, miał dużą swobodę w poruszaniu się, tym bardziej że leczył panów z SS. Gruntem, na którym spotykaliśmy się, była apteka mgr. Kajetanowicza na rogu Szpitalnej i Słonecznej. Przychodził do niej o pierwszej, zamawiał leki, które odbierał po trzeciej godzinie, a w międzyczasie towarzyszył kąpielom współtowarzyszy niedoli, którzy z Nim nie obchodzili się tak cudownie. Nieraz, rozmawiając ze mną, wyrażał obawy co do „żółtych przepasek”, uważał, że są za kapuściów¹. Jedynie żył w bardzo wielkiej przyjaźni z Panią Lusią Rohatyn² (nie znam jej dzisiejszego nazwiska po mężu ani miejsca zamieszkania). Zna Ją dobrze Pani Rena³.

Kiedy w jesieni 1943 roku w październiku zaczęto likwidować obóz, zgłosiła swe usługi (mieszkanie) dawna pielęgniarka Pana Zygmunta, Nela Droholec^a, Tarnowskiego 35 lub 37. Tam udał się z końcem listopada i tu w niewyjaśnionych przeze mnie przyczynach znalazł się w szponach gestapo. Stale troszczył się o Pana. Posyłał raz czy dwa razy pieniądze *via* Lublin, potem ja to czyniałam od siebie, ale z jakim skutkiem – Pan sam to wie najlepiej. W aptece widywałyśmy się co dzień, po opuszczeniu obozu 3 razy w tygodniu. O Jego losach dała mi znać znajoma d[okto]ra, pani Mikuta^b, u której miał złożonych 70 dolarów papierowych, palto i buciki, a które ta pani zatrzymała u siebie, mimo że potem z panią Rohatyn obie upominałyśmy się o to⁴.

Śmierć Pana Zygmunta była dla nas bardzo nieoczekiwana; przypuszczaliśmy, że uratuje się. Stało się inaczej. Papiery Jego może Pan łaskawie sam odbierze, bo mój uczeń stale mieszka we Wrocławiu, więc myślę, że nie ma sensu posyłać przez niego. Proszę mi dać wskazówki, zastosuję się całkowicie do nich.

^a Zapis niepewny.

^b Zapis niepewny.

¹ Żółte przepaski nosiła na ogół Żydowska Służba Porządkowa, której członkowie cieszyli się złą opinią wśród ludności żydowskiej.

² Brak bliższych danych.

³ Renata Stark-Cohen.

⁴ Zatrzymywanie mienia należącego do Żydów było częstym zjawiskiem.

Marian jest jeszcze we Lwowie, co trapi nas mocno, szczególnie moją matkę. Bardzo będziemy rade, jeśli Pan nas odwiedzi. Będę miała prośbę do Pana w tym wypadku, jeśli przyjazd Pana do Krakowa będzie aktualny. Jeśli nadarzy się Panu sposobność kupna taniego jakichś drobiazgów z porcelany Rosenthal, Meissen czy niedrogiej chusty tureckiej, prosiłabym Pana o to, bo jechać z Krakowa do Wrocławia na targ poniemiecki to zbyt kosztowna rzecz. Proszę tylko o te sprawunki pod jednym warunkiem, że Pan powie łaskawie prawdziwą cenę, gdyż w przeciwnym razie musiałbym z tego zrezygnować. Proszę przyjąć od nas dużo serdeczności, ukłony i uścisk dłoni.

Irena Lewicka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

[illegible]

1946 sierpień 31, Kraków – Irena Lewicka do Marcelego Starka. Podziękowanie za dokonany zakup i prośba o przyjęcie ucznia nadawcy. Kwestia rewindykacji resztek biblioteki Ossolineum ze Lwowa oraz zaproszenie do Krakowa

Wielce szanowny Panie Magistrze,

Spóźniłam się mocno z odpowiedzią na list Pana, który przyszedł równocześnie z przyjazdem Pani Reny. Przepraszam więc za opóźnienie i dziękuję za piękny flakon Meissen. Proszę tylko bardzo Pana o podanie ceny, inaczej przyjąć nie mogę, jak tylko zapłaciwszy zań. Nie po to prosiłam Pana o porcelanę, aby Pana naciągać, lecz po prostu dlatego, że myślałam o tanim i ładnym kupnie w terenie, gdzie Niemcy sprzedają rzeczy. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie gniewać się i napisać, ile mam przysłać pieniędzy. Może Pan będzie w Krakowie, to się wytłumaczę z intencji mojej, proszę mnie zrozumieć, że branie bez pieniędzy byłoby świństwem. Tyle o interesach, a teraz sprawy osobiste naszej rodziny.

We czwartek przyjechał Marian, ale zdaje się, że znowu wyjedzie do Lwowa, po rewindykację ostatków Ossolineum. W tej sprawie ma jechać do Warszawy po paszport. Wróciłby około 25 września, to jest w terminie ostatecznej likwidacji i Związku Patriotów, i Biura Organizacyjnego z ulicy Dąbrowskiego. Nie bardzo nam, to jest Matce i mnie, to podoba się, niemniej jednak ktoś musiał rzeczywiście dbać, aby dobro kulturowe, narodowe nie zostało umniejszone. Ten wzgląd przeważa nawet względy osobiste i uczuciowe.

Teraz prośba wielka do Pana, ażeby był tak dobry przyjąć mego ucznia Zbigniewa Lastroznika¹ (zgłosi się do Pana z moim pismem) i ułatwić mu przyjęcie na politechnikę, i umożliwić dostanie stypendium. Bardzo mi na nim zależy, bo chłopak jest wartościowy, ale w niezbyt dobrych warunkach finansowych. Proszę się nie gniewać, że Pana trudzę, ale przedostatnim listem ośmielił mnie Pan do tego. Czy otrzymał Pan papiery dr. Zygmunta? Sądzę, że tak, bo Matka wręczyła je Pani Renie.

Bardzo cieszylibyśmy się, gdyby Pan przyjechał do Krakowa, inaczej rozmawia się ustnie, a inaczej piórem. Czasu ma Pan jeszcze dość dużo do zaczęcia roku akademickiego.

Mnie zaprzęgli do roboty biurowej, do której, mówiąc szczerze, nie mam żadnego nabożeństwa. Wszystko to nudne i zbyt schematyczne – co wyklucza inwencję własną, jaką daje szkoła.

Proszę o list, tylko bezceremonialnie proszę odpisać na pierwsze wersety mego listu.
Łączę mocny uścisk dłoni,
Irena Lewicka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

¹ Brak bliższych danych.

Nr 45

1946 wrzesień 11, Kraków – Fragmenty listu Ireny Lewickiej do Marcellego Starka. Podziękowanie za pomoc w zakupie poszukiwanych przedmiotów. Estetyka i wartości duchowe w życiu człowieka

Dziękuję za list i tym razem odpisuję nań odwrotnie. Szkoda wielka, że Pan odkłada swój przyjazd w nieznane. A może to i lepiej, bo do tego czasu przypuszczalnie będziemy mieć własny kąt i Pan u nas zagości, tak, aby można dużo nagadać się. Dzięki również za podarunek, ale przyznam się Panu szczerze, że mam wielki z tym skrupuł, bo to wygląda na naciąganie z mej strony. Ucieszyłam się bardzo kupnem miski. Proszę mi tylko napisać, jaką drogą przesłać pieniądze, przekazem czy listownie. Gdyby Pan miał jeszcze jakieś podobne okazje, bardzo bym prosiła. Może to być jakaś filiżanka, figurka, talerz czy nawet serwis niezbyt drogi. Idzie mi o Meissen lub Rosenthal. Bardzo lubię porcelanę, mam nawet na tym punkcie słabość. [...] W czasie wojny sprzedawałam garderobę, bieliznę, a żałowałam tamtych gracików. A kiedy przyszło do wyjazdu, w pierwszym rzędzie myślałam o nich, niż o innych rzeczach. Właściwie wychodzę z tego założenia, że człowiek musi mieć pewną odskocznnię od szarzyzny życia, a poza tym musi mieć coś swego – tym właśnie jest wzruszenie estetyczne i zadowolenie, choć chwilowe z posiadania, możliwości oglądania i dotykania w każdej wolnej chwili ulubionego przez nas przedmiotu.

Moim zdaniem, człowiek doświadcza uczuć estetycznych i maksimum zadowolenia dwukrotnie: raz, gdy obcuje z przyrodą, drugi u siebie w domu, gdy ma na własność piękny obraz czy inne cacka. Nawet meble przy tym gasną. Nawiasem mówiąc, jest to rzecz niepotrzebna. Przychodzi jedna chwila, człowiek umiera i wszystko rozproszy się bądź też idzie w niepowołane ręce. Ale, że życie jest krótkie i pełne niespodzianek, należy się cieszyć tą małą chwilą, w której dane jest nam posiadać piękny przedmiot. Pod takim kątem widzenia zapewne pisał swą *Kuzynkę Bietkę* Balzac^a. Moim zdaniem, nie ma lepiej odtworzonego obrazu zbieraczy, jak w tym właśnie dziele.

Nie chcę Pana zanudzać listownie tymi sprawami. Pogadamy o tym ustnie.

Proszę przyjąć szczerzy uścisk dłoni i ukłony,
Irena Lewicka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 1.

^a W oryginale niewyraźnie: swego Kuzynka Bietka Balzaka. Powieść Honoré de Balzaca z roku 1846. Część dyptyku *Ubodzy krewni*.

1946 wrzesień 15, Wrocław – List Marcelego Starka do Ireny Lewickiej. Odpowiedź na prośbę o zakup porcelany i rozważania na temat kolekcjonowania oraz zapytanie o książki stanowiące dla autora rodzinną pamiątkę

Wielce Szanowna Pani,

Śpieszę z odpowiedzią na interesujący list. Porusza Pani w nim problemy, którymi interesuję się również. Ale o nich później. Zaczniemy od spraw bardziej przyziemnych, a mianowicie od możliwości nabywania porcelany. Jest ona teraz prawie żadna, z powodu wysokich cen. Dla przykładu podam kilka cen: talerz miśnieński kosztuje około 200–300 zł, a głęboki 500. Serwis sześciuosobowy kawowy miśnieński ponad 10 tys., rosentalowski około 6 tys. Figurka dwa miecze (Miśnia) parę tysięcy. Taka okazja jak z tą misą teraz się prawie nie zdarza. Będę się jednak usilnie starać zdobyć jeszcze pewne drobiazgi. Trudniej to teraz przyjdzie wobec likwidacji „szaberplacu”, mającej nastąpić w najbliższych dniach. Ale musimy coś zrobić.

Nie jest słuszne nazywanie zamiłowania do porcelany kolekcjonerstwem. Można by tak to nazwać tylko w tym wypadku, o ile jedynym motywem zakupu jej był jej wiek. Jeśli jednak ponadto żąda się, by przedstawiała sobą pewne piękno, oczywiście w tym małym zakresie, jaki jest do osiągnięcia przy porcelanie, to przestaje to być kolekcjonerstwem. To ostatnie ma miejsce przy zbieraniu znaczków pocztowych czy też książek, których się nie czyta, pudełek od zapalek itp. Jeśli jednak przedmioty kolekcjonowane dostarczają pewnego przeżycia psychicznego, bądź to wzruszenia czy też zadowolenia psychicznego trwałego, nieprzemijającego, to wówczas można mówić o głębszym podłożu, nadającym zbieraniu sens.

Czy to, iż nie sprzedawała Pani przedmiotów „niepotrzebnych” w czasie wojny, świadczy o kolekcjonerstwie Pani? Nie! Ani o alogiczności. Jest to tylko objawem innego, nieprzeciętnego ujmowania skali wartości przedmiotów – wartości nie w sensie pieniężnym – o innych potrzebach, o innym życiu duchowym, a raczej o życiu duchowym.

Rozumiem Panią tym lepiej, że reaguję tak samo. Do czasu najazdu hitlerowskiego jedyną rzeczą, którą posiadałem osobiście, to były jedynie książki – wyłącznie takie, które czytałem lub miałem zamiar czytać. I tych nie sprzedawałem tak długo, jak długo nie byłem do tego zmuszony. A pewną ich część, z którymi łączyło mnie jakieś wspomnienie, starałem się uratować, wyjeżdżając ze Lwowa. Czy to kolekcjonerstwo, gdy się ratuje książkę zdartą, pospolitą? Gdy przyjechałem do Wrocławia, stanąłem przed możliwością zebrania porcelany, zakupu obrazów, urządzenia estetycznego mieszkania. Jednak nie posiadałem najkonieczniejszych przedmiotów codziennego użytku. Oczywiście nie wahałem się, zająłem się w pierwszym rzędzie zbieraniem niepotrzebnych luksusów. Nie mam pościeli, nie mam zębów, powybijanych w obozach, ale mam estetyczne otoczenie. Co ważniejsze? Może to rozstrzygnąć tylko każdy osobiście.

Z drugiej strony nie jestem niewolnikiem tych przedmiotów. Mógłbym w razie konieczności zostawić to wszystko bez żalu, jak nie żałowałem niczego za czasów Hitlera. Jeślibym miał możliwość ratowania, to oczywiście tych luksusów, które są dla mnie potrzebą życia codziennego. Przede wszystkim obrazów, gdyż te dają istotne przeżycie,

w nich może tkwić istotne piękno artystyczne, podczas gdy porcelana i kryształy mają jednak charakter zabawki, pięknej, ale nie tworzy ich artysta z namietności, z najgłębszego wewnętrznego musu. Porcelana nie da wstrząsu, który może dać rzeźba, obraz, nie może czasem zaważyć na życiu jak utwór muzyczny. Zadawała ona jedynie poczucie estetyczne i to w wysokim stopniu. Nie można jej jednak wyczuć w tem, co jest najpiękniejsze i zarazem najbardziej przeraźliwe – w przyrodzie. Brak jej siły, jest tylko ornamentem. Życie jest miłsze w oprawie wyszukanego ornamentu, ale sens życiu nada dopiero twórczość łącząca się w harmonię, twórczość na najrozmaitszych polach.

Stara porcelana ma jednak jeszcze pewną właściwość. Łączy ona nas z minionymi pokoleniami, daje ona możność w rewolucjach – jak często bezmyślnych – odszukiwania stałego dążenia do piękna u ludzi dawno rozsypanych w proch, ale nie u najwyższych twórców, a właśnie u ludzi stosunkowo przeciętnych. Wykazuje ona, jak szeroko to dążenie jest rozpowszechnione. Z drugiej strony, gdy się przyjdzie do domu, w ciszy odpocznie i spogląda się na piękno tylko tej ornamentacji, jakież to wytchnienie daje po rozpasaniu tak męczącego dziś życia, gdy w każdą tkankę życiową wdzierają się rozpasy mob¹, tyranizujący myśl, sposób życia, postępowania. I to jest jedna z najważniejszych przyczyn konieczności tych przedmiotów. Ale to nie jest kolekcjonerstwo. Ta porcelana może być protestem przeciw ohydzie. A poza tym jakżeż ona jest potrzebna po skołatanu przejściami tej wojny, prawem kontrastu – ile dodaje uroku życia po latach spędzonych w stłoczonej masie, wśród brudu, wszy, wrzodów, głodu, potwornego stosunku człowieka do człowieka, chociażby był sam krzywdzony. Sensu jednak życiu nie nada, jak trudno znaleźć sens czegokolwiek po tem wszystkim.

Nie chcę jednak Pani zanudzać swymi myślami, które mi się nawinęły w czasie pisanego tego listu. Wracając jednak do życia, nie napisała mi Pani w ostatnim liście – co z Panem Marianem, czy faktycznie podejmuje się tej eskapady. Bardzo pragnę rozmowy osobistej z Państwem, ale przed jesienią nie da się to skutecznie. Co do ucznia Pani, jeszcze się nie zgłosił, byłoby wskazane, by to uczynił jak najwcześniej, zdaje się, że będzie egzaminować na egzaminach wstępnych.

Pozdrawiam bardzo serdecznie Pana Mariana, kłaniam się Matce i Pani.

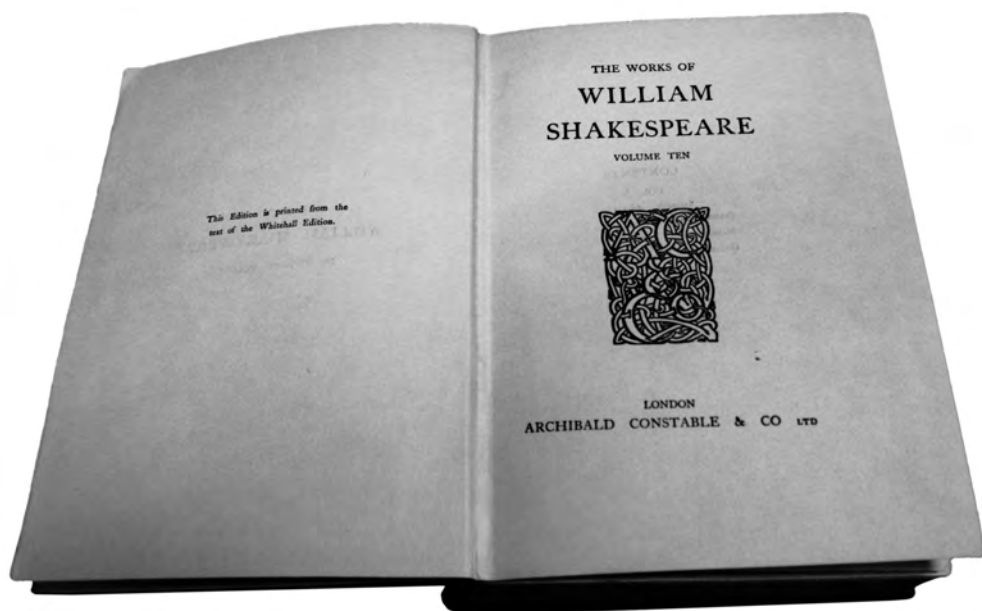
Łączę uścisk dłoni^a

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

¹ Mob (ang.) – tłum, tłuszcza.

PS Czy się zachowały przypadkiem oddane na przechowanie Panu Marianowi dzieła Szekspira w angielskim, 12 tomów oprawnych w niebieskie płótno oraz biografia Marii Curie, podarta broszura? Książki te w pewien sposób łączą się ze śmiercią mej Matki. Gdyby one ocalały, byłoby to dla mnie jedyną bodajże pamiątką po Matce i najcięższej chwili mego życia, gdy Ją utraciłem. Specjalnie chodzi mi o tom Szekspira zawierający Hamleta².

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.



Fot. M. Uryniewicz

Tom dzieł Williama Szekspira, rodzinna pamiątka Marcelego Starka

² Tomy te szczęśliwie przetrwały czasy wojenne i powróciły do Marcelego Starka. Dziś w posiadaniu spadkobierczyni, pani Barbary Krydy.

Nr 47

1946 wrzesień 20, Kraków – Irena Lewicka do Marcelego Starka. Podziękowanie za zakup porcelany i opiekę nad uczniem nadawcy, sprawy zawodowe. Do listu załączono dopisek brata nadawczyni, Mariana, przyjaciela adresata

Wielce Szanowny Panie Magistrze,

Dziękuję za list i przepraszam za trud, jaki sprawiłam Panu z wyszukiwaniem porcelany. Jeśli to tak dużo starań, proszę dać spokój z tym, wystarczy mi talerz, nie chcę obarczać Pana moimi prośbami. Proszę mi tylko łaskawie napisać, ile mam Panu wysłać pieniędzy. Jest mi ogromnie miło, że i Pan lubuje się w porcelanowych cackach i podobnie jak ja, nie żałuje Pan na nie grosza, choćby kosztem najkonieczniejszych rzeczy.

Marian tak prowizorycznie uplasował się w Krakowie. Właśnie nic bliżej nie umiem o nim napisać, bo prawie się nie widzimy. On śpi u prof. Kowalskich, a jest w domu o tej porze, w której ja siedzę bądź w biurze, bądź na lekcji. Wiem tylko, że wybiera się do Lwowa po resztę pak, która tym razem, jak zapewnia [...]a ma przyjąć na miejsce przeznaczenia bez trudności. Wczoraj wieczorem, kiedy Marian był na kolacji w domu, pokazał mi dokumenty Pana, które były u niego w przechowaniu. Jest to świadectwo maturalne i dyplom magisterski, a więc bardzo potrzebne papierki. Ponieważ boję się, aby nie zaginęły, Pan będzie tak uprzejmy i poda mi drogę ich przesłania, albo może, jeśli Pan wybierze się do Krakowa, weźmie je osobiście. Pewne książki Pana uratowały się, zresztą o nich dopisuje Marian. Zabierze je Pan, gdy będzie u nas, albo wyśle je pocztą. Zależy to od tego, co będzie pewniejsze.

Dziękuję Panu za pamięć o moim uczniu i nadal polecam się opiece Pańskiej, wiem, że na tym źle nie wyjdzie.

Od tygodnia mam dodatkową pracę, a mianowicie uczę na kursach gimnazjalnych i licealnych dla dorosłych. Uczniowie moi są to przeważnie ludzie dorośli, praca miła, bo mają zrozumienie dla nauki i wiadomości. Przyczynia się do tego i ten fakt, że do pracy nikt ich nie zmusza.

Ja jestem w swoim żywiole, bo mam pracę, którą lubię, i patrzę na młodzież. Żał mi jej zwłaszcza wtedy, gdy widzę, jak bardzo mało mają wiadomości i jak trudno idzie im praca w szkole. To są właśnie skutki wojny, które zapewne były i po tamtej, tylko że wtedy to nas wcale nie obchodziło, bo zbyt byliśmy młodzi, aby się nad czymś zastanawiać.

Mam wrażenie, że ten sam objaw obserwuje Pan i na politechnice, tylko że tam jest pewna selekcja i idzie o specjalizowanie, a nie o douczanie. Może Pan znowu coś napisać – bardzo mi będzie miło.

Łączę ukłony i uścisk dłoni,
Irena Lewicka

^a Fragment nieczytelny.

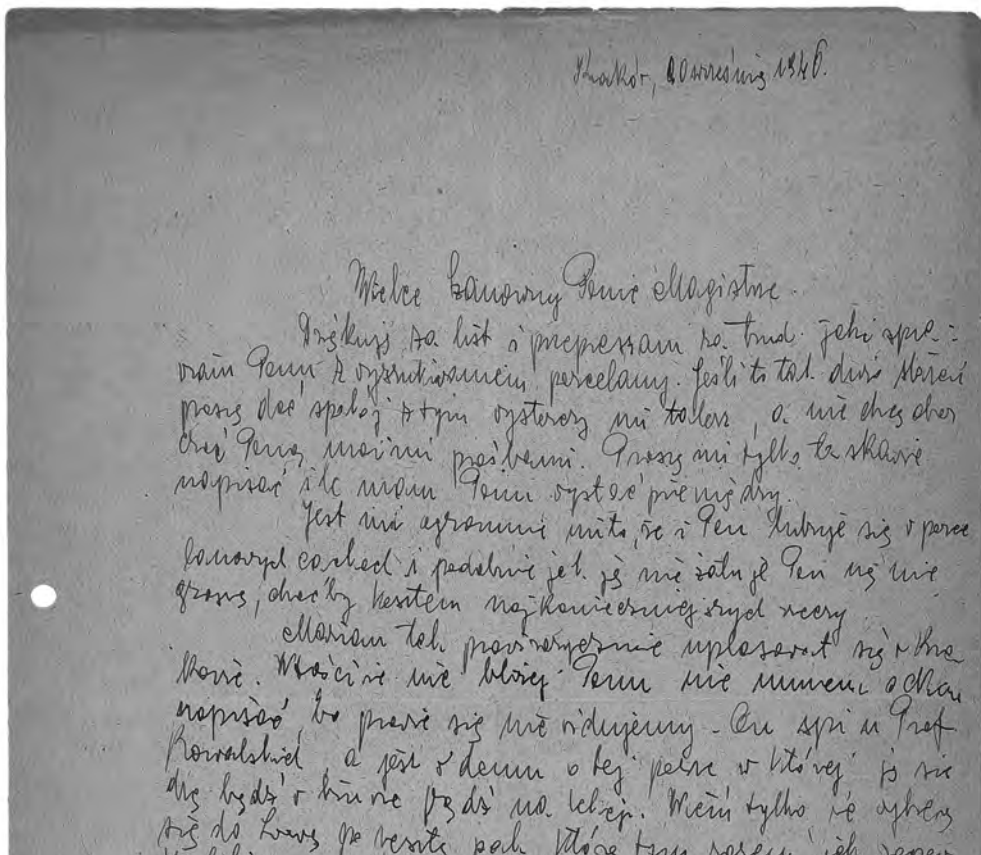
Drogi Panie Marceleb,

Ogromnie uradowałem się, dowiedziawszy się po moim przyjeździe, o pomyślnym przeżyciu tych ostatnich lat. Bardzo rad byłbym porozmawiać z Panem. Myślę, że może w najbliższym czasie okazja po temu nadarzy się, czy to Pan przyjedzie do Krakowa, czy też ja odwiedzę Pana we Wrocławiu. To i owo z Pańskich książek uratowało się jeszcze. Te oddam już Panu do rąk własnych. Pierwszą część (powiedziałbym gros) Pańskich książek doręczyłem w ubiegłym roku Pani Renie, z którą Pan niewątpliwie spotyka się.

Jak pisze już Panu moja siostra, wyszukałem teraz dosyć ważne dla Pana dokumenty: świadectwo maturalne i dyplom magisterski. Są one do odebrania w każdej chwili. Ja przyjechałem przed kilkunastu dniami do Krakowa i po trudach ostatnich miesięcy odpoczywam i staram się przystosować do nowych warunków. Idzie to jednak niezbyt łatwo.

Serdecznie Pana pozdrawiam i ukłony ślę^c

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.



^b Dopisek brata Ireny, Mariana Lewickiego.

^c Poniżej nieczytelny podpis.

Nr 48

1946 listopad 14, Kraków – Irena Lewicka do Marcelego Starka. Podziękowanie za opiekę nad uczniem. Złe samopoczucie pomimo otrzymania mieszkania. Tęsknota za Lwowem, żal z powodu wyjazdu

Wielce Szanowny Panie Magistrze,

Dziękuję za opiekę nad moim uczniem, za wszystkie trudy i oddanie. Z listu, jaki otrzymałam przed dwoma dniami od niego, dowiedziałam się, że dzięki Panu ma już miejsce na wybranym przez siebie wydziale. Jestem bardzo wdzięczna Panu za tę pomoc. Ale ci moi wychowankowie, a jest ich 30, to mają ustawiczne troski, stale piszą mi o swoich bólach i zapewniają, że dyplom ich uwolni mnie od starań. [...].

Poza tym u nas zaszły pewne zmiany. Dostaliśmy mieszkanie przy Krasińskiego, ładne trzy pokoje, ale w stanie niżej wszelkiej krytyki, tak że dwa tygodnie z górą trwał remont. Dziś jest już po wszystkich pracach, ale w domu istny chaos od mebli, których ustawiać nie mam czasu, a siły mojej Matki są na to za słabe. Miałam wprawdzie urlop na przeprowadzkę i urządzenie mieszkania, ale rozszedł się na bieganie, bo nadzwyczajna komisja mieszkaniowa uwzięła się na to mieszkanie, chcą mi je bezkarnie odebrać, więc trzeba było biegać, by szukać różnych dróg poparcia – do dziś jeszcze nie wiem, co dalej będzie. Idzie tu o pokój dla Mariana na pracownię i bibliotekę. Wdała się w tę sprawę PAU – oby nam nie zabierano pokoju. Ten strach o dach i spokój w mieszkaniu jest koszmarem utrudniającym nam życie.

Wie Pan, że mi się niczego nie chce. Straciłam całą energię i ochotę do pracy. Są momenty, że żałuję wyjazdu ze Lwowa. Przecież tam zostali Polacy, co byłoby im, byłoby mnie. Miałam dach mój własny, wprawdzie o niego toczyłam obronne batalie, ale było mi mniej żal, bo tym, który mi zmałował spokój, był wróg – a tu?

Zresztą całe życie, proszę Pana, to kiepski żart. Winien zeń korzystać tylko ten, który ma pieniądze, tupet, giętki kark – inni powinni ustąpić. Dobrą jest walka dla młodych. Ale gdy się jest poza Rubikonem, gdy się ma za sobą siedem lat ustawicznego strachu i walki obronnej, to trochę za dużo, człowiek wzdycha do odpoczynku. Niestety, jest to iluzja. W obecnych warunkach [...] nie tylko, że się zatracą własną osobowość, ale człowiek staje się nieczuły na otaczający go świat normalnych zjawisk.

Do tych wszystkich udręczeń przybywa tęsknota za Lwowem. Każda rzecz wydobywana z półek przypomina ściany i kąty własnego domu, który niewiadomo kiedy [się] zobaczy. Z każdą rzeczą łączy się wspomnienie ulic, sklepów i pewnych sytuacji – to jeszcze bardziej rozdrażnia. W ogóle najgorszą rzeczą w naszym życiu to masa wspomnień. Człowiek grzebie się w nich, choćby były najsmutniejsze – z dziwnym sadyzmem. Jest to wiwisekcja, dokonywana na samym sobie. Wtedy mimowolnie pytam się, po co to wszystko było potrzebne – jaki sens ma ta cała wędrówka ludów robiona w okresie najmniej nadającym się do stabilizacji.

Jestem do tego przemęczona nerwowo i stąd cały mój nastrój. Są chwile, że uciekałabym gdzieś w nieznane, byle nic nie widzieć i o nic nie troszczyć się. W biurze trzeba

^a Fragment nieczytelny.

siedzieć, czasem nawet beużytecznie i myśleć o tym, że w domu stara Matka wykonuje ciężkie prace, by uporządkować mieszkanie i ten lęk o nią, by była jak najdłużej i aby nic się jej złego nie stało.

Proszę się nie gniewać, że tyle dziś piszę, ale tak mi lżej będzie, jeśli się wygadam przed kimś dalekim, nawet wolnym. Są obawy, z którymi chodzę skrycie i nie mam nikogo, aby móc się wygadać, bo i Marianowi nie chcę mówić o tym, by go nie sugerować. Na razie kończę, bo i tak za dużo napisałam o sobie i zatrulałam Panu może przyjemny czas.

Łączę ukłony i uścisk dłoni,
Irena Lewicka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.

Wielce szanowny Panu Magistrowi

Przekazał mi pani wczoraj list, w którym pisała, że
wszystko tam idzie i dobrze. I listy, jakie otrzymałam
przed dwoma dniami od Ciebie, dowiedziałam się
że druzki Panu ma już miejsce na wybranych pias-
sach i wzdłuż. Jestem bardzo zadowolona, że
to panie. Proszę się mi śmiać, ale li mój
charakter i jest mi 30 to mam wstydzić.
Tęskniłam, że pan mi oświadczył i zapewniasz,
że dyplom od mojej matki od Ciebie. Jest to mi-
mo wszystko miłe i przyjemne, bo mam takie kłopoty
i utrudnienia, które muszę o Ciebie nie mówić
i być bliżej Ciebie i moim i moim ludem.

Proszę, bym w waszym piśmie pisała
dostaliście mi wiadomość, że w Krasniewie
ładnie z polami, ale i stanie mi się wspaniały
przegląd. Takie to dla Ciebie i dla Ciebie
i dla Ciebie. Jest już po wszystkim, proszę, ale
i dom i istny czas od polu i mebli, które
miałem mi moim czasem, a sity mój. Chciał
być na to. To jest. Chciałbym wyrazić wdzięczność

Nr 49

1946 listopad 24, Kraków – Irena Lewicka do Marceliego Starka. Podziękowanie za podarek. Wspomnienie o Lwowie. Zaproszenie do złożenia wizyty

Wielce Szanowny i Drogi Panie,

Bardzo dziękuję za pamięć i olbrzymie pudło cukierków. Zawstydza mnie Pan prezentami i ciągłymi dowodami przyjaźni, której na pewno nie jestem tak bardzo warta. Miałam kiedyś katechetę, X. Baziaka, późniejszego następcę Biskupa Sapiehy. Gdy Go odwiedziłam raz w Krakowie, na odchodnym powiedział mi tak: „Pamiętaj, przyjaźń zawiera się w młodości i ta trwa zawsze, potem jest się tylko zmuszonym szukać towarzystwa...”.

Kiedy otrzymuję listy, telefony od Pana, przypominają mi się te słowa. Dodam do nich i to, że łącznikiem jest także Miasto, którego nie da się wykreślić z pamięci. Wspomnienie o Jego ulicach, placach i domach nie zaciera się zupełnie. Nie wiem, czy wybrałabym się tam z wycieczką – chyba nie byłoby to dobre, można spłoszyć piękną wizję koszmarem rzeczywistości.

Kiedy Pan Doktor będzie w Krakowie? Może wybiorę się do Warszawy w jakiś dzień w okresie ferii świątecznych. Świąta, które nadchodzą, są dziś dla mnie smutne; trzeba od nich uciec.

Raz jeszcze dziękuję za wszystko i łączę wyrazy szacunku i mocny uścisk dłoni,
Irena Lewicka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.

1947 styczeń 15, Kraków – Irena Lewicka do Marcellego Starka. Choroba matki, praca habilitacyjna brata, gorycz z powodu straconych lat. Wrażenia z lektury fragmentu pamiętnika adresata

Wielce Szanowny Panie Magistrze!

Bardzo przepraszam, że list Pana musiał odczekać na odpowiedź. Nie mogłam prędkiej odpisać, ponieważ Matka nasza od Świąt ciężko zaniemogła na serce, a od dwóch tygodni leży w łóżku. Tej niedzieli, tj. dwunastego było nawet dość groźnie, dopiero jakiś zastrzyk z cardiamidu i innej jakiejś mieszaniny przywrócił ją na nogi. Dziś, dzięki Panu Bogu, jest lepiej, bo nawet próbowała nieco wstawać. Niemniej jednak boimy się o nią bardzo. Właściwie to może nie ma jakiejś większej wady, ale nerwowo jest wykończona. Ostatnie przejścia – od lwowskich począwszy, to znaczy awantury stałe o wolność mieszkania, zabór jego w nocy o 12 godzinie, pakowanie, wyjazd, zatrzymanie Mariana i nowe awantury o mieszkanie w Krakowie... Gromadziły się jak w kasie i wreszcie nastąpił wybuch, czego się bardzo obawiałam i co przeczuwałam, bo nawet zdaje się w liście do Pana dałam temu wyraz.

Poza tym Marian wykańcza pracę habilitacyjną i ma się habilitować, zdaje się, że w tym celu mają sprowadzić specjalistę Szweda, prof. Karlinjun^a [...] czy innego. Dużo czasu zabierają mu depozyty lwowskie (książki i meble), które stale trzeba wydawać.

Ja pracuję, jak zwykle, ale myślę całkowicie poświęcić się szkole i porzucić administrację, która mi wcale nie odpowiada, a zresztą są ku temu i inne przyczyny. Przede wszystkim jestem szalenie zmęczona wszystkim, pragnę zmiany, na którą się nie zanosì. Oboje z Marianem dochodzimy do wniosku, że jesteśmy ludźmi przeżyłymi, że nic już nas nie czeka. Przeszliśmy Rubikon i nic na to poradzić nie można. Trzeba czekać z dnia na dzień, aż przyjdzie kres mało ciekawego życia. Tak, siedem lat wojny zrobiło w każdym wyrwę, której nikt i nic nie zdoła usunąć. Wieczna gonitwa za namową zabija istotę myślącą, która oprócz żołądka ma i myśl. Ta ostatnia leży odłogiem, bo nie ma czasu, by coś przeczytać, nad czymś podyskutować. Człowiek spala się w tej tępej i beznadziejnej bieganinie do celu, którym jest kawałek brudnego papieru.

Przeczytałam plastyczny opis jednego wyimka z pamiętnika Pana. Obrazek żywy, mrozący krew. Pomyślałam sobie, że zrozumieć może go jedynie ten, kto jak my oglądał hieny mieniące się ludźmi; ktoś obcy, z zagranicy nie potrafi tego pojąć – będzie mu się wydawało zwyczajnym wymysłem ludzkiej fantazji. Kiedyś, gdy Pan będzie miał całość, chętnie ją przeczytam. Dr Zygmunt również pisał pamiętniki z obozu, ale on najwięcej miejsca poświęcił gestapo. Czytał mi je w całości. Były tam obrazki takie, które wydawały się niewiarygodne, że w obliczu śmierci człowiek jest jeszcze taki podły.

W przeddzień Wigilii otrzymałam od Pana kryształ i misę, za co bardzo dziękuję i poproszę o łaskawe podanie ceny, abym mogła oddać zwrotnie dług. Piękne to rzeczy i sprawiły mi wiele przyjemności.

^a Zapis niepewny.

^b Fragment nieczytelny.

Ponownie zapraszam Pana do nas bez żadnego skrępowania. Miejsce i pościel jest – zatem czekamy. Proszę tylko bardzo o tym nie zapominać, jak też i o tym, by podać mi wysokość mego długu.

Łączę ukłony i uścisk dłoni,
Irena Lewicka

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.

Anahor, 15.5 1947.

Wells Lawing Poole Magazine.

Pravda prejavila, ki hiti Peru. muniti edenkrat na obsevnih.
 Mit močnam pridruži adriatic, panicev. Moč, naka od njih egipt
 panicev, na serce, a od dobeh hvedni krig v tolik. Tej močnobi
 j. 12. hje močvet obid' qras'nie, dipier jeh's castong. & castorodri
 i mney jeh'p' močnamiy pporodet jz mo. nagi. His drigke Peru
 Bagn jest lepig, he močvet podhevelo mney vstave. mo mney jednaki
 heimay sig o mgy hvedo. Wfca'ne to močvet mit moč jeh'p' v' hney
 vobly, ale mney jest vybavay, Gskfni močvje od hney
 pmozny to močv amentay state o vobud' močvay, vob' jz
 r mgy o 12 gedinie, pberanie, vjzjed, hney mney obmney
 i nade amentay o močvay v kheri. Gromaditay sig jeh.
 r vone i vone mney p' vobud, vze sig hney obmney, o co
 močvay, to močv vje sig r hney do Peru dotam teni vje.

Pro tym czasem gheing pacy habilitacying i mo se
habilitow, toje sy pie o tym celu mogy spawolow spozylow
wolow prof habilitowow on innego. Tys owow habilitow ghe obo
owty wendow (hazow i meble) htoow steli tawow rykowow.
Je pacyng, je wryle, ale mogle cethowow pacyngic sy owole
i pacyngow administrowow, htoow mi owale mi odpowowow, owow
ty sy hu temow i mowow pacyngow.

Grave symptoms: tetan, pallor, increased sweating, prof

Nr 51

1968 grudzień 3, Kraków – Irena Lewicka do Marceliego Starka. Przesłanie podarunku, wspomnienie o Lwowie

Drogi Panie Marceli,

Gdy rozwinie Pan tę paczuszkę, proszę na chwilę przymknąć oczy i przenieść się daleko nad Pełtew, gdzie leży „Bardzo przyjemne miasto”. Jest śnieg na ulicach i dachach kamienic, kościołów i ratusza. Spod niego wyglądają dwa łby lwów, kamienne, ale mają kły. Lata nam dwojgu odpadły. Jest Pan w tej chwili dzieckiem.

Przez ulicę Kleparowską idzie [...] ^a trójka batiarów. Dziś przebrali się w infułę biskupią, diable rogi, a trzeci dopasował skrzydła – wszyscy niosą kosz dla grzecznych, rozpalonych ciekawością dzieci. Patrzymy na nich zza szyby, nasze nosy spłaszczyły się, tak blisko stoimy szyby, by zobaczyć te dziwy, a może przyjdą i do nas...

Proszę przez chwilę nie rozpraszać złudy, a potem normalny powrót na ziemię i... filiżanka dobrej herbaty.

Irena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.

^a Fragment nieczytelny.

VIII. Korespondencja z Renatą Stark-Cohen

Nr 52

1947 sierpień 1, Wrocław – Renata Stark-Cohen (bratowa) do Marceliego Starka. Zdrowie nadawcy, śmierć profesora Suchardy. Znajomi

Drogi Musiu,

Odpisuję Ci dopiero dzisiaj na Twój list, ponieważ po opuszczeniu Puszczykowa spędziłam tydzień w Wałbrzychu i wczoraj wieczorem wróciłam do Wrocławia.

Czuję się nieco mocniejsza, chociaż wygląd mój niewiele się poprawił. Znajomi, których spotykam, pytają mnie, kiedy pójdę na urlop, gdyż wyglądam mizernie. Ze śmiechem wyprowadzałam ich z błędu, że właśnie wróciłam z urlopu. Ale mniejsza z tym.

Wśród korespondencji przybyłej w czasie mej nieobecności znalazłem list od Schächtera¹, co mnie bardzo uradowało. Nie pamiętam, czy Ci wspominałam, że od paru miesięcy już nie miałam od niego żadnej wiadomości, czym byłam mocno zaniepokojona. Pyta mnie też, czy wysłać mi papiery do Boliwii. Okazuje się, że pisał do mnie kilkakrotnie z Boliwii, lecz listy zgubiły się prawdopodobnie, gdyż nie otrzymałam żadnego. On ze swojej strony b[ardzo] się martwi moim milczeniem.

Drogi Marceli, po Twoim niedbałym sposobie pisania wnioskuję, że jesteś b[ardzo] przemęczony i że niczego Ci się nie chce. Odpoczywaj więc jak najwięcej, nie forsuj się, to nic, że trochę przytyjesz. Musisz wrócić do formy, gdyż w nowym roku akademickim czeka Cię świeża harówka.

Na pewno wiadomo Ci już o śmierci prorektora Suchardy². Dowiedziałam się o tym z gazet i b[ardzo] mnie to zaskoczyło. Był tak pełen energii, tyle zdziałał dla politechniki i nie wiem, czy się znajdzie ktoś, kto mógłby go zastąpić.

Od Lewickich³ z Krakowa nie mam żadnej wiadomości, lecz otrzymałam komunikat PTO (Polsk[ie] Tow[arzystwo] Orient[alistyczne]) pisany ręką Mariana, z czego wnioskuję, że jest zdrow i urzęduje.

Tymczasem tyle.

Najserdeczniej Cię pozdrawiam, pa, napisz, kiedy przyjedziesz.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 2.

¹ Brak bliższych danych.

² Edward Sucharda (1891–1947) – wybitny chemik, profesor i prorektor Politechniki Lwowskiej.

³ Chodzi o Irenę i Mariana Lewickich.

Nr 53

1953 wrzesień 8, Krynica – Renata Stark-Cohen wraz z mężem Henrykiem Cohenem do Marcelego Starka. Relacja z wczasów w Krynicy. Zachęta do przyjazdu dla podreperowania zdrowia

Kochany Musiu,

Nie gniewaj się na mnie za to, że tak długo do Ciebie nie pisałam, ale przed wyjazdem byłam zawałona robotą i wzięłam ją jeszcze ze sobą do Krynicy. Po tygodniu znów otrzymałam porcję roboty, którą trzeba było zrobić. Teraz jesteśmy swobodni, całe dni spędzamy na powietrzu, poza tym chodzę na zabiegi, tylko na natryski. Przyjechaliśmy zupełnie wypompowani, przy czym wylądowałam tak źle, że lekarze tutejsi nastraszyli trochę Henia, twierdząc, że jestem poważnie chora. Ciśnienie miałam wysokie, ale już po tygodniu opadło, zaczęłam się poprawiać i dzisiaj czuję się już zupełnie dobrze. Pomogły mi powietrze, odpoczynek i natryski, kąpeli kwaso-węglowych nie mogłam brać ze względu na wysokie ciśnienie.

Spotkałam tu szereg pracowników P[olskiej] A[kademii] N[auk], którzy byli na wczasach leczniczych, przeważnie pełnopłatnych, tj. 40 zł dziennie. Jak Ci wiadomo, i my również korzystamy z wczasów leczniczych, z których jesteśmy bardzo zadowoleni. Pokoik b[ardzo] maleńki, jedzenie świeże i obfite, towarzystwo różne, od robotników poprzez urzędników do lekarzy, adwokatów i dyrektorów po członków Akademii. Kierownictwo b[ardzo] dba o wszystkich i wszyscy są zadowoleni.

Nie wiem, jakie masz plany, jeżeli chodzi o wypoczynek, ale bardzo radziłabym również postarać się o wczasy lecznicze w Krynicy. Bardzo dobrze Ci zrobią kąpiele mineralne i być może czterokomorowe, są jeszcze różne inne, lekarz badający decyduje, jakie zabiegi są każdemu potrzebne. Krynica jest piękna, górzysta, straciła dawne swoje oblicze, nie widać wyfiokowanych panius, tylko robotników, robotnice i inteligencję pracującą.

Nie chcę sugerować tego rodzaju wczasów, ale wydaje mi się, że w Krynicy podreperowałbyś trochę swoje zdrowie.

Około połowy mies[iąca] września będziemy już we Wrocławiu.

Ściskamy Cię serdecznie,
Rena i Henio

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 2.

Nr 54

1957 kwiecień 14, Jerozolima – Renata Stark-Cohen oraz Henryk Cohen do Marcelego Starka. Pierwszy list z Izraela po wyjeździe z Polski. Wrażenia z podróży i dotarcia do celu. Kwestia pracy i urzędzenia się w nowych warunkach

Kochany Marceli,

Zapewne otrzymałeś nasz list z Genui, teraz jest to pierwszy mój list z Izraela. 12 marca w nocy umieszczono nas w pensjonacie niezbyt wygodnie, bośmy byli z Chwatami i dwojgiem ich dzieci w jednym pokoju, łóżko przy łóżku. Z trudem można było przejść, poza tym było dosyć chłodno i b[ardzo] wilgotno. Oboje z Heniem całymi dniami wędrowaliśmy po mieście, oglądaliśmy wspaniałe sklepy (kupujących bardzo niewiele lub wcale), chodziliśmy nawet do muzeów, o ile wstęp był bezpłatny lub kosztował bardzo mało, bośmy nie mieli żadnych pieniędzy. W Genui byliśmy 12 dni w oczekiwaniu na okręt i dwudziestego czwartego odjechaliśmy niewielkim statkiem włoskim o bardzo zachęcającej nazwie „Pace”. Z początku wszystko się podobało, ale jak zaczęło kołysać, to wszyscy stracili humor. Mieliśmy pecha, bo statek akurat w czasie tej burzy przeszedł 3 sztormy, tak że nawet Henio się poddał, chociaż ani on, ani ja, nie przechorowaliśmy się ani razu. Ku naszemu zdziwieniu równie dzielną, a może najdzielniejszą okazała się Dziunia, kuzynka Henia.

Do Hajfy przybyliśmy w piątek 29 marca o świcie. Po załatwieniu różnych formalności zeszliśmy o 10 godz[inie] ze statku, w porcie jeszcze formalności, zaopatrzenie się w jakąś żywność i w południe pojechaliśmy oboje z Heniem taksówką (Agencja Żyd[owska] opłaciła za nas należność) do Jerozolimy, gdzie mieszka moja kuzynka, do której byłam zaproszona. Bardzo dobrze nas przyjęli, mieliśmy tam wikt i opierunek. Po kilku dniach przenieśliśmy się do pewnego rodzaju hotelu należącego do Agencji Żydowskiej, która nam też udzieliła pożyczkę w sumie jednomiesięcznej, najskromniejszej pensji. Z tego opłaciliśmy czynsz i śniadania. Od czasu do czasu wykupujemy bloczki na kolacje, na obiad robimy sobie przeważnie jajka i sałaty z jarzynami i jesteśmy b[ardzo] zadowoleni. Kuzynka załatwiła nam też przydział dwupokojowego mieszkania, trochę za miastem (20 minut autobusem) i w przyszłym tygodniu pojedziemy obejrzeć je.

Zaraz po przyjeździe zgłosiłam się do sekretarza uniwersytetu, który był uprzedzony o moim przyjeździe i od razu zaczął działać. Umówił mnie z dziekanem [...] humanistą-orientalistą i drugim profesorem, kierownikiem tutejszej orientalistyki. Doszliśmy do porozumienia i po kilku dniach zawiadomił mnie sekretarz uniwersytetu, że orientaliści złożyli już do rektora wnioski. Otrzymuję tytuł „pracownika-badacza” (tłumacząc z hebrajskiego) i otrzymam czasowo stypendium. Moim obowiązkiem będzie pogłębiać znajomość języka hebrajskiego i przysługuje mi prawo prolongowania moich prac naukowych, które rozpoczęłam we Wrocławiu. W razie konieczności obarczą mnie już w październiku (nowy rok akad[emicki]) niewielką ilością godzin zajęć ze studentami. Stypendium przewidziane od 1 kwietnia, tzn. od dnia przybycia tutaj, do końca roku akademickiego 1957/58, po czym nastąpi nominacja. Uważam, że to, co mi tutaj na uniwersytecie proponują, jest bardzo korzystne dla mnie, bo będę miała dosyć czasu na zaaklimatyzowanie i poznanie języka, co jest niezbędne dla humanisty.

Sprawą uzyskania pracy dla Henia jeszcześmy się nie zajmowali, ponieważ czekaliśmy na definitywne załatwienie mojego przyjęcia, bo gdyby moje *engagement*¹ nie było aktualne, wówczas nie miałoby sensu pozostać w Jerozolimie i trzeba było udać się to Tel Avivu czy gdzie indziej i tam szukać czegoś. A tak rozpoczniemy działać po świętach wielkanocnych i mam nadzieję, że uda się coś zdobyć i dla Henia.

Tymczasem oglądamy trochę miasto, o ile nie jest zbyt gorąco, bo np. w ostatnim tygodniu wciąż był chamsin², który przyniósł dość silne upały, a te nastąpiły po przykrych chłodach w pierwszych dniach kwietnia.

Jedno Ci mogę powiedzieć, że jesteście oboje z Henrykiem bardzo a bardzo zadowoleni mimo mojego hexenschussu³, który mi uniemożliwił wyjazd do Tel Avivu (właśnie wybieraliśmy się z Heniem w odwiedziny do różnych krewnych i znajomych) jesteście pogodni i pełni optymizmu.

Ściskam Cię mocno.
Rena

Kochany Panie Marceli^a,

Nie mam wątpliwości, że Jerozolima spodobałaby się Panu, tak jak i nam. Jest piękna i skromna. Domy o modnej linii, zupełnie nowoczesnej architekturze, frontach z kamienia. Wszystko otoczone zielenią. Cyprysy i sosny obok palm. Klimat bardzo zmienny. Kilka dni było upalnych, przypominających polski lipiec, dziś zaś chłodno jak na początku polskiej wiosny. Miasto leży wysoko, na szczycie gór kamiennych, powyżej 800 m nad poziomem morza.

Nowy uniwersytet obecnie w budowie i dość dużo obiektów jest już gotowych. Zwiędziłem zakład fizyki umieszczony w 4 parterowych budynkach, 8 takich budynków ciągnie się w 2 rzędach, a na początku jest Canadian-hall, gdzie mieści się sala wykładowa, zupełnie nowoczesna, dla botaniki, a którą posługuje się i fizyka, gdyż główny gmach fizyki nie jest jeszcze gotowy. Jak już wspominałem, oprowadzono mnie po zakładzie i poznałem większość pracowników naukowych. Bardzo mi się spodobało ich zachowanie, ani śladu jakiejś dumy lub zarozumiałości. Nie spodziewałem się, że zastanę takich ludzi i jeżeli pisało się w reportażach, że ludzie tutaj się zmienili, nie przypuszczałem, że tak na korzyść.

Mieszkamy w hotelu-pensjonacie, mamy ładny pokój, jesteście jak na wczasach. Tęsknimy już za własnym mieszkaniem i naszym bagażem. Stary jest jeszcze w drodze i chcielibyśmy się już urządzić. Sprawy mojego zajęcia jeszcze nie zaczęliśmy, gdyż chciałem, aby naprzód Rena się urządziła. Dla mnie widoki są nienadzwyczajne i sędzę, że poza Jerozolimą byłoby lepiej. Dziś jednak nic jeszcze na ten temat powiedzieć nie mogę i sędzę, że bliska przyszłość rozstrzygnie i tę sprawę.

^a Dopisek Henryka Cohena.

¹ *Engagement* (fr.) – zaangażowanie, zatrudnienie.

² Gorący i suchy wiatr pustylny, wiejący od wschodu, niosący ze sobą cząstki pustynnego piasku. Często występujący na Bliskim Wschodzie.

³ *Hexenschuss* (niem.) – lumbago, ból kręgosłupa lędźwiowego.

Co u Pana? Czy często Pan wyjeżdża z Warszawy? Czy był Pan już w Wrocławiu po naszym wyjeździe?

Serdecznie ściskam i pozdrawiam,
Henek

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 2.

[illegible]

Nr 55

1957 listopad 16, Jerozolima – Henryk Cohen w imieniu swoim i żony, Renaty Stark-Cohen, do Marcelego Starka. Akomodacja w Izraelu. Nowe warunki mieszkaniowe. Problemy z nauką hebrajskiego, porada, by zacząć uczyć się jak najszybciej

Drogi Panie,

Otrzymaliśmy Pański długi list z 20 października i dopiero dziś zabraliśmy się do odpisania, bo codziennie robimy sobie wyszepty i wymówki wzajemnie, aż dzisiaj Rena mnie przelicytowała. Wyczyściłem okulary, napelniłem pióro, zacząłem szukać papieru do listów lotniczych i tu Rena mnie zaskoczyła, podając mi stukartkowy blok.

Przyzwyczailiśmy się już do naszego mieszkania i czujemy się w nim jak w domu. Tak samo do miasta i kraju. W przeciągu kilku tygodni mieszkanie nasze będzie już urządzone (ale niezapłacone), mamy dostać kredens i stół z krzesłami. Obecnie robi się dla nas regały na książki i biurko. Jeżeli Julek będzie jeszcze u nas do tego czasu, to sфотографuje nasze pokoje i prześle zdjęcia.

Przed południem jestem w szpitalu, a i po południu zachodzę tam na 1 do 2 godzin¹. Obiady jem w szpitalu, są bardzo dobre i tanie jak na tutejsze stosunki. Stosunki koleżeńskie bardzo miłe, tak że na ogół jestem zupełnie zadowolony. Praktyki prywatnej nie zacząłem, gdyż mieszkanie nieurządzone. Naukę języka hebrajskiego przerwałem na 2 miesiące, gdyż zastępowałem kolegę, który wyjechał na ten czas do Niemiec Zachodnich. Wiele na tym nie zarobiłem i Rena beszta mnie obecnie za przerwę w nauce. Ale czuję się jeszcze młody i mam czas, po co się spieszyć. Język oporny. Radzę Panu zacząć się uczyć, w promieniu dwugodzinnego spaceru można się tym językiem posługiwać.

Cieszę się, że Pan schudł. Niewątpliwie będzie się czuł Pan przy zmniejszonej wadze dużo lepiej [...]. Ciekawi jesteśmy na Pańskie prace, obecnie w dziele. Myli się Pan, że sprawy matematyki nie interesowały nas. Wręcz przeciwnie, powinien Pan sobie przypomnieć, że często dopytywałem się, tylko że Pan niechętnie o tym mówi. Spodziewamy się przerobionej algebry, geometrii analitycznej, a co trzecie, nie możemy się domyślić.

Henryk

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

¹ Henryk Cohen był z wykształcenia lekarzem.

Nr 56

1958 marzec 8, Jerozolima – Henryk Cohen w imieniu swoim i żony, Renaty Stark-Cohen, do Marceliego Starka. Radzenie sobie z nadmiarem pracy. Trauma okupacyjna a konieczność nawiązywania współpracy naukowej

Drogi Panie,

Otrzymaaliśmy już drugi list Pański i z opóźnieniem odpowiadamy. Rena ma już od długiego czasu wyrzuty sumienia, że nie pisze, ale nie pisze, chociaż ma wiele mniej zajęć aniżeli ja. Powodem tego jest to, że mamy na sumieniu bardzo dużo korespondencji niezafatwionej i napisanie jednego listu bardzo nieznacznie zmniejszy listę. Współczujemy Panu, że jest Pan tak bardzo zaabsorbowany pracą i nie może na kilka tygodni wyjechać do Zakopanego na odpoczynek, który jest tak niezbędny, zwłaszcza wobec przeciążenia pracą, do której dochodzą coraz to nowe obowiązki. Stan nerwowy jest najprawdopodobniej wynikiem przepracowania i przydałoby się odetchnąć. Szkoda, że planowana Pańska wycieczka ograniczona jest do kilku dni. Nie możemy zrozumieć, dlaczego – wspominając o tym wyjeździe – użył Pan wyrażenia: z niechęcią tam pojadę. Trzeba zapomnieć raz o tragicznych przeżyciach z czasu okupacji i nawiązać kontakty naukowe osobiście. Cieszymy się, że jest Pan zaproszony do Edynburga przez tak poważnego naukowca. Spodziewamy się, że będzie Pan miał przygotowany referat, jeden lub dwa, które zawierać będą materiały interesujące Pańskich zagranicznych kolegów. Do nas bardzo często, przeciętnie dwa razy w miesiącu, przyjeżdżają zaproszeni goście z zagranicy (mam tu na myśli specjalistów z zakresu medycyny), którzy nie ograniczają się do zwiedzenia szpitali i pracowni, ale – chcąc się niejako zrewanżować – wygłaszają jakiś referat. Zaznaczam, że nie są to rewelacje. W Warszawie lub Wrocławiu nie mielibyśmy odwagi udzielać Panu tych rodzinnych rad, gdyż obawialibyśmy się bury za wtrącanie się do nie swoich spraw, ale na taką odległość nabraliśmy odwagi. Rena jest na tyle bezczelna, że dodaje: a powiedz Musiowi, ażeby porządnie przygotował referat i dał dobremu angielskie do przejrzenia. [...]

Ślemy Panu wiele serdecznych pozdrowień,
Rena i Henryk

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

1958 wrzesień 29, Jerozolima – Renata Stark-Cohen i Henryk Cohen do Marcellego Star-ka. Sprawa adaptera, wyjazdu do Paryża i wspólnych znajomych. Tęsknota wzajemna i chęć spotkania

Drogi,

Otrzymaliśmy wczoraj list obszerny z mnóstwem wiadomości, które przeczytaliśmy z mieszanymi uczuciami. Wprawdzie większość nowin jest pocieszająca, ale są i takie, które wprawiają nas w żal. Przed kilkoma dniami wysłała Rena list, który nawet do połowy nie był mi znany, gdyż kończyła go pod moją nieobecność w domu i dlatego niektóre sprawy będą poruszone po raz wtóry, jednak tym razem postanowiłem odebrać Renie prawa autorskie, aby wyczerpująco na poruszone w ostatnim liście do nas kwestie odpowiedzieć.

Cieszymy się powodzeniem w Anglii, cieszymy się powodzeniem i zadowoleniem z pracy zawodowej, gdyż jest to sprawa bardzo ważna i pocieszająca. Z okazji jubileuszu składamy najserdeczniejsze życzenia, których ani wyrazić nie potrafimy w pełni, a sądzimy, że również i nie potrzebujemy. Rozumiemy, że bukiet róż ofiarowany przez współpracowników z tej okazji potrafił uczynić to lepiej, aniżeli mogą nasze słowa. [...]

Obecnie chcę poruszyć wszystkie sprawy poruszone w liście, uważając, że najlepiej będzie, jeżeli usunie się przy tym wszelkie sentymenty.

Sprawa adaptera: chcieliśmy to załatwić stąd, jednak nadarzyła się nam lepsza sposobność przez znajomych, którzy wyjechali do Anglii. Sprawę proszę uważać za załatwioną i nie będzie żadnej „przykrej sytuacji wobec prof. Offorda”¹. Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, czy adapter ten już nadszedł w porządku i czy jest to taki sam, jakiego sobie życzyliśmy.

Co się tyczy zaproszenia do Paryża, to uważamy, że nie należy zaprzepaścić okazji, a koszta przy skromnym zachowaniu się zagranicą nie są znowu takie duże. Jeśli chodzi o podróż, to my pomożemy, a co do pobytu w samym Paryżu – zapraszam do mojego dobrego przyjaciela z czasów bucharskich, człowieka zamożnego, p[ana] Lemera. Jeśli ta propozycja jest odpowiednia, proszę nam napisać, a my się z nim porozumiemy i nie mam wątpliwości, że z radością ją podejmie.

Z dużym żalem przeczytaliśmy wiadomość o tęsknocie za nami i przygnębiającym uczuciu samotności. Również i nas gnębią podobne uczucia, ilekroć Pana wspominamy, a dzieje się to bardzo często. Ponieważ jednak postanowiłem ograniczyć sentymentalną nutę, chcemy rzeczowo coś w tym kierunku uczynić. Otóż marzymy o tym, aby nas Pan odwiedził tutaj. Po pierwsze przejazd jednej osoby jest dużo mniej kosztowny, po wtóre warto ten kraj zwiedzić, bo jest co widzenia godne. [...]

Jeżeli spotka się Pan z naszymi wspólnymi znajomymi, prosimy oddać w naszym imieniu bardzo serdeczne pozdrowienia. Z dużą sympatią wspominamy Panią i Pana Ślebodzińskich, Hartmanów, Drbotów. [...]

¹ Zapewne Albert Cyril Offord (1906–2000) – brytyjski matematyk związany z London School of Economics.

Łączę bardzo wiele najczulszych życzeń, a pośród nich: do rychłego zobaczenia,
Henryk

Kochany Musiu, Henio odebrał mi ołówek, więc nie mogę nawet porobić poprawek w jego liście, który o te się prosi. Poza tym muszę coś sprostować w jego liście, a mianowicie to, że wprawdzie zwolniony jest od dyżurów nocnych i „popołudniowych”, lecz mimo to musi być codziennie również po południu w szpitalu, skąd wraca między 8.30 a 9 do domu. Henio zagląda mi przez ramię, co piszę, i mówi: to podłość, pisać, że wracam o godz. 9, dlatego tylko, że mi się to raz zdarzyło.

Otrzymałam od Ireny list z życzeniami urodzinowymi, zarówno w tym liście, jak i poprzednim przebija się właśnie rozgoryczenie, o którym i Ty wspominasz. Faktem jest, że wymagająca miłość matki i przesadne poczucie obowiązków wobec matki zniszczyły życie zarówno Mariana, jak Ireny. To jedna sprawa, a druga to, że Irena nie bierze życia tak, jak należałoby, a skutkiem tego cierpi. Brak jej równowagi psychicznej i jakiegoś spokoju wewnętrznego, wyrazem tego było jej namiętne wędrowanie po górach w czasie przebywania na wczasach.

Drogi Musiu, również Ty nie rozklejaj się, trzymaj się jakoś. Jesteśmy sercem i myślami przy Tobie! Pragnę, ażebyśmy mogli Ci użyczyć trochę naszej pogody i spokoju, chociaż – obiektywnie rozważając – nie ma powodów do optymizmu, bo *primo* wiek i zdrowie nasze, że się tak wyrażę, już nieco zużyte, a i praca zarówno moja, jak i Henryka, nie jest stała, tzn. że nie mamy etatów (z powodu wieku), ale mimo to jesteśmy w humorze i dobrej myśli.

Serdecznie Ci dziękuję za pamięć o moich urodzinach, ściskam Cię mocno i nie zaniedbuj korespondencji do nas.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

1958 wrzesień 29, Jerozolima – Renata Stark-Cohen i Henryk Cohen do Marcellego Starka. Kwestia nieudanej podróży do Paryża i planowanej wizyty w Izraelu. Problemy z przesyłkami pocztowymi

Kochany Musiu,

List Twój z dnia 8 marca otrzymaliśmy, serdecznie Ci dziękujemy za pamięć i troskę o nas, jako też za wyrażoną gotowość zakupienia potrzebnych mi książek, który to temat jeszcze poruszę nieco niżej.

Z przykrością dowiadujemy się, że zaszły zmiany, które uniemożliwią Ci wyjazd do Paryża. Wszak przyrzekłeś matematykom francuskim, że wygłosisz odczyt. To niesłuszne, że niektórzy panowie z Akademii rozjeżdżają się bez przerwy po świecie, podczas gdy inni nie mogą wyjechać, mimo że mają zaproszenie do wygłoszenia odczytu, który n[ota] b[ene] byłby dobrą propagandą dla nauki polskiej.

Rozmawiałam z prof. Robinsonem. Jest to stosunkowo młody człowiek, nie spodobał mi się, ale to jest sprawa drugorzędna. Przedstawiłam mu wiadomą Ci sprawę, długo się zastanawiał i nie dał mi odpowiedzi. Chociaż brak odpowiedzi jest podobno też odpowiedzią, to ja osobiście jestem zadowolona, gdyż pomysł Twój wcale mi się nie podoba. Prof. Rob[inson] proponuje Ci wygłoszenie tutaj odczytu. Takie odczyty są tutaj płatne, jak mi wiadomo profesor gość otrzymuje od 50–70 lirów izr[aelskich], uważam, że nie powinien zbytnio się ekspensować przy sposobności przyjmowania p[ana] R[obinsona], gdyż wcale niepotrzebne Ci zobowiązanie go do rewanzu w czasie Twoich odwiedzin u nas. Utrzymanie Twoje i koszt zwiedzenia kraju nic Cię nie będą obciążać, gdyż bierzemy to na siebie i wcale to nie będzie połączone dla nas z uszczerbkiem.

W następnym liście doniosę Ci szczegóły dotyczące kosztów podróży samolotem do nas. [...]

Napisz mi, proszę, jak Twoje zdrowie, czy czujesz się lepiej po przebytej grypie? Uważaj na siebie, proszę!

Co się tyczy sposobu odżywiania, uważamy go za bardzo racjonalny i my również mniej więcej tak się odżywiamy, tj. minimalna ilość tłuszczu, sporo mięsa, jarzyny i owoce.

Przy sposobności chciałam Ci donieść, że Twój list z dnia 21 stycznia, a więc wysłany przed Twoim wyjazdem na wypoczynek do Zakopanego, przybył do nas niedawno. Okazuje się, że aczkolwiek list był prawidłowo do nas zaadresowany, wasi pracownicy pocztowi wrzucili list Twój do poczty idącej do Egiptu, który nie ma z Izraelem żadnej łączności, wobec czego list wrócił do Polski, a stamtąd dopiero przybył do nas. Wnioskowałam to z pieczęci, które były na kopercie [...]

Ściskamy Cię mocno,
Rena i Henryk

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

Jerozolima, 18. X 1959

Kochany Muiś.

W głębokim smutku pogrzezona komunikuję Ci o śmierci Henryka. W nocy z 10. na 11. listopada zmarł nie odzyskany już po operacji przytomności. Pogrzeb odbył się 12. listopada. Bardzo duża liczba osób uczestniczących w pogrzebie i moją wzruszoną nad jego grobem mową ze strony kolegów - lekarzy i pacjentów inwazyjny o pozycji, którą umiał Henryk stworzyć sobie dzięki swemu taktowi, pracowitości i głębokiej wiedzy lekarskiej.

Pozna kilka dni temu u mnie je rodzeństwo tj. Karzeżginscy z synami i Julkowie Kowalscy. Pierwsi wyjeżdżali przed kilkoma dniami, Julkowie pozostaną do końca bieżącego tygodnia, potem będzie sama.

Uściskam Cię Rena

Nr 59

1960 luty 26, Jerozolima – Renata Stark-Cohen po śmierci męża do Marcellego Starka. Kwestia zmian w pracy adresata, jego zdrowie, planowana wizyta w Izraelu oraz wspólni znajomi

Kochany Musiu,

Przyszedł wreszcie tak długo oczekiwany list od Ciebie i niepotrzebnie polecony, zwykle dochodzą równie dobrze.

Otrzymałam od Ciebie po Twoim powrocie z zagranicy dwie paczki z czasopismami [...].

Piszesz mi, że zrezygnowałeś z[e] stanowiska sekretarza waszego Instytutu w PAN, wiem, że dawno już obowiązki te Ci doskwierały, ale trudno mi zabrać głos w tej sprawie i powiedzieć, dobrze zrobiłeś, ale to Cię uderzy po kieszeni.

Więcej mnie niepokoi fakt, kt[óry] stwierdziłeś odnośnie Twojego słuchu. Kontroluj więc i w razie potrzeby lecz! O ile sobie przypominam, i Henio nie odznaczał się zbyt dobrym słuchem, ale nie zauważyłam też żadnych zmian w ciągu 11 lat przebywania z nim.

Co się tyczy terminu Twojego przyjazdu, kt[óry] musisz odroczyć do jesieni, rzecz jasna, że żałuję i jestem trochę rozczarowana. Miejmy jednak nadzieję, że w jesieni naprawdę nic nie będzie stało na przeszkodzie Twojemu przyjazdowi. A więc będę cierpliwie dalej czekać.

Już dawno nie mam wiadomości od Ireny i nic nie wiem o ewentualnych propozycjach, o kt[órych] mi wspominasz w Twoim liście. [...]

Ściskam cię mocno,
Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

Nr 60

1960 wrzesień 14, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Uwagi o literaturze poświęconej zagładzie Żydów. Zdrowie adresata

Kochany Musiu,

Po powrocie do domu zastałam Twój list z 26 sierpnia i tego samego dnia doręczono mi z poczty książkę *Pamiętnik Anny Frank*, bardzo Ci dziękuję za jedno i drugie. Zmartwiłam się wiadomością o Twojej chorobie, bo wiem, jak to źle chorować, gdy człowiek sam w mieszkaniu. Książkę przeczytałam za dwa wieczory, to się nazywa „do poduszki”. Dała mi bardzo wiele. Po prostu wierzyć się nie chce, że pamiętnik pisała młoda trzynasto-, czternastoletnia dziewczyna, autorka odznaczała się dużą inteligencją i spostrzegawczością. Książka ta dała też asumpt do rozmyślenia na różne tematy z okresu zagłady.

[...] I ja również otrzymałam od Ireny pozdrowienia, teraz oczekuję od niej obszernej relacji z wakacji.

Porozumiałam się z sekretarzem Inst[ytutu] Matem[atycznego] i przypomniałam o potrzebie ponownego wysłania zaproszenia do Ciebie. Okazuje się, że prof. Robinson zostawił terminarz spraw do załatwienia, między innymi i to. Jest widocznie dobrym organizatorem.

W poprzednim moim liście, kt[óry] Ci wysłałam znad morza, wspominałam, że odezwał się dr Banach. Teraz oczekuję ponownie wiadomości od niego, ewentualnie zjawienia się.

Łączę moc uścisków,
Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

Nr 61

1963 styczeń 20, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Zakażenie żółtaczką, problemy wspólnych znajomych

Kochany Musiu,

Korzystając z przerwy międzysemestralnej, wyjechałam na wypoczynek 9 bm. i wróciłam dzisiaj do domu. Sprzątaczką moją, kt[óra] uprosiłam, ażeby w czasie mojej nieobecności wypróżniała skrzynkę pocztową, ułożyła całą korespondencję na stole. Gdy tylko weszłam do mieszkania, zaczęłam naturalnie przeglądać korespondencję i w pierwszym rzędzie, tę od Ciebie. Wiadomość o Twojej chorobie była dla mnie istnym szokiem, bardzo się zdenerwowałam. Miejmy nadzieję, że wyjdiesz zwycięski z tej choroby, wierzę bardzo w Twoją odporność. Kochany mój, czy wiesz o tym, że czeka Cię potem długotrwała dieta? Dieta, kt[óra] właściwie i teraz powinienes dostawać [...]. Jakiego rodzaju to żółtaczka?

[...] Od Chwatów otrzymuję regularne listy. Nie pamiętam, czy pisałam Ci o tym, że ona planuje teraz wyjazd do Stanów Zjednoczonych, bo jej się wydaje, że tam jej mąż zarobi więcej. Będzie to dla niej trzecie z rzędu rozczarowanie (pierwsze miała tutaj). Ona marzy o wielkich dochodach przy małym nakładzie pracy. Niechaj szuka takiego miejsca na ziemi.

Nie wiem, czy otrzymujesz regularne wiadomości od Ireny. Jeżeli Ci to możliwe, napisz do niej parę słów. Wprawdzie nie miałam dawno od niej listu, mimo to wybieram się napisać do niej.

Łączę serdeczne uściski i życzenia najrychlejszego powrotu do zdrowia.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

Nr 62

1963 sierpień 14, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Pesymizm adresata, słaby stan zdrowia, wspomnienia tragicznej przeszłości, plany przyjazdu do Izraela

Kochany Musiu,

Ostatni Twój list do mnie z dnia 8 bm. nosi cechy pesymizmu, z czego wyciągam wniosek, że nie czujesz się tak dobrze, jak sobie tego życzymy. Bez wątpienia wczasy nad jeziorami nie są odpowiednie dla rekonwalescenta, a byłeś nim istotnie i jesteś nim nadal, o czym musisz wciąż pamiętać. Szkoda, że nie masz w pobliżu kogoś, kto by Cię bezustannie rugał, a ja jestem niestety daleko. Wspominałam o tym w poprzednich moich listach i wciąż powtarzam: musisz się bardzo szanować. Przeżycia w getcie i w obozach pozostawiły ślady w organizmie, jesteś bardziej wrażliwy i mniej odporny.

To, co piszesz o Matce Twojej i związanych z Nią ostatnich wspomnieniach, dziwne się schodzą również z moimi myślami i rozpamiętywaniem w ostatnich czasach. Bardzo wiele rozmyślań poświęcam tym wszystkim, których życie brutalnie przerwała zbrodnia ręki żołdaków hitlerowskich. Twoje scharakteryzowanie okresu hitleryzmu jako epoki wyzucia ze wszystkiego, co ludzkie, przypomniało mi rozmowę z prof. Tadeuszem Kowalskim (orientalista, zmarł w 1948 r.), który określił mniej więcej tak: epoka wyzwolenia bestii w człowieku.

Bardzo mnie cieszy, że nie odrzucasz mojego zaproszenia. Wydaje mi się, że to jedyna możliwość zobaczenia się. Rozważ jeszcze dobrze moją propozycję. Absolutnie nie poniosę uszczerbku, jak Ci już pisałam w poprzednim moim liście, suma przeznaczona na Twój przyjazd odłożona w banku i w każdej chwili mogę wpłacić za Twój przejazd.

[...]

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia, życzenia poprawy, miłego pobytu w Krościenku.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

Jerusalem, 26.9.63

Kochany Misiu,

Mam nadzieję, że przybyłeś do Anglii i dobrej formie i że Ci nie do końca nuda.

U nas teraz seria siedm. Kmb. tygodnia był żyd. nowy rok (Rosh Ha-szana) kt. u Izraela trwa 2 dni, do tego przeliczyła się sobota Tisza 3 dni siedm. Byli u mnie Karalscy wraz z ich prekiem Bobikiem i było nam razem b. dobrze. W najbliższą sobotę Jom Kipur, u przystąpię tygodnia Sukot (Kuski) i koniec się żyje ten Simchat Tora. Wszędzie to trwa po 1. dniu, a nie jak to było u żydów w in. krajach, że po 2 dni.

Pracuję trochę i zastanawiam się ~~o~~ interesować się tematem: mógłbyś na nowy rok akad. trzeba będzie też ściągnąć z biblioteki trochę księzek do domu, bo ja nie wyzanko mam, co mi potrze-

Nr 63

1964 grudzień 20, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Zdrowie adresata, konieczność zachowania diety. Zainteresowania literackie i muzyczne

Kochany Musiu,

Otrzymałam Twój list z 10 bm., dziękuję Ci za szczegółowe wiadomości dotyczące Twoich możliwości utrzymywania i przestrzegania niezbędnej dla Ciebie diety.

[...]. Cieszę się, że czytasz Balzaka, lektura jego książek pozwoliła mi oderwać się i zapomnieć o okropnościach wojny w czasie blokady Leningradu. Ażeby czytać Kołchanowskiego, trzeba być bardzo dojrzałym, a chyba już doszliśmy do tego. Upodobania w wyborze książek związane są chyba z[e] stanem psychicznym i nastrojami czytelnika. W czasie wakacji czytałam właśnie Dickensa *David Copperfield* (po ang[ielsku] wciąż nie mówię, to okropne). Bogactwo językowe Żeromskiego zawsze działało na mnie i ostatnio znów miałam sposobność przeczytać jeden z jego utworów.

Gusty nasze zgadzają się mniej więcej oprócz dziedziny muzyki, nadal uwielbiam symfonie Beethovena (a więc romant[yzm]), przepadam za Mozartem¹ (ckliwy?), ale i upajam się Vivaldim, Händel jednak trochę nudzi.

Rada jestem, żeś zadowolony z pracy swojej, trzeba pamiętać, że nie ma ludzi niezastąpionych, życie przekonało nas o tym dowodnie.

Jesteś „upartym” czytelnikiem moich listów. Kilkakrotnie pisałam Ci, że jestem wrażliwa na **chrom** oraz niektóre metale. Drugie sprostowanie, które chciałabym tu wprowadzić, mieszkam od Ciebie na wschód, nie na zachód.

[...] Z okazji zbliżającego się Nowego Roku życzę Ci zdrowia, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Rena

Źródło: *Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.*

¹ Wolfgang Amadeusz Mozart (1756–1791) – najśłynniejszy kompozytor austriacki.

Nr 64

1965 luty 20, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Dodatek do listu. Kwestia pomocy udzielonej przez Irenę Lewicką rodzinom korespondentów

Kochany Musiu,

Pamięć o bezinteresownej pomocy, którą udzieliła z narażeniem własnego bezpieczeństwa Irena mojej (i Twojej) rodzinie w okresie nieludzkiego panowania faszyzmu, nigdy mnie nie opuszcza. Jestem gadatliwa, ale nie umiem mówić i nigdy nie powiedziałam Irenie o uczuciach, które noszę dla niej w sercu, o wielkim szacunku i wdzięczności. Nie wyraziłam jej tego nigdy, ale nie miałam też możliwości odwdziaczyć się, bo nic nie może wynagrodzić tego, co ona uczyniła. Bo nie można płacić komuś za to, że jest Człowiekiem, że pomaga potrzebującym i nieszczęśliwym. U Ireny wynika to z wewnętrznego nakazu i poczucia obowiązku wobec każdego człowieka, któremu potrzebna pomoc.

Przed chwilą powiedziałam już, że nie ma możliwości i nie ma mowy o wynagrodzeniu. Mimo wszystko pragnę Jej przesłać jakąś drobnostkę, która by jej była miła. Wiadomo mi, że zegarek swój dawno straciła i przed kilkoma [laty] nosiła jakiś stary zegarek, kt[óry] nie był najlepszy. Chciałabym jej załatwić skromny, ale dobry, gdyż jest jej potrzebny. Znając ją dosyć dobrze, mam podstawę do przypuszczenia, że jeszcze sobie nie kupiła i że sama tego nie załatwi. Poproszę Cię więc, ażebyś przy okazji spotkania z nią skontrolował, ewentualnie zapytał, co za zegarek nosi i czy w ogóle takowy posiada.

Ściskam Cię
Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

Nr 65

1965 marzec 6, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Szczegóły planowanej wizyty w Izraelu

Drogi Musiu,

Wczoraj otrzymałam zawiadomienie z biura, w kt[órym] zakupiłam dla Ciebie bilety podróży, że przybędziesz w poniedziałek, dnia 22 marca samolotem El-Al (nr samolotu 422) o godz. 8 min 15. Weź pod uwagę, że Izrael geograficznie położony jest na wschód od Polski i jest różnica czasu o 1 godz., tzn. według Twojego zegarka 7.15. Będę Cię oczekiwała na lotnisku w Lyddzie (po hebr. nazywa się Lud), jeżeli jednak z jakichś przyczyn nie będę mogła przybyć, będzie na sali, gdzie odbierzesz swój bagaż, Julek Kowalski. Nie obawiaj się, nie będziesz miał zawodu. Jeszcze raz radzę, nie bierz dużo rzeczy, u nas dzisiaj zupełnie ciepło, nie obciążaj się parasolem itp.

Uprzejmie Cię proszę, ażebyś przed pożegnaniem z Twoimi znajomymi, mam na myśli rodzinę Kernerów, spytał p. Marię, co jej potrzebne. Kupię tutaj dla niej, cokolwiek zapragnie. Oddaj im ode mnie b[ardzo] serdeczne pozdrowienia.

[...] Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia oraz życzenia szczęśliwej, szczęśliwej podróży.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

1965 październik 9, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Wspomnienie pobytu adresata w Izraelu. Wspólni znajomi, święta żydowskie i stosunek do religii

Kochany Musiu,

Serdecznie dziękuję Ci za miły list, kt[óry] wysłałeś 25 września. Również depeszę z życzeniami otrzymałam w dniu urodzin wieczorem, gdy siedziałam przy kolacji z rodzinami Tuchów i Kowalskich. Było to w sobotę wieczorem, a następnego dnia wczesnym porankiem przyniósł mi posłaniec poczty drugi egzemplarz Twojej depeszy, uśmiełam się z tego, ale lepiej dostać 2 egzemplarze jednej depeszy, zamiast np. w ogóle jej nie dostać.

Wzruszył mnie ustęp Twojego listu, w kt[órym] wracasz wspomnieniami do tych niewielu dni, kt[óre] spędziliśmy razem, delikatnie ominąłeś nasze sprzeczki, bo i te były.

Tym bardziej jestem zawstydzona, że tego roku zapomniałam o dniu Twoich urodzin. Również o własnych nie myślałam. Kowalscy byli moimi gośćmi z okazji kilku dni wolnych (żydowski nowy rok) [...].

[...] Różyczka Rawid, kt[óra] jest w stałym kontakcie telefonicznym ze mną, prosi, ażebyś jej nie posyłał więcej beletrystyki, bo to jej zabiera czas, ma luki w wykształceniu fachowym i chce się zająć raczej literaturą z zakresu chemii.

[...] Jakie lekarstwa są Ci potrzebne, napisz. Dawno już, jak Ci wysłałam poprzednie, nigdy nie pamiętam, jakie Ci potrzebne.

U nasz obecnie okres świąteczny: 27 i 28 był nowy rok, 6 bm. Jom Kipur¹, w poniedziałek najbliższy, kuczki². Już wczoraj i dzisiaj (sobota) mieszkańcy naszego bloku w miarę swoich możliwości pilnują, ażeby wandale nie uszkodzili drzew sosnowych rosnących przed domem, gałęzie sosny używają do pokrycia kuczek. Nigdy nie przywiązywałeś wagi do żadnych świąt i nie uznawałeś ich, zapewne więc zapomniałeś już, że takowe istnieją [...].

Ściskam Cię mocno.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

¹ Jom Kipur – tzw. Sądny Dzień, jedno z najważniejszych świąt żydowskich o charakterze pokutnym, obejmuje m.in. zakaz jedzenia i picia. Wedle tradycji religijnej, tego dnia Bóg odbywa sąd nad ludźmi i decyduje o ich losie, a przede wszystkim o życiu lub śmierci.

² Kuczki – potoczna polska nazwa żydowskiego Święta Szałasów (Namiotów), obchodzonych na pamiątkę wędrówki narodu żydowskiego na pustyni po wyjściu z Egiptu. Święta te przypadają kilka dni po żydowskim Nowym Roku (Rosz Haszana) oraz tzw. Sądny Dniu (Jom Kipur). Obowiązuje nakaz zamieszkiwania, a przynajmniej spożywania posiłków, w okresie 8 dni w namiotach lub szałasach (hebr. „sukot”). Stąd też potoczna nazwa, ponieważ niewielkie, prowizoryczne budowle często zmuszały do kucania wewnątrz.

Nr 67

1966 grudzień 21, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Zdrowie i samopoczucie adresata. Wspólni znajomi

Kochany Musiu,

Odpowiadam na Twój list z dnia 11 bm. Rada jestem, że Twój stan chociaż powoli, ale jednak systematycznie poprawia się. Mam nadzieję, że za miesiąc, dwa wrócisz do pełnej normy i nie będziesz mówił o pokoleniu ustępującym, ażeby dać miejsce nowemu „prężnemu i zdolnemu”. Moim zdaniem, nigdy nie należy ustępować, nie rezygnować, pracować do końca. Gdy człowiek okazuje tendencje do cofania się, znajdą się zawsze chętni, którzy go zastąpią. Nie wolno nam okazywać słabości, trzeba się trzymać do końca życia i pracować do ostatniego tchu. Nie dziwię się jednak, że lubisz niekiedy zajrzeć do księgi Starego Testamentu. Przyznam Ci się, że i ja niekiedy otwieram tę książkę, ale gustuję bardziej w Psalmach. No cóż, trzeba jednak zastanowić się niekiedy nad swoim życiem. Mnie wydaje się to zupełnie normalne, być może dlatego, że jestem dużo starsza od Ciebie.

[...] Drogi, Kochany Musiu, jestem wzruszona Twoją dobrocią i chęcią dopomożenia mi. Gdybyś jednak nawet był tutaj, nie skorzystałabym z Twoich usług, bo doskonale sobie radzę. Staram się ostatnio więcej jeść, bo w letnich i jesiennych miesiącach zmarniałam nieco. Cóż mogę poradzić na moją nadmierną wrażliwość, byle mała niedyspozycja odbija się fatalnie na moim wyglądzie.

[...] Irena pisuje do mnie, aczkolwiek dosyć rzadko, czemu nie należy się dziwić. Wiesz, jakie ma ciężkie życie. Toteż rada byłam, gdy w liście z dnia 24 listopada br. zawiadomiła mnie, że otrzymała order Krzyż Kawalerski Odrodzonej Polski, Medal Tysiąclecia i odznakę zasługi dla Warszawy. Pierwsze odznaczenie daje prawo do dwudziestopięcioprocentowego dodatku do emerytury. Naturalnie serdecznie jej pogratulowałam, zapewne sobie na nie zasłużyła, bo bardzo solidnie wykonuje wzięte na siebie zobowiązania.

Kończę mój list bardzo serdecznymi życzeniami zdrowia i powodzenia w zbliżającym się 1967 roku.

Ściskam Cię mocno. Z przyjemnością wyślę puszkę *instant coffee*. Otrzymałam od prof. Offorda życzenia noworoczne, naturalnie odpowiedziałam.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis i rękopis, k. 1.

Nr 68

1967 maj 31, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Zdrowie adresata. Sprawy zawodowe. Międzynarodowa sytuacja Izraela

Kochany Musiu,

Otrzymałam właśnie od Ciebie Twój list wysłany 21 bm. Przed kilkoma dniami pisałam do Ciebie i wysłałam list, gdyż byłam zaniepokojona Twoim długotrwałym (tak zdawało mi [się]) milczeniem.

[...] Rada jestem, że jesteś w lepszej formie fizycznej, oby tak dalej. Odwiedziny Twoich starych profesorów były raczej smutne, bo to ludzie, kt[órzy] patrzą wstecz i myślami są w przeszłości, jeszcze raz rozważają swoje życie, swoją pracę, sumują, i w tym, być może, czerpią zachętę do kontynuowania istnienia.

Nie żałuj tego, co mogło być, a nie jest, a mianowicie, że nie kontynuowałeś pracy pedagogicznej na wrocł[awskiej] uczelni. Wydaje mi się, że dobrze zrobiłeś, że na terazniejszym terenie Twojej pracy masz szersze pole do działania, co odpowiada Twoim możliwościom i siłom.

Twoje uwagi o poważnej, bardzo poważnej sytuacji u nas, są słuszne. Obawiam się, że wielkie mocarstwa nie zrobią nic, ażeby rozładować napięcie. Ludność zachowuje spokój i powagę. Obserwuję to w małym moim osiedlu.

[...] Moi kuzynostwo pragną bardzo, ażebyśmy w obecnej bardzo niepewnej sytuacji przebywali razem. Jak dotychczas wywijam się z tego, ale zapewne prędzej czy później będę musiała przenieść się do nich, naturalnie będę przychodzić do domu po pocztę etc.

[...] Jestem dobrej myśli i spokojna. Pisz w miarę możliwości.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

Nr 69

1967 czerwiec 12, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcelego Starka. Podziękowanie za troskę w obliczu sytuacji wojennej w Izraelu

Kochany Musiu,

Otrzymałam Twój telegram, ja również wysłałam Ci przed kilkoma dniami depeszę, ponieważ wiedziałam, że będziesz niespokojny o mnie. Wojna¹ zastała mnie, gdy szłam do pracy. Udałam się do mojego kuzyna Henka Tucha, bo wiedziałam, że zawsze troszczył się o mnie, ponieważ mieszkam samotnie. Ja natomiast martwię się o ich stan zdrowia, bo Henek sam ma wszak chore serce po zawale, który przeszedł przed dwoma laty, a żona jego ma bardzo poważną wadę sercową. Sytuacja ich niewesoła, gdy się weźmie pod uwagę, że są rodzicami dwóch dziewczynek 8 i 15 lat. Sama moja obecność działa na nich uspokajająco. Po przerwaniu działań wojennych wróciłam do swojego mieszkania, gdzie jestem wśród moich książek i mogę spokojnie pracować i wypoczywać, gdy mam po temu chęć.

Jak Twoje zdrowie obecnie? Kiedy będziesz przechodzić następne badanie u kardiologa? Jak sobie radzisz w domu? Kto dba o Twoje gospodarstwo domowe, o zakupy i gotowanie? Czy też jadasz w jadłodajniach, co chyba niepożądane, ze względu na Twój woreczek żółciowy? Czy mogę posłać Ci potrzebne lekarstwo? Napisz mi – proszę – szczerze o wszystkim.

Tymczasem kończę mój list i idę na uniwersytet.

Bądź zdrów i nie martw się o mnie.

Rena

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

¹ Chodzi o tzw. wojnę sześciodniową w 1967 r., gdy Izrael, wyprzedzając atak państw arabskich, uderzył prewencyjnie na siły zbrojne Egiptu, Syrii, Jordanii i Iraku. Uderzenie zakończyło się sukcesem.

12.6.67

Kochany Musiu,

Otrzymałam Twój telegram, ja również wysłałam Ci przed kilkoma dniami depeszę, ponieważ wiedziałam, że będziesz niespokojny o mnie. Wojna zastała mnie, gdy szłam do pracy. Udałam się do mojego kuzyna Henka Tucha, bo wiedziałam, że zawsze tórszczą się o mnie, ponieważ mieszkam samotnie. Ja natomiast martwię się o ich stan zdrowia, bo Henek sam ma wszak chore serce po zawale, który przeżył przed 2-ma laty, a zona jego ma bardzo poważną wadę sercową. Sytuacja ich niewesoła, gdy się weźmie pod uwagę, że są rodzicami dwóch dziewczynek 8 i 15 lat. Sama moja obecność działa na nich uspokajająco. Po przerwaniu działań wojennych wróciłam do swojego mieszkania, gdzie jestem wśród moich książek i mogę spokojnie pracować i wypoczywać, gdy mam po temu chęć.

Jak Twoje zdrowie obecnie? Kiedy będziesz przechodzić następne badanie u kardiologa? Jak sobie radzisz w domu? Kto dba o Twoje gospodarstwo domowe, o zakupy i gotowanie? Czy też jadsz w jadłokajniach, co chyba niepożądane, ze względu na Twój woreczek żółciowy. Czy posłać Ci jakieś potrzebne Ci lekarstwo? Napisz mi proszę szczerze o wszystkim.

Tymczasem kończę mój list i idę na uniwersytet.

Bądź zdrow i nie martw się o mnie

całuję Rena

Nr 70

1969 marzec 25, Jerozolima – Renata Stark-Cohen do Marcellego Starka. Podziękowanie za list. Praca w obliczu starości

Kochany Musiu,

Dziękuję Ci za list z dnia 7 bm., lekarstwa, kt[óre] Ci wysłałam, tj. maście, pewnie Ci się przydadzą, oby tylko pomogły. Nie obawiaj się, używając te maście, wszak cortison stosuje się w leczeniu masowo i trzeba przyznać, że nie można go zastąpić żadnym innym lekiem. Bardzo mi Cię żal, że zdrowie Ci nie dopisuje. Niestety, gdy człowiek przekroczy pewien wiek, zaczyna nawalać zdrowie. Tylko praca daje zapomnienie i pozwala znosić dolegliwości fizyczne, ale nie trzeba też myśleć „o widmie śmierci”, jak to piszysz. Nikt z nas nie będzie żył wiecznie, lecz nie trzeba o tym myśleć.

[...]

Ściskam,
Renata

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.

IX. Korespondencja różna

Nr 71

1947 lipiec 9, Wrocław – List do Marcelego Starka od studenta podpisanego jako „Bębojło” w sprawie niezdanego egzaminu z matematyki

Czcigodny Panie Adiunkcie^a,

Nie wiem, jak mam postąpić po ostatnim moim zachowaniu się podczas egzaminu. Jestem tym, który otrzymanych tematów nie zrobił. Powiedziałem, że ich nie zrobię. Chciałem jak najprędzej wydostać się z katedry. Pan Adiunkt wybrał inną kartkę, z zadaniami łatwiejszymi, i dał mi, bym rozwiązywał. Spojrzałem na zadania, napisałem pierwszy przykład na tablicy i powiedziałem, że nie będę umiał zrobić. Dlaczego tak? Panie Adiunkcie, proszę mi wierzyć, ja pochodzę z Mazowsza i jestem szczery, tak jak tamtejszy lud. Powiem wszystko.

Matematykę znam słabo. W przestrzeni nie mogę zobaczyć nic. A że warunkowo byłem dopuszczony do egzaminu, to dlatego, że na ćwiczenia byłem zawsze przygotowany i pracowałem nad matematyką. Braki mam duże, a umysł tępy, nieprzyzwyczajony do dowodzeń matematycznych, bo podczas okupacji w partyzantce nie zastanawiałem się nigdy nad liczbą nieprzyjaciela, tylko w szale mściwości szedłem w ogień. Obecne życie i studia są czymś nowym, ale na równi z tamtym ciężkie.

Na egzamin szedłem z silną wiarą, że egzamin „obleję” i że nic mnie nie zdoła wyratować. Dlaczego? Pan Adiunkt był dla mnie przed egzaminem jakimś okropnym władcą, niesprawiedliwym i nielitościwym „obcinaczem” studentów. Koledzy tylko liczyli: „Dziś oblał sześciu”, to znowu: „Dziś oblał czterech”, „Nie masz, co chodzić, i tak oblejesz”. Poszedłem, bo takie było rozporządzenie, że wszyscy mają stanąć do egzaminu. Tymczasem Pan Adiunkt chciał mnie wyciągnąć, dał mi inne tematy i zachęcał do odpowiadania. Ja byłem durny.

Panie Adiunkcie, ja bardzo przepraszam za ten list, ale ja musiałem, bo inaczej nie miałbym spokoju, a Pan Adiunkt nie chciałby ze mną rozmawiać, a list to może przeczyta. Ja zasugerowałem się, że „obleję” egzamin i tak się stało. Panie Adiunkcie, wybaczone mi i innym kolegom, którzy w podobnym może stanie przystąpili do egzaminu. Ja zaś po wakacjach stanę do egzaminu pełen wiary we własne siły. Może też nie zdam, bo egzamin to los szczęścia, to humor profesora-egzaminatora i szczęśliwy ten, kto na ten humor natrafi.

Panie Adiunkcie, w tych kilku słowach napisany[ch] prosto, bez jakichkolwiek wyszukanych zwrotów do Ciebie skreśliłem swoją spowiedź, spowiedź studenta, który źle postąpił. Teraz będzie mi lżej, bo podzieliłem się z Tobą, Panie Adiunkcie, swoimi troskami.

Nazwiska swego nie podaję, bo jest Ci ono niepotrzebne, jeżeli w czymś uchybiłem, jeżeli czymś obraziłem Ciebie, Panie Adiunkcie, to bardzo przepraszam, jeżeli będzie Pan Adiunkt chciał coś mi powiedzieć na temat listu, a może za ten list obrzągać mnie, to stanę przed Twe oblicze, Panie Adiunkcie. Proszę tylko wywiesić kartkę na tablicy ogło-

^a W oryginale podkreślone.

szeń dziekanatu, że stud[ent] „Bębojło” (to jest mój pseudonim z partyzantki) ma się zgłosić do katedry. Ja stanę, chociażbym miał być wyrzucony z politechniki.

Kończę i życzę Panu Adiunktowi przyjemnie spędzonych wakacji i wiele, wiele szczęścia.

Skruszony do głębi
„Bębojło”

P.S. Proszę, Panie Adiunkcie, zachować tajemnicę, gdyż koledzy prawie wszyscy wiedzą [o] przebiegu mego egzaminu i posadzono by mnie o „podlizywanie się”, „o żebranie o stopień” – ja jestem daleki od tego, bo nauka ma swoje prawa.

„Bębojło”

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2.

Krosno dnia 9 VII 77.

Czcigodny Panie
Adiunkcie.

Nie wiem jak ma się postąpić po ostatnim moim zachowaniu się podczas egzaminu. Jestem tym, który otrzymanych tetuatów nie zrobił. Powiedziałem, że ich nie zrobię. Chciałem jak najprędzej wydostać się z katedry. Pan Adiunkt wytłumaczył mi kartkę, z zadaniami łatwiejszymi i dał mi, bym rozwiązywał. Spojrzałem na zadania, napisałem pierwszy przykład na tablicy i powiedziałem, że nie będę umiał zrobić. Dłaczego tak. Panie Adiunkcie, proszę mi wierzyć, ja pochodzę z Mazowsza i jestem szczerzy, tak jak tańszy lud. Powiem wprost. Matematykę znam słabo. W przestrzeni

1948 marzec 6, Kraków – List od prof. Franciszka Lei w związku z inicjatywą wydania *Księgi Pamiątkowej Członków Polskiego Towarzystwa Matematycznego, którzy zginęli w czasie wojny 1939–1945*. Załączono odpis pierwszego pisma z dnia 4 czerwca 1947 r.

Szanowny Panie Kolego!

Nawiązując do mojego listu z dnia 4 VI 1947, którego odpis niżej dołączam, zwracam się do Pana Kolegi, jako do członka Komitetu Redakcyjnego KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ CZŁONKÓW P[olskiego] T[owarzystwa] M[atematycznego], którzy zginęli w czasie wojny 1939–1945 r. z prośbą o nadesłanie mi omówień, o których mowa w tym liście, względnie o zawiadomienie mnie, kiedy omówienia te będzie Pan mógł mi przesłać. Po otrzymaniu rękopisów względnie maszynopisów odnośnych omówień będę mógł wypłacić część honorariów autorskich w kwoty przeznaczonej na ten cel przez Zarząd PTM.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku
F[ranciszek] Leja,
adres Kraków [...].

Odpis poprzedniego listu:

Kraków, dnia 4 VI 1947

Wielce Szanowny Panie Kolego!

Zarząd PTM^a powierzył Komitetowi Redakcyjnemu pod moim przewodnictwem wydanie *Księgi Pamiątkowej Członków PTM, którzy zginęli w czasie wojny 1939–1945 r.* W skład Komitetu wchodzi: Dr A[ndrzej] Alexiewicz¹ (Poznań), Mgr Z[ygmunt] Charzyński² (Warszawa), Prof. dr S[tanisław] Gołąb³ (Kraków), Prof. dr [Władysław] Nikliborc⁴ (Warszawa), Mgr M[arceli] Stark (Wrocław).

Jako członkowi Komitetu podaję Panu Koledze projekt naszej wspólnej pracy z prośbą o wyrażenie nań zgody, względnie podanie mi wniosków co do zmian tego projektu:

1) Księga redagowana będzie w jęz[yku] francuskim i nosić będzie na karcie tytułowej u góry najpierw tytuł polski (podany wyżej), następnie ten sam tytuł w jęz[yku] francuskim.

2) Zawierać będzie słowo wstępne i następnie omówienie działalności zmarłych członków PTM (krajowych) w porządku alfabetycznym podług listy zamieszczonej w t. XIX *Rocznika PTM* na str. 215–217.

^a W oryginale T.P.M.

¹ Andrzej Alexiewicz (1917–1995) – matematyk, od 1962 r. prof. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

² Zygmunt Charzyński (1914–2001) – matematyk, profesor, wieloletni pracownik Instytutu Matematycznego w Łodzi.

³ Stanisław Gołąb (1902–1980) – matematyk, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, w okresie okupacji więzien obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen i Dachau.

⁴ Zob. przypis 2 do listu nr 29.

3) Omówienie działalności zawierać będzie: a) krótki życiorys, b) wykaz prac drukowanych z podaniem miejsca druku, c) charakterystykę najważniejszych wyników tych prac.

4) Lista zmarłych obejmuje 58 nazwisk, więc omówienia nie mogą być zbyt długie, tak by księga nie przekroczyła 300 stron. Oczywiście, poszczególne omówienia nie mogą być jednakowo długie.

5) Członkowie Komitetu Redakcyjnego zajmą się przygotowaniem życiorysów i charakterystyk zmarłych podług dołączonego **rozkładu omówień** i dostarczą mi te omówienia do końca października 1947 r., napisane czytelnie w języku francuskim lub polskim. W przygotowaniu omówień trzeba będzie oczywiście korzystać z pomocy innych.

Praca członków Komitetu Redakcyjnego będzie honorowana, wysokość honorarium ustali Zarząd PTM, po porozumieniu się z Wydziałem Nauki M[inisterstwa] O[światy].

Upriejmie proszę o uwagi względnie wyrażenie zgody na powyższy projekt do dnia 20 VI 1947 r. Brak odpowiedzi będę uważał za wyrażenie zgody na zajęcie się przygotowaniem wskazanych wyżej omówień i przysłanie mi ich w październiku 1947 r. (prof. F. Leja, Kraków, [...]).

F. Leja

Rozkład omówień:

Prof. dr S[tanisław] Gołąb (Kraków): Dniestrzański R., Hoborski A[ntoni], Janik W., Wilk A., Wilkosz W[itold], Zaremba S[tanisław];

Prof. dr W[ładysław] Nikliborc (Lwów i Warszawa): Banach S[tefan], Bartel K[azimierz], Kaczmarz S[tefan], Łomnicki A[ntoni], Ruziewicz S[tanisław], Stożek W[łodzimierz], Vetulani [Kazimierz], Dichstein S.⁵, Kerner M., Mathison M., Mazurkiewicz S[tefan], Przeworski A.⁶;

Dr A[ndrzej] Alexiewicz (Poznań i Wilno): Chmielewski S., Kalandyk S[tanisław], Marcowi A., Jantzen K[azimierz], Kempisty [Stefan], Marcinkiewicz J[ózef], Patkowski J.;

Mgr M[arceli] Stark (Wrocław): Auerbach H[erman], Blumenfeld J., Chwistek L[eon], Eidelheit M[eier], Grabowski L., Jacob [Marian Mojżesz], Kalicun B., Pepis J[ózef], Schauder J[uliusz Paweł], Schreier J[ózef], Sternbach L[udwik], Weigel K[asper], Weinlos S.;

Dr Z[ygmunt] Charzyński (Warszawa): Braunówna S[tefania], Fogelson S[amuel], Freilich A., Kierat S., Kобрzyński Z., Kołodziejczyk S., Koźniewski A[ndrzej], Kwietniewski S., Leśniewski S[tanisław], Lindenbaum A[dolf], Lindenbaum J., Lubelski S., Posament T[adeusz], Presburger M[ojżesz], Rajchman A[leksander], Saks S[tanisław], Stechel S.⁷, Sokół-Sokołowski K[onstanty], Waraszkiewicz Z[enon], Zalcwasser Z[ygmunt].

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 2.

⁵ Prawdopodobnie Samuel Dickstein (1851–1939).

⁶ Prawdopodobnie Antoni Bonifacy Przeborski (1871–1941).

⁷ Być może Samuel Steckel.

Nr 73

1953 styczeń 10, Wrocław – List od Łucji Banachowej z podziękowaniem za starania w sprawie uregulowania kwestii finansowych, związanych ze spadkiem po mężu, prof. Stefanie Banachu

Wielce Szanowny i Drogi Panie Marceli,

List Pana sprawił mi szaloną radość i nawet nie przypuszczałam, że z wielkiej radości można tak serdecznie płakać, jak ja nad tym listem płakałam!

Wiem i wierzę, że wszystko, co jest w tym kierunku zrobione, jest Pana zasługą! Jak bardzo jestem Panu wdzięczna – nie mogę wyrazić – właśnie cieszę się, że to Pan pierwszy – nieoficjalnie mi o tym doniósł.

Życie od śmierci mojego Stefana dziwnie się mi ułożyło, tak mało mam powodów do radości. Niechaj to dla Pana będzie satysfakcją, bo ja tak bardzo na Pana liczyłam, że dzięki wysiłkom Pana tak się wszystko pięknie złożyło – bo czuję, że pamięć o Stefanie jest dla Pana droga – a On naprawdę i jako człowiek, i jako uczony na to w pełni zasłużył!

Życzę Panu dużo szczęśliwych i zdrowych lat – oraz wszelakiego dobra – jakie życie człowiekowi przynieść może!

Wzruszenie odbiera mi sens słów, jakie chciałabym Panu w podzięcie za tę radość przesłać, ale chcę przecież odwrotnie za wszystko serdecznie podziękować, więc proszę przyjąć najserdeczniejszy uścisk dłoni.

Łucja Banachowa

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

Nr 74

1957 maj 28, Wrocław – Hugo Steinhaus do Marcelego Starka. Kwestia kontaktów z wydawnictwami brytyjskimi i przekładów na język angielski

W[ielce] Szanowny Panie Kolego,

Dziękuję za gotowość wysłania pakietu. Rzeczywiście lepiej do Oksfordu. Był tu dziś p. Bolton King z British Council i powiedział, że jeżeli Pan zatelefonuje do ich biura w Warszawie, to podadzą Panu adres Oxford Univ[ersity] Press w Londynie. Powiedział też, że gdyby się zdarzyło, że jakaś firma angielska nie odpowie na propozycję kupna praw do przekładu polskiego jakiejś książki (jak mi Pan to opowiadał), to on gotów jest interweniować – trzeba napisać do niego c/o British Council w Warszawie. Adres Oxford Univ[ersity] Press w USA jest 114 Fifth Avenue, New York 11, N.Y.

Załączam drugie pismo „Journalfranza” – jeżeli Pan zechce mu odpowiedzieć, to może Panu uda mu się wytłumaczyć, że III Rzesza prowadziła tak skutecznie wojnę, iż obecnie nie można nabyć SM w komplecie, znowu załączam kartkę z portem (w sferach kupieckich, w których się wychowałem ułatwienie odpowiedzi nie kryje w sobie urazy – chcąc szukać nieistniejącej przyczyny, musiałbym np. stworzyć hipotezę, że Pan jest odpowiedzialny za sprawozdanie z działalności IM PAN-u w sprawozdaniu z III Wydz[iału] PAN, w którym cała matematyka stosowana wraz z rach[unkiem] prawd[opodobieństwa] jest zbyta jedną liczbą 52 publikacji, a ani słowa o jakimkolwiek wyniku porównywalnym co do ważności z odkryciem, jakie keksy jadają demony do kawy).

Z wyrazami poważania i ukłonami
Hugo Steinhaus

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

1957 wrzesień 6, Jerozolima – Juliusz Kowalski do Marcelego Starka. Losy imigranta do Izraela, sytuacja ekonomiczna

Kochany Panie Profesorze,

Mamy wyrzuty sumienia, że odpisujemy dopiero po nadejściu Pańskiego listu do Koch[anych] Reni i Henia, w którym Pan zapytuje o nas.

Podróż mieliśmy bardzo szybką i tym samym wygodną. Wieczorem byliśmy w Wiedniu i następne pół dnia mieliśmy czas na zwiedzanie miasta, przynajmniej pobieżnie. Po południu wystartowaliśmy czteromotorowym Super-Constellation i ok. godz. 10 wieczór byliśmy już na miejscu.

Mieszkamy na razie u Henia. Nazajutrz po przyjeździe do Izraela udałem się do mojej firmy w Tel-Awivie i dzięki poparciu Józka (przez jego znajomego dyr. Leumi Banku¹) i listom polecającym przyjęto mnie do pracy. Wyplacono mi na razie z góry za dwa miesiące 500 funtów, z tym że do 1 listopada br. mam się poduczyć języka hebrajskiego. Dyrekcja zna mnie dobrze i pamiętają o mych zasługach przy realizacji dla nich transakcji importowych. Praca moja na razie będzie polegała na tym, że będę jeździł po tujejszych zakładach fabrycznych celem odbioru skrzynek na pomarańcze. W listopadzie wyjeżdża kilku brakarzy za granicę w tym samym celu i ja ich tutaj zastąpię. W każdym razie jestem w tym samym zespole i też mam szanse potem wyjeżdżać. Będzie to łatwiejsze dzięki poparciu, jakie mam w firmie.

Na razie zatem chodzę na tzw. ulpan i uczę się języka, a Henia pomaga w gospodarstwie. Heniu jest zdaje się w lepszym humorze, chociaż w dalszym ciągu pozostała nierozwiązana sprawa Dziuni. Wczoraj jednak Renia już załatwiła częściowo sprawę mieszkaniową dla nich i najprawdopodobniej będą mieszkać b[ardzo] blisko nas (po drugiej stronie ulicy). Czy Heniu jest z tego tak bardzo zadowolony, to nie wiem, jednak innego sposobu nie umieli znaleźć, a w tym stanie nie można jej było z dziećmi zostawić.

Heniu pracuje na razie tylko w szpitalu i prywatnej praktyki na razie nie ma, trudno go jakoś skłonić do zrezygnowania z połowy stawki i rozpoczęcia praktyki prywatnej. Na razie ma zastąpić swego kolegę, który wyjeżdża na pewien okres do RFN, i prowadzić jego prywatną kancelarię lekarską.

Koch[ana] Renia b[ardzo] ucieszyła się książką, którą Jej od Pana przywiozłem, gdyż była jej b[ardzo] potrzebna.

Krewni koch[anej] Reni, tj. p[ani] Milgrom (jej mąż niedawno zmarł po operacji, o czym Panu może wiadomo) i p[anie] Tuch służą im zawsze pomocą. Również wielu przyjaciół tak Reni, jak i Henia zgłaszają się sami z chęcią udzielenia im pomocy. Jak na razie z niczego nie skorzystali i jakoś sobie radzą. Ja i moja żona (zdaje mi się) nie jesteśmy im ciężarem i osobiście nie zgodziłbym się w innym wypadku zamieszkać u nich. Nie wolno mi bowiem zapominać, że są od 6 miesięcy w Izraelu, a nie jak dawniej we Wrocławiu.

¹ Bank Leumi LeIsrael – Bank Narodowy Izraela.

Moim stałym miejscem pracy będzie Tel-Aviv i tam będę się starał otrzymać mieszkanie. Pójdzie to o tyle łatwiej, że otrzymałem w Tel-Awivie pracę i w tym wypadku łatwiej otrzymuje się mieszkania, o które w zasadzie nie trudno. Budownictwo tutaj jest b[ardzo] duże. Do roku 1958 zostaną zlikwidowane wszystkie baraki i różnego rodzaju klitki i ludziom przydzieli się nowoczesne mieszkania.

Mieszkanie Reni i Henia składa się z 3 pokoi, łazienki i kuchni. Wszystko b[ardzo] ładnie rozplanowane i solidnie wykończone, jest również w mieszkaniu duży boiler elektryczny, który zaopatruje w ciepłą wodę łazienkę (ma się rozumieć z umywalką oprócz wanny) oraz kuchnię. Poza tym, mieszkanie posiada kilka wnęk, z których można w przyszłości zrobić szafy. Ma się rozumieć, że jest i balkon bardzo przyjemny. Całe mieszkanie posiada podłogi kafelkowe, białe, które się ładnie prezentują. Dojazd do domu z centrum Jerozolimy bardzo wygodny, gdyż autobus kursuje co 10 minut, a sama jazda trwa maksymalnie 15 minut i to tylko dlatego, że kierowca jednocześnie jest i konduktorem, gdyż inkasuje przy wejściu za przejazd.

Tyle na razie od nas. Sądzę, że otrzyma Pan wkrótce wiadomość od Reni.
Juliusz Kowalski

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 1.

Jerozolima, 6 września 1957

Kochany Panie Profesorze,

Mamy wyrzuty sumienia, że odpisujemy dopiero po nadejściu Pańskiego listu do koch. Reni i Henia, w którym Pan zapytuje o nas.

Podróż mieliśmy bardzo szybką i tym samym wygodną. Wieczorem byliśmy w Wiedniu i następne pół dnia mieliśmy czas dla zwiedzenia miasta, przynajmniej pobieżnie. Popołudniu wystartowaliśmy 4-motorowym Super-Constellation i ok. godz. 10 w-ieczór byliśmy już na miejscu.

Mieszkamy narazie u Henia. Nazajutrz po przyjeździe do Izraela udałem się do mojej Firmy w Tel-Awivie i dzięki poparciu Józka /przez jego znajomego dyr. Leumi Banku/ i listom polecającym przyjęto mnie do pracy. Wypłacono mi narazie z góry za dwa miesiące 500 funtów z tym, że do 1 listopada br. mam się poduczyć języka hebrajskiego. Dyrekcja zna mnie dobrze i pamiętają o mych zasługach dla nich przy realizowaniu transakcji importowych. Praca moja narazie będzie polegała na tym, że będę jeździł po tut. zakładach fabrycznych celem odbioru skrzynek na pomarańcze. W listopadzie wyjeżdża kilku brakarzy zagranicę w tym samym celu i ja ich tutaj zastąpię. W każdym razie jestem w tym samym zespole i też mam szanse potym wyjeżdżać. Będzie to łatwiejsze dzięki poparciu, jakie mam w firmie.

Narazie zatym chodzę na t.zw. ulpan i uczę się języka a Henia pomaga w gospodarstwie. Heniu jest zdaję się w lepszym humorze, chociaż w dalszym ciągu pozostała nie rozwiązana sprawa Dziuni. Wczoraj jednak Renia już załatwiła/częściowo/ sprawę mieszkaniową dla nich i najprawdopodobniej będą mieszkać b.blisko nas /po drugiej stronie ulicy/. Czy Heniu jest z tego tak bardzo zadowolony to nie wiem, jednak innego sposobu nie mieli znaleźć a w tym stanie nie można jej było z dziećmi zostawić.

Heniu pracuje narazie tylko w szpitalu i prywatnej praktyki narazie nie ma. Trudno go jakoś skłonić do zrezygnowania z połowy stawki i rozpoczęcia praktyki prywatnej. Narazie ma zastąpić swego kolegę, który wyjeżdża na pewien okres do NRF i prowadzić jego prywatną kancelarię lekarską.

Nr 76

1961 wrzesień 4, Warszawa – Marceli Stark do Jana Jaworowskiego. Odmowa poparcia starań o przedłużenie urlopu naukowego. Prośba o jak najszybszy powrót

Szanowny Panie Docencie,

Otrzymałem ostatnio list Pański, w którym prosi Pan o poparcie prośby o przedłużenie urlopu na 1 rok. Sprawa ta była mi już dobrze znana, gdyż dyskutowali ją już ze mną profesorowie Kuratowski¹ i Borsuk.

Stanowisko ich jest już Panu dobrze znane. Prof. Borsuk, który z początku był przeciwny temu, pod wpływem Pańskiej prośby wniósł sprawę na posiedzenie Inst[ytutu] Mat[ematycznego] UW, nie umiając podać żadnej przekonującej racji pozostania dłużej w USA, znalazł się w bardzo przykłej sytuacji, gdyż spotkał się z jednomyślnym sprzeciwem wszystkich pozostałych członków Instytutu. Stanowisko jego było przy tym chwiejne, gdyż zdawał sobie dobrze sprawę ze zwiększonych trudności, jakie napotyka w kierownictwie Instytutu w roku najbliższym. Reforma studiów matematycznych, reforma – jak się wydaje – korzystna, stawia przed całym ciałem pedagogicznym zwiększone zadania, do czego dochodzi dodatkowo zwiększenie liczby studentów na pierwszym roku o przeszło 50 proc. W takiej sytuacji wydaje się rzeczą oczywistą, że Instytut nie mógł przedłużać urlopu i prawdopodobnie uczyniłaby tak każda uczelnia na świecie. Wobec Pańskiej decyzji rezygnacji z pracy w UW znalazł się prof. Borsuk w trudnym położeniu, jako kierownik katedry geometrii, który liczył bardzo na Pańską współpracę i pomoc, zresztą nieodzowną.

Decyzja Pańska dotknęła prof. Borsuka osobiście i jest nią przygnębiony. Nie jest on człowiekiem młodym i intensywna praca pedagogiczna przychodzi mu obecnie znacznie ciężiej niż w ubiegłych latach. Pozwolę sobie zauważyć, że dochodzi do tego rozczarowanie. Włożył bowiem dużo pracy i wysiłku w kształcenie Pana i dr. Kosińskiego, licząc na Panów jako swych następców, kontynuatorów naszej szkoły topologicznej. Jestem człowiekiem związanym z matematyką polską od wczesnej młodości, pamiętającym dość wczesne jej dzieje i rozwój. Pamiętam rozmowy z Borsukiem z pierwszych lat powojennych, gdyśmy dyskutowali metody odbudowy naszej matematyki po mordach hitlerowskich, gdy odbudowa ta wydawała się niemal beznadziejną. Praca nad tym dziełem, uwieńczona dość znacznym sukcesem, wymagała ze strony resztek matematyków pozostałych po wojnie dużego hartu i wysiłku, a przede wszystkim pewnej zaciętości i wiary. Praca ta to nie była zwykła praca profesora nad uczniami. Zna Pan dobrze prof. Borsuka. Jest on patriotą, i to gorącym, i pracę tę traktował jako swój obowiązek z tego punktu widzenia. Tym bardziej bolesną dla niego jest decyzja Pana i dr. Kosińskiego pozostania przez nieokreślony czas poza krajem.

Jesteśmy w sytuacji, gdy brak nam matematyków i silnie to odczuwamy. Brak nam wykładowców, asystentów. Nie stać nas na eksport wykładowców. Wysyłamy młode kadry za granicę dla kształcenia się i dla utrzymania naszej matematyki w problematyce światowej z myślą, że wrócą i przyczynią się do rozwoju naszej matematyki w kraju.

¹ Kazimierz Kuratowski (1896–1980) – matematyk, po wojnie związany z uniwersytetem we Wrocławiu.

A polską matematykę tworzy się w Polsce. Nie tylko przez twórczość naukową, lecz również przez pracę pedagogiczną. A mamy młodych, zdolnych, którymi trzeba się zająć i zajmować się będziemy. Miał prawo liczyć prof. Borsuk na to, że w tym wieku, przy bardziej niż dotychczas szwankującym zdrowiu (należy się liczyć z cięższą operacją dwunastnicy) będzie miał pomoc i następców wśród swych uczniów. Zawód tym boleśniejszy.

Nie minę się z prawdą, że i prof. Kuratowski jest decyzją Pańską bardzo przygnębiony i zawiedziony. Zdaje Pan sobie sprawę, ile trudu włożył w uzyskanie dla Pana stypendium princetońskiego², dla pokonania przeszkód związanych z Pańskim wyjazdem (nie minął okres trzyletni od ostatniego dłuższego pobytu zagranicą). Miał do Pana duże zaufanie i nie spodziewał się, że więzy łączące Pana z macierzystą uczelnią, więzy mające zresztą formę prawną, okażą się tak słabe, że przyjmie Pan kontrakt z zupełnie sobie obcą uczelnią, kontrakt przypadkowy, łamiąc swe zobowiązania wobec UW. Zdaje Pan sobie sprawę z tego, ile wysiłku włożył on w odbudowę polskiej matematyki, ile wkładał i wkłada w odbudowę topologii. O decyzji Pańskiej mówił mi w swoisty dla niego, opanowany sposób, ale z dużym żalem i wspominał mi, że odczuwa to jako dużą, osobistą przykrość.

Decyzja Panów jest ponadto krzywdą dla innych młodych matematyków. Jest oczywiste, że możemy kształcić za granicą tylko określoną liczbę młodych matematyków równocześnie. Każde niezaplanowane przedłużenie pobytu zagranicą oznacza niemożność wyjazdu dla innych oczekujących w kolejce.

Pragnę zwrócić Pańską uwagę, że ustąpienie z UW z pozostaniem w Instytucie postawiłoby nasz Instytut w trudnej sytuacji wobec szkolnictwa wyższego. Trudno żądać od Instytutu, by dezorganizował uniwersytet, a tak by było, gdybyśmy ułatwiali pobyt zagranicą w przypadkach, gdy szkolnictwo, napotykając poważne trudności, nie może zgodzić się na taki pobyt. Byłoby to zresztą sprzeczne z zasadniczymi celami Instytutu. Powstał on jako nadbudowa polskiej matematyki, mając na celu organizację jej jako całości, w tym i matematyki w szkołach wyższych. Kształciliśmy doktorów w Instytucie, uważając, że mamy możliwości dostarczenia im w naszych warunkach wykształcenia głębszego niż miały do niedawna katedry uniwersyteckie. Kształciliśmy nie dla siebie, nie dla Instytutu i nie wyłącznie dla pracy twórczej. Jednym z ważnych naszych celów, który przez wiele lat systematycznie realizowaliśmy, było dostarczanie tym uczelniom wykładowców na wysokim poziomie. Sam Pan rozumie, że Instytut nie może i nie zamierza utrudniać pracy w uniwersytecie ani jej dezorganizować.

Przedstawione przeze mnie motywy powodują, że moje osobiste stanowisko jest zgodne ze stanowiskiem prof. Kuratowskiego, Borsuka i Mostowskiego. Podobnie jak oni uważam, że nie powinien Pan ustępować z uniwersytetu i mając w obecnej sytuacji do wyboru złamać kontrakt z Cornell University lub złamać kontrakt z UW – powinien Pan raczej wrócić, i to jak najszybciej, do UW.

² To jest stypendium Princeton University (USA).

Jest mi przykro, że nie mogę poprzeć Pańskiej prośby, byłoby to jednak sprzeczne z najgłębszym moim przekonaniem. Kieruję się w tym nie jakimiś czynnikami osobistymi, lecz obiektywną oceną warunków i potrzeb naszej matematyki.

Proszę o przyjęcie wyrazów szacunku i przekazanie ukłonów Małżonce^a.

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, maszynopis, j. polski, k. 2.

Warszawa, 4 września 1961 r

Szanowny Panie Docencie,

Otrzymałem ostatnio list Pański, w którym prosi Pan o poparcie prośby o przedłużenie urlopu na 1 rok. Sprawa ta była mi już dobrze znana, gdyż dyskutowali ją już ze mną profesorowie Kramkowski i Borsuk.

Stanowisko ich jest już Panu dobrze znane. Prof. Borsuk, który z początku był przeciwny temu, pod wpływem Pańskiej prośby wniósł sprawę na posiedzenie Inst. Mat. U.W. nie umiając podać żadnej przekonującej racji pozostania dłużej w U.S.A. Znalazł się w bardzo przykłej sytuacji, gdyż spotkał się z jednomyślnym sprzeciwem wszystkich pozostałych członków Instytutu. Stanowisko jego było przy tym chwiejne, gdyż zdawał sobie dobrze sprawę ze zwiększonych trudności na jakie napotyka w kierownictwie Instytutem w roku najbliższym. Reforma studiów matematycznych, reforma - jak się wydaje - korzystna, stawia przed ciałem pedagogicznym zwiększone zadania, do czego dochodzi dodatkowo zwiększenie liczby studentów na pierwszym roku o przeszło 50%. W takiej sytuacji wydaje się rzeczą oczywistą, że Instytut nie mógł przedłużyć urlopu i prawdopodobnie uczyniłaby tak każda uczelnia na świecie. Wobec Pańskiej decyzji rezygnacji z pracy w U.W. znalazł się prof. Borsuk w trudnym położeniu, jako kierownik katedry geometrii, który liczył bardzo na Pańską współpracę i pomoc, zresztą nieodzowną.

Decyzja Pańska dotknęła prof. Borsuka osobiście i jest nią przygnębiony. Nie jest on człowiekiem młodym i intensywna praca pedagogiczna przychodzi mu obecnie znacznie ciężiej niż w ubiegłych latach. Pozwolę sobie zauważyć, że dochodzi do tego rozczarowanie. Włożył bowiem dużo pracy i wysiłku w kształcenie Pana i dra Kosińskiego licząc na Panów jako na swych następców i kontynuatorów naszej szkoły topologicznej. Jestem człowiekiem związanym z matematyką polską od wczesnej młodości, pamiętam dość wczesne jej dzieje i rozwój. Pamiętam też rozmowy z Borsukiem z pierwszych lat powojennych, gdyśmy dyskutowali metody odbudowy naszej matematyki po mordach hitlerowskich, gdy odbudowa ta wydawała się niemal beznadziejną. Praca nad tym dziełem, uwieńczona dość znacznym sukcesem wymagała ze strony resztek matematyków pozostałych po wojnie dużego hartu i wysiłku, a przede wszystkim pewnej zaciętości i wiary. Praca ta, to nie była zwykłą pracą profesora nad uczniami. Zna Pan dobrze prof. Borsuka. Jest on patriotą i to gorącym i pracę tę traktował jako swój obowiązek z tego punktu widzenia. Tym bardziej bolesną dla niego jest decyzja Pana i dra Kosińskiego pozostania przez nieokreślony czas poza krajem.

Jesteśmy w sytuacji, gdy brak nam matematyków i silnie to

^a Brak podpisu. List przepisany z brulionu maszynopisu.

1965 listopad 5, Paryż – List Tomasza Sikorskiego, kompozytora i pianisty, do Marcellego Starka. Wrażenia z pobytu we Francji, gdzie rozpoczął studia muzyczne

Szanowny Panie,

Dziękuję za list. Śpieszę z odpowiedzią, ponieważ dużo się u mnie zmieniło. Przede wszystkim dzięki inicjatywie N[adii] Boulanger¹ mieszkamy obaj (ja i Rudziński²) w Cite³. Warunki są tu znakomite. Nowoczesny pokój z kuchnią, łazienką i instrumentami dla każdego. Głównie mieszkają tu malarze i trochę muzyków – nazywają to *Villa Medici de Paris* (w gazetach).

Budynek postawiony niedaleko *Hôtel de Ville*. Ja mieszkam na piątym piętrze z widokiem na Sekwanę i Notre Dame. Skontaktowałem się już z Xenakisem⁴ (b[ardzo] interesujący). Nie wiem tylko, dlaczego twierdzi, że należy studiować matematykę, nawet w mniejszym zakresie. Jak dotąd nie wyjaśnił mi, w jaki sposób transponować prawa matematyczne w dziedzinę muzyki. Widziałem go tylko raz i mam nadzieję, że pokaże mi jeszcze coś więcej ze swoich teorii.

10 listopada będzie w Cite audycja (z płyt) z utworami kompozytorów tu mieszkających (Niemiec, Japończyk, Rumun i my). Utwory polskie budzą tu duże zainteresowanie, oczywiście przede wszystkim Lutosławski⁵, którego słuchamy często z moimi przyjaciółmi (małżeństwo – pianiści, z pochodzenia Polacy) mieszkającymi obok mnie.

W styczniu będę miał koncert w *American Center for Students and Artists* (muzyka polska, między innymi mój utwór).

W niedługim czasie mamy zamiar spotkać Messiaena⁶. Oczywiście jest to dosyć trudne, ale ja chciałbym bardzo z nim rozmawiać (zwłaszcza że dużo się od niego nauczyłem – oczywiście pośrednio). Co do N[adii] Boulanger, to jest ona bardzo życzliwa, przy tym osoba o wielkiej erudycji i znajomości muzyki, jednakże dla nas już trochę za stara.

Niemniej ja osobiście sporo korzystam z jej uwag natury ogólnoestetycznej. Jednym słowem, jakoś się wszystko układa. Słyszałem parę koncertów. Jeden *Hyperprisme* Varèse'a⁷ (znakomity utwór) oraz *Eonta* Xenakisa (ciekawe) na fortepian, 2 trąbki i 3 puzony. Poza tym Rubinstein⁸ w B-dur Brahmsa⁹ (gorszy niż w Warszawie, a mimo to wspaniały). Niedługo Parrenin¹⁰ daje wszystkie kwartety Bartoka¹¹.

¹ Nadia Boulanger (1887–1979) – kompozytorka i pianistka francuska. Uważana za jednego z najwybitniejszych pedagogów kompozycji XX wieku.

² Zbigniew Rudziński (ur. 1935) – kompozytor i pedagog, studiował i nauczał w Polsce oraz poza granicami kraju. W latach 1985–1986 sekretarz generalny Związku Kompozytorów Polskich. Odnaczony wieloma nagrodami.

³ Cite (fr.) – miasto, centrum. Chodzi o centrum Paryża, którego część znajduje się na wyspie o tej nazwie.

⁴ Jannis Xenakis (1922–2011) – kompozytor grecki, uznawany za jednego z najwybitniejszych na świecie po 1945 r.

⁵ Witold Lutosławski (1913–1994) – jeden z najwybitniejszych kompozytorów polskich, dyrygent i pianista.

⁶ Olivier Messiaen (1908–1992) – wybitny francuski kompozytor, organista i pedagog.

⁷ Edgar Varèse (1883–1965) – kompozytor amerykański pochodzenia francuskiego.

⁸ Artur Rubinstein (1887–1982) – wybitny polski pianista pochodzenia żydowskiego.

⁹ Johannes Brahms (1833–1897) – jeden z najsłynniejszych kompozytorów niemieckich doby romantyzmu, przyjaciel Roberta Schumanna (1810–1856).

¹⁰ Jacques Parrenin (1919–1970) – skrzypek francuski.

¹¹ Béla Bartók (1885–1945) – jeden z najsłynniejszych kompozytorów węgierskich XX wieku.

Opisuję to Panu wszystko tak dokładnie, nie wiedząc, czy to Pana zainteresuje, ale tu nie jest łatwo coś zdziałać, wobec tego człowiek żyje tzw. aranżowaniem czegoś.

Sporo pracuję. Piszę, a także przepisuję (to ostatnie dosyć nudne i męczące). To byłoby chyba wszystko z aktualności.

Wspominał Pan coś o możliwości operacji, to mnie bardzo zmartwiło. Jak Pan się czuje? Chciałbym bardzo, żeby to szybko minęło. Ciekaw jestem, czy słucha Pan dużo muzyki. Wspominam często nasze wspólne wieczory muzyczne, które były dla mnie często dużymi przeżyciami. Uważam, że słuchanie muzyki z kimś (oczywiście zależy tylko z kim) jest bardziej inspirujące i twórcze od słuchania w samotności.

Z pewnością pozwala na lepsze zrozumienie utworu, jego wartości ludzkiej, a właściwie międzyludzkiej, sztuki, która ma chyba największą zdolność zbliżania ludzi. Słuchałem dziś *Kwartetu* i *Poematów* Lutosławskiego. *Kwartet* jest świetny, ale *Poematy* zasługują chyba na miano genialnych, to wspaniała muzyka. Ostudziło mnie to trochę w moich zapędach twórczych (obcowanie z wielkością działa na mnie destruktywnie, onieśmiela mnie).

Pisał Pan o Leonardzie¹² i jego poszukiwaniu piękna. Wracalem do jego obrazów kilkakrotnie po napisaniu listu do Pana. Portret Jana Chrzciciela jest prawie identyczny z portretem Bachusa, to jest dowodem, jak mało istotne są w jego malarstwie realia. Myślę, że są one tylko pretekstem do wyrażenia tego, co jest w tle, jakiegoś oddalenia, smutku, a jednocześnie uśmiechu. Jego wielkość to wieloznaczność, a właściwie nie – to brak jednoznaczności.

Co do innych rzeczy, to nie oglądałem zbyt wiele. Nie lubię tego turystycznego pędzenia do przodu, które nie pozostawia czasu na przemyślenie.

Będę tu jeszcze jakiś czas i myślę, że wiele zobaczę.

Co do miasta, to może ma Pan rację, że poza tymi wielkimi perspektywami, to jest dużo brzydoty. Ale są też małe uliczki, placiki etc., które mają dużo uroku.

Na tym kończę, łącząc serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku oraz oczekując listu Pańskiego

Tomasz Sikorski¹³

Źródło: *Zbiory Barbary Krydy, rękopis, j. polski, k. 2*

¹² Chodzi oczywiście o słynnego Leonarda da Vinci (1452–1519). Wspomniane następnie dwa portrety, Jana Chrzciciela i Bachusa, pochodzą ze schyłkowego okresu twórczości artysty.

¹³ Tomasz Sikorski (1939–1988) – kompozytor i pianista, studiował w Polsce i Francji, założyciel zespołu *Ad novum*, uważany za pierwszego polskiego minimalistę.

1966 sierpień 18, Tyniec – List Andrzeja Turowicza, przyjaciela z lat młodości Marceliego Starka, pisany po jego chorobie w czasie wyjazdu za granicę. Rola pracy w życiu człowieka

Drogi Panie Kolego!

Przedwczoraj otrzymałem list Pański i dowiedziałem się, że dzisiaj wraca Pan do Polski. Cieszę się bardzo, że wrócił Pan do zdrowia, cieszę się powodowany nie tylko sympatią, która powstała w latach, gdy byliśmy obaj młodzi, wzmocnioną przez Pańską przyjazną postawę wobec mnie w latach powojennych, ale także i dlatego, że jestem szczerze przekonany o tym, że jest Pan potrzebny, a Pańska praca bardzo pożyteczna.

Zdaje mi się, że ja jednak miałem rację, pisząc, że powinien Pan się szanować. Są dwie skrajności równie złe. Jedna to pod obsesją bliskiego końca i daremności, bezcelowości pracy – ta obsesja prowadzi do rozstroju i unieszczęśliwia. Ale szkodliwa jest i druga skrajność: próbować zapomnieć, że jesteśmy śmiertelni, i lekceważyć obowiązek takiego uregulowania naszego życia, abyśmy mogli jak najdłużej służyć. Konstruktorzy maszyn wiedzą, że na to, aby maszyna działała dobrze i długo, trzeba ją zaopatrzyć w regulator, który nie dopuści do nadmiernego przyspieszenia obrotów. W życiu człowieka również taki regulator jest niezbędny, i można go mieć. Człowiek, który „zabija się” nadmierną pracą, aby zapomnieć, może istotnie różne myśli zepchnąć do podświadomości, ale w rezultacie zdobywa w skutek tego urazy psychiczne i kompleksy, jak to wykrył Freud. Ale już na wieki przed Freudem odkryto, jak należy regulować życie ludzkie. Chcę to sformułować w takich terminach, które by nie nastroczały trudności we wzajemnym zrozumieniu się, płynącym z różnic światopoglądowych.

Sądzę, że optymalne uregulowanie życia wymaga unikania jednostronności, zasklepiania się w dziedzinie bałwochwalczego stosunku do własnej działalności i wyłącznego oddania się pracy.

Kto nie pracuje sumiennie i nie dba o skuteczność pracy, nie wart nazywać się człowiekiem. Stąd jednak nie wynika, aby swoją pracę czynić bożyszczem. Jest obowiązek poznawania prawdy i szerzenia jej – w granicach, na jakie pozwalają nasze możliwości; jest obowiązek, aby być dobrym dla ludzi i pomagać im, aby byli dobrzy; jest obowiązek, aby szukać piękna i odradzać się w nim.

Dlatego też czas poświęcony na przeczytanie mądrej i pięknej książki, na słuchanie muzyki, na oglądanie rudych drzew bukowych jesienią nie jest czasem skradzionym pracy – to jest rozumna inwestycja, która się opłaci, także w naszej pracy. A jeszcze więcej skorzystamy, jeśli znajdziemy trochę czasu na to, aby pomóc bezinteresownie komuś czy choćby wysłuchać życzliwie jego zmartwień, nawet gdy są niemądre lub małostkowe.

Piszę to śmiało, bo nie boję się, że mnie Pan posądzi o chęć moralizowania. Nie czuję się uprawniony do tego, a pragnę jedynie szczerze podzielić się tym, co o tych sprawach myślę i co sam usiłuję, jak umiem, realizować. Nie chciałem Pańskiej choroby i powrotu do kraju pokwitować kilku uprzejmymi frazesami. Nie chcę widzieć w Panu tylko osobnika, który zajmuje pewne stanowisko społeczne i wykonuje swoją pracę. Przede wszystkim trzeba widzieć człowieka. Domyślałem się, że wszystko, co Pan prze-

żył od młodości i w latach dojrzałych, cała suma niesprawiedliwości i krzywdy własnej i innych ludzi, prowadzi do takiego stanu duchowego, w którym człowiekowi wydaje się, że nie ma innego wyjścia, niż zabijać się nadmierną pracą.

A jest włoskie przysłowie: *Chi va piano, va sano – chi va sano, va lontano*¹. Życzę Panu, aby Pan szedł powoli i zdrowo, i zaszedł daleko. I proszę nie poddawać się czarnym myślom i wierzyć, że to jest możliwe.

Przypuszczam, że Pan znajdzie w Warszawie moje listy. [...]

Łączę serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni

Andrzej Turowicz²

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

¹ *Chi va piano, va sano – chi va sano, va lontano* (wł.) – Kto idzie (żyje) spokojnie, idzie (żyje) bezpiecznie – kto idzie (żyje) bezpiecznie, zachodzi daleko (żyje długo).

² Zob. przypis nr 76 we „Wstępie”.

Nr 79

1967 wrzesień 27, Londyn – Nieznany z nazwiska Mirek do Marcelego Starka. Niepokój o zdrowie adresata. Problemy egzystencjalne nadawcy

Zdarzają się takie dni, kiedy człowiek wie, że gdziekolwiek pójdzie, cokolwiek zrobi, nie pomoże mu to w ucieczce przed tym niepokojem, o którym słyszałem po raz pierwszy od Pana. Posługując się nie wiem jakimi słowami, niepodobna wyrazić czegoś, co zostało już przedtem wyświechtane przez niezliczone ilości piór i języków. Dlatego tak strasznie mi źle czasem. Wiem, że oprócz zdziwienia, które towarzyszy Panu w czytaniu tego listu, gdzieś tli się inne uczucie. Wierzę w to.

Nigdy nie zapomnę pewnego wiosennego dnia w ubiegłym roku, kiedy ten niepokój przerósł siły mojej wytrzymałości. Zadzwoiłem na Mazowiecką. Odezwiał się obcy głos. Okazało się, że jest Pan chory – poważnie chory.

Właściwie to nie wiem, czy dobrze robię, pisząc te słowa. Od tak dawna chciałem dać jakiś znak. Ale wszystko wracało do normy, kiedy widywałem Pana od czasu do czasu na ulicy. Powracał dobry humor i wszystko wydawało się być łatwiejsze. I wtedy zaczynałem pisać ten list. O wszystkim, co chciałbym powiedzieć. Tylko że to tak trudno mówić o rzeczach, do których człowiek nie przywykł. Po prostu nie mieści się to w żadnych ramach rzeczywistości. Nabyłem umiejętność pisanie różnych listów, ten nie pasuje do żadnej kolumny. Bo jest to list, który nie powinien spowodować najmniejszej zmiany. List, w którym doświadczony dorosły człowiek chciałby powiedzieć drugiemu człowiekowi zwykłe słowa. Boże, jak to trudno. Bo ja Pana znam. Doskonale znam i wiem, co Pan czuje w tej chwili. I mimo to siedzę w nocy w mieście, o którym powiedział Pan kiedyś: „Zobaczmy je razem” (Widziałem wszystko, o czym mi Pan kiedyś opowiadał, ZOO i Natural History Museum), i piszę list do Pana. Ten nieszczęsny list, który nie da się zaliczyć do żadnej kategorii listów.

To bardzo trudno powiedzieć komuś, że czuje się do niego prawdziwe przywiązanie, że w takiej postaci jak to jest, jest najlepiej. Bo w całej tej łatwiźnie jest jakiś punkt, do którego się wraca. W tym potoku spotykanych ludzi, okazuje się, był człowiek, który potrafił nadać życiu odpowiedni kształt. I jeżeli nie uda się ułożyć tego w ten sposób, wiadomo będzie, co człowiek stracił.

Przecież nie można powiedzieć po prostu: jestem wdzięczny za serce. Ale gdyby można było tak powiedzieć, to właśnie to mam na myśli.

Mirek

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

Nr 80

1967 grudzień 16, USA – Stanisław [Ulam ?] do Marcelego Starka. Plany osobiste nadawcy, chęć odwiedzenia Europy

Drogi Marceli,

Jakoś coraz bardziej tracę kontrolę nad czasem, której nigdy nie miałem. Właśnie teraz przeglądam Twój list, który ostatnio dostałem, i przeraziłem się, że to już tyle czasu upłynęło. Często jednak myślę o Tobie i innych, tak że wybaczysz mi moje nieodpisywanie.

Mam nadzieję, że zdrowotnie czujesz się teraz lepiej niż parę miesięcy temu. Tyle czasu upłynęło, że nie wiem, od czego zacząć odpowiadanie, które może być interesujące dla Ciebie. Z twojego listu widzę, że i u Was są zmiany, więc chyba jedyne, co jest stałe, to zmiany, których nie należy mylić z postępem.

U nas w rodzinie przybył nowy matematyk: Vladimir, dostał doktorat w jesieni w Univ[ersity] of Illinois, i teraz jest assistant professor w State Univ[ersity] of New York in Buffalo, NY. Wierzysz? Młodsze kończą high school w tym roku. Już przeszło 8 lat, jak przyjechaliśmy tutaj, nie powiem banałów, że to poszło błyskawicznie, przeciwnie, jeżeli mierzyć czas wydarzeniami, to były to dość długie i nie najgorsze lata. Najwięcej mnie jednak cieszy to, że po latach, kiedy byłem w różnych częściach świata i historii, mogę mieć pełniejszy pogląd na wiele rzeczy.

Chcę wziąć jeden rok *sabbatical*¹, choć mógłbym już w następnym roku, postanowiłem odłożyć to do 1969/70. Chcę trochę powłóczyć się po świecie, więc szanse spotkania są większe.

Słyszałeś zapewne o śmierci Knapowskiego². On był wielkim amatorem szybkich samochodów, i tak zginął, jadąc z ogromną szybkością, na szczęście sam, więc nie pozabił nikogo. Pisali nam o tym jego koledzy z Florydy.

Dziś cały dzień jestem pod wrażeniem wiadomości o tym, że dwóch biologów z Stanford Univ[ersity] zrobiło syntetyczny wirus, który „wpuszczony” do komórki zaczął się rozmnażać jak naturalny wirus. Golem Alejchem!

Marceli, wybacz mój kukurydziany (*corny*) styl. Siedzę i podpisuję Christ-massowe kartki, więc pomyślałem sobie, że dobrym ludziom winien jestem list. Ale ogłupienie jeszcze mi całkiem nie przeszło, i nie wiem, czy przejdzie kiedykolwiek.

Nata chce się wybrać w lecie 1968, z Katy, na 2–3 miesiące do Europy. Chcą także pojechać do USRR, i prawdopodobnie do Polski. Ja mam inne plany na lato nadchodzące, ale na następny rok, jak Ci wspomniałem, będę sam po tamtej stronie wielkiej wody.

¹ *Sabbatical* (ang.) – urlop naukowy.

² Stanisław Knapowski (1931–1967) – matematyk polski, w latach pięćdziesiątych XX wieku opuścił Polskę. Związany głównie z ośrodkami badawczymi w Niemczech i USA. Zginął w wypadku samochodowym.

Z okazji Nowego Roku, i bez okazji, przesyłam Ci najlepsze życzenia, zdrowia, zadowolenia i powodzenia. Przyjmij nasze najlepsze pozdrowienia i przekaz je innym ludziom dobrej woli.

Szczerze oddany
Stanisław³

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 1.



16 grudnia 1967.

Drogi Marceli,

Jakoś coraz bardziej tracę kontrolę nad czasem, której nigdy nie miałem. Właśnie teraz przeglądam Twój list który ostatnio dostałem, i przeraziłem się że to już tyle czasu upłynęło. Często jednak myślę o Tobie i innych, tak że wybaczyć mi moje nie odpisywanie. Mam nadzieję, że zdrowotnie czujesz się teraz lepiej niż parę miesięcy temu. Tyle czasu upłynęło, że nie wiem od czego zacząć opowiadanie, które może być interesujące dla Ciebie. Z Twojego listu widzę, że i u Was są zmiany, więc chyba jedyne co jest stałe, to zmiany, których nie należy mylić z postępem.

U nas w rodzinie przybył nowy matematyk: Vladimir, dostał doktorat w jesieni w Univ. of Illinois, i teraz jest assistant professor w State Univ. of New York in Buffalo, N.Y. Wierzysz? Młodsze kończą high school w tym roku. Już przeszło 8 lat jak przyjechalismy tutaj, nie powiem banalów, że to poszło błyskawicznie; przeciwnie, jeżeli mierzyć czas wydarzeniami, to były to dość długie i nie najgorsze lata. Najwięcej mnie jednak cieszy to, że po latach kiedy byłem w różnych czściach świata i historii, mogę mieć pełniejszy pogląd na wiele rzeczy.

Chcę wziąć jeden rok sabbatical, choć mogłbym już w następnym roku, postanowiłem odłożyć to do 1969/70. Chce trochę powłóczyć się po świecie, więc szanse spotkania są większe.

Słyszałem zapewne o śmierci Knapowskiego. On był wielkim amatorem szybkich samochodów, i tak zginął jadąc z ogromną szybkością, na szczęście sam, więc nie pozabijał nikogo więcej. Pisali nam o tym jego koledzy z Florydy.

Dzisiaj cały dzień jestem pod wrażeniem wiadomości o tym, że dwóch biologów z Stanford Univ. zrobili syntetycznie virus, który "wpuszczony" do komórki zaczął się rozmnażać jak naturalny virus. Golem Alejchem!

³ Nie można wykluczyć, że był to pochodzący ze Lwowa, bardzo znany w USA matematyk, Stanisław Ulam (1909–1984).

Nr 81

1969 styczeń 20, Warszawa – Marceli Stark do Stefana Witkowskiego. Porady wobec złej sytuacji osobistej adresata, tj. skazania na wieloletni wyrok w zakładzie karnym

Szanowny Panie!

Odpisuję na Pański list, który dotarł do mnie prawie że przed tygodniem. Muszę pisać na maszynie, gdyż przychodzi mi to z łatwiej z powodu bólów rąk, zwłaszcza zimą. Przykro mi, że zwlekałem z odpowiedzią, wiem, co to znaczy wiadomość ze świata i jak się na nią czeka. Pamiętam, jak w obozach hitlerowskich z zazdrością patrzyłem na tych, którzy otrzymywali listy, podczas gdy ja nie miałem nikogo, kto by mógł do mnie napisać.

Niestety pracy mam strasznie dużo. Muszę w krótkim czasie opracować wydanie swej geometrii, a zmiany niespodziewanie dla samego siebie wprowadzam duże. Poza tym mam dalsze plany z następną, nową książką, a muszę się spieszyć, gdyż być może życia pozostało mi niewiele, chociaż w chwili obecnej czuję się lepiej, a nawet znośnie. Przy sercu jednak czuję się zawsze nad sobą miecz Damoklesa. Tym bardziej, gdy się jest już reanimowanym po śmierci klinicznej (nie wiem tego na pewno, gdyż lekarze nie chcieli mi podać szczegółów ataku, gdy leżałem długi czas nieprzytomny). To mi zabiera każdą wolną chwilę, a po otrzymaniu takiego listu jak Pański trzeba się dla odpowiedzi skupić.

Zaskoczyła mnie surowość wyroku. Nie znam szczegółów sprawy, więc nie mogę się na ten temat wypowiedzieć. Trudna droga. Pozwolę sobie w tym miejscu, choć może nietaktownie, wspomnieć o pewnej książce, która ukazała się u nas w przekładzie w r[oku] 1967, a do Pana zapewne nie dotarła, Ceccheriniego¹ *Droga*. Książka napisana przez człowieka z dwudziestoletnim wyrokiem, który zaczął w więzieniu jako analfabeta, a doszedł, ucząc się cały czas w więzieniu, do własnej, oryginalnej techniki pisarskiej i napisał książkę, której się nie zapomina. Książka o życiu więziennym, majstersztyk, książka niebędąca fantazją mniej lub więcej dobrego pisarza, lecz daje skrót życia prawdziwego, widzianego przez przeciętnego człowieka od góry, a w tej książce przedstawionego z żabiej, oddolnej perspektywy. Dobrze ją zrozumiałem, gdyż znam to środowisko i to życie. Nie wiem, czy mógłbym ją zdobyć, a jeśli tak, czy wolno by było Panu ją przesłać.

Nie zamierzam zaprzestać wysyłania książek do Pana, jeśli to będzie dozwolone w więzieniu karnym. Wysłałem już własny egzemplarz książki Rasiowej², gdyż nie mogłem jej dostać, i książkę Sikorskiego³. Ostatnia jest bardzo trudna i wymaga poprzedniej znajomości rachunku różniczkowego i całkowego Kuratowskiego. Czy Pan ma ostatnią książkę opanowaną? Niezmiernie ważne dla zaznajomienia się z matematyką jest zapoznanie się z książką Rasiowej. Daje ona pojęcie i język współczesnej matematyki, które zostały ostatnio wprowadzone nawet w szkołach. Z czasem wyślę Panu dalsze książki, a jeśli będzie Pan miał jakieś potrzeby materialne, to i niewielkie sumy pieniężne,

¹ Silvano Ceccherini (1915–1974) – pisarz włoski.

² Chodzi o jedną z książek Heleny Rasiowej (1917–1994), profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk.

³ Roman Sikorski (1920–1983) – matematyk, związany z UW oraz IM PAN. Współpracował z Heleną Rasiową.

o ile nie zarobi Pan w więzieniu. Nie orientuję się w tych sprawach. Proszę pamiętać, że należą do ludzi, którzy dotrzymują raz danego słowa.

Z listu Pańskiego wynika, że czuje Pan do mnie urazę za użycie słowa „bajdurzenie” w stosunku do wypowiedzi Manna o 32 sonacie. Musi Pan wiedzieć, że nienawidzę muzykologów i krytyków literackich. Dla mnie są to zawsze niewyłądowni impotenci, z wyjątkiem paru nielicznych, którzy pisząc i będąc płatni od wiersza, potrafią wypełnić całe tomy, z których dosłownie nic nie zostaje w pamięci, nie mają żadnej treści. Na ogół jest to zalew wody. Niedawno celowo przeczytałem niewielką książeczkę tego typu i odniosłem wrażenie, że napisana została dla zarobku. Treści żadnej, kilka przypuszczeń, żadne nieudowodnione i od wszelkich autor na końcu się odżegnywa. Przygodkowo spotkałem go wkrótce potem, zapytałem go o tę książkę. Nie umiał mi powiedzieć, o co mu chodziło.

W przypadku Manna cel jest inny. Genialny ironista, traktujący w ten sposób swoich bohaterów, użył eseju o 32 sonacie Beethovena nie tylko dla namalowania i zironizowania środowiska, w którym Adrian się wychował (za tę ironię większość mieszczaństwa niemieckiego nie lubi go, wysuwając przeciw niemu zarzuty rzekomej zdrady patriotyzmu niemieckiego) i przygotować dalszą drogę Adriana. Ale czy ja to muszę czytać? Przyznam się, że ze złością, ale przeczytałem. Gdy chciałem po raz drugi wrócić do *Doktora Fausta*, ten fragment mnie odstręczył.

Wracam do sonaty, która niegdyś mną wstrząsnęła. Pyta Pan, jakie wykonania uważam za najlepsze. Po raz pierwszy w życiu usłyszałem ją w wykonaniu Annie Fischer⁴, wspaniałej beethovenistki węgierskiej, przed prawie dziesięcioma laty w Warszawie. Dwa inne wykonania, to płytowe Solomona⁵ i Glenn[a] Goulda⁶. Słyszałem ich kilkanaście. Ale damy w końcu tej sonacie spokój.

Pragnę wrócić do Pańskiej prośby. Ma Pan rację, że zbyt szerokie zainteresowania mogą stać się przyczyną tragedii i niepowodzeń. Spotkałem się z tym kilkakrotnie w życiu, widziałem niezwykle talenty ginące wskutek tego, że wszystko przychodziło im za łatwo, rozpraszając się przez to, nieumiejące się skupić. Osiągnięcie naukowe, czy też artystyczne, wymaga bez względu na zdolności świadomej rezygnacji z pewnych zainteresowań na rzecz przedmiotu głównego. Nie ma tak wielkich zdolności, które zapewniłyby sukces naukowy bez ciężkiej pracy. Różny jest tylko u różnych ludzi stopień trudności i wskutek tego stopień osiągnięć. Wysiłek jednak jest ten sam. Wielu ludzi młodych, przez brak doświadczenia lub wskazówek, poddaje się bezwzględnie swym zainteresowaniom, a to robi z nich często zwykłych snobów, błyskotliwych, lecz niekryjących za tą błyskotliwością większej głębi, a czasem kryjących zwykłą pustkę, gdy głębiej zagadnąć. Dlatego źle było, że nikt w pewnym momencie Pańskiego życia nie umiał Panu powiedzieć, że jeśli chce Pan cokolwiek osiągnąć, choćby najskromniejsze, a wybrał Pan matematykę, to musi Pan przynajmniej na jakiś czas jej wyłącznie się poświęcić. A jest ona na tyle interesująca, że z czasem zagarnia człowieka w całość. Takie poświęcenie się jakimś zainteresowaniu naprawdę zabija tę pobudliwość, o której Pan pisał, a która nie była tylko Pańską cechą, lecz każdego człowieka młodego.

⁴ Annie Fischer (1914–1995) – słynna pianistka węgierska pochodzenia żydowskiego.

⁵ Solomon Cutner (1902–1988) – brytyjski pianista, znany jako Solomon.

⁶ Glenn Gould (1932–1982) – kanadyjski kompozytor i pianista.

Stworzył Pan sobie atmosferę samouwielbienia, porównując się ze swym otoczeniem z domu dziecka. Taką samą atmosferę można sobie stworzyć, gdziekolwiek się jest, nie tylko, jak się Panu wydaje, przez porównywanie z otoczeniem z domu dziecka, gdyż dla każdego człowieka pewnej inteligencji stanie się w końcu jasne, że znaczna część otoczenia zostaje w tyle. Jednak wybór skali porównawczej jest cechą osobistą, gdyż można wybrać sobie inny wzorzec, tych którzy wyprzedzają, a wtedy atmosfera samouwielbienia pryska jak bańka. Czy też może kryteria dla tej atmosfery samouwielbienia nie zostały tak dobrane, by wykazać Pańską wyższość? Może przy doborze innych kryteriów atmosfera ta byłaby niemożliwa? Czy pomyślał Pan o tym? I tu podam Panu coś, co często w życiu obserwowałem. W sferach mieszczańskich do dziś, nie tylko przed wojną, pokutuje ciągle jeszcze atmosfera wyższości w stosunku do chłopów czy robotników. Rzekomo kwestia wychowania, manier, wykształcenia itp. Gdy ja jednak obserwuję często tępy brak inteligencji takiego „wyższego” w stosunku do robotnika, z którym potrafię mówić co prawda innym językiem, ale widzę wrodzoną inteligencję, to śmiech czasem bierze z tego poczucia wyższości. Może gdzieś indziej więc, w innych cechach Pańskiego charakteru, gdzieś głębiej, trzeba szukać przyczyn Pańskiej tragedii? Warto to przemyśleć.

Być może to, co piszę, odrzuci Pan jako nudy moralizatorskie. Ale tak nie jest. Mnie zawsze interesuje człowiek i nie jest to moralizowanie. Musi Pan dość do najgłębszych źródeł swego postępowania po to, by się im nie poddać. A będzie to Panu potrzebne, jeśli zechce Pan zachować pewną godność i odzyskać szacunek dla siebie w nowym życiu, które teraz Pana czeka. Niech mi Pan wierzy, można z tego wyjść oczyszczony. Piekło obozów i otoczenia znacznie gorszego niż to, które Pana czeka, pozwoliło mi się oczyścić z wielu błędów. Niech Pan nie lekceważy słów starego człowieka, który dużo widział i przeżył, wiele z tego, czego Pan nigdy nie zobaczy i nie będzie w stanie zrozumieć.

Proszę pamiętać, że bez względu na to, co się stało, podchodzić będę i szukać w Panu człowieka. Dlatego nie zostawiam Pana obojętnie Pańskiemu losowi i pisuję, i pisać będę, jak długo lepszy stan mego zdrowia pozwoli.

Życzę Panu spokoju i możliwości skupienia się w pracy umysłowej, o ile możliwości, również naukowej. Mimo wszystko wydaje mi się, że dałby Pan sobie ze studiami radę. Niech Pan tego nie zaniedbuje.

Spokoju ducha i siły.

MStark^a

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, maszynopis, k. 2.

^a Podpis odręczny.

1971 październik 29, Moskwa – List od Feliksa Kabakowa, moskiewskiego matematyka. Podziękowanie za otrzymane płyty. Refleksje na tematy muzyczne i wspólnego słuchania muzyki w małej, domowej grupie warszawskich przyjaciół

Drogi Panie!

Bardzo jestem Panu wdzięczny za płyty! Chociaż tej, z sonatami Prokofiego¹ i Hindemith[ha]² wcale niekoniecznie było zwracać, ponieważ płyta ta naprawdę, ależ naprawdę od czasu do czasu jest do nabycia w sklepach tutejszych. Niestety, adapter mój kapitałnie się zepsuł i oddany jest w tej chwili do naprawy, więc na razie nie mogę zrelacjonować Panu swego wrażenia z tej drugiej płyty.

Cieszy mnie bardzo każda wiadomość o spotkaniach u Pana przy muzyce, w których biorą udział państwo Grzegorzcykowie i Basia Kryda. Cieszy mnie także i myśl o tym, że może i mój przyjazd sprzed czterech lat (ależ dosłownie, ponieważ było to też w październiku!) też w jakimś tam stopniu przyczynił się do tych spotkań. W związku z tą „rocznicą”, którą z taką przyjemnością i trochę ze smutkiem (bo to wszystko już się nigdy nie powtórzy!...) „świętuje” teraz moja pamięć, chciałbym jeszcze dodać, że na zawsze zostanę wdzięczny Panu – oprócz całej tej wzruszającej serdeczności dla mnie ze strony Pana – i za to też, że w osobie Pana poznałem (wtedy jeszcze po raz pierwszy w życiu) człowieka, który tak poważnie i głęboko odbiera muzykę Mozarta. Dla mnie było to wydarzeniem ważnym i radosnym. Wtedy – i to od wielu już lat – Mozart był dla mnie już czymś nader znaczącym, nieodzownym składnikiem – oxygenem³ tej duchowej atmosfery, którą oddycham. Ale byłem wtedy samotny w takiej ocenie Mozarta, mimo że mam dużo przyjaciół – melomanów w najlepszym sensie tego słowa. Uważało mnie czasem za przesadzającego fanatyka! I nagle... w innym kraju... Takie wspólne przesłuchanie kwartetu d-moll!

Nawet w naszych czasach z Mozartem jest źle. Czas Mozarta jeszcze nie przyszedł. Ale coś się już zaczyna. Otóż istnym świętem dla mnie było wydanie tu u nas drukiem, po czterdziestu prawie latach od napisania, nikomu dotąd nieznannej książki o Mozarcie. Książki niecodziennej, zdumiewającej. Zdumiewa przede wszystkim nazwisko autora: Georgij Cziczeryn^a – pierwszy i w ciągu prawie 15 lat od Rewolucji Październikowej niezastąpiony minister spraw zagranicznych (czyli, jak wtedy mówiono, *narodnyj komissar inostrannyh del*^b) rządu radzieckiego!...?!...radzieckiego, tak, proszę szanownego państwa! Okazało się, że Cziczeryn, o którym owszem wiadomo było zawsze, że należał do tej warstwy „kulturalnych”, inteligentnych, bo dworzańskiego⁴ pochodzenia bolszewi-

^a Zapisano cyrylicą.

^b Zapisano cyrylicą. *Narodnyj komissar inostrannyh del* (ros.) – komisarz państwowy spraw zagranicznych.

¹ Chodzi oczywiście o słynnego kompozytora rosyjskiego Sergiusza Prokofiewa (1891–1953).

² Paul Hindemith (1895–1963) – kompozytor niemiecki.

³ Oxygen – tlen.

⁴ To jest szlacheckiego.

ków, takich jak Łunaczarski⁵, Worowski⁶, no i sam Wł[adimir] Ulianow⁷, że Cziczeryn był pod tym względem osobą całkiem innej rangi. To [się] stało oczywiste teraz po ukazaniu się jego książki o Mozarcie. Uważam tę książkę za jedną z najlepszych, w każdym razie za najaktualniejszą w dobie dzisiejszej pozycji o Mozarcie. Okazało się, że Cziczeryn był po prostu fachowo wykształconym muzykiem, świetnym pianistą, doskonałym znawcą całej twórczości Mozarta, no i w dodatku PRZECIEŻYCIENIAJLEPSZY MNIAJGŁĘBSZYMSENSIEFANATYKIEMSZTUKIMOZARTA^c. Ten człowiek rozumiał, że Mozart – to jest coś ogromnie ważnego, głębokiego. Temu właśnie poświęcona jest – ze zdumiewającą pasją – jego książka. Co do mnie, to mimo że czasem razi mnie w tej książce całkiem dla tych czasów zrozumiała terminologia i metodologia, które dla mnie teraz są nie do przyjęcia, zachwycony jestem **ogólnym** patosem treści skierowanych ku zwalczaniu tych płytkich, tanich, zniekształcających istotę twórczości Mozarta legend, których zabrała się w ciągu 150 lat spora warstwa: „Mozart-rococo”, „Mozart – słonecznie promieniejący młodzieniec – Apollo” itd., itp.

Posyłam Panu egzemplarz tej książki. **Nie do zwrotu!** Bo kupiłem ten egzemplarz specjalnie dla Pana. No, a jeżeli Panu książka ta będzie niepotrzebna, to niech ją Pan ani zwraca, ani wyrzuca, ale odda komuś (Basi Krydzie, *zum Beispiel*⁸). No, i posyłam także Panu numer miesięcznika „Nauka i Życie” z artykułem poświęconym jeszcze jednej (wyglądającej zachęcająco, moim zdaniem) wersji o przyczynach przedwczesnej śmierci W[olfganga] A[madeusza] Mozarta.

Czy jest u Pana płyta z kwartetem fortepianowym g-moll (KV 478)?

Ze wdzięcznością, życzeniami wszystkiego najlepszego i pozdrowieniami najserdeczniejszymi,

Feliks Kabakow⁹

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 1.

^c *Tak w oryginale.*

⁵ Anatolij Wasiljewicz Łunaczarski (1875–1933) – filozof radziecki, publicysta.

⁶ Wacław Worowski (1871–1923) – działacz bolszewicki, publicysta i dyplomata.

⁷ Władimir Iljicz Ulianow, znany jako Włodzimierz Lenin (1870–1924) – przywódca rewolucji październikowej i pierwszy przywódca bolszewickiej Rosji.

⁸ *Zum Beispiel* (niem.) – na przykład.

⁹ Zob. przypis nr 77 we „Wstępie”.

1972 grudzień 7, Warszawa – List Marcelego Starka do Feliksa Kabakowa. Dyskusja wokół książki Bohdana Pocięja. Refleksje na temat muzyki i religii

Drogi Panie!

Serdeczne dzięki za list. Późno odpisuję, w dwa tygodnie po wyjściu ze szpitala, gdy chodzę już – ale bardzo mi to ciężko przychodzi – po mieście. Z początku tak trudno mi wszystko przychodziło.

Dnie szpitalne nie były zmarnowane. Dziwne się to Panu wyda, ale gdy po zawale leżałem między życiem a śmiercią, dużo przeżywałem chwil bardzo głębokich, bardzo pięknych.

Niewiele się ma takich momentów w życiu, nawet wtedy, gdy tak jak ja, tyle razy już stawało się w obliczu śmierci. Ale tu była różnica. Dawniej to zawsze w obliczu gwałtownej śmierci, od kuli, od ciosu, okres wojenny, a bywało, że i niewojenny. Teraz miałem czas, mogło to stać się za chwilę, jutro, nie stać się w ogóle. Była niewiadoma, która dała rezerwę czasową, możliwość rozmowy z sobą i nie z sobą, sięgnięcia w głąb, odczucia, jak głąb ta jest otchłanna, niepoznawalna a pociągająca, wielka, przytłaczająca i zobowiązująca do absolutnej prawdy wobec samego siebie. Był to wiele dni trwający stan podniecenia, jakiego przedtem nigdy nie zaznałem.

Chciałbym znów mieć w życiu tę siłę, którą miałem wówczas, przeżyć ten stan wielkości i uduchowienia.

Czy na tle tego, co jest dziś, powrót do codzienności jest lepszy? A Pan pisze, że dobrą, radosną wieścią jest poprawa zdrowia itd. Czy jest?

Czy nie są lepsze takie wielkie przecucia, które się ma niewiele razy w życiu? Porównywalne z tymi, w które wciąga muzyka, nie każda, w niektórych chwilach, gdy jest się predysponowanym, by poprzez muzykę odczuć to, co jest dalej i co tak immanentnie tkwi właśnie w muzyce Bacha. To wskazanie wrót, wrota te nie są zamknięte, otwarte dla każdego, ale tak jakoś trudno do nich dojść. A przejść? Bach stawia przed wrotami, co dziwniejsze w sposób bardzo racjonalny, tą racjonalnością jest absolutny kunszt jego kontrapunktu; tu gdzieś tkwi nieuchwytny mistycyzm w jego racjonalizmie. Sprzeczność? Tak. Ale w sprzeczności rzeczywistość. Bach prowadzi poza osiągalne, powala i zmusza. Bach przez to jest szczytem.

Dlatego nie lubię książki Pocięja¹. Za dużo mętnego gadulstwa.

A Mozart? Jest drugim samotnym szczytem. Z jednego nie widać drugiego.

Nieporównywalni. To nie przez analogie mnogościowe należy do nich podchodzić. Przez pasma górskie, wędrówki grzbietami, od góry do góry, gdy się jest samemu, pod sobą ziemia, a nad głową – niebo. Gdy człowiek jest z wielkością.

Popełnia Pan błąd, zaprzeczając skalom wartościowania Pocięja. Bo wówczas schodzi [się] na jego pozycje, zamiast wzruszyć ramionami. Przeczytać, odłożyć, nie myśleć o tym, nie wrócić do tego.

¹ Bohdan Pocięj (1933–2011) – muzykolog, autor znanych książek o muzyce. Tutaj chodzi o książkę *Jan Sebastian Bach – muzyka i wielkość*, Kraków 1972.

W Himalajach są wysokie szczyty, na których mieszkają bogowie, każdy na swoim: Wisznu, Indra. W muzyce są odrębne wielkości, samotne – Bach, Mozart... Nie spotykają się w największym z tego, co stworzyli. Nie porównujemy ich.

Mozart ma dużo tandety, ma niezbyt wiele dobrej muzyki, za to największej, tylko naprawdę jest bardzo trudny. Zdaje mi się, że do połowy XX wieku nie był rozumiany; wyśmiać można najlepsze nagrania lat trzydziestych (nie ze względów technicznych). Bo Mozart jest trudny, wymaga niesłychanej koncentracji, prześledzenia każdego, choćby na moment ukazującego się tematu, współgry i wymaga umiejętności niedania się ponieść jego cudownemu warsztatowi, który kunsztowną, misterną kratą oplata jego głęboką, czasami najtragiczniejszą z tragicznych treść, oplata tak, że podglądając misterną robotę, detale, można nie zauważyć jądra.

Ma Pan rację, że epoka Mozarta dopiero nadchodzi. Cieszę się, że koncert c-moll w tym wykonaniu tak Panu spodobał się. To **jest** genialne wykonanie, zarówno Casadesu² – pianista, jak i Szell³ – dyrygent. Mam w ich wykonaniu wszystkie ostatnie koncerty, oprócz tego jedno wykonanie koncertu d-moll z Serkinem⁴, o którym można powiedzieć, że dopiero teraz ten koncert został odkryty i zrozumiany, a grają go od 200 lat.

Gdybyż Pan mógł usłyszeć wiele z nagrań, które ja mam, późnych jego utworów. To są wielkie chwile. Ale teraz nie słucham nic. Jestem na ogół sam ze swoimi bólami, w śródmieściu Warszawy, w huku ulicznym, a u mnie w pokoju cisza taka, że wydaje się, że aż ta cisza gra, graniem letnich nocnych pól, rozświeczonych, głośnych; i nie chcę tej ciszy przerywać.

Piszę tak do Pana, chociaż naprawdę prawie się nie znamy, raz w życiu widzieliśmy się, słuchaliśmy wraz z przyjaciółmi właśnie Mozarta. A czasem chce się coś powiedzieć, a tak trudno dobrym znajomym, trudno głosem.

Mam taką ciszę dookoła siebie, chwilami i w sobie. Ciszę po długim, wyjątkowo ciężkim życiu. I dobrze, że ciężkim. Bo cierpienie jest drogą wiodącą w górę. Kogo Bóg błogosławi, temu daje cierpienie, to jest droga do Niego wiodąca. I można powiedzieć: Bądź, Panie błogosławiony za cierpienie, któreś mi zesłał; za cierpienie, które wyrwa ze stanu zwierzęcego, daje świadomą drogę, siłę. Jakiś wziął na siebie cierpienie dla odkupienia, tak każdemu dajesz cierpienie, by prowadzić ku sobie. I za to bądź błogosławiony, za siłę, którą dajesz, za drogę...

A teraz może w dół. W późnym Mozarcie jest szamotanie się ze strasznym, tragicznym, nieprzewyciężonym i nieprzewyciężalnym cierpieniem, z tragizmem łamiącym, aż przychodzi *Requiem*, niedokończone, inne.

Pański oddany
Marceli Stark

Źródło: Zbiory Barbary Krydy, j. polski, rękopis, k. 2.

² Robert Casadesus (1899–1972) – francuski pianista i kompozytor.

³ George Szell (1897–1970) – dyrygent, pianista i kompozytor amerykański pochodzenia węgierskiego.

⁴ Rudolf Serkin (1903–1991) – pianista amerykański pochodzący z osiadłej w Czechach rodziny żydowsko-rosyjskiej.

7 grudnia 1972

Drogi Panie!

Serdeczne dzięki za list. Pożno odpisuję, i owa tydzień po wyjściu ze szpitala, gdzie cholera już - ale bardzo mi to użęko przysycha - po miesiącu. Z początku tak trudno mi wszystko przysychało.

Dzień szpitalny mi byłby zmarnowany. Długo to się Panu wyda, ale gdy po zawale leżałem między życiem a śmiercią, dużo przysychałem, choć bardzo głębszych, bardzo pięknych. Wiele ma się takich momentów w życiu, nawet wtedy, gdy tak jak ja, tyle razy już stało się w obliczu śmierci. Ale tu była różnica. Długo, to zawsze w obliczu ewentualnej śmierci, od kuli, od cięcia, okres wojenny, a żywa jest i mierzająca. Teraz miałem czas, mogło to stać się z chwilą, jutro, nie stać się, w ogóle. Była mierzająca, która dawała respekt, czasowi, możliwość rozmyślenia z sobą i nie z sobą, sięgnięcia w głąb, skupienie jak głąb to jest atakująca, nieposiadająca a poruszająca, wielka, przytłaczająca i zobowiązująca do absolutnej pracy wobec samego siebie. Był to wielki oluminiowany stan podległości jakiego przedtem nigdy nie przeżywałem.

Chciałbym znowu mieć w życiu tę siłę, którą miałem wówczas, przeżył ten stan wielkości i wniknięcia.

Czy na tle tego, to co jest obis, powrót do codzienności jest lepszy? A Pan pisał, że dobra, realna, węższa, jest papława zdrowia i t.d. Czy jest?

Czy nie są lepsze wielkie przeżycia, które nie są, nie wiele razy w życiu? Rozumowałem z tymi, u których widać muzyka, nie kąśla, w niektórych chwilach jest się przeżywanym, by poprzez muzykę odczuć to co jest dalej i co tak immanentnie stanowi życie w muzyce Bacha. To wskazanie wstętu, wstętu to nie są

MARCELI STARK
WE WSPOMNIENIACH



Kazimierz Kuratowski

Nad grobem Marcelego Starka

Niespodziewana, nagła śmierć Marcelego Starka jest niezmiernie bolesna dla licznych jego przyjaciół i współpracowników. Jest wielką, niepowetowaną stratą dla polskiej matematyki.

Od wczesnej młodości Marceli Stark poświęcił swe siły działalności naukowej i organizacyjnej w dziedzinie matematyki: początkowo – przed wojną – pracował we Lwowie; po przebytych okropnościach II wojny światowej pracował zrazu we Wrocławiu, a następnie – aż do ostatnich chwil swego życia – w Warszawie, biorąc udział we wszystkich organach kierowniczych matematyki polskiej.

Przez wiele lat docent Stark wchodził w skład dyrekcji lub kolegium Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk, był członkiem Komitetu Nauk Matematycznych, blisko współpracował z kierownictwem Polskiego Towarzystwa Matematycznego.

Głównego domeny jego działalności – to sprawy wydawnicze.

W tej dziedzinie był świetnym specjalistą, był autorytetem powszechnie uznawanym, również zagranicą. Jego doskonałą znajomość środowiska matematycznego pozwalała na pozyskiwanie dla naszych wydawnictw najwłaściwszych autorów i przyczyniała się w dużym stopniu do wysokiego poziomu tych wydawnictw.

Sam był redaktorem bardzo pożytecznej serii pt. „Biblioteka Matematyczna” oraz redaktorem doskonale prowadzonych „Wiadomości Matematycznych”, jak również członkiem redakcji niektórych innych czasopism. W rzeczywistości jednak był on doradcą niemal wszystkich polskich wydawnictw matematycznych, które korzystały z jego olbrzymiej wiedzy i doświadczenia.

Jego wszechstronna znajomość matematyki, jego zdumiewające rozeznanie w twórczości matematycznej w skali światowej, wreszcie jego błyskotliwa inteligencja sprawiły, że zajmował on zupełnie wyjątkową pozycję w społeczności matematycznej.

Tym boleśniej odczuwamy jego zgon.

Odszedł od nas człowiek o wielkich walorach umysłu, człowiek, który był niezwykłą indywidualnością, człowiek całkowicie oddany Polsce i polskiej matematyce; służył im z niesłabnącą ofiarnością, energią i entuzjazmem do ostatniej chwili swego życia.

Andrzej Turowicz

Wspomnienie o przyjacielu

Marceli Stark urodził się we Lwowie 19 września 1908 r. w drobnomieszczańskiej rodzinie żydowskiej. Studia uniwersyteckie rozpoczął w roku 1926. Był uczniem przede wszystkim H[ugona] Steinhausa, słuchał także wykładów innych profesorów uniwersytetu lwowskiego: Banacha, Ruziewicza i Żylińskiego¹. W latach 1929–1935 był asystentem w katedrze matematyki uniwersytetu lwowskiego. Zainteresowany zagadnieniami

¹ Eustachy Żyliński (1889–1954) – matematyk, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

politycznymi wstąpił do nielegalnej Partii Komunistycznej². Z tego powodu był aresztowany, lecz zwolniony wobec braku dowodów. Od roku 1935 był bezrobotny i utrzymywał się z dawania korepetycji.

Poznałem się z Marcelim w jesieni 1937 r., gdy przeniosłem się z Krakowa do Lwowa. Spotykaliśmy się na posiedzeniach Polskiego Towarzystwa Matematycznego i na seminariach S[tanisława] Mazura, podówczas docenta we Lwowie. Łączyły nas dobre stosunki koleżeńskie, choć nic jeszcze nie zapowiadało późniejszej przyjaźni.

W jesieni 1939 r. Stark wrócił do pracy na uniwersytecie lwowskim. Po zajęciu Lwowa przez Niemców, w lecie 1942 r., rodzice jego zostali przez okupantów zamordowani, on uciekł pod przybranym nazwiskiem do Krakowa i, po krótkim tam pobycie, do Warszawy. W czasie jego pobytu w Krakowie miałem sposobność oddać mu kilka drobnych usług. Nie przypuszczałem, że ten epizod będzie miał w przyszłości tak wielkie znaczenie w moim życiu.

W Warszawie Stark został aresztowany przez gestapo w styczniu 1943 r., ale uciekł z konwoju i dostał się do getta warszawskiego. Przebywał tam aż do powstania w getcie.

Podczas powstania został schwytany, wywieziony do Majdanka i umieszczony w filii tego obozu w Budzynie. Stamtąd przewieziono go do obozu przejściowego w Płaszowie (przedmieście Krakowa), a potem do Ravensbrück i Sachsenhausen. Wstrząsające wspomnienia Starka z powstania w getcie i pobytu w obozie zostały ogłoszone po jego śmierci w miesięczniku „Więź” (marzec 1975). W Płaszowie zdarzył się wypadek, który prawdopodobnie uratował go od zagazowania w Auschwitz. Do obozu przybył Niemiec i w jego obecności polecono matematykom – jeśli tacy są – wystąpić z szeregu więźniów. Stark zgłosił się. Wtedy Niemiec pokazał mu układ równań różniczkowych zwyczajnych nieliniowych i zapytał, jak się to rozwiązuje. Stark odpowiedział, że jest to układ niestandardowy, dla którego nie ma gotowego rozwiązania, lecz można go rozwiązać numerycznie. Niemiec spytał, czy Stark go rozwiąże. Odpowiedział, że nie może, bo nie ma potrzebnych książek, tablic, arytmometru, a przy tym musi pracować jak inni więźniowie. Na to Niemiec odpowiedział, że zwolni Starka z innych prac, a potrzebne pomoce otrzyma, i tak się stało. Stark zrozumiał, że musi robić w pracy pewne postępy, ale możliwie wolno, aby pracy starczyło mu na jak najdłuższy czas. Książki i arytmometr wysłano za nim razem do Ravensbrück i Sachsenhausen, a pracy udało mu się nie ukończyć.

Gdy ewakuowano Sachsenhausen, brał udział w słynnym marszu głodowym, kiedy pędzono tysiące więźniów całymi dniami bez pożywienia. Tysiące ludzi padało po drodze, a esesmani dobijali konających. Wreszcie wojska amerykańskie uwolniły konwój pod Hamburgiem. Po odpoczynku Stark ruszył pieszo do kraju. Przy przejściu przez linię demarkacyjną został uznany za obywatela radzieckiego (jako pochodzący ze Lwowa) i skierowany do obozu dla repatriantów radzieckich. Lecz w lipcu 1945, zgodnie z umową między rządami polskim a radzieckim, odesłano go do Polski. Mieszkał kilka miesięcy w Krakowie, od kwietnia 1946 [r.] został adiunktem na uniwersytecie we Wrocławiu, a w 1950 r. przeniósł się do Warszawy. Tam pracował do śmierci w Instytucie Matematycznym PAN na różnych stanowiskach, między innymi przez dłuższy czas jako

² Pierwotny zapis brzmiał: „do nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy” – został on usunięty przez cenzurę (informacja od prof. Zbigniewa Semadeniego – mail do redakcji IPN z 3 X 2012 r.).

wicedyrektor do spraw ogólnych. Od 1951 r. przez wiele lat współpracował z Redakcją Wydawnictw Matematycznych PWN.

Profesor Kuratowski w przemówieniu nad grobem Starka podniósł i ocenił jego niezwykle zasługi w dziedzinie wydawnictw polskich czasopism i książek matematycznych. Nadmienię tylko, że oprócz swego podręcznika geometrii analitycznej, napisał wraz z profesorem A[ndrzejem] Mostowskim trzypięciową *Algebrę wyższą*, *Elementy algebry wyższej* i *Algebrę liniową*. Książki te miały wiele wydań. Także jego inicjatywie zawdzięczamy powstanie wielu innych książek matematycznych, ponieważ wyszukiwał autorów, namawiał ich do pisania i pomagał przy wydawaniu.

Wróć do spraw osobistych. Po powrocie do kraju Marceli powiedział mi, że od czasu naszego ostatniego spotkania w Krakowie w 1942 r. uważa mnie za swego najlepszego przyjaciela. Wdzięczność, jaką mi okazywał, była zadziwiająca. Nasze spotkania krakowskie i drobne usługi, jakie miałem sposobność mu oddać, przybrały w jego pamięci wyolbrzymione rozmiary. Być może przyczynił się do tego fakt, że był wtedy jak szczu- te zwierzę, może zaważyła okoliczność, że udzielenie jakiegokolwiek pomocy Żydowi było związane z pewnym ryzykiem, być może – nie wiem – odsunęli się od niego jacyś ludzie, na których liczył, lecz jego wdzięczność dla mnie nabrała niezwyklej intensywności. Okazywał mi przyjaźń najserdeczniejszą, braterską, obdarowywał mnie książkami, namówił do podjęcia pracy w Instytucie Matematycznym PAN; wpływ jego przyczynił się do tego, że wróciłem do pracy naukowej, którą czasowo przerwałem. Muszę przyznać, że ja zawdzięczałem mu chyba więcej niż on mnie. Piszę o tych prywatnych sprawach, aby dać świadectwo o szlachetności charakteru mojego zmarłego przyjaciela. Ludzi, którzy umieją być tak wdzięczni, i to przez dziesiątki lat, nie ma chyba zbyt wielu na świecie.

Marceli nie był łatwy we współżyciu. Tragiczna śmierć jego rodziców i krewnych, straszliwe przejścia obozowe zrujnowały mu zdrowie i podkopały system nerwowy. Toteż przeżywał to wszystko i reagował tak, jak przeżywają i reagują neurastenicy. Często chorował, martwił się swoim stanem zdrowia, skutkiem czego do innych niedomagań dołączały się ciężkie dolegliwości nerwicowe. Powodowało to trudności w stosunkach z ludźmi i sądzę, że niejednen z jego znajomych – zrażony pozorami – nie umiał docenić wartości duchowych Marceliego. Ale wielu matematyków nie tylko go ceniło, lecz także okazywało mu szczerą przyjaźń. Marceli był bardzo muzykalny, miał wielki zbiór doskonałych płyt, świetne urządzenia stereofoniczne, a przeżywanie muzyki grało wielką rolę w jego życiu. Wiele razy słuchałem z nim muzyki w jego ciasnym, pełnym pięknych książek mieszkaniu, i wystarczyło widzieć, jak on jej słuchał, by zorientować się, jak głęboko muzykę przeżywał.

Był miłośnikiem literatury pięknej, zwłaszcza poezji. Pamiętam, iż kiedy mu powiedziałem, że choć przepadam za poezją dawniejszą, nie rozumiem i nie lubię współczesnej i że po śmierci Gałczyńskiego został dla mnie w Polsce tylko jeden poeta żyjący, Słonimski, odpowiedział: „weź i czytaj Szymborską”. Błysk oczu i ton, jakim powiedział te słowa, zdradzały, jak głęboko obchodziła go poezja.

W końcu marca 1974 r. odwieziono go do szpitala, gdzie poddał się operacji kardiologicznej. Wyszedł z wszczepionym stymulatorem serca³. W kilka dni po jego ostatnim liście otrzymałem wiadomość, że zmarł nagle na ulicy dnia 4 maja 1974 r.

³ Książd prof. Andrzej Turowicz zamieścił w swym wspomnieniu informację o chrzcie Marceliego Starka, która została usunięta przez cenzurę (uzupełnienie prof. Zbigniewa Semadeniego – mail do redakcji IPN z 3 X 2012 r.).

Marek Kac

Wspomnienia o Marcelim Starku

Obok Hugona Steinhausa, mego nauczyciela i *spiritus movens* mojej działalności naukowej, Marceli Stark był tym, który wywarł na mnie największy wpływ w czasie moich lat studenckich, spędzonych w przedwojennym Lwowie.

Po raz pierwszy spotkałem Marcelego w październiku 1931 r. na proseminarium z algebry i teorii liczb, które prowadził dla studentów pierwszego roku. Był w tym czasie zastępcą asystenta; magisterium uzyskał rok czy dwa lata wcześniej i miał opinię (dobrze zasłużoną) człowieka nadzwyczaj inteligentnego i szybko reagującego.

Miałem wtedy lat siedemnaście, ukończyłem właśnie Liceum Krzemienieckie, a najbardziej zaawansowaną matematyką, z jaką miałem okazję przedtem się zetknąć, była odrobina geometrii analitycznej. Proseminarium otwierało przede mną nowy świat i stwarzało okazję sprawdzenia się na licznych oryginalnych, interesujących i prowokujących problemach. Marceli był naprawdę utalentowanym nauczycielem, a dokonywany przezeń wybór problemów był wyrazistym świadectwem jego upodobań oraz głębi jego rozumienia matematyki. W późniejszych latach wielokrotnie żałowałem, że nie prowadziłem notatek z proseminarium, moi studenci zyskaliby wiele, gdybym w młodości był bardziej pracowity i systematyczny.

W latach trzydziestych dystans między studentami a profesorem był nieskończony, a przynajmniej takim się wydawał. Przerwać profesorowi wykład pytaniem czy pójść do jego pokoju, by poprosić o wyjaśnienie czegoś, co mogło okazać się trywialnym, było prawie nie do pomyślenia. Z drugiej strony, Marceli, pięć czy sześć lat od nas starszy, nie wydawał się groźny i był w rzeczywistości całkiem przystępny.

Szczególnie dobrze pamiętam jeden moment, gdy udałem się do niego po radę. Proseminarium trwało już wówczas kilka tygodni, gdy profesor Ruziewicz wywiesił ogłoszenie o rozpoczęciu swoich wykładów z początków analizy (z wyjątkiem profesora Steinhausa, którego punktualność była przysłowiowa i który respektował oficjalną datę rozpoczęcia roku akademickiego, profesorowie ustalali termin rozpoczęcia swoich wykładów zależnie od fantazji). Na pierwszym jego wykładzie doznałem jednego z największych szoków w swoim życiu, gdy wykład rozpoczął się słowami: „Będę zakładał, że państwo znają przekroje Dedekinda⁴”. Sprawa przybrała jeszcze gorszy obrót, gdy po kilku minutach profesor przystąpił do definiowania granicy górnej i dolnej ciągu liczb rzeczywistych.

Nazwisko Dedekinda nie było mi obce, gdyż dwie jego słynne książeczki znajdowały się w bibliotece mojego ojca. Przeglądałem je nawet wielokrotnie, ale za każdym razem były dla mnie niezrozumiałe. Teraz okazało się, że oczekuje się ode mnie biegłości w tym przedmiocie dostępnym tylko dla wybranych. Krążyła mi wtedy po głowie myśl rzucenia studiów matematycznych, lecz uważałem, że przed zrobieniem takiego drastycznego kroku powinienem porozmawiać z Marcelim.

Jak to teraz pamiętam, okazał on mało współczucia i prawie żadnego zrozumienia dla mojego zakłopotania. – Ależ ja nigdy nie słyszałem o przekrojach Dedekinda – usprawiedliwiałem się. – Wobec tego powinien Pan przeczytać o nich – powiedział i jedynym jego ustępstwem było wskazanie książki (był to pierwszy tom *Analizy* Sierpińskiego).

⁴ Julius Wilhelm Richard Dedekind (1831–1916) – matematyk niemiecki.

Poszedłem więc do domu i zabrałem się do czytania, a w miarę jak czytałem, piękno pojęcia uderzało mnie i wprowadzało w stan euforii, który może być wywołany tylko prawdziwym zrozumieniem.

Gdy kilka dni później z przejęciem opowiadałem Marcelemu o swoich przeżyciach (a zrobiłem to tak, jakbym to ja odkrył przekroje Dedekinda), powiedział mi tylko, że zapewne jednak mam zadatki na matematyka.

Poza seminarium nie zetknąłem się z nim już nigdy jako nauczycielem, ale staliśmy się przyjaciółmi i przejawiał duże zainteresowanie moimi postępami. Często dyskutowaliśmy o matematyce; pomagał mi niezliczoną ilość razy.

Przetłumaczył, na przykład, na angielski (który to język znał bardzo dobrze) moją pierwszą poważną pracę matematyczną *A trigonometric series*, która później została ogłoszona w „Journal of the London Mathematical Society”. Ponadto zmusił mnie do nauczania się teorii miary i całki Lebesgue’a⁵, w stosunku do której byłem irracjonalnie uprzedzony, co na szczęście trwało bardzo krótko.

Jego znajomość matematyki była fantastyczna, miał nieomal nieomylny instynkt dostrzegania rzeczy ważnych. Pamiętam, że gdy raz niósł zeszyt „Journal für die reine und angewandte Mathematik”, zapytałem go, co czyta – Frobeniusa⁶ – odparł – reprezentacje grup będą niedługo w centrum matematyki. – Była to uderzająca przepowiednia w czasie, gdy nikt w Polsce nie znał głębiej tego przedmiotu (z wyjątkiem być może Hermana Auerbacha, który wiedział wszystko o matematyce).

Widywałem go coraz rzadziej, wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, a potem zaczęła się wojna.

W jakiś sposób przeżył wojnę w niemieckich obozach koncentracyjnych i wrócił do Polski – ruina człowieka wróciła do ruiny kraju.

O jego roli w odrodzeniu matematyki polskiej napiszą inni, ja chcę tylko potwierdzić powszechne uznanie, jakim w Stanach Zjednoczonych i w ogóle na całym świecie cieszą się polskie wydawnictwa matematyczne, którym poświęcił swoje życie.

W okresie powojennym widziałem się z nim tylko trzy razy (choć korespondowaliśmy dość regularnie). Po raz pierwszy było to w październiku 1959 r., gdy przebywałem trzy tygodnie w Polsce. Drugi raz spotkałem go, gdy odwiedził Stany Zjednoczone na początku lat sześćdziesiątych. Rozmawiałem się z nim następnie w czasie swojej krótkiej wizyty w Polsce w sierpniu 1972 r. Zobaczyłem go po raz ostatni we wrześniu 1973. Właśnie w czasie ostatniej wizyty powiedziałem mu, że jestem zachwycony polskim przekładem mojego artykułu *Czy można usłyszeć kształt bębna?*⁷ i że pragnę podziękować tłumaczowi. Dopiero wtedy przyznał się, że to on właśnie jest tym tłumaczem. Żałuję, że nie przypomniałem mu wtedy, że to on również przetłumaczył moją pierwszą pracę, wówczas jednak z polskiego na angielski.

Marceli podupadł na zdrowiu, miał trudności z oddychaniem. Na kilka dni przed moim wyjazdem zaprosił on Antoniego Zygmunda i mnie do swego mieszkania, gdy tak siedzieliśmy, nagle pomyślałem sobie, że może widzę do po raz ostatni.

⁵ Henri Lebesgue (1875–1941) – matematyk francuski.

⁶ Ferdinand Georg Frobenius (1849–1917) – matematyk niemiecki.

⁷ „Wiadomości Matematyczne” nr 13 (1971), s. 11–35.

Oprócz kilku doskonałych podręczników, których był autorem lub współautorem, Marceli prawie niczego nie ogłosił drukiem.

Ze swoją wiedzą i zrozumieniem matematyka mógłby napisać wiele prac, był jednak perfekcjonistą i wymagania, które sobie stawiał, były nieprawdopodobnie wysokie. Był on perfekcjonistą we wszystkim, także w muzyce, gdzie uznawał tylko nieliczne nagra-
ne interpretacje dzieł uwielbianego przez siebie Bacha.

Zawdzięczam mu wiele. On to otworzył przede mną świat Matematyki, zawsze był gotów służyć radą i zachętą. Gdy krytykował coś, czynił tak ze szczerej chęci udzielenia pomocy, nigdy nie powiedział ani nie zrobił czegoś, co mogłoby podważyć czyjąś wiarę we własne siły. Był uparty, ale nie kapryśny, wymagający, ale nie despotyczny, wnikliwy, ale nie arbitralny.

To, co napisałem, nie jest oceną, lecz tylko wyrazem uznania – osobistego uznania dla przyjaciela, którego życie splotło się z moim w zadziwiający sposób. Był on jedną z nielicznych iskieł świecących w bezmiarze mroków tego świata.

Stanisław Hartman

Marceli Stark był jednym z pierwszych matematyków, którzy zjawili się po wojnie we Wrocławiu. Przedtem był więziony tu przez Niemców Marczewski, a jesienią [19]45 ściągnęli: Ślebodziński, Steinhaus i Knaster, a z młodszych – Maria Nosarzewska i ja. Marceli przyjechał w kwietniu 1946 r. i został groźnym adiunktem. Gdy Steinhaus organizował wydział i był jego pierwszym dziekanem, a Marczewski był *spiritus movens* działalności naukowej i szefem matematyków, to tym, który dbał na co dzień o porządek i dyscyplinę wśród powiększającej się stopniowo gromadki asystentów, był on – Marceli Stark. Gdy się zbliżał – a pamiętam skrzyp jego butów – nie było wątpliwości, że idzie władza i że dobrze mieć czyste służbowe sumienie. Skomplikowana robota dydaktyczna i biblioteczna jednocześnie na dwóch uczelniach szła z jego istotnym udziałem i pod jego – jakże istotnym – nadzorem.

Marceli na służbie – to było jedno, a Marceli kolega, przyjaciel i *causeur*⁸ – to drugie. O tym nie można mówić bez szerszej retrospekcji, więc przypominam, co i tak wiadome. Pierwsi osadnicy, zwani pionierami, doprowadzali do porządku swoje nowe *domicilia*, usiłowali stworzyć jakiś początek swoich bibliotek, umysłowo wygłodniali lub z zaniedbaną edukacją brali się ochoczo do myślenia, chodzili na skąpe obiady do stołówek, starali się jakoś zarobić pieniądze. Równoległość trosk i działań prędko stworzyła poczucie wspólnoty losu, potrzebę częstego kontaktu i silne przyjaźnie, w sumie to wszystko, co zyskało rozgłos jako wrocławska atmosfera życia koleżeńskiego i naukowego. Odwiedzano się często, bez uprzedzenia, bo telefonów nie było, ale zawsze ku uciesze gospodarzy. Myślę, że człowiek samotny był wtedy we Wrocławiu mniej samotny niż gdzie indziej.

Marceli Stark wtedy i później chętnie zaprzyjaźniał się z rodzinami, brał uczuciowy udział w ich zmartwieniach i radościach, zadomawiał się. Szczególnie lgnął do domów, w których były małe dzieci. Zainteresowanie cudzymi dziećmi – to cecha nierzadka,

⁸ *Causeur* (fr.) – gawędziarz.

zwłaszcza u samotnych, ale u Marceliego była wybitnym rysem osobowości. Miał potrzebę i dar kontaktu z dziećmi, pozyskiwał je sobie, cieszył się, patrząc, jak się rozwija, umiał sprawić dziecku przyjemność. Moja córka, dzisiaj dorosła, pamięta, że w dzieciństwie najładniejsze i najciekawsze książki dostawała od „wujka Marceliego”.

Gdy dzieci spały, a dorośli siadali do stołu, Marceli opowiadał, dyskutował, czasem zaperzony, częściej wesoło, o zdarzeniach, o ludziach, o dzieciach, o książkach, o teatrze, o Tatrach, o zwierzętach. Z jego surowości w życiu zawodowym i społecznym nie zostało wtedy nic. Była serdeczna pogwarka i żarty, ale w dniach chmurnych także poważna jego współtroska i moralna pomoc. Pomoc bywała często i materialna. Marceli był zapobiegliwy i miewał różne potrzebne rzeczy, których inni nie mieli. Na przykład on jeden, człowiek bezzenny, miał wagę dla niemowląt – przedmiot, którego wtedy nie można było kupić. Ta waga służyła po kolei wielu potomkom matematyków, w miarę ich przychodzenia na świat.

Marceli utrzymywał we Wrocławiu stosunki rodzinne z wdową po swym bracie, orientalistką, i jej mężem, znanym lekarzem, którzy potem wyjechali. Praca i przyjaźnie nie wypełniały mu całego życia. Nie umiem oczywiście powiedzieć, z jakich składników ono się jeszcze składało, ale na pewno było w nim miejsce na to, co się teraz zwykle nazywa *hobbies*, a co u Marceliego polegało na kolekcjonerstwie. We Wrocławiu zbierał porcelanę. Warunki były sprzyjające. Z początku o cenną porcelanę było łatwiej niż o mięso. („Gdy miasto ulega zburzeniu, zostaje porcelana” – słowa Steinhausa). To się zmieniało. Były miniatury, płyty, a zawsze książki. Kiedyś, już później, gdy wyjeżdżałem zagranicę, Marceli prosił mnie, żebym mu przywiózł specjalne nagrania kilku poważnych utworów. Jako człowiek niemuzyczny czułem się nieswojo z tą misją i niezbyt dobrze ją spełniłem, ale mój zleceniodawca nie dał mi tego poznać – od innych dowiedziałem się, że był zawiedziony.

W swojej bibliotece miał Marceli wiele rzeczy pięknych, które wyglądały na unikalne w Polsce, książki o sztuce, o ludach, o kulturach. Któż inny mógłby na przykład mieć starą powieść chińską o Hsi-Menie i o jego sześciu żonach (w niemieckim przekładzie)? Marceli lubił tę książkę. Dzięki niemu i ja ją przeczytałem, a na krótko przed jego śmiercią rozmawialiśmy o tym arcydziele narracji, do którego zresztą zawsze można wracać.

Gdy Marceli w 1951 r. przeniósł się do Warszawy, widywałem go już znacznie rzadziej. Był tam, jak wiadomo, sekretarzem naukowym, a potem zastępcą dyrektora do spraw ogólnych w Instytucie Matematycznym PAN i sprawował tę funkcję z nie mniejszą energią niż przed tym obowiązki adiunkta we Wrocławiu. Był też sekretarzem Komitetu Matematycznego PAN. Dobrze znane są jego książki własne i wspólne z Andrzejem Mostowskim. Głównym jednak jego zajęciem, któremu oddawał się z pasją, była praca wydawnicza. Był sekretarzem redakcji „*Studia Mathematica*” i przez pewien czas kierownikiem Redakcji Matematycznej PWN. Redagował „*Wiadomości Matematyczne*”. Zajmował się też innymi czasopismami.

Z wolna zmieniał się. Wiek i doświadczenia złagodziły ostrość jego sądów i poczynań. Już kilkanaście lat temu dała o sobie znać choroba serca, która ograniczała jego rzutkość i zdolność do pracy. Stał się przyjacielskim, dobrotliwym starszym panem, często potrzebującym pomocy i opieki. Takim go znali i lubili matematycy młodszego pokolenia. Miał też przyjaciół w innych kręgach. Od czasu do czasu zapraszał gości miejscowych

i przyjezdnych do swego pokoiku na Mazowieckiej, pełnego pięknych i cennych rzeczy, i sam przygotowywał dla nich niepowszednie poczęstunki.

O życiu Marcelego właściwie niewiele wiadomo. Dlaczego wybrał samotność? Czy i jak wiązało się to z katorgą okresu wojny? Przed wojną działalność rewolucyjna, matematyka. Po wejściu Niemców do Lwowa Marceli stał się jednym z tych, którym nie wolno było żyć. Rodzice i brat zostali zamordowani. Wspomniał raz w rozmowie ze mną o jeszcze innej jakiejś wielkiej stracie, której nie przeboleał, ale potem nigdy do tego nie wracał.

Marceli Stark żył jakby w poszukiwaniu sensu życia, krzyżowało się w nim wiele dążeń. Matematyk, humanista i esteta, samotnik i towarzysz, człowiek osobliwy, niejednorodny, niepodobny do innych.

Zostało po nim smutne puste miejsce w pejzażu postaci ludzkich, których istnienie jest dla nas ważne.

Andrzej Schinzel

Z Marcelim Starkiem zetknąłem się po raz pierwszy jako student I roku matematyki UW, na którym w r[oku] akad[emickim] 1953/[19]54 prowadził on wykład z algebry, na owe czasy w Polsce bardzo nowoczesny. Bliższy kontakt nawiązałem z nim jednak znacznie później poprzez „Acta Arithmetica”, których był sekretarzem, ja zaś od 1967 r. członkiem redakcji. W latach 1958–1969 redaktorem „Acta” był Wacław Sierpiński. Ze względu na jego podeszły wiek doc. Stark wziął na siebie znaczną część obowiązków redaktora, dokonując m.in. wyboru recenzentów. Wybór jego bywał z reguły trafny, co mogło dziwić, gdyż sam nigdy aktywnie teorią liczb się nie zajmował. Miał jednak dobre rozeznanie w sytuacji w tej dziedzinie na świecie i wyczucie ważności wyników.

Znał, jak prawie nikt w Polsce, historię matematyki i szczególnie cenił wykłady Kleina z tej dziedziny. Wszechstronna kultura matematyczna szła u niego w parze z głęboką kulturą humanistyczną. Władał biegle językami: angielskim i niemieckim, i z upodobaniem czytywał w oryginale Szekspira i Tomasza Manna.

Wiesław Żelazko

Trudno jest pisać o Marcelim Starku w tym sensie, że trudno jest o jednoznaczną charakterystykę jego osobowości. Był człowiekiem o bogatym życiu wewnętrznym i wszechstronnych zainteresowaniach. Do tego, co go interesowało, podchodził z wielkim entuzjazmem (nie zawsze długo trwającym). Na przykład, przez pewien czas pasjonował się fotografowaniem i urządził sobie w swej małej kawalerce przy ul. Mazowieckiej ciemnię i laboratorium. Potem nagle przestał się tym zajmować⁹. Przyjaźnił się z wieloma ludźmi z bardzo różnych środowisk, rzadko jednak opowiadał o swoich przyjaźniach. W ogóle mało mówił o sobie (w sensie przeszłych wydarzeń, bo o aktualnych odczuciach i poglądach mówił często – te ostatnie podlegały dużym i nieoczekiwanym wahaniom). Czasami tylko opowiadał o swoich przeżyciach z czasów okupacji lub sprzed wojny. Żył samotnie, rodzinę stracił w czasie okupacji. W towarzystwie potrafił

⁹ Było to prawdopodobnie związane ze skłonnościami do alergii, chorobami skórными i wrażliwością na związki chemiczne, co m.in. pojawiło się w korespondencji z bratową, Renatą Stark-Cohen.

być uroczy, pełen życia i energii. Do wszystkiego, co robił, podchodził z wielkim zapałem i z głębokim przekonaniem, że potrafi to zrobić najlepiej.

Przyjaźniłem się z Marcelim od dość dawna na gruncie naszych wspólnych zainteresowań muzyką. Często odwiedzaliśmy się nawzajem i słuchaliśmy muzyki z płyt. Marceli miał bardzo dobrą aparaturę i wspaniałe płyty, które dość często wymieniał (miał nie więcej niż 400 sztuk). Słuchał prawie każdej dobrej muzyki, preferując barok i muzykę XX w. (romantyków raczej nie lubił), miał nawet płyty z muzyką jazzową. W zakresie starej muzyki gusty mieliśmy dość podobne, obaj uważaliśmy Bacha za największego kompozytora wszystkich czasów. Marceli powiedział mi kiedyś, że uważa *Mszę h-moll* Bacha za największe osiągnięcie pojedynczego człowieka, nie tylko w dziedzinie sztuki, ale twórczości w ogóle, łącznie z nauką. Nie miał wykształcenia muzycznego, nie znał nawet nut, ale muzykę rozumiał głęboko.

Współpracowaliśmy także w redakcji „*Studia Mathematica*”. Działalność tę Marceli bardzo dobrze sobie cenił i spośród wielu swoich zajęć uważał ją za najważniejszą. Był sekretarzem redakcji, począwszy od pierwszego tomu powojennego. Trochę nawet pracę tę celebrował, wkładając np. w redagowanie listów znacznie więcej energii, niż na to obecna redakcja może sobie pozwolić. Niektóre listy odmawiające drukowania były szczytem dyplomacji, często zresztą chwalił się nimi.

Potrafił od opornych recenzentów szybko wydobywać recenzje, a nawet potrafił załatwić w drukarni przyspieszenie druku naszego czasopisma. Niestety, ostatnio dużo chorował. Zanosilem mu wtedy materiały redakcyjne do szpitala i tam pracowaliśmy.

Marceli często zachęcał młodych ludzi do pisania, martwił się, gdy długo nic nie drukowali, i cieszył się, gdy wreszcie coś przynieśli do redakcji. Chociaż sam nie brał udziału w badaniach naukowych, widać było jego wpływ na środowisko matematyczne, i to nie tylko w sprawach wydawniczych.

Jean-Pierre Kahane

Moim pierwszym wspomnieniem o Marcelim Starku jest pewne spotkanie, które nie doszło do skutku. Miał on w Paryżu odczyt na temat wydawnictw matematycznych w Polsce, na który nie mogłem przybyć. Ja zaprosiłem go do Montpellier, lecz z kolei on nie mógł zmieścić tej wizyty w swoim programie.

Rok później – było to w 1961 r. – poznałem go w Warszawie. Antoni Zygmund był tam również. Jedliśmy razem obiad w Grand Hotelu – Marceli Stark był znawcą jedzenia i pomagał nam w wyborze dań; on sam jadał wtedy bardzo umiarkowanie. Spotkaniem go ponownie w jego królestwie, przy ul. Śniadeckich, w otoczeniu kolekcji „*Studiów*”, „*Fundamentów*” i innych polskich czasopism, które były mu drogie jak dzieci, i które w rzeczywistości zastępowały mu rodzinę. Następne spotkanie u niego, w maleńkim studio, gdzie piętrzyły się dziwy; tu po raz pierwszy usłyszałem nagranie pianisty Richtera, wówczas jeszcze nieznanego we Francji; tu odkryłem Pendereckiego; wydawało się, że Marceli Stark przedestylował cały eliksir kultury polskiej i światowej, aby zamknąć go tu, w tej niewielkiej przestrzeni.

Później spotykałem się z nim w czasie każdej swojej podróży do Polski. Zapraszał mnie niezmiennie do Grand Hotelu, miałem duże trudności, aby się zrewanżować za jego zaproszenia. Lubił bardzo zespół analizy harmonicznej z Orsay. Widział w nim,

i słusznie, jednego ze spadkobierców duchowych Zygmunta; sądzę, że był szczęśliwy, gdy mógł spotkać jego wielu członków z okazji kolokwium w Jabłonie w 1972 r. To właśnie tu podał on pomysł artykułu o pracach Zygmunta. Rozmawialiśmy o tym, później przedyskutowałem to z Eliaszem Steinem. Projekt był jednak daleki od realizacji. Bez jego cierpliwego czuwania z pewnością nie ujrzałby światła dziennego.

Moje ostatnie spotkanie z Marcelim Starkiem miało miejsce z okazji wręczenia Antoniemu Zygmundowi dyplomu członka honorowego Polskiego Towarzystwa Matematycznego. Miałem tam powiedzieć jedynie kilka słów, lecz wydaje mi się, że żadne wystąpienie nie kosztowało mnie tyle wysiłku. Mogłem mówić przez dwie, trzy godziny, ale co można powiedzieć w ciągu dwudziestu minut? Kończyłem przygotowanie tekstu na dwie godziny przed uroczystością, w pokoju Starka. Wówczas po raz pierwszy w czasie tych lat naszej znajomości opowiedział mi o getcie warszawskim, o Pawiaku (którego atmosferę znakomicie opisał Stanisław Hartman w jednym z numerów „Więzi” w 1972 r.), o swych nadziejach i rozczarowaniach. Później, zmęczony, położył się, podczas gdy ja, jak pilny uczeń, pisałem zakończenie swojego wystąpienia.

Widzieliśmy się jeszcze parokrotnie w ciągu kilku dni mojej wizyty. Lecz właśnie przywołuję go we wspomnieniach, wyciągniętego na łóżku w jego pokoju; walczył ze swoim cierpieniem z tą samą cierpliwością i energią, z jaką zbierał artykuły do czasopism matematycznych.

Marceli Stark pozostanie w mojej pamięci prawdziwym człowiekiem, wzorem pracowitości.

Zbigniew Semadeni

Podobnie jak niemal każdy polski matematyk z mojego pokolenia swe pierwsze kontakty z Marcelim Starkiem zawdzięczam sprawom wydawniczym. Telegram „Recenzja pracy Pełczyńskiego pilnie potrzebna”, niejednokrotne zapewnienia „ja to Panu załatwię” – to najstarsze me reminiscencje z początkowego okresu znajomości. Później doszły kontakty służbowe: zostałem pracownikiem IM PAN, w którym był zastępcą dyrektora do spraw ogólnych. W swej gestii miał wydawnictwa, opiekę nad biblioteką, wymianę czasopism (stawiał swą parafę na każdym egzemplarzu przychodzącym do Instytutu!), delegacje służbowe oraz współpracę z zagranicą, w szczególności nasze wyjazdy zagraniczne.

Zależało mu na rozwoju młodych ludzi; objawiało się to np. tym, że gdy w Warszawie miał mieć odczyt jakiś wybitny matematyk, Stark wysyłał imienne zaproszenia do innych ośrodków (jego znajomość zainteresowań różnych matematyków odgrywała tu istotną rolę) z obietnicą pokrycia kosztów podróży.

To, co miał zrobić, robił szybko; mawiał, że to konieczność, bo brak mu cierpliwości na dłuższe siedzenie nad szczegółami.

Szczególnie gładko szło mu pisanie oficjalnych sprawozdań – umiejętność, której mu później szczerze zazdrościłem. Opinie miał zdecydowane i umiał sugestywnie przekazać je swemu rozmówcy; zdarzało się jednak, że po kilku miesiącach równie przekonująco mówił coś zupełnie przeciwnego.

Gdy w kwietniu 1967 r. po 22 latach przerwy wracałem na stałe do Warszawy, Marceli Stark zaproponował mi funkcję zastępcy redaktora „Wiadomości Matematycz-

nych”; do tego czasu redagował pismo sam (od tomu 3) przy pomocy sekretarza, którym był wprawdzie Jerzy Browkin, a później Andrzej Mąkowski.

W rok później zaskoczył mnie swą propozycją bruderszaftu. Stwierdziłem, że przeszedł na ty z wieloma moimi rówieśnikami i że było mu to wówczas potrzebne; narzekał na stan zdrowia, był w złej formie psychicznej.

„Wiadomościami” zajmował się intensywnie i z pasją. On to właśnie był twórcą profilu tego pisma, które nie ma chyba swego odpowiednika w żadnym kraju. Długie lata toczył walkę, by „Wiadomości” nie stały się miejscem publikowania błahych i nieinteresujących przyczynków pod pretekstem ich elementarności. Chciał, by było jak najwięcej dobrej publicystyki matematycznej, a ponadto, by artykuły niezależnie od obiektywnej wartości – były „do czytania”. Siedem lat wspólnej pracy w redakcji dało mi bardzo dużo, m.in. możliwość wysłuchania niejednej opowieści o czasach mniej lub bardziej odległych.

Szczególną uwagę przykładął do działu recenzji. Chciał je mieć interesujące dla czytelnika, a gdy trzeba – krytyczne. Uważał, że ścieranie się poglądów i opinii jest ważne dla kształtowania środowiska naukowego, pod warunkiem że jest to prowadzone kulturalnie, rzeczowo. Nie cierpiał recenzji nijakich lub płasko pochlebnych, tonował jednak akcenty zbyt agresywne. Chętnie widział recenzje, które prócz opinii o książce zawierały odbicie poglądów autora o danym przedmiocie. Jedną z takich recenzji (A[ndrzeja] Mostowskiego o książce A[ndrzeja] Grzegorzcyka „Wiadomości Matematyczne”, 15, s. 79–89) „awansował” do rangi artykułu. Miał ogromne doświadczenie w wyborze recenzentów: „Ten nie, bo i tak nic się od niego nie wyciągnie; tamten też nie, bo jest zbyt ostry i bezpardonowy”.

Mnóstwo energii włożył Stark w przygotowanie specjalnego tomu XII „Wiadomości”, którym redakcja chciała uczcić pięćdziesięciolecie P[olskiego] T[owarzystwa] M[atematycznego]. Pisał listy do wielu osób, zachęcał do pisania wspomnień, często bezskutecznie; sam jednak nic nie chciał napisać.

Uważał, że jakkolwiek badań z historii matematyki się u nas nie prowadzi, obowiązkiem matematyków w ogóle, a „Wiadomości” w szczególności jest gromadzenie materiałów dla przyszłych badaczy. Za szczególnie ważne uważał utrwalenie tego, co najbardziej ulotne, co odejdzie wraz ze świadkami wydarzeń. Starał się też o to, by publikowane w „Wiadomościach” omówienia działalności wybitnych matematyków – pomimo oczywistego w takiej sytuacji szacunku – nie były okolicznościowymi laurkami, by zawierały prawdę o człowieku; zżymał się, gdy z konieczności akceptował artykuł, w którym opinia o czyichś wynikach zbyt rażąco odbiegała od ich rzeczywistej wartości, pocieszał się jednak, że pochlebstwa też jakoś oddają atmosferę otoczenia danej osoby.

Marceli Stark pracował nad stroną redakcyjną i językową wszystkich tekstów publikowanych w „Wiadomościach”; zarówno oryginalnych, jak i tłumaczeń (te ostatnie sprawdzał z oryginałami). Pamiętam jednak, raz skapitulował. Było to tuż po moim wejściu do redakcji. Czytaliśmy korekty wydawanego akurat zeszytu. Marceli prosił mnie o dokończenie czytania przeglądowego artykułu Hao Wanga o podstawie matematyki; powiedział, że nie ma siły przegryzać się przez to dalej. Tekst był rzeczywiście niezmiernie ciemny, a w korektach niełatwo było poprawić niezgrabności tłumacza. Po kilku godzinach zmagania, nie czując się dość kompetentny, zdecydowałem się zwrócić do prof. [Andrzeja] Mostowskiego o radę, co z tym zrobić. Po kilku dniach dostałem korektę

z powrotem; dwa słowa: „Jezus, Maria!”, napisane czerwonym długopisem były odpowiedzią prof. Mostowskiego. Artykuł trzeba było, niestety, wycofać.

Marceli miał wiele pasji: literatura, muzyka, fotografia i inne. W muzyce uznawał tylko nagrania niezwyklej wartości; wypowiadał się ze znanstwem o rozmaitych wykonaniach. Kiedyś, tytułem próby, puściłem mu z taśmy magnetofonowej fragment mało znanego oratorium, *Św. Paweł*, które Mendelssohn napisał jako wyraz swego kultu dla *Pasji według św. Mateusza*. Marceli orzekł, że tego nie warto słuchać, a spytany, co to może być, odpowiedział trafnie, że to XIX-wieczna imitacja baroku.

Na niejednym kongresie widać było jego charakterystyczną postać obwieszoną kamerami, lampami błyskowymi itp. Miał bardzo wyrafinowany sprzęt fotograficzny. Wiele godzin spędzał w ciemni. Dzięki temu po niejednym polskim matematyku pozostało wybitne zdjęcie portretowe. Pamiętam, z jakim pietyzmem pracował nad fotografią z ocalałej legitymacji Saksa (reprodukowanej później w *Pół wieku matematyki polskiej*, K[azimierza] Kuratowskiego).

Gdy przyjmował gości w swej maleńkiej kawalerce przy Mazowieckiej, przygotowywał wymyślne, bardzo smaczne potrawy, których sam nie jadł, bo mu wszystko szkodziło. Przy jednej takiej okazji powiedziałem mu, że „Wiadomości” będą prawdopodobnie bezskutecznie szukać kogoś, kto mógłby opisać sztukę kulinarną Marcelego Starka.

Po operacji wszczepienia stymulatora serca czuł się znakomicie; niestety, trwało to bardzo krótko.

Andrzej Grzegorzcyk

Drogi, po której Marceli Stark doszedł do decyzji o przyjęciu chrztu, można się tylko domyslać. Marceli był jednostką w głębi duszy bardzo niezależną, mimo dyplomatycznych umiejętności, jakie ujawniał czasem w codziennym życiu. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł wpłynąć na jego podstawowe światopoglądowe przekonania. Na tematy bardzo ogólnofilozoficzne lub religijne rozmawialiśmy bardzo rzadko. Raz, pamiętam, spieraliśmy się, bo Marceli powiedział, że chrześcijaństwu podstawy zbudował geniusz Pawła z Tarsu, a ja twierdziłem, że uczynił to przecież wcześniej Jezus z Nazaretu, którego geniusz ukazują Ewangelie. Ale przypuszczałem, że była to dla niego rozmowa o treści abstrakcyjno-literackiej, podobnie jak dla mnie rozmowy o ariach muzycznych w pasjach lub w operach. Jednak, jak wynika z korespondencji z Feliksem Kabakowem¹⁰, Marceli był też melomanem niezwyklej, takim, który w melodii słyszy Prawdę lub Sens... przywołane do życia przez dźwięk... i jakby wydobyte z głębi duszy...

Starka wola chrztu była więc dla mnie pewnym zaskoczeniem. Barbara Kryda, koleżanka żony mojej, Reni, ze studiów polonistycznych i nauczycielka w liceum im. Żmichowskiej, od dłuższego już czasu przyjaźniła się z Marcelim, po prostu zadzwoniła rano, że ponieważ znam Łaski i jeżdżę samochodem, więc mam wieczorem przywieźć księdza z Łasek do mieszkania Starka na Mazowiecką, bo jutro idzie do szpitala na operację serca, „a to nowy, niepewny etap życia...”.

¹⁰ Zob. listy nr 82, 83 w tym wydaniu.

Ojciec Tadeusz Fedorowicz¹¹ najpierw się bronił i wysyłał mnie do młodszego od siebie księdza Hoinki¹². Ale Hoinka okazał się zajęty. Nie było możliwości zastępczych. Marceli niewątpliwie wiedział, że Zakład dla Ociemniałych w Laskach jest otwarty na wszelkie kontakty z niewierzącymi. Ksiądz Fedorowicz uznał więc, że teraz kolej na niego. Wziął jakiś gruby zeszyt i przyjechalśmy na Mazowiecką. Tam u Starka czekali już: Renia, Basia Kryda i Andrzej Schinzel. Zapewne stanowiliśmy grono, które – zdaniem Marceliego – odniesie się pozytywnie do jego kroku.

Pamiętam już tylko, że po krótkiej ogólnej rozmowie, musieliśmy zostawić Marceliego z księdzem Tadeuszem samych. Renia, Basia, Schinzel i ja wyszliśmy na klatkę schodową na co najmniej 20 minut. Mieszkanie Starka było jednoizbowe. Po czym zostaliśmy zaproszeni do powrotu na sam obrzęd chrztu, którego nie mam w oczach. Natomiast pamiętam dobrze entuzjazm Marceliego zaraz po obrzędzie. Zapowiedział, że teraz musimy się wszyscy z nim ucałować, co oczywiście nastąpiło. Ojciec Tadeusz wpisał Basię i mnie jako świadków chrztu do grubego zeszytu, który był chyba księgą parafialną Lasek. Złożyliśmy swoje podpisy.

Po krótkiej rozmowie ksiądz Tadeusz poprosił jednak, żeby odwieźć go dość prędko do Lasek, gdzie po zmroku na terenie zakładu są wypuszczane groźne psy. W czasie drogi nie śmiałem prowokować ojca Tadeusza do jakichkolwiek komentarzy. Brama była otwarta. W milczeniu podjechalśmy pod sam dom. Było około północy.

W kilka tygodni po tym, w czasie pogrzebu Marceliego wymieniłem jako rzeczywistych świadków jego chrztu cztery obecne wtedy osoby.

Teraz, mając w pamięci z lat ostatnich wypowiedzi niedawno zmarłych, bliskich skądinąd, intelektualistów, jak Helena Eilstein¹³ (autorka ostatnio wydanej dużej książki *Biblia w ręku ateisty*¹⁴) oraz Leszek Kołakowski¹⁵ (pod koniec nawet bardzo skłaniający się ku chrześcijaństwu) – myślę, że decyzja dokonania aktu przyjęcia chrztu przez człowieka dorosłego (wcześniej raczej ateistę), na jaką zdobył się Marceli, ma wielką wagę i stanowi świadectwo niedające się porównać z wyrafinowanymi wypowiedziami filozofów, może pozbawionymi jednak tego niepomiernego ciężaru dźwigania pamięci...

Rilke kiedyś pisał w zakończeniu jednego wiersza:

Tobie na pytających nie zależy nic

z słodyczą lic

patrzysz na dźwigających...

(Rainer M. Rilke, *Księgi Godzin*, przeł. Witold Hulewicz)

¹¹ Tadeusz Fedorowicz (1907–2002) – polski ksiądz katolicki, kierownik duchowy Zakładu dla Ociemniałych w Laskach, organizator Krajowego Duszpasterstwa Niewidomych.

¹² Ksiądz Stanisław Hoinka był od roku 1972 diecezjalnym duszpasterzem niewidomych w kościele św. Marcina przy ul. Piwnej w Warszawie.

¹³ Helena Eilstein (1922–2009) – polska filozofka żydowskiego pochodzenia. Wyjechała z Polski po roku 1969; emerytowana profesor filozofii Uniwersytetu Nowego Meksyku w Albuquerque. W roku 1993 wróciła do Polski.

¹⁴ H. Eilstein, *Biblia w ręku ateisty*, Warszawa 2006.

¹⁵ Leszek Kołakowski (1927–2009) – wybitny polski filozof. Emigrował z Polski w 1968 r. Po krótkim pobycie w Paryżu osiadł w Anglii, gdzie związał się z Uniwersytetem Oksfordzkim.

5th, 1

Tribunet Marcelo Starker

Przebiegiem historycznym stosunków moich, jak również przystępie
użytych finansów obficie, uzyskały następujące osoby
prawie: prywatnie po mojej śmierci:

Mrs. Barbara Kryzla, zam.

zam. dalej poim. Kryda ^{zwana} w Harmanie,

Prof. Andrija i ob. Penata Gregorčič, zvan

dale prof. Ewgeny Kork, zam.

Wojewódz. Elzbieta Grotercy Zam. ul.

u Karmaric zvanislegj p. Grodecky,

Dr. Irene Leavicka, znan. ul.

4 Krakovic

Dr. Krzysztof i Maria Maszynscy, zam. ul.

m. e l'arrivare fuori dalle pantofole

Prof. Hanna i prof. Wiktor Zelasko, zwan dalej Zelasko,

above. W.

Prof. Harold i Jerry Toward, zam. et.

W. H. Lawrence

Ref. Gester Remaja Sam.

Warran

Mer. Krystyna Paciejewka, ul.

Wroster

Prof. Andrzej Schinzel, zaur.

W. W. W. W.

the above

Zakład dla Osobamiatych Dłoci prowadzony przez siostry
Zakonne i Laskach pod Włocławem
zwany dalej: ZOD

Maria Romiriska

Prof. Folger Star Paulak,

, Warsaw

Prof. Cyril Offord,

Harro

England

Marceli Jank

INDEKS OSÓB

- Adam, wykładowca z Wrocławia 205
 Ajzensztad Piotr 221
 Aleks, więzień z Budzynia (Aleks Schönman?) 19, 33, 160, 176
 Alexiewicz Andrzej 306
 Andrzej, syn Blanki Kościukowej 236, 237
 Auerbach Herman 32, 154, 203, 243, 245, 249, 259, 337
 Auerbach Maks 17
 Axmann Arthur 24
- Bach Johann Sebastian 328, 329, 338, 340
 Balzac Honoré de 34, 262, 267, 295
 Banach Stefan 33, 51, 52, 64, 69, 205, 307, 308, 333
 Banach, doktor 291
 Banachiewicz Tadeusz 37, 201
 Banachowa Łucja 308
 Bartel Kazimierz 307
 Bartók Béla 316
 Baziak, ksiądz 275
 Beethoven Ludwig van 105, 295, 324
 „Bębojło”, student Starka 304, 305
 Biały, kucharz 158
 Bierut Bolesław 198
 Birnbaum, doktor 247
 Bitter 111, 121, 122, 133
 Blancke Max 184–187
 Blumenfeld J. 307
 Borowski Tadeusz 109
 Borsuk Karol 33, 35, 37, 64, 102, 191–193, 313, 314
 Boulanger Nadia 316
 Brahms Johannes 316
 Braunówna Stefania 307
- Brodetsky Selig 217
 Browkin Jerzy 343
 Budraß Lutz 19
- Canin Mordechaj 26
 Carroll Lewis 256
 Casadesus Robert 329
 Catullus Gaius Valerius 243, 246, 247
 Ceccherini Silvano 323
 Charzyński Zygmunt 306
 Chilewicz Wilek 183, 184
 Chilewiczowa 184
 Chmielewski S. 307
 Christens, kierownik z Ostbahu 259
 Chwatowie, znajomi Renaty Stark-Cohen 281, 292
 Chwistek Leon 307
 Cohen Henryk 38, 280–288, 290, 310, 311
 Conrad Joseph (właśc. Józef Teodor Konrad Korzeniowski) 83, 84
 Cramer Herald 251
 Cutner Solomon 324
 Cybulak Jarek 45
 Czarnobroda 90–92
 Czarnobrody 84, 89–92
 Czechow Anton 262
 Cziczzerin Georgij 327
- Danziger Wolf 18
 Dąbrowski Jakub 80
 Dedekind Julius Wilhelm Richard 336, 337
 Diamand 157, 158, 177
 Dickens Charles 57, 230, 295
 Dickstein Samuel 307

- Dniestrzański R. 307
 Donizetti Gaetano 187
 Dratwer Isaj 37, 221, 223
 Drbotowie, znajomi Renaty Stark-Cohen 286
 Droholec Nela 264
 Drozdowicz, docent 224
 Duda Roman 13
 Dziunia, kuzynka Henryka Cohena 281, 310

 Eckert Willi 185
 Edelman Marek 104
 Edison Icchak 187
 Eidelheit Meier 307
 Eilstein Helena 345

 Fedorowicz Tadeusz 66, 345
 Feix Lisolette 17, 126
 Feix Reinhold 17, 18, 23, 24, 58, 92–95, 97–99, 106, 111, 113, 117–119, 121–123, 125–133, 145–147, 158, 160, 164–166, 170, 175, 188
 Finkelstein Mietek 183, 184
 Fischer Annie 324
 Fogelson Samuel 307
 Folman Staszek 89
 Frank Anna 291
 Frank Hans 103
 Franz, SS Oberscharführer, ostatni komendant obozu w Budzynie 18, 24
 Freiberg Daniel 16, 19
 Freilich A. 307
 Freud Sigmund 318
 Friedheim Zeew 16
 Frobenius Ferdinand Georg 337

 Gałczyński Konstanty Ildefons 335
 Gelbart Juliusz 24
 Gerstmann Adam 52
 Ghelbowie, znajomi ze Lwowa 247
 Gimpel Bronisław 233
 Globocnik Odilo 24
 Goldberg Michał 19, 26
 Gołąb Stanisław 306

 Gorn Szalom 16
 Göth Amon 30, 58, 105, 185, 186, 226
 Gould Glenn 324
 Grabowski L. 307
 Greger, esesman z Budzyna 126
 Grodecka Elżbieta 66
 Grodecki Wojciech 66
 Grosman, doktor 186
 Gross Adolf 24
 Grzegorzczak Andrzej 14, 45, 46, 66, 67, 326, 343, 344
 Grzegorzczak Renata 46, 67, 326

 Händel Georg Friedrich 295
 Hantke Otto 24
 Hao Wang 343
 Hartman Stanisław 338, 342
 Hartmanowie, znajomi Renaty Stark-Cohen 286
 Hawryłyszyn, student Starka 245
 Heinkel Ernst Heinrich 23, 167
 Heitmayer Willi 24, 133
 Hemar Marian 111
 Hindemith Paul 326
 Hitler Adolf 31, 101, 103, 194, 269
 Hoborski Antoni 307
 Hochrod Jehoszua 17
 Hoinka Stanisław 345
 Hsi-Men 339
 Hulewicz Witold 345

 Jacob Marian Mojżesz 307
 Jacob, pracownik Arbeitsamtu 245
 Janik W. 307
 Janis Reiters 23
 Jantzen Kazimierz 307
 Jaworowski Jan 313
 Jeremiasz, prorok 151
 Jezus z Nazaretu 344
 Jones Eliyahu 28
 Joyce James 246, 251
 Józek, znajomy Juliusza Kowalskiego 310

 Kabakow Feliks 38, 66, 326–328, 344
 Kac Marek 336

- Kaczka, nauczyciel 90, 98, 100, 160
 Kaczka, szwagier Diamanda 157, 165
 Kaczmarz Jacek 14
 Kaczmarz Stefan 307
 Kahane Jean-Pierre 341
 Kajetanowicz, aptekarz 264
 Kalandyk Stanisław 307
 Kalbarczyk Sławomir 13
 Kalicun B. 307
 Kempisty Stefan 307
 Kerner M. 307
 Kerner Maria 297
 Kestenbaum Charlotte 37, 206, 211, 215
 Kierat S. 307
 King Bolton 309
 Kirch Marian 211
 Kirsch Leonard 37, 206, 208, 211, 212, 217, 218
 Klein Felix 137, 340
 Knapowski Stanisław 321
 Knaster Bronisław 201, 338
 Kobrzyński Z. 307
 Kochanowski Jan 295
 Kołakowski Leszek 345
 Kołodziejczyk S. 307
 Kołodziejski Krzysztof 45
 Korzeniowski Józef Teodor Konrad zob. Conrad Joseph
 Kosiński, doktor 312
 Kościukowa Blanka 38, 64, 225–230, 232–234, 236, 237
 Kowalscy, znajomi Renaty Stark-Cohen 298
 Kowalski Juliusz 297, 310, 311
 Kowalski Tadeusz 271, 293
 Koźniewski Andrzej 307
 Krakowski Rysiek 171
 Krasucki 157, 169
 Kryda Barbara 14, 45, 46, 49, 62, 63, 68, 270, 326, 327, 344, 345
 Krzysiak Józef 66
 Kuba, kolega z getta warszawskiego 29, 84
 Kulisiewicz Tadeusz 66
 Kuratowski Kazimierz 313, 314, 323, 333, 344
 Kwietniewski S. 307
 Lamut Icchak 16
 Landau Edmund 112
 Lapter Helena 13, 38, 64, 238–241
 Lastroźnik Zbigniew 266
 Lebesgue Henri 337
 Leipold Josef 24
 Leja Franciszek 38, 219, 306, 307
 Lemer, znajomy Renaty Stark-Cohen 286
 Lenarczyk Wojciech 16, 19, 137
 Lenin Włodzimierz (właśc. Ulianow Władimir) 327
 Leonardo da Vinci 316
 Leopold Josef 180
 Leśniewski Stanisław 307
 Lewicka Irena 33, 38, 57, 64, 263–268, 271–279, 296
 Lewicki Marian 33, 57, 64, 102, 263, 265, 266, 269, 270–274, 276, 279
 Lewin Fredek 33
 Lewinow, grupowy w obozie 165
 Lewkowicz 106, 110, 125, 134, 135, 137, 139–141, 149, 157
 Libionka Dariusz 16
 Lindenbaum Adolf 307
 Lindenbaum J. 307
 Lindner Karol 26
 Lipa Bloch Eliezer (Aleksander) 26
 Littman Michał 250
 Lubelski S. 307
 Lukian z Samosaty 262
 Lutosławski Witold 316, 317
 Łomnicki Antoni 307
 Łunaczarski Anatolij 327
 Majewska Włada 111
 Maliniak Bruno 118
 Maliniak, inżynier 118
 Manelska Alina 247, 252, 256
 Mann Tomasz 261, 340
 Marcinkiewicz Józef 307
 Marcowi A. 307
 Marczewski Edward 191, 262, 338

- Mark, wuj Blanki Kościukowej 226
 Marszałek Józef 16
 Martialis Marcus Valerius 243
 Martyka 105
 Mathison M. 307
 Maupassant Guy de 262
 Mazur Grzegorz 28
 Mazur Stanisław 198, 250, 261, 334
 Mazurkiewicz Stefan 307
 Mąkowski Andrzej 343
 Mendelssohn-Bartholdy Felix 344
 Messiaen Olivier 316
 Mika 173
 Mikuta, znajoma Zygmunta Starka 264
 Milgrom, krewna Renaty Stark-Cohen 310
 Miłosz Czesław 151
 Mirek, korespondent Starka 38, 320
 Mirski (Frydman) Bronisław 18, 33, 113, 139, 165, 167, 180
 Mitelman Róża 18
 Möbius August Ferdinand 137
 Mohr Werner 24
 Mołdawan, jeniec 106, 110, 137, 168
 Mostowski Andrzej 13, 65, 314, 335, 339, 343, 344
 Mozart Wolfgang Amadeusz 295, 326–329
 Münzer, student Starka 185
 Musach, lekarz 17

 Natek, znajomy z Bielawy 206, 209
 Nikliborc Władysław 236, 306, 307
 Nosarzewska Maria 338
 Nussenblatt, doktor 97

 Obersch 18
 Offord Albert Cyril 286, 298
 Olszewski, doktor 201
 Orenstein Henry 19, 30, 34, 180
 Otto Edward 33, 64, 80, 102, 191
 Otto, adiutant Rainholda Feixa 17
 Owsienka Maria 203, 250, 252

 Parrenin Jacques 316
 Patkowski J. 307

 Paweł z Tarsu 344
 Pełczyński Aleksander 342
 Penderecki Krzysztof 341
 Pepis Józef 307
 Perron Oskar 243
 Plautus Titus Maccius 110
 Pociąg Bohdan 328
 Ponthen Józef 247
 Porębowicz Edward 75
 Posament Tadeusz 307
 Presburger Mojżesz 307
 Prokofiew Siergiej 326
 Propertius Sextus Aurelius 243, 247
 Przeniosło Małgorzata 13
 Przeworski Antoni Bonifacy 307
 Puppke, lekarz 26, 92, 94, 95

 Rajchman Aleksander 307
 Rak Baruch Elimelech 13
 Ramuz Charles-Ferdinand 258
 Rasiowa Helena 323
 Rawid Różyczka 298
 Redzik Adam 13
 Reich Hanna 37, 206, 208–210
 Reiss, mąż Miriam Sternbach-Reiss 248
 Richter Światosław 341
 Rilke Rainer Maria 345
 Ringelblum Emanuel 103
 Robinson, profesor z Izraela 288
 Rohatyn Lusja 264
 Rolland Romain 240
 Rozenel Nahum 126
 Rozmaryn Stefan 37, 204, 205
 Róża, znajoma Starka 102
 Rubinstein Artur 316
 Rudnicki Adolf 261
 Rudy, policjant obozowy, kraśniczanin 125, 130, 163
 Rudziński Zbigniew 316
 Rus 163, 166, 167, 169–171, 175
 Ruziewicz Stanisław 51, 69, 307, 333, 336

 Saks Stanisław 307, 344
 Sapieha Adam 275

- Schächter, znajomy Renaty Stark-Cohen 279
- Schauder Juliusz Paweł 13, 307
- Schiller Rebecca 45
- Schinzl Andrzej 46, 67, 340
- Schönman zob. Aleks, więzień z Budzynia
- Schraberman Marek 45
- Schreier Józef 307
- Schulz Fritz 83
- Schumann Robert 316
- Segałowicz, kompanijny w obozie 165
- Semadeni Zbigniew 334, 335
- Serkin Rudolf 329
- Sienkiewiczówna Jawiga 83
- Sierpiński Władysław 336, 340
- Sikorski Roman 323
- Sikorski Tomasz 316, 317
- Silberg, więzień z Płaszowa 185
- Silberklang David 19
- Skibińska Alina 26
- Skłodowska-Curie Maria 57
- Skwara Jerzy 28
- Słonimski Antoni 335
- Smolarz, policjant obozowy 137, 175
- Sokoł-Sokołowski Konstanty 307
- Sporrenberg Jakub 24
- Stark Franciszka 28, 79
- Stark Izrael 28
- Stark Zygmunt 32, 38, 51, 59, 60, 98, 263, 264, 276
- Stark-Cohen Renata 32, 38, 58, 60–63, 221, 264, 266, 272, 279–282, 284–288, 290–301, 303, 310, 311, 340
- Stechel (Steckel?) Samuel 307
- Stefan, korespondent Starka 37, 196, 197
- Stein Elias 342
- Steinbok Estera zob. Zahorska Helena
- Steinhaus Hugo 38, 51, 64, 65, 69, 213, 309, 333, 336, 338, 339
- Sternbach Ella 28
- Sternbach Herman 28, 243
- Sternbach Józefa 203, 249, 250, 252, 258–260
- Sternbach Ludwik 28, 32, 38, 154, 155, 203, 243–245, 247, 249–254, 256–261, 307
- Sternbach-Reiss Miriam 28, 38, 155, 203, 243, 247–249, 252–254, 256
- Stosik Heinrich 24
- Stożek Włodzimierz 307
- Stroop Jürgen 86
- Sucharda Edward 279
- Suppé Franz von 187
- Szekspir William 33, 57, 270, 340
- Szell George 329
- Szmuszkowicz Hanna 37, 198
- Szpilman Władysław 233
- Szraberman Marek 16
- Sztokfisz David 16, 17, 19, 23, 126
- Sztokman Noah Mosze 24, 25, 109, 125, 143
- Szymborska Wisława 335
- Szypiacki 137, 153, 158, 165, 166, 171, 178
- Ślebodziński Władysław 203, 338
- Tauscher Fritz 24
- teść Nussenblatta 97–99, 105, 106
- Teufel Ernest 24, 122
- Tibullus Albius 243
- Toebens Walter Caspar 83
- Tuch Henek 301
- Tuchowie, znajomi Renaty Stark-Cohen 298, 310
- Turowicz Andrzej 38, 65, 319, 333, 335
- Turowicz Jerzy 38
- Ujejski Kornel 150
- Ulam Stanisław 321, 322
- Ulianow Władimir zob. Lenin Włodzimierz
- Urynowicz Marcin 13, 36, 39–45, 270
- Varèse Edgar 316
- Vetulani Kazimierz 307
- Vivaldi Antonio 295
- Walther, „profesor” 30, 201, 202
- Waraszkiewicz Zenon 307
- Wdowiński Dawid 26
- Weichert Michał 243

Weierstrass Karl 112
 Weigel Kasper 307
 Weinlos S. 307
 Węgierski Jerzy 28
 Wichrowski Zbigniew 45
 „Wiech” zob. Wiechecki Stefan
 Wiechecki Stefan „Wiech” 194
 Wierciński M. 233
 Wiernik Jankiel 90
 Wilczyński Przemysław 30
 Wilk A. 307
 Wilkosz Witold 307
 Wissenberg 165
 Wiszniewicz Joanna 19, 34
 Witkowski Stefan 38, 323
 Wittlin Tadeusz 194
 Wojdysławski Menachem 198
 Worowski Wacław 327
 Wortman, znajomy z obozu 221
 Wróblewski Bronisław 19

 Xenakis Jannis 316

 Zahorska Helena (właśc. Steinbok Estera)
 33
 Zahorski Zygmunt 33, 80, 102, 194
 Zalc Nisan 16
 Zalcwasser Zygmunt 307
 Zaremba Stanisław 307
 Zbyszek, przyjaciel Ludwika Sternbacha
 253
 Zelmanowski Chaim 26, 33, 137–139,
 141, 154, 158, 160, 163, 165, 166,
 168–172, 180, 221
 Zygmund Antoni 337, 341
 Zygmunt, korespondent Starka (Zygmunt
 Zahorski?) 37, 194
 Zylbersztajn Samuel 19
 Zysman Józef 33, 34, 37, 134, 137–139,
 158, 160, 165, 166, 172, 180, 219–221,
 224

 Żelazko Hanna 46
 Żelazko Wiesław 38, 46, 340
 Żeromski Stefan 295
 żona Kaczki 91
 Żuławska Kazimiera 78
 Żuławski Jerzy 78
 Żuławski Wawrzyniec 78
 Żyliński Eustachy 333